

# DANIEL LEVIN

## PRAWO KOŁOSEUM

Z angielskiego przełożył  
GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

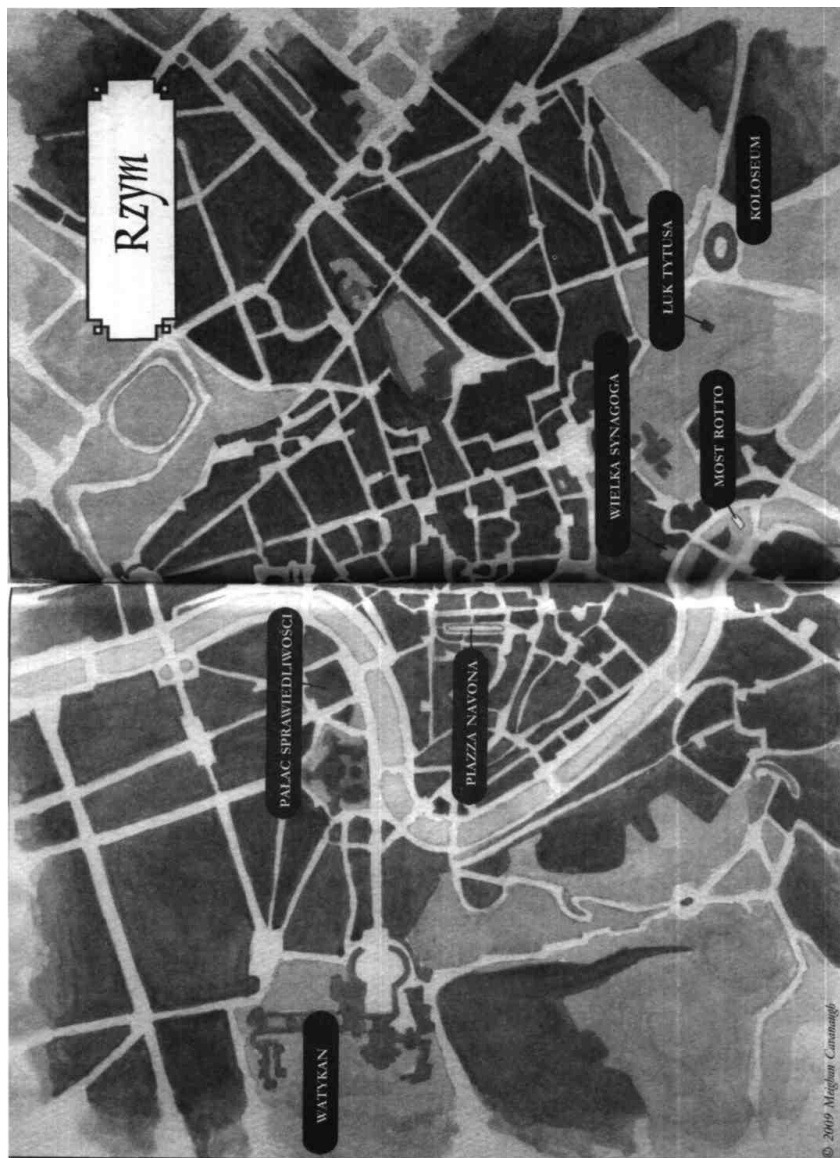


*Dla mojej mamy, gawędziarki*

Wszystkie odniesienia do tekstów starożytnych oraz  
współczesnego prawa międzynarodowego są prawdziwe.

Historycy to fałszerze.

*Życie Józefa Flawiusza*



## 1.

Godz. 0.15, lotnisko Fiumicino, Rzym

– Dlaczego mnie tu sprowadzono? – Jonathan Marcus zwrócił się z tym pytaniem do kierowcy, podnosząc nieco głos z powodu padającego zimowego deszczu.

Krople ulewy, zwanej tutaj *burrasca*, dudniły o maskę czarnego maserati quattroporte. Szofer miał na sobie przemoczony podkoszulek, jego brzuch sterczał jak wypchany worek ziarna.

– Wspólnik kancelarii oczekuje, *signore* – odrzekł, biorąc neseser Jonathana i otwierając tylne drzwi samochodu.

Woda płynęła strumieniami po spodniach Jonathana i zbierała się na jego butach od

Ferragamo, wydawało się jednak, że tego nie zauważa. Wskazał światła na pasach startowych lotniska.

– Pod pasem, na którym przed chwilą wylądował samolot, znajdowała się największa przystań morska w cesarskim Rzymie. Nazywała się Portus. Wciąż spoczywają tam okręty, które legły na dnie morza dwa tysiące lat temu!

Kierowca uprzejmie skinął głową. Włożył neseser Jonathana do bagażnika, a zamknąwszy klapę, zobaczył ze zdziwieniem, że rosty młody mężczyzna wciąż stoi obok otwartych drzwi samochodu,

opierając się łokciami o dach. Biała koszula przywarła do muskularnych ramion, a on spoglądał na pas startowy. Jonathan Marcus wrócił do Rzymu jako młody prawnik korporacyjny, ubrany w elegancki granatowy garnitur w prążki, lecz wystarczyło dziesięć minut spędzonych na włoskiej *terra antiqua*, by kamienie przywołały wspomnienie pracy doktorskiej z historii klasycznej.

– *Signore* – odezwał się kierowca, grzecznie wskazując drzwiczki.

Jonathan usiadł na pokrytej nieskazitelną skórą tylnej kanapie luksusowego auta. Widok znaczka szacownej kancelarii Dulling and Pierce LLP przypomniał mu o obowiązującej w niej przesadnej wręcz dbałości o prezencję. Rękawy marynarki nadal ociekały wodą, lecz Jonathan wsunął w nie ręce i zapiął koszulę.

– Wciąż daleko do ideału – mruknął, odgarniając z czoła mokre kasztanowe włosy. Lekki zarost podkreślał wyraziste regularne rysy jego chłopięcej twarzy, przydając jej nieco twardości.

Elektroniczny zegar na środku wykończonej drewnem deski rozdzielczej samochodu wyświetlał cyfry w kobaltowo-niebieskim odcieniu: 00:17. Świeżo zaparzone cappuccino parowało w białej niczym kość słoniowa filiżance opatrzonej logo kancelarii.

To był długi dzień, pomyślał Jonathan.

Zaledwie dwanaście godzin temu siedział przy swoim biurku na czterdziestym pięttrze siedziby firmy w centrum Manhattanu, mając w perspektywie kolejny wieczór wypełniony lekturą dokumentów, gdy na wózku z wewnętrzną pocztą kancelarii dostarczono mu program podróży opatrzony napisem PILNE, wyglądający jak czerwona szarfa.

Na kartce podano jedynie godzinę startu samolotu linii Alitalia z lotniska Kennedy'ego oraz numer miejsca w pierwszej klasie. Samolot odlatywał za trzy godziny. Dbalność kancelarii Dulling and Pierce o poufność danych klienta była wręcz legendarna, lecz tym razem firma przeszła samą siebie. Jonathan przypomniał sobie toast jednego ze współników, wzniesiony podczas kolacji w gronie pracowników firmy. „Masz wykształcenie historyczne, Marcus, więc antykwariusze na całym świecie chętnie widzieliby cię w roli swojego pełnomocnika prawnego, czyż nie?”. Słowa te dźwięczały mu teraz w uszach jak prorocstwo wyroczni.

W zeszłym miesiącu Jonathan występował w imieniu rzymskiego antykwariusza Andre Cavettiego, który był klientem kancelarii. Włoskie władze skierowały przeciwko niemu pozew do sądu na Manhattanie, twierdząc, że pan Cavetti wystawia w galerii przy Madison Avenue przedmiot nielegalnie wykopany w starożytnym mieście Morgantina, na wybrzeżu Sycylii. Przedmiot, brązowa figurka o wysokości pięćdziesięciu centymetrów, pojawił się w miesięcznym katalogu galerii. Opisano go jako *Nagi wizerunek rzymskiej prostytutki z około IV w, n.e. Wysokość: pięćdziesiąt centymetrów. Pochodzenie: nieznanne*. Pytania, które Jonathan zadał w sądzie biegłemu reprezentującemu włoski rząd, doktorowi Phillipowi von Bothmerowi, kustoszowi starożytności greckich i rzymskich w Metropolitan Museum of Art, w jednej chwili

przeniosły go do samego centrum świata handlu antykami.

– Doktorze von Bothmer, przedmiot wystawiony w muzeum przez mojego klienta pochodzi rzekomo ze starożytnego miasta Morgantyna. Kiedy zostało ono zniszczone?

– Na początku drugiego wieku przed naszą erą – odparł z przyganą doktor von Bothmer, jakby miał Jonathanowi za złe, że nie słuchał jego wielogodzinnego zeznania. – W czasie drugiej wojny punickiej Morgantyna nieroztropnie opowiedziała się po stronie Kartaginy, a przeciwko Rzymowi. Całą warstwę archeologiczną pokrywa czarna sadza, co wskazuje na to, że w tamtym czasie miasto uległo całkowitemu zniszczeniu.

– Całkowitemu zniszczeniu, powiada pan – powtórzył Jonathan. Na chwilę zawiesił głos, zbliżając się do figurki stojącej przed miejscem dla świadka. – Interesuje się pan biustami, doktorze?

Jeden z przysięgłych parsknął śmiechem, a potem bezskutecznie próbował zamaskować go kaszlnięciem.

– Słucham?

– Pytam, czy interesuje się pan biustami. – Jonathan złożył dłonie i umieścił je w odległości kilku centymetrów od swojej klatki piersiowej. – Nie wydaje się panu, że ta figurka ma nieco za małe piersi?

Prawnik ambasady włoskiej poderwał się z krzesła jak oparzony.

– To nękanie świadka, Wysoki Sądzie!

Zgromadzeni na sali widzowie parsknęli śmiechem.

Nadzorujący Jonathana wspólnik z kancelarii Dulling oparł łysą głowę na rękach.

– W ustaleniu okresu, z którego pochodzi dany zabytek, pomaga znajomość stylu, w jakim przedstawiano piersi rzymskich kobiet. Mogą one bowiem mieć rozmiar *una manus* albo *duae manus*, co po łacinie oznacza jedną dłoń lub dwie. – Jonathan mówił takim tonem, jakby objaśniał nudną procedurę sądową. – Biegły sugeruje, że figurka pochodzi sprzed pierwszego wieku. Gdyby to datowanie było trafne, piersi powinny być bujniejsze, gdyż taka tendencja pozostała po sztuce pogańskiej. Drobniejsze piersi zdradzają wpływy chrześcijańskie z późniejszego okresu, na przykład cesarstwa bizantyjskiego.

Sędzia wsunęła na nos okulary i skierowała wzrok na świadka.

– Czy to prawda, doktorze?

Świadek po raz pierwszy zaczął zdradzać oznaki niepewności.

– Pogańskie wyobrażenia Wenus o bujnych kształtach zostały wyparte przez skromniejsze wizerunki chrześcijańskie po pierwszym wieku, więc być może... – Odchrząknął.

– Być może – podchwycił Jonathan, zmierzając w stronę ławy przysięgłych. – Jak to zatem możliwe, by figurka o wyraźnie chrześcijańskich cechach pochodziła z Morgantyny? Zgodnie z pańskim zeznaniem Morgantyna już od dwustu lat leżała w gruzach.

Doktor von Bothmer przesunął się na krześle, zerkając nerwowo na włoskiego prawnika.

– Wycofuję pytanie, Wysoki Sądzie – oznajmił po dłuższej chwili Jonathan. Profesor był przyparty do muru, a on usypiał jego czujność, by zadać decydujący cios. – Panie doktorze, czy to prawda, że muzeum, w którym pan pracuje, zwróciło niedawno krater\* Eufroniosa włoskiemu Ministerstwu Kultury po tym, jak dowiedziało się, że został on nielegalnie wykopany w

Morgantynie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku? Czy nie jest tak, że składa pan dzisiaj w sądzie to oświadczenie, dodajmy, wątpliwe z naukowego punktu widzenia, po to, by odwrócić zainteresowanie ambasady włoskiej od innych eksponatów znajdujących się w zbiorach Metropolitan Museum of Art\*\*?

\* Krater – starożytne greckie naczynie ceramiczne, służące do mieszania wina z wodą.

\*\* Krater Eufroniosa znajdował się w zbiorach Metropolitan Museum of Art przez trzydzieści lat. Powrócił do Włoch w styczniu 2008 roku.

Doktor von Bothmer otworzył usta, lecz nic nie odpowiedział.

Jonathan wrócił do stolika obrony.

– *Cognoscere mentent, cognoscere hominem* – rzekł tak cicho, by tylko von Bothmer zdołał go usłyszeć.

„Poznaj motyw, a poznasz człowieka”.

\* \* \*

– *Signore* – odezwał się kierowca.

Maserati zatrzymało się na Piazza Navona w centrum Rzymu.

Silnik samochodu pracował na jałowym biegu.

– Nie wiem, dokąd pójść – odparł Jonathan, nachylając się do szofera.

Ten nic nie odpowiedział, tylko w milczeniu wskazał rzęsiście oświetloną barokową fasadę szesnastowiecznego *palazzo* stojącego po przeciwnej stronie placu.

Jonathanowi przypomniał się wers z jego napisanej po łacinie pracy.

– *Ducunt volentem Fata, nolentem trahunt* – mruknął.

Zauważył w lusterku spojrzenie szofera, który – ku jego zdumieniu – przetłumaczył tę sentencję Seneki.

– „Idź śladem przeznaczenia, bo ono i tak cię za sobą pociągnie”.

## 2.

*Comandante* Jacopo Profeta stał w opuszczonym magazynie znajdującym się w sąsiedztwie rzymskich doków Civitavecchia. Gdy minęła północ, wyciągnął z kabury tęponosy pistolet Tanfaglio, odwodząc spust tak, by unieruchomić obrotowy magazynek. Jako dowódca włoskiego Wydziału Ochrony Dziedzictwa Kulturowego, Tutela del Patrimonio Culturale, najbardziej wyspecjalizowanej jednostki do walki z nielegalnym handlem zabytkami, jaka istnieje na świecie, Profeta wiedział, że przestępstwa tego rodzaju stały się bardzo niebezpieczne. Miał pod sobą dwustu pięćdziesięciu funkcjonariuszy w jedenastu regionach. Ich działania obejmowały zarówno kontrolę niebezpiecznego stanowiska archeologicznego w Pompei, jak i nalot na portowy dok w poszukiwaniu antykwarycznej kontrabandy.

– Dawniej talibowie finansowali swoją działalność z handlu narkotykami. Ale teraz odkryli nowe źródło dochodu: zabytki. Ci ludzie to nie archeolodzy, lecz mordercy. – Profeta często przypominał o tym swoim podwładnym.

Snop światła z latarki komendanta przeciął ciemność panującą we wnętrzu magazynu. Gorzkawa woń zjełczałej oliwy mieszała się z odorem kanalizacji i rdzy. Posadzką składu niepodzielnie zawładnęły chwasty. Profeta zauważył swoje odbicie w stłuczonym oknie. Siwe,

krótko obcięte włosy odsłaniające coraz więcej czoła, brązowe oczy, siwa broda, której przydałyby się nożyczki, oraz złote okulary – wszystko to sprawiało, że przypominał podstarzałego marynarza, który zbyt dużo czasu spędził na morzu.

– Uważaj na siebie, Profeta – mruknął. – Nie jesteś już młodzieniaszkiem.

Porucznik Rufio, niedawno przeniesiony z wydziału w Palermo i mianowany *primo tenente* Profety, zapalił umieszczony na ziemi reflektor, a ten zalał wnętrze składu bladopurpurowym światłem.

– Co oni chcą tu zabunkrować? – zapytał, rozglądając się. – Fontannę Trevi?

– *Comandante* – odezwał się drżącym głosem najmłodszy policjant w oddziale, porucznik Brandisi. – Coś jest na posadzce.

Na samym środku pomieszczenia leżała zabytkowa marmurowa kolumna. Odłupano ją brutalnie od jakiejś starożytnej ruiny. Jej podstawa wciąż tkwiła na *pepperino*, fragmencie kamienia wulkanicznego, na którym stała. Wyglądała jak kamienny pień drzewa wyrwanego z ziemi z korzeniami.

Zbliżywszy się do kolumny, Profeta i jego ludzie poczuli leśny zapach sosny i cynamonu.

Kolumnę przepiłowano wzdłuż i zdjęto górną część, by odsłonić wydrążone wnętrze. Profeta i jego podwładni w żałobnej ciszy spoglądali na jego zawartość.

W żółtej zawieszynie ziołowych olejków spoczywało nagie ciało pięknej kobiety. Jej perłowa skóra była tak samo elastyczna i miękka jak w chwili śmierci.

Policjanci wpatrywali się w zwłoki, jakby mogły się poruszyć. Otwarte błękitne oczy i zarumienione policzki, zanurzone w cieczy, zachowały dawny koloryt. Usta były częściowo rozchylone. Starannie

splecione w dwa długie spiralne zwoje włosy przypominały ornament, którym ozdabiano kapitele jońskich kolumn; uczesanie to było popularne wśród rzymskich patrycjuszek. Przez tors, od wąskiej talii do piersi, biegły cztery długie szwy. Te cztery rany spowodowały śmierć kobiety i nawet współczesna medycyna nie zdołałaby jej uratować.

Profeta wolnym krokiem obszedł zwłoki i zlokalizował źródło nieprzyjemnej woni. Lewa noga denatki została podniesiona i kolano wystawało nad powierzchnię cieczy. Siły rozkładu zaatakowały wściekle, odsłaniając kość. Ściętno wyglądało jak zgniły wodorost. Na chrząstce usiadła końska mucha. Jeden z policjantów odpędził ją machnięciem ręki.

Biała skóra, zanurzona w aromatycznym roztworze, pozostała nieskazitelna niczym skamielina w bursztynie. Profeta wiedział, że starożytni Rzymianie mieli swoje techniki balsamowania ciał. Wykorzystywali cynamon z miodem, smołę drzewną i palony olejek cedrowy, który Pliniusz Starszy nazywał *cedrium*. Chronili w ten sposób zwłoki przed działaniem mikrobów, lecz leżące przed nim ciało było tak doskonale zachowane, że wydawało się to aż niemożliwe.

Wokół pępka kobiety wytatuowano napis złożony z łacińskich i greckich słów.



– *Phere nike umbilicus orbis terrarum* – przeczytał na głos Profeta, po czym przetłumaczył: – „Zwycięstwo przez pępek świata”.

– To musi być dzieło jakiegoś wariata, *comandante* – stwierdził Rufio.

Jednak Profeta go nie słyszał. Pochylił się nad zabalsamowanymi zwłokami, szukając wzrokiem jakiejś oznaki współczesnych czasów: blizny po szczepieniu na ospę na prawym ramieniu, śladów zabiegu dentystycznego na małych nierównych zębach lub odcisków po butach na stopach. Niczego nie znalazł.

– Rufio, wezwij koronera.

### 3.

Na rusztowaniu otaczającym złoty dach Kopuły na Skale na Starym Mieście w Jerozolimie stało czterech mężczyzn. Mieli na sobie ukradzione kombinezony konserwatorów z napisem UNESCO na plecach. Dzięki sfałszowanym laminowanym kartom identyfikacyjnym, opatrzonym pieczęcią Jordkańskiego Ministerstwa Kultury Hashemite, mogli pracować przy odnawianiu średniowiecznych niebieskich dachówek, pokrywających dach świątyni. Oni jednak nie zamierzali restaurować dachu. Wiercili świdrami w marmurowej kratownicy otaczającej okno na piętrze, by dostać się do świątyni. Pracowali z wprawą zawodowych włamywaczy, wdzierających się do skarbcza banku.

– Szejku Saladyń, wyjęliśmy okno – oznajmił Ahmed Hassan, młody, utalentowany konstruktor ładunków wybuchowych.

Saladyń nie zareagował na słowa chłopaka. Jego wzrok utkwiony był w ekranach trzech laptopów przymocowanych do podstawy rusztowania. Przesunął dłonią po czarnej szczecinie pokrywającej skórę jego głowy. Cera barwy miedzi, prosty wąski nos i oczy o jasnym metalicznym kolorze sprawiały, że bardziej przypominał Europejczyka niż Araba. Starannie ogolona twarz i okulary w wąskich oprawkach sprawiały, iż wyglądał na pogrążonego w zadumie; można było go wziąć za młodego uczonego z uniwersytetu Nazir lub Gaza. Nie wyglądał na człowieka, którego Interpol ściga od lat i który w dokumentach tej organizacji figuruje wyłącznie pod swoim *nom de guerre* Saladyń. Takie imię nosił dwunastowieczny islamski wódz broniący Jerozolimy przed krzyżowcami.

Rzuty ośmiokątnego wnętrza budowli obracały się na ekranach komputerów. Dla Saladyńa doskonale geometryczne proporcje Kopuły na Skale miały znacznie większą wartość aniżeli jej symbolika religijna. Określały one bowiem długość liny, której jego zespół potrzebował, by dostać się do środka.

Ze skupieniem charakterystycznym dla wojskowych Saladyń spojrzał na czarny chronograf,



który nosił na ręku. Zegarek wskazywał godzinę trzynastą trzynaście.

– Musimy wejść teraz. Ruszajmy, profesorze.

– Nie jesteśmy jeszcze gotowi – odparł profesor Gustavo Cianari. Drobny łysiejący mężczyzna zdjął okulary, odsłaniając małe oczy podobne do ślepi małego nocnego drapieżnika. – Ustęp z Józefa Flawiusza nie wskazuje miejsca, w którym znajduje się ten przedmiot. Czytamy tylko o ukrytej bramie.

– Właśnie z tego powodu wyciągnąłem pana z akademickiego lochu w Rzymie – odparł Saladyn. – Prawdopodobnie jest pan jedynym uczonym na świecie, który był w stanie odgadnąć położenie przedmiotu dzięki tatuazowi na ciele tej kobiety.

– Ta kobieta to ostatnia księżniczka Jerozolimy – zauważył profesor Cianari, dotknięty lekceważącym tonem głosu pracodawcy. – Wolą zginąć w Koloseum niż wyjawić znaczenie słów *umbilicus orbis terrarum*. „Pępek świata”. Sam pan widział, że jej zwłoki potraktowano z pieczołowitością należną monarchom.

– Dziesięć minut temu to samo zobaczyli włoscy *carabinieri*. Rzymska policja odkryła naszą placówkę badawczą, dlatego musimy znaleźć ten przedmiot jeszcze dziś. – Saladyn zrobił krok w stronę małego człowieczka. – Proszę tylko pomyśleć, profesorze: Tytus podbił dla niego Jerozolimę, a mimo to nie wrócił z nim do Rzymu.

Profesor niechętnie wspiał się za Saladynem po rusztowaniu, a następnie wszedł przez łukowaty otwór, w którym jeszcze niedawno tkwiło arabskie okno. Wewnątrz stanęli na gzymsie zawieszonym dwanaście metrów nad posadzką sanktuarium. Profesor rozglądał się jak człowiek porażony majestatem świątyni. Olbrzymie osmiokątne wnętrza wyglądało niczym orientalna wersja Bazyliki Świętego Piotra. Jej monumentalne ściany wyłożone były marmurem i ornamentami zdobytymi w czasie stuleci arabskich podbojów. Promienie słońca wpadały przez ażurowe okna i załamywały się na najcenniejszym skarbie kapiącej złotem bazyliki: Fundamencie Skąły, Al-Sakhra, który był naturalnym wierzchołkiem Wzgórza Świątynnego. Duży skalny występ o powierzchni niespełna trzech metrów kwadratowych chroniło specjalne ogrodzenie oraz czerwone słupki detektorów ruchu.

Młodzi archeolodzy, studenci Cianariego w Rzymie, zawsze dziwili się, że ogrodzony kawałek skały jest cenniejszy od złotej kopuły, która się nad nią rozpościera. „Największy oprawiony w złoto klejnot świata”, mawiał Cianari, mając na myśli trzymetrowy kamień. Było to najświętsze miejsce na ziemi dla trzech religii: chrześcijanie i żydzi wierzą, że patriarcha Abraham z Księgi Rodzaju właśnie tam skrępował swojego syna Izaaka na ołtarzu ofiarnym, a tysiąc lat później Salomon umieścił tam Święte Świętych Pierwszej Świątyni. Uważa się, że w czworokątnym zagłębieniu pośrodku skały spoczywała Arka Przymierza, zanim Babilończycy splądrowali Jerozolimę w 586 roku przed naszą erą. Wedle tradycji muzułmańskiej Mahomet właśnie z tej skały rozpoczął wędrówkę do nieba, a wierni wciąż widzą na niej odcisk kopyta Al-Buraka, konia, który go tam zaniósł.

– Oto Pępek Świata. – Saladyn wskazał otwór w południowym fragmencie skały. – Gdy rzymscy legioniści wtargnęli do Świątyni w siedemdziesiątym roku naszej ery, kapłan przeniósł tamtędy artefakt do tunelu pod skałą. – Arab mówił tak, jakby relacjonował ucieczkę zbiega, która miała miejsce przed kilkoma godzinami.

– Niestety, to co kryje się pod Fundamentem Skały, pozostaje niedostępne – oznajmił profesor, w głębi serca rad, że obsesyjne wysiłki Saladyna wreszcie dobiegną kresu. – Detektory

ruchu uniemożliwiają dostęp do kamienia z powierzchni ziemi.

– Z powierzchni, profesorze, ale nie od góry – zauważył Saladyn.

Ahmed pomógł dowódcy założyć uprząż i umocował linę alpinistyczną w przyrządzie do zjazdów.

– Zamierza pan zejść na dół przez otwór w skale? – spytał Cianari.

W odpowiedzi Saladyn zeskoczył z gzymsu i zakołysał się w powietrzu. Poruszał nogami, jakby zstępował po stopniach drabiny utworzonej z księżycowego blasku. Profesor z przerażeniem i zdumieniem patrzył, jak mężczyzna zjeżdża w półmroku dwanaście metrów w dół i znika w otworze w Fundamencie Skały, bez trudu omijając czerwone promienie laserów, które strzegły jej obwodu. Do uszu Cianariego dobiegło ciche podzwanianie uprząży, gdy Saladyn dotknął stopami podłoża niewidocznej krypty.

Niemal w tej samej chwili usłyszał imamów zbliżających się do zewnętrznych drzwi bazyliki. Pusta uprząż wróciła na gzyms. Dwóch mężczyzn bezceremonialnie chwyciło profesora, wsunęło jego nogi do uprząży i opuszczało w dół w ślad za szejkiem. Zniżając się, profesor zauważył ze zdumieniem, że powierzchnia Fundamentu Skały jest bardziej chropowata, niż sobie wyobrażał. Była pofałdowana niczym powierzchnia wzburzonego morza. Według starożytnej tradycji judeochrześcijańskiej właśnie ten kamień rozrósł się na wszystkie strony i tak powstała ziemia.

Cianari pożałował teraz, że doprowadził Saladyna do samego centrum świata. *Umbilicus orbis terrarum*.

Znalazszy się wewnątrz otworu, mocniej zacisnął palce na uprząży. Niektórzy wierzą, że pod świętą skałą gromadzą się nienarodzone dusze. Odgłos szeptów nagle zmroził profesora do szpiku kości.

Profesor Cianari znikł w otworze w Fundamencie Skały. Oddychał szybciej i płycej, jakby przeczuwał, że na zawsze żegna się ze światem na powierzchni.

#### 4.

Jonathan wysiadł z samochodu na Piazza Navona. Turyści, portreciści i uliczni grajkowie, dzięki którym w ciągu dnia plac tętnił życiem, dawno udali się na spoczynek; pozostały stoliki przytwierdzone na noc łańcuchami. Tuż obok przejechała z sykiem ciężarówka najeżona wielkimi ruchomymi szczotkami.

Adwokat pokonał zalany światłem plac i rozpoznał barokową fasadę rzymskiej siedziby kancelarii. Widział ją na ilustracji artykułu w „Architectural Digest”; czasopismo leżało w holu biura firmy w Nowym Jorku. Kancelaria chlubiła się rzymską filią ulokowaną w czteropiętrowym szesnastowiecznym pałacu zamożnej papieskiej rodziny. W jego komnatach przez setki lat odbywały się przyjęcia, na których gościli papieże oraz najróżniejsi przedstawiciele rzymskiej arystokracji.

Drzwi pałacu, wysokie niczym zwodzony most, miały ponad pół metra grubości i były wykonane z okutej żelazem dębiny. Jonathan chwycił za kołatkę w kształcie wilczego łba z obnażonymi kłami, lecz zanim zastukał, masywne skrzydła poruszyły się i zaskrzypiały, a następnie powoli się rozwarły.

Jonathan wszedł na otoczony kolumnami dziedziniec pałacu, a chrząst żwiru pod jego stopami odbijał się echem od ścian. Jedyne element współczesny znajdował się nad jego głową i był

bardzo dyskretny: stanowiło go czerwone światełko kamery systemu bezpieczeństwa, migające pod marmurową figurą anioła umieszczoną nad łukiem drzwi. Obiektyw śledził Jonathana, gdy ten maszerował przez dziedziniec.

Najnowszy model telefonu BlackBerry zaterkotał w futerale przy pasku adwokata. Na kolorowym ekranie wyświetliła się informacja.

Do: Jonathan Marcus

Od: Bruce Tatton (wspólnik zarządzający, Europa)

Jonathan kliknął na wiadomość.

Piętro. Sala konferencyjna.

Przypomniał sobie tekst starożytnego historyka Swetoniusza, w którym opisuje on, jak rzymscy generałowie wysyłali oficerom polowym plany taktyczne, ukryte w księżkach winogron. Wspólnicy z kancelarii przekazywali rozkazy za pośrednictwem telefonu BlackBerry. Im bardziej zmienia się świat, tym bardziej wszystko zostaje po staremu, skonstatował.

W północnej ścianie dziedzińca pod kolumnadą zostawiono uchylone wielkie dębowe drzwi.

Jonathan wszedł po schodach na piętro i znalazł się w długim holu z rzeźbionymi wnękami, prowadzącym do salonu przerobionego na ekskluzywną salę konferencyjną.

Bruce Tatton stał pod kryształowym kandelabrem, pochylony nad wyglansowanym dębowym stołem. Z dłońmi opartymi o blat wyglądał tak, jakby zmagał się z porywistym wiatrem. Był mocno zbudowanym Amerykaninem w średnim wieku z czupryną starannie ostrzyżonych siwych włosów i grubymi czarnymi brwiami. Muszka z czarnej satyny i jedwabne szelki pod smokiem wskazywały, że został wywołany z ważnego spotkania, by ugasić pożar, który wybuchł w siedzibie firmy.

Miejsce obok Tattona zajmował Andrew Mildren, pracownik kancelarii Dulling and Pierce, niegdyś zatrudniony w Londynie. Siedział przy stole z miną posłusznego teriera. Miał na sobie elegancki szary garnitur w prążki i krawat z granatowej satyny, związany w gruby węzeł Windsor. Mildren był o kilka lat starszy od Jonathana i miał na oku stanowisko wspólnika. W każdej kancelarii jeden pracownik bierze na siebie rolę adwokata diabła. Doskonała obrona producenta broni palnej (sprawa dotyczyła wadliwego układu zabezpieczającego) przeprowadzona przez Mildrena sprawiła, że sąd w Londynie uchylił oskarżenie, motywując werdykt stronniczością oskarżenia. Odnotowano to jako wielki triumf londyńskiego oddziału firmy oraz europejskiego rynku broni palnej. Wieść niosła, że Mildren wzbogacił się o sześciocyfrową premię w funtach szterlingach. Przed stołem konferencyjnym w szklanej gablocie spoczywały dwa starożytne fragmenty marmuru. Były spore, każdy miał około metra szerokości, i pasowały do siebie jak klocki wielkiej układanki.



Bruce Patton odsunął dłonią połę smokingu i okrążył stół, wychodząc Jonathanowi naprzeciw.

– To ty zdobyłeś tę cholerną rzymską nagrodę za pracę historyczną, Marcus – rzekł, nie siląc się na wstępy i oskarżycielskim ruchem wskazując marmurowe kawałki. – Poznajesz je?

Nieco zbyt gwałtownym gestem rozwiązał muszkę, która niedbale zawisła na jego szyi.

Jonathan zbliżył się do kamiennych elementów, nie spuszczać z nich oka.

– To fragmenty *Forma Urbis Romae* – oznajmił.

– Co to znaczy? – warknął Mildren.

– Forma Miasta Rzym, tak brzmi dosłowne tłumaczenie z łaciny. Był to olbrzymi kamienny plan Rzymu o średnicy ponad trzydziestu metrów, wyrzeźbiony w drugiej połowie drugiego wieku naszej ery. – Jonathan przesunął ręką nad rzeźbioną powierzchnią marmuru. – Wciąż widać tutaj ślady ulic starożytnego Rzymu. Te koncentryczne znaki to jakaś arena.

– Trzydzieści metrów średnicy? – odezwał się Mildren. – Cholernie duża mapa.

– Faktycznie – potwierdził Jonathan. – Pokrywała całą ścianę gmachu na rzymskim Forum. Większość dawnych historyków sądziła, że przesadzano, mówiąc o jej rozmiarach. Prawda wyszła na jaw dopiero w okresie renesansu, gdy fragmenty planu zaczęto odnajdować wśród kamieni w ogrodach rzymskich arystokratów i zdobień schodów logii Bazyliki Świętego Piotra.

– Twoja znajomość starożytnej sztuki, Marcus... – Patton skierował wzrok na fresk na suficie – ...stała się istotna dla naszego klienta, który jest właścicielem tego przedmiotu. Potrafisz stwierdzić, którą część Rzymu przedstawiają te kawałki?

– To musiał być jakiś duży amfiteatr, najprawdopodobniej Koloseum. Prostokątne rowki na liniach to bramy.

Mildren przesunął po blacie stołu grubą teczkę. Ta zatrzymała się pod dłonią Jonathana.

– Oto *fascicolo*, czyli dokumentacja sprawy tych fragmentów.

– Jakiej sprawy? – zdziwił się Jonathan. – Nie otrzymałem żadnej informacji.

– Nasz klient anonimowo wypożyczył te fragmenty Muzeum Kapitolińskiemu. – Patton mówił tak, jakby objaśniał przepisy sportowe. – Włoskie Ministerstwo Kultury twierdzi, że zostały one skradzione z archiwów państwowych przed kilkudziesięcioma laty. Biegły ministerstwa jest jednocześnie urzędnikiem ONZ i utrzymuje, że widział te kawałki marmuru w zeszłym roku, opatrzone napisem, który budzi trwogę w sercu każdego kolekcjonera antyków: *Archivio di Stato*, czyli „zbiory państwowe”.

– Gdzie ten człowiek je widział?

– To kobieta. Twierdzi, że zobaczyła je podczas oględzin nielegalnego stanowiska

wykopaliskowego w Jerozolimie, nieopodal Wzgórza Świątynnego.

– Jest pewna, że widziała właśnie te? – indagował Jonathan. – *Forma Urbis* rozpadło się na tysiące kawałków, gdy Gotowie splądrowali Rzym w czterysta pięćdziesiątym piątym roku. Fragmenty rzeźby powędrowały we wszystkie strony starożytnego świata. – Jonathan wiedział, że mniej więcej co dziesięć lat uczeni odkrywają kolejne.

– Urzędniczka zidentyfikowała napis na spodniej stronie fragmentów – odparł Patton.

Jonathan schylił się i zajrzał przez szybę od dołu. Na kamieniu widniały trzy topornie wyryte łacińskie słowa.

– *Tropaeum Josepho Illumina* – odczytał. Jego głos zabrzmiał głucho, gdyż dobiegał spod szklanej gabloty.

– Możesz to przetłumaczyć?

– *Tropae* znaczy „monument” albo „trofeum”. – Jonathan przypomniał sobie pochodzenie tego słowa: starożytni żołnierze oznaczali słupkami miejsce, w którym szala zwycięstwa przechyliła się na ich stronę. – *Illumina* oznacza „odkryty” albo dosłownie „wyciągnięty na światło”. Napis w tym miejscu się urywa, ale można przypuszczać, że było to słowo *illuminatum*. A zatem „Monument odkryty...”.

– Komu? – zapytał Tatton, splatając ręce na piersi.

– Józefowi – odparł Jonathan, prostując się. – Monument odkryty Józefowi.

– Słyszałem, że twoja praca dyplomowa poświęcona była Józefowi Flawiuszowi – rzekł Tatton. – Napisałeś ją w Akademii Amerykańskiej w Rzymie.

– Stare dzieje. Obawiam się, że część badawcza nie była wiele warta.

– Ale nie mniej niż koszt biletu pierwszej klasy z Nowego Jorku, prawda? – zauważył sucho Mildren. – Powiesić twoją marynarkę?

Jonathan chętnie zdjął przemoczoną marynarkę, lecz Mildren nie wziął jej, tylko niewyraźnym gestem wskazał wyściełane krzesło przy stole konferencyjnym. Jonathan podszedł do zabytkowego mebla, ale nie mógł się zmusić do powieszenia mokrej marynarki na ozdobnej tapicerce. Wziął ją pod pachę.

Tatton wziął ze stołu szarą kopertę i zaczął czytać na głos:

– *Stipendium Rhodessa na badania literatury łacińskiej z pierwszego wieku naszej ery i Nagroda Rzymu za pracę podyplomową o starożytnym historyku Józefie Flawiuszu*. – Tatton spojrzął na Jonathana. – Pozwól, że zadam ci kilka pytań.

Jonathan wskazał fragmenty starożytnego marmuru.

– Nie mam pewności, czy ta inskrypcja odnosi się do Józefa Flawiusza. Jest tam tylko część nazwiska, a poza tym czytamy o jakimś monumencie. Józef Flawiusz nie cieszył się zbytnią popularnością w świecie starożytnym. Wątpliwe, by poświęcono mu pomnik.

– Dlaczego? – spytał Mildren.

– Niewielu starożytnych autorów zostało tak zdezawuowanych, jak Józef Flawiusz – wyjaśnił Jonathan. – Był żydowskim generałem broniącym Jerozolimy, ale został pojmany i przekazał Rzymianom informacje, dzięki którym sforsowali mury miasta. Jego reputacji historyka nie pomógł fakt, że cesarz Wespazjan z wdzięczności nadał mu po wojnie rzymskie obywatelstwo. Opis oblężenia Jerozolimy przez Rzymian, który wyszedł spod jego pióra, błyskawicznie stał się „bestsellerem” w starożytnym Cesarstwie Rzymskim. Historycy od wieków stawiają pytanie, czy jego relacja naocznego świadka jest dziełem politycznego realisty czy też zdrajcy. Tak czy

inaczej, wiarygodność tego autora budzi poważne wątpliwości.

– Twój Józef ma wiele wspólnego z oenzetowską urzędniczką, która twierdzi, że widziała te kawałki marmuru – oznajmił Mildren. – Jej wiarygodność także budzi wątpliwości. Kobieta ta utrzymuje, że widziała napis *Archivio di Stato* na tej części zabytku. – Mildren wskazał gładki koniec marmurowej płyty. – Na tych odłamkach nie ma stempla – stwierdził z dumą.

– Ale ta część została dokładnie wygładzona za pomocą piasku – odparł Jonathan. – Zabytkowe artefakty są często poddawane takim zabiegom w celu udaremnienia identyfikacji. To tak jak błyskawiczne przemalowanie skradzionego auta. – Jonathan przyjrzał się dokładniej fragmentom marmuru. – Wygląda na to, że ktoś nawet próbował sztucznie spatynować tę część powierzchni środkami chemicznymi. Dokładne badanie archeologiczne...

– Nie zostanie przeprowadzone – wpadł mu w słowo Tatton. – Nie zajmujemy się tu tajemnicami starożytności. Archeolodzy mogą sobie dochodzić prawdy za wszelką cenę, ale prawnicy już nie. Nas interesuje wyłącznie potwierdzenie wersji zdarzeń przedstawionej przez klienta, to zaś stawia nas wobec jednego pytania: Jak zdyskredytować zeznanie oenzetowskiej urzędniczki, wykazując, że to nie te artefakty widziała rzekomo w Jerozolimie?

– Dlaczego ona i jej zespół nie odzyskali tych fragmentów marmuru tam, na miejscu?

– Było to niemożliwe – odparł Tatton. – Ta kobieta twierdzi, że znalazła je – prawnik machnął lekceważąco ręką – w czymś w rodzaju zakamuflowanego laboratorium badawczego. Jednak kiedy doprowadziła na miejsce oenzetowskich śledczych, jaskinia była pusta. Po zabytkowych przedmiotach nie było śladu. Zniknął nawet jej oenzetowski współpracownik, który został na miejscu.

– Tak do końca nie zniknął – sprostował Mildren. – Śledczy znaleźli na posadzce kawałki jego mózgu. Tylko tyle. Hm... To będzie korzystne – dodał entuzjastycznie.

– Słucham? – spytał Jonathan.

– Mildren ma na względzie perspektywę prawną, rzecz jasna – wyjaśnił Tatton. – Kolega tej kobiety zginął na miejscu, to zaś wywołało u niej wstrząs, który zaburzył jej wspomnienia... – Tatton z niewinną miną wzruszył ramionami. – Cieszy się opinią jednego z najlepszych fachowców ONZ od restauracji zabytków, ale zdaniem wielu jest impulsywna i nadgorliwa. – Tatton wziął do ręki żółte czasopismo i rzucił je na środek stołu. – Sam zobacz.

Był to numer „National Geographic” poświęcony stanowisku wykopaliskowemu na jakimś odludziu w Sri Lance, lecz zdjęcie równie dobrze mogłoby się znaleźć na lśniącej okładce magazynu mody. Opaloną twarz o delikatnych rysach okalała czupryna jasnopopielatych mokrych włosów. Na brązowym ramieniu kobiety wisiał pistolet maszynowy. Wzrok Jonathana przykuł nie wizerunek, lecz widniejący niżej podpis: *Doktor Emili Travia, anioł archeologii*.

– Jej przydomek momentalnie zdobył rozgłos w świecie badaczy starożytności – rzucił pogardliwie Tatton.

– Dobrze się czujesz, Marcus? – spytał Mildren. – Poblądłeś, jakbyś zobaczył ducha.

Myśli Jonathana wędrowały zupełnie gdzie indziej. Widział Emili w akademii siedem lat temu. Zdobyła Nagrodę Rzymu w dziedzinie konserwacji zabytków. Z łokciami opartymi na podłodze obok butelki wina i z uśmiechniętymi oczami pokazywała Jonathanowi, jak należy czyścić płytkę starożytnej rzymskiej mozaiki pokrytą kurzem mającym dwa tysiące lat.

– Tak – odparł. Był tak wstrząśnięty, że ścisnęło go w gardle. – Czuję się świetnie.

– Marcus, chcę, żebyś jutro w czasie rozprawy pomógł nam podważyć zeznanie doktor Travii

– wyjaśnił Tatton. – Liczy się twoja wiedza historyczna. Przyjrzyj się tym kawałkom marmuru i przygotuj fachową notatkę, która pozwoli zaatakować tę ekspertyzę z każdej strony. Nie może być żadnych niespodzianek.

– Jutro?

– Masz mnóstwo czasu na przygotowania – zapewnił Tatton, podciągając rękaw koszuli. Jego zegarek miał na sobie więcej złota niż starożytna bransoleta pogrzebowa. – Siedem godzin. Spotkamy się przed Pałacem Sprawiedliwości przed dziewiątą.

– Tylko nie zapomnij zmienić garnituru – dodał Mildren. – Ten wygląda, jakbyś spał w nim w pralce.

Tatton wziął płaszcz i stanął w drzwiach.

– Zapewne czujesz się trochę dziwnie, wracając po tylu latach do Rzymu. Pięcigwiazdkowy hotel, taki jak Exedra, dostarczy ci odmiennych wrażeń niż te, które pamiętasz z czasów studenckich.

– Zupełnie inne życie.

– Doskonale. – Tatton błysnął zębami w uśmiechu, lecz Jonathan nie potrafił odgadnąć, co się za nim kryje. – *Roma, non basta una vita* – rzucił na odchodnym pryncypał. „Na Rzym jedno życie to za mało”.

## 5.

*Comandante* Profeta odszedł od zwłok kobiety pozostawionych w opuszczonym składzie. Jeszcze raz rzucił okiem na nowoczesny sprzęt techniczny, który tam zgromadzono. Na posadzce leżały plazmowe telewizory z potraskanymi ekranami. Serwery komputerowe zostały przewrócone, w boku jednego z nich, w miejscu, w którym znajdował się napęd płyt CD, ział otwór po kuli.

Ktoś wiedział, że się zbliżamy.

– Wszędzie leżą stare rękopisy! – krzyknął porucznik Brandisi. – Są ich dziesiątki, panie komendancie!

Profeta podszedł do stosu pergaminów. Wyglądały, jakby miały po kilkaset lat. Podniósł jedną kartkę, a potem drugą.

– Józef Flawiusz.

– Kto taki?

– Historyk z pierwszego wieku, który napisał kronikę oblężenia Jerozolimy przez Rzymian – wyjaśnił Profeta, wskazując ilustrację na stronie tytułowej. – Te pergaminy wyrwano z renesansowych odpisów Józefa Flawiusza. Ktoś szmuglował...

Nagle Profeta zamilkł.

– *Comandante?* – odezwał się porucznik Brandisi.

– *Queste sono pagine che scottano* – zauważył Profeta. „Te kartki są gorące”.

– To znaczy ukradzione? – spytał Brindisi.

– Nie, mam na myśli temperaturę – odparł dowódca, kładąc dłoń na środku pergaminu. Ta część kartki była tak rozgrzana i krucha, jakby się paliła. – W tym stosie jest źródło ciepła – stwierdził z niepokojem Profeta.

Wszyscy policjanci natychmiast skupili na nim uwagę. Podczas całej swojej kariery

komendant wykazywał w toku akcji osobliwą intuicję, pozwalającą odzyskiwać skradzione antyki. O działalności jego oddziału nakręcono nawet film dokumentalny, zatytułowany *Nieuchwytny arcydzieła*. W jednym z odcinków podwładni Profety zrezygnowali już z przeszukiwania paczkowni ryb, gdy nagle komendant dźgnął jedną sztukę długopisem. Ku radości dokumentalisty okazało się, że w brzuchach zamrożonych karpi przemycano lśniące bizantyjskie szkło. Tytuł odcinka, *Il Profeta*, był kalamburem, który powstał z nazwiska dowódcy oddziału, oznaczającym proroka. Siwa broda komendanta pasowała do wizerunku starotestamentowego mędrca, lecz Profeta nie lubił przydomku Prorok i nigdy go nie używał. Nie było jasne, czy niechęć ta płynie z lęku przed świętokradztwem, czy też z przesądu. „Nikt nie jest prorokiem za życia”, mawiał często. Świat nielegalnego handlu antykami stawał się coraz bardziej niebezpieczny, nie warto było kusić losu.

Profeta uklęknął przed stosem pergaminów i wsunąwszy rękę między kartki, wyczuł ciepło. Odgarnął je szybkimi ruchami. Pod kartkami ukazały się rozżarzone zwoje starego grzejnika elektrycznego, ukrytego w dziurawym metalowym pudełku.

– Grzejnik! – wykrztusił z ulgą porucznik Brandisi. – Zostawili włączony grzejnik.

Profeta przyjrzał się urządzeniu. Było starego typu i nie miało termostatu. Pod pudełkiem biegły dwie rurki wypełnione przezroczystym płynem, przyklejone taśmą do posadzki. Ciemny ślad cieczy prowadził do ścian, które błyszcząły, jakby pokrywała je skroplona para wodna. Z podłogi tuż obok grzejnika unosiły się wąskie smugi dymu.

Komendant nachylił się i znieruchomiał, poczuwszy ostrą woń.

– Wynosimy się stąd – powiedział spokojnie. Rozpoznał zapach tetramerycznego nadtlenku acetonu, materiału o konsystencji żelatyny. Właśnie z myślą o nim linie lotnicze wprowadziły nowe przepisy, zabraniające wnoszenia na pokład pojemników z płynami o pojemności przekraczającej sto mililitrów. Z kilkuset gramów żelu w ułamku sekundy mogą powstać setki litrów objętości gazu. Ściany były pokryte warstwą tej substancji.

– Ale ciało... – zaczął Brandisi.

– Ruszamy – przerwał mu Profeta, wciąż panując nad głosem. – Ściany są pomalowane środkiem wybuchowym.

Policjanci pospiesznie opuszczali wnętrze składu, komendant szedł na końcu. W drzwiach zatrzymał się i spojrzął na przepiłowaną kolumnę.

Wszystkie dowody ulegną zniszczeniu.

Podbiegł i zanurzył rękę w gęstej żółtawej cieczy. Uniósł dłoń martwej kobiety nad powierzchnię i przycisnął jej palce do kartki manuskryptu, robiąc pięć odcisków w kolorze ochry. Następnie złapał kosmyk włosów, unoszący się swobodnie obok głowy. Potem rzucił się pędem przez pograżony w półmroku magazyn. Wybiegł na dwór, omijając przeszkody w postaci śrub okrętowych upstrzonych pąklami i butwiejących drewnianych szalup. Dwadzieścia lat temu rabuś grobowców strzaskał mu łopatą rzepkę, toteż jego bieg wciąż przypominał galop okulałego wierzchowca.

Policjanci kierowali się w stronę sześciu samochodów, które zabezpieczyły akcję w dokach. Z zewnątrz wyglądały na gruchoty, lecz stanowiły część floty nieoznakowanych aut włoskiej policji. Miały zdezelowane karoserie, lecz były wyposażone w szyby kuloodporne, kewlarowe opony i zmodyfikowane włoskie silniki, pozwalające prześcignąć na drodze najnowsze roadstery



niemieckiej produkcji. Siedzący w środku funkcjonariusze nie mieli pojęcia o tym, że za chwilę magazyn wyleci w powietrze.

Profeta mógł tylko mieć nadzieję, że auta stoją wystarczająco daleko.

Fale zbliżającego się sztormu kołysały holownikami, ich zderzaki z ogromnych opon ocierały się z piskiem o drewniane nabrzeże i zagłuszały krzyki Profety.

– Odjedźcie dalej! – wrzeszczał, wymachując rękami. – Odjedźcie...

Ziemia zadrżała pod jego stopami i komendant zanurkował za niską betonową blokadą, stojącą w poprzek drogi. Podmuch gorącego powietrza przycisnął go do wilgotnego drewna. Szyby w oknach zacumowanych holowników pękły w mgnieniu oka. Na policyjne wozy niczym pociski armatnie posypały się cegły. Mała zardzewiała śruba napędowa wbiła się w drewno centymetry od ramienia Profety.

Komendant uniósł głowę. Z wnętrza składu wydostawały się kłęby szarego popiołu. Na poczerńniętych deskach przystani zadudniły krople deszczu. Lekko oszołomiony Profeta zobaczył czerwone światło sygnalizacyjne statku wycieczkowego, który w oddali przybijał do mołu. Jakieś pół metra przed nim leżała martwa czapla z piórami osmalonymi wybuchem. Komendant z trudem zachował przytomność, choć przed jego oczami przesuwały się obrazy czapli szybujących ponad wyblakłymi od słońca dokami Palermo, które pamiętał z czasów młodości. Po chwili wrócił mu słuch, co wcale

go nie uradowało. Do jego uszu ze wszystkich stron wdarły się chaotyczne okrzyki policjantów i pisk samochodowych opon.

## 6.

Jonathan siedział sam w sali konferencyjnej. Odłożywszy teczkę z dokumentami, wstał, by rozprostować nogi, i podszedł do marmurowych fragmentów.

– W co ty się wpakowałaś, Emili? – mruknął pod nosem.

Przyjrzał się dokładnie inskrypcji wyrytej na spodniej części marmuru. TROPAEUM JOSEPHO ILLUMINA. Poza specyficznymi formami gramatycznymi łacińskich słów napis niczym się nie wyróżniał. Jeśli *illumina* było pełnym słowem, stanowiło przykład niewłaściwego zastosowania trybu rozkazującego. Nie byłby to pierwszy przypadek błędu gramatycznego w ulicznym graffiti.

W głowie Jonathana rozległ się głos Tattona. „Nie zajmujemy się tu tajemnicami starożytności”.

Jonathan wziął marynarkę, wstał i podszedł do rzędu wyłączników umieszczonych obok drzwi.

Prześpij się trochę, Jon, pomyślał, przyciemniając światła. W sali konferencyjnej panował półmrok, paliła się tylko lampa halogenowa zawieszona nad gablotą. Snop światła padał na stół, tu i ówdzie nadając szaremu kamieniowi prawie biały kolor, po czym ześlizgiwał się na podłogę, przechodząc przez szybę gabloty. Tylko bezpośrednio pod dwoma fragmentami marmuru zalegał cień w kształcie konturów kamienia.

Wtem coś zwróciło uwagę Jonathana. Przyklęknął obok gabloty, by spojrzeć nie na marmurowe kawałki, lecz na ich cienie. Część promieni halogenowego światła przedarła się na podłogę w samym środku cienia, rysując na niej linie. Jonathan wstał i od razu zauważył, że

koncentryczne luki na wierzchu *Forma Urbis* pozwalają światłu przenikać przez całą grubość marmuru..

Schylił się jeszcze raz. Dzięki światłu mógł dojrzeć słaby zarys łacińskich liter, które wyglądały tak, jakby wyświetlano je za pomocą małego projektora.

Nagle w Jonathanie odezwał się niemal już zapomniany naukowy dreszcz. Poznał go w czasach studenckich, gdy po tygodniach wysiłków nagle udawało się mu odczytać jakiś postrzępiony papirus.

Teraz zrozumiał sens inskrypcji *Tropaeum Illumina*. Forma rozkazująca. Polecenie oświetlenia, jakby ktoś kazał skierować światło na kamień. Gramatyka napisu nie była przypadkowa, stanowiła instrukcję. „Rzuć światło na kamień”.

Jonathan przesunął gąbłotę o kilka centymetrów, tak by znalazła się dokładnie pod halogenem. Na tle cienia z niezwykle wyrazistością ukazał się nierówny szereg łacińskich liter.

### ERROR TITI

– „Błąd Tytusa” – przetłumaczył Jonathan. Chwycił pióro i zapisał słowa na firmowej chusteczce Alitalii, którą nosił w kieszeni marynarki. – Napis steganograficzny – powiedział na głos, nawiązując do starożytnej sztuki „niewidzialnego” pisania.

Wyszedł z sali i pospieszył korytarzem ozdobionym grafikami Piranesiego, które równie dobrze mogłyby wisieć w muzeum. Usłyszał głos Mildrena rozmawiającego przez telefon i zobaczył, że drzwi jednego z gabinetów są lekko uchylone. Zapukał w nie i pchnął. Mildren siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefoniczny zestaw bezprzewodowy. Dochodziła druga w nocy. Jonathan domyślił się, że prawnik kontaktuje się z nowojorską kwaterą firmy. Różnica czasu wynosiła sześć godzin. Czy ten facet w ogóle sypia? – pomyślał, zatrzymując się w drzwiach.

– Jeszcze zadzwonię – rzucił Mildren, zdejmując słuchawki. – Tak?

– Czy biegły oglądał te fragmenty marmuru? – spytał Jonathan.

– Ty jesteś biegłym – odparł Mildren, opadając na oparcie krzesła i krzyżując ręce na piersi. – Nikt więcej, tak zażyczył sobie klient.

– Wydaje mi się, że wewnątrz kamienia wyryto jakieś... przesłanie. – Jonathan wskazał korytarz. – Pokażę ci, jeśli...

– Wewnątrz kamienia – powtórzył beznamiętnie Mildren.

– Tak, jest wyryte wewnątrz kamienia – oznajmił Jonathan, wręczając prawnikowi pogniecioną chusteczkę, na której naprędce nakreślił trójwymiarowy obraz fragmentu marmuru. – Na stronie wierzchniej przedstawiono jakieś miejsce w Rzymie, tak jak na innych częściach *Forma Urbis*. Jednak nacięcia tworzące obraz Koloseum są głębsze, niż się na pierwszy rzut oka wydaje, pozwalają więc światłu przeniknąć przez marmur. Na odwrotnej stronie ktoś wyrył kreski, które wyglądają naturalnie, ale przepuszczają światło tak, by układały się w kształt liter. Blask lampy halogenowej, padający z góry, pozwala zobaczyć na podłodze słowa *Error Titi*, czyli „Błąd Tytusa”.

– Błąd Tytusa? – powtórzył Mildren, prostując się na krześle. – Co to, u diabła, znaczy?

– Przypuszczam, że jest to nawiązanie do rzymskiego cesarza. Według starożytnych historyków cesarz Tytus miał na łożu śmierci wyrzec słowa: „Popelnilem jeden błąd”.

– Jaki błąd, do cholery?! – Mildren wyraźnie tracił cierpliwość.

– Oto jedna z wielkich niewyjaśnionych zagadek starożytności – odparł Jonathan, wzruszając ramionami. – Zanim Tytus został cesarzem, dowodził rzymskimi wojskami, które oblegały Jerozolimę. Niektórzy historycy powiadają, że Tytus mówił o wkroczeniu do Świętego Świętych jerozolimskiej Świątyni, gdzie nie miał wstępu żaden śmiertelnik.

– To brzmi trochę paranoicznie.

– Brzmiałoby, gdyby nie to, że gdy Tytus zasiadł już na tronie, tętniące życiem rzymskie miasto obracało się w popiół.

– Masz na myśli Pompeje?

– Tak. Wróżbici Tytusa powiedzieli mu, że Bóg Izraela na miejsce swej zemsty wybrał miasto noszące imię drugiego rzymskiego cesarza, który wtargnął do sanktuarium w Jerozolimie.

– Widzę tu tylko jeden błąd, Marcus, mianowicie taki, że marnujesz na takie bzdury swoje płatne godziny. Zobaczylesz przypadkiem jakieś odbicie...

– To przesłanie, które miało ujść uwagi rzymskich cenzorów – tłumaczył Jonathan. – Być może trafiliśmy na najlepszy przykład starożytnej steganografii.

– A co ma z tym wspólnego zapis sądowy?

– Mówię o steganografii, a nie o stenografii. *Steno* to po grecku „wąski”, a *grapho* oznacza „pisanie”. Steganografia to coś innego, to starożytna metoda szyfrowania. Litery ukryte pod woskiem albo wiadomość przemycona w brzuchu zająca. *Steganos* oznacza „tajny przekaz”, „ukryty zapis”. Informacja steganograficzna nie jest po prostu zakodowana. Jej istota polega na tym, że nawet nie wiadomo, czy istnieje.

– Tajne pismo, hm... – rzekł beznamiętnie Mildren, jakby chciał wyciągnąć od Jonathana coś więcej. – Zakodowany przekaz.

– Kodowanie pozwala zakamuflować treść przekazu, lecz mimo to ktoś wie, że przesyłasz wiadomość. Cezar wysyłał do swoich generałów zakodowane wiadomości, w internecie numer twojej karty kredytowej zostaje rozbity na drobne fragmenty i w tej postaci trafia do operatora. Steganografia zapewnia nie tylko prywatność, lecz również tajność, gdyż nikt nie dowiaduje się, że informacja została wysłana. Taka sama zasada obowiązywała w dziewiętnastym wieku, gdy brytyjski szpieg pokazywał pozycje wrogiej artylerii za pomocą rysunków skrzydeł motyli, i taka sama obowiązuje dzisiaj, gdy iracki bojownik umieszcza w tekście plik w formacie MP trzy. Starożytni szpiedzy stosowali jedynie inne metody.

– Starożytni szpiedzy – powtórzył monotonna Mildren.

– Wiem, że brzmi to nieco dziwnie...

– Nieco dziwnie! – krzyknął nagle adwokat. – Jesteśmy w samym środku przesłuchań, a ty majaczysz o spisku starożytnych szpiegów! Jon, na litość boską, masz mówić o starożytnym Rzymie, a nie o zimnej wojnie!

– Setki lat przed powstaniem Rzymu Herodot opisał, jak Grecy tatuowali tajne wiadomości pod włosami na głowach niewolników. Pisali niewidzialne litery za pomocą moczu, wosku, używali kodów liczbowych, by zataić...

– Jedyłą tajną rzeczą jest dla mnie sens tego, co mówisz.

– Sens jest taki, że jeśli oskarżenie zauważy ten napis, może go wykorzystać jako dowód na poparcie zeznań Emili... to znaczy doktor Travii. Ten fakt może wyjaśniać, dlaczego te fragmenty marmuru zostały skradzione, a następnie poddane badaniom w tajnym laboratorium w Jerozolimie. Ktoś w starożytności zostawił na nich informację, a mnie się zdaje, że wiem, kto to

zrobił.

– O ile mi wiadomo, nie zostawił podpisu, do jasnej cholery!  
– A może jednak? – odpowiedział pytaniem Jonathan. – Na spodniej stronie marmuru znajduje się łacińska inskrypcja.

– Pomnik odkryty Józefowi – przypomniał Mildren. – Ty to przetłumaczyłeś.

– Nie Józefowi, lecz przez Józefa. W języku łacińskim to będzie ten sam przypadek. Ta ukryta inskrypcja mogła zostać wyryta przez samego Józefa Flawiusza.

– Mam nadzieję, że twoje argumenty prawne są bardziej spójne. Dlaczego Józef Flawiusz miałby zostawiać jakąś tajną wiadomość? Godzinę temu sam powiedziałeś, że zakolegował się z Tytusem, każdy historyk to potwierdzi.

– Nie każdy – odparł Jonathan. W jego głosie było coraz więcej pewności. – W czasie studiów rozważałem inną możliwość. Józef nie zdradził Jerozolimy, tylko poddał się Rzymianom, by zostać...

– Szpiegiem? – wpadł mu w słowo Mildren.

– Tak. – Jonathan skinął głową. – Szpiegiem Jerozolimy ulokowanym na dworze cesarskim w Rzymie.

Mildren wstał.

– Dam ci pewną radę, Marcus. Powiem to prostymi słowami. Zero tajemności, kodów i szyfrów. Brzmi ona tak: tej rozmowy nigdy nie było.

– Której rozmowy?

– Tej, którą właśnie prowadzimy. Nie wchodziłeś do mojego gabinetu i z całą pewnością nie odkryłeś biblijnych szyfrów na artefaktach, które są przedmiotem sprawy. Nie było żadnych promieni światła przenikających przez marmur. Rozumiemy się?

– Powinniśmy przynajmniej zawiadomić Tattona. Mówił, że nie życzy sobie niespodzianek w czasie rozprawy. – Jonathan wskazał pomiętą chusteczkę. – To kwalifikuje się jako niespodzianka.

– Nie, to tylko chusteczka – sprostował Mildren. – A to, co na niej nabazgrałeś, to figle twojej wyobraźni. Niespodzianka byłaby wtedy, gdyby te litery zauważył ktoś z włoskiego Ministerstwa Kultury.

– Wystarczy im latarka – powiedział Jonathan.

– Latarka – powtórzył Mildren. Jego głos zdradzał ogromne napięcie.

– Otóż to.

– Latarka pozwoliłaby im wykryć błąd gramatyczny w łacińskim czasowniku i odczytać te niedostrzegalne rysy, to chcesz powiedzieć? Równie dobrze wywiad wojskowy mógłby używać dekoderów z pudełek po owsiance. Coś mi się zdaje, że bardzo przeceniasz urzędasów z włoskiego resortu kultury. Nie wspomnę o tym, że diabelnie się starasz wykonać za nich ich robotę! – Prawnik zrobił pauzę i otarł czoło pod rzednącymi włosami. – Na miłość boską, człowieku. – Głos Mildrena załamał się, a Jonathan zrozumiał, jak wiele jego rozmówca postawił na tę sprawę. – Trzeba wiedzieć, w którym miejscu przestać kopać. Nie jesteś już zakichanym doktorantem.

– Tu kryje się słabość naszej obrony. – Jonathan wziął ze stołu chusteczkę. – Oto jedyny powód, dla którego o tym mówię. Jeśli oskarżenie się dowie...

– A więc trzymaj język za zębami – przerwał mu Mildren, przesuwając papiery na biurku. –

Chyba że potrafisz dowieść, iż te rysy to nic nieznaczące graffiti... Dzieło znudzonego mnicha, średniowiecznego żartownisia albo że znalazły się tam przypadkiem. Jeśli posadzimy przy maszynach do pisania wystarczająco dużo małą, któraś z nich wystuka *Hamleta* i tak dalej.

– A jeśli prawda...

– Prawda nie jest twoim klientem! – ryknął Mildren. – Podstawą naszej obrony jest założenie, że w tych kawałkach marmuru nie ma niczego nadzwyczajnego, pamiętasz?! – Adwokat wskazał notatki, które Jonathan trzymał w ręku. – A ty przynosisz mi coś takiego! – Oczywiście Mildrena były szeroko otwarte, jakby Jonathan postawił mu na biurku pudło z materiałem radioaktywnym. Gniew w jego głosie ustąpił miejsca znużeniu. – Co, twoim zdaniem, odkryłeś na tych kamieniach? Zaginioną prawdę, którą tylko ty możesz ocalić? Nie jesteśmy historykami, Jon. Jesteśmy prawnikami.

Mildren wstał i odprowadził Jonathana do drzwi.

– Powiem Tattonowi, że może zadzwonić do ciebie do hotelu. Daj już spokój z tymi dociekaniem. Potrzeba ci snu.

Zbliżał się świt, gdy Jonathan dotarł do hotelu Exedra. Idąc holem przypominającym przedsionek pałacu, patrzył na przezroczystą posadzkę, pod którą widać było ruiny późnorzymskich łaźni zwanych *exedra*. W apartamencie zastał swoją aktówkę, a wyprasowany zapasowy garnitur wisiał w garderobie. Na tarasie także dominował motyw starożytnych łaźni, nad powierzchnią podgrzewanej wody odkrytego prywatnego basenu snuła się para.

Jonathan wyszedł przez rozsuwane szklane drzwi na taras z widokiem na Rzym. Zapach topoli rosnących na placu mieszał się z wonią soli, którą posypano ulice, i mokrego bruku. Tak pachnie zima w Wiecznym Mieście. Uliczni handlarze już rozstawiali swoje straganiki z owocami, jak co dzień szykując się do handlu. Popielate niebo przecinała pomarańczowa smuga.

Za cztery godziny podjedzie firmowy samochód i zawiezie Jonathana do sądu. Musi dokończyć tę cholerną notatkę i trochę odpocząć. Musi oderwać się od przeszłości i wybaczyć sobie błąd, który popełnił przed siedmioma laty. Jednak wspomnienia uparcie powracały: potajemne zejście do katakumb pod osiemnastowieczną rzymską willą, nagłe zniknięcie kolegi ze studiów w kłębach szarego pyłu. To była jego, Jonathana, wina. Komisja dyscyplinarna unieważniła Nagrodę Rzymu i wyrzuciła go z akademii. Wyrzuty niczym Filoktet przez Greków, Jonathan dowiedział się niebawem, że wieść o tragedii rozniosła się po zamkniętym świecie katedr historii klasycznej. Stanowisko wykładowcy na uniwersytecie Columbia nie wchodziło w grę. Nie było dla niego pracy nawet w dwuletnich kolegiach przygotowawczych. W ciągu dwóch miesięcy Jonathan, były laureat Nagrody Rzymu, wylądował w magazynie domu aukcyjnego Sotheby's w Nowym Jorku. Zarabiał na czynsz, wieszając metki na amforach.

Wrócił do apartamentu i wziął notatkę, którą zostawił na stoliku do kawy. Usiadł na kanapie, nie zamknąwszy drzwi balkonowych. Miał nadzieję, że chłodne powietrze go otrzeźwi. Jednak po kilku minutach zmorzył go sen. Kartki leżały na jego piersi, a wiatr poruszał zasłonę w oknie.

## 7.

Saladyn i profesor Cianari kucali w jaskini pod Fundamentem Skały. Jaskinia wyglądała jak zapomniana krypta w podziemiach katedry. Niskie kamienne sklepienie tworzyło łagodny łuk,

wilgotne powietrze przesycala słaba woń butwiejących dywaników modlitewnych. Przez otwór wejściowy slychać było głosy dwóch imamów z Waqf, którzy otwierali drzwi, by dokonać obchodu wnętrza świątyni.

Ścisłe według rozkładu, pomyślał Saladyn, zerkając na zielonkawy wyświetlacz chronografu.

Nakazał profesorowi siedzieć bez ruchu, gdyż każdy szelest rozszedłby się echem po bazylice. Poruszały się tylko palce Saladyna, odwracające wytarte stronicę małej skórzanej książeczki, którą czytał z pieczołowitością należną tekstom religijnym. Nigdy nie zdradził profesorowi jej zawartości, a na okładce widniało jedynie wykaligrafowane arabskie słowo *مقياس*.

Cianari przetłumaczył je, lecz przekład tylko spotęgował jego ciekawość. Słowo oznaczało „gasnący płomień”, a dokładniej „rozżarzoną głównię”. Profesor wiedział, że lepiej nie wypytywać o szczegóły.

– Wielki mufti Hadż Amin al-Husseini zostawił wzgórze pod pieczęcią Waqf na długie lata – szepnął Saladyn – a mimo to imamowie nie podjęli jego badań.

Profesor wiedział, jak wielką estymą Saladyn darzy badania opisane w książce, nie powiedział mu więc, że jej autor, Hadż Amin al-Husseini, wielki mufti Waqf w Jerozolimie, w latach trzydziestych dwudziestego wieku wykorzystał swoją przyjaźń z Hitlerem, by splądrować biblioteki okupowanej przez Niemców Europy w związku ze swoimi dziwacznymi teoriami archeologicznymi. Profesor zauważył, że ilustracje zawarte w książce są fragmentaryczne i daleko im do profesjonalizmu, lecz z każdej stronicy wycierał obsesyjny cel poszukiwań wielkiego muftiego.

– Do *fajr* została godzina, szejku – oznajmił Ahmed. Zrećźnie zsunął się za profesorem do otworu w skale i zdjął z ramienia zielony wojskowy plecak. Mimo że Ahmed Hassan był nastolatkiem, miał wrodzony talent do materiałów wybuchowych, przewyższający umiejętności zawodowych konstruktorów bomb ze Strefy Gazy.

– Pod tą posadzką musi być tunel – zwrócił się Saladyn do profesora. – Podczas rzymskiego oblężenia najwyższy kapłan umknął podziemnym korytarzem, którym odprowadzano krew z ołtarza

Świątyni. – Arab odwrócił się raptownie do Cianariego. – Jaka była wysokość ołtarza nad skałą?

Profesor zerknął do notatek.

– Miał wysokość pięciu *tephachim* – odparł, posługując się biblijną miarą. – Odpowiada to pięciu szerokościom dłoni.

Saladyn zrobił kilka kroków i znalazł się przed rowkiem w skale.

– Tu zaczyna się tunel – oznajmił, dając znak Ahmedowi.

Chłopak wyjął z torby pojemnik z pianką nitrometanową w aerozolu.

– Nie – powiedział Saladyn. – Imamowie usłyszą huk wybuchu.

W oczach Ahmeda błyszczała inteligencja. Szybko złożył w całość sześć długich rurek.

– Co to takiego? – spytał profesor.

– Pistolet ciśnieniowy na hel – odparł Saladyn. – Wystrzał rozbija beton na powierzchni większej niż dziesięć centymetrów kwadratowych.

Cichy młot pneumatyczny, pomyślał profesor. Nie powinien się dziwić, wiedząc, że Saladyn dysponuje najnowocześniejszym sprzętem – telefonami satelitarnymi, urządzeniami akustycznymi do tworzenia cyfrowych map podziemnych korytarzy, a nawet helikopterami. Jednak bardziej od środków technicznych imponowała jego inteligencja. Profesor Cianari slysział,

jak młody człowiek rozmawia bez obcego akcentu w sześciu językach; naturalnie znał także niezliczone odmiany arabskiego. Samodzielnie tłumaczył trudne fragmenty tekstów greckich oraz łacińskich i potrafił cytować je z pamięci, mimo że widział je zaledwie raz.

Ahmed skierował urządzenie na podłoże. Rozległ się tylko jeden dźwięk, syk uwalnianego powietrza, a następnie trzask pękającego kamienia. Rozłupana powierzchnia załamała się pod uderzeniem stopy Saladyna. O dziwo, odłamki nie spowodowały hałasu; wydawało się, że spadły w czeluść bez dna. Skała jest wydrążona, pomyślał profesor. Z otworu wionął wilgotny powiew, niczym oddech żywej istoty.

Saladyn poświecił w głąb otworu. Wykute w kamieniu stopnie prowadziły do skalnej platformy.

Arab zsunął się w dół, a profesor poszedł w jego ślady. Znaleźli się na wąskim kamiennym mostku wiszącym nad ogromną czarną grota.

Saladynowi wydało się naturalne, że teraz, gdy był już u kresu poszukiwań, wilgotna podziemna pieczara przywiedzie mu na myśl wspomnienie początku. Dzieciństwo spędził w domu w Bejrucie, pod którym znajdowała się ciemna piwnica wymurowana z bloków szlaki. Tam wbrew woli jego matki dziadek po raz pierwszy pokazał mu pociemniałe kartki książki, która zaprowadziła go aż do tego miejsca.

„Oto historia”, rzekł dziadek. Saladyn pamiętał, jak stojąc w brudnej piwnicy, stuka zakrzywionym palcem w gruby welinowy tom księgi Józefa Flawiusza. Czytał wnukowi opis oblężenia Wzgórza Świątynnego przez Rzymian. Tłumaczył tekst z łaciny na arabski, sprawiając, że przed oczami arabskiego chłopca ożywał świat z pierwszego stulecia naszej ery. Opisał scenię obleganej w 70 roku Jerozolimy: tysiące rzymskich legionistów, włóczników, płonące ogniska i drewniane katapulty ustawione wokół murów Jerozolimy, które przez setki lat pozostawały niezdobyte. Rzymski generał Tytus Flawiusz nie podbijał Jerozolimy z pobudek politycznych, tłumaczył dziadek, gdy zmierzali do pobliskiego meczetu. Zdobył ją, ponieważ trawił go strach. Jego wróżbici oznajmili mu, że we wnętrzu Świątyni Jerozolimskiej kryje się potęga większa niż jego własna, potęga, którą musi złamać. Kiedyś Saladyn zasnął na kolanach dziadka. Obudziwszy się, zobaczył, że dziadek nie czyta, tylko kręci głową. „Błąd Tytusa”, wymamrotał starzec, przesuwając dłonią po kartce. Dopiero po latach Saladyn zrozumiał, że dziadek nie ubolewał nad klęską rzymskiego cesarza, lecz nad własną.

Po śmierci dziadka Saladyn często zaglądał do zakurzonych tekturowych pudeł, dopasowując do siebie jego rozproszone opowieści, zarówno starożytne, jak i współczesne. Pożółkłe zdjęcia z gazet wzbudziły w nastoletnim Saladynie radość, którą może wywołać odkrycie prawdy w baśni: fotografie dziadka z wysokimi rangą niemieckimi oficerami w Berchtesgaden, zdjęcie z pierwszej strony włoskiej gazety, na którym Mussolini pokazuje dziadkowi rzymskie ruiny. „Sławny”, sapał starzec, wskazując palcem podpis pod fotografią: Wielki mufti Jerozolimy.

Saladyn stopniowo dowiadywał się, dlaczego matka wyprowadzała się z Kairu, Bagdadu, a następnie z Bejrutu. Jej ojciec został skazany przez jugosłowiański sąd wojskowy za zbrodnie wojenne: zwerbował do SS prawie dwadzieścia tysięcy muzułmanów. Z notatek dziadka Saladyn dowiedział się, że starca poszukiwali agenci izraelskiej tajnej służby. Większość zapisków była chaotyczna, nie dawało się rozróżnić prawdziwych informacji od zmyślnych wyobraźni.

Jednakże na dnie ostatniego kartonowego pudła, pod zabazgranymi kartkami, leżał mały

skórzany notes pełen cytatów z Józefa Flawiusza i wskazówek prowadzących do rozmaitych miejsc, takich jak poddasze meczetu w Paryżu czy magazyn muzeum archeologicznego w Bagdadzie. Wszystkie one kojarzyły się Saladynowi z opowieściami dziadka, które ten snuł, siedząc z plecami opartymi o pustaki i skubiąc białą jak kłębki bawełny brodę. Dziadek poszukiwał jakiegoś przedmiotu, którego nie zdobyli ani greccy, ani rzymscy żołnierze, uświadomił sobie Saladyn. Miał sobie za złe, że nie uwierzył wtedy starcowi. Mały notatnik dowiódł prawdziwości wszystkiego, co dziadek opowiadał. Okazał się szyfrem jego duszy.

Minęły lata i oto Saladyn stał obok profesora Cianariego, rozglądając się po podziemnej grocie, którą przed chwilą odkryli. Cel jego poszukiwań był bliski jak nigdy dotąd.

– Wzgórze Świątynne otaczało pięćdziesiąt tysięcy rzymskich żołnierzy – oznajmił, odwracając się do profesora. – Kapłan wymknął się tędy, tym akweduktem.

Snop światła latarki wy dobył z mroku wąski kamienny akwedukt, biegnący w ciemność. Zdawało się, że unosi się wśród ciemnej czeluści.

– I zabrał ze sobą przedmiot, który doprowadził do upadku rzymskiego cesarza.

## 8.

Sznur samochodów na moście Palatino poruszał się w złotym tempie. Jonathan wbiegał po dwa stopnie naraz marmurowymi schodami Pałacu Sprawiedliwości. Neoklasykistyczna fasada olbrzymiego gmachu, dwukrotnie dłuższa niż budynek amerykańskiego Sądu Najwyższego, ciągnęła się wzdłuż brzegu Tybru niczym świecka świątynia.

W holu sądu Jonathan oddał paszport i przeszedł przez detektor metalu. Łukowato sklepiony marmurowy westybul, wyższy niż nawa katedry, zdobiły pięciometrowe posągi sławnych rzymskich prawodawców, poczynając od Cycerona, a na włoskich parlamentarzystach kończąc.

Jonathan zobaczył grupę ludzi, która na drugim końcu długiego holu wchodzi do sali sądowej. Ostatnia szła młoda kobieta w szarym wełnianym kostiumie, jedwabnej kremowej bluzce i stylowych okularach w czarnych oprawkach. W tym stroju wyglądała jak pierwsza z brzegu młoda pracownica kancelarii Dullinga w Nowym Jorku, lecz Jonathan rozpoznał ją w jednej chwili. Upięte w luźny kok blond włosy były krótsze niż te, które zapamiętał, a dopasowany kostium w niczym nie przypominał rozciągniętych swetrów, które nosiła w Akademii Amerykańskiej. On jednak nie miał wątpliwości, że jest to *dottoressa* Emili Travia.

Jakby wyczuwając jego spojrzenie, Emili spojrzała w stronę Jonathana. Ten zatrzymał się niemal w tym samym momencie. Dzielilo ich znacznie więcej niż długość marmurowego holu. Twarde

spojrzenie Emili powiedziało mu, że jego udział w procesie nie stanowi dla nikogo tajemnicy. Żadne nie wypowiedziało słowa. Wytrzymała spojrzenie, jakby usiłowała przeniknąć jego przeszłość i znaleźć źródło upadku etycznego, który skłonił go do wzięcia tej sprawy. Nawet z tak dużej odległości Jonathan zauważył, że Emili lekko przygryza wargę. Zawsze to robiła, gdy coś rozważała. Miała duże usta, których wielkość podkreślały delikatne rysy. Jej uroda była jeszcze bardziej uderzająca i onieśmielająca, niż pamiętał. Nie zmieniając wyrazu twarzy, Emili weszła do sali.

Sala była tak imponująca, jak sobie wyobrażał. Wysokie palladiańskie okna, z których rozpościerał się widok na Rzym, oddzielone były pilastrami. Jedyny nowoczesny akcent



stanowiła kabina dla świadka, wykonana z kuloodpornego szkła. Jonathan domyślił się, że zainstalowano ją z myślą o procesach członków mafii. Wykonane z ciemnego drewna stanowisko świadka, z którego miano dzisiaj korzystać, stało koło ławy.

Stolik obrony znajdował się obok poręczy galerii. Tatton już tam siedział. Mildren zaciekle przepisywał do dużego notesu uwagi Jonathana, z których Tatton miał korzystać w czasie przesłuchania. Po przeciwnej stronie sali prawnicy z włoskiego Ministerstwa Kultury ustawili statyw ze zdjęciami licznych inskrypcji na fragmentach *Forma Urbis*, powiększonymi do rozmiaru plakatu. Za nimi i za wypolerowanym sterem z drewna orzechowego siedział drobnej postury włoski sędzia w starych plastikowych okularach. Kosmyki jego rzadkich ciemnych włosów wyglądały jak metalowe druty. Bogato zdobiony drewniany tron nie mógł rozwiać wrażenia, że zasiada na nim przytłoczony obowiązkami księgowy.

Asystent sądowy podał Jonathanowi czarny płaszcz podobny do sędziowskiej togi oraz *fiocco*, biały koronkowy fular. Wszystko razem kojarzyło się z ryciną przedstawiającą angielską Izbę Lordów w siedemnastym wieku. Gdy Jonathan uporał się wreszcie z *fiocco*, wyglądał jak mężczyzna ze śliniakiem na szyi.

– Prawnik Ministerstwa Kultury, Maurizio Fiorello – szepnął Mildren, gdy Jonathan zajął miejsce przy stoliku. Wskazał niskiego mężczyznę z zaczesanymi na bok włosami, który wyglądał toż. Wyzierał spod niej pomięty garnitur oraz trykotowy krawat.

– To jest Fiorello? – zdziwił się Jonathan. Maurizio Fiorello słynął w kręgach handlarzy antyków z umiejętności wydzierania eksponatów z prywatnych zbiorów i muzeów. Przez wzgląd na jego reputację Jonathan spodziewał się bardziej imponującej postaci. Być może świadomy zamysł kancelarii polegał na tym, by pospolitej aparycji Fiorella przeciwstawić arystokratyczną elegancję Tattona i pokazać sądowi, jakiemu adwersarzowi mają stawić czoło włoskie siły ochrony zabytków. Rywalizacja między Fiorellim a Tattonem wykroczyła daleko poza wygląd zewnętrzny. Fiorello określił kiedyś współnika z kancelarii Dullinga mianem „amerykańskiego *consigliere* zorganizowanego nielegalnego handlu zabytkami”.

– *Silenzio!* – zawołał woźny, potrząsając dzwonkiem.

Sędzia bez żadnych wstępów wziął do ręki leżące na stole papiery.

– Artykuł czterdziesty czwarty Ustawy z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku o ochronie dziedzictwa narodowego, zabraniający nielegalnego wywozu obiektów historycznych z terytorium Republiki Włoskiej. Ministerstwo Kultury twierdzi, że artefakty z kolekcji pozwanego należą do zbiorów państwowych. Czy to prawda, *signore* Fiorello?

– Tak, to prawda, *magistrato*. – Fiorello wstał, po raz ostatni zerkając na notatki, które trzymał w ręku. Wyszedł na środek sali i złożył je na drewnianym pulpicie przed sędzią. – Czy mogę wezwać pierwszego świadka?

Sędzia skinął głową, opierając się na krześle.

Na dźwięk swojego nazwiska Emili wstała z krzeselka obok Fiorella i zajęła miejsce w *banco dei testimoni*. Zdjąwszy okulary, spłotła dłonie. Tchnęła opanowaniem i profesjonalizmem. Jonathan przypomniał sobie, kiedy ostatni raz był z nią sam na sam. Siedziała na skraju jego łóżka w akademii. Była rozebraną do pasa i z uśmiechem czytała mu po łacinie ustęp poematu miłosnego Owidiusza.

Teraz, trzymając palce na nosie i robiąc notatki, usiłował zachowywać się racjonalnie.

– To po prostu nie do wiary – powiedział cicho.

– Ja też nie mogę uwierzyć – rzucił sarkastycznie Mildren. – Powinniśmy się cieszyć, że seksapil nie stanowi o wartości zeznania.

– Proszę podać nazwisko i tytuł naukowy – zaczął Fiorello.

– Doktor Emili Travia. Zastępczyni dyrektora Międzynarodowego Centrum Konserwacji Zabytków w Rzymie.

Pytania zadawane doktor Travii i jej odpowiedzi miały za zadanie dowieść, że jest ona wybitnym znawcą swojej dziedziny: tytuł doktorski La Sapienza, Nagroda Rzymu nadawana osobie narodowości włoskiej raz na dwa lata przez Akademię Amerykańską w Rzymie, kolejne stopnie kariery w Międzynarodowym Centrum Konserwacji Zabytków.

Fiorello przeszedł następnie do charakterystyki prac wykonywanych przez jej zespół konserwatorów w Jerozolimie. Poprosił doktor Travię, by opowiedziała, na czym poległo badanie Wzgórza Świątynnego.

– W dwa tysiące siódmym roku mój zespół przybył z Rzymu do Jerozolimy w związku z informacjami, że działalność Waqf prowadzi do archeologicznej dewastacji terenu pod Wzgórzem Świątynnym.

– Proszę wyjaśnić, czym jest Waqf.

– Nazwa pochodzi od słowa Al Waqf, które w dosłownym tłumaczeniu znaczy „zachować”. Waqf to zarząd powierniczy o charakterze religijnym, który od tysiąc dwieście czterdziestego siódmego roku ma w swojej pieczy Wzgórze Świątynne w Jerozolimie. Do naszej placówki dotarły informacje o nielegalnych wykopaliskach, a podczas wstępnych oględzin stwierdziliśmy obecność stosów gruzu w laskach oliwnych w dolinie Kidron u podnóży Wzgórza Świątynnego.

– Emili opowiedziała, jak wraz ze współpracownikami

przekopała gruz, odnajdując w nim odłamki ceramiki z epoki biblijnej i strzaskane amulety krzyżowców. Mówiła tonem sanitariuszki, która opisuje dymiące pobojowisko pełne ciał poległych. – Zakonnicy z pobliskiego klasztoru potwierdzili, że buldożery zrzucały gruz w środku nocy.

– Skontaktowała się pani z Waqf?

– Tak. Zgodnie z przewidywaniami, nie otrzymaliśmy od nich żadnej odpowiedzi.

– Spodziewała się pani, że pani wysiłki zostaną zignorowane? – Fiorello udał zdziwienie.

– Władze Waqf sprzeciwiały się temu, by innowiercy odwiedzali niektóre części Wzgórza.

Podobnie postępowali kapłani Manchu w cesarskich Chinach, nie pozwalając śmiertelnikom wkraczać na teren Zakazanego Miasta. Ja i doktor Lebag wiedzieliśmy, że jeśli chcemy zobaczyć, co dzieje się pod Wzgórzem, musimy działać bez zezwolenia.

– Doktor Szarif Lebag był członkiem pani ekipy? – Fiorello podszedł do świadka. Był to sygnał, że zbliża się do najistotniejszej części zeznania. Położył dłoń na poręczy, jak gdyby chciał wesprzeć doktor Travię, która musiała opowiedzieć o swoim zamordowanym koledze.

– Doktor Lebag przebywał w Jerozolimie od paru miesięcy. – Emili przelknęła ślinę. – Jego znajomość arabskiego i muzułmańskich tradycji pomagała w zdobywaniu informatorów. Sklepiarz ze Starego Miasta w dzielnicy muzułmańskiej powiedział mu, że nieopodal jego straganu na rynku korzennym może się znajdować nielegalne wykopalisko. Mężczyźni ze świdrami i kilofami wchodzili przez nieużywane zardzewiałe drzwi naprzeciwko jego kramu. Udałam się na rynek z doktorem Lebagiem i obejrzałam te drzwi. Wyglądałyby na nieużywane od wieków, gdyby nie jeden szczegół.

– Jaki mianowicie?

– Zardzewiała metalowa klamka była zaopatrzona w elektroniczne czujniki umożliwiające rozpoznawanie odcisków palców.

– *Magistrato!* – odezwał się Tatton. – Tło owych zdarzeń jest intrygujące, ale w tej sprawie chodzi o jeden przedmiot. Czy istnieje jakiś związek...

– *Magistrato*, pokazując, ile trudu sobie zadano, by zataić istnienie tych fragmentów marmuru, chcę udowodnić ich ogromną wartość.

Sędzia skinął głową na znak, że pozwala kontynuować przesłuchanie.

– Skoro owe nieużywane drzwi zostały zabezpieczone w taki sposób, to zapewne nie zdołali państwo przez nie wejść? – podjął Fiorello.

– Nie, ale zdobyliśmy mapę Jerozolimy z zaznaczoną podziemną ulicą biegnącą pod rynkiem korzennym i drzwiami. Nazajutrz rano poszliśmy na rynek. – Emili odtwarzała sobie w pamięci obrazy tamtych wydarzeń. – Ubraliśmy się jak turyści, do podartych plecaków włożyliśmy latarki z litowymi bateriami, linę wspinaczkową oraz łopaty. Informator Szarifa, sklepikarz, pozwolił nam usunąć kamienny dren spod stolika w straganie. Starożytna ulica znajdowała się dość głęboko, musieliśmy więc spuścić się do niej po linie. Okazało się, że współczesna Jerozolima wspiera się na ogromnych filarach. Światło z laterek ledwie sięgało sklepienia.

– Tam zobaczyli państwo te fragmenty marmuru?

– Nie od razu. Na końcu ulicy kryła się grota wzmocniona stalowymi belkami. Był tam nowoczesny sprzęt archeologiczny, między innymi szklana gablota z regulacją wilgotności, przeznaczona na papiirusy i pergaminy. Na ścianach wisiały cyfrowe obrazy stron renesansowych greckich i łacińskich rękopisów z fiszkami, na których podano daty powstania dzieł.

– Czy fiszki zawierały identyfikację źródła pochodzenia tekstu?

– Tak. Na wszystkich fragmentach widniały przepisane przez skrybów urywki dzieł Józefa Flawiusza. Pośrodku pomieszczenia stał szklany stół, na którym leżały kawałki marmuru oświetlone lampą światłowodową. Szarif i ja od razu rozpoznaliśmy te artefakty. Były to fragmenty *Forma Urbis*... – Doktor Travia wskazała dłonią zdjęcie przedmiotów, umieszczone na statywie. – Dokładnie te fragmenty.

– Czy były na nich znaki identyfikacyjne? – spytał Fiorello.

– Tak, miały nadruk *Archivio di Stato*.

– Rzymskie Zbiory Państwowe – oznajmił dobitnie Fiorello. – Zobaczyła pani na nich jeszcze jedną inskrypcję, prawda?

– Szarif... to znaczy doktor Lebag... rozpoznał inskrypcję na spodniej stronie.

– Jaka to inskrypcja?

– Ta sama, która znajduje się na tych fragmentach. *Tropaeum Josepho Illumina*.

– Co stało się później, pani doktor?

– Z góry dobiegł jakiś huk. To był jeden strzał. Przez kratkę uliczną widzieliśmy, że na rynku zapanował chaos. Wróciliśmy z Szarifem do miejsca, w którym zeszliliśmy pod ziemię. Szarif wciągnął mnie na górę dzięki linie, którą przytwierdziliśmy do straganu. – Emili ponownie przełknęła ślinę. Starła się panować nad sobą. – Wydostałam się z drewnianego drenu i zobaczyłam nogi sklepikarza. Kiedy wygramoliłam się spod blatu... – Emili zamilkła na chwilę. – Siedział przy stoliku, zgięty wpół, z szeroko otwartymi oczyma. – Doktor Travia zamknęła oczy, przywołując w pamięci widok głowy sklepikarza, z której krew spływała prosto na stos żółtej musztardy.

Podniosła wzrok na Fiorella. – To ostatni obraz, który zapamiętałam. Potem dostałam cios w głowę i straciłam przytomność.

– Gdzie się pani ocknęła?

– W szpitalu franciszkańskim przy Bramie Damasceńskiej. Miałam silne wstrząśnienie mózgu, pielęgniarka nie chciała mnie wypuścić. Dopiero po czterech godzinach urzędnik z izraelskiego Zarządu Starożytności wypisał mnie ze szpitala. Nikt nie miał wiadomości od doktora Lebaga. Natychmiast wyruszyliśmy do dzielnicy muzułmańskiej, by go odszukać.

– Udali się państwo do straganu?

– Tak, ale po zabitym sklepikarzu i jego stoliku nie było już ani śladu. Stragan, pod którym zeszliśmy z Szarifem do podziemi, był opuszczony. Właściciele sąsiednich kramów twierdzili, że od kilku dni nikt do niego nie przychodził. Pokazałam urzędnikowi zardzewiałe drzwi, ale krzemowe czujniki także znikły. Drzwi wisiały krzywo na zawiasach i można było przez nie wejść.

Emili przypomniała sobie, jak zbiega w dół po stromych kamiennych schodach, czując coraz silniejszy skurcz mięśni. Gnana strachem, wpadła do podziemnej groty, do której kilka godzin wcześniej trafiła z Szarifem. Na cały głos krzyczała jego imię, lecz odpowiadało jej tylko echo.

– Co pani tam zastała?

– Pomieszczenie było puste. Długie stalowe stoły znikły, podobnie jak kopie rękopisów na ścianach. Nie było także gabloty ani marmurowych fragmentów. Wszystko po prostu zapadło się pod ziemię, pomieszczenie zostało kompletnie ogołoczone...

Emili zamilkła nagle, przypominając sobie przerażającą, grubą smugę krwi na ziemi, rozmazaną niczym czerwona farba. Przez uliczną kratkę wpadało wystarczająco dużo światła, by można było dostrzec leżącą na ziemi grudkę rozmiarów kostki do gry, wyglądającą jak fragment białego marmuru.

– Był naprawdę mały – powiedziała, przypominając sobie odłamek leżący u jej stóp. Lśnił, jak gdyby ktoś oczyścił go żywicą konserwującą. Pod wpływem jakiejś wewnętrznej siły Emili schyliła się i podniosła go. Odwróciwszy odłamek, zobaczyła kępkę czarnych włosów. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, a potem nogi się pod nią ugięły i runęła na ziemię. – Po dochodzeniu oenzetowscy śledczy stwierdzili, że jest to odłamek kości Szarifa – podjęła po chwili Emili. – Pochodził z tylnej części czaszki, z miejsca, przez które wyszła kula.

## 9.

W kwaterze głównej Wydziału Ochrony Dziedzictwa Kulturowego na początku osiemnastego wieku mieściło się kościelne kolegium, lecz teraz późnobarokowy budynek zwany był przez funkcjonariuszy tej elitarnej jednostki Komendą. Promienie porannego słońca wpadały ukośnie do sali konferencyjnej na piątym piętrze. Sylwetka komendanta Profety ukazała się na tle niebieskawego światła lampy projektora. Zraniona wczoraj przez rzucony siłą wybuchu odłamek drewna ręka była zabandażowana. Funkcjonariusze siedzieli w milczeniu wokół stołu, ich mundury wciąż były ciemne od popiołu.

Profeta pomasował sobie ramię. Sanitariusze odstawili go do szpitala, a tam lekarze przez całą noc prześwietlali go od stóp do głów niczym greckiego *kourosa* podejrzanej proveniencji. Nie miał nic złamanego, lecz medycy wzbraniali się przed wypuszczeniem policjanta; chcieli go dalej

maglować. Profeta się nie dał i o świcie wrócił do Komendy. Wiedział, że czas ucieka.

Laboratorium nie dostarczyło jeszcze żadnych informacji o znalezionych w starym składzie zwłokach. Rozładowując napięcie, które tak bardzo dało im się we znaki, policjanci zaczęli tworzyć legendę wokół wczorajszego odkrycia. Profeta usłyszał, jak jeden z nich nazywa kobietę „Księżniczką z Mola”. Młodszy robili zakłady o jej wiek.

Na ekranie ukazało się pierwsze zdjęcie: powiększony obraz kobiecych zwłok zanurzonych w gęstym płynie wewnątrz starożytnej kolumny. Wyraziste cyfrowe zdjęcie, zrobione od strony stóp, sprawiło, że kobieta wyglądała niemal jak żywa.

– Wczoraj późnym wieczorem obok nieużywanego doku handlowego w Civitavecchia nasz oddział znalazł zwłoki płci żeńskiej. Wiek nieco przed czterdziestką, śmierć prawdopodobnie spowodowały rany cięte na tułowiu. Sprawcom zależało, by ofiara wyglądała jak kobieta poddana starożytnej ceremonii pogrzebowej, doskonała imitacja dziewczycy korynckiej.

– Dziewicy korynckiej? – powtórzył Brandisi.

– W starożytności zdobywcy miast prowadzili kobiety pojmane na wojnie do ich miasta i dosłownie grzebali je we wnętrzach kolumn. Ofiary nazywano dziewczycami korynckimi.

– Barbarzyństwo – mruknął któryś z policjantów.

– To nie przypadek, że nawet obecnie kolumny korynckie kojarzą się ze zwojami tog kobiet, które zostały w nich pochowane, a kapitele naszych kolumn jońskich naśladują fryzury kobiet z pierwszego wieku – ciągnął *comandante*.

Profeta wiedział, że wiele dzieł architektury klasycznej kryje w sobie sekrety związane z kultami religijnymi. Gmachy uniwersytetów zdobią kształty jaj, strzał i pazurów. Każdy starożytny Rzymianin rozpoznałby w tych ornamentach symboliczne ślady pogańskich ofiar.

– Czy mogło to być zabójstwo na tle religijnym? – spytał jakiś funkcjonariusz. – Coś w rodzaju posuniętego za daleko rytuału inicjacyjnego?

– Nie można tego wykluczyć – odparł Profeta. – Ktoś bardzo dokładnie zbadał praktyki pogrzebowe starożytnych, zgłębił nawet tajniki mazideł stosowanych w starożytnym Rzymie. Nigdy nie widziałem oszustwa lepiej przygotowanego pod względem naukowym. Następny slajd.

Profeta skinął głową w stronę zdjęcia, ukazującego bogato zdobione kartki pergaminu rozrzucone na posadzce magazynu.

– Znaleźliśmy ich dziesiątki, pochodzą z rękopisów liczących setki lat. Większość byłaby cenna, szczególnie ta karta z piętnastego wieku, zapisana po łacinie. – Profeta dotknął wskazówką ekranu. – Byłaby, gdyby ktoś nie postarał się, by praktycznie pozbawić ich wszelkiej wartości.

Na ekranie ukazało się powiększenie stronicy. Tekst upstrzony był nawiasami wokół starannie wykaligrafowanych liter.

– Zaznaczono fragmenty tekstu, najwyraźniej prowadząc jakieś badania. Czy ktoś zauważył, że wszystkie stronicy są kopiami tego samego starożytnego rękopisu?

Nawet w chwilach napięcia *comandante* wykorzystywał każdą okazję, by wzbogacić wiedzę i umiejętności swoich podwładnych. Prowadził nieustającą edukację z historii starożytnej, jego wykłady stały się sławne wśród członków jednostek Interpolu zajmujących się ochroną zabytków.

Profeta podszedł do tablicy i dużymi drukowanymi literami napisał:

## JÓZEF FLAWIUSZ, 37 N.E., ok. 95 N.E.

– Józef Flawiusz – rzekł, wskazując ilustrowane kartki z rękopisów, pokazane na zdjęciach. – Zwróćcie uwagę, że pierwsza litera na każdej stronie została ozdobiona małym wizerunkiem płonącego miasta. Są to dymiące wieżyczki murów Jerozolimy po rzymskim oblężeniu. To właśnie Józef Flawiusz napisał wzorcową relację naocznego świadka zdobycia Jerozolimy przez wrogie wojska, zatytułowaną *Bellum Iudicum*, czyli *Wojna żydowska*. Kronika momentalnie stała się „bestsellerem” starożytności i była przepisywana przez skrybów jeszcze setki lat później. W okresie renesansu dzieła Józefa Flawiusza pod względem liczby czytelników na Zachodzie ustępowały jedynie Biblii. Kartki, które znaleźliśmy w tym magazynie – Profeta znów wskazał ekran – zostały wydarte z bezcennych egzemplarzy dzieł Józefa Flawiusza, zarówno średniowiecznych, jak i renesansowych. Wyszły spod ręki różnych skrybów, napisano je w różnych językach i stuleciach, lecz wszystkie są przekładami tekstu tego samego historyka z pierwszego wieku naszej ery. Wygląda na to, że ktoś porównywał wersje jego kroniki pochodzące z różnych okresów, żeby coś w tym tekście znaleźć.

Profeta zawiesił głos i rozejrzał się po sali.

– A jeśli sprawcy przestępstwa badają księgi starożytnego dziejopisa Józefa Flawiusza...

Funkcjonariusze dobrze znali metody działania swojego szefa, toteż nie trzeba im było niczego dwa razy mówić.

– To i my musimy – dokończyli chórem.

Komendant znów skierował uwagę na zdjęcie rękopisu wyświetlone na ekranie.

– Co jeszcze wiemy o tym autorze?

– *Ratto!* – zawołał Brandisi, wywołując śmiech, który tego dnia był przez policjantów szczególnie mile widziany. Określenia „szczur” używały mafijne rodziny z Torre del Greco, przedmieść Neapolu. *Carabinieri* od dawna toczyli z nimi zażartą wojnę.

– Zdrajca – potwierdził Profeta, kiwając głową. – Tak się powszechnie uważa. Józef Flawiusz błyskawicznie zmienił się z jeńca wojennego w obywatela Rzymu, co dowodzi, iż po kapitulacji dobił targu ze zwycięzcami. Jeszcze bardziej tajemnicze są okoliczności, w jakich się poddał, opisane na widocznej tu stronie rękopisu.

– Ma pan na myśli fakt, że reszta żołnierzy z oddziału Józefa wybrała śmierć zamiast niewoli? – spytał Brandisi.

– Otóż to – przytaknął Profeta. – Wyobraźcie sobie, że Józef Flawiusz był generałem, którego oddział miał powstrzymać marsz Rzymian w stronę Jerozolimy. Jednak kiedy wrogowie oskrzydłili oddział, Józef i jego ludzie wpadli w pułapkę. Podwładni Józefa zagrozili, że zabiją go, jeśli skapitułuje, więc zaproponował zbiorowe samobójstwo. Ciągnęli losy, aby ustalić, kto ma zabić następnego i tak dalej.

Profeta wskazywał laserowym wskaźnikiem kolejne wersy, tłumacząc je na bieżąco:

*„Zabijcie mnie, rzekł Józef Flawiusz, lecz wpierv ciągnijmy losy i zabijajmy jeden drugiego po kolei. Kto wyciągnie pierwszy los, zginie z ręki numeru drugiego, i tak dalej zgodnie ze wskazaniem fortuny...”. Każdy żołnierz po kolei nadstawiał gardło następnemu, a ten je podrzynał. Lecz Józef – bądź to za sprawą boskiej opatrności, bądź zwykłego szczęścia – pozostał żywy...*

– Tak doszliśmy do największej zagadki Józefa Flawiusza – podjął Profeta. – Jak to możliwe,

że przeżył jako ostatni?

– Kojarzy mi się to z problemem Józefa w informatyce – odezwała się porucznik Lori Copia, kierowniczka działu technicznego w jednostce Profety.

– Na czym on polega? – zainteresował się komendant.

– Jest to zagadnienie z dziedziny ochrony komputerowych baz danych. Większość zapór ogniowych tworzy się tak, by, nie przepuszczały nieautoryzowanych kodów. Problem Józefa powstaje, gdy nieautoryzowany kod odkrywa schemat eliminacji stosowany w zaporze, i dzięki temu za każdym razem może jej unikać.

Profeta wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To współczesne określenie nawiązuje do samej istoty kontrowersji wokół Józefa Flawiusza. W jaki sposób Józef wciąż wyciągał właściwy los? Na tym właśnie polega pierwotny problem Józefa.

Ekran projektora z furkotem powędrował do góry, przyciemnione światła stopniowo zablęskły z normalną siłą.

– Skoro już mowa o technice, porucznik Copia. Czy ze strzaskanych komputerów w magazynie udało się odzyskać jakieś informacje?

– Wciąż nad tym pracujemy, *comandante*. Zdołaliśmy zabrać tylko jeden komputer, zanim nastąpił wybuch. Na twardym dysku pozostało kilka nienaruszonych sektorów. Prawdopodobieństwo, że uda się cokolwiek odzyskać, jest nikłe.

– Brandisi, czy znaleźliśmy ślady jakiegóż działalności na nabrzeżach? Są świadkowie?

– Ani żywej duszy, *comandante*. Wiele miesięcy temu prowadzono tam prace konserwacyjne. Restaurowano małą rzymską wieżę strażniczą przyległą do magazynu.

– Rufio, jakieś wiadomości z laboratorium? – Profeta zastanowił się przez chwilę i jeszcze raz spojrzął na Brandisiego. – Zdobądź listę wszystkich osób pracujących przy tej konserwacji. Zaopatrzenie, personel... Co z tą sekcją, Rufio?

– Znaleźliśmy nadpalone komunalne znaczki identyfikacyjne.

– Fabryczne czy skradzione? – dopytywał Profeta.

– Za wcześniej, by to stwierdzić – odparł Rufio. – Wybuch porządnie je wyczyścił, *comandante*.

– Ludzie, którzy zamelinowali się w tej dziupli, byli zawodowcami – oznajmił Profeta, który stanął przy tablicy i stuknął w nią trzonkiem markera. – A tego, który kierował całą operacją, nie interesowały badania naukowe. Czytali tekst Józefa Flawiusza z bardzo praktycznych pobudek.

\* \* \*

Odprawa dobiegła końca. Alessandro Rufio, zastępca Profety, wyszedł z Komendy i mocno zaciągając się ręcznie skręconym papierosem, ruszył przez Piazza di Sant'Ignazio.

Rufio był wysokim, chudym młodzieńcem o jasnej skórze i kręconych rudych włosach, które z daleka obwieszczały jego sycylijskie pochodzenie. Jasną skórę, podobnie jak wielu Sycylijczyków, zawdzięczał normandzkiemu podbojowi Sycylii w jedenastym wieku, lecz w Rzymie bardziej rzucała się ona w oczy. Maszerował szybko bocznymi uliczkami, często zerkając przez ramię, by sprawdzić, czy nikt nie wyszedł z budynku Komendy, aby go śledzić. Rozglądał się za automatem telefonicznym. Poinstruowano go, żeby zawsze korzystał z płatnego automatu. Powód takiego postępowania znał jak mało kto: *carabinieri* na chybił trafił prowadzili

podsluch telefonów komórkowych, by monitorować poczynania zorganizowanych grup przestępczych. Zakres tych działań był nieporównanie większy, niż podejrzewano.

Skręcił z Via del Corso w małą alejkę szerokości niespełna metra. Rufio świadomie wybrał automat stojący tuż obok przejeżdżających skuterów. Urządzenia nasłuchowe stosowane przez policję nie zdołałyby wyłuskać dźwięku zagłuszanego warkotem silników.

Zgodnie z instrukcją wystukał zagraniczny prefiks. Numer znajdował się w Egipcie, przypuszczalnie w Kairze, lecz Rufio wiedział, że jest to tylko stacja przekaźnikowa. Stał pod półkolistą osłoną,

oddychając nerwowo. Para z jego ust osiadała na metalowej słuchawce. Nieregularny sygnał wyrównał się, a potem zamilkł, gdy połączenie zostało przekierowane. Rozległo się stuknięcie i ktoś odpowiedział.

– Rozpieprzyliście magazyn! – warknął Rufio, nie bacząc na to, że mówi za głośno. – A ja wciąż byłem w środku!

## 10.

Maurizio Fiorello zbliżył się do stanowiska świadka.

– *Magistrato*, te fragmenty *Forma Urbis* przez całe pokolenia krążyły po czarnych rynkach świata arabskiego i Europy Zachodniej, nim jakiś czas temu pojawiły się w Muzeum Kapitołińskim, wypożyczone przez nieznanego właściciela. Prawnicy z kancelarii Dulling and Pierce w sposób fałszywy i zwodniczy przedstawiają nam pochodzenie tych przedmiotów, tak jak postąpiłby każdy pozbawiony skrupułów handlarz antyków. Będą dowodzili, że te artefakty leżały sobie spokojnie w jakiejś posiadłości w Genewie lub w prywatnej francuskiej kolekcji i w sposób przypadkowy opuściły terytorium Włoch przed wprowadzeniem w naszym kraju ustaw o ochronie zabytków w tysiąc dziewięćset drugim roku. Ale tym razem Wysoki Sąd nie może dać im wiary. Te fragmenty *Forma Urbis* wreszcie powróciły do Rzymu. W odróżnieniu od dzielnego urzędnika ONZ, doktora Szarifa Lebaga, zdołały przetrwać podróż przez rozszalałe morze nielegalnego handlu antykami. Nie możemy pozwolić, by znów na nie trafiły.

Fiorello usiadł, a sędzia pochylił się nad stołem i zapisał coś w notatniku. Emili rozejrzała się po sali. Uniósłszy głowę, zauważyła jakiegoś starca, który siedział samotnie w ostatnim rzędzie na galerii, miał na sobie lichy brązowy płaszcz i tweedową czapkę na głowie. Obserwował rozprawę, lecz sam pozostawał prawie niewidoczny.

Sędzia skinął w stronę Tattona, a ten wstał i skierował się w stronę stanowiska świadka. Przez chwilę czekał, aż zapadnie cisza.

– Kustosze Wzgórza Świętynnego nazywają się Waqf, prawda? Od jak dawna to islamskie powiernictwo zarządza Wzgórzem?

– Tak jak powiedziałam, od zdobycia Jerozolimy przez muzułmanów w tysiąc sto osiemdziesiątym siódmym roku. Saladyn pokonał wówczas Ryszarda Lwie Serce.

– Powiedziała pani również, że nie miała zezwolenia, by kontynuować śledztwo. Czy tak?

– Usiłowaliśmy skontaktować się...

– Proszę odpowiedzieć „tak” lub „nie”, *dottoressa*. Czy miała pani pozwolenie na badanie groty, którą rzekomo odkryła pani z doktorem Lebagiem?

– Nie uzyskaliśmy oficjalnego pozwolenia od Waqf.



- Zatem wtargnęli tam państwo nielegalnie?
- Sprzeciw, *magistrato!* – zawołał Fiorello. – Czy to ma jakikolwiek związek z przeprowadzoną przez doktor Travię identyfikacją tych przedmiotów?
- Ma bardzo duży związek, *magistrato*. Świadek złamał mnóstwo przepisów, wkraczając na teren pod Wzgórzem Świątynnym. Według ONZ Wzgórze Świątynne znajduje się w samym centrum Jerozolimy, lecz pozostaje pod jordańską jurysdykcją. Wchodząc ze Wschodniej Jerozolimy do podziemnych komór leżących pod Wzgórzem Świątynnym, świadek dopuścił się rażącego naruszenia umów międzynarodowych. Postępowanie świadka silnie rzutuje na jego wiarygodność.
- *Proceda* – rzekł sędzia. Proszę kontynuować.
- Doktor Travia, zarzuciła pani zarządowi Waqf prowadzenie nielegalnych wykopalisk pod Wzgórzem Świątynnym. Czy to prawda?
- Tak.
- Twierdziła pani również, że podziemne pomieszczenie, które pani odkryła, miało związek z owymi wykopaliskami?
- Widzieliśmy mapy topograficzne przedstawiające liczne warstwy archeologiczne Wzgórza Świątynnego.
- Jak zatem wyjaśni pani obecność w tym miejscu fragmentów *Forma Urbis*? Należałoby się raczej spodziewać marmurowego wizerunku starożytnej Jerozolimy, a nie Rzymu.
- Ja tylko opisuję to, co zobaczyłam – odparła podenerwowana Emili. – A zobaczyłam właśnie te dwa fragmenty – dodała, wskazując gablotę stojącą na środku sali. Fiorello skinął głową, zadowolony z efektu dramatycznego, który zdołała osiągnąć. – Widziałam je, leżały tam, doskonale oświetlone.
- Jak długo to trwało?
- Słucham?
- Ile czasu spędziła pani w tym podziemnym pomieszczeniu?
- Podałam wszystkie szczegóły urzędnikom ONZ, którzy badali sprawę śmierci doktora Lebaga.
- Tak, zgadza się – powiedział Tatton, ujmując w dłoń grubą teczkę z materiałami z wewnętrznego śledztwa ONZ. – Zgodnie z pani obliczeniami, *dottoressa*... – Tatton obszedł stanowisko świadka – było to niespełna pięć minut – ciągnął ciszej, zbliżając się do Emili. – A potem... Buch! – Wszyscy zgromadzeni w sali sądowej aż podskoczyli. – Wystrzał, który zakończył oględziny, rozległ się niespodziewanie, prawda?
- Emili nie odpowiedziała. Jej oczy były szeroko otwarte, jak gdyby patrzyła na wskroś przez Tattona.
- Huk wystrzału, zamęt na znajdującym się nad pani głową targowisku. Oenzetowscy śledczy stwierdzili, iż sklepikarz został zamordowany za to, że wam pomagał. Ten, kto zabił jego, a później doktora Lebaga, uczynił to, by odzyskać przedmioty, które rzekomo widziała pani w grocie. Tak pani uważa?
- Tak – potwierdziła Emili, sztywniejac. – Uważam, że ktoś dowiedział się, iż sklepikarz nam pomaga.
- I jest pani pewna, że widziała właśnie te fragmenty *Forma Urbis*? Po świecie krąży tak wiele odłamków tej starożytnej mapy... – Tatton zbliżył się do stanowiska świadka. – Czy nie jest

prawdą,

że istnieje wiele fragmentów *Forma Urbis*, które wyglądałyby dokładnie... tak... jak... te? – Prawnik robił odstępstwa między słowami dla podkreślenia ich wagi.

– *Graffito* umieszczone na tych fragmentach jest identyczne z tym, które widziałam w Jerozolimie – odparła Emili.

Jonathan pochylał się odruchowo, jak gdyby Emili była świadkiem obrony, jego świadkiem, którego chce ostrzec. Przejrzał akta zaledwie pobieżnie, lecz wiedział, że Emili popełniła błąd. Nie powinna była używać określenia „identyczne”.

– Identyczne? – powtórzył Tatton z taką emfazą, jakby od tego jednego słowa zależały losy świata. – Ależ sama pani przyznała, *dottorressa*, że napis nie jest identyczny. Fragment, który pani opisała, nosił inskrypcję. – Tatton teatralnym gestem zajrzał do akt. – *Archivio di Stato*, prawda? Na tym fragmencie nie ma takiego napisu.

Fiorello zerwał się z krzesła, by ratować świadka.

– *Magistrato*, dołączyliśmy do dowodów zeznanie biegłego świadczące o tym, że część powierzchni spodniej strony tych fragmentów niedawno została rozmyślnie wypiaszkowana. Czy te wywody są konieczne?

Emili poruszyła się na krześle, po raz pierwszy zdradzając objawy zdenerwowania.

– Absolutnie konieczne, *magistrato* – rzekł przyjemnym barytonem Tatton. – Proszę wybaczyć moją prostoduszność, ale sugeruję, że świadek pomylił te artefakty z podobnymi. To doprawdy dziwne pomyśleć, że fragment mapy starożytnego Rzymu znalazł się w podziemiach Jerozolimy. Na dodatek nie ma na to żadnego dowodu.

Sędzia skinął głową na znak, że dopuszcza taką możliwość.

Tatton uniósł ręce, jakby był gotów się wycofać. Jonathan wiedział, że tylko udaje wielkoduszność. W oczach sędziego zdobył już przewagę.

– Jeszcze jedna kwestia, doktor Travia. – Tatton znów zbliżył się do świadka niczym rekin wybierający miejsce, w które chce uderzyć. – Jutro w Rzymie ma się odbyć posiedzenie Komitetu Światowego Dziedzictwa, nieprawdaż?

Jonathan odgadł, że Emili czekają teraz trudne chwile.

– Tak – potwierdziła, zerkając na Fiorella.

Ten skinął głową, sygnalizując, że szczerowość jest właściwą strategią.

– A pani złożyła do komisji wnioski, by przeprowadzić badania archeologiczne terenu pod Wzgórzem Świątynnym, czy tak?

– Poprosiłam komisję o wysłanie tam inspektorów archeologicznych w związku z dowodami, które zebraliśmy w Jerozolimie.

– Jakież to dowody? – zdziwił się Tatton. – Nie ma pani żadnego dowodu świadczącego o tym, że Waqf niszczy czy choćby bada... – Tatton zawiesił nagle głos, spoglądając Emili prosto w oczy. – Może z wyjątkiem jednego.

– Sugeruję pan, że próbuję wykorzystać to zdarzenie, by...

– Niczego nie sugeruję – odparł z namysłem prawnik. – Zamierzam powiedzieć to wprost. – Nachylił się nad poręczą, jakby chciał udzielić Emili rady. – Czasem nie pragniemy prawdy, lecz tajemnicy, za którą kryje się coś wielkiego. – Tatton stopniowo podnosił głos. – Doszukujemy się spisku, aby zrzucić z siebie winę za tragiczne błędy. Fakty świadczą o tym, że to nie te fragmenty

marmuru widziała pani w Jerozolimie, prawda? – Pojednawczy ton w głosie Tattona prysł. – Nasz kolega, podobnie jak pani laureat Nagrody Rzymu, dokonał ich oględzin i stwierdził, że według wszelkiej wiedzy można je pomylić z pięćdziesięcioma lub nawet stoma innymi kawałkami tej starożytnej mapy. Powiedział nam, że w muzeach całego świata znajdują się setki jej fragmentów.

Emili powoli przeniosła wzrok na Jonathana. Jej odraza była tak odruchowa i spontaniczna, że aż go przeraziła. Po chwili ponownie spojrzała na Tattona. Milczała. Fiorello ostrzegwał, że nie wolno jej tracić panowania nad sobą.

– Ani cienia dowodu świadczącego o prowadzeniu nielegalnych wykopalisk. – Tatton ściągnął brwi, udając rozczarowanie. – Właśnie dlatego zmyśliła pani tę wielką teorię, prawda? Nasz klient miałby w jakiś sposób zdobyć skradziony artefakt od zabójców pani kolegi. – Prawnik wrócił na swoje miejsce. – Ale tu nie ma żadnego spisku, nie istnieje kartel trudniący się nielegalnym handlem antykami.

Tatton oparł się pięściami o blat stołu.

– Była tylko jedna decyzja. – Tatton zawiesił głos, a Jonathan wiedział, że szykuje się do zadania śmiertelnego ciosu. – Decyzja, by bez zezwolenia wdrzeć się pod Wzgórze Świątynne. Kosztowała ona życie niewinnego sklepikarza i urzędnika ONZ, który był zarazem pani przyjacielem. A teraz, by sobie przebaczyć, pod wpływem emocji...

– Nie kierują mną emocje, panie Tatton – wtrąciła spokojnie Emili. – Przedstawiłam fakty najlepiej, jak zdołałam je zapamiętać. – Ostatnie słowa wypowiedziała ostrzejszym tonem.

Fiorello uniósł ręce, dając jej znak, żeby na tym poprzestała. Wyczuł, że narasta w niej gniew. Nie wpadaj w pułapkę, którą przeciwnik na ciebie zastawia, mówił bez słów.

– Ależ oczywiście, że kierują panią emocje – odparł Tatton. – I to tak silne, że zmyśliła pani teorię o istnieniu tajemnicy związanej z tymi fragmentami marmuru. Tajemnicy tak ważnej, że z jej powodu ktoś był gotów odebrać życie innemu człowiekowi. – Tatton przyglądał się Emili ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy. – Wszystko po to, by uwolnić się od złych emocji!

– Emocji?! – W Emili aż się zagotowało. – Przedstawiłam panu fakty! – Doktor Travia mówiła o wiele za głośno, potwierdzając tezę, o którą Tattonowi chodziło od samego początku. – I nie stworzyłam żadnej teorii! Z powodu tych przedmiotów zginął członek mojego zespołu!

Przenikliwy głos Emili odbił się echem od ścian sali sądowej. Sędzia uderzył młotkiem, a Fiorello westchnął donośnie.

– Jesteśmy w sądzie, *dottorressa* – upomniał łagodnie sędzia, rozumiejąc ból świadka, który Tatton obnażył i wykorzystał z tak morderczą wprawą.

– Nie mam więcej pytań, *magistrato* – oznajmił Tatton.

## 11.

Saladyn i Cianari coraz bardziej zagłębiali się w podziemia Wzgórza Świątynnego. Stali na wąskim kamiennym akwedukcie otoczonym ze wszystkich stron czarną przepaścią. Dnem koryta płynęła wąska strużka wody.

– Akwedukt – rzekł profesor Cianari, dotykając wody. – Dokładnie tak, jak zostało to opisane w biblijnej literaturze. Wykorzystywano go do codziennego obmywania się i podczas składania przez kapłanów ofiar na ołtarzu.

W miejscu, w którym kończył się most akweduktu, zaczynał się tunel ze starożytnymi kolumnami grubymi jak pnie sekwoi.

– Te filary są starsze niż Druga Świątynia, wzniesiona przez Heroda – ciągnął profesor. – Proszę spojrzeć na asyryjskie dekoracje i ślady po tępych kielniach. – Cianari rozejrzył się z błyskiem radości i niedowierzania w oczach. – Pochodzą z Pierwszej Świątyni zbudowanej przez Salomona w ósmym wieku przed naszą erą. Herod musiał je wykorzystać do podparcia fundamentów Drugiej Świątyni, która stała powyżej.

Profesor Cianari wiedział, że samo odkrycie tych kolumn oznacza początek wielkiej kariery. Zabytków archeologicznych z ery Salomona było jak na lekarstwo, zwłaszcza po tym, jak na jedynym eksponacie znajdującym się w izraelskim muzeum, wykonanej z kości słoniowej głowicy berła w kształcie granatu, znaleziono podrobioną arabską inskrypcję. Ludzie Waqf wykorzystywali ów brak zabytków, by kwestionować samo istnienie biblijnej świątyni.

W wysokim stosie gruzu pozostawionym u wylotu tunelu widniało jedynie wąskie wejście.

– Te kamienie pozostały po tym, jak Asyryjczycy złupili Pierwszą Świątynię w siedemset piętnastym roku przed naszą erą – rzekł Cianari, przekraczając szeroką kolumnę leżącą w poprzek korytarza. Przetoczył się po niej niezgrabnie, upuszczając okazałe arkusze rysunkowe, które niósł pod pachą.

Patrzył z podziwem na masywne kamienie zalegające na dnie korytarza i w myślach porównywał scenerię z obrazami tego, co zdaniem archeologów znajdowało się pod Wzgórzem Świątynnym. Koledzy profesora wciąż debatowali, czy podziemne tajne przejścia w ogóle istnieją, a on właśnie kroczył jednym z nich. W takich chwilach Cianari wiedział, po co wybrał się do Jerozolimy. Bez pozwoleń i budżetu, dzięki nielegalnym wykopaliskom Saladyna pod Rzymem i Jerozolimą, profesor mógł rzucić wyzwanie archeologicznej biurokracji, która zesłała go do biblioteki jak do więzienia.

Tuż za zwałami gruzu tunel kończył się nagle ścianą ubitej ziemi.

Cianari spojrzył na pergaminową mapę, a następnie na ścianę.

– Ten tunel zawalił się w czasie trzęsienia ziemi w tysiąc dwieście drugim roku, tarasując przejście do Groty Królewskiej.

– Grota Królewska – powtórzył Saladyn. – Będzie pan pierwszym archeologiem, który potwierdzi jej istnienie.

– Pozostawała w zapomnieniu przez tysiąc lat – kontynuował entuzjastycznie profesor. – Józef Flawiusz opisuje ogromną podziemną jaskinię pod Wzgórzem Świątynnym, wykorzystywaną jako źródło wapienia do budowy Świątyni. Ma ponoć ponad trzysta metrów średnicy.

Saladyn skinął ręką na Ahmeda. Ten zamachnął się szeroko kilofem i wbił go w ziemię. Zamachnął się ponownie i od ściany oderwała się następna gruda.

– Ten gruz zbierał się tysiące lat – rzekł Cianari. – Mogą minąć tygodnie, zanim się przebijemy.

– Jeszcze raz – rozkazał Saladyn.

Ahmed machał raz po raz, jego ramiona pracowały niczym młyńskie koło, a mimo to postęp był znikomy. Przerywał tylko po to, by złapać oddech.

– Jeszcze raz! – ryknął Saladyn.

Młodzienc uderzył ponownie i ostrze kilofa utkwilo w ścianie. Ahmed szarpnął, by go

wyrwać, i wtedy w niewielkim otworze zabłyśło jaskrawobiałe światło.

- Znajdujemy się trzydzieści metrów pod ziemią – wyszeptał Cianari. – Cóż to może być?
- Jeszcze raz! – zawołał Saladyn.

Ahmed wbijał kilof w ścianę, a po każdym ciosie blask w otworze stawał się jaśniejszy, tak jakby do tunelu wpadały promienie słońca. Profesor zmrużył oczy i podszedł bliżej, usiłując dojrzeć źródło światła po drugiej stronie ściany.

- Co tam jest, na Boga jedynego?

## 12.

Posiedzenie sądu zostało odroczone, lecz Jonathan pozostał na swoim miejscu. Tatton wyszedł bez słowa, a Mildren usłużnie poniósł za nim aktówkę.

Sala opustoszała, a on siedział, wpatrując się w stanowisko świadka, jakby dzięki skupieniu myśli mógł odwrócić to, co uczynił Tatton.

Otworzyły się obite skórą drzwi w tylnej części sali. Jonathan odwrócił się i patrzył na Emili, która w milczeniu podeszła do miejsca dla świadka i wzięła teczkę, którą tam zostawiła. Nie spojrzawszy na niego, ruszyła w stronę drzwi.

- Emili! – zawołał Jonathan.

Zatrzymała się i powoli odwróciła. Wyraz jej twarzy sprawił, że Jonathanowi stanął przed oczyma jeszcze jeden obraz z ich wspólnej przeszłości. Działo się to przed siedmioma laty na Piazza di Spagna. Zapadał zmrok, a Emili pozowała ulicznemu portreciście. Zgodziła się tylko dlatego, że wypili po trzy drinki w czasie nudnego koktajlu połączonego z wykładem, który odbył się w Akademii Francuskiej. Rysownik miał okulary na czubku nosa i pracował zawzięcie, kreśląc linie na arkuszu. Nagle z nieba spadły grube krople deszczu. Portrecista wręczył klientom niedokończony portret, a następnie rzucił się do składania sztalug. Twarz Emili wyglądała tak, jakby unosiła się na papierze, lecz mimo to rysownik uchwycił w niej coś niepokojąco pięknego. Jasne włosy układały się szarymi liniami nad szlachetnym łukiem brwi, a poniżej z szarości tła wybijały się pełne usta i zamyślane jasne oczy.

– Och, jak smutno wyglądam! – zawołała Emili, śmiejąc się wśród szumu deszczu. – Wcale nie jestem do siebie podobna! – rzuciła żartobliwie za portrecistą.

Teraz, po latach, jej twarz miała dokładnie taki sam wyraz jak ten, który ukazał uliczny artysta. Było w tym coś niesamowitego.

- Przykro mi – rzekł Jonathan. – Nie wiedziałem, że Tatton tak postąpi.

Emili zbliżyła się do niego bez słowa. Rozchyliła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Stała kilka kroków dalej i spoglądała na niego gniewnie. Jonathan przypomniał sobie jej jasnozielone oczy z orzechowym nalotem. Teraz jednak były pociemniałe od złości.

– Przykro ci? – powtórzyła, obserwując go uważnie. – Myślisz, że nie wiem o tym, iż reprezentowałeś tego sycylijskiego handlarza antyków Andre Cavettiego? Albo o tym, jak błyskotliwie bronieś greckiego sarkofagu po to, by mógł zostać elementem fontanny w jakimś kasynie w Las Vegas? Uważasz, że nie wiem, iż zostałeś adwokatem i bronisz ludzi, przed którymi chroniliśmy te zabytki? Zdaje ci się, że nie wiem, iż z leśniczego zamieniłeś się w kłusownika?

Jonathan milczał przez dłuższą chwilę.

– Emili, minęło siedem lat. Wyciągasz wnioski, które...

– Wnioski? – Emili wskazała dłonią leżące na środku sali przedmioty. – Ten, kto sprzedał te odłamki twojemu klientowi, mógł zastrzelić Szarifa. Tak, Jon, twojego przyjaciela. – Podeszła bliżej.

Nie było w niej już ani śladu zawodowej obojętności. – Powiedz, co cię złamało? Zawalenie się tego tunelu? Zawieszenie w akademii? Praca w galerii po zdobyciu Nagrody Rzymu? A może konieczność podjęcia pracy na zapleczu Sotheby's, by móc opłacić studia prawnicze? – Emili zbliżyła się jeszcze bardziej, jakby obejmowała we władanie coraz więcej terenu. – Wciąż widzę uczonego, którym kiedyś byłeś, zakopanego niczym jakaś ruina pod tym drogim garniturkiem. – Następny krok. – Może przy odrobinie wysiłku ktoś zdołałby odgrzebać tę heroiczną część ciebie, która zginęła pod gruzami wraz z Gianpaolem?

– Herosi istnieją tylko w mitach! – Jonathan odruchowo zaczął mówić głośniejszym głosem. – Żyjemy w rzeczywistości, a ty wciąż prawisz o mitach? W mojej pracy nie liczy się mitologia i heroizm. Liczy się prawo.

– W tej sprawie jest coś więcej, Jon. Te fragmenty marmuru coś w sobie kryją.

– Emili, tajemnice starożytności były intrygującą rozrywką na uczelni...

– Ktoś zabił Szarifa z powodu tych przedmiotów. Twojego przyjaciela. Jeśli to nie oderwie cię od prawniczych papierów, to już nic cię nie zmieni.

Jonathan widział w oczach Emili pasję, która coś mu przypominała, lecz teraz wydawała się dziwna i obca.

– Przykro mi, Emili, ale w tej sprawie nie chodzi o zbrodniarzy i starożytne przesłania. Jej istotą są kwestie prawne. Mam nadzieję, że kiedyś to zrozumiesz. *Tempus ignoscit*. Czas przebacza.

– Czas nie przebacza – odparła Emili. – Nawet nie pozwala człowiekowi, by sam sobie przebaczył. – Doszła do drzwi, lecz tam zatrzymała się i odwróciła do niego. – A ty powinieneś o tym najlepiej wiedzieć.

Wyszła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Jonathan przeciągnął dłońmi po włosach.

– Ta konfrontacja nie wyszła dobrze – szepnął pod nosem.

Zbliżył się do poręczy galerii i spojrzał na rysunek bramy Koloseum, przedstawionej na fragmentach *Forma Urbis*. Pasowały do południowej krawędzi budowli, uzupełniając owal areny niczym brakujące kawałki układanki.

Nad bramą znajdował się dopisek archeologa: *Porta Sanavivaria*.

– Brama gladiatorów – mruknął Jonathan. Gladiatorzy i jeńcy wojenni zmuszeni do walki z nimi wchodziłi przez *Porta Sanavivaria*, Bramę Życia. Ciała zabitych wywlekano za pomocą haków przez *Porta Libertinensis*, Bramę Śmierci, która znajdowała się po przeciwnej stronie areny.

Te fragmenty *Forma Urbis* przedstawiają bramę gladiatorów.

Drzwi sali otworzyły się ponownie. Jonathan drgnął.

– Co się tak guzdrzesz? – spytał Mildren, krocząc w jego stronę. – Tatton czeka na ciebie w samochodzie.

Emili schodziła po stopniach Pałacu Sprawiedliwości. Pod pachą niosła teczkę z dokumentami. Ruszyła przez most Sant'Angelo, mijając dziesięć karykaturalnie dużych posągów aniołów Berniniego oraz szeregi nielegalnych ulicznych handlarzy. Zatrzymała się pośrodku mostu i spojrzała w wody Tybru. Wezbrane po deszczu, wyglądały jak targana wiatrem gigantyczna płachta szarego brezentu.

– *Souvenir?*

Sprzedawca pamiątek poklepał Emili po ramieniu. Odwróciła się. Na jego szyi wisiał sznur z miniaturowymi figurkami świętych. Przekupień był mężczyzną w średnim wieku ze staroświecką szarą brodą. Nosił podarte wełniane rękawiczki.

– *Souvenir?* – powtórzył.

– *No, grazie* – odparła grzecznie Emili.

– *Souvenir?* – upierał się sprzedawca, unosząc ręce obwieszone różańcami. Widać było, że jest zmęczony. Sunący obok ludzie

zawadzali o jego tekturowe pudło, przewracając posążki niczym trzęsienie ziemi w miniaturowym muzeum. Handlarze zwykle nagabywali jedynie turystów, lecz ten nie chciał zostawić Emili w spokoju. Wiedziała, że jasna karnacja jej skóry i prawie nieskazitelny angielski sprawiają, iż miejscowi handlarze często biorą ją za cudzoziemkę. Odwróciwszy się, by dać natrętowi jedno euro, zobaczyła, że ten trzyma w dłoniach złożoną w czworo kartkę. Ktoś pospiesznie nabazgrał na wierzchu jej imię.

– *Un souvenir per te* – powiedział sprzedawca. Pamiątka dla ciebie. Emili wzięła kartkę i od razu ją rozłożyła.

Widniały na niej tylko dwa słowa.

*Il Ghetto. Getto.*

Rozejrzała się, lustrując wzrokiem twarze przechodniów na moście.

– Kto panu to dał? – zapytała szorstko Emili.

– *Prego?*

– Od kogo dostał pan tę kartkę? – Emili pokazała przekupniowi banknot o wartości pięćdziesięciu euro.

Mężczyzna uśmiechnął się i pokręcił głową. Pieniądze Emili go nie interesowały.

Ona zaś spojrzała na kartkę. Otrzymywała już anonimowe wskazówki. W jej biurze była nawet gorąca linia dla handlarzy antyków lub pokątnych poszukiwaczy skarbów, których nagle ruszyło sumienie. Teraz jednak nie miała czasu na pogoń za nie wiadomo czym.

Wiedząc, że kartka może ją naprowadzić na jakiś trop, ruszyła mostem w stronę celu wymienionego w anonimie.

Włoskie słowo *ghetto* nosi konotacje historyczne. Możliwe, że powstało od słowa *geto*, czyli „fabryka metalu”. W piętnastym wieku jakiś dostojnik kościelny w Wenecji nakazał, by wszyscy Żydzi zamieszkali w dzielnicy odlewni metali. Niespełna pięćdziesiąt lat później Watykan zastosował taką samą praktykę oraz nazwę; papież Paweł IV zarządził, by wszyscy rzymscy Żydzi zamieszkali w czterech kwartałach najbardziej narażonych na wylewy Tybru.

Getto było niedaleko, toteż po kilku minutach marszu Emili znalazła się w labiryncie pociemniałych od sadzy wąskich uliczek. Krzywe ściany szesnastowiecznych kamienic zbudowano z cegieł pochodzących z czasów Hadriana. W prześwicie między budynkami Emili dostrzegła zarys Wielkiej Synagogi w Rzymie. Aluminiowa kopuła świątyni błyszczała nawet w

pochmurny dzień, a olbrzymie marmurowe skrzydła z jońskimi pilastrami rozciągały się na szerokość przecznic w obie strony. Synagoga górowała nad Tybrem niczym katedra w stylu tureckim.

Jakiś starzec stał oparty o wysokie ogrodzenie z kutego żelaza. Emili od razu go rozpoznała; to tego mężczyznę dostrzegła na balkonie sali sądowej. Ubrany był w ten sam szary blezer, o dwa numery za duży, a kosmyki jego włosów powiewały na wietrze niczym białe nici. Katarakta zmętniała jasne oczy, lecz z ich spojrzenia biła intensywność jakby na przekór podeszłemu wiekowi. Starzec miał na ramieniu niewielką torbę w kształcie cylindra z wąskim paskiem, wykonaną z zielonego płótna. Mieścił się w niej pojemnik na tlen, lecz przytwierdzona mocno do ujścia rurka wskazywała, że urządzenie jest rzadko używane.

Mężczyzna wyciągnął rękę na powitanie i Emili zauważyła, że ma tylko dwa palce. Wyczuła w dłoni przerażająco równą linię knykci, co wskazywało na to, że palce odpadły po jednym cięciu ostrza.

Mimo to uścisk ręki był zaskakująco mocny.

– Jestem Mose Orvieti.

Emili знаła to nazwisko.

– Archiwista?

Usłyszała o *signore* Orvietim podczas pracy w oenzetowskiej agencji zajmującej się upamiętnianiem Holokaustu, lecz nigdy go nie spotkała. Mose Orvieti był młodym archiwistą w Wielkiej Synagodze podczas niemieckiej okupacji Rzymu w 1943 roku. Później zasłynął dzięki wysiłkom na rzecz odzyskiwania rękopisów i przedmiotów należących do Żydów z rzymskiego getta.

Emili znała dzieje życia archiwisty, gdyż czytała jego zeznanie w sprawie o odzyskanie mienia utraconego w czasie likwidacji getta. Orvieti opisał, jak trzynastego października 1943 roku dwa tysiące dziewięćdziesiąt jeden osób, w tym jego żona oraz wszystkie dzieci, zostało wywiezionych pociągiem z Rzymu. Wsiedli na dworcu Collegio Militare i trafili do Auschwitz. Orvieti był jedną z szesnastu osób spośród deportowanych, które stamtąd powróciły.

– Dostała pani moją kartkę? – zapytał.

– Zna pan wszystkich sprzedawców pamiątek w Rzymie? – odpowiedziała pytaniem Emili.

– Tych na Piazza San Pietro, owszem – odparł Orvieti. – Wszyscy pochodzą z getta. Ten przepis wciąż obowiązuje.

– Który przepis?

– W tysiąc pięćset pięćdziesiątym piątym roku, za pontyfikatu Pawła Czwartego, tylko Żydzi otrzymali pozwolenie na handel katolickimi pamiątkami na placu Świętego Piotra, gdyż zajęcie to uwłaczało godności chrześcijanina. Zezwolenia stały się obecnie cenne i są przekazywane z jednego pokolenia Żydów na następne.

– Dlaczego pan się ze mną skontaktował?

– W zeszłym roku, podczas prac w Jerozolimie, zobaczyła pani kartki z rękopisu Józefa Flawiusza.

Uwagę Emili zwróciło to, że ktoś wyraził się o jej doświadczeniach w Jerozolimie w trybie oznajmującym, nie opatrując zdania wyrażeniami w rodzaju „rzekomo” czy „nawet jeśli”.

– To prawda.

– Za pani zgodą chciałbym pokazać pani archiwum, z którego te stronice pochodziły.



Emili podążyła za Orvietim, mijając trzech policjantów w pełnym rynsztunku, którzy patrolowali teren wokół synagogi. Czwarty zrobił sobie przerwę i stał oparty o uzbrojone okno służbowego jeeпа, paląc papierosa. Całodobową ochronę synagogi wprowadzono ponieważ w 1982 roku po tym, jak zamaskowani palestyńscy zamachowcy ostrzelali żydowskie dzieci wychodzące z nabożeństwa.

Orvieti otworzył kluczem holenderskie dębowe drzwi, znajdujące się w bocznej ścianie synagogi, a potem zamknął je za Emili i zabezpieczył grubą metalową sztabą. Wyglądało to tak, jakby barykadował się w twierdzy.

Archiwista wprowadził gościa do świątyni. Ozdobiona freskiem kopuła wznosiła się na wysokość ponad trzydziestu metrów; połączony świetlik otaczały barwy tęczy. Orvieti i Emili niemal ceremonialnym krokiem pokonali nawę i wstąpiwszy po pięciu marmurowych stopniach, stanęli przed bimą, podestem, na którym znajdował się osłonięty kurtyną łuk. Schylając się pod wysoką zasłoną, Orvieti otworzył małe drewniane drzwiczki pod łukiem i Emili wkroczyła za nim do wąskiej klatki schodowej o półkolistej ścianie z betonu.

Ciasno wijące się schodki, prowadzące do kopuły synagogi, przypominały schody latarni. Nogi archiwisty poruszały się zaskakująco zwawo; czasem tylko zatrzymywał się i dyszał ciężko, jak gdyby oczekując, aż postarzałe ciało dogoni resztę. Nie sięgał po zbiornik z tlenem, który wisiał na jego ramieniu. Na ścianie widniały fragmenty starożytnych grobów z żydowskimi napisami, a nawet średniowieczne symbole zodiakalne z hebrajskimi inskrypcjami. Dzięki pracy w Międzynarodowym Centrum Konserwacji Zabytków Emili wiedziała, że w wieży przechowywany jest najbogatszy na świecie zbiór średniowiecznych komentarzy do Starego Testamentu. Przetrwiał, pomimo że w 1943 roku synagogę nawiedzili niemieccy naukowcy z Einsatzstab, specjalnej komórki SS, zajmującej się rabowaniem rzadkich żydowskich manuskryptów i dokumentów z niezliczonych archiwów w całej okupowanej Europie. Nawet obecnie skarby z archiwum synagogi są tak cenne, że nie występują w żadnym publicznie dostępnym katalogu.

Drzwi archiwum były zrobione z grubej dębiny i okute metalem. Jakby dla kontrastu w otynkowaną ścianę tuż obok wbudowano nowoczesną czarną klawiaturę systemu bezpieczeństwa. Orvieti wbił siedmiocyfrowy kod i stalowy rygiel otworzył się z przytłumionym stuknięciem. Ukazały się trzy poziomy osłoniętych kratkami książek; wąskie tarasy połączone były korkociągami schodów.

A ludziom zdaje się, że to tajne archiwa Watykanu są najpilniej strzeżone, pomyślała Emili.

– Miałem osiemnaście lat, gdy skradziono stronicę z rękopisów Józefa Flawiusza – zaczął Orvieti. – Byłem wówczas asystentem głównego archiwisty.

Zaczerwienione oczy Orvietiego zwilgotniały. Podszedł do wąskiego okna z witrażową szybą. W bursztynowym świetle jego twarz nagle poszarzała. Była koścista i poorana gęstą siatką zmarszczek.

– Zjawił się jakiś mężczyzna w towarzystwie dwóch niemieckich oficerów. To było w dniu zapłaty okupu przez getto.

Emili wiedziała, co Orvieti ma na myśli. We wrześniu 1943 roku Obersturmbannführer Herbert Kappler zażądał od mieszkających w getcie Żydów pięćdziesięciu kilogramów czystego złota. Mieli je zebrać w ciągu trzydziestu sześciu godzin.

– Kolejki ludzi ciągnęły się od drzwi synagogi przez całą przecnicę. Mężczyźni i kobiety

oddawali obrączki ślubne, brosze i inne pamiątki rodzinne. W kolejce ustawiła się też pewna liczba miejscowych księży, którzy oddawali swoje złoto, narażając życie. Mimo to wciąż brakowało nam paru kilogramów. Wiele średniowiecznych tomów spoczywało w cennych pozłacanych kasetach, dlatego kazano mi iść do biblioteki i zerwać z nich złote klamry i okucia.

Orvieti wskazał ręką odległy punkt w wieży, jakby w tym miejscu ktoś stał.

– Właśnie tam go zobaczyłem. Miał na sobie egzotyczny strój. Był mułłą, poznałem to po czarnej brodzie i arabskim fezie. Niski mężczyzna, nie miał chyba nawet metra sześćdziesięciu wzrostu. Nawet tu, w archiwum, nosił okulary przeciwsłoneczne. Poruszał się jak król, przesuwając dłońmi po grzbietach ksiąg. Wiedziałem, że jest kimś ważnym. Otaczali go niemieccy oficerowie i młodzi naukowcy z Berlina, biegli w łacinie, hebrajskim i grece. Nadzorował nazistowskich oficerów, którzy przeszukiwali regały.

Orvieti słyszał niemieckie słowa, wypowiedane przez Araba z gardłowym bliskowschodnim akcentem.

– To on sprowadził tutaj członków Einsatzstab? – spytała Emili.

Archiwista skinął głową.

– Po latach przybyli do nas śledczy jugosłowiańskiego trybunału wojskowego. Dowiedziałem się od nich, że mułłą był Hadż Amin al-Husseini, wielki mufti Jerozolimy od tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego do tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Został skazany zaocznie za zbrodnie wojenne, a oni szukali poszlak, które mogłyby ich do niego zaprowadzić.

– Nazywano go „Führer Mufti” – dodała Emili. Człowiek ten był najwyższym rangą muzułmańskim duchownym w pozostającej pod protektoratem brytyjskim części Jerozolimy w latach trzydziestych. Mufti otrzymał do dyspozycji jednostkę gestapo, przy pomocy której pustoszył archiwa w całej okupowanej przez Niemców Europie. Poszukiwał rękopisów i zabytków związanych z Jerozolimą równie obsesyjnie, jak Himmler tropił ślady Atlantyd.

Głęboki antysemityzm muftiego utrwalił się w świecie arabskim. Podczas prac restauracyjnych w bizantyjskim kościele w Gazie w roku dwutysięcznym Emili ze zdumieniem dowiedziała się, że arabski przekład *Mein Kampf*, autorstwa szejka al-Husseiniego, zajmuje szóste miejsce na liście bestsellerów na terenach kontrolowanych przez Palestyńczyków. Nigdy nie słyszała, by jakiś kustosz czy bibliotekarz zobaczył muftiego i przeżył.

– Zażądał, bym przyniósł mu najstarszy rękopis Józefa Flawiusza i położył go na stole, co też uczyniłem. Niemieccy uczeni zaczęli szukać konkretnych stron tekstu, a następnie wydzielali je. Jednak mufti poszukiwał czegoś innego. Chciał zobaczyć wszystkie znajdujące się w archiwum rysunki Koloseum. – Orvieti wciąż miał w uszach ryk wściekłości małego Araba. – Ilekroć oglądane przez niego rysunki okazały się nie tymi, których szukał, darł je na strzępy, wykrzykując jak jakąś mantrę: „Nie powtórzę błędu Tytusa!”. – Orvieti podszedł do dużej księgi wypełnionej rysunkami, leżącej na stole pośrodku biblioteki. Jej okładka była splekana niczym zwierzchna kora, a całość wyglądała z boku jak stos zeschniętych liści. Archiwista ostrożnie przerzucał kruche strony, aż znalazł pożądaną ilustrację. – Wydaje mi się, że szukał właśnie tego.

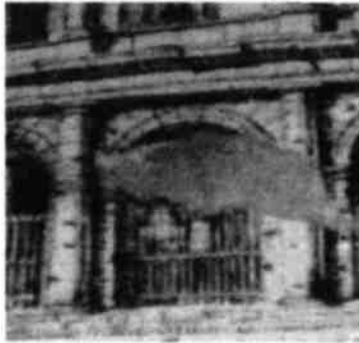
Rysunek przedstawiał Koloseum widziane z zewnątrz, z zawalonym i pokrytym roślinnością łukiem. Tak wyglądała budowla w dziewiętnastym wieku.

– Oto rysunek wykonany podczas prac wykopaliskowych w Koloseum, prowadzonych w tysiąc osiemset dziewiątym roku pod nadzorem Napoleona – wyjaśnił Orvieti.

– Nie nazwałabym działalności Napoleona w Rzymie pracami archeologicznymi – odparła

Emili, powściągając zawodowy gniew. – Te wykopaliska spowodowały w mieście więcej szkód niż jego armaty.

Delikatnie, prawie z nabożną czcią, Emili umieściła rysunek nad lampą biurową, tak aby oświetlić gruby pergamin. Wilgoć nadwątlila środkową część rysunku, lecz reszta pozostała w dobrym stanie.



– Znalazłem tę kartkę podczas prac renowacyjnych po wojnie, ukrytą w drewnianej ławce synagogi. Dopiero później przypomniałem sobie, że mój poprzednik powiedział kiedyś, iż członek zespołu archeologicznego Napoleona przekazał swoje rysunki do archiwum. Zrobił to papieski architekt Giuseppe Valadier.

– *Architetto camerale?* – Emili wiedziała, że Giuseppe Valadier jako architekt papieski przeprowadził kilkadziesiąt renowacji archeologicznych na początku dziewiętnastego wieku. – Dlaczego nie złożył swoich rysunków w Watykanie?

– Myślę, że znalazł coś podczas prac wykopaliskowych w Koloseum – odrzekł Orvieti. – Coś, co wolał ukryć przed Napoleonem, a nawet przed Kościołem. Ta rzecz była tak ważna, że mufti Jerozolimy przybył dwieście lat później, by ją odnaleźć. Ale po tylu latach wciąż nie wiem, który łuk został tu przedstawiony – dodał, wzruszając ramionami. – Nawet nie wiadomo, który widać na tym rysunku.

Emili przyjrzała się kartce.

– Chwileczkę. Proszę spojrzeć tutaj, nad zwornikiem. Widzi pan tam jakiś napis?

– Nic nie widzę – odparł Orvieti.

– Otóż to. Ten łuk nie ma numeru, a prawie każdy z osiemdziesięciu łuków Koloseum nosił oznaczenie liczbowe. – Emili nie tak dawno temu prowadziła prace renowacyjne wewnątrz areny. – Nie miały ich bramy gladiatorów, którymi prowadzono jeńców na śmierć. Gdybyśmy mogli poszukać poniżej...

– Proszę mi wybaczyć, *dottoressa* – wpadł jej w słowo Orvieti, unosząc dłoń. – Zaprzestałem poszukiwań dawno temu. Mój poprzednik na tym stanowisku twierdził, że aby zrozumieć pełne znaczenie tego rysunku, potrzebna jest... wiara. – Orvieti ze wstydem odwrócił wzrok. – Powiedział, że trzeba wierzyć.

– W co? – spytała Emili.

– W rozstąpienie wód Morza Czerwonego – odparł bez wahania archiwista. – I właśnie z tego powodu chcę, żeby ktoś inny przejął ten rysunek. Ja już się nie kwalifikuję.

\* \* \*

Emili Travia przeszła po moście Palatino do Trastevere i dotarła do siedziby Międzynarodowego Centrum Konserwacji Zabytków, mieszczącej się w odnowionym siedemnastowiecznym klasztorze. Usiadła przy biurku w swoim gabinecie pod łukowatym sklepieniem z drobnej cegły, pod którym niegdyś krył się spichlerz. Promienie przedpołudniowego słońca sączyły się przez wysokie okno, padając na zdjęcia z projektów konserwacyjnych umieszczone nad ceramicznym firmowym biurkiem ONZ: buddyjska świątynia z dziewiątego wieku, zniszczona przez tsunami w 2004 roku, szyicki meczet w centrum Bagdadu. Emili usiłowała nie myśleć o porannym posiedzeniu sądu, lecz na blacie leżał numer „Herald Tribune”, na który patrzyła przez całą noc.

FRAGMENT FORMA URBIS  
PO DWÓCH LATACH POJAWIA SIĘ W RZYMIE.  
ZEZNANIE URZĘDNICZKI ONZ

Rzym. Przedstawiciele włoskiego Ministerstwa Kultury zjawiają się dzisiaj w sądzie, by zakwestionować pochodzenie fragmentów *Forma Urbis* wypożyczonych Muzeum Kapitołowskiemu przez nieznanego z nazwiska właściciela. Ministerstwo twierdzi, że zabytki powinny wrócić do Rzymu...

Wśród muzealnych eksponatów, pomyślała Emili. Przez dwa lata przeczesywała czarny rynek w Londynie i domy aukcyjne w Szanghaju w poszukiwaniu kawałków *Forma Urbis*, które według jej domysłów przyczyniły się do śmierci Szarifa. A one odnalazły się w muzeum. Emili rozmasowała sobie skronie.

– *Dottoressa* Travia?

Emili drgnęła. W drzwiach stała doktor Jacqueline Olivier, dyrektor generalny Centrum. Trzymała w ręku cienką czarną aktówkę, a przez ramię miała przewieszony czarno-brązowy płaszcz. Jak zwykle zjawiała się w biurze po porannym spotkaniu. Była schludnie ubrana w dwurzędowy kostium i apaszkę. Jej czarne jak węgiel włosy były idealnie uczesane, a z drobnych arystokratycznych rysów biła erudycja. Paryska arystokratka stanowiła żywe uosobienie prestiżowej organizacji, zajmującej się ochroną bezcennych zabytków kultury. Jakby dla kontrastu na znużoną twarz Emili opadały luźne kosmyki włosów. Wyprostowała się gwałtownie, zażenowana faktem, że tak elegancka i wyrafinowana osobistość nakryła ją na rozmyślaniach. Jednak oczy dyrektorki wyrażały tylko zatroskanie.

– Słyszałam o twoim dzisiejszym zeznaniu – powiedziała.

– Wiem, co pani sądzi o sile naszych dowodów.

– A raczej o jej braku. Emili, zdaję sobie sprawę, co ten przedmiot dla ciebie znaczy, zwłaszcza w kontekście zbliżającej się konferencji Komitetu Światowego Dziedzictwa. Mieliśmy nadzieję, że te przedmioty pozwolą ujawnić prowadzenie nielegalnych wykopalisk pod Jerozolimą.

– One są potwierdzeniem tego, co widziałam ja i doktor Lebag.

Jacqueline Olivier oparła się o futrynę, chowając rękawiczki do kieszeni płaszcza.

– Naprawdę mamy wierzyć, że ktoś wszczął zamieszki w dzielnicy muzułmańskiej, żeby udaremnić twoje śledztwo? Że był gotów poświęcić życie Szarifa, by nie dopuścić do ujawnienia swojej działalności?

– Ci ludzie byli gotowi pozbawić życia wielu, nie tylko Szarifa – odparła Emili. – Jednak tak się złożyło, że tylko on tam był.

Uśmiech Jacqueline Olivier miał pocieszyć Emili, lecz w istocie pokazał, co jest dla niej naprawdę ważne. Pani dyrektor najwyraźniej nie zamierzała zajmować się tą sprawą; chciała kontynuować normalną działalność swojej instytucji. Emili nie wiedziała, jakie motywy polityczne skłaniały jej szefową do uznania śmierci Szarifa za przypadek, lecz była pewna, że zawodowa rzetelność wymaga od niej przeciwstawienia się takiej postawie.

– Emili, chciałabym cię przekonać, żebyś została jutro na ceremonii otwarcia sympozjum Komitetu Światowego Dziedzictwa.

– Tylko pod warunkiem, że pozwoli mi pani przedstawić na konferencji plenarnej to, czego dowiedziałam się na temat nielegalnych wykopalisk pod Wzgórzem Świątynnym. W przeciwnym razie dziś wieczorem wracam do Jerozolimy.

– W ramach programu pomocy żywnościowej, jak przypuszczam? – Dyrektorka pogroziła Emili palcem niczym troskliwa matka. – Jesteś teraz zastępczynią dyrektora i powinnaś podróżować w sposób odpowiedni dla tej funkcji.

Kiedy kroki dyrektorki umilkły, Emili wstała. Zdjęła z wieszaka na drzwiach płaszcz w jodełkę, zawiązała chustę i ostrożnie podniosła archiwalny rysunek, powierzony jej przez Orvietiego. Jeśli rozwiązanie zagadki fragmentów *Forma Urbis* kryje się pod łukiem Koloseum, ona je znajdzie.

## 14.

Komendant Profeta, któremu towarzyszył porucznik Rufio, machnął kartą dostępu przed szklanymi drzwiami policyjnego laboratorium komputerowego i wszedł do środka. Pokryte freskami łukowate sklepienie siedziby laboratorium przypominało, że w budynku mieściło się niegdyś kolegium jezuickie. Na stołach ustawiono serwery komputerowe skonfiskowane podczas nocnej akcji. Komputery były rozebrane na części; obnażone kable nasuwały skojarzenie z operacją na otwartym sercu.

– Uzyskaliśmy cyfrowy obraz, *comandante* – oznajmiła z dumą porucznik Copia, podając Profecie komputerowy wydruk. – Pochodzi z jedyne go monitora ciekłokrystalicznego, który wynieśliśmy przed wybuchem.

– Powiedziała pani, że ekran został przebity pociskiem – zauważył Profeta.

– Tak, ale kula spowodowała krótkie spięcie wyświetlacza, które sprawiło, że ostatni zarejestrowany obraz wypalił się na skompresowanych pikselach – odparła funkcjonariuszka. Skinieniem głowy wskazała wydruk spoczywający w dłoni komendanta. – Oto on.

Czarno-biały wydruk, pocięty na ostre nieregularne fragmenty, przypominał odbitkę zdjęcia umieszczonego za taflą strzaskanego szkła. Na samym środku widniał ślad pocisku.

– To są fragmenty *Forma Urbis* – oznajmił Profeta. – Wygląda na to, że ci ludzie gromadzą części starożytnej mapy w celu rekonstrukcji obrazu Koloseum.

– *Comandante!* – odezwał się Brandisi. Policjant wpadł do laboratorium jak burza, w zaciśniętej prawej dłoni dzierżąc niczym pochodnię kartki papieru. – Mam informacje o pracach konserwatorskich tuż obok portowego magazynu w Civitavecchia.

– O jakich pracach? – zdziwił się Profeta.

– Kazał pan zdobyć informacje o pracach renowacyjnych przy niewielkiej rzymskiej budowli stojącej przy tym samym doku co magazyn, który wczoraj przetrząsnęliśmy. Tak jak się spodziewaliśmy, projekt sponsorowały Ministerstwo Kultury, miejscowe biuro turystyczne oraz izba handlowa, ale był także prywatny darczyńca. Saudyjski fundusz ochrony zabytków o nazwie al-Quds. – Brandisi zerknął na pomiętą kartkę papieru. – Dotowany przez UNESCO fundusz założono w Maroku w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku. Celem działalności jest „ochrona muzułmańskiego dziedzictwa kulturowego w Jerozolimie”.

– W Jerozolimie? – powtórzył Profeta. – Co to ma wspólnego z ruiną stojącą przy opuszczonym doku na przedmieściu Rzymu?

– To mogło być w ramach wymiany kulturalnej – zauważył Rufio, odnosząc się do dwustronnych projektów renowacji zabytków. – Działalność wizerunkowa. Pewnie nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

– Sprawdziłem, czy ten fundusz jest zaangażowany w inne projekty renowacyjne w naszej okolicy, i coś znalazłem. Ruiny w centrum miasta.

– Gdzie? – spytał komendant, odrywając wzrok od wydruku przedstawiającego fragmenty *Forma Urbis*.

– Tuż obok Piazza del Colosseo.

– Obok północno-wschodniej bramy, przy Via del Colosseo?

Brandisi spojrział ponownie na kartkę.

– Tak – potwierdził ze zdziwieniem. – Renowacja koszar gladiatorów tuż obok Koloseum. Skąd pan wiedział?

Profeta wskazał wydruk obrazu ze strzaskanego monitora.

– Tam znajduje się brama widoczna na tych fragmentach *Forma Urbis*. – Profeta odwrócił się do Rufia. – Wyślij w okolice Koloseum cztery radiowozy. Ci złodzieje antyków wciąż mogą tam być.

– *Comandante*, jest pan pewien? – zapytał Rufio, któremu drgnął mięsień w policzku. Wiedział, że Profeta nie słyszał słów, które nie dawały mu spokoju od chwili, gdy godzinę temu odwieszał słuchawkę automatu telefonicznego w bocznej uliczce.

„Jeśli odkryją wykopalisko pod Koloseum, wiesz, jakie środki będzie musiał przedsięwziąć Saladyn” – rzekł cicho rozmówca.

„Ale na placu wokół Koloseum są setki turystów! – zaprotestował Rufio. – To nie to samo co puste nabrzeże, które można wysadzić w powietrze...”

Lecz odpowiedział mu tylko nagrany głos operatorki, która wygłosiła komunikat w języku arabskim.

## 15.

Tatton i Mildren wracali do siedziby firmy niczym wodzowie po zwycięskiej bitwie. Jonathan podążał za nimi, spoglądając na fasadę pałacu. Lśniła w zimowym słońcu tak, jak jego przyszłość w

kancelarii Dullinga. Siedem lat temu płonąłby z radości, gdyby udało mu się odkryć tajemną inskrypcję na kawałku *Forma Urbis*; zapewne poświęciłby jej rozprawę naukową. Teraz jednak uznał, że propozycja Mildrena, by potraktować powierzchnię marmuru elektryczną szlifierką, jest

sensowna.

W jego głowie znów zabrzmiał głos Tattona. „Nie zajmujemy się tu tajemnicami starożytności, Marcus”. Niemal w tej samej chwili, niczym kontrargument, rozległy się słowa Emili: „Szarif wiedział, że te fragmenty są bardzo ważne. To dlatego tam został”.

W arkadach otaczających dziedziniec pałacu zamontowano lśniące szyby, za którymi stały samochody współników firmy. Za dnia parking wyglądał jak witryna dealera luksusowych włoskich marek, takich jak Ferrari czy Alfa Romeo.

Mniej więcej na środku placu Jonathan uświadomił sobie, że nie wolno mu tak po prostu przejść nad tą sprawą do porządku dziennego. Błąd Tytusa. Nie mógł pominąć tropu, jakim był ślad działalności starożytnych szyfrantów. Jeśli w bramie gladiatorów znajduje się inskrypcja dotycząca cesarza Tytusa, to najpewniejszym sposobem naprowadzenia kogoś na jej ślad była informacja umieszczona na fragmencie *Forma Urbis*. Nawet gdyby ktoś miał na nią natrafić po upływie wielu stuleci.

– Niech to diabli! – zaklął Jonathan, odwracając się od pałacu Dullinga. Do Koloseum nie jest daleko, pomyślał. Zimą w ruinach nie powinno być wielu turystów.

Szedł prędko, jak gdyby oczy firmy wciąż były na niego skierowane. Podejrzewał, że śledztwo, które zamierza przeprowadzić, może otrzeć się o naruszenie zasady poufności wobec klienta. Nie mógł sobie pozwolić na zostawienie jakichkolwiek śladów. Z Piazza della Repubblica skręcił w wąską alejkę, mijając niewielką renesansową wnękę, w której stał posąg Matki Boskiej otoczony świeżymi kwiatami, złożonymi przez okolicznych wiernych. Jonathan biegł brukowaną uliczką, a następnie wspiął się po białych marmurowych schodach.

Gdy znalazł się na piazza Venezia, wiatr się wzmógł. Słowa *Error Titi* wyryto na wewnętrznej stronie tych fragmentów *Forma Urbis* po to, by wskazać konkretną bramę Koloseum. Jonathan potrząsnął głową, jak gdyby chciał wyrzucić z niej to przekonanie. Jednak znany dobrze historykom starożytności dreszcz już się w nim obudził. Poczucie bliskości odkrycia było tak namacalne jak podmuchy zimnego wichru, który targał połami jego marynarki.

Gdy znalazł się na szczycie pomnika Wiktora Emanuela, w zasięgu jego wzroku ukazał się wierzchołek ruin Forum.

Forum Romanum, otwarty park archeologiczny w samym centrum Rzymu, leżało około osiemnastu metrów poniżej zatłoczonych samochodami ulic po obu stronach placu. W letni dzień starożytny chodnik byłby pełen rozwrzeszczanych przewodników wycieczek i hałaśliwych dzieci. Jednak w chłodne i pochmurne zimowe popołudnie otoczone mgiełką, śpiące ruiny wyglądały smutniej niż zwykle.

Wprawne oko Jonathana widziało w leżących kolumnach i marmurowym gruzie milczące duchy tętniącego życiem targowiska oraz starożytnych gmachów, które niegdyś stały w centrum cesarstwa rzymskiego. Świsł wiatru niczym niepokojące memento przypominał, że wielkie cywilizacje nader szybko znikają w mgle historii.

Jonathan biegiem pokonał bramę. Znalazłszy się na Via Sacra, poczuł pod podeszwami butów nierówności starożytnego chodnika.

Znów zaczęło padać, lecz jego długie nogi nie zwolniły ani na moment. Lekko zgarbiony przemierzał ruiny, mijając Łuk Septymianusa Sewera, nadpalone kamienie siedziby starożytnego notariusza publicznego i cytrynowe kolumny świątyni. Przyspieszył jeszcze bardziej, gdy wyłoniła się przed nim sylweta Koloseum.

Piazza del Colosseo to ogromny plac pokryty kocimi łbami. Nawet o tej porze roku pełen jest przewodników, w najrozmaitszych językach przekrzykujących się handlarzy pamiątek z naręczami

przycisków do papieru w kształcie Koloseum. Pod łukami stali miejscowi w strojach gladiatorów, uderzając mieczami w plastikowe zbroje. Inkasowali po dwa euro za zdjęcie.

Pod ogromnymi pilastrami z piaskowca i trawertynu widać było stoliki sprzedawców pamiątek. Czteropiętrowe klasyczne łuki lśniły w promieniach popołudniowego słońca.

– Marcus Aurelius! – zawołał ktoś tuż obok niego. Głos przestraszył Jonathana, a na jego plecy z dużą siłą spadła czyjaś ręka w przyjacielskim klepieniu.

Jonathan rozpoznał Chandlera Manninga. Mężczyzna wyglądał mniej więcej tak samo jak przed laty w bibliotece Akademii Amerykańskiej. Był niski i korpulentny i miał te same nieuczesane włosy, zachodzące na uszy. Widoczna pod pomiętym granatowym blezerem koszula częściowo wystawała ze spodni. Chandler zrzucił nieco wagi, ale wciąż było to zbyt mało.

– Patrzcie, kto do nas powrócił! – rzekł, unosząc pulchne ręce. Był niższy, niż Jonathan zapamiętał. W prawej dłoni trzymał rozsunięty wskaźnik z purpurowym piórem na wierzchu, a za nim podążała grupka turystów. Truchtał przez chwilę, potykając się na kocich łbach, by nadążyć za szybkim krokiem Jonathana.

Ten zatrzymał się i wyciągnął rękę. Chandler odtrącił ją żartobliwie i po męsku uściśnął starego kolegę.

– Jak się masz, Chandler – przywitał się Jonathan.

Kiedy był na studiach podyplomowych w Akademii, Chandler pracował tam jako bibliotekarz. Mówił z niewyraźnym brytyjskim akcentem, wysuwając nieco szczękę. Był Amerykaninem, lecz spędził wiele lat za granicą. Talent językowy pozwolił mu wyzbyć się ojczyztego akcentu, dzięki czemu mało kto by odgadł, że Chandler pochodzi z małej górniczej miejsciny w północno-zachodniej części Oregonu.

– Panie i panowie – zaczął, odwracając się do ustawionej w półkole grupki turystów. Bez najmniejszego wysiłku przeszedł na niemiecki. – To prawdziwy zaszczyt. Przedstawiam laureata Nagrody Rzymu, który olśnił wszystkich kolegów.

Turyści z entuzjazmem pokiwali głowami, jak gdyby pokazano im pomnik, którego nie było w programie wycieczki. Ktoś zrobił sobie z nim zdjęcie.

– Siedem lat, Aureliusz, czyż nie? – Chandler miał zwyczaj nadawania wszystkim przydomków, tak jakby automatycznie brał ich w posiadanie. Marek Aureliusz był rzymskim cesarzem, który rządził od 161 do 180 roku naszej ery. – Wciąż pamiętam, jak uganiałeś się po Forum – oznajmił, z nostalgicznym uśmiechem nachylając się do Jonathana. – Określiłbyś wiek tych kamieni z dokładnością do jednego roku, co?

– Przeceniasz mnie, Chandler – odparł uprzejmie Jonathan. – Jak ci się żyje w otoczeniu starożytnych obiektów kultu?

– Teraz zajmuję się nowoczesnymi obiektami kultu. – Chandler wręczył Jonathanowi kartkę pokrytą zielonymi wzorami, nieco przypominającymi kręgi zbożowe. Napis głosił: RZYMSKA KABAŁA. WIECZNA MĄDROŚĆ W WIECZNYM MIEŚCIE. – Jeśli będziesz czegoś potrzebował, dzwoń pod ten numer, Aureliusz. Albo po prostu przyjdź. Jestem w okolicy.

– Kabała? – zdumiał się Jonathan. – Chyba nie traktujesz tego poważnie, Chandler?



Ten wzruszył ramionami.

– Dzięki komercyjnemu mistycyzmowi i odrobinie przedsiębiorczości można teraz wiele zwojować. Niedawno kupiłem za bezcen bibliotekę zmarłego okultysty przy Campo dei Fiori. Lokal jest wprost magiczny, czasem daję po dwa wykłady w jeden wieczór. Postawiłem dziewczynę w recepcji, można płacić kartą kredytową.

Jonathan nie był zaskoczony tą informacją. Pamiętał, jak Chandler oczarowywał całe zastępy uczonych, którzy przychodzili na drinka do Thermopolium – pubu znajdującego się obok Akademii Amerykańskiej. Popisując się swoją fotograficzną pamięcią przed ładną włoską barmanką, umiał powiązać benedyktyńskie księgi z egipską astrologią i stworzyć teorię, według której Sfinks jest wizerunkiem świętego Pawła. Był to naturalnie nonsens, lecz w tych sztuczkach Jonathana razila jedynie skłonność Chandlera do maskowania swojej nadzwyczajnej umiejętności syntezy ogromnego materiału historycznego, pochodzącego z wielu różnych stuleci, oraz błyskawicznego przywoływania szczegółów.

– Zdaje się, że odnalazłeś swoje powołanie.

– A ty? – Chandler nachylił się blisko do Jonathana. Nagle zrobił śmiertelnie poważną minę.  
– Twoje odejście obrosło mitologią. – Odsunął się, jak gdyby chciał dodać powagi temu stwierdzeniu. – Tak, mitologią. Po tamtej tragedii w katakumbach obłożono cię czymś w rodzaju *damnatio memoriae*. – W starożytnym Rzymie istniała tradycja zamazywania inskrypcji i niszczenia twarzy pomników poprzednich cesarzy. – Pamiętasz, że na ścianie salonu w willi akademii wiszą portrety byłych laureatów Nagrody Rzymu? Twoja podobizna została zdjęta. Bezczelność, powiadam ci.

Jonathan zerknął na długą kolejkę turystów przed Koloseum.

– Chandler, okropnie się spieszę, ale miło cię znów widzieć. Naprawdę.

To powiedziawszy, zaczął się oddalać z uśmiechem na ustach, trzymając w ręku wizytówkę Chandlera, jakby zamierzał ją wykorzystać.

Chandler skierował wskaźnik w stronę Jonathana, trzymając go jak floret.

– Jeszcze jedno.

Stuknął Jonathana wskaźnikiem w środek klatki piersiowej w żartobliwie groźnym geście, po czym zwrócił się po niemiecku do swojej grupy turystów.

– Czy wspomniałem, że pan Marcus był nie tylko uczonym, lecz także doskonałym szermierzem? – W tym momencie przeszedł znów na angielski. – Mistrz uniwersytetu Columbia w szabli, nieprawdaż?

– City College, Nowy Jork.

– To jeszcze lepiej. Ci wielkomięjscy snobi nie umieją posługiwać się niczym oprócz floretu.

Jonathan zerknął ponad ramieniem Chandlera.

– Słuchaj, ja naprawdę...

– Daj spokój, stary. Tylko jeden mały punkcik na pamiątkę dawnych czasów.

Chandler wyjął z kieszeni marynarki drugi wskaźnik, rozciągnął go na pełną długość i podał Jonathanowi, a następnie przyjął klasyczną pozycję nacierającą z ugiętymi nogami. Zamachał w powietrzu purpurowym piórkiem.

– Kiedy indziej – rzekł Jonathan, zmuszając się do uśmiechu. – Obawiam się, że jestem...

Jonathan zrobił krok w lewo, usiłując grzecznie ominąć natręta, lecz Chandler zastąpił mu drogę, wciąż utrzymując pozycję szermierczą. Stuknął dwa razy wskaźnikiem we wskaźnik,

który wręczył Jonathanowi, prowokując go do walki. To idiotyczne, pomyślał Jonathan. Gdyby tak bardzo mu się nie spieszyło, przeczekałby spokojnie show Chandlera, lecz wokół zaczęli gromadzić się turyści. Niechętnie uniósł wskaźnik, a gdy Chandler rzucił się do ciosu, Jonathan zręcznie podbił jego broń tak, że frunęła w powietrze i wylądowała w dłoni Jonathana. Następnie wykonał zwrot i pchnął Chandlera w pierś tak mocno, że wskaźnik złożył się do pierwotnej postaci. Złudzenie, że przyrząd wbił się w pierś przewodnika, było tak rzeczywiste, iż niektórzy turyści spoglądali na plecy Chandlera, spodziewając się ujrzeć tam ostrze wskaźnika.

Chandler zaczerwienił się, zmieszany, lecz wnet wybuchnął śmiechem.

– Zawsze byłeś o jedno tempo szybszy. – Odchodząc z uniesioną ręką, Chandler dał turystom znak, by ruszyli za nim. – Punkt dla ciebie, Aureliuszu, ale zwycięstwo w meczu będzie moje!

## 16.

Obok Piazza del Colosseo zaparkowała policyjna przyczepa z otwartymi drzwiami, służąca *carabinieri* jako kwatera polowa. Rosły funkcjonariusz rozpostarł na małym składanym stoliku plan patroli Koloseum i przykucnął, by zaznajomić z nim Profetę i Rufia.

– Kamery rozmieszczone przed Koloseum pokazują zespół konserwatorów pracujących w szkole gladiatorów po przeciwnej stronie Via del Colosseo.

Funkcjonariusz nie odrywał wzroku od mapy i czuł się coraz bardziej nieswojo, gdyż jego podwładni zaniedbali swoje obowiązki i nie sprawdzili pozwoleń konserwatorów na działalność. Powinni kontrolować każdy rodzaj działalności prowadzonej tak blisko słynnego zabytku.

– Ci ludzie przez dwa tygodnie w biały dzień pracowali trzydzieści metrów od Koloseum, nie mając ani jednego zezwolenia? – spytał beznamytnie Profeta, starannie maskując gniew. Po zamachu bombowym w Londynie władze Rzymu obiecały zapewnić całkowite bezpieczeństwo najpopularniejszym atrakcjom turystycznym, a oto, jak wyglądała rzeczywistość. Przed kilkoma laty, w 2002 roku, *carabinieri* natrafili na znaczne ilości związków na bazie cyjanku w tunelach pomocniczych pod Via Veneto, nieopodal ujęcia wody. Profeta bał się pomyśleć, co grupa sprawnych łotrów mogła osiągnąć, mając dostęp do sieci tuneli pod Koloseum.

– Znajdowali się w zasięgu zewnętrznych kamer obserwacyjnych – oznajmił funkcjonariusz. – Przeglądamy je, by sprawdzić, czy jakiś policjant rozmawiał z tymi ludźmi.

– Co to za kamery? – spytał szorstko Rufio.

– Ochrona przed wandalami – odparł Profeta. – Ministerstwo Kultury zleciło rozmieszczenie kamer wokół najważniejszych ruin Rzymu, by zapobiec działalności graficiarzy.

Obecność kamer wzbudziła kontrowersje wśród starszych rzymian, którzy obawiali się działalności władz, wciąż mając w pamięci faszystowskie rządy przed półwieczem. Jednak Profeta napisał list, w którym bardzo zdecydowanie poparł zamysł resortu. Wandalowie już raz spustoszyli Rzym, pisał, nawiązując do najazdu w piątym wieku. Nie wolno dopuścić, by uczynili to powtórnie.

– Jest pan pewien, że *municipio* nie ma żadnych informacji o pracach na tym terenie? – spytał wyraźnie zaniepokojony Rufio. – Nadzorca archeologiczny powiedział, że nie odnotowano kradzieży sprzętu ani samochodów.

– Ci byli zawodowcami – odparł Profeta. – Sami zbudowali rusztowanie i przywieźli własne narzędzia.

W tylnych drzwiach przyczepy pojawił się Brandisi.

- Ludzie z biura nadzorca archeologicznego otworzyli bramę koszar gladiatorów.
- Poruczniku Rufio, proszę wejść razem z nimi do środka i sprawdzić, czy są tam ślady nielegalnych wykopalisk.

Mimo przenikliwego wiatru Rufio pocił się, przechodząc przez ulicę oddzielającą Koloseum od starożytnych baraków, które wyglądały teraz jak półkolista odkrywka archeologiczna z ruiną z omszałych cegieł pośrodku. Mało kto tutaj zaglądał, gdyż znajdowała się dosłownie w cieniu wschodniej ściany Koloseum. Rufio wiedział jednak, że mała arena obok koszar jest jednym z najlepiej zachowanych otwartych rzymskich wykopalisk.

Przy bramie prowadzącej do schodów ruin Rufio zauważył dwóch pracowników biura nadzorca archeologicznego. Było ono urzędem zatrudniającym archeologów i inżynierów, których zadanie polegało na ochronie zabytków archeologicznych miasta przed współczesnymi zagrożeniami, od nielegalnych wykopalisk poczynając, a na postulowanej budowie metra kończąc. Biuro słynęło z korupcji, lecz Rufio zaklął pod nosem na widok dwojga urzędników w średnim wieku. Przysadzista kobieta i łysiejący facet w binoklach byli jedynymi nieprzekupnymi pracownikami urzędu i akurat na nich musiał trafić.

Wbrew poleceniu komendanta Rufio kazał inspektorom zostać przy bramie, po czym wszedł do wnętrza ruin. Jego zdecydowana gestykulacja i szorstki ton przekonująco sugerowały, że chodzi o bezpieczeństwo urzędników, lecz w rzeczywistości Rufio chronił tylko siebie. Musiał zatrzeć wszelkie ślady nielegalnych wykopalisk w koszarach.

Zszedł po schodach i ze złością stanął na wilgotnym mchu. Czemu nikt nie poinformował go o kamerach? Lada dzień jakiś młodszy funkcjonariusz otrzyma zadanie obejrzenia nagrań i zobaczy porucznika Rufia we własnej osobie, stojącego w zeszłym tygodniu obok ruin i pilnującego, by policja nie przeszkadzała w pracach.

Rufio kroczył wzdłuż zapadniętych łuków koszar gladiatorów. Sześć metrów nad chodnikiem, na którym stał, znajdowały się zatłoczone, hałaśliwe ulice. Na szczęście poranna ulewa zmyła wszystkie odciski stóp.

Tak jak należało się spodziewać, ludzie Saladyna nie powiedzieli Rufiowi, czego szukają. Jego to zresztą nie obchodziło. Oni mieli dostęp do ruin starych koszar, nie niepokojeni przez policję, a Rufio zainkasował dwadzieścia tysięcy euro w walizce, którą położono na krzeselku kafejki przytulonej do wschodniej ściany ruin.

Rufio zakończył obchód i odetchnął z ulgą. W ruinach nie było ani śladu wykopalisk.

Wyszedł na zewnątrz, nie zwracając uwagi na dwoje inspektorów, wciąż czekających na niego przy bramie. Przeszedł Via del Colosseo, szybkim krokiem minął ulokowane tam kawiarenki i skręcił w cuchnącą średniowieczną alejkę, pośrodku której stał automat telefoniczny.

Ze słuchawką przy uchu nerwowym ruchem skręcił papierosa i zwilżył śliną papier. Telefon dzwonił w nieskończoność, a on zaciągał się raz po raz. Wreszcie usłyszał pisk automatycznej sekretarki.

- Nikt nie odkryje miejsca wykopalisk – oznajmił drżącym głosem Rufio. – Inne środki bezpieczeństwa nie są konieczne. Powtarzam, inne środki bezpieczeństwa nie są konieczne.

Wrócił do ruin koszar i z przerażeniem zobaczył, że Profeta i Brandisi przechadzają się wśród starożytnych łuków.

- Nie ma śladów nielegalnych wykopalisk, *comandante!* – zawołał, zbiegając po stopniach.

Profeta skinął głową.

– Tu w ruinach ich nie ma. – Wskazał na betonową ścianę biegnącą wokół koszar. – Ale obawiam się, że ci ludzie wykorzystali to wykopalisko jako przejście do Koloseum.

– Przejście do Koloseum? – zdziwił się Brandisi. Wskazał dłonią czteropasmową ulicę okrążającą budowlę. – Ależ koszary oddziela od Koloseum Via del Colosseo, *comandante*.

– Tylko nad ziemią, poruczniku – zauważył Profeta. – W starożytności koszary połączone były z areną tunelem, którym przechodzili gladiatorzy.

Komendant szedł wzdłuż ruin, uważnie przyglądając się pochylonej ścianie. Dotarł do pociemniałej klapy z zardzewiałym zamkiem zabezpieczonym kłódką. Kłódka była tak skorodowana, że Profeta nie mógł jej nawet dźwignąć. Uklęknął na mchu i spojrzał na ziemię. Pod brązową rdzą lśniło nowoczesne tytanowe podłoże.

– Natychmiast podnieście tę klapę.

## 17.

Jonathan przemknął zygzakiem między stojącymi w kolejce do Koloseum turystami, a następnie ominął liny otaczające zewnętrzny obwód ruin. Ubrani w swetry bileterzy siedzieli w rzędzie za długą szybą niczym kasjerzy w okienkach banku. Przekrzykując terkotanie kołowrotek, sprzedawali bilety, słuchawki oraz broszurki.

– Poproszę bilet dla dorosłej osoby oraz słuchawki – rzekł grzecznie Jonathan do kobiety w okienku. Dzięki słuchawkom będzie się mniej wyróżniał, chodząc samotnie po ruinach.

Koloseum odwiedzało codziennie prawie dziesięć tysięcy osób, ruiny stanowiły więc najpopularniejszą atrakcję turystyczną Włoch. Był to jednak zaledwie ułamek liczby sześćdziesięciu tysięcy Rzymian, którzy w starożytności zapełniali stadion, by oglądać walki na arenie.

Jonathan przeszedł przez kołowrotek i znalazł się w olbrzymim wnętrzu Koloseum, przypominającym owalny kamienny krater okolony setkami łuków wykutych w ścianach. Każdy historyk musiał podziwiać trwałość Koloseum w obliczu najprzeróżniejszych kataklizmów. Trzęsienia ziemi naruszyły amfiteatr w 442 i 508 roku, a w roku 1349 zamieniono go w twierdzę.

Odchyliwszy głowę, Jonathan spojrzał na ogromny eliptyczny kształt o powierzchni około dwóch hektarów. Na najwyższym poziomie widać było nacięcia w kamieniu, służące do rozwijania nad publicznością ogromnego *velarium*, czyli płóciennego zadaszenia. Pierwszy w świecie ruchomy dach na stadionie. Architektura Koloseum była bardzo skomplikowana. Schody prowadziły między poziomami do siedzenia, na każdej kondygnacji znajdowało się osiemdziesiąt łuków. Liczby wyryte nad wejściami przypominały nowoczesny system kontroli miejsc. W centrum Koloseum znajdowało się teraz stanowisko wykopaliskowe, pozwalające zobaczyć labirynt podziemnych ceglanych korytarzy, który niegdyś znajdował się cztery piętra pod powierzchnią areny. W murarce wciąż tkwiły starożytne metalowe zawiasy, które utrzymywały kołowroty i bloki. Za ich pomocą wciągano gladiatorów i zwierzęta na arenę. Niewielu ludzi ma świadomość, że Koloseum było niezwykle nowoczesnym obiektem.

W cieniu kamiennych łuków śmigały kawki. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić, jak strasznym miejscem było niegdyś Koloseum. Powietrze wypełniał smród zabitych zwierząt, a na arenie ginęły całe rzesze ludzi. Straszliwa historia Koloseum wciąż nadaje mu wymiar realnego

symbolu politycznego. Rzym uczestniczy w programie Cities for Life, dlatego za każdym razem, gdy gdzieś na świecie unieważniany jest wyrok śmierci, blask reflektorów oświetla wielki uniesiony kciuk. Stanowi on nawiązanie do gestu starożytnych cesarzy, którzy w ten sposób nakazywali oszczędzić życie gladiatora.

Jonathan wszedł do przeszklonego muzealnego sklepiku i kupił niewielką mapę ruin oraz pamiątkową latarkę z lśniącym napisem *Przeżyłem Koloseum*. Sprawdził latarkę, wiedząc, że naturalne światło może się okazać niewystarczające tam, dokąd zmierzał. Przyłączył się do jednej z grup turystów, które przemierzały arenę z regularnością wskazówek zegara.

– *Ave Cezar!* – zawołał australijski przewodnik. – Idący na śmierć w Koloseum pozdrawiają cię!

Mniejsza o to, że amfiteatr Flawiusza nazwano Koloseum dopiero w szóstym wieku naszej ery. Był to pospolity błąd historyczny. Jonathan jęczał, ilekroć Russell Crowe w *Gladiatorze* wypowiadał nazwę „Koloseum”, która powstała dopiero setki lat po upadku Rzymu.

Jonathan oddalił się od grupy, okrążając metalowy parkan otaczający arenę. Zaczął przyglądać się uważnie wysokim architravom, nad którymi widniały rzymskie liczby.

Zatrzymał się przed łukiem pozbawionym oznaczenia. Zgodnie z informacją na mapie była to *Porta Sanavivaria*, brama, którą na arenę wchodził gladiatorzy. Cienki zardzewiały łańcuch wskazywał, że brama jest zamknięta dla turystów. Hipogeum, labirynt podziemnych tuneli pod Koloseum, odkryto dopiero w dziewiętnastym wieku, dzięki czemu zachował się w prawie nienaruszonym stanie. Odcięte od świata podziemne komory zawdzięczały przetrwanie zapomnieniu, potwierdzając stare porzekadło konserwatorów zabytków, którego Emili nauczyła przed laty Jonathana. *Quae amissa salva*. „To, co zagubione, jest bezpieczne”.

Jonathan przekroczył łańcuch i znalazł się ciemnej apsydzie. Obrócił trzonek latarki i skierował światło na średniowieczną klatkę schodową, prowadzącą w dół. Otwór wejściowy przesłaniały widmowe białe korzenie; Jonathan rozsunał je niczym kotarę z paciorków. Gdy zstępował w dół, owionął go kwaśny wilgotny zapach.

Schody stały się coraz bardziej strome. Po chwili dotarł do podziemnego tunelu z cegły. Posadzka była śliska; Jonathan posuwał się dalej, dla utrzymania równowagi opierając dłonie o ściany. Dzielne światło, które wpadało do klatki schodowej, zamieniło się w zielonkawą poświatę, odbijając się od pokrywającej ściany warstwy porostów. Jonathan podniósł kołnierz marynarki; wilgotne powietrze było tutaj o dziesięć stopni zimniejsze niż na powierzchni. Trzy i pół metra pod ziemią argumenty, których użył w rozmowie z Mildrenem, raptownie straciły swą wyrazistość i Jonathan sam zaczynał w nie wątpić. Co oznacza monument w imię Józefa Flawiusza? Czego szukać? Prawie nikt, kto ujrzał te korytarze, nie przeżył. Jak w tych tunelach można było ukryć jakikolwiek monument?

Ściany końcowej części korytarza pokrywała gruba warstwa mchu i purpurowych korzeni, przypominająca rafę koralową. Jonathan wiedział, że roślinność pod areną Koloseum w znacznej mierze pochodzi z Afryki i Azji Mniejszej, gdyż w starożytności nasionka roślin spadały z futer tygrysów i lwów przywiezionych do Rzymu, by walczyły w Koloseum. W ciągu stuleci dziesiątki gatunków roślin zakorzeniło się w labiryncie i wypuściło pędy przez kratki kanałów ściekowych.

Jeszcze przed zakrętem korytarza Jonathan zauważył na ścianach ślady prymitywnych prac archeologicznych. Natychmiast rozpoznał szerokie ślady uderzeń siekier i elektrycznych

szlifierek, stanowiące typowe pozostałości nielegalnych wykopalisk. Ściana korytarza na znacznej długości została potraktowana bardzo brutalnie.

Na końcu tunelu dostrzegł blade, lecz nabierające intensywności światło. Jasna plama wędrowała po ścianie w górę i w dół. Jonathan szybko oddalił się od źródła światła, schylając się pod niskim poszarpanym sklepieniem.

Skręcił w niewłaściwą stronę i po chwili zauważył, że korytarz wygląda zupełnie inaczej niż przed chwilą. Zgasił latarkę, nie chcąc się zdradzić. Ukrył się we wnęce i zastygł w bezruchu, powstrzymując

oddech. Ludzie prowadzący nielegalne wykopaliska nie wahali się zabijać.

Odgłos kroków stał się głośniejszy. Nagle idący zatrzymał się, jakby wyczuwając obecność Jonathana, który momentalnie przywarł do ściany. Biały snop światła przybliżał się, oświetlając po kolei każdą niszę w poszukiwaniu intruza.

Jonathan przyciskał się coraz mocniej do ściany i nagle z przerażeniem uzmysłowił sobie, że występ kamienia wcisnął klawisz słuchawek, które miał na głowie. Z głośników popłynął śpiewny głos mówiący po francusku, który rozniósł się po całym korytarzu. *Bienvenue au Colisée...*

Światło błyskawicznie skierowało się w jego stronę i Jonathan rzucił się w ciemność, rękami obmacując ściany. Blask stawał się coraz mocniejszy, a on, poruszając się coraz szybciej, nie był w stanie wyczuć ostrych zakrętów korytarza. Biegnąc, rąbnął czubkiem głowy w sklepienie tunelu. Piekący ból dotarł aż do szyi, jak gdyby Jonathan go połknął. Uklęknął w milczeniu, trzymając się za głowę. Palcami wyczuł na włosach wilgoć krwi. Snop światła z latarki zatrzymał się na jego zgiętej postaci, częściowo ukrytej w niszy. Jonathan zmrużył oczy i spojrzał w stronę źródła blasku.

– Moment...! – wykrztusił, wyciągając przed siebie ręce. Przez chwilę niczego nie widział.

Nigdy by nie przypuszczał, że rozpozna głos dobiegający zza światła. Nagle zobaczył rozpięty płaszcz i szary kostium, który widział rano na sali sądowej.

– Niech zgadnę – odezwała się Emili. – Przyszedłeś tutaj gromadzić dowody.

## 18.

Ahmed uderzał kilofem w ścianę gruzu tarasującą akwedukt pod Wzgórzem Świątynnym w Jerozolimie. Po każdym ciosie do tunelu wpadało więcej światła. Profesor wysunął się przed Saladyna, mrużąc

oczy. Otwór rozszerzał się, a historyk doznawał niemal religijnej ekstazy uczuć, spoglądając w olśniewające światło i czując na twarzy powiew wiatru niosącego kurz. Jednak gdy jego wzrok oswoił się z blaskiem i obraz nabrał konturów, profesor Cianari oniemiał ze strachu.

Za ścianą otwierała się wielka grotta o rozmiarach hali sportowej. Potężny reflektor umocowany w żelaznej obręczy oświetlał ogromny plac budowy. Otwór tunelu znajdował się sześć pięter nad dnem groty, w której panował hałas typowy dla małej metropolii: jeździły buldożery, a kilkudziesięciu robotników w kefiach uwijało się z taczkami pełnymi ciosanych kamieni, gruzu i potłuczonego szkła. Na wyciągarkach kołysały się kubły z ceramiką.

Operator siedział w szklanej kabinie potężnej maszyny z łychą wielkości samochodu. Profesor z trudem hamował gniew, widząc, jak łycha wbija się w ścianę groty. W stosach pokruszonych

kamieni mieniły się tysiące kawałków szkła z czasów starożytnego Rzymu. Gdy maszyna odjeżdżała od ściany, towarzyszył jej chrzęst kruszonych terakotowych waz i innych zabytkowych przedmiotów.

Spojrzawszy do góry, Cianari zobaczył naturalne sklepienie skalnej groty pełne ostrych występów. Trzydzieści metrów wyżej ludzie wielu wyznań gromadzili się, by oddawać cześć swoim bogom na placu Muru Zachodniego, w meczecie Al-Aksa i w klasztorze Sióstr Syjonu. Nie zdawali sobie sprawy, że głęboko w skale jednego z najbardziej uświęconych miejsc na ziemi ktoś prowadzi tak intensywną działalność.

– Dochodziły do mnie pogłoski o nielegalnych wykopaliskach pod Wzgórzem Świątynnym, ale nie wyobrażałem sobie czegoś takiego – wykrztusił Cianari. Dopiero teraz pojął, dlaczego zarząd Waqf odmawiał wpuszczenia tutaj śledczych ONZ, powołując się na pochodzący z czasów otomańskich edykt o zarządzaniu Wzgórzem Świątynnym i nie bacząc na zdanie izraelskich władz oraz okolicznych chrześcijańskich patriarchatów. – To pan spowodował te spustoszenia, prawda? – spytał. Jego twarz poczerwieniała od gniewu.

– Wolę określenie „wykopaliska” – odparł Saladyn.

– Pańscy ludzie są tutaj od miesięcy – zauważył profesor, wskazując niezliczone ślady uderzeń toporów na powierzchni piaskowca. – Dlaczego mnie pan ściągnął, żebym szukał miejsca, w którym tunel prowadzący od Świątyni łączy się z tą grota?

– Kapłani nosili zabytkowe przedmioty po moście akweduktu, który niegdyś spinał ściany tej jaskini – oznajmił rzeczowo Saladyn. – Aby znaleźć koniec nieistniejącego już mostu...

– ...trzeba odnaleźć miejsce, w którym most się zaczynał – dokończył zrezygnowanym tonem profesor.

– Już je odnaleźliśmy – odrzekł Saladyn, wskazując miejsce, w którym tunel łączył się z grota. – Teraz pozostało tylko znaleźć dalszą część tunelu po drugiej stronie jaskini.

Saladyn i profesor zjechali na napędzanym elektrycznie aluminiowym wysięgniku na dno groty. Zajęło to prawie pół minuty.

– Nie może pan mieć pewności, że taki pomost między ścianami kiedykolwiek istniał! – zawołał Cianari, przekrzykując zgiełk pił mechanicznych i silników buldożerów.

Arab przeszedł na drugą stronę groty i wskazał stół do cięcia drewna.

– Owszem, mogę.

Na widok tego, co znajdowało się na blacie stołu, profesor zapomniał o zgiełku maszyn, okrzykach arabskich robotników oraz woni haszyszu, mieszającej się z zapachem dieslowskiego paliwa i asfaltu.

Leżała tam jedenastowieczna mapa z epoki krzyżowców, przedstawiająca ruiny rzymskiego akweduktu, który łączył kiedyś ściany groty.

– To oryginalny plan Wzgórza Świątynnego, sporządzony w czasach krzyżowców. Myślałem, że ani jeden się nie zachował – wyjąkał Cianari. – Gdzie pan go znalazł?

Saladyn milczał, co świadczyło o tym, że profesor dotknął zagadnień zbyt świętych, by o nich mówić. Arab wciąż doskonale pamiętał instrukcje dziadka, jak dotrzeć do planu, który ten prawie uznał za zaginiony.

– W asyryjskim skrzydle Muzeum w Bagdadzie jest mapa... – tłumaczył wnukowi mufti w piwnicy domu w Bejrucie. Nagle zaniósł się dławiącym kaszlem. Pod koniec życia cierpiał na

chroniczną chorobę płuc. – Mapa Wzgórza Świątynnego.

Saladyn znalazł plan po dwudziestu latach. Sposobność nadarzyła się w 2003 roku, gdy amerykańska inwazja na Irak pogrążyła kraj w zamęcie. Dostał się do muzeum w przebraniu oenzetowskiego konserwatora zabytków. Adrenalina tętniła w jego żyłach, gdy znalazł się o krok od ocalenia dzieła życia dziadka. Eskortował go kościsty amerykański żołnierz, który szedł kilka kroków za Saladynem, uginając się pod ciężarem sprzętu. On zaś kroczył przez zniszczone galerie, nie zwracając najmniejszej uwagi na skorupy babilońskich waz i szkło z gablot stłuczonych przez rabusiów. Wszedł do magazynu i zobaczył w kącie zapomnianą drewnianą skrzynię z namalowaną czarną turecką szablą, symbolem Handschar, oddanego pod dowództwo muftiego. Miał poczucie zbawienia, jakiego nie może dać żadna religia.

– Powiniennem o tym zameldować – rzekł nerwowo młody amerykański żołnierz, gmerając przy walkie-talkie, lecz zanim nacisnął klawisz, Saladyn rozpiął kaburę przy jego pasie, wyjął z niej pistolet Beretta i przyłożył do obojczyka pod kamizelką ochronną.

– Wcale nie – powiedział, naciskając spust. Pocisk przeszedł na wskroś klatki piersiowej.

\* \* \*

– Droga ewakuacyjna najwyższego kapłana prowadziła tędy. – Saladyn wskazał przeciwległą ścianę grotty. – Tam ukrył jedyny skarb, którego poszukiwał Tytus.

– Czemu miałbym panu pomagać w znalezieniu tamtego tunelu? Po to, żeby mógł pan ogołocić go ze wszystkich zabytków pochodzenia judeochrześcijańskiego? – spytał Cianari, obserwując, jak mechaniczna łopata wbija się w ścianę. – Jestem archeologiem, a nie rzeźnikiem.

– Właśnie z tego powodu pana wybrałem – odparł spokojnie Saladyn. Wskazał głębokie otwory ziejące w przeciwległej ścianie jaskini. – Jak pan widzi, niewiele udało nam się zdziałać.

– Proszę mnie stąd zabrać – powiedział cicho Cianari.

– Odchodząc teraz, odebrałby pan sobie bezcenną szansę dokonania wielkich odkryć – zauważył Saladyn.

– Szansę zbeczeszczenia świętych zabytków pochodzących z czasów naszych patriarchów?

– Szansę ich ocalenia. – Saladyn wskazał olbrzymią maszynę. – Właśnie ze względu na brak specjalisty pana klasy konieczne było zastosowanie mniej delikatnych środków.

## 19.

– To tytanowy zamek, *comandante* – oznajmił Brandisi. – Nie mamy odpowiedniego sprzętu do jego sforsowania.

– Cofnijcie się – rozkazał Profeta. Funkcjonariusze odstąpili, a komendant odbezpieczył pistolet i trzymając go oburącz, wypalił do drzwi. Głuchy łoskot rozniósł się po ruinach, powodując panikę wśród bezpańskich kotów. Zamek odskoczył i wypadł. Drzwi stanęły otworem.

Oczom policjantów ukazał się nowoczesny sprzęt archeologiczny ustawiony pod ścianą.

Profeta podszedł do chromowanego urządzenia wielkości parasolki.

– To pistolet na hel – oznajmił z podziwem. – Kruszy kamień nagłymi uderzeniami sprężonego gazu, a nie metalowej głowicy.

– Dzięki niemu wiercili pod placem, w ogóle przy tym nie hałasując – zauważył Brandisi.



Komendant skinął głową.

– Musimy działać szybko, ci ludzie mogą wiedzieć, że tu jesteśmy.

Właśnie tego się obawiam, pomyślał Rufio.

Snop światła z latarki Profety, przebijając się przez wiszący w powietrzu brązowy kurz, padł na kratkę kanalizacji. Pomimo szumu deszczówki spływającej do kanału słychać było słabe odgłosy ruchu samochodowego na Piazza del Colosseo.

– Ten tunel łączył koszary gladiatorów z korytarzami pomocniczymi biegnącymi pod areną Koloseum – oznajmił Profeta.

Rufio rozglądał się nerwowo, na jego twarzy pojawiły się kropelki potu.

– Dobrze się czujecie, Rufio? – zapytał dowódca.

– Jasne, *comandante!* – odparł tamten. Zdenerwowanie ścisnęło go za gardło.

Zrobił pewną siebie minę, lecz jak nikt inny znał grożące im niebezpieczeństwo. Ci, którzy prowadzili te wykopaliska, bez wahania wysadziliby tunel, nie bacząc na obecność ludzi.

Szum samochodów ucichł i niebawem w suchym tunelu słuchać było jedynie odgłosy kroków. Profeta spojrział na Brandisiego.

– Wygląda to tak, jakby kopali tu Jekyll i Hyde.

– Już zna pan nazwiska winowajców? – zdziwił się Brandisi. *Il Profeta* widzi wszystko.

– To takie angielskie powiedzonko – odparł komendant. – Pracowało tu dwóch ludzi o odmiennych osobowościach. – Profeta skierował światło na stos pokruszonych cegieł i kamieni.

– W tym miejscu widać metodyczne działanie, rękę kogoś, kto ma przygotowanie naukowe i szykuje te kawałki do dalszych badań. – Komendant oświetlił drugi stos gruzu. – Tutaj wygląda to tak, jakby ktoś zabierał się do fresku piłą łańcuchową.

Korytarz przegradzała wysoka żelazna bramka, sięgająca nieco poniżej łukowatego sklepienia z cegły.

Ze zręcznością, która zaskoczyła Rufia, dowódca chwycił metalowy pręt i oparł nogę na zardzewiałej poprzeczce. Ocierając się brodą o wierzchołek bramki, przerzucił nad nią drugą nogę i wylądował po przeciwnej stronie. Brandisi poszedł w jego ślady. Rufio zwlekał, niepewnie świecąc latarką to w jedną, to w drugą stronę korytarza. Kilkakrotnie próbował uchwycić poprzeczkę, lecz mu się to nie udawało.

– Rufio, jest pan pewien, że wszystko w porządku? – spytał Brandisi, który stał już po drugiej stronie bramki.

– Nic mi nie dolega! – warknął Rufio. – I nie pytajcie o to więcej, *sottotenente*. To rozkaz. – Po kilku kolejnych podejściach zdołał wreszcie pokonać bramkę.

Dogoniwszy komendanta, Rufio i Brandisi zobaczyli, że ten zastygł w przykulonej pozycji. Uniósł rękę, by ich uciszyć.

– Słyszycie? – zapytał szeptem.

Brandisi skinął głową. W podziemnym korytarzu niesło się echo rozmowy. Wszyscy trzej policjanci sięgnęli po pistolety.

## 20.

– Co ty tu robisz, u licha? – zapytała Emili. Jonathan wstał, wciąż lekko oszołomiony.

– Powiniennem zadać ci to samo pytanie.

Emili cofnęła się o krok.

– Odpowiedz, Jon. – Emili odsuwała się coraz dalej.

– Chyba nie sądzisz, że jestem...

– Jednym z nich? W takim razie po co tutaj zszedłeś?

– Dlatego że zobaczyłem... – Jonathan zamilkł i pokręcił głową. – Ale to tylko przypuszczenia. – Wyciągnął z kieszeni podartą serwetkę Alitalii, na której zapisał wspaniałą inskrypcję z fragmentu marmuru. – Spójrz.

Emili oświetliła chusteczkę latarką.

– Wewnątrz kamieni zapisano informację.

– Wewnątrz?

– Czasownik *illumina* jest w formie rozkazującej – tłumaczył Jonathan. – Tak jakby ktoś nakazywał obserwatorowi skierować światło na fragment kamienia. Oświetliłem powierzchnię tych fragmentów... – Jonathan na chwilę zawiesił głos. – I na wewnętrznej stronie ukazały się litery. Przesłanie steganograficzne. *Error Titi*.

– Informacja na wewnętrznej stronie kamieni – powtórzyła Emili, zamknąwszy oczy i odchyliwszy głowę do tyłu. – To dlatego w jaskini pod Jerozolimą fragmenty były oświetlone mocnymi lampami.

– Nie możesz mieć pewności, że istnieje związek pomiędzy tymi wydarzeniami – zauważył Jonathan. – To wykopalisko może być dziełem *tombaroli*, jakichś pazernych drani, którzy szukali zabytków.

Emili starła warstewkę grzybów z powierzchni ściany. Ukazał się rysunek przedstawiający walkę gladiatorów.

– Gdyby to byli *tombaroli*, to ten relief zostałby wycięty, zapakowany do pudła i wysłany do domu aukcyjnego w Londynie. To wykopalisko ma inny charakter. Ci ludzie to nie najemnicy, oni czegoś tu szukają. Jakiejś informacji.

– Emili, jeśli to prawda, czym prędzej musimy zgłosić władzom istnienie tego wykopaliska.

– Zgłosić je? Policja odgrodzi te korytarze na całe tygodnie. A ja ani myślę się stąd ruszać.

– Proszę cię, *carabinieri*...

Emili uniosła głowę. Siedem lat rozłąki znów stanęło między nimi. Podniosła kołnierz i odeszła.

– Powodzenia, Jon.

– Stąd nie dotrzesz do końca tuneli! – zawołał Jonathan. W trakcie pisania pracy doktorskiej wędrował z archeologami po podziemiach Koloseum, porównując je ze starożytnymi opisami. – One

ciągają się dobre pół kilometra. Potrzebujesz kogoś, kto już w nich był. – Emili nie zwołała kroku. – Zaczekaj. – Jonathan pokręcił głową i ruszył za nią.

Emili odwróciła się z uśmiechem.

– Z czego się śmiejesz? – spytał Jonathan.

– Wolę nie myśleć, jak będą wyglądać te drogie buty.

## 21.

Jonathan i Emili podążali korytarzem, który wił się głęboko pod ziemią. Nad ich głowami

śmigwały nietoperze. Emili oświetliła latarką świeżą wyrwę w ścianie o szerokości nieco większej niż pół metra.

– Ktoś zmasakrował te ściany. – Emili z odrazą pokręciła głową. – Używał szlifierek i pił elektrycznych. *Idioti*.

Korytarz rozszerzał się i kierował ku górze.

– Musimy być blisko Bramy Gladiatorów – oznajmił Jonathan. – Korytarz biegnie pod kątem. Starożytne źródła podają, że gladiatorzy wchodzili na arenę po rampie.

Wskazał żelazne haki na ścianie.

– To musi być *spoliarium*.

– A cóż to takiego?

– Wieszano na nich trupy gladiatorów, żeby obciekła z nich krew – wyjaśnił Jonathan. – Była dochodowym towarem. Nalewano ją do butelek i sprzedawano na Forum jako napój wzmagający męskość.

– Starożytna Viagra – zauważyła Emili, mijając Jonathana.

Łukowato sklepiony tunel dochodził do komory wykutej w litej skale. W powietrzu unosiło się mnóstwo kurzu, sufit otuliły fałdy mchu. Wzdłuż wschodniej ściany grotę biegła niewielka kamienna półka, spełniająca funkcję ławy. Na ścianach zrobiono nacięcia; Jonathan przesunął dłoń po widniejących nad nimi imionach.

– Co to za rowki?

– Odniesione zwycięstwa – odparł poważnym tonem Jonathan.

– Wielu niewolników walczyło o wolność. Każde takie nacięcie to jedno zwycięstwo na arenie. – Osobliwe świadectwa ludzkich dążeń, ostatnie rytuały wielu rzymskich jeńców.

Głęboko wyryte nad przejściem litery tworzyły napis *Damnato ad Gladium*.

– Skazani na gladiatorów – przetłumaczyła Emili.

– Kara dla jeńców wojennych i zdrajców, którzy musieli stawać przeciwko wyćwiczonym gladiatorom, ubrani w szczątkową zbroję albo bez niej. To właśnie oni zaspokajali nienasycony apetyt starożytnego Rzymu na krwawe spektakle.

Ściany pokryte były starożytnymi zapisami.

– Wszystkie te inskrypcje wykonano w różnych językach – powiedział Jonathan, rozglądając się. – Syryjski, aramejski, grecki, łaciński. Języki galijskich prowincji podbitych przez rzymską armię: Partia, Galia, Judea. To właśnie tutaj jeńcy i niewolnicy czekali przed walką na arenie. – Odwrócił się do Emili. – Stoimy w celi śmierci starożytnego Rzymu.

Wydawało się, że atmosfera tragizmu wciąż przesyca kamienną grotę. Inskrypcje były doskonale zachowane. Emili i Jonathan czuli się jak intruzi.

– Wyobraź sobie żołnierzy, którzy wywlekają stąd jeńców wojennych, a potem rzucają ich na arenę wypełnioną przez sześćdziesiąt tysięcy żądnych krwi Rzymian.

Jonathan przyglądał się imionom autorów inskrypcji.

– Spójrz tutaj. *Aliterius Actoris*.

– *Aliterius Aktor*.

– To musi być aktor *Aliterius*, którego imię często przewija się w kronikach Józefa Flawiusza.

– A teraz aktorzy teatralni skarżą się na nieprzychylnie recenzje – zauważyła Emili. – Skąd tu się wzięło jego nazwisko?

– Był ulubionym aktorem Nerona. Wykorzystywał swoje koneksje polityczne, by wpływać na jego decyzje – odparł Jonathan. –

Jednak późniejsi cesarze nie należeli do jego fanklubu.

– Na to wygląda.

Jonathan podszedł do innego miejsca.

– Klemens był rzymskim konsulem straconym za zdradę. Rzekomo przekazał poufne informacje Jerozolimie. Epafrodyt, wydawca prowokacyjnych politycznie utworów. On także zginął pod sam koniec panowania Tytusa. – Jonathan odczytał jeszcze jedno imię: – Beronike.

– Czyżby chodziło o Berenikę, córkę ostatniego króla Jerozolimy, która została kochanką Tytusa?

– To całkiem możliwe. Wiele źródeł historycznych podaje, że Tytus zerwał nagle związek z Bereniką. Opinia publiczna odrzuciła ją, gdyż Tytus sprowadził ją jako trofeum wojenne z Jerozolimy, a później się w niej zakochał. Racine napisał nawet operę tragiczną o przeklętej miłości Bereniki i Tytusa. Być może zginęła tu, w Koloseum, razem z innymi jeńcami. – Jonathan odszedł od ściany. – Wszystkie inskrypcje wyglądają, jakby pochodziły z jednego okresu. Wskazuje na to takie samo liternictwo.

– Co mają ze sobą wspólnego?

Jonathan popatrzył na ścianę.

– Wszyscy ci ludzie byli podejrzewani o to, że są szpiegami w pałacu Tytusa.

– Szpiegami? – zdziwiła się Emili. – Żartujesz.

– Na przykład Aliterius, aktor, który wykorzystywał swoje dobre stosunki z Neronem.

– Wykorzystywanie popularności do celów politycznych nie czyni kogoś szpiegiem. Gdyby tak było, wasz departament bezpieczeństwa wewnętrznego musiałby aresztować połowę Hollywoodu.

– Słusznie – zgodził się Jonathan. – Jednak imię tego słynnego ponoć aktora nie pojawia się w żadnym źródle poza pismami Józefa Flawiusza. Słowo *aliterius* oznacza „inny”, coś w rodzaju „alias”. W świecie wywiadu mówi się o kryptonimach operacyjnych. Wielu historyków sądzi, że Aliterius nie był aktorem scenicznym, lecz takim, który gra w teatrze wywiadu. Stracono go krótko przed śmiercią Tytusa.

– A Berenika? – spytała Emili. – Sugerujesz, że Tytus podejrzewał o szpiegostwo swoją nałożnicę?

– To wyjaśniałoby jej nagłe zniknięcie z kart rzymskich kronik historycznych, nieprawdaż? Józef Flawiusz wielokrotnie chwali Berenikę za jej *paedia*. W świecie starożytnym określenie to oznaczało „wiedzę stosowaną”, tak jak w słowie „encyklopedia”. Flawiusz prawdopodobnie miał na myśli coś więcej niż inteligencję. Niektórzy historycy podejrzewają, że termin ten odnosił się do strategii, a nawet szpiegostwa. Homer pisze, że Odyseusza cechowała *paedia*, gdy powrócił w przebraniu na Itakę.

Jonathan zrobił jeszcze kilka kroków wzdłuż ściany, lecz nagle przystanął.

– Mimo to nie mam pewności, że podejrzenie o szpiegostwo jest tym, co rzeczywiście łączy tych ludzi.

– A więc co?

– Nie co, lecz kto.

Jonathan zbliżył się do ostatniego imienia wrytego na ścianie większymi literami.

- Josef ben Matthias – rzekł powoli, wpatrując się w napis. – To on łączy ich wszystkich.
- Josef ben Matthias? Nigdy o nim nie słyszałam.
- Słyszałaś zromanizowane nazwisko, które przyjął po tym, jak został uwolniony po pojmaniu w Jerozolimie. Josef został obywatelem Rzymu i dodał łaciński przyrostek „us”. Tym człowiekiem był Józef Flawiusz.
- Chcesz powiedzieć, że Józef znał wszystkich, których imiona wyryte są na tej ścianie? Jonathan wrócił do początku ściany.
- Aliterius wystarał się dla Józefa o prywatne audiencje u Nerona jeszcze przed wojną z Jerozolimą. Berenika zrobiła to samo, umożliwiając Józefowi dostęp do Tytusa i jego kręgu.
- A Klemens?
- Był adwokatem, który bronił Józefa przed zarzutami o szpiegostwo.
- Co z Epafrodytem?
- Był jego wydawcą. Józef zadedykował mu nawet swoją ostatnią książkę.
- Dlaczego Tytus miałby zabijać wszystkich ludzi ze swojego dworu, jeśli... – Emili odwróciła się powoli do Jonathana. – Pamiętam twoją pracę badawczą na temat Józefa Flawiusza. Zasugerowałaś, że był szpiegiem w pałacu Tytusa.
- Nie udało mi się tego dowieść – przyznał Jonathan, kręcąc głową. – Wszyscy historycy zajmujący się Józefem Flawiuszem w ciągu ostatnich pięciuset lat dochodzili do wniosku, że zdradził Jerozolimę i wiernie służył Tytusowi.
- Wszyscy oprócz ciebie. Ale wtedy nie przejmowałaś się tym, że twoja praca stoi w sprzeczności z wynikami pięćsetletnich badań nad Józefem Flawiuszem. My wszyscy: Szarif, Gianpaolo i ja słuchaliśmy jak zaczarowani tego, co przedstawiłaś w Thermopolium.

Thermopolium. Dźwięk tej nazwy przeniósł Jonathana do kafejki w pobliżu akademii. Siedzieli przy narożnym stoliku pod dziewiętnastowiecznym portretem Garibaldiego w bitewnym stroju i opijali jego kontrowersyjny wkład w powstanie 1859 roku, skierowane przeciwko władzy Watykanu. Był to koktajl z soku pomidorowego i wódki, wciąż znany pod nazwą „Papieska Krew”.

Szarif wskazał dłonią leżącą na drewnianym stole dysertację Jonathana.

– Czy to jest ta hipoteza, którą przed nami ukrywałaś? Teoria, której strzegłaś jak bram Troi?

– Masz pojęcie, co sugerujesz? – spytał Gianpaolo, który mówił po angielsku z silnym włoskim akcentem. – Wszyscy znają Józefa Flawiusza jako największego zdrajcę starożytności.

– Sugerujesz, że wszystko to było przykrywką. – Emili mówiła tonem mniej sceptycznym niż poprzednicy. – Że Józef przeprowadził operację wywiadowczą tak skuteczną, iż uczeni po dziś dzień jej nie rozszyfrowali.

– Jon, historycy od niemal tysiąca lat uważają zdradę Józefa na rzecz Rzymu za sprawę zamkniętą i wyjaśnioną – dodał Szarif.

– I tak jest – zgodził się Jonathan. – Chyba że Józef po upadku Jerozolimy stworzył w Rzymie siatkę szpiegowską, dla której rola usłużnego nadwornego historyka była doskonałym kamuflażem.

– Uporządkujmy to – rzekł Szarif. – Załóżmy, że Józef Flawiusz nie był zdrajcą i sprzedawczykiem epoki starożytnej. Powiadasz, że napisał pochlebne kroniki Tytusa po to, by stworzyć sobie przykrywkę i działać w Rzymie jako podwójny agent? Czy to nie jest trochę naciągane?

– Byłoby, gdyby nie autobiografia Józefa, która potwierdza taką tezę. Nie jest nowicjuszem w szpiegowskiej grze. Opisując siebie, Józef używa rzadko spotykanego greckiego określenia *kataskopos*, oznaczającego „dyplomatę”, ale także „szpiega”.

– Twoja hipoteza ma pewien mankament – zauważył Gianpaolo. – Jak wytłumaczysz pojęcie Józefa przez Rzymian?

– Nie sugerujesz, że je zaaranżował – dodał Szarif, odstawiając szklankę z sokiem pomidorowym. Tylko raz wspomniał niemłodemu barmanowi o ograniczających go zasadach religijnych, lecz od tej pory zawsze dostawał drinki bezalkoholowe.

– Taka operacja musiałaby być planowana latami.

– I tak właśnie było. Wszystko zostało opisane w pismach Józefa... Trzeba tylko wiedzieć, jak je czytać. Pamiętajmy o tym, że zanim Jerozolima otwarcie zbuntowała się przeciwko władzy Rzymu, Józef przestrzegał, że Świątynia nie ostoi się wobec oblężenia rzymskich wojsk. Dlaczego zatem, gdy

Jerozolima wypowiedziała wojnę, Józef nagle zgłosił się na ochotnika, by dowodzić oddziałem w północnym Izraelu, akurat tam, gdzie miały przechodzić legiony Wespazjana? Wygląda to na sprzeczność, gdyż Józef nie miał żadnego doświadczenia wojskowego. Jego żołnierze byli bez szans wobec rzymskiej armii.

– Uważasz, że chciał trafić do niewoli, zanim Rzymianie staną u bram Jerozolimy? – zapytała Emili.

– Otóż to. Miał nawet plan, jak tego dokonać, ale sytuacja nie rozwinęła się zgodnie z jego przewidywaniami. Dotarłszy z oddziałem na północ, namówił miejscową radę starszych Galilei, by pozwoliła mieszkańcom splądrować letni dom rzymskiego gubernatora i zabrać stamtąd zapasy żywności. Naturalnie Józef wiedział, że ten postępek rozjuszy żołnierzy Wespazjana. Kazał radzie czekać na swój znak i dopiero wówczas wydać zezwolenie. Potrzebował czasu, żeby wysunąć się daleko przed swój oddział po to, by Rzymianie osaczyli go, gdy będzie sam.

– Co więc poszło źle? – spytał niecierpliwie Gianpaolo.

– Chciwość wzięła górę i Galilejczycy wdarli się do domu gubernatora przed sygnałem Józefa. Ten spanikował i rozkazał natychmiast przerwać rabunek. Usiłował zapobiec temu, by wieść o przedwczesnej kradzieży dotarła do Wespazjana, lecz było już za późno, przynęta została rzucona. Żołnierze Wespazjana otoczyli Józefa wraz z jego ludźmi. Od tego czasu scena ta była w udratyzowany sposób przedstawiana setki razy. Podwładni Józefa woleli zginąć w galilejskiej jaskini, niż pójść do niewoli. Jednakże Józef oddał się w ręce wrogów i jego decyzja mrozi krew w żyłach większości historyków.

– Jeśli masz rację, to wyobraź sobie jego poczucie winy, gdy patrzył, jak podwładni zabijają się jeden po drugim. – zauważyła Emili.

– Zanim Rzymianie dotarli do Józefa w jaskini, musiał dosłownie tonąć we krwi swoich towarzyszy.

– To prawda, jego operacja na samym początku o mały włos zakończyła się klęską. Jednak zgodnie z planem Józef pozostawał jeńcem do czasu, gdy zaproponowano mu funkcję osobistego tłumacza generała Wespazjana i jego syna Tytusa. Od tej chwili istota jego misji zaczyna się spełniać. Zdobył zaufanie, jakiego nie zapewniłoby mu żadne zwycięstwo wojskowe. Był w rzymskim namiocie i dokładnie wiedział, kiedy rozpocznie się oblężenie Jerozolimy. Na swój sposób Józef Flawiusz potwierdzał prawdziwość swojego ulubionego porzekadła, które przytoczył

w księdze piątej *Wojny żydowskiej*. „Ci, którzy błyszczą w walce zbrojnej, mogą równie wiele osiągnąć inteligencją”. Szarif, pamiętasz, jakiego greckiego słowa użył na określenie inteligencji. *Yperisia* nie oznacza lotności, tylko szpiegostwo. Tym samym określeniem posługują się obecnie greckie służby wywiadowcze.

– Jeśli te wydarzenia zostały ukartowane po to, by Józef mógł znaleźć się w samym sercu rzymskiej maszyny wojennej, dlaczego nie podjął próby ocalenia Jerozolimy? – spytał Szarif.

– Zagłada miasta była przesądzona – odparł Jonathan. – Mury Świątyni otoczyło pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Józef wiedział, że miasto zostanie starte na proch. A jeśli było coś, co mógł ochronić? Jakaś informacja, którą za wszelką cenę musiał przekazać przyszłym pokoleniom? Informacja, która do pewnego stopnia była równie cenna jak sama Świątynia Heroda?

– Musiał ją umieścić w dokumencie, który na pewno przetrwa – domyśliła się Emili.

– Na przykład w pochwalnej kronice panowania rzymskiego cesarza – dodał Gianpaolo.

– Bingo – potwierdził Jonathan. – Józef Flawiusz wiedział, że Tytus ma obsesję wymazywania wszelkich wersji historii niezgodnych z jego własną. Rozumiał zatem, że musi w sekretny sposób przemycić w swoich pismach prawdę o tym, co chce uchronić.

Jonathan oparł się o krzesło.

– Być może Józef Flawiusz był najskuteczniejszym agentem Jerozolimy do czasów Mossadu.

\* \* \*

– Wszystko w porządku? – Emili poświeciła na niego latarką.

– Tak – odparł Jonathan, wracając do teraźniejszości. Starł wodę kapiącą na jego marynarkę i krawat. Powietrze w tunelu zdawało się zimniejsze niż przed chwilą.

– Podczas studiów nazwałś działalność Józefa Flawiusza największą operacją wywiadowczą starożytności – rzekła ze zdumieniem Emili. Przesuwała snop światła z jednego imienia na drugie, jak gdyby były to egipskie hieroglify, które usiłuje rozszyfrować. – Wszyscy ci ludzie mogli brać w niej udział. Siatka szpiegowska, której organizatorem był starożytny dziejopisarz mieszkający w pałacu Tytusa.

– Nigdy nie zdołałem udowodnić mojej hipotezy.

– Te nazwiska mogą tego dowieść. – Emili odwróciła się do Jonathana. – Ale skoro Tytus przejrzał Józefa i zabił wszystkich jego pomocników, a wygląda na to, że tak właśnie uczynił, dlaczego misja Józefa nie przeszła do historii?

– Cóż, na tym właśnie polega genialność jego planu. Zanim Tytus wykrył spisek, Józef zdążył zapisać niezliczone kartki ksiąg sławiących cesarza. Bez względu na to, co Tytus zrobił z Józefem, jego kroniki pozostały. Jeszcze bardziej prawdopodobne wyjaśnienie jest takie, że Tytus nie dopuścił do ujawnienia zdrady z obawy, iż skompromituje jego dzieła historyczne.

– Józef ponownie wykorzystał przeciwko Tytusowi jego obsesję na punkcie historii.

– Otóż to. Wiedział, że cesarz ocali na wieki informację, którą autor, przemycił w tekście. – Jonathan zamilkł nagle. – Ale jak powiedziałem, była to zaledwie hipoteza. Moje badania zabrnęły za daleko. Nawet jeśli zdrada Józefa Flawiusza została ukartowana, nie udało mi się ustalić motywów, które nim kierowały. Po co tworzyć siatkę szpiegowską po upadku Jerozolimy? Świątynia spłonęła, Jerozolima została splądrowana i obrócona w gruzy. Co można było jeszcze uratować?

– Coś tak ważnego, że człowiek pokroju Józefa Flawiusza gotów był na wieki poświęcić za

to swoją cześć – odparła Emili, wskazując ściany grotu. – Aktor zaryzykował dla tej rzeczy sławę, wydawca swoją spuściznę, a cesarska kochanka wygody życia w pałacu. Wszystko to działo się pod nosem rzymskiej *frumentarii*, najbardziej bezwzględnej tajnej policji starożytnego świata. To, co zdołali ocalić, było ważniejsze, niż możemy sobie wyobrazić.

Emili podeszła do przeciwległej ściany jaskini i przykucnęła obok czarnego brezentu.

– Spójrz. Jeszcze kilka dni temu prowadzono tu wykopaliska.

Zbliżywszy się, Jonathan poczuł woń świeżo wykopanej ziemi. Schylił się i odciągnął płachtę tak ostrożnie, jakby zdejmował bandaż z rany.

Oboje patrzyli na starożytny relief wyryty na powierzchni kamienia. Ktoś z zawodową wprawą odkopał płaskorzeźbę drzewa o siedmiu konarach. Była doskonale zachowana i otoczona ramą z kamieni w różnych odcieniach bieli. Zamiast płytek wykorzystano oskrobane zwierzęce kości. Relief nie mógł się równać z polichromowaną mozaiką na portyku pałacu arystokraty, lecz jako dzieło jeńców uwięzionych w Koloseum budził podziw.

– Świetna robota – oceniła Emili.

Wprawne oko konserwatorce zabytków pozwoliło jej zauważyć, że powierzchnia została niedawno zniszczona za pomocą stężonego kwasu.

– Niektóre z tych płytek rozpuszczono kwasem azotowym.

Jonathan pochylił się bardziej.

– Pod reliefem znajduje się inskrypcja zapisana częściowo po hebrajsku, a częściowo po łacinie.

V TIP ARBOR TIP  
DOMVS AVREA

– *Kodosh Arbor Ohr* – odczytał na głos Jonathan. Nauczył się podstawowych hebrajskich słów podczas pracy ze starożytnymi tekstami. – *Kodosh* znaczy „święty”.

– *Arbor* to rzecz jasna „drzewo” – przetłumaczyła z łaciny Emili.

– *Ohr*, drugie hebrajskie słowo, oznacza „światło”. Święte drzewo światła – podsumował Jonathan, niemal dotykając napisu twarzą.

– To poetyka religijna. Drzewa odgrywały ważną rolę w pogańskich wierzeniach, ale dlaczego ktoś składał hołd pogańskim symbolom w języku hebrajskim? Zabytki pochodzące z Jerozolimy nawiązywały do monoteizmu, a nie do pogaństwa.

Jonathan przesunął palcem po drugim wersie inskrypcji.

– *Domus aurea* znaczy „złoty dom”.

– Neron miał Złoty Pałac tu, w Rzymie – zauważyła Emili. Poświęciła wiele czasu na prace konserwatorskie w wielkim pałacu Nerona między Palatynem i Eskwilinem. Często cytowała starożytnego architekta Fabiliusza, który określał budowlę mianem „niemożliwie zachłannej”. Rzymskie pospólstwo, wyrzekające na przepych pałacu, zmusiło następców Nerona do jego zabudowania. Nastąpiło to niespełna pięć lat po śmierci Nerona i w niezamierzony sposób przyczyniło się do tego, że budowla zachowała się i została ponownie odkryta w dobie renesansu.

Jonathan zauważył, że obok słów *domus aurea* widnieją wizerunki ptaków.

– Sowy – oznajmił Jonathan. – Miejsce, do którego odnosi się ten napis, musi służyć do ochrony czegoś. To jest coś w rodzaju skarbcza.



– Odgadłeś to z obecności dwóch sów? – zdziwiła się Emili.

– W starożytności sowy symbolizowały ochronę. Nasze wyobrażenie o mądrości tych ptaków wywodzi się stąd, że starożytni przypisywali socom umiejętność dostrzegania niebezpieczeństw z dużej odległości. Rzymscy żołnierze umieszczali symbole sów na zbrojach, a Grecy na monetach. Jest to jeszcze jeden pogański symbol, niezgodny z wierzeniami jeńców pochodzenia żydowskiego, ale z całą pewnością nawiązuje do ochrony jakiegoś obiektu.

Emili wyciągnęła z sakwy czarny aparat cyfrowy, niewiele większy od karty kredytowej.

– Czy w tym miejscu wolno fotografować? – zażartował Jonathan.

Emili ustawiła aparat około metra od ściany i zrobiła zdjęcie.

– Dokumentuję nielegalne wykopaliska.

Przeszła w inne miejsce i chciała fotografować dalej, gdy nagle zauważyła smugę pary wydostającą się spod niskiego łuku w ścianie. Jonathan przykucnął obok niej. Oboje poczuli nieprzyjemny odór będący dziełem bakterii.

– Gdzieś tutaj musi być wyciek z kanalizacji – oznajmił Jonathan.

– To mieszanka metanu i siarki, zbierająca się w rzymskich ruinach, gdy do gleby przenikają zanieczyszczenia – sprostowała Emili. – Nazywamy ją smoczym oddechem.

– Przyjemny zapaszek.

– Nie tylko. Metan jest bardzo zapalny. W wąskich przejściach nawet iskra może wywołać zapłon powietrza. Tlenu jest mało, więc wybuch trwa sekundę lub dwie, ale to wystarczy do zabicia każdego gryzonia i człowieka, którego dosięgnie.

Emili weszła pod łukowate sklepienie i jej nogi otoczyła para. Zaświeciła latarką w jedną i w drugą stronę, by zlokalizować jej źródło.

Na posadzce leżała szeroka strzaskana rura. Gorąca para buchała z niej niczym dym z cygara.

– Pęknięty przewód pary. – Jonathan mówił głośno, gdyż z rury wydobywał się syk.

– Nie pękł sam z siebie – zauważyła Emili, wskazując miejsce, w którym stalową otoczkę przecięto i odgięto niczym blachę puszkii. Pośrodku korytarza para podgrzewała metan, tworząc niebieskawy płomień, który unosił się kilka centymetrów nad dnem tunelu.

Emili zanosła się kaszlem.

– Metan miesza się z parą – powiedziała, opierając ręce na kolanach. – Jon, ten korytarz eksploduje.

## 22.

Profeta, Rufio i Brandisi stanęli przed trudnym wyborem: trzy korytarze pod Koloseum prowadziły w różnych kierunkach. We wszystkich panowała ciemność.

Rufio stał obok Profety, jego oddech był coraz szybszy. Jak dotąd nie zauważył w podziemiach ładunków wybuchowych. Na razie...

– Może powinniśmy wrócić – zaproponował.

– Hałas dobiegł z jednego z tych korytarzy – odparł Profeta. – Każdy pójdzie innym. Jeśli coś usłyszycie, natychmiast meldujcie przez radio.

– Ja wezmę ten – oznajmił Rufio, wskazując tunel prowadzący do areny.

– Dobrze. Brandisi, wy weźcie środkowy, a ja pójdę w lewo.

Policjanci rozdzielili się i powoli ruszyli podziemnymi korytarzami, trzymając pistolety w

dłoniach.

Rufio oparł się o ścianę. Teraz, gdy został sam, nie musiał już kontrolować oddechu. Ogromne rozmiary wykopalisk rozświetliły go bynajmniej nie z powodu zniszczeń, lecz dlatego, że z całą pewnością sprowokują wydział do wszczęcia śledztwa. W zeszłym tygodniu Rufio zadał sobie mnóstwo trudu, by nie dopuścić do zdemaskowania wykopalisk. Raz zapobiegł nawet zgłoszeniu przez pewnego kupca skargi do biura turystycznego, gdy jedna z ciężarówek Saladyna, udająca wóz służby miejskiej, odcięła kawiarnię od kolejki turystów przed Koloseum. Powinien był przewidzieć, że rzymscy *tombaroli* go zdradzą. Nielegalni kopacze z okolic Neapolu przynajmniej dotrzymywali umów z *carabinieri*, myślał Rufio, rozglądając się w poszukiwaniu ładunków wybuchowych. Korytarz się zwężał, a jego płucom palacza coraz bardziej brakowało powietrza. Ciemność gęstniała wokół niego, a on, niczym nurek zmuszony schodzić głębiej, pomimo że kończy mu się powietrze, szedł dalej.

Nagle zobaczył plamę światła z latarki skaczącą po ścianie.

Rufio odbezpieczył dziewięćmilimetrowego glocka. Wiedział, że zabicie pierwszego *tombarolo* napotkanego na drodze uwolniłoby go od wszelkich podejrzeń. Uniósł broń na wysokość ramienia.

\* \* \*

Jonathan i Emili w pośpiechu minęli zakręt korytarza i pobiegli. Z poziomu areny dochodziły odgłosy stąpania grupy ludzi.

– Turyści – powiedziała z lękiem Emili. – Musimy ewakuować Koloseum.

– *Ferma!* – ryknął Rufio. Nie ruszać się! Policjant stał niecałe dziesięć metrów za Emili i Jonathanem.

Ci zatrzymali się nagle i schowali we wnęce, przywierając plecami do kamiennej ściany. Nieznajomego mężczyznę dzieliły od nich metry. Drżąca plama światła z jego latarki rosła z każdą chwilą.

– *Chi diavolo sei?!* – wrzasnął Rufio. Kim, u diabła, jesteście?! Jonathan i Emili widzieli, że mężczyzna zagląda do każdej wnęki.

– Dotarłam tutaj tymi schodami – szepnęła Emili, wskazując ręką.

Bezszelstnie wyszła z wnęki i ruszyła w stronę schodów. Jonathan chciał pójść w jej ślady, lecz wtedy Rufio oświetlił korytarz. Jonathan z powrotem wskoczył do niszy. Teraz od Emili oddzielała go wielka chmura pyłu widoczna w blasku latarki nieznajomego.

– Idź! – szepnął Jonathan. – Spotkamy się na górze.

Emili pokręciła głową.

– W jaki sposób...

– No, idź już! – ponaglił Jonathan i Emili zniknęła na schodach.

Rufio świecił latarką to w prawo, to w lewo. Jonathan widział jego sylwetkę, czerwoną lamówkę na spodniach, białą skórzaną kaburę i policyjną czapkę. To funkcjonariusz, pomyślał z ulgą.

– *Agente* – odezwał się po włosku, wychodząc na środek korytarza.

– *Chi sei tu!* – ryknął Rufio. Gwałtownym ruchem skierował światło na Jonathana, a drugą ręką niemal przystawił mu pistolet do piersi. W odbitym blasku Jonathan zobaczył nabiegle krwią oczy, w których płonęła niemal zwierzęca wściekłość. Ten człowiek już nad sobą nie

panował. Potrząsał pistoletem tak mocno, że broń mogła wypalić przez przypadek.

– Mogę wszystko wyjaśnić – rzekł cicho Jonathan po włosku, unosząc rękę. Ruchem głowy wskazał klatkę schodową. – Tu na dole nie jest bezpiecznie.

– Tego nie było w naszej umowie! – wrzasnął Rufio, wymachując bronią.

Jonathan stał nieruchomo pod szarym światłem sączącym się z kanału burzowego, czując podmuch świeżego powietrza. Trzymał rękę lekko uniesioną, ze zgiętymi łokciami. Umowa? Jaka umowa? Zauważył, że policjant cały się trzęsie.

– Nie wiem, o czym pan...

– Na kolana! – Rufio wyprostował rękę, w której trzymał pistolet.

Jonathan opadł na jedno kolano.

– Nie ma czasu... – zaczął.

– Odkryli magazyn! – ryknął Rufio. – Powiedz Saladynowi, że to koniec!

– Magazyn? – spytał Jonathan. Gniew słyszalny w głosie policjanta był natury osobistej, a nie zawodowej. – Bierze mnie pan za kogoś...

Rufio nie pozwolił Jonathanowi dokończyć zdania, kopiąc go w brzuch. Jonathan zgiął się wpół, a tamten pochylił się nad nim.

– Pochodzę z Sycylii, tam obowiązują zasady – powiedział i znów kopnął Jonathana, tym razem w zagłębienie pleców. Jonathan osunął się na ziemię. Przez chwilę bał się, że pękł mu kręgosłup. Z wielkim trudem zdołał uklęknąć. – Saladyn gra według swoich zasad, co? – Policjant zakończył pytanie szybkim ciosem w pierś Jonathana. Uderzenie było tak mocne, że oderwało go od ziemi. Rufio złapał Jonathana za włosy i przystawił mu lufę pod brodę. – Ale ja też mam swoje zasady. Powiedz mu, że tu jest Rzym, a nie Jerozolima.

– Nie wiem, o czym pan mówi – wycharczał Jonathan. – Ani kim jest Saladyn...

– Przestań łąć! – wrzasnął policjant, szarpiąc go za włosy.

– Zszedłem tutaj z poziomu turystycznego.

Widać było, że Rufio usiłuje pojąć sens ostatniego zdania. Nagle zamrugał oczami, uświadomiwszy sobie, że wygadał się przed obcym. Jonathan spostrzegł, że ręce policjanta drżą jeszcze mocniej.

Radiotelefon Rufia zatrzeszczał, odbierając sygnał z biegnącej powyżej ulicy. Rozległ się gorączkowy głos jakiegoś policjanta, lecz słowa się rwały i trudno było je zrozumieć. Rufio szarpnął Jonathana, stawiając go na nogi, i zaprowadził pod kratkę.

– Alessandro! – krzyknął przez radio Brandisi. W jego głosie brzmiało przerażenie. – Uciekaj stamtąd! Saperzy mówią, że w korytarzu jest mnóstwo metanu!

Rufio chwycił radio, upuszczając jednocześnie latarkę, której światło padło na unoszący się w powietrzu kurz. Na chwilę opuścił

pistolet, żeby ją podnieść. Jonathan wykorzystał okazję i skoczył w ciemność. Niemal natychmiast poczuł, że policjant niezręcznie próbuje złapać go od tyłu. Obaj potoczyli się po kamiennym podłożu. Jonathan rąbnął ręką Rufia o skałę i pistolet wypadł mu z dłoni. Jonathan pchnął broń w ciemność.

Policjant sięgnął po mały pistolet obezwładniający, który miał u pasa. W półmroku ukazał się łuk niebieskiego światła, lecz Jonathan skierował go na koszulę Rufia. Tułów policjanta drgnął, jego klatka piersiowa się wygięła. Dłoń puściła koszulę Jonathana, a ciało osunęło się na ziemię z rozpostartymi ramionami.

Jonathan zdołał wstać, po czym pobiegł korytarzem, czując palący ból w lewej dłoni. Zauważył, że ma rozciętą skórę na kostce, ale nie pamiętał, jak to się stało.

Tymczasem Rufio dzwignął się na kolana i uniósł dłonie do oczu. Od porażenia paralizatorem bolała go głowa.

Jonathan pędził jednym z korytarzy tworzących labirynt pod powierzchnią areny. Tu i ówdzie blask słońca wdzierał się do środka przez szczeliny między cegłami. Jonathan rozglądał się za wyjściem. Słyszał terkot kołowrotek i głos przewodnika mówiącego po rosyjsku. Jakieś dziecko się awanturowało. Jonathan nigdy w życiu nie tęsknił za dwudziestym pierwszym wiekiem tak bardzo, jak w tej chwili.

Spostrzegł wielopoziomowe rusztowanie, którego używano do prac przy częściowym odtworzeniu areny. Zaczął się na nie wspinać, chwytając się dłońmi metalowych rur. Człony rusztowania połączone były stromymi aluminiowymi schodami. Jonathan wskoczył na nie i ruszył w stronę poziomego dostępnego dla turystów. Poczul na twarzy powiew świeżego powietrza i wiedział, że wreszcie jest na powierzchni. Wyszedł na środek areny i zmrużył oczy, kierując wzrok na białe pierzaste chmury. Wzdłuż najwyższego rusztowania podszedł do miejsca przy ogrodzeniu areny, w którym stała grupa turystów. Na szczęście byli odwróceny tyłem. Jonathan zatrzymał się obok nich, żeby złapać oddech.

Nagle jakaś ręka złapała go za kostkę i szarpnęła tak mocno, że Jonathan runął brzuchem na rusztowanie. Potrząsnął mocno nogą, żeby ją uwolnić, opierając kolano drugiej nogi na desce. Jednak ręka trzymała mocno. Jonathan poczuł się tak, jakby sam Hades z powrotem wciągał go do podziemi.

Spojrzał w dół i zobaczył umorusany policyjny mundur. Twarz *carabiniere* była ściągnięta z bólu, a oczy nabiegły krwią pod wpływem gazu wypełniającego tunel.

– *Fermati ades...* – zaczął Rufio, ale nie dokończył.

Z dołu dobiegł odległy stłumiony grzmot, który stopniowo nabierał siły. Metalowe rury rusztowania zatrzęsły się gwałtownie. Grzmot stał się ogłuszający, spod jednego z łuków pod areną trysnął szeroki jęzor ognia i w jednej chwili zamienił się w dymny gejzer.

Szklana ściana sklepika z pamiątkami pękła, przerażeni turyści zaś zareagowali niczym na wystrzał pistoletu startowego. *Irt!* – krzyknął niemiecki przewodnik. Trzęsienie ziemi! Rodziny, które jeszcze przed chwilą posłusznie spacerowały wzdłuż obwodu areny, teraz jęły się przepychać na oślep przed siebie. Rodzice porywali dzieci na ręce i pędzili w stronę kołowrotek. Jakiś starszy mężczyzna wołał po fińsku swojego syna.

Jonathan poczuł, że policjant puścił go, a następnie zobaczył, jak ten runął plecami na drewnianą kładkę rusztowania. Tam leżał nieruchomo w oparach dymu. Jonathan bez chwili zastanowienia zszedł na dół. Zarzucił sobie Rufia na ramię, wniósł go po stromych schodkach na najwyższej położone deski i złożył na arenie niczym dywan. Ułożywszy nogi policjanta na rusztowaniu, wspierał się na poziom przeznaczony dla turystów.

– Jonathan! – zawołała Emili, przepychając się pod prąd w tłumie.

On zaś patrzył przed siebie, wciąż nie mogąc wyjść z szoku.

– Miałaś rację, to rzeczywiście wyglądało jak oddech smoka.

– Porucznik Rufio został znaleziony w Koloseum? – spytał Profeta, biegnąc wzdłuż rzędu radiowozów migających w ciszy kogutami. Ruiny były zamknięte od pół godziny, policja odgrodziła też taśmą plac od Łuku Konstantyna do Via Sacra.

Umundurowani policjanci przechodzili przez kołowrotki. Strażacy już sprawdzali otwarte dla turystów części Koloseum oraz podziemne korytarze.

Profeta zatrzymał się w oszklonej kasie biletowej. Rufio siedział na niewielkiej łódce i opierał się o ekspres do kawy. Sanitariusz założył mu opatrunek na zranioną skroń.

– Już myśleliśmy, że więcej cię nie zobaczymy, Alessandro – rzekł Profeta, kładąc Rufiowi rękę na ramieniu.

– To tylko parę siniaków, *comandante*.

– Możecie go opisać?

– Mężczyzna nieco po trzydziestce, ponad dwa metry wzrostu. Miał na sobie garnitur.

– Garnitur?

– Ciemny garnitur i muszkę – uzupełnił Rufio. – Gonilem go po rusztowaniu i dopadłem na poziomie turystycznym.

– *Comandante*, są już nagrania z kamer bezpieczeństwa – oznajmił jeden ze strażników.

Profeta wszedł do pomieszczenia ochrony. Było tam sześciu ochroniarzy, którzy właśnie cofali niewyraźne nagrania z kamer. Pochyleni nad małymi niebieskimi ekranami, oglądali różne fragmenty wnętrza Koloseum. Salka przeistoczyła się w sortownię filmów wideo. Profeta stał z tyłu i obserwował poczynania ochroniarzy przez liście paprotki ustawionej na szafce.

– Zatrzymajcie tę taśmę – rozkazał, podchodząc bliżej. – I przewińcie trochę do tyłu.

Młody ochroniarz nacisnął klawisz i obraz cofnął się błyskawicznie. Na ziarnistym czarno-białym obrazie widać było twarz młodej kobiety ubranej w obcisły płaszcz, która oddzieliła się od grupy turystów i znikła pod ciemnym łukiem wejścia.

– Przewińcie jeszcze raz – poprosił Profeta. – I puśćcie wolniej. Który to łuk?

Ochroniarz powiększył obraz miejsca nad łukiem.

– Nie ma numeru, *comandante* – oznajmił. – Ten łuk nie jest oznaczony.

– Gdy tylko dym się rozwieje, mają tam wejść nasi ludzie. A zespół z laboratorium niech poszuka jej zwłok.

Kilka minut później policyjna taśma zawisała obok łuku, a Profeta schodził po stromych schodach do korytarza pod Koloseum zalanego mocnym światłem reflektorów. Ogromne wiatraki oczyściły wnętrze z dymu, lecz w powietrzu wciąż unosiła się silna woń spalonej gliny.

– Właśnie tutaj się na mnie rzucił – oznajmił Rufio, wskazując miejsce na posadzce korytarza. – Szedłem w tamtą stronę.

Profeta milczał, przesuując ręką po spalonych cegłach. Przykucnął, by spojrzeć na pękniętą rurę biegnącą po ścianie. Zawsze krytykowano go za to, że marnuje czas na takie czynności, podczas gdy młodszy oficerowie chętnie wykonaliby fizyczne oględziny miejsca przestępstwa.

Komendant uklęknął i pochylił się; jego okulary niemal dotknęły osmalonej rury.

– Nic dziwnego, że nie mogliście oddychać, poruczniku. W tym korytarzu prawie nie było powietrza, tylko gaz.

– *Comandante!* – zawołał ze schodów Brandisi. – Jeden z ochroniarzy zidentyfikował kobietę, którą zarejestrowała kamera bezpieczeństwa.

Profeta popędził na górę do pomieszczenia ochrony. Wśród policjantów w mundurach siedział młody strażnik z Koloseum i patrzył smutno na monitor, dotykając palcem szkła.

– To jest doktor Emili Travia – oznajmił na widok Profety i jego podwładnych. – Konserwatorka zabytków z ICCROM.

– Co to jest ICCROM? – zapytał Rufio.

– International Centre for Conservation in Rome\* – wyjaśnił strażnik. – Jej współpracownicy pomagali nam w przygotowaniach do jutrzejszej ceremonii otwarcia konferencji Komitetu Światowego Dziedzictwa.

\* Międzynarodowe Centrum Konserwacji Zabytków.

## 24.

Jonathan i Emili szli zacienioną uliczką biegnącą od Campo dei Fiori w dzielnicy Rzymu zbudowanej w średniowieczu. W jej wąskich brukowanych zaułkach mieściły się obecnie galerie sztuki i kawiarenki cyganerii artystycznej. Po nocnej zabawie na bruku zostało mnóstwo butelek po piwie i niedopałków papierosów.

W jednym z pubów niewielka grupka ludzi gapiła się na telewizor zawieszony nad barem. Jakaś dziennikarka przekazywała na żywo relację z Koloseum, za nią widać było zjeżdżające się wozy transmisyjne. Reporterka w kilku zdaniach opowiedziała o niewyjaśnionej eksplozji pod ruinami, a następnie przeprowadziła wywiad z młodym brytyjskim turystą, który w czasie wybuchu przebywał w Koloseum i wciąż trzymał chusteczkę przy krwawiącym nosie. Na amatorskim nagraniu widać było dym i ucieczkę ludzi z wnętrza ruin. Dziennikarka stwierdziła, że pierwsze oględziny jako przyczynę wypadku wskazują przeciek z nieszczęsnej rury parociągu. Dodała też, że władze miasta rozpoczęły śledztwo.

– Wypadku? – oburzyła się Emili. – Przecież ta eksplozja została zaplanowana!

– Ci ludzie musieli od tygodni kopać pod Koloseum, żeby znaleźć inskrypcję, na którą natrafiliśmy. – Jonathan nadal sprawiał wrażenie nieobecnego myślami.

– I żeby ją zniszczyć – dodała Emili.

Minęli kilkoro *carabinieri*, którzy palili papierosy z ubranymi w skórzane kurtki nastolatkami. Jonathan naciągnął na czoło czapkę rzymskiego klubu piłkarskiego, którą przed chwilą kupił.

– Musimy iść do amerykańskiej ambasady przy Via Veneto. I to natychmiast.

– Ale co tam powiemy? Że przy okazji rozwiązywania zagadki z początku tysiąclecia znaleźliśmy nielegalne wykopalisko archeologiczne? I że napadłeś na umundurowanego policjanta, omal go nie zabijając?

– Ja napadłem? To on mnie zaatakował! Mówiłem ci, że ten policjant wiedział o wykopaliskach. Mało brakowało, a by mnie zabił.

Emili nie wydawała się zaskoczona.

– Prawie wszystkie nielegalne wykopaliska w tym kraju mają związek z korupcją władz miejskich, Jon. – Przypomniała sobie pierwszą pracę, którą wykonywała dla ICCROM na wzgórzach na wyspie Capri. Przestępcy wręczyli łapówki wszystkim mieszkańcom miasteczka po to, by móc kopać na placu miejskim. – Poza tym jestem pewna, że ten funkcjonariusz po odzyskaniu przytomności będzie miał inne wspomnienia z zajścia, o którym opowiadałeś.

– Wziął mnie za jednego z *tombaroli* – odparł Jonathan, strzepując popiół z zabrudzonej

marynarki. – Napomknął o jakimś człowieku, Saladynie, który...

Emili stanęła jak wryta.

- I co powiedział? Powtórz mi dokładnie jego słowa.
- Nie zapisywałem ich, Emili. Ten facet traktował mój tułów niczym worek treningowy.
- Wymienił nazwisko Saladyn?
- Tak. Kazał mi przekazać, że to nie Jerozolima i że tu panują inne porządki.

Emili przyspieszyła kroku.

– Znasz tego człowieka? – spytał Jonathan.

– Saladyna? Nikt go nie zna. To znaczy nikt nie zna jego prawdziwej tożsamości. Nazwisko to pseudonim. Nasi informatorzy w Jerozolimie mówili, że Saladyn prowadzi pod Wzgórzem Świątynnym prace wykopaliskowe na dużą skalę. Przekazaliśmy to nazwisko Interpolowi. Okazało się, że tropią go od dwóch lat i przypisują mu wykopaliska w Istambule i Kalabrii. Ale nie mają zdjęcia ani nawet próbki jego głosu do identyfikacji.

- Ambasada może pomóc.
- Tak jak pomogli ci siedem lat temu? Zgłoś się teraz do władz, a zrujnujesz sobie drugą karierę.

Jonathan wiedział, że Emili ma rację. Kancelaria Dulling and Pierce bała się rozgłosu jak zarazy. Poza tym mężczyzna, który zaatakował Jonathana w podziemiach Koloseum, był przedstawicielem władzy.

– Emili, jeśli to prawda, że nielegalne wykopaliska leżące tysiące kilometrów od siebie są ze sobą powiązane, a ja nie mam co do tego pewności, nie możesz wiedzieć, czego ten Saladyn szuka.

- Nie wiem, ale czymkolwiek ta rzecz jest, poszukuje się jej od setek lat.

Z zakurzonej torby Emili wyciągnęła przewodnik turystyczny dużego formatu zatytułowany *Rzym dawniej i dziś*. Była to cienka książeczka z przezroczystą ilustracją pokazującą plan współczesnego Rzymu nałożony na plan Rzymu w starożytności.

– Przewodnik? – zdziwił się Jonathan. – Ten człowiek szuka czegoś, co można obejrzeć w zwyczajnym przewodniku turystycznym?

- Otwórz.

Jonathan zauważył, że Emili wsunęła między przezroczyste kartki stary rysunek Koloseum. Wyjął go i ostrożnie uniósł tak, by padło na niego słońce.

– Nad tym łukiem nie ma numeru. To dlatego wiedziałas, pod który łuk Koloseum wejść. Kto sporządził ten szkic?

– Giuseppe Valadier, członek napoleońskiego zespołu archeologicznego, który prowadził wykopaliska w Koloseum w tysiąc osiemset dziewiątym roku. Nie poinformował o istnieniu tego szkicu ani Napoleona, ani władz kościelnych, tylko go ukrył.

- Uważasz, że ten archeolog widział inskrypcję?
- Tak uważam. Wiedział również, że więźniowie mieli ważny powód, by ryc w ścianach tuż przed śmiercią.

– Tego nie sposób dowieść.

– Ponieważ nie znamy znaczenia inskrypcji. Z niej moglibyśmy się dowiedzieć, kogo on chronił – odparła Emili.

- On, to znaczy kto?

– Józef Flawiusz. Wszystko prowadzi do tego samego pytania, które postawiłeś, będąc jeszcze doktorantem w akademii. Czy jakaś misja mogła być tak ważna, że gotów był dla niej zakonspirować się na całe życie? Informacja, którą odkryłeś na fragmentach *Forma Urbis*, Błąd Tytusa, wskazuje, że owszem, mogła. Ten spisek na dworze cesarza miał tak ogromną wagę, że wybitni członkowie rzymskiej arystokracji, Berenika, Aliterius, Epafrodyt i sam Józef, oddali za niego życie. Nie wiemy, na czym ów błąd Tytusa polegał. Na razie. Jednak jakaś banda łotrów plądruje ruiny pod Koloseum i Wzgórzem Świątynnym, żeby się tego dowiedzieć.

Przez chwilę szli w milczeniu. Jonathanowi stanął nagle przed oczyma obraz wnętrza biblioteki przed laty. Słyszał głos Szarifa Lebaga tak, jakby przyjaciel siedział obok niego. Historia jest zapisana ogniem, Jon. Szarif miał w sobie mnóstwo energii, jego palce przesuwają się nad brązowymi kartkami pergaminu, jakby poszukiwały ciepła, które się z nich nie ulotniło. By utrzymać ten ogień przy życiu, wystarczy jedna głownia.

– Nie powinienem był posuwać się tak daleko w badaniach – rzekł Jonathan, kręcąc głową.

– Zrobiłeś wszystko, co mogłeś – odparła Emili. – Co powiedział Eurypides w *Heraklidach*? „Oby żaden kamień nie pozostał nieodwrócony”.

Jonathan zatrzymał się nagle.

– Ta sztuka to tragedia.

– Jesteś pewien?

– Wszyscy ponoszą śmierć.

– Faktycznie, zapomniałam – powiedziała Emili, odwracając się do niego. – Spójrz na to w ten sposób. Twoja praca badawcza w akademii...

– To były jedynie hipotezy, praca doktorska. A tu jest życie, wybuch był prawdziwy, a ten policjant aż za bardzo prawdziwy. Nawet gdyby relief mówił, za co ci więźniowie zginęli, zapewne nie zdołamy go odczytać. Aż do pierwszego wieku naszej ery w cesarskim Rzymie nie było nawet kultu drzew, a kultury pokrewne mitraizmowi skupiały się na zwierzętach. – Jonathan zamilkł na chwilę. – Tak czy owak, inskrypcja powinna odzwierciedlać dziedzictwo monoteistyczne, a nie ikonografię pogańską. Na jej odczytanie trzeba czasu.

– Tego ostatniego akurat nie mam – odparła Emili. – Komitet Światowego Dziedzictwa zbiera się jutro. Aby przedłożyć wniosek o nadzwyczajną inspekcję ruin pod Wzgórzem Świątynnym, potrzebuję faktów i precyzyjnych poszlak wskazujących, dlaczego Saladyn i jego ludzie prowadzą wykopaliska. Nie są mi potrzebni *carabinieri* ani ambasada amerykańska, Jon. Potrzebuję znawcy starożytnego mistycyzmu.

– Znawcy mistycyzmu? Gdzie, u licha, chcesz znaleźć... – Jonathan nie dokończył zdania i z kieszeni zakurzonej marynarki wydobyl wizytówkę. – Chandler Manning.

– Bibliotekarz z akademii?

– Był bibliotekarz. Wciąż mieszka w Rzymie. Prowadzi jakiś... biznes. Daje wykłady o mistycyzmie w starożytności.

Jonathan wręczył Emili wizytówkę.

– Spotkałem go przed godziną, dał mi to.

Emili spojrzała na wizytówkę. Widniał na niej napis: *Kabala. Wieczna mądrość w Wiecznym Mieście*.

– To jest ten znawca? Chandler Manning?

– Prowadził regularne prelekcje na temat mistycyzmu i okultyzmu w pierwszym wieku.



- W barze na rogu ulicy.
  - Ten facet jest piekielnie bystry. Nikt nie wie o starożytnym mistycyzmie tyle, co on. A lista osób, które mogłyby ci w tej chwili pomóc, nie jest długa.
  - No dobrze, masz rację.
  - Jeśli Manning nie zdoła wyjaśnić tego, co zobaczyliśmy w korytarzu pod Koloseum, jeśli powie, że to tylko zbieg okoliczności, wycofuję się – oznajmił Jonathan. – Udam, że nie schodziłem do podziemi, i wrócę do swojego życia. Jasne?
  - *Contralto* – odparła Emili.
- Jonathan zrozumiał ją bez trudu: Umowa stoi. Emili popatrzyła na jego zakurzone i poplamione ziemią spodnie.
- Ale najpierw doprowadź się do porządku – rzekła, pociągając oderwany kawałek materiału, który zwisał mu z butonierki. – Chyba że takie jest twoje wyobrażenie stylu swobodnego.

## 25.

Profesor Cianari uważnie studiował mapę krzyżowców, mimo że straszliwy harmider panujący w grocie prawie uniemożliwiał mu skupienie. Przywykłem do pracy w bibliotece, a nie na placu wyburzeń, myślał z poczuciem winy. Grota kryła się głęboko w skale, dlatego jazgot pił elektrycznych i łoskot spychaczy nie dochodził na powierzchnię. Jakiś mężczyzna w średnim wieku przyłożył elektryczną szlifierkę do małego rysunku przedstawiającego dwie trąbki; rysunek bezpośrednio nawiązywał do instrumentów używanych przez kapłanów w Świątyni Heroda. Przerażony profesor patrzył bezradnie, jak pod dotknięciem narzędzia czerwona farba, którą go wykonano, rozpryskuje się maleńkimi drobkami.

Oni chcą zetrzeć na proch wszystkie zabytki judeochrześcijańskiej historii Wzgórza Świątynnego.

Cianari zamknął oczy i potarł dłońmi twarz.

A ja im w tym dopomogłem.

Znów przyszło mu na myśl, żeby zwrócić się do rzymskiej policji lub władz Jerozolimy, nie bacząc na konsekwencje, które niedawno spadły na jego kolegę po fachu. Doktor Tik Aran, pomagający Saladynowi w Turcji, któregoś dnia odmówił dalszego kopania pod świątynią Hagia Sofia w Stambule. Dwa tygodnie później woda wyrzuciła jego zwłoki na brzeg Bosforu w samym centrum miasta.

- Nikt nie był tak blisko, profesorze – oznajmił Saladyn, przekrzykując hałas. – Sfinansowałem pana wykopaliska w studniach Awinionu i w podziemiach Koloseum po to, by znaleźć przejście pod Fundamentem Skały. – Wskazał przeciwległą ścianę jaskini. – Teraz musimy podążać za akweduktem aż tam.

- Te dwie ściany dzieli odległość sześćdziesięciu metrów – odparł profesor. – Akwedukt może biec w kilkudziesięciu miejscach.

- Ograniczymy ich liczbę, ekstrapolując naturalny spadek mostu – zauważył Saladyn.

- Wyznaczyć spadek mostu w jaskini? To potrwa całe tygodnie!

- Technika pozwoli nam znacznie skrócić ten czas.

Saladyn skinął na Ahmeda, który wciąż stał u wylotu tunelu łączącego grootę ze Wzgórzem Świątynnym. Chłopak ustawił na żółtym trójnogu urządzenie przypominające pryzmat

geodezyjny. Wystrzeliły z niego cztery promienie niebieskiego lasera, które połączyły się w jeden, spinając ściany jaskini niczym lina akrobatyczna. Na przeciwległej ścianie pojawił się świetlisty punkt.

– Tam znajduje się druga część akweduktu – rzekł Saladyn. – Kapłan umknął nim wraz z obiektem, za który Tytus oddałby wszystkie łupy zdobyte w Świątyni.

Saladyn rzucił coś po arabsku do połączonego ze słuchawkami mikrofonu.

Do ściany podjechał buldożer. Jego poczerniałe pneumatyczne rury przypominały ścięgna i mięśnie potwora, któremu nic nie zdoła się oprzeć.

– Nie wolno przebijać się przez ścianę za pomocą tej maszyny – zaprotestował Cianari. Jego twarz nagle pobladła.

Dopiero teraz uświadomił sobie, jak blisko celu znalazł się Saladyn. – Może pan zniszczyć to, czego pan szuka! – zawołał, przekrzykując warkot dieslowskiego silnika.

Saladyn spojrział profesorowi w oczy i uświadomił sobie, że traci nad nim panowanie. Dał znak operatorowi buldożera. Silnik zwolnił obroty.

– Ten przedmiot jest święty – oznajmił profesor.

– Święty? – powtórzył Arab spokojnym, lecz przerażająco dobitnym tonem. – Ujawniłem panu wyniki badań archeologicznych prowadzonych w czterech krajach przez sześćdziesiąt lat, a pan opowiada mi dziecinne bajeczki? Pokazałem panu inskrypcję pod Koloseum, którą uważano za zaginioną przez tysiące lat. – Saladyn podszedł tak blisko, że profesor wyczuł zapach tytoniu w jego oddechu. – Cesarz Tytus rozpoczął te poszukiwania, a ja je dokończę.

– Nie mogę panu pozwolić zniszczyć czegoś, za co garstka dzielnych ludzi w Rzymie oddała życie. – Profesor wyprostował się, jak gdyby wspomnienie ich heroizmu nagle tchnęło weń odwagę. – Tytus przybył do Jerozolimy, by wzmocnić swoją potęgę, pokonując boga. Pan nie poszukuje tego przedmiotu, podobnie jak on. Pożąda pan władzy niszczenia. Jestem zbyt silnie związany z ruinami Jerozolimy, by dopuścić do obrócenia ich w perzynę.

– Jest pan częścią tych ruin, prawda? – spytał Saladyn; jego oczy błyszczały w blasku wielkiego reflektora. Odwrócił się i skinął na Ahmeda, który zsunął się ze skraju tunelu. Nonszalanckim gestem sięgnął za pasek i wyciągnął stamtąd dziewięćmilimetrowy pistolet produkcji albańskiej, pozbawiony utrudniających użycie zabezpieczeń. Profesor nawet nie zdążył zareagować, gdy kościsty młody Arab wystrzelił dwa pociski prosto w jego czoło.

Cianari gwałtownie zamrugał oczami, zachwiał się, a potem runął bez życia twarzą na suchą ziemię na dnie groty. Krew sączyła się przez dziurę ziejącą w tyle głowy na białe włosy profesora. W podobny sposób delikatna jagnięca wełna nasiąka gęstym czerwonym barwnikiem.

Saladyn przekroczył zwłoki.

– Wrzucić go pod ścianę i zasypać gruzem.

## 26.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Jonathan. – Dziesięć i pół Via dell'Orso.

– Dziesięć i pół? – zdziwiła się Emili.

Podeszli do wąskiej zaniedbanej kamienicy z drewnianymi drzwiami zabezpieczonymi sznurkiem. KABAŁA, głosił wykonany kiczowatym średniowiecznym liternictwem szyld wiszący na gwoździu nad pękniętym dzwonkiem.

- Naprawdę powinniśmy do niego iść? – spytała Emili.
- Chandler wie o starożytnym mistycyzmie więcej niż ktokolwiek inny.
- I sprzedaje te informacje jak towar w pudełkach.
- Bądź dla niego miła. Chandler odpowie na nasze pytania.

Weszli do przedsiönka ze schodami, w którym unosiła się woń stęchlizny. Emili zdjęła płaszcz; bluzka z długimi rękawami podkreślała jej szczupłą sylwetkę i zaokrągloną linię biustu. Włosy miała wciąż upięte, lecz na szyi zebrały się luźne jasne kosmyki. Myśli Jonathana odbiegły gdzieś daleko. Szybko ruszył ku schodom, chcąc odzyskać koncentrację.

- Ja pójdę pierwszy – powiedział, odchrząkując.

Recepcjonistką była ładna młoda brunetka z małym kolczykiem w nosie i z egipskim symbolem mistycznym wytatuowanym na obojczyku. Ścienne regały wypełniały książki o mistycyzmie, a także kabalistyczne świece oraz kabalistyczna woda na sprzedaż. Na biurku recepcjonistki stał słój z naklejoną etykietą. Napis głosił: *Sześć euro za sztukę, odpowiednie do ośmiokrotnego użycia.*

Nieco z boku w kałuży wosku stała zapalona świeca wydzielająca pomarańczowy aromat. Na blacie umieszczono kartkę z napisem: *Niektórzy pragną tylko ujrzeć odzienie Tory, a nie to, co znajduje się pod nim.* Zohar Chadasz, *Tikkunim* II 93b.

Poniżej można było przeczytać:

*Przymujemy karty płatnicze Visa Eurocard.*

Recepcjonistka poszła szukać Chandlera, a Jonathan spoglądał na książki o magnetyzmie, kamieniu filozoficznym i numerologii. Stanowiły odbicie wiedzy Chandlera, który potrafił cytować z pamięci całe ustępy dzieł poświęconych średniowiecznemu mistycyzmowi. W gruncie rzeczy można było przewidzieć, że kiedyś znajdzie się w takiej siedzibie z recepcjonistką i czytnikiem kart kredytowych. Przed laty umiał przykuwać uwagę wszystkich zebranych w kawiarni, snując hipotezy na temat Arizala i Johanna Trithemiusa. Teraz zmieniło się jedynie to, że pobierał opłaty za wejście.

– Nasz bohater i bohaterka wreszcie wynurzyli się na powierzchnię – odezwał się wesóły głos z tyłu. Chandler niezgrabnym krokiem pokonywał długość sali wykładowej. Zbliżał się z szeroko otwartymi ramionami, jak gdyby Jonathan i Emili ocaleli z katastrofy morskiej.

Popatrzył na Emili.

- Toż to Anioł Archeologii we własnej osobie! Śledziłem twoje perypetie.
- Miło cię widzieć, Chandler – odparła ostrożnie Emili.
- Idealnie się wstrzeliliście. Następne zajęcia mam dopiero o dziewiątej. Chodźcie.

Przeszli do zakurzonej starej biblioteki, przypominającej hol zakładu pogrzebowego. Przez witrażowe okna wpadało do środka bursztynowe światło. W niewielkich szklanych gablotach rozmieszczonych wzdłuż ściany spoczywały rękopisy pokryte tajemniczymi symbolami noszące ślady zalania wodą. Jonathan poczuł się jak na wystawie encyklopedycznej wiedzy Chandlera na temat okultyzmu.

- Robi wrażenie, prawda? – odezwał się gospodarz.

Jonathan i Emili rozeszli się w różne strony pomieszczenia.

– Kupiłem ten lokal od ekscentrycznego handlarza wiecie czego – oznajmił z obrzydzeniem Chandler. – Bibliotekę pozostawiłem nietkniętą.

- Jakiego handlarza? – zapytała nerwowo Emili, zerkając na Jonathana, jakby trafili do

kryjówki dealera narkotyków.

– Książek o okultyzmie, kabale, gnostycyzmie i tym podobnych sprawach, dziecino. – Chandler usiadł przy mahoniowym biurku i przetaił okulary skrawkiem koszuli. – Staruszek poświęcił życie na gromadzenie od dawien dawna niewydawanych ksiąg poświęconych neoplatonizmowi, alchemii i prorocत्वom Nostradamusa. – Gospodarz zerwał się z krzesła i podszedł do Jonathana. – Spójrzcie na to. Książki o gematrii, manifestach różokrzyżowców, nawet o Shimmush Tehillim, czyli o wykorzystaniu psalmów w magii. – Chandler wskazał bardzo stary tom w podartej brązowej oprawie z nienaruszoną brązową klamrą. – Zohar z dziesiątego wieku, przywieziony do Włoch w dziewięćset siedemnastym roku z Babilonii.

Jonathan nachylił się, Chandler zrobił to samo. Ich twarze prawie dotykały szkła gabloty.

– Gdyby ta księga nie ucierpiała podczas potopu w Wenecji w tysiąc pięćset osiemdziesiątym trzecim roku, byłaby warta więcej niż ferrari.

– A cóż to takiego? – spytała Emili, podchodząc do przeciwnej ściany biblioteki.

– Staroegipskie ryty. Opisują wymiary piramidy według dokumentów sporządzonych w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym roku. Wiedzieliście, że jej pierwotna wysokość, sto czterdzieści osiem i pół metra, pomnożona przez dziesięć z dziewięćmioma zerami, odpowiada odległości pomiędzy Ziemią a Słońcem? – Chandler usiadł na krześle, zadowolony z siebie. – To najprawdziwsza prawda.

– Umberto Eco stwierdził, że wystarczy zmierzyć wysokość budki telefonicznej na dowolnym placu, pomnożyć ją przez szerokość, a następnie przed dziesięć do potęgi piątej, by uzyskać długość obwodu Ziemi – odparł Jonathan.

Emili parsknęła śmiechem.

– Wyrosłeś na trudnego słuchacza, Aureliusz – zauważył Chandler.

Emili podała mu swój cyfrowy aparat i wskazała na wyświetlacz.

– Jon i ja potrzebujemy twojej pomocy. Znaleźliśmy taką oto inskrypcję.

– Święte drzewo światła – przetłumaczył na głos Chandler. – Nadzwyczajne. Gdzie na nią trafiliście?

– Pod Koloseum – odparł Jonathan. – W hipogeum.

– Zeszliście pod Koloseum? – Chandler nawet nie próbował ukryć zazdrości. Pogroził Jonathanowi palcem. – Wiedziałem, że wielki Marcus powrócił z emerytury, wyczytałem to w jego oczach.

– Ktoś bardzo się starał zwrócić uwagę na to miejsce pod Koloseum – oznajmił Jonathan, wyjmując z kieszeni marynarki chusteczkę Alitalia. – Znalazłem te słowa wyryte na wewnętrznej stronie fragmentu *Forma Urbis*. Ich znaczenie leży w granicach twojej... – Jonathan rozejrzał się podejrzliwie po bibliotece – ...dziedziny.

– Błąd Tytusa – powiedział Chandler, nachylając się. Przyjrzał się chusteczce, a następnie powoli przeniósł wzrok na Jonathana. Frywolny nastrój prysł. Chandlerowi bardziej odpowiadała sytuacja, gdy mógł snuć zmyślone przez siebie teorie; było to jak gra fałszywymi pieniędzmi w kasynie. Jednak widok inskrypcji wywołał na jego twarzy przestach, jak gdyby ktoś szepnął mu do ucha, że pieniądze są prawdziwe. – Aureliusz – rzekł z napięciem w głosie, odrywając spojrzenie od wyświetlaczu aparatu. – Przychodzisz do mnie z bardzo poważną sprawą.

– *Comandante*, dojeżdżamy do Międzynarodowego Centrum Konserwacji Zabytków w Rzymie – oznajmił porucznik Brandisi, zatrzasnąwszy kłapkę telefonu komórkowego. Odwrócił się do Profety, który siedział na tylnym siedzeniu radiowozu. – Dyrektorka ośrodka, Jacqueline Olivier, czeka na pana w swoim gabinecie.

Profeta przemierzył dziedziniec budynku i wyjął pistolet z kabury, zanim przeszedł przez detektor metalu. Wysoki ochroniarz w niebieskim hełmie z oznaczeniami ONZ przykleił metkę do broni i wręczył Profecie perforowaną kartę, pozwalającą odzyskać pistolet przy wyjściu. Międzynarodowe Centrum Konserwacji Zabytków w Rzymie było instytucją odrębną od UNESCO, lecz w jej siedzibie obowiązywały przepisy Organizacji Narodów Zjednoczonych, zabraniające wnoszenia broni przez funkcjonariuszy miejscowej policji.

W holu rozbrzmiewały głosy pracowników ośrodka, którzy w kilkunastu językach rozmawiali przez telefony komórkowe. Na zawieszonym na ścianie płaskim telewizorze przesuwano się zdjęcia wybuchu w Koloseum.

Profeta się rozejrzył. Na ścianach wisiały tablice pamiątkowe, nagrody oraz dyplomy uznania. Komendant zatrzymał się przed jednym z nich.

*Nagroda za wkład w konserwację i ochronę dziedzictwa kulturowego w strefach konfliktu dla doktor Emili Travii, grudzień 2004, Paryż.*

– To wygląda na prestiżową nagrodę, Brandisi – rzekł z podziwem Profeta.

– Jest prestiżowa i ze wszech miar zasłużona – dodała dyrektorka Olivier, która stanęła za policjantami. Podała rękę Profecie, a później Brandisiemu. – Jestem Jacqueline Olivier, dyrektorka Międzynarodowego Centrum Konserwacji Zabytków w Rzymie. – Wskazała dyplom. – Doktor Travia to moja zastępczyni. Jesteśmy dumni z jej prac konserwatorskich w regionach dotkniętych konfliktami od Bagdadu aż po Bośnię. Pani doktor bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki.

– Na to wygląda – zauważył Profeta.

– Tędy, *comandante*.

Dyrektorka zaprowadziła gości do narożnego gabinetu ozdobionego różnymi dyplomami uznania za międzynarodową działalność konserwatorską. Na parapecie znajdowała się mała główka Buddy, a także afrykański nóż obrzędowy oraz maska z Nepalu. Z okna rozpościerała się panorama Wzgórza Awentyńskiego.

– Przyszliśmy do pani z porucznikiem Brandisim w związku z eksplozją pod Koloseum.

– Jutro w Koloseum rozpoczyna się konferencja Komitetu Światowego Dziedzictwa i akurat teraz musiała wybuchnąć rura instalacji ciepłowniczej – odparła z uśmiechem dyrektorka. Mimo to Profeta dostrzegł wyraz napięcia w jej oczach.

– Obawiam się, że pracownica ośrodka, doktor Emili Travia, przebywała blisko miejsca dotkniętego wybuchem.

– Czy coś jej się stało? – zaniepokoiła się Jacqueline Olivier. Uśmiech w jednej chwili zniknął z jej twarzy.

– Nie mamy pewności. Kamery systemu ochrony zarejestrowały, jak schodzi do podziemi Koloseum kilka minut przed wybuchem.

– To musi być pomyłka – odparła dyrektorka z udawaną pewnością osoby, która właśnie

usłyszała szokującą wiadomość.

– Zidentyfikował ją jeden z ochroniarzy pilnujących Koloseum. Grupy operacyjne przeszukują zwaly gruzu... – Profeta przerwał w połowie zdania. – Pracują cały czas.

Jacqueline Olivier nic nie odpowiedziała, tylko rozluźniła modną jedwabną chustę na szyi. Przeniosła spojrzenie na okno.

– Czy doktor Travia zajmowała się jakąś nietypową sprawą? Chodzi nam o informacje, które mogłyby pomóc w dochodzeniu.

– Dziś rano rozpoczęło się przesłuchanie dotyczące fragmentów *Forma Urbis*, które zespół doktor Travii odkrył w zeszłym roku pod Jerozolimą. Straciliśmy tam kolegę. To przesłuchanie poruszyło nas wszystkich.

– Cóż to za fragmenty *Forma Urbis*? – spytał Profeta, przyglądając się twarzy dyrektorki.

– Dwa fragmenty przedstawiające teren Koloseum. Trafiły na wystawę w Muzeum Kapitolińskim, wypożyczone przez anonimowego właściciela. Ministerstwo Kultury zwróciło się do doktor Travii, by złożyła zeznanie kwestionujące określone przez wypożyczającego pochodzenie zabytków. – Dyrektorka otworzyła teczkę i podała Profecie wycinek z gazety. Podtytuł artykułu brzmiał: *Fragment Forma Urbis po dwóch latach pojawia się w Rzymie. Zeznanie urzędniczki ONZ.*

Spojrzenie Profety skupiło się na widocznym obok tytułu zdjęciu. Komendant w jednej chwili uświadomił sobie, że fragmenty odkryte ponoć przez doktor Travię w Jerozolimie przedstawiają tę samą część Koloseum, której widok utrwalił się na monitorze komputera zdobytego w czasie nocnego nalotu na portowy magazyn.

– Pani dyrektor, potrzebne mi są wszelkie informacje na temat działalności doktor Travii w Jerozolimie – oznajmił Profeta.

Wyglądał jak człowiek stojący u progu wielkiego odkrycia.

## 28.

– Święte drzewo światła – powtórzył Chandler, spoglądając przed siebie szeroko otwartymi oczyma. Ilekroć był zdenerwowany, zaczynał prostować spinacze biurowe i wciskać je w zapadki skorodowanej kłódki, której używał jako przycisk do papieru. Jego palce pracowały z nadzwyczajną zręcznością, wsuwając spinacz w zagłębienia. Ledwie zamek się otworzył, on zatrząskiwiał kłódkę i rozpoczynał zabawę od początku.

– Ta inskrypcja to *tsurat ha-hidah* – orzekł Chandler.

– Co takiego? – spytała Emili.

– *Tsurat ha-hidah*. Wyrażenie to, przetłumaczone dosłownie ze starożytnego aramejskiego, oznacza „zagadkę symboliczną”. Cieszyły się one wielką popularnością w czasach starożytnych. Bardzo wymyślne wielojęzyczne zwroty, w tym wypadku łacińskie i hebrajskie, łączono z symbolicznymi amuletami. Ilustracje stanowiące część zagadek nosiły nazwę ἕθηθ, po grecku *embalo*. Od tego słowa pochodzi słowo „emblemat”. To klasyczna starożytna kryptografia.

– Innymi słowy, wiadomość dla tych, którzy potrafią ją zrozumieć – wyjaśnił Emili Jonathan.

– Słusznie, kolego Marcus – potwierdził Chandler, a następnie przeniósł spojrzenie na Emili.

– Jon był kontrwywiadowcą starożytnego świata. Wszyscy w akademii pławili się w starożytnych poematach heroicznym, ale nie Marcus. On zaszywał się w bibliotece i pod każdą kartką

pergaminy wężyl szpiega.

– Określenie „błąd Tytusa” mogło się odnosić do każdej osoby, której imię znaleźliśmy wyryte w podziemiach Koloseum – zauważył Jonathan. – Wielu spośród tych ludzi mogło zostać straconych pod zarzutem zdrady: Berenika, Klemens, Epafrodyt.

– To prawda, że Tytus nie lubił ryzykować – potwierdził Chandler, znów patrząc na Jonathana. – Ale wydaje mi się, że popełnił błąd znacznie większego kalibru. Myślę, że słowa te odnoszą się do motywu, który skłonił tych ludzi do szpiegostwa.

– Uważasz, że ów motyw został pokazany na reliefie? – spytała Emili.

– Tak właśnie myślę. Pamiętajmy, że ci ludzie nie łudzili się, iż wyjdą z areny żywi. Ten relief mógł być wiadomością, symboliczną zagadką zaadresowaną do potomków jeńców z Jerozolimy. Dlatego niektóre słowa zapisane zostały hebrajskim tekstem. Spójrzcie, co ich łączy. Wszyscy mają jakiś związek z Jerozolimą. Berenika była córką króla Judei, Klemens został stracony za zdradę, ponieważ wysyłał wiadomości do Jerozolimy, Aliteriusa określa się mianem żydowskiego satyryka scenicznego, Epafrodyt wydawał prowokacyjne kroniki rzymskiej wojny z Jerozolimą.

– Jeśli tak, to dlaczego ich ostatni rysunek zawiera nawiązanie do pogańskiego obrazu świętego drzewa światła? – dociekał Jonathan. – Święte drzewa przynależały do panteonu pogaństwa, a nie do żydowskiego monoteizmu.

– Masz pewność, że ten wizerunek nawiązuje do pogańskiego kultu? – W oczach Chandlera igrała łobuzerska iskierka. – A może to tylko kamuflaż?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – dociekała Emili.

– Oddawanie czci drzewom to pogański obrzęd – ciągnął Chandler. – Najstarsze praktyki religijne polegają właśnie na czczeniu drzew. W tych prebiblijnych kultach drzewo uważane było za życiodajną żeńską siłę, coś w rodzaju Matki Ziemi. Na sumeryjskich amuletach z epoki brązu znajdujemy wizerunki siedmioramiennego drzewa z piersiami.

– Ale to były pogańskie kultury – zauważyła Emili. – W monoteizmie takie obrazy całkowicie zanikły.

– Całkowicie? Nie byłbym tego taki pewny – zaproponował Chandler. – Starożytny monoteizm wykorzystuje motyw drzewa w celu pozyskania innowierców. Pomyślcie tylko. Gilgamesz poszukuje świętej winorośli, boski Sitar szuka w podziemnym świecie rośliny życia. A drzewo, którego owoców nie wolno spożywać? Należy trzymać się od niego z daleka. Nie zbliżajcie się do tego drzewa. – Chandler nagle się uśmiechnął. – Brzmi znajomo, prawda?

– Księga Rodzaju – powiedziała Emili.

– To nie przypadek, że Pismo Święte praktycznie zaczyna się w ogrodzie. Dlaczego rośnie tam drzewo, od którego musimy się trzymać z daleka, którego owocami nie wolno nam się pożywić? W ten sposób pierwsi wyznawcy monoteizmu odrzucali kult drzew i przestrzegali tych, którzy do spożywania jego owoców przywiązywali szczególną wagę. Niektórzy znawcy Biblii przekonują, że wygnanie z Ogrodu Edenu stanowi ilustrację trudnego przejścia od łatwych kultów płodności i drzew do trudniejszej i bardziej abstrakcyjnej duchowości, nad którą trzeba pracować. Adam i Ewa, kiedy znajdą się poza Edenem, muszą uprawiać duchową glebę. Chandler wstał i zdjął z regału jakąś księgę.

– Rzecz jasna, w przypowieściach biblijnych znajdujemy nawiązania do kultu drzew. Występuje tam między innymi krzak, który nie chce zapłonąć, liście, które nie więdną. – Mówca

się uśmiechnął. – Droga od politeizmu do monoteizmu nie była tak gładka, jak twierdzi większość biblistów.

- Ale co to ma wspólnego z drzewem z Jerozolimy? – spytała zniecierpliwiona Emili.
- Ta inskrypcja ma chronić święty przedmiot pochodzący z Jerozolimy – odparł Chandler.
- Jest w niej mowa o drzewie – zauważyła Emili.

– Dotyczy jednak czegoś znacznie ważniejszego. Pomyślcie o pierwszych wyznawcach monoteizmu. W miarę dojrzewania ich wiary kult życiodajnego drzewa nabierał coraz więcej cech metafizycznych i z czasem, zamiast lepić wyobrażenia drzew z siedmioma konarami, zaczęli zmieniać ów wizerunek. Z siedmioramiennego drzewa powstał siedmioramienny świecznik.

Chandler sięgnął po grubą Biblię i jął czytać ustęp z Księgi Wyjścia:

– *Zrobisz też świecznik ze szczerego złota. Z tej samej bryły wykujesz świecznik wraz z jego podstawą i jego trzonem; jego kielichy, pąki i kwiaty będą z jednej bryły. Sześć ramion będzie wychodzić z jego boków...\** – Chandler oparł się na krzesło, jakby dowiódł swojej racji. – Relief, który znaleźliście pod Koloseum, w bezpośredni sposób nawiązuje do menory z wewnętrznego sanktuarium Świątyni, zwanej *mishkan*, a po łacinie *tabernaculum*. Słowo to oznaczało namiot albo małe święte miejsce, od niego wzięła się „tawerna”. Idę o zakład, że nie mieliście pojęcia, iż pobliska knajpa ma taki sam źródłosłów jak najbardziej uświęcone miejsce na świecie...

\* Wj 25, 31-32. Wszystkie cytaty zaczerpnięto z Biblii Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

– Chwileczkę – wtrącił Jonathan. – Twierdzisz, że ta zagadka jest zawoalowanym odniesieniem do najstarszego symbolu monoteistycznego, czyli menory?

– Pomyśl, Jon – odezwała się Emili. – To był ostatni i najtragiczniejszy akt wyznania wiary, który znajdowano na kamieniach w Masadzie i na ścianach obozu koncentracyjnego w Majdanku. Dlaczego jeńcy z Jerozolimy, skazani na śmierć w Koloseum, mieliby postępować inaczej?

– Ich rysunki różniły się pod jednym względem – zauważył Chandler.

– Jakim? – zapytała Emili.

– Nie sądzę, by ci ostatni rysowali symbol. – Chandler wstał. – Wydaje mi się, że chcieli pokazać prawdziwą menorę wykutą przez króla Heroda z dwóch i pół metra szczerego złota, która paliła się w wewnętrznym sanktuarium Świątyni Jerozolimskiej. Myślę, że jeden z tych więźniów usiłował powiedzieć, gdzie owa menora się znajduje.

## 29.

– Menora – rzekła beznamiętnym głosem Emili. – Menora ze Świątyni Heroda w Jerozolimie. Nie mówisz tego poważnie.

– Jeden z niewielu artefaktów starożytności, których prawdziwe dzieje są ciekawsze od otaczających je popularnych legend – oznajmił Chandler.

– Czy Rzymianie nie przetopili jej na złoto? – zapytała Emili. Jako konserwatorka wiedziała, że dzieje menory wielokrotnie pojawiały się na kartach historii. – Cena złota w Syrii spadła o połowę za

sprawą kruszcu, który Rzymianie zrabowali ze Świątyni Jerozolimskiej w siedemdziesiątym



roku.

– Inne naczynia ze Świątyni Heroda zostały przetopione, a złoto poszło na sfinansowanie budowy Koloseum, lecz ten los nie spotkał menory, gdyż była ona cenniejsza jako symbol zwycięstwa niż jako złoto, które można z niej było uzyskać. Cesarz Wespazjan kazał nawet wznieść nową budowlę na Forum, by wystawiać w niej menorę na czołowym miejscu wśród łupów wojennych. Pozostała tam przez czterysta lat, aż do roku czterysta pięćdziesiątego piątego, w którym Wandalowie spustoszyli Rzym, zrabowali menorę i wysłali ją do Kartaginy. Ekspozowali ją jako symbol, gdyż Kartagińczycy przez tysiąc lat pozostawali jedynym narodem, który sforsował mury Rzymu.

– Jednak Rzym się zemścił – dodał Jonathan, odwróciwszy się do Emili. – Siedemdziesiąt lat później, w roku pięćset piętnastym, rzymski generał Belizariusz popłynął do Kartaginy, by wyrównać rachunki. Z Kartaginy zostały ruiny, a Belizariusz splądrował Afrykę Północną i wrócił do Rzymu ze skarbami. Rzymski historyk Prokopiusz podaje, że Rzymianie znów ponieśli menorę na ramionach ulicami miasta.

– A zatem menora powróciła do Rzymu na początku szóstego wieku? – indagowała Emili.

– Nie na długo – odparł Chandler. – Pamiętajmy, że w pięćset piętnastym roku Rzym jest chrześcijańskim cesarstwem ze stolicą w Konstantynopolu. Generał Belizariusz udaje się w podróż do Konstantynopola i prezentuje menorę na dworze cesarza Justyniana. Tu napotykamy historyczną ciekawostkę. Okazuje się bowiem, że Justynian jest przesądny. Wszystkie miasta, w których przechowywano menorę, zostały obrócone w ruiny: Jerozolima, Rzym, Kartagina. Czy przyjmując świecznik, ściągnie zagładę na Konstantynopol? Justynian postanawia zatem wysłać menorę do chrześcijańskiego kościoła w Jerozolimie.

– Czy to znaczy, że menora znów trafiła do Jerozolimy? – W głosie Emili pojawiła się nutka zniecierpliwienia.

– Nie spędziła tam nawet pięćdziesięciu lat – odpowiedział Jonathan. – Persowie spustoszyli Jerozolimę w sześćset czternastym roku, lecz wedle wielu kronik historycznych chrześcijańscy kapłani zdołali przemycić menorę z powrotem do Konstantynopola. Potwierdzają to liczne teksty z siódmego wieku, opisujące ów świecznik dziwnego kształtu, który w czasie świąt wystawiano w pałacu *heptalychnos*. Z historycznych źródeł wynika, że menora pozostawała w tym bizantyjskim pałacu aż do tysiąc dwieście czwartego roku, gdy został splądrowany Konstantynopol.

– To rok czwartej krucjaty – dodał Chandler. – Papież rozkazał krzyżowcom zdobyć Jerozolimę, lecz Święte Miasto było zbyt silnie ufortyfikowane, dlatego rycerze nie wiedząc czemu wykonali ostry skręt i ruszyli na Konstantynopol. Spustoszyli i spalili miasto, a menorę przypuszczalnie zabrali do Rzymu.

– Skończyliście już? – spytała Emili.

– Tak – odpowiedzieli jednocześnie Chandler i Jonathan.

– A zatem niewykluczone, że menora jest w posiadaniu Kościoła katolickiego.

– Nie jesteś pierwszą osobą, która to sugeruje – rzekł Chandler. – W dwa tysiące drugim roku izraelska delegacja państwowa przybyła do Watykanu z oficjalną petycją do Kościoła, by ten zwrócił menorę zrabowaną przez rzymskich legionistów albo przynajmniej znalazł w tajnych archiwach Watykanu informację o tym, gdzie ów zabytek obecnie się znajduje. Doszło do podpisania porozumienia dyplomatycznego i delegacja wróciła do Tel Awiwu z wypożyczonymi

na stałe bezcennymi rękopisami, które zostały skonfiskowane przez Kościół w czasie prześladowań żydowskiej mniejszości w Rzymie w czternastym i piętnastym wieku. Jednakże menory wysłannicy nie przywieźli. Zwracając Izraelczykom dokumenty, Watykan postawił jednoznacznie sformułowany warunek, że nie będzie dalszych oficjalnych zapytań o menorę.

– Skoro ślad urywa się na Kościele, to dlaczego ktoś kopie pod Koloseum, próbując ustalić miejsce pobytu menory na podstawie inskrypcji jeńców z pierwszego wieku?

– I tu właśnie sprawy się komplikują – odparł Chandler.

– Ach tak, więc dopiero teraz się komplikują? – Emili spojrzała błagalnie na Jonathana, lecz ten jedynie wzruszył ramionami.

– Rzućcie okiem na procesję przedstawioną na Łuku Tytusa – powiedział Chandler, spoglądając na swój księgozbiór wzrokiem ogara, który wyczuł trop. Ściągnął z regału plik dziewiętnastowiecznych szkiców archeologicznych wielkości plakatu. Przerzucał je gorączkowo, aż natrafił na Łuk Tytusa. Wtedy wskazał relief na południowej podstawie łuku. – Co widzicie?

Emili popatrzyła na scenę przedstawiającą niewolników z Jerozolimy, uginających się pod batogami Rzymian.

– Izraelscy jeńcy wojenni dźwigają drogocenną zdobycz wojenną Tytusa. Menora z Tabernakulum powraca do Rzymu.

– Ta menora? – rzekł Chandler. – Przyjrzyj się dokładnie. Jesteś pewna?

– Tak, to jest menora ze Świątyni Heroda.

– Chwileczkę – odezwał się Jonathan. Nachylił się nad ramieniem Emili i przyjrzał się badawczo wizerunkowi menory. – Spójrzcie na podstawę, ona nie pasuje do wymiarów podanych w Biblii. Nie jest zrobiona z jednej bryły złota. Zwróćcie uwagę na ornamentację: orzeł trzymający w dziobie wieniec. – Jonathan spojrzał na Chandlera. – To godło cesarstwa rzymskiego. A tutaj – Jonathan wskazał dolną część podstawy świecznika – widać jakiegoś potwora morskiego lub smoka.

– To smok – potwierdził Chandler. – Wszyscy wiemy, że smok jest symbolem pogańskim, zatem ta menora nie mogła być oryginalna. Uczeni od dawna zachodzą w głowę, dlaczego w ustępach dzieł Józefa Flawiusza, szczegółowo opisujących splądrowanie Świątyni, nie znalazła się ani jedna wzmianka o zdobyciu świętej menory. – Chandler usiadł i splótł ręce. – Może Józef mówi nam, że menora w ogóle nie została zrabowana.

– Twierdzisz zatem, że Rzymianie zabrali podróbkę i że menora na Łuku Tytusa to kopia? – spytała Emili.

– Otóż to, tak właśnie twierdzą. W źródłach talmudycznych czytamy, że ramiona złotego świecznika nie były zakrzywione tak jak ramiona menory, które widzimy na tym reliefie. Były proste i biegły ukośnie. Ta nieścisłość mogła zostać powielona na wszystkich późniejszych wizerunkach zabytku. Poza tym menora przedstawiona na łuku jest za mała. Kapłani pilnujący płomieni musieli pokonać trzy wysokie stopnie, aby zapalić lampy.

Emili pochyliła się, spoglądając Chandlerowi prosto w oczy.

– A więc wszyscy wielcy zdobywcy, przez tysiąc lat walczący o ten zabytek: Tytus, który splądrował Jerozolimę, Wandalowie, którzy splądrowali Rzym, Bizantyjczycy, którzy zdobyli i obrócili w gruzy Kartaginę, i krzyżowcy, którzy to samo uczynili z Konstantynopolem, powielali

ten sam błąd?

Chandler skinął głową, biorąc do ręki kłódkę.

– Menora zrabowana w Jerozolimie przed dwoma tysiącami lat nie była oryginalna. Na tym, przyjaciele, polegał błąd Tytusa. – W tym momencie klamra zardzewiałej kłódki odskoczyła.

### 30.

Profeta siedział w sali konferencyjnej obok gabinetu dyrektorki oenztetowskiej agencji i trzymał na kolanach raport dotyczący śmierci doktora Szarifa Lebaga w ubiegłym roku w Jerozolimie. Skończywszy lekturę, wstał.

– Zatem przed dwoma laty z polecenia UNESCO doktor Travia pojechała do Jerozolimy, by zbadać doniesienia o nielegalnych wykopaliskach pod Wzgórzem Świątynnym. Natrafiła na podziemne laboratorium badawcze pod miastem, w którym, ku swojemu zaskoczeniu, zauważyła fragmenty *Forma Urbis*, poddawane badaniom

za pomocą specjalistycznego sprzętu. Na ścianach znajdowały się liczne kartki z rękopisów Józefa Flawiusza, lecz doktor Travia nie dowiedziała się, w jakim celu je tam umieszczono.

Jacqueline Olivier z godnością skinęła głową.

– Teraz owe fragmenty *Forma Urbis* pojawiły się tu, w Rzymie. Ministerstwo Kultury chętnie wykorzystuje jej zeznanie, by zdemaskować sfalszowane pochodzenie zabytku, lecz doktor Travia kieruje się zupełnie innym motywem: chce rozwiązać zagadkę archeologiczną związaną z tymi fragmentami marmuru.

– Jeśli takowa istnieje, *comandante*.

– W podziemiach Koloseum, w miejscu ukazanym na tych fragmentach *Forma Urbis*, ktoś prowadził nielegalne wykopaliska. Dla mnie to jest zagadkowe. – Profeta przechadzał się po pokoju, jakby pomagało mu to w myśleniu. – Pani dyrektor, czy słyszała pani o funduszu al-Quds?

Doktor Olivier zastanawiała się nad odpowiedzią dłużej, niż Profeta oczekiwał.

– Naturalnie. Jest to fundusz dobroczynny założony w Maroku, wspierający różnorodne projekty kulturalne w Jerozolimie.

– Jakże to projekty?

– Najważniejsze z nich to zarządzanie dwiema świątyniami stojącymi na Wzgórzu Świątynnym, czyli meczetem Al-Aksa i Kopułą na Skale. Wzgórze jest wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa, lecz pieniądze z funduszu al-Quds pozwalają zarządzającej Wzgórzem muzułmańskiej organizacji Waqf funkcjonować bez dofinansowania od naszej organizacji oraz innych agend UNESCO. Zapewniam pana jednak, że ten układ nastrocza wielu problemów.

– Dlatego że pani organizacja nie ma możliwości nadzorowania terenu?

– Otóż to. Zarząd Waqf od dziesięciu lat nie pozwala ONZ sprawdzić, czy pod Wzgórzem Świątynnym rzeczywiście prowadzone są prace budowlane, o których krążą pogłoski.

– Proszę doktor Travię również spotkały się z odmową?

Dyrektorka skinęła głową.

– Doktor Travia jak zawsze nie dawała za wygraną, wielokrotnie prosząc o zezwolenie władze religijne i polityczne, sprawujące kontrolę nad Wzgórzem. Niestety, islamski reżim powoływał się na precedens. Od ponad stu pięćdziesięciu lat innowiercom odmawia się wstępu

pod powierzchnię Wzgórza Świątynnego. Otrzymała tylko zgodę na oględziny południowej ściany Wzgórza Świątynnego. Z naszych źródeł uzyskaliśmy informacje, że nielegalne wykopalisko pod Wzgórzem spowodowało wybrzuszenie muru, który był bliski zawalenia.

Profeta zapisał coś w notatniku.

– Czy raport doktor Travii na temat Wzgórza Świątynnego został opublikowany?

– Nie, dostęp do niego mają wyłącznie pracownicy agend ONZ.

– To była pani decyzja czy doktor Travii?

– Moja. Teren na Wzgórzach Świątynnym stanowi bardzo drażliwy temat. – Dyrektorka wstała.

– To ziemia święta trzech religii. W tradycji judeochrześcijańskiej Abraham omal nie złożył tam ofiary ze swojego syna, tam znajdowało się także Święte Świętych obu Świątyń. Z kolei dla islamu jest to miejsce, w którym Mahomet wzniósł się do nieba. Jurysdykcję sprawuje Waqf, a prowadzona przez Arabów budowa objęta jest najściślejszą tajemnicą. Doktor Travia była wstrząśnięta brakiem zainteresowania ze strony świata, podobnie jak jej kolega, doktor Lebag. W ubiegłym roku lobbowała w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, żeby zawiesić wszelkie dotacje kulturalne dla Waqf dopóty, dopóki nie ustaną wszystkie prace budowlane pod Wzgórzem. Jednakże wniosek przepadał raz po raz, gdyż kraje arabskie głosowały jako jeden blok. Po śmierci doktora Lebaga doktor Travia usilnie przekonywała Komitet Światowego Dziedzictwa do wszczęcia dochodzenia w sprawie działalności Waqf.

– Jutro miała przedłożyć ten wniosek przed komitetem, tak? –

Profeta znów zapisał coś w swoim notatniku. Dyrektorka z szacunkiem poczekała, aż skończy.

– Wystąpienie doktor Travii nie jest przewidziane. Zdobyte przez nią dowody są niewystarczające jako argument na rzecz ingerencji na Wzgórzach Świątynnym.

– Czy taka decyzja nie leży w gestii Komitetu Światowego Dziedzictwa? – spytał komendant, unosząc głowę znad notesu.

– Komitet ma czas na zajęcie się kwestią zaledwie kilku stanowisk archeologicznych na świecie. Nasze placówki w Chinach i w Malezji mają konkretne dowody świadczące o tym, że buddyjskie świątynie ponoszą nieodwracalne szkody. Całkowita odmowa współpracy ze strony Waqf sprawiła, że doktor Travia nie zdołała znaleźć ani jednego nielegalnego stanowiska wykopaliskowego pod Wzgórzem. W tym kontekście śmierć doktora Lebaga stanowi jeszcze boleśniejszą stratę.

Profeta wstał.

– Czy znaleziono szczątki doktora Lebaga?

– Na miejscu zbrodni znajdował się jedynie fragment tkanki głowy. Dwa tygodnie później w Gazie natrafiono na jego ciało... – Dyrektorka zamilkła na chwilę. – Było spalone i trudne do zidentyfikowania.

– Wykonano badanie DNA?

Doktor Olivier skinęła głową.

– Współpracowałam przy dochodzeniu z miejscowymi władzami.

Komendant wyczuł, że ta rana wciąż jest otwarta. Doktor Travia nie była jedyną osobą, która czuła się odpowiedzialna za śmierć doktora Lebaga.

Dyrektorka odzyskała panowanie nad sobą.

– Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić, *comandante*? Zapewne domyśla się pan, że mamy nawał pracy przed jutrzejszą konferencją w Koloseum. W razie potrzeby proszę mnie

zawiadomić. Z chęcią udzielimy wszelkiej pomocy.

– Jeszcze jedno pytanie, pani dyrektor.

– Słucham, *comandante*.

– Jeśli ktoś prowadzi nielegalne wykopaliska pod Wzgórzem Świątynnym, to w czym może mu pomóc fragment *Forma Urbis*? Do czego może się przydać starożytna mapa Rzymu?

– Właśnie na to pytanie ma nadzieję odpowiedzieć doktor Travia.

W drzwiach stanął Brandisi.

– *Comandante*, rozmawiałem z prawnikiem, który brał udział w porannym posiedzeniu sądu, Mauriziem Fiorellim. Nie widział doktor Travii od chwili, gdy skończyła odpowiadać na pytania przedstawiciela obrony... – Brandisi zerknął do notesu. – Kancelaria Dulling and Pierce.

– Zadzwoń tam i powiedz, że ich odwiedzimy – rzekł Profeta.

### 31.

Emili z zadumą wyjrzała przez okno.

– To dlatego Saladyn kopie w Rzymie. Szuka informacji, której nie znajdzie pod Wzgórzem Świątynnym. Jon, nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to jest... – Poszukała odpowiedniego angielskiego przymiotnika. – Wielkie.

– Wielkie? – powtórzył zaintrygowany Chandler.

– Przez kilka miesięcy pracowałam w placówce UNESCO w Jerozolimie. Wspólnie z Izraelskim Zarządem Starożytności wykryliśmy ogromne stanowisko wykopaliskowe pod Wzgórzem Świątynnym. Informatorzy Szarifa we Wschodniej Jerozolimie mówili, że ludzie Saladyna poszukują jakiegoś konkretnego obiektu. To może być menora, wszystko doskonale do siebie pasuje. Jeśli jeńcy z Jerozolimy zapisali w podziemiach Rzymu informację, gdzie znajduje się menora, Saladyn musiał najpierw kopać tutaj, żeby ją odnaleźć.

– Emili, wyobrażasz sobie, jak skomplikowaną operację musiano przeprowadzić, aby dokonać tego, co zasugerował Chandler? W

przeddzień zniszczenia Jerozolimy ze Wzgórza Świątynnego potajemnie wyniesiono dwa i pół metra czystego złota. Żadna z osób, których nazwiska znaleźliśmy na ścianie korytarza pod Koloseum, nie miała możliwości przemycenia menory w czasie oblężenia Jerozolimy przez wojska Tytusa. Berenika dostała się na jego dwór za późno i uwiodła Tytusa dopiero po zagładzie Świątyni. Klemens, Aliterius i Epafrodyt nie opuszczali Rzymu podczas wojny. Żadne z nich nie wiedziało, kiedy dokładnie Tytus wdrze się do Świętego Świętych.

– To nie dotyczy Józefa – zauważyła Emili. – Sam powiedziałeś, że przebywał w namiocie generała Tytusa. Zdobył informacje wojskowe, dowiedział się, w którym miejscu pierścień rzymskich wojsk jest najsłabszy, i wykradł skarb, którego przed Rzymianami poszukiwały niezliczone imperia. Taka sekwencja wypadków znakomicie uprawdopodobnia twoją hipotezę, Jon. Po wojnie Józef stworzył siatkę, która pomogła mu ukryć menorę w Jerozolimie. Być może w ostatniej zapisanej przez siebie liniice usiłował powiedzieć komuś, gdzie ją umieścić.

– W Złotym Domu musi się znajdować jeszcze jedna wiadomość – oznajmił Chandler, spoglądając na inskrypcję widoczną na ekranie cyfrowego aparatu. – Inskrypcja pod Koloseum nie bez powodu zawiera odniesienie do spalonego pałacu Nerona. Z biblioteki akademii weźmiemy plan ruin.

– Z biblioteki akademii?! – Jonathan uniósł ręce. – Ja się poddam. Nie jesteśmy studentami – powiedział, zdejmując marynarkę z oparcia krzesła.

– Siedem lat temu ślęczałeś dzień i noc, by dowiedzieć się, dlaczego Józef Flawiusz poświęcił na wieki swoje dobre imię – odparła Emili. – A teraz, gdy być może znaleźliśmy w Koloseum odpowiedź na to pytanie, chcesz się wycofać?

Jonathan wsunął płaszcz pod pachę.

– Przypominam ci, że siedem lat temu zrujnowałem sobie karierę zawodową. Nie zamierzam robić tego po raz drugi. – Rozległ się sygnał blackberry i Jonathan spojrzął na wyświetlacz. Oznaczona jako pilna wiadomość od Mildrena brzmiała:

Za pół godziny spotkanie w gabinecie Tattona.

– Co się stało? – spytała Emili.

– Mam spotkanie w firmie.

Chandler spojrzął z niedowierzaniem na Jonathana.

– Rozmawiamy o najcenniejszym łupie wojennym w historii cesarstwa rzymskiego, a ty mówisz o spotkaniu w firmie?

– Nie będę lekceważył swojego stanowiska i narażał kariery zawodowej z powodu jakiegoś przecucia. Oni mogą mnie potrzebować – rzekł Jonathan, kierując się w stronę drzwi. Spojrzął na zegarek. – Jest jedenasta trzydzieści, przebywam w Rzymie od niespełna dwunastu godzin. Rano siedziałem w sądzie jako adwokat, godzinę później ledwo uszedłem cało z wybuchu w Koloseum i musiałem się przemykać bocznymi uliczkami, żeby nie wpaść w ręce policji. Wystarczy jak na jeden dzień. – Odwrócił się do Emili. – Idź na policję, oni pomogą ci rozwiązać tę sprawę.

– Tak jak pomogli tobie siedem lat temu? – odparowała Emili. – Obarczyli cię winą za śmierć Gianpaola, gdy tylko tam wszedłeś. A ty pogodziłeś się z tym bez słowa sprzeciwu.

Jonathan był oszołomiony. W jednej chwili przypomniał sobie salę przesłuchań w gmachu ambasady przy Via Veneto kilka godzin po zapadnięciu się podziemnego korytarza. Bezimienny amerykański funkcjonariusz i jego równie tajemniczy włoski kolega zasypywali go pytaniami. Raz zwracali się do niego bardzo uprzejmie, to znów wściekle atakowali, sugerując, że do wypadku doszło z jego winy. Miał wrażenie, że oderwał się od swojego ciała i jest tylko niemym świadkiem wydarzeń. O świcie śledczy odprowadzili go do akademii, a tam przy bramie czekały na niego spakowane walizki. Emili nie wiedziała, że kierownictwo uczelni zabroniło mu kontaktować się z nią przed wyjazdem. Przystał na to, aby uchronić ją przed wyrzuceniem z akademii.

– No, już dobrze – powiedział Chandler, wyczuwając, jak ciężki padł zarzut. Stał między Emili i Jonathanem. – Adwokatowi trzeba czasu na zastanowienie...

– Potrzebuję jakiegoś dowodu – odparł Jonathan, przesuwając ręką po włosach. – Na litość boską, teraz jestem prawnikiem.

– Z własnej winy – zauważyła Emili.

Jonathan odwrócił się do drzwi.

Emili stała po drugiej stronie sali, nie patrząc na niego. Siedem lat rozłąki znów dało o sobie znać. Jonathan poczuł, że zostawia za sobą coś trwałego i ważnego.

- Nie pójdę na policję, ale nie mogę dłużej brać w tym udziału – oznajmił.
- Dajże spokój, Jon – rzucił pojednawczo Chandler. – Nie możesz zawrócić, to jest twój Rubikon.

Rubikon. To była klasyczna zagrywka Chandlera. Każdy student historii starożytnej wie, że Rubikon był czymś więcej aniżeli rzeką wyznaczającą granicę cesarstwa rzymskiego. W 44 roku przed naszą erą Juliusz Cezar zebrał swoje wojska na jej brzegu i jak każdy bohater stoczył ze sobą wewnętrzną walkę. Musiał podjąć decyzję: podporządkować się prawu czy rzucić mu wyzwanie. Chandler ma rację, pomyślał Jonathan. Niepójście na odprawę w siedzibie firmy oznaczało, że forsuje Rubikon i wkracza na terytorium leżące poza granicą jego własnego interesu. Wystarczy rzucić marynarkę na krzesło i zostać, by pomóc Emili. Taki byłby wybór heroiczny.

– Masz rację, Chandler, to jest mój Rubikon. – Jonathan wyobraził sobie, że jest wielkim generałem jak Cezar, siedzącym na koniu, podczas gdy tysiące piechurów czeka na jego rozkaz do ataku. On jednak wiedział, że atak nie nastąpi. Generał zawróci wierzchowca stojącego tuż nad wodą i wycofa się ku rozczarowaniu niezliczonej armii. – Życzę wam obojgu powodzenia – powiedział, zamykając za sobą drzwi.

## 32.

W hotelu Jonathan przebrał się w jedyny zapasowy garnitur, który przywiózł do Rzymu. Garnitur był z szarej wełny, a on trzymał go w garderobie gabinetu w Nowym Jorku i na szczęście w ostatniej chwili postanowił ze sobą zabrać. Nie miał teraz czasu na kąpiel, lecz garnitur, uczesane włosy i dwa plastry na lewej dłoni wyraźnie poprawiły jego prezencję. Przetarł twarz tanią wodą po goleniu, którą kupił w kiosku przy Via Pasquino tuż obok siedziby kancelarii.

Spokój pałacu wydawał się aż nierealny. Przy barokowych biurkach zasiadały podstarzałe sekretarki, włoski biznesmeni palił papierosa przed salą negocjacyjną na pierwszym piętrze. Jeden z adwokatów prowadził do sali konferencyjnej dwie włoskie arystokratki w szerokich kapeluszach, które niosły na rękach pieski. Klienci zgłaszający się w sprawach funduszy powierniczych i nieruchomości na całym świecie wyglądają tak samo.

Na podeście pałacowych schodów stał posąg młodego Herkulesa sprzątającego stajnię króla Augiasza. W czasie pierwszego roku pracy w kancelarii Dulling and Pierce Jonathan spędził kilka miesięcy na usuwaniu kompromitujących informacji z dysków komputerów i wszelkich urządzeń przenośnych należących do wysoko postawionych klientów, oskarżonych o popełnienie wszystkich możliwych przestępstw finansowych. Młody heros podczas oczyszczania mitycznych stajni. Jonathan także usuwał nieczystości bogów.

Dotarł na najwyższe piętro pałacu i zatrzymał się przed zamkniętymi dwuskrzydłowymi drzwiami gabinetu Tattona. Już miał zapukać, gdy na butach zauważył grubą warstwę szarego błota z podziemi Koloseum. Szybko wszedł do łazienki, otarł buty i spojrzał na siebie w lustrze. Dokładna odbitka podobizny prawnika, którym był przed siedmioma godzinami. Teraz różnił się tylko tym, że miał na sobie odprasowany szary garnitur, koszulę z szerokim białym kołnierzykiem i granatowy krawat. Jedynym śladem niedawnych wydarzeń była przecięta skóra na czole, którą udało się zasłonić włosami. Spoglądając na swoje odbicie,

Jonathan wrócił myślą do pierwszego spotkania z Bruce'em Tattonem, które odbyło się przed sześcioma laty. Kariera akademicka Jonathana niedawno się załamała, a on pracował w domu aukcyjnym, zajmując się katalogowaniem antyków sprzedanych poprzedniego dnia.

– Gdyby nie pan, nasz klient postawiłby sobie na kominku podrobionego amorka – rzekł Tatton i były to pierwsze słowa, które wypowiedział do Jonathana.

On zaś rozpoznał mężczyznę, którego zauważył poprzedniego wieczoru na aukcji. Siedział wśród elegancko ubranych dealerów i kolekcjonerów, zwanych przez personel „aksamitną bandą”. Był w pierwszym rzędzie i licytował marmurowy posązek Amora. Na wielkim płaskim ekranie ukazywały się sumy każdego zgłoszenia przeliczone na dolary, euro, jeny i franki szwajcarskie.

Jonathan ze swojego miejsca za sceną spostrzegł, że włosy z tyłu głowy posągu są uplecione w warkoczki. Ten styl nie był znany w starożytności i Jonathan od razu się zorientował, że obiekt numer sto dwa jest podróbką. Spojrzał w oczy licytującego i ruchem ust wypowiedział tylko jedno słowo: „Nie”.

Być może trzydzieści lat doświadczenia w odczytywaniu wyrazu twarzy sędziów i ławników pozwoliło Tattonowi momentalnie zareagować. Jego tabliczka zgłoszeniowa zatrzymała się w połowie drogi, a potem spoczęła na kolanach.

Nazajutrz rano mężczyzna stanął przed Jonathanem w magazynie domu aukcyjnego Sotheby's. Miał na sobie nienaganny garnitur i wyglądał obco w tym otoczeniu.

– Gabinety szefów mieszczą się na górze – oznajmił Jonathan, podchodząc do planu budynku. – To jest magazyn, musiał pan zabłądzić.

– Zabłądzić? – Tatton oparł się o drewnianą skrzynkę. – Najlepszy student na roku w City College w Nowym Jorku, finalista pierwszej ligi szermierczej w Albany. Stypendium Rhodesa w dziedzinie literatury łacińskiej w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Nagroda Rzymu w dwa tysiące pierwszym. A teraz odkurza pan starożytne posągi z marmuru jak jakiś subiekt, by zarobić na czynsz kawalerki nad sklepem z długopisami w Lower East Side wynajętej niezgodnie z prawem. – Tatton rozejrzał się po wnętrzu magazynu. – Nie takiej kariery zawodowej bym się po panu spodziewał.

Jonathan spojrział na nieznanego, wsuwając tabliczkę pod ramię.

– Pan wybaczy, ale muszę przygotować obiekty na południową aukcję.

Tatton podał mu swoją wizytówkę.

– Nasza kancelaria reprezentuje zbieraczy antyków z najwyższej półki. – Odwrócił się i ruszył do drzwi.

Tam zatrzymał się i obejrzał. – To nie ja zabłądziłem, Jonathanie, tylko pan.

\* \* \*

– Wylałeś na siebie całą butelkę wody po goleniu, Marcus? – Jonathan wrócił do terażniejszości. Mildren wsunął głowę przez uchylone drzwi łazienki; w obu rękach trzymał teczkę z dokumentami. – Co się tak guzdrzesz? Do gabinetu Tattona, raz-dwa!

Gabinet wyglądał jak ogromna połączona sala balowa. Nawet wielkie barokowe francuskie biurko z rzeźbionej dębiny, które mogło należeć do Napoleona, wydawało się tam malutkie. Renesansowy fresk z różowymi chmurami i aniołkami stwarzał atmosferę nieomyślności. Tatton przechadzał się po pieczołowicie odrestaurowanych orzechowych deskach i mówił spokojnie do telefonu, jak gdyby pocieszał kogoś po pogrzebie bliskiej osoby.



Mildren osunął się na zielone pluszowe krzesło, a Tatton powitał przybyłych złowróbnym skinieniem głowy.

– Wydział Ochrony Dziedzictwa Kulturowego – oznajmił, rozłączając się. Mildren siedział w milczeniu z długopisem nad kartką notesu. Znał nawyk swojego pana, który lubił przekazywać informacje w dowolnie wybranym momencie. – Spotkanie – rzekł, zwracając się do Jonathana, jakby ten potrzebował specjalnego pouczenia. – Nie powinno długo potrwać.

– Wydział Ochrony Dziedzictwa Kulturowego? – zdziwił się Jonathan.

– Tutela del Patrimonio Culturale – odparł Mildren, zapisując coś w zabazgranym notesie. – To taka jednostka policji.

– Oddział ochrony zabytków, tak? – upewnił się Jonathan, maskując napięcie w głosie.

– Właśnie – potwierdził Tatton. – Wybiera się do nas sam *comandante*.

– Do kancelarii?

– Nie inaczej, staruszku – odparł Mildren. – Do miejsca, w którym się znajdujesz.

Telefon stojący na biurku Tattona pisnął cicho, błyskając czerwoną diodą. Jonathan spojrzął przez okno i zobaczył otwierającą się bramę. Policyjny radiowóz wtoczył się powoli na dziedziniec niczym pojazd wrogich sił inwazyjnych.

– Czy ten policjant coś mówił? – Jonathan miał świadomość, że zadaje zbyt wiele pytań, pospieszył więc z wyjaśnieniem: – Zdobyłem pewne informacje, które...

– Nie wątpię, że mogą być użyteczne – wpadł mu w słowo Tatton, ustawiając na środku stołu mały zegar z dokładnością co do milimetra. – Twoje zadanie polega na tym, żeby w ogóle się nie odzywać.

Policjanci zaparkowali radiowóz w narożniku dziedzińca przeciwnym do drzwi siedziby firmy. Z samochodu wysiadł brodaty mężczyzna w płaszczu. Młodszy funkcjonariusz pozostał na placu.

Jonathan rozpoznał jego szczupłą sylwetkę i spiętrzone na głowie rude kędziory. Policjant przykładł do prawego łokcia paczkę z lodem. Serce Jonathana waliło niczym pięść boksera w worek treningowy. Właśnie ten mężczyzna przed dwiema godzinami rzucił się na niego w podziemiach Koloseum. Jonathan miał wrażenie, że ogląda osobiście podzielony na klatki film. Patton wstał i nachyliwszy się nad telefonem, powiedział: *Mandali su*. Proszę przysłać ich na górę.

– Nie określili celu swojego przybycia? – spytał Jonathan Mildrena. Musiał wypowiedzieć te słowa głośniejsz, niż zamierzał, gdyż odpowiedzi udzielił mu Tatton:

– Oczywiście, że nie. – Udał, że ściera wymaginowany kurz z biurka. – Jak to mawiali Grecy? Zaskoczenie jest warte stu wojowników.

Profeta szedł korytarzem pałacowej siedziby kancelarii Dulling and Pierce w towarzystwie pracownika firmy odpowiedzialnego za public relations. Był to drobnej budowy Włoch, ubrany w czarny garnitur i wąski czarny krawat. Jego lekko pochylona sylwetka przypominała grzeczny ukłon. Z nerwowym uśmiechem prawił o architekturze i historii pałacu. Nie miał pojęcia, dlaczego *comandante* najbardziej elitarnej jednostki policji zażyczył sobie rozmowy z najważniejszym wspólnikiem w firmie.

– Pałac został wzniesiony w tysiąc sześćset sześćdziesiątym roku dla rodziny Innocentego Dziesiątego...

– Dla jego kochanki – uściślił Profeta, nie zwalniając kroku.

– Słucham?

– Innocenty Dziesiąty kazał wybudować pałac w tysiąc sześćset pięćdziesiątym roku dla swojej słynnej kochanki Olimpii Maidalchini.

– Zwykle pomijamy tę część historii pałacu – odparł specjalista od public relations, uśmiechając się nerwowo.

– Naturalnie.

Z manierą dworzanina pracownik zapukał cicho do ogromnych drzwi gabinetu Tattona, a następnie je otworzył. Profeta czekał kilka kroków za nim.

– *Comandante* – rzekł na powitanie Tatton. – To prawdziwy zaszczyt. Kiedy ostatnio mieliśmy ze sobą przyjemność?

– Przy okazji restauracji Ara Pacis – odparł policjant.

– A, tak. – Tatton z uprzejmości nie przywoływał szczegółów. – Jak mogłem zapomnieć?

Profeta głośno skrytykował praktykę zbierania od korporacji funduszy na prace restauratorskie w mieście. Głównym sponsorem renowacji Ara Pacis była kancelaria Dulling and Pierce. Ołtarz został umieszczony w muzeum zbudowanym w stylu postmodernistycznym, lecz krytyka komendanta nie dotyczyła wyłącznie architektury. „Metal i szkło nowego muzeum wyrażają hołd nie tylko dla modernizmu, ale również dla jego finansowych sponsorów. Budynek przypomina stację benzynową”. Te słowa, wypowiedziane przez Profetę, trafiły na łamy „La Repubblica”.

Tatton wskazał policjantowi ogromny fotel stojący naprzeciwko jego biurka.

– *Comandante*, oto mój współpracownik Andrew Mildren i kolega przybyły z Nowego Jorku, Jonathan Marcus.

Ściskając rękę komendanta, palcami drugiej dłoni Jonathan masował grzbiet nosa, jak gdyby dręczyła go migrena. Przelotnie spojrzął Profecie w oczy, a potem zajął swoje miejsce i zerknął przez okno na porucznika Rufia, który wciąż stał obok radiowozu. Wyglądał teraz jak inny człowiek. Jego klatka piersiowa wydawała się większa, a z postawy biło zdyscyplinowanie. Podczas starcia w podziemnym korytarzu twarz policjanta oświetlona była odbitym blaskiem z latarki. W pamięci Jonathana utrwalił się obraz zdeorientowanego draba w mundurze, chaotycznie wymachującego pistoletem.

Tatton usiadł, z szacunkiem kiwając głową.

– W jaki sposób możemy panu służyć pomocą, *comandante*! – spytał rzeczowym tonem.

Do gabinetu weszła sekretarka z maleńkimi filiżankami espresso i postawiła je między komendantem policji i Tattonem.

Jonathan z niedowierzaniem uświadomił sobie, że *carabinieri* nie przybyli po to, by go aresztować.

– Wczoraj w nocy przeprowadziliśmy nalot na opuszczony magazyn portowy w Civitavecchia. Okazało się, że trafiliśmy na dziuplę nielegalnych handlarzy zabytków. Był w niej supernowoczesny sprzęt i całe skrzynki kartek z rękopisów.

– To intrygujące, *comandante* – rzekł ostrożnie Tatton. – Nie wiem jednak, w czym możemy panu pomóc.

Profeta wyjął skrawek papieru z szarej koperty, którą trzymał pod pachą, i położył go na biurku przed Tattonem.

– Nasi technicy zdołali odzyskać ten obraz z twardych dysków. Proszę nie zwracać uwagi na otwór po kuli, widoczny na środku. Zdaje się, że ktoś usiłował szybko pozbyć się wyników

swoich badań.

Ze swojego miejsca Jonathan dostrzegł zarys fragmentów *Forma Urbis* leżących pod strzaskaną szybą.

– Czy zna pan to zdjęcie?

– Jesteśmy w kancelarii prawnej, a nie na wydziale historii starożytnej – odparł Tatton, po czym zwrócił policjantowi zdjęcie. – Przykro mi, ale nie znam tej fotografii.

– Przedstawia fragmenty *Forma Urbis* – wyjaśnił Profeta. – Te, które należą do waszego klienta – dodał, jak gdyby uprzejmie naprowadzał rozmówcę na właściwy trop.

– *Comandante* – zaczął Tatton, odchylając się powoli do tyłu. Jego szyja była wyciągnięta jak u zwierzęcia, które wyczuło niebezpieczeństwo. Wciąż mówił grzecznym tonem, lecz w jego głosie dało się już słyszeć wzburzenie. – Nie sugeruje pan...

– Że wasz klient był w jakiś sposób zamieszany w operację, którą udaremniłszyśmy wczorajszej nocy? – Profeta zrobił krótką pauzę. – Tego nie wiemy. Operacja nie miała celu sprzedaży antyków w Rzymie.

– Nie? – spytał Mildren, jak gdyby ta informacja go uraziła. – O co zatem chodziło?

– O badania – odparł złowieszczo Profeta.

– Albo o kontrabandę innego rodzaju – dodał z uśmiechem Tatton. – Rękopisy i białe kruki osiągają teraz na aukcjach zawrotne ceny.

– Kartki były poznaczone notatkami, które znacznie obniżały ich wartość. Wszystkie zostały wyrwane z różnych odpisów dzieł historyka Józefa Flawiusza.

– Józefa Flawiusza? – powtórzył mimowolnie Jonathan.

– Tak – potwierdził Profeta. – Gdyby były nietknięte, złożyłyby się na jeden z najstarszych pełnych greckich tekstów *Wojny żydowskiej* tego autora. Pochodziły z ksiąg wydanych w ciągu kilku stuleci.

Komendant położył na biurku powiększoną odbitkę jednej z kartek.

– Oto fotokopia fragmentu naszego znaleziska,

Tatton nie zadał sobie trudu, by spojrzeć na odbitkę. Patrzył na Profetę.

Jonathan pochylił się, by zobaczyć tekst manuskryptu. Zamierzał milczeć, lecz adrenalina zadziałała na jego niekorzyść.

– Mogę rzucić okiem?

– Naturalnie – odparł Tatton z lodowatym uśmiechem. – Przecież jesteśmy tu po to, aby ze wszystkich sił pomagać komendantowi w dochodzeniu.

Jonathan momentalnie rozpoznał tekst. Był to fragment kroniki Józefa Flawiusza opisujący ostateczny szturm oddziałów Tytusa na Świątę Świętych Świątyni Jerozolimskiej. „Cesar wprowadził swoich podwładnych do Świątyni i ujrzał Świątę Miejsce w Sanktuarium wraz z wyposażeniem – tłumaczył na własny użytek Jonathan. – Żołnierze parli do przodu, spodziewając się łupów, gdyż widzieli, że na zewnątrz wszystko było zrobione ze złota. Jeden człowiek wbiegł przed nimi”. Ostatnie zdanie rzuciło się Jonathanowi w oczy. „Jeden człowiek wbiegł przed nimi”.

– Oto i on – szepnął, jak gdyby dostrzegł uciekającego zbiega.

– Oto kto? – zapytał szeptem Mildren.

Jednak Jonathan nie usłyszał jego słów, bo niczego nie słyszał. Wszystko wokół znikło. Ktoś zdołał wśliznąć się do najtajniejszej komnaty Świątyni przed Tytusem. Jonathan nachylił się

bardziej, jakby chciał lepiej widzieć uciekiniera. Gorączkowo zapisywał tłumaczenie w notesie spoczywającym na jego kolanach. Można było odnieść wrażenie, że robi notatki ze spotkania, lecz on znów był myślami w bibliotece uniwersyteckiej i rozwiązywał jedną z wielkich zagadek historii. Wielcy uczeni mają instynkt myśliwski, oznajmił mu kiedyś ze śmiechem Szarif.

Ciarki przebiegały mu po skórze, gdy czytał grecki tekst. Coś zostało tutaj ujawnione. Wers był tak wielkiej wagi, że jacyś ludzie przewertowali rękopisy dzieł Józefa Flawiusza spisane w ciągu stuleci i powyrywali z nich kartki. Nagle zaświtała mu niezwykła myśl.

– Tutaj jest dodatkowy wiersz – szepnął.

– Co takiego? – zapytał Mildren.

– Wiersz, którego nie ma w późniejszych wydaniach – odparł cicho Jonathan, wskazując kartkę pergaminu. Siedem lat temu w czasie studiów w akademii Jonathan całymi tygodniami wczytywał się w ustępy z Józefa Flawiusza. – Nigdy go nie widziałem.

– Zamknij się – wymamrotał Mildren.

Jonathan przyglądał się linijce tekstu. Zrozumienie nadeszło stopniowo niczym przypływ, a nie jak nagła hucząca fala. Nie było to olśnienie, lecz raczej przypomnienie sobie czegoś, co wiedział przez cały czas. W czasie studiów doktoranckich Jonathan wyobrażał sobie miejsce, w którym ta chwila nadejdzie. Gabinet w kancelarii prawnej i garnitur, który na sobie miał, były bardzo dalekie od jego wizji.

Wszystko jest w jednym wierszu tekstu, myślał Jonathan. Właśnie tak to sobie przedstawiał w myślach. Ten jeden wiersz odsłania ogrom spisku, który przerastał nawet wyobraźnię uczonego dobrze obeznanego z intrygami starożytnego Rzymu. Linijka wyrwana z niezliczonych rękopisów, ujawniająca, w jaki sposób człowiek w jednej chwili poświęca życie oszustwu, w które historycy będą wierzyć przez niemal dwa tysiąclecia. Jonathan dotknął kartki, jak gdyby chciał poczuć pulsujące w tekście nici spisku. Przesunął palcem po słowach, tłumacząc je powoli. Sycił się tą chwilą narodzin podwójnego agenta, który nie tylko zdołał przeniknąć do obozu wroga, lecz także napisał jego historię.

*W czasie oblężenia Świątyni przez Rzymian uciekli przez ukrytą bramę, wynosząc płomień.*

– Oto powód, dla którego to zrobiłeś – wyszeptał Jonathan.

– Zgiąłeś się wpół nad tą kartką – syknął Mildren. – Brzuch cię rozboleał?

Jonathan wyprostował się, zauważywszy, że prawie dotyka nosem pergaminu.

– Studiowałeś historię klasyczną, Jonathanie – odezwał się głośno Tatton. – Mam rację?

– W czym?

– Uważam, że cała ta sprawa jest nieco akademicka. – Tatton skrzywił się z pogardą, wymawiając to słowo. – Pan komendant poświęca cenny czas i środki, wymyślając rozmaite powiązania.

Jonathan nie wiedział, jak na to zareagować, lecz gniewne spojrzenie Tattona rozwiało jego wątpliwości.

– Tak, sprawa jest bardzo akademicka.

– Sam pan widzi, *comandante* – powiedział Tatton, składając ręce jak do modlitwy. – Laureat Nagrody Rzymu podziela moje odczucia. Dla nas, adwokatów, cała rzecz ma zbyt akademicki charakter. Pozbawianie wartości bezcennych rękopisów jest zupełnie bezsensowne, lecz nie stanowi dowodu przestępstwa.

Porucznik Rufio, który opuścił swój posterunek przy samochodzie, wkroczył do gabinetu, by przekazać komendantowi teczkę. Uprzejmie skinął głową Tattonowi, przepraszając za niespodziewane

najście. Jonathan trzymał nisko głowę, wpatrując się w rzeźbione stopki nóg zamszowego krzesła. Po chwili uniósł wzrok, by zerknąć na Rufia, który wyglądał jak wierny sługa, absolutne wcielenie lojalności. Czy to ten sam człowiek, z którym walczył w podziemiach Koloseum? Nawet Jonathan wątpił w możliwość zdrady, choć wciąż słyszał gniewny głos porucznika, krzyczącego: „Pochodzę z Sycylii, tam obowiązują zasady!”. Teraz jego maska wydawała się przekonująca.

– Ale to stanowi taki dowód – oznajmił Profeta, nachylając się nad biurkiem, by podać Tattonowi zdjęcie.

Prawnik wpatrywał się w fotografię, starannie maskując zaskoczenie. Uczył tej techniki całe zastępy klientów. Jediną jego reakcją był pełen smutku ruch głowy. Następnie podsunął zdjęcie Jonathanowi, który nie mógł uwierzyć, że Tatton nawet nie mrugnął.

Fotografia przedstawiała martwą kobietę. Jej zwłoki, szare w blasku flesza aparatu fotograficznego, unosiły się w bursztynowej cieczy wypełniającej marmurową kolumnę. Jonathan pochylił się, by lepiej widzieć tatuaż wokół pępka. Ręką zasłoniętą przez krawędź biurka nieznamacznym ruchem sięgnął po telefon. *Phere nike umbilicus orbis terrarum*. „Zwycięstwo przez pępek świata”, przetłumaczył po cichu. A więc w taki sposób wymknąłeś się ze Świątyni otoczonej przez pięćdziesiąt tysięcy rzymskich żołnierzy.

Jonathan niepostrzeżenie uniósł telefon tuż nad blat biurka i zrobił zdjęcie martwej kobiety. Kasznięciem zamaskował cichy szmer przesłony aparatu.

– Smutna sprawa, *comandante* – rzekł Tatton, lecz ton jego głosu świadczył dobitnie, że z trudem zachowuje cierpliwość. – Udało się zidentyfikować ofiarę?

– Sprawcy wysadzili magazyn w powietrze, zanim zdołaliśmy wynieść zwłoki – odparł Profeta. – Ci ludzie za wszelką cenę zniszczą dowody swoich badań. Nie interesuje ich historia ani kultura. Takich wybuchów będzie więcej.

– Będzie więcej wybuchów? – zapytał Jonathan.

– Tak – odparł Profeta, zgarniając przyniesione materiały. – Uważamy, że ci sami przestępcy są odpowiedzialni za wybuch w Koloseum, który nastąpił przed dwiema godzinami.

– Proszę wybaczyć – powiedział Jonathan, wstając.

Więcej wybuchów. Nerwy zaczęły mu odmawiać posłuszeństwa. Swobodnym krokiem ruszył w stronę drzwi, mijając porucznika. Czuł na plecach jego spojrzenie.

– Co się panu stało w rękę? – zapytał szybko Rufio po włosku.

– Słucham? – odpowiedział po angielsku Jonathan. Chciał odróżnić się od człowieka, który w czasie starcia pod Koloseum mówił płynnie po włosku.

– Co z pana ręką? – Rufio wskazał kostki palców Jonathana.

– Zaciąłem się papierem – skłamał Jonathan, po czym wsunął rękę do kieszeni. Wyszedł na korytarz i starannie zaniknął za sobą drzwi. Miał wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie. Minał zaopatrzone w komplety zaostrzonych ołówków i dziurkaczy pomieszczenie, w którym kopiowano dokumenty. Wykończona mosiądzem klatka windy wznosiła się powoli. Przy każdym szcęknięciu Jonathanowi wydawało się, że słyszy, jak porucznik Rufio z rozmachem otwiera drzwi, by go zaaresztować.

Wsiadł do windy i zanim harmonijkowe drzwi się złożyły, przez chwilę zdawało mu się, że zdołał umknąć. Nagle rozległ się głośny krzyk.

– *Fermati!* – ryknął ktoś na cały głos. Potem dał się słyszeć szybki tupot stóp. Ktoś długimi susami pędził korytarzem w stronę Jonathana. Policjant mnie rozpoznał, pomyślał Jonathan. Przez chwilę zastanawiał się, co ma zrobić. Muszę się stąd wydostać i powstrzymać Emili. Drżącymi palcami nacisnął guzik, lecz w ostatniej chwili czyjeś ramię wsunęło się w drzwi.

– Tak? – powiedział Jonathan, niewinnie przechylając na bok głowę. Serce waliło mu mocno w piersi. Miał wrażenie, że kłapa marynarki podskakuje przy każdym uderzeniu.

Drzwi otworzyły się do końca, lecz ku zaskoczeniu Jonathana stanął w nich nie porucznik Rufio, lecz Mildren.

– Marcus, masz nikomu nie mówić, słyszysz? – wydyszał adwokat.

– O czym mam nie mówić?

– O tym, o czym powiedziałeś mi rano w biurze – odparł rozdygotany ze zdenerwowania Mildren. – Jeśli piśniesz komukolwiek, że na tych kawałkach marmuru jest jakiś kretyński napis, możesz kupować bilet do domu na własny koszt. Rozumiemy się?

Jonathan przyglądał mu się w milczeniu.

– Rozumiemy się? – powtórzył Mildren. Naczynia krwionośne na szyi poczerwieniały mu ze strachu.

– Całkowicie – odparł Jonathan.

Drzwi windy zamknęły się i po chwili klatka zjechała na poziom dziedzińca. Mijając budkę strażniczą, Jonathan zwolnił i nonszalancko machnął ochroniarzowi ręką. Ten zaproponował, że wezwie taksówkę.

– Dziękuję, pójde pieszko.

Przesuwał się w tłumie na Piazza Navona, nie wiedząc, co nim bardziej wstrząsnęło: rozwiązanie starożytnej zagadki czy też chęć zignorowania jej. Zakop to w pamięci i rób dalej swoje, podpowiadał młody prawnik. Wróc do Nowego Jorku. Jak to mówi Emili? Powtórny pochówek. Czasem archeolodzy przypadkowo odkrywają stanowiska archeologiczne, których nie są w stanie dalej badać.

Jednak on nie mógł przejść do porządku nad swoim odkryciem. Powód uświadomił sobie dopiero w chwili, gdy zauważył, że mimowolnie przyspiesza kroku. Przed laty spędził setki godzin w bibliotece akademickiej, poszukując jedyne go elementu, którego brakowało w jego hipotezie na temat Józefa Flawiusza: motywu. Przyczyny, dla której starożytny historyk po wsze czasy poświęcił swoje dobre imię. Wystarczył jeden dzień spędzony w Rzymie, by wielka zagadka starożytnego świata praktycznie sama się rozwiązała.

Jonathan pokręcił głową na myśl, że miał wówczas rację. Pojmanie Józefa przez Rzymian zostało dokładnie zaplanowane, podobnie jak jego awans w szeregach rzymskiej armii. A wszystko po to, by móc dowiedzieć się, kiedy wojska Tytusa zbliżą się do sanktuarium Świątyni, i w najważniejszym momencie ocalić menorę.

– *Cognoscere mentem, cognoscere hominem* – wypowiedział na głos sentencję prawniczą, której przed kilkoma tygodniami użył w sądzie. Poznaj motyw, a poznasz człowieka.

Jonathan skręcił z placu w wąską alejkę. Biegiem pokonał brukowaną uliczkę i znalazł się na starych marmurowych schodach. Nie mógł sobie pozwolić na zignorowanie tropu.

Na Via Arenula złapał taksówkę. Kierowca odwrócił się, gdyż zatopiony w myślach Jonathan zapomniał powiedzieć, dokąd chce jechać.

– Do Akademii Amerykańskiej proszę – rzekł po chwili zastanowienia. Nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek wypowie te słowa w języku włoskim.

Taksówka przejechała przez Tyber i znalazła się w Trastevere. Droga wiła się po stromych zboczach wzgórza Janiculum pod gęstym baldachimem sosen. Siedziba akademii od dziewiętnastego wieku mieściła się w stojącej na nim willi.

Jonathan wysiadł pod San Pancrazio, odrestaurowanym renesansowym łukiem nieopodal szczytu wzgórza. Idąc wysadzaną żywopłotami ulicą, zbliżył się do metalowej bramy uczelni i poczuł zapach dolatujący z ogrodu. Szef kuchni miał tam grądkę oregano.

Mimo że minęło tyle lat, w dyżurce wciąż siedział ten sam stróż. Miał na imię Kossi i pochodził z Togo. Tak jak za dawnych czasów tkwił z uchem przystawionym do małego radjka, przysłuchując się transmisji meczu piłkarskiego. Kossi jak mało kto zasługiwał na pracę w akademii, nie był bowiem zwyczajnym ochroniarzem, lecz znawcą i miłośnikiem starożytności. Kontynuował studia podyplomowe z historii starożytnej na małym uniwersytecie w Ghanie, gdy wybuchło powstanie, które zdziesiątkowało studentów. Kossi stracił sporą część lewego policzka. Nierzadko po nocy spędzonej w bibliotece Jonathan siadał w stróżówce i nad filiżanką kawy dzielił się z Kossim urywkami z wielkich dzieł starożytności. Zbliżył się do budki z nadzieją, że stróż go nie zapomniał.

– *Ventis maria omnia vecti, oramus* – powiedział. Był to wers z *Eneidy*. Przez wzburzone morze błagam cię o pomoc.

Kossi uśmiechnął się z niedowierzaniem; szrama na jego policzku się zmarszczyła.

– Jonathan Marcus?

Skronie Kossiego posiwiały, lecz jego promienny afrykański uśmiech był godny broszurki turystycznej. Kossi znał doskonale kontekst, z którego pochodziło zdanie zacytowane przez Jonathana. Tymi słowami żołnierze Eneasza błagali Dydonę, by przyjęła ich gościnnie na swych brzegach. Stróż odpowiedział po łacinie, cytując następny wers. Większość profesorów łaciny renomowanych amerykańskich uczelni by tego nie potrafiła.

– *Solvite corde metum*. – Wyrzucicie trwogę z serc.

Furtka otworzyła się ze szcęknięciem i Kossi ojcowskim gestem ścisnął ramię przybysza. Jonathan tylko z jednego powodu miał nadzieję, że nie zastanie Kossiego w budce: życzył mu, by znalazł sobie posadę nauczyciela gdzieś w Europie, bo do tego predestynowały go umiejętności. Jednak po siedmiu latach Kossi wciąż tkwił na swoim posterunku z tomikiem Katullusa w dłoni, który czytał przy akompaniamencie dopingu kibiców piłkarskich.

– Doszły mnie słuchy, że jesteś teraz prawnikiem – rzekł z dumą Kossi. W jego głosie pojawiła się jednak nutka żalu.

– Kossi, czy jest ktoś w kaplicy? – Mianem kaplicy studenci określali bibliotekę akademii. – To pilna sprawa.

Stróż pokręcił głową.

– *Riposo*.

Jonathan spojrział na zegarek. Była trzynasta. Nawet nie przyszło mu do głowy, że to czas

*riposo*, przerwy popołudniowej. Od dawna nie był we Włoszech.

- Nie mam zbyt wiele czasu, Kossi... Chodzi o spotkanie.
- Spotkanie prawników?

Jonathan skinął głową.

- Rzecz jest naprawdę skomplikowana.

– Dobrze, że wszystko idzie po staremu. – Kossi wskazał gestem marmurowe schodki. – Spotkamy się przy drzwiach.

Akademia Amerykańska na niczym nie oszczędzała. Łożyli na nią osobiście Andrew Carnegie, John Rockefeller i William Vanderbilt. Główny budynek został zaprojektowany przez architektów McKima, Meada i White'a; spod ich rąk wyszły też inne projekty, które trudno było uznać za skromne, takie jak Metropolitan Museum of Art czy stary Pennsylvania Station w Nowym Jorku. W willi zamieszkiwało około trzydziestu spośród najbardziej uzdolnionych amerykańskich uczonych i artystów, którzy przez rok lub dwa mogli chłonąć klasyczną tradycję Wiecznego Miasta.

Jonathan znalazł się w wewnętrznej loggii budynku i jak zawsze spojrzał z podziwem na okryte bluszczem pilastry i ozdobione łososiową sztukaterią ściany. Opustoszały wewnętrzny dziedziniec przypominał miasto duchów; tylko wiatr świstał wśród kolumn krużganków. Latem urządzano tam *lunche* dla akademików, na których piło się *grappę*. Jeszcze nie tak dawno temu Jonathan był pewien, że nigdy więcej nie przekroczy tych progów.

W jednej ze ścian znajdowało się okno balkonowe, za którym był wielki salon; teraz oświetlały go trzy lampy zawieszane nad stołem bilardowym. Tam odbywały się spotkania towarzyskie; Jonathan wciąż pamiętał żartobliwe pogawędki na temat starożytności, którym wtórował odgłos uderzeń bil. Wchodząc na uśpiony dziedziniec, wracał do przeszłości.

– Pospiesz się z tym uderzeniem, Szarif! – zawołał Gianpaolo. – Kserkses szybciej pokonał Hellespont po moście z okrętów.

Gość z Akademii Egipskiej, Szarif Lebag, oceniał kąt uderzenia bili.

– Jeśli ja jestem Kserksesem, to ty jesteś Spartanami. – Szarif wykonał długie celne uderzenie, nadając białej bili wsteczną rotację. – A to były twoje Termopile – dodał, nie patrząc na stół, lecz na Gianpaola.

Obserwatorzy siedzący na kanapie nagrodzili go brawami.

– Jesteś tego pewien, Szarif? – zapytał Jonathan, który siedział na klubowym fotelu razem z Emili.

– Czego mianowicie?

– Że wolałbyś być Kserksesem. Dziesięć lat później Spartanie starli na proch Mardoniusza i całą perską armię.

Szarif żartobliwym gestem skierował kij w jego stronę.

– Punkt dla ciebie, Marcus. – Nawiązywał w ten sposób do ich cotygodniowych treningów szermierczych w Foro Italico, ośrodku sportowym w centrum Rzymu.

– Szarifie, zapomniałeś o najważniejszej nauce, jaką można wyciągnąć z heroicznych mitów – odezwała się Emili.

Rozległy się śmiechy kolegów, którzy spodziewali się dobrego żartu.

– Jakaż to nauka?



– Przeszłość jest nieprzewidywalna.

\* \* \*

Jonathan spojrzął w głąb sąsiedniej sali, w której komisja dyscyplinarna położyła kres jego karierze w akademii. Z zabandażowanym po wypadku okiem siedział między fortepianem Steinwaya i zegarem szafkowym wyłożonym kością słoniową. Czterej profesorowie przypominali pluton egzekucyjny. Jeszcze nigdy od początku swego istnienia, czyli od 1894 roku, akademia nie musiała tak usilnie zabiegać u władz Rzymu, by uchronić swojego członka od kłopotów natury prawnej.

– Gianpaolo zginął przez ciebie, Marcus!

Profesor Rulen rąbnął pięścią w mahoniowy stół. Ze swoim tubalnym głosem i charakterystyczną sylwetką stanowił ucieleśnienie akademickiego establishmentu. Nosił muszkę i gęste siwe bokobrody, jakby żywcem wyjęte z dziewiętnastowiecznego dagerotypu.

– Jak można wkradać się do niezbadanych katakumb dwadzieścia metrów pod ziemią i jeszcze namawiać do tego dwóch innych doktorantów? Jezu Chryste! Kompletnie ci odbiło! – Rulen był jednym z czterech profesorów zasiadających po drugiej stronie stołu w fotelach z rzeźbionymi poręczami. – Gdyby Włosi o tym decydowali, już siedziałbyś w pierdlu!

\* \* \*

Nagle sala znów była pusta. Zabytkowe sekretery lśniły w bladym świetle wpadającym przez okno. Na ścianie wisiały małe portrety poprzednich zdobywców Nagrody Rzymu. Chandler powiedział prawdę: podobizna Jonathana została zdjęta. Tak samo usuwano z pomników imiona nielubianych cesarzy. *Damnatio memoriae*.

Jonathan wszedł za Kossim przez duże drzwi z niewielką mosiężną tabliczką z napisem BIBLIOTECA. Pergaminy i pokryte wiśniową boazerią ściany wydzielały rustykalną woń skóry i palonej w saunie dębiny. Regały były oznaczone złotymi napisami określającymi poszczególne działy: starożytne ryty, topografia Rzymu, paleografia. Większość książek na półkach w każdej innej bibliotece uważano by za białe kruki: były tam siedemnastowieczne egzemplarze Owidiusza, oprawione w cielecą skórę tomy Witruwiusza. Dostęp do zbiorów miało tylko trzydziestu laureatów Nagrody Rzymu oraz personel biblioteki, tak więc kwestia zaufania do użytkowników nie stanowiła problemu.

Światło z ogrodu willi wpadało przez podzielone szprosami okno na ustawione w szereg brązowe popiersia legendarnych archeologów z przełomu ubiegłego wieku, takich jak Wooley i Carter. Badacze ci odkryli całe podziemne miasta, mając do dyspozycji jedynie starożytne mapy i baty do poganiania zaprzęgów.

Kossi nacisnął włącznik i lampy wielkości lizaków w mosiężnych oprawkach rozbłysły wzdłuż regałów.

– Witaj na starych śmieciach – rzekł Kossi, zamykając za sobą drzwi.

– Emili! – krzyknął Jonathan, szybkim krokiem pokonując przejście między regałami. – Jesteś tu jeszcze?

Na końcu jednego stolika leżały rozłożone książki i wielkie plany podziemi Rzymu. Był także notes z długimi linijkami notatek zapisanych włoską kursywą.

– Emili! – zawołał ponownie Jonathan. Cisza.

Poszli sobie, pomyślał.

Osunął się na krzesło i wyrztał przez osłonięte żaluzją okno biblioteki. Boisko do gry w *bocce* zarosło trawą. Szarif regularnie ogrywał Jonathana i Emili, lekko podkręcając rzucającą przez siebie kulę tak, aby zmieniała tor za kawałkiem kamienia z trzeciego wieku, który sterczał nad ziemią.

Za boiskiem paliły się światła Casa Rustica, siedemnastowiecznej farmy stojącej na skraju terenu należącego do akademii. Casa Rustica, naturalnie, pomyślał Jonathan. Stojący na uboczu domek, wtulony w cień Muru Aureliusza, od wieków był ulubionym miejscem tajnych spotkań. W 1611 roku zgromadzili się w nim mieszczanie, by uczcić swojego ziomka, Galileo Galilei, który niedawno wynalazł teleskop.

Jonathan popędził przez wypielęgnowany trawnik między biblioteką i Casa Rustica. Rozpadało się, drzewa były mokre, a płatki bugenwilli przylepiły się do kamiennych schodów. Wnętrze chaty od lat dwudziestych było wykorzystywane przez członków akademii jako archiwum prac wykopaliskowych prowadzonych na terenie całego Rzymu.

Zbliżywszy się, Jonathan zobaczył, że okna Casa Rustica pokrył szron. Dzięki temu domek ludzko przypominał chatkę z piernika. Na kamiennej ścieżce widać było wyraźnie dwa szeregi odcisków zabłoconych butów.

## 34.

Porucznik Rufio czekał na komendanta na dziedzińcu siedziby kancelarii. Oparty o pracujący na jałowych obrotach radiowóz, zaciągnął się papierosem, a potem zdusił go w żwirze. Następnie podszedł do zabytkowych włoskich samochodów, zaparkowanych w dawnej pałacowej stajni, i spojrzął na ferrari 250 LM z 1964 roku. Czuł się jak ubogie dziecko, które trzęsie się na mrozie przed wystawą wspianalego, ciepłego sklepu z zabawkami.

Czym oni sobie na to wszystko zasłużyli? – spytał sam siebie, wypluwając drobiny tytoniu, które osiadły mu na języku. W dzieciństwie mieszkał na Sycylii i pracował w warsztacie ojca. Żaden z tych *aristocratici* nigdy nie doceni znaku wierzgającego konia na samochodach Enza Ferrari tak jak ja.

Kiedyś będzie mnie na to stać.

Lecz zanim to nastąpi, policjanci będą nadstawiać karku, dokonując aresztowań, adwokaci zaś będą pomnażać swoje fortuny, broniąc aresztowanych za horrendalne stawki.

Zbrodnia popłaca, ale nie przestępcom, pomyślał Rufio.

Na dziedzińcu wjechał drugi radiowóz. Wysiadł z niego porucznik Brandisi i żwawym krokiem zbliżył się do Rufia.

– *Comandante* rozmawia z prawnikami?

– Raczej nie grają w *scacchi* – odparł Rufio, nie odrywając wzroku od czerwonej jak dojrzałe jabłko karoserii.

– Widziano tę kobietę, doktor Emili Travię – oznajmił Brandisi. – Możliwe, że żyje.

– Gdzie ją widziano? – spytał Rufio, zapalając drugiego papierosa.

– Przed Akademią Amerykańską w Rzymie. Rozesłaliśmy jej zdjęcie i przed chwilą zadzwonił któryś z naszych ze wzgórza Janiculum. – Brandisi ruszył w stronę wejścia pałacu. – Powiem komendantowi.

- Nie, ja tam pojedę – rzekł Rufio, łapiąc go za rękę.
- *Comandante* kazał mi zgłosić, jeśli...
- On ma wiele rzeczy na głowie. Wiesz, na co *comandante* zwraca uwagę przy awansach? – Rufio wskazał odznakę niższego stopnia w klapie munduru Brandisiego. – *Delegazione*. To znaczy, że trzeba zlecić komuś innemu dochodzenie, zanim zasypie się szefa szczegółami.
- Brandisi zrobił minę, jak gdyby pojął wielką tajemnicę.
- To i tak pewnie fałszywy sygnał – oznajmił Rufio. – Poczekaj na szefa, a ja rozejrzę się na miejscu.

### 35.

Jonathan zapukał w ogromne drzwi Casa Rustica, a te same się otworzyły pod delikatnym naciskiem.

- Halo – powiedział cicho, wchodząc do środka.

Na ścianach wisiały zdjęcia archeologów, bawiących tu w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat; były także ich rzeczy osobiste. Wszystko to razem nadawało wnętrzu charakter muzeum. Nad długim dębowym stołem wisiało czarno-białe zdjęcie drużyny nowojorskich Jankesów z 1928 roku. Całą tylną ścianę zajmowało ogromne mahoniowe biurko z szufladami, w którym trzymano mapy i wyniki badań archeologicznych z dziewiętnastego wieku.

Blask wiszącej nad dębowym stołem świetlówki padał na stare plany podziemia Domus Aurea oraz na dwa papierowe kubki kawy espresso i niedojedzony kawałek pizzy, leżący na woskowym papierze. Jonathan zbliżył dłoń do kubków. Były zimne.

- Jest tu kto?! – zawołał, wsuwając się między wysokie drewniane, regały z tomami starożytnej poezji. Przypomniawszy sobie zadymione podziemia Koloseum. Ci ludzie za wszelką cenę zniszczą dowody swoich badań, zabrzmiały mu w uszach słowa Profety.

Odpowiedziała mu cisza.

- Emili! – krzyknął.

Nagle zaskrzypiały drewniane deski na strychu. Tam także składowano książki.

- Trochę hałasujesz. – Emili stanęła na drabinie i spokojnie podała Jonathanowi plik map. – Połóż je na stole – poleciła, wcale nie zaskoczona jego widokiem. – Niektórzy z nas pracują.

Poszła za nim i złożyła na stole dwa naręczna książek.

- Już wiem, jak on to zrobił – oznajmił Jonathan. – W jaki sposób wyniósł menorę ze Wzgórza Świątynnego.

– Godzinę temu odrzuciliśmy tę hipotezę jako niepotwierdzone domysły. Tak, zdaje się, powiedziałeś, używając terminologii prawniczej.

- Ale to się zmieniło. Zobaczyłem fragment tekstu.

– W kronice Józefa?

Jonathan skinął głową.

- Dziś w nocy *carabinieri* zrobili nalot na laboratorium naukowe. Znaleźli tam wielką skrzynię pełną kartek wyrwanych z rękopisów Józefa Flawiusza. Wszystkie zawierały ten sam ustęp... – Jonathan zamilkł, poszukując precyzyjnego określenia prawniczego. – Potwierdzający dokładnie to, co ujawnił ci archiwista. Ktoś musiał poświęcić wiele miesięcy na wrywanie kartek w bibliotekach całej Europy.

Spomiędzy regałów dobiegł głośny trzask, a potem głos Chandlera:

– Nic mi się nie stało! Wszystko w porządku!

Chandler zszedł po drabinie; on także niósł naręczę ksiąg. Spojrzał triumfalnie na Emili, jakby wygrała zakład.

– No dobrze, miałaś rację – rzekł, zstępując na ziemię.

Wziął ze stołu kawałek pizzy, wsunął go do ust i odwrócił się do Jonathana, przeżuwając kęs. – Powiedziała, że za godzinę będziesz z powrotem.

Jonathan wskazał stół, na którym leżał kruchy manuskrypt owiązany starą czerwoną wstążką z jedwabiu. Wyglądał jak zapomniany prezent gwiazdkowy.

– Czy to jest kronika Józefa?

– Najstarsze łacińskie wydanie, jakie znajduje się w bibliotece – odparł nie bez dumy Chandler. – Tom z tysiąc sześćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Przyniosłem z biblioteki. – Rozwiązał tasiemkę, z książki uniosła się chmurka kurzu.

Książka przypominała duży postrzępiony słownik; Chandler oparł ją o gruby styropianowy statyw. Jonathan wyciągnął po nią rękę.

– Tu masz kołeczki – przypomniał Chandler. Księgarze wytrwale powtarzali akademikom, żeby do przewracania stron używali drewnianych kołeczków, gdyż tłuszcz wydzielany przez skórę dłoni stanowi główną przyczynę zniszczenia dokumentów.

Jonathan poszedł za jego radą.

– W tym miejscu Józef opisuje, jak rzymskie wojska sforsowały zewnętrzne mury Jerozolimy i wdarły się na wewnętrzny dziedziniec Świątyni. – Jonathan umieścił kołeczek tuż nad odpowiednim wierszem i zaczął tłumaczyć: – „Żołnierze wtargnęli do Świętego Świętych, spodziewając się skarbu. Ktoś jednak...” – Jonathan zamilkł nagle.

– I co się stało? – powiedział Chandler, nie mogąc się doczekać dalszego ciągu.

– „Ktoś wbiegł przed nimi” – dokończył Jonathan, wpatrując się w tekst. – Ktoś dostał się do wewnętrznej komnaty Świątyni przed Tytusem i jego legionistami. Jeśli ktokolwiek chciał zdradzić Tytusa i wynieść menorę, mógł to zrobić właśnie wtedy.

– Ależ ludzie Tytusa otoczyli Święte Świętych – zauważyła Emili. – Nie da się wcisnąć dwuipółmetrowego świecznika z czystego złota pod kapłańską szatę i liczyć na to, że nikt niczego nie zauważy.

Jonathan przebiegł wzrokiem po tekście, jego palec zatrzymał się kilka wierszy niżej.

– Wszystkie kartki z dzieł Józefa, znalezione przez policję, miały ze sobą coś wspólnego, a mianowicie jeden dodatkowy wers w tym miejscu. – Jonathan wyjął pióro, żeby coś napisać na skrawku papieru.

– Proszę – mruknął Chandler, wyciągając z kieszeni krótki ołówek. Jonathan znał zasadę wyznawaną przez wszystkich kolekcjonerów rzadkich ksiąg na całym świecie: na stolikach w bibliotece nie może być przyborów zawierających trwałe atrament.

Jonathan zapisał wers po łacinie i przetłumaczył.

– „Uciekli przez ukrytą bramę, wynosząc płomień”.

– Przez ukrytą bramę – powtórzył Chandler.

– Tak – potwierdził Jonathan. – Najprawdopodobniej był to tunel albo...

Emili nie usłyszała ostatnich słów wypowiedzianych przez Jonathana. Przyglądała mu się ze świadomością, że odkupienie nie nastąpiło wyłącznie za sprawą Józefa Flawiusza. Jonathan

krążył wokół stołu, a ona widziała w jego oczach błysk, który jak jej się zdawało, zniknął na zawsze. Szeroko gestykulował, występując w roli adwokata nie tylko Józefa, ale i samego siebie.

– ...kapłani uciekli przez ukrytą bramę, ratując nie tylko menorę, ale także, co ważniejsze...

– Także płomień – dokończył Chandler.

– Jaki płomień? – zapytała Emili.

– „Ten” płomień. Siódmy płomień, mówiąc ściśle – odparł Chandler. – Ten, który palił się na zachodnim ramieniu menory.

Emili przyglądała mu się w zdumieniu.

– Nie wiedziałam, że miał wyjątkowe znaczenie.

– Miał, i to bardzo szczególne – tłumaczył Chandler. – W Księdze Wyjścia jest wyraźnie powiedziane, że lampa ma się palić „od wieczora do rana”, w Księdze Kapłańskiej zaś czytamy: *By świecił od wieczora aż do poranka przed Panem, nieustannie. To jest ustawa wieczysta dla waszych pokoleń\**. Był to wieczny płomień od czasu, gdy Mojżesz poświęcił pierwsze tabernakulum po ucieczce z Egiptu. Jego blask był świadkiem przymierza Izraela z Bogiem. Przeniesiono go ze Świątyni Salomona, ukryto w czasie babilońskiej napaści w szóstym wieku, następnie w piątym wieku umieszczono w Świątyni Ezry. Symbolizował nieustającą obietnicę, że potomkowie Abrahama będą „liczni jak gwiazdy”...

\* Kpł 24, 3.

– I że stanie się on ojcem wielu narodów – dodała Emili.

Chandler i Jonathan spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

– Szkółka niedzielna – wyjaśniła Emili, wzruszając ramionami.

– Zdarzyło się to wkrótce po tym, jak Abraham przeszedł ostateczną próbę i dowiódł swojej całkowitej ufności w Boga – dodał Chandler.

– Jaką próbę?

– Chodzi o poświęcenie Izaaka – odrzekł Jonathan. – Znasz tę przypowieść. Bóg rozkazuje Abrahamowi złożyć w ofierze syna, lecz posyła anioła, który w ostatniej chwili powstrzymuje rękę Abrahama. Trzy wielkie religie świata w odmienny sposób przedstawiają to wydarzenie. W tradycji muzułmańskiej zamiast Izaaka występuje Izmael, dla chrześcijan jest to zapowiedź ostatecznego zbawienia. Jednakże wszystkie religie są zgodne co do tego, że tą zasługą Abraham uzyskał boską obietnicę, a jej symbolem był wieczny płomień, który Mojżesz poniósł przez pustynię. Dlatego kabaliści po dziś dzień nazywają wieczny płomień menory „ogniem Izaaka”. Biblia zawiera dokładny opis miejsca, w którym Izaak został przywiązany do ołtarza. Nieprzypadkowo znajdował się on na Wzgórzu Świątynnym w Jerozolimie, i to tam, gdzie tysiąc lat później w Świątyni Salomona palił się płomień menory.

– Ale dlaczego władcom obcych cesarstw zależało na tym płomieniu?

– Tobie by nie zależało, gdybyś znalazła się na ich miejscu? –

spytał ze śmiechem Chandler. – Wyobraź sobie. W tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym roku przed naszą erą Hebrajczycy wychodzą z Egiptu, wyglądając jak zgraja obszarpanych niewolników, lecz nagle odnoszą na pustyni zwycięstwa nad większymi i lepiej uzbrojonymi przeciwnikami. Gdy po upływie kilkuset lat Salomon wznosi Świątynię i otacza ją murem, by chronić święty ogień, osobliwa obietnica, że dzieci Izraela będą liczne jak gwiazdy na niebie, zaczyna niepokoić wróżbitów sąsiednich cesarstw. Dowiedzieli się o wiecznym ogniu i ta wieść ich zaniepokoiła. Podejmowali najbardziej wymyślne działania, dążąc do zgaszenia lampy.

Właśnie w tym celu Asyryjczycy zaatakowali Jerozolimę w siódmym wieku przed naszą erą i ponieśli klęskę. Babilończycy podjęli taką samą próbę w pięćset osiemdziesiątym szóstym roku przed naszą erą, zabrali Arkę Przymierza, lecz nie zdołali ugasić płomienia menory. Płonął w ukryciu także pięćdziesiąt lat później, w czasie najazdu Persów.

– To znaczy, że przed zdobyciem Świątyni przez Rzymian płomień nigdy nie wygasł? – zapytała Emili.

– Najbliżsi sukcesu byli ci, którzy słusznie zdobyli największy rozgłos – odparł Chandler. – Cztery lata później na Jerozolimę uderzyło imperium greckie. Pięciu synów Matatiasa, kapłana Świątyni, odparło grecką napaść z takim impetem, że nazwano ich „młotami”. Po aramejsku słowo to brzmi *maceabas*, dlatego znamy ich pod nazwą Machabeuszów.

– Chodzi o „tych” Machabeuszów? – spytała Emili.

– Powiedzenie „twardy jak stal” zyskuje nowe znaczenie, prawda?

– Chandler... – wtrącił się Jonathan.

– Zmierzam do tego, że zanim Machabeusze zdołali odbić Wzgórze, najeźdźcy zbezczeszcili Świątynię, a oliwy do lampy zostało zaledwie na jeden dzień. Sęk w tym, że przygotowanie poświęconej oliwy do menory trwa siedem dni. Żydzi musieli coś zrobić, by resztką oliwy wystarczyła do utrzymania płomienia przez tydzień, bo w przeciwnym razie...

– W przeciwnym razie co?

– Płomień zgasłby po raz pierwszy od czasu, gdy Mojżesz rozpałił go w tabernakulum na pustyni tysiąc lat wcześniej. Jakimś cudem ilość oliwy wystarczająca na jeden dzień paliła się przez osiem dni, a to wystarczyło, by wytłoczyć więcej oliwy i ocalić płomień. Był to cud ponownego poświęcenia Świątyni, po staroaramejsku *hanukkah*. Najważniejszym elementem obchodów tego święta jest zapalenie lampy, którą Grecy usiłowali zgasić.

– Kiedy więc Rzymianie obiegli Jerozolimę w pierwszym wieku naszej ery, Józef znał doskonale historię Machabeuszów – dodał Jonathan. – Wiedział również, jak niezmiernie ważny jest płomień menory płonący wewnątrz Świątyni.

– To jednak nie wszystko – podjął wątek Chandler. – Józef miał świadomość, że przesąd Tytusa pchnął go do splądrowania Świątyni Jerozolimskiej. Tytus wiedział bowiem, że nie roi się w niej od złotych posągów takich, jakie wypełniały świątynie sąsiadujących pogańskich prowincji. Nie chodzi mu nawet o dwa i pół metra czystego złota, z którego zrobiona była menora... – Chandler zawiesił głos dla większego efektu. – Pragnął zgasić jej ogień, gdyż wiedział, że płomień menory stanowi zagrożenie dla jego boskości. Dlatego gdy jego legionie sforsowali wewnętrzne ściany Świątyni i podłożyli ogień, on, nie bacząc na niebezpieczeństwo, wbiegł do Świętego Świętych i ciął mieczem święte tkaniny. Zarówno źródła talmudyczne, jak i rzymskie podają, że te zaczęły w cudowny sposób krwawić na posadzkę. Tytus wymierzył w nie miecz, krzyżując: „Oto krew waszego boga!”.

– A tymczasem prawdziwy płomień... – zaczęła Emili.

– Był właśnie wynoszony ze Świątyni – dokończył Chandler, kiwając głową. – Pomyśl, jak ważny był płomień, który płonął od chwili, gdy Mojżesz pielęgnował go wraz z Arką Przymierza w czasie ucieczki z Egiptu. Możesz to sobie wyobrazić? – Chandler odchylił się na krześle i skierował wzrok na sufit. – Jeszcze dzisiaj, po upływie dwóch tysięcy lat, idea wiecznego ognia stanowi ważny

element współczesnej tradycji, mimo że sobie tego nie uświadamiamy. W niemal wszystkich

synagogach nad łukiem sanktuarium stale pali się światło, często podłączone do odrębnego generatora na wypadek awarii miejscowej sieci energetycznej. W większości katolickich i luterańskich kościołów stale płoną na widoku świece zapalone od ognia ze starszych świątyń. Płomień w buddyjskiej świątyni Daisho-in w Japonii pali się nieprzerwanie od ósmego wieku.

– Wieczne płomienie są również ważne dla ludzi świeckich na całym świecie – zauważył Jonathan. – Na przykład na grobowcu Johna Kennedy'ego na Cmentarzu Narodowym w Arlington...

– Albo ten, który płonie w Parku Pokoju w Hiroszynie i ma płonąć dopóty, dopóki nie zostanie zniszczona do reszty cała broń atomowa – dodała Emili.

– Zgaszenie każdego z tych płomieni miałoby ogromną wymowę symboliczną – powiedział Chandler. – obrońcy praw człowieka w dwa tysiące ósmym roku wspięli się na stalowe liny na moście Golden Gate, by zatrzymać znicz olimpijski w drodze do Pekinu.

– Czy Tytus chciał dostać się do Świętego Świętych po to, aby osobiście ugasić płomień? – spytała Emili. – To miało być coś w rodzaju uśmiercenia boga?

– Trafiałaś w sedno – potwierdził Chandler. – I właśnie dlatego kapłańskie pochodzenie Józefa czyniło go doskonałym kandydatem do wykonania tej operacji, musiał bowiem dostać się do Świętego Świętych przed Tytusem. Tylko *kohanim* mógł wbiec do wewnętrznego sanktuarium i przekazać wiadomość, że menora z płomieniem musi zostać wyniesiona przez ukrytą bramę.

Emili zastanawiała się przez chwilę.

– A zatem gdy w dodatkowym wierszu tekstu Józef pisze, że „ktoś wbiegł przed nimi”, ma na myśli...

– Siebie – dokończył Jonathan. – Minęły setki lat i nikt nie odgadł, że pisał o sobie.

– Gdybyśmy wiedzieli, gdzie znajduje się ta brama... – westchnęła Emili.

– Tak się składa, że chyba wiemy. – Jonathan sięgnął do kieszeni marynarki.

– Na tej kartce jest informacja o ukrytej bramie? – spytał Chandler, który aż pochylił się w radosnym oczekiwaniu.

– Nie – odparł nieobecny głosem Jonathan. Przypomniał sobie makabryczny widok, który nie tak dawno zobaczył. – W manuskrypcie jej nie było. Znajdowała się gdzie indziej.

Wyjął z kieszeni telefon i znalazł zdjęcie, które udało mu się zrobić w gabinecie Tattona. Obraz ukazał się na całym ekranie aparatu. Jego niewielki rozmiar nie złagodził strasznego wrażenia, jakie musi wywołać widok trupa spoczywającego w płynie.

– Co to jest, do diabła?! – zawołał Chandler, cofając się, jak gdyby cyfrowe zdjęcie mogło być zaraźliwe.

– *Carabinieri* znaleźli te zwłoki w magazynie na przedmieściu Rzymu – odparł Jonathan i spojrzał na Emili. – Była upozowana na dziewicę koryncką z pierwszego wieku.

– Popaprane łotry – denerwował się Chandler. Nachylił się nad telefonem, wzdrygnął, a potem znów przysunął bliżej. – W czym ona się unosi? To jest oliwa?

– Myślę, że to żywica lub inny naturalny środek konserwujący – odparła Emili.

– Szukali tego zdjęcia w bazie danych osób zaginionych Interpolu? – spytał Chandler.

– Wątpię, czy to coś da – powiedział Jonathan.

– Dlaczego? Ta baza istnieje od lat, a ona nie może mieć więcej niż czterdzieści.

– Sądzę, że to byłby dla niej komplement, Chandler, bo pomyliłeś się o jakieś dwa tysiące lat

– oznajmił Jonathan.

### 36.

Spóźniony na spotkanie w siedzibie Waqf Saladyn maszerował wojskowym krokiem wąskimi uliczkami Starego Miasta w Jerozolimie.

Nie mam czasu na rozmowy o polityce przy herbatce i suszu, myślał. Zgodził się jednak na spotkanie z *mutwali*, mimo że powiadomiono go o nim w ostatniej chwili. Wiedział, że wsparcie władz dla jego wykopalisk staje się niepewne. Nie wolno mu narazić powodzenia operacji z powodu dumy. Nie teraz, kiedy jego ludzie są tak blisko.

W zwieńczonej łukiem bramie siedziby Waqf w Bab el Nadme stało dwóch strażników w tradycyjnych islamskich strojach. Machnięciem rąk dali znak, że może wejść, i szybko odwrócili głowy. Imamowie sprawiali wrażenie dotkniętych tym, że wnuk wielkiego muftiego, szejka al Husseiniego, nosi zachodnie ubrania i nie przestrzega codziennych zakazów.

Zamierzam oddać muftiemu cześć czymś więcej aniżeli puste słowa modlitwy, odpowiedział imamom w myślach Saladyn.

Wszedł przez pociemniałe od starości drzwi i znalazł się w dwukondygnacyjnym kompleksie, który od czternastego wieku sąsiadował z Haram al-Szarif. Saladyn czuł się obco wśród imamów, lecz podziwiał historię Waqf. Władza zgromadzenia nad Wzgórzem Świętym datowała się od czasów, gdy średniowieczni muzułmańscy wojownicy w 1192 roku wyparli z Jerozolimy Ryszarda Lwie Serce i jego krzyżowców. Właśnie wówczas stworzono *waqf*, czyli fundusz dobroczynny, który miał się zajmować administrowaniem islamskimi sanktuariami w Haram al-Szarif.

Młody imam prowadził Saladyna obok drzwi odnowionych gabinetów i szlifowanych kamiennych murów z epoki Heroda Wielkiego. Szli po granitowej posadzce przykrytej wzorzystymi irańskimi dywanami, świadczącymi o tym, że dla funduszu nastał czas prosperity. W czasie dorocznych konferencji wyznawców islamu fundusz al-Quds zbierał znaczne sumy, które szły na działalność Waqf i budowę pod Wzgórzem. Sama tylko Arabia Saudyjska w 2000 roku podarowała Waqf sto milionów dolarów.

– To zaszczyt gościć cię w naszych progach – rzekł imam, wychodząc naprzeciw Saladyna. Nie próbował maskować fałszu: z nieukrywaną dezaprobatą patrzył na czarne spodnie i koszulę z białego oksfordu.

– Dwudziesty czwarty rozdział Koranu – odparł Saladyn, uśmiechając się uprzejmie. Kłamstwo budzi gniew Allaha.

Młody imam wprowadził Saladyna do salonu z dwiema apsydami modlitewnymi, zwróconymi w stronę Mekki. Pomiędzy nimi wisiała oprawiona w ramę fotografia wielkiego muftiego Jerozolimy. W latach trzydziestych, gdy zrobiono to zdjęcie, wielki mufti był młodzieńcem. Podobieństwo z Saladynem było wyraźne. Na niskim stoliku stojącym między dwoma krzesłami na środku pomieszczenia postawiono naczynie z oliwkami i suszonymi owocami; niski fotel z czerwonego zamszu miał podierać starzejące się plecy *mutwali*. Saladyn usiadł na drewnianym krzeselku i wziął owoc z talerza. Tego wymagał rytuał gościnności; Saladyn wiedział, że nie wolno go łamać. Nad biurkiem wisiała grawerowana marmurowa stronica Koranu.

Służący otworzył drzwi i w drzwiach pojawił się Tarik Hussein, obecny *mutwali* Waqf. Za



sprawą niuansów muzułmańskiego prawa, których Saladynowi nie chciało się zgłębiać, Waqf był oficjalnie funduszem dobroczynnym. Najbardziej złożonymi zagadnieniami kierował zarządca funduszu, czyli *mutwali*.

*Mutwali*, niski mężczyzna o szerokiej piersi, rzadko zdejmował duże przyciemnione okulary. Z powodu źle dopasowanych koronek miał stale ściągnięte usta, a jego wąsy były tak mocno ufarbowane na czarno, że skóra nad ustami przybrała szaro-siny trupi kolor. W czasie wojny 1948 roku walczył u boku jordańskich snajperów, usiłując powstrzymać Izraelczyków przed zajęciem Jerozolimy. Odniósł ranę, która okaleczyła jego nogę, i od tej pory kulął. Uniósł władczo dłoń, dając Saladynowi znak, żeby ten nie wstawał.

Szybszym gestem ręki przywołał służącego ubranego w spodnie khaki i wojskową bluzę, który wniósł tacę z czarną herbatą. Gdy ten się pochylił, Saladyn zobaczył lśniąca czarną berettę, świadcząca

o tym, że mężczyzna niedawno powrócił z Iraku. Pistolet był standardowym wyposażeniem amerykańskich żołnierzy. Noszenie broni zabitego wroga nawiązywało do dawnej arabskiej tradycji zatrzymywania mieczy tych, których się pokonało. Przynajmniej tego nauczyli się od mojego dziadka, pomyślał Saladyn. Brońcie Wzgórza nie traktatami, lecz siłami wojowników.

*Mutwali* zgarbił się lekko i spojrzał na wejście. Czekaający na zewnątrz strażnik usłyszał, że w pomieszczeniu zapadła cisza, i zamknął drzwi.

– Nasze dzieło zbliża się do końca – oznajmił Saladyn.

Gospodarz powoli nalał herbaty do filiżanek.

– To nie jest nasze dzieło, młodzieńcze, tylko twoje – odparł, pociągając łyk herbaty. – Twoje wysiłki nie mają poparcia imamów Waqf. Uważają oni, że posunąłeś się za daleko.

– Za daleko? Dwa tysiące lat, *mutwali*. Godziny dzielą nas od znalezienia tego, czego nie zdobyli Asyryjczycy, Babilończycy, Grecy i Rzymianie. Ja nie popełnię błędu.

*Mutwali* skinął głową i wyjrzał przez okno; złoty dach Kopuły na Skale lśnił nawet wówczas, gdy niebo zasnuwały chmury.

– Nie mogłeś znaleźć drogi pod Wzgórzem, którą wymknął się Józef, wynosząc tę rzecz.

Saladyn zdziwił się, słysząc, że *mutwali* wie tak dużo o jego działaniach.

– Myślisz, że nie śledziłem twoich poczynań? – *Mutwali* z trudem dźwignął się na nogi. – Podziwiałem twojego dziadka, podróżowałem z nim do Berlina i na Bałkany, razem szukaliśmy wskazówek w pismach Józefa Flawiusza. Ale nie możemy wystawić na szwank Waqf tylko dlatego, że odziedziczyłeś po nim obsesję władzy nad przeszłością. – Twarz *mutwali* stwardniała. – Twoje wykopaliska muszą się zakończyć, Saladynie. Komitet Światowego Dziedzictwa w każdej chwili może przyznać ONZ prawo do przeprowadzenia inspekcji Haram.

– Prawo do inspekcji? Ależ Waqf sprawuje całkowitą władzę nad Wzgórzem od prawie tysiąca lat.

– Imamowie postrzegają obecnie Wzgórze jako... element teraźniejszości. – *Mutwali* zrobił nieokreślony ruch ręką. – Zamierzają zbudować wielką studnię w Grocie Królewskiej i napełnić ją wodą z Zuhr w Arabii Saudyjskiej. Jerozolima dorównałaby wówczas świętością Mekce. Jeśli rozpoczną prace przed inspekcją ONZ, mogą powoływać się na fakt, że jest to projekt o charakterze religijnym i jako taki winien być kontynuowany. Uważają, że twoje dążenia są za bardzo uwikłane w historię starożytną.

– Historię starożytną? Pamiętaj o naukach mojego dziadka, wielkiego muftiego, pokój niech

będzie z nim. – Saladyn spojrział na zdjęcie. – Archeologia to polityka. – Przez chwilę milczał na znak szacunku. – Czy dziadek uważał, że chodzi o historię starożytną, gdy sześćdziesiąt lat temu rozpoczął wykopaliska?

– Tylko przez wzgląd na twojego dziadka fundusz al-Quds finansował twoje prace poza Jerozolimą. – *Mutwali* pociągnął drugi powolny łyk herbaty, nie spuszczać wzroku z rozmówcy. – Zapomniałeś, że amerykański Kongres omal nie przyjął ustawy zakazującej władzom palestyńskim finansowania nas, jeśli nie zaprzestaniemy prac pod Wzgórzem? – *Mutwali* poprawił okulary, by przeczytać napis na wierzchnim arkuszu papieru ze stosu, który przed nim stał. – U.S.C. Bill H.R, dwa tysiące pięćset sześćdziesiąt sześć. Al-Quds za pomocą starannie zaplanowanych działań strategicznych dyskretnie zmobilizował lobby naftowe, by ugasiło ten pożar.

– Nie mogę się wycofać – odparł Saladyn. – Przyrzekłem wielkiemu muftiemu, że znajdę tę rzecz.

– Allah wybaczy ci tę obietnicę.

– Nie o Allaha mi chodzi! – krzyknął Saladyn, wstając.

Drzwi się otworzyły. Strażnik spojrział na *mutwali*, lecz ten po ojcowsku skinął głową. Wszystko jest w porządku.

– Nie widziałeś mojego dziadka, gdy dokonywał żywota w Bejrucie – mówił Saladyn, kierując się do okna. – Nie trzymałeś go za rękę, gdy klęczał na dywaniku modlitewnym meczetu Al-Omari i patrzył na mężczyzn, gromadzących się w cieniu. Wiedział, kim są. Ci sami Izraelczycy, którzy schwytali Eichmanna w Argentynie, przybyli po niego do Bejrutu. Nie widziałeś, jak wyjmuje spod obwoluty Koranu małą pigułkę i wsuwa ją sobie do ust. Nosił ze sobą cyjanek na wypadek, gdyby go odnaleźli. – Głos Saladyna zmiękł. – Nie trzymałeś go za rękę, gdy padał na bok i wił się po ziemi. „Nie powtórz błędu Tytusa”, rzekł do mnie. – Saladyn ponownie wznosił wzrok na portret dziadka.

– Wiesz, dlaczego twój dziadek prowadził poszukiwania z taką pasją? Wierzył, że płomień menory wciąż się pali. Wierzył, że Rzymianie nie starli Żydów z powierzchni ziemi, ponieważ Tytus nie zgasił lampy. A stało się tak dlatego, że został zdradzony i wykradł zwykły ogień, podczas gdy prawdziwy płomień potajemnie wyniesiono w bezpieczne miejsce. Dziadek pragnął dokończyć dzieła Tytusa. Czy ty także do tego dążysz, Saladynie? – *Mutwali* zdjął okulary, spod których ukazały się osobliwie jasnoniebieskie oczy. – Może jednak odziedziczyłeś po dziadku głęboką żarliwość religijną?

– Ten przedmiot jest symbolem historycznym ważniejszym od wszelkich podań religijnych – odparł Saladyn. – Wiesz, jakie pojawiają się roszczenia, jeśli odnajdzie go ktoś inny. Władza Waqf nad Wzgórzem w jednej chwili znalazłaby się w niebezpieczeństwie.

– Naukowiec, którego sprowadziłeś z Rzymu, profesor Cianari, mógłby go znaleźć, ale... – *Mutwali* nie dokończył zdania, lecz spojrział z podziwem na młodego rodaka. Najwyraźniej odziedziczyłeś także temperament swojego dziadka, mówiły jego oczy.

Saladyn spojrział w dół i zauważył krew profesora, która rozprysła się na rękawie jego koszuli.

– Będę miał innego eksperta – odparł. – Ramata Mansoura.

– Twojego kuzyna?

– Wie o Wzgórzach więcej niż jakikolwiek profesor.

– Tylko że on ci nie pomoże, bo jest przeciwny twojej działalności pod Wzgórzem.

- Akurat w tym mi pomoże – odrzekł Saladyn. – Już ja się o to postaram.
- Masz czas do *sabah* – oznajmił *mutwali*.

Do świtu.

Gospodarz ponownie skierował wzrok na okno.

- Przykro mi, ale nie mogę... – *Mutwali* nie dokończył zdania, gdyż odwróciwszy głowę, zobaczył, że Saladyn już nie siedzi na krześle. Okazując dostojnikowi najwyższe lekceważenie, wyszedł nagle, zostawiając otwarte drzwi.

### 37.

– Pochodzący z czasów starożytnych trup kobiety, który pływa we wnętrzu kolumny – powiedział Chandler. – Gratuluję, Aureliusz, jesteśmy kwita. Teraz chyba naprawdę ci odbiło. Zdajesz sobie sprawę, ile mnie kosztuje powiedzenie tego? Diabelnie dużo. – Chandler odwrócił się do Emili. – Czy to w ogóle możliwe, by zwłoki mogły zachować się w takim stanie przez dwa tysiące lat?

– Owszem, możliwe – odparła Emili. – W dwa tysiące drugim roku w czasie budowy autostrady we wschodnich Chinach odkopano wypełnioną cieczą trumnę, w której pływały równie dobrze zachowane zwłoki. Przetrwały w niemal idealnym stanie, tylko tkanka mięśniowa odbarwiła się pod wpływem zasadowego roztworu.

– Były równie stare? – zapytał Chandler.

– Starsze. To była królowa z dynastii Han, początek pierwszego wieku. Założę się, że badanie radiowęglowe wykazałoby, iż bije tę kobietę o pięćdziesiąt lat.

– Świetnie – rzekł Chandler, odchylając głowę do tyłu. – Założmy, że faktycznie jest tak stara. Co z tego wynika?

– Inskrypcja wytatuowana wokół pępka wskazuje konkretne miejsce – odparł Jonathan. – *Phere nike umbilicus orbis terrarum*.

– Co to znaczy? – zapytała Emili.

– *Phere* albo *pheros* oznacza kogoś, kto coś nosi. *Phospheros* to „kamień, który nosi światło”. *Christopher* to „ten, który nosi Chrystusa”. *Nike*, rzecz jasna, oznacza „zwycięstwo”, *umbilicus*, co wydaje się oczywiste, to „pępek”, a *orbis terrarum* znaczy „kula świata”.

– Pępek świata – powiedział Chandler, podnosząc się nagle.

– Chwileczkę – odezwała się Emili. – Wyrażenie *orbis terrarum* oznaczałoby, że Ziemia jest okrągła. To znaczy, że napis nie mógł zostać wykonany w pierwszym wieku. Starożytni uczeni byli zgodni co do tego, że świat jest płaski.

– Kapłani z Jerozolimy nie podzielali tego poglądu – zauważył Chandler. Mówił powoli, jakby głośno myśląc. – Tamtejsi kabaliści wiedzieli bardzo dużo o astronomii. Stworzyli poprawny model Układu Słonecznego dwa tysiące lat przed tym, jak europejscy filozofowie uświadomili sobie, że Ziemia jest okrągła. Nieprzypadkowo sześć ramion menory tworzy okrągłe orbity wokół centralnego ognistego obiektu. Starożytni mistycy widzą w menorze odwzorowanie Układu Słonecznego; każde ramię przedstawia obrót widocznej planety wokół centralnego źródła światła, czyli Słońca. – Chandler wrzucił ramionami. – Wprawdzie Kościół usiłował obciąć Galileuszowi głowę za głoszenie heliocentryzmu, lecz tysiące lat wcześniej kapłani w Jerozolimie po cichu wykorzystywali symbolikę menory, by dokładniej przedstawić układ

planetarny. Centralny punkt świecznika, po hebrajsku *shamash*, nazywa się podobnie jak *shemesh*, czyli „słońce”.

– Chandler ma rację – potwierdził Jonathan. – Nawet Józef Flawiusz pisze: „Siedem lamp na świętym świeczniku pokazuje tory planet”. Ten, dla kogo wiadomość zawarta w tym tatuażu była przeznaczona, wiedział, że Ziemia jest okrągła.

– Wyrażenie „centrum świata” nie ogranicza zbytnio pola poszukiwań, prawda? – zauważyła Emili.

– Ależ jak najbardziej – odparł z uśmiechem Chandler. – W starożytnej kosmologii Jerozolima stanowiła centrum świata, a Wzgórze Świątynne było centrum Jerozolimy.

– Centrum całego świata?

– „Tak jak ziemia Izraela jest pępkiem świata” – wyrecytował z pamięci Chandler, w swoim stylu przymknąwszy oczy dla większego dramatyzmu – „Jerozolima leży w środku ziem Izraela, a sanktuarium jest środkiem Jerozolimy”. – Odwrócił się do Jonathana. – Nawet w średniowieczu kartografowie przedstawiali kontynenty jako listki koniczyny, a Wzgórze Świątynne znajdowało się w samym środku Ziemi.

Emili popatrzyła nań z niedowierzaniem.

– Skąd mamy wiedzieć, czy ta kobieta ma jakikolwiek związek ze sprawą? Może była po prostu...

– Kim? – wpadł jej w słowo Chandler, wskazując tatuaż. – Starożytną hipiską, a „pępek świata” to nazwa jej ulubionego zespołu punkowego?

Emili puściła te słowa mimo uszu.

– Jonathanie, ona mogła żyć w innym stuleciu. Dziś rano po rozprawie przestrzegając mnie przed snuciem tego rodzaju dywagacji.

– To nie są dywagacje – odparł Jonathan, po czym wskazał na zdjęciu brzuch martwej kobiety. – Spójrz na długość tych pięciu nacięć na jej tułowiu. Wyglądają jak...

– Ślady po pazurach – dopowiedziała szeptem Emili.

– Właśnie. I to dużych pazurach, na przykład tygrysiach. Światowa kobieta, taka jak ona, nie zginęła w jakiejś dzicy. Najprawdopodobniej była *damnata ad bestias*.

– Skazana na bestie – przetłumaczyła Emili.

– Przypuszczalnie za zdradę. Wiadomo, że Tytus trzymał tygrysy dla zdrajców, gdyż uważał, że ich wyrachowana zbrodnia zasługuje na kata, który skrada się niepostrzeżenie do ofiary.

– Uważasz więc, że należała do siatki Józefa Flawiusza? Że była jednym z jeńców straconych w Koloseum?

– Tak, i wydaje mi się, że znamy jej tożsamość. – Jonathan spojrzał na Chandlera. – Niepotrzebna nam do tego baza Interpolu. – Wskazał inskrypcję. – Umieścili na ciele jej imię?

– Imię? – Chandler pochylił się nad telefonem. – Jakoś nie widzę tu naklejki z napisem „Hop, hop, mam na imię...”.

– Przyjrzyj się inskrypcji, to zwykły szyfr kombinacyjny.

– Coś w rodzaju kombinacji dwóch wyrazów.

– Słowa *phere* i *nike*, oznaczające „nosiela zwycięstwa”, odnoszą się do tego, kto zdołał wymknąć się ze Świątyni z menorą. Ale łącząc je, otrzymujemy greckie imię Pherenike, które w dialekcie macedońskim zapisywano jako „Bherenike”.

– Berenika – powiedziała cicho Emili, jak gdyby chciała wsłuchać się w brzmienie tego

słowa. – Kochanka Tytusa, ostatnia księżniczka Jerozolimy.

– Jeśli w ogóle nosiła to imię – rzekł Jonathan. – Być może Józef, posługując się jego podwójnym znaczeniem, w subtelny sposób ujawnia w kronice swój spis. Zwodzi rzymskich cenzorów, wykorzystując pseudonim. Tak zwanego aktora scenicznego nazwał Aliteriusem, żebyśmy mogli pojąć jego prawdziwą rolę szpiega Jerozolimy na dworze Nerona. Podobnie mógł postąpić z kochanką Tytusa, nadając jej imię ukazujące ją jako konspiratorkę. Bherenike, „nosicielka zwycięstwa”, pomogła Józefowi wynieść menorę w bezpieczne miejsce po zdobyciu Jerozolimy przez Rzymian.

– Mimo to problem pozostaje nierozwiązany – zauważył Chandler. – Nawet jeśli z tatuażu dowiadujemy się, w jaki sposób Józef wymknął się z menorą ze Świętego Świętych, nie ma informacji o tym, dokąd ją zabrał.

– To prawda – przyznał Jonathan. – Wszystko to jest zbyt niejasne, by mogło służyć za przewodnik archeologiczny. Aby poznać kryjówkę, musielibyśmy znaleźć szczegółową mapę Jerozolimy z pierwszego wieku, sporządzoną przez jeńców z tego miasta.

Emili uśmiechnęła się niespodziewanie.

– Chyba wiem, gdzie jej szukać.

## 38.

Komendant Profeta wracał do swojego gabinetu na piątym piętrze gmachu policji. Wycieczka do siedziby kancelarii Dulling and Pierce okazała się nad podziw owocna. Młody policjant stał w milczeniu obok biurka, a dowódca podpisywał całą serię skierowanych do Interpolu próśb o informacje na temat genewskiej korporacji, która wypożyczyła Muzeum Kapitołińskiemu fragmenty *Forma Urbis*. Gdy Profeta złożył ostatni podpis, funkcjonariusz wybiegł z gabinetu, niemal wpadając na brzuchatego mężczyznę w średnim wieku, którego komendant rozpoznał w jednej chwili.

– Wejdz, Stanoje.

Profeta znał Odalovicia od czasu, gdy szczupły Kosowianin z krzaczastymi czarnymi wąsami zaczął pracować w biurze koronera. Miał dyplom z patologii, zdobyty w zbombardowanej akademii medycznej w Prisztinie, ale nie miał pozwolenia na pracę. W ciągu minionych dwudziestu lat Profeta regularnie współpracował z doktorem Odalovicem; teraz nawet częściej, ponieważ handlarze antyków stali się śmiertelnie niebezpieczni. Jednakże nigdy jeszcze nie widział go w stanie takiego poruszenia.

– *Comandante*, trochę za wcześnie na *pesce d'aprile* – rzekł, nawiązując do włoskiego *prima aprilis*.

Patolog otworzył dużą szarą kopertę i wyjął z niej zdjęcie kobiecych włosów, na które Profeta natknął się w portowym magazynie.

– Ona jest starsza, niż nam się wydawało. – Doktor Odalovic odkaszlnął nerwowo.

– O ile starsza?

– Możesz powiedzieć kolegom z wydziału zabójstw, żeby zaprzestali dochodzenia. Ta zbrodnia uległa przedawnieniu.

– Nie nadążam za tobą, Stanoje. – Profeta zdjął okulary.

– Właśnie dostaliśmy wstępne wyniki datowania metodą analizy scyntylicyjnej. Próbką

mieszka włosa, którą mi dałeś... – Odalovic poruszył się na krześle – ...pochodzi z pierwszego wieku naszej ery. To nie było oszustwo, Jacopo. Ona żyła w starożytności.

Profeta wstał z krzesła; doktor Odalovic śledził go wzrokiem. Policjant podszedł do okna. Jego mina wskazywała, że jest raczej zadumany niż zaskoczony.

– A płyn, w którym spoczywała?

– Doskonała starożytna receptura do balsamowania. Olejek cedrowy, smoła z jałowca. Wszystkie składniki organiczne pochodzą z tego samego okresu.

– Przyczyna śmierci? – spytał Profeta.

Doktor Odalovic zdziwił się, słysząc, że komendant zadaje rutynowe pytanie, jak gdyby chodziło o ofiarę współczesnego morderstwa.

– Przyczyna śmierci? Właśnie ci powiedziałem, że ona...

– Słyszałem, Stanoje. Pytam, czy znasz przyczynę śmierci.

Odalovic skinął głową, wyciągając z koperty drugi slajd.

– W kosmyku włosów, który przysłałeś do laboratorium, znajdował się jeszcze jeden mieszek, nie pochodzący od człowieka.

– Jak to?

Patolog podał komendantowi slajd.

– Oto sto razy powiększony obraz kosmyka włosów. Widzisz ten wzór przypominający rozetę z płatków kwiatowych?

Ten włos pochodził od dużego cętkowanego zwierzęcia. Jaguara lub lamparta.

Profeta przyjrzał się zdjęciu.

– Na podstawie ran ciętych tułowia i obecności kryształków piasku we włosach można też stwierdzić przyczynę śmierci – oznajmił Stanoje Odalovic. Zastosował logikę patologa, która stała się jego drugą naturą. – Ta kobieta została zadržczona na śmierć w piasku.

– W Koloseum – rzekł Profeta, spoglądając przez okno.

– Jeszcze jedna rzecz, *comandante*. – Odalovic wstał, zbierając się do wyjścia.

– Tak, Stanoje?

– Po otrzymaniu pierwszych wyników pomyśleliśmy, że nasz sprzęt coś fałszuje, więc sprawdziliśmy je za pomocą urządzeń do datowania metodą radiowęglową w Katedrze Nauk o Ziemi w Sapienza.

– I co?

– Powiedzieli, że identyczną próbkę organiczną dostarczono im przed dwoma tygodniami. Pochodziła z lewej rzepki w kolanie.

Lewa rzepka. Wzrok Profety powędrował do zdjęcia. Lewa noga kobiety była uniesiona, z kolana usunięto rzepkę.

– Kto ją dostarczył?

Doktor Odalovic spojrział w notatki.

– Nazywa się Cianari. Profesor Gustavo Cianari...

– Specjalista w dziedzinie archeologii biblijnej z La Sapienza – dokończył Profeta. Milczał przez chwilę, obserwując, jak popołudniowe słońce dotyka krawędzią łuku kopuły Panteonu. Schylił się nad biurkiem i sięgnął po telefon. – Niech to szlag – mruknął. – Cóżes ty nabroił, profesorku?

### 39.

– Plan Jerozolimy z pierwszego wieku? – spytał z powątpiewaniem Jonathan. – Emili, taka mapa miałaby szansę przetrwać tylko pod warunkiem, że ukryto by ją razem ze zwojami znad Morza Martwego w suchym pustynnym powietrzu.

– Ona nie była zrobiona z pergaminu, tylko namalowana na ścianie.

– Malowidło ściennie? – nie dowierzał Chandler. – To by oznaczało, że była powszechnie dostępna.

– Nie w tym miejscu, gdzie się znajdowała. – Emili odwróciła się do Jonathana. – Wydaje mi się, że jest w Złotym Pałacu Nerona. To wyjaśniałoby, dlaczego jeńcy z Koloseum napisali w drugim wierszu inskrypcji: *domus aurea*.

– Jak więc mogła nie być dostępna? – nie dawał za wygraną Chandler. – Przecież widniała na ścianie pałacu cesarza.

– W miejscu, gdzie ten pałac stał – sprostowała Emili. – Kiedy jeńców z Jerozolimy wprowadzano do Rzymu, *Domus Aurea* nie był już wysadzonym klejnotami rajem Nerona. Tytus kazał go zburzyć i postawić w tym miejscu łaźnie publiczne.

– Ciekawa hipoteza, ale potrzebujemy więcej informacji historycznych... – odezwał się Jonathan.

– Mamy je – odparowała Emili. – Pierwsi badacze Złotego Domu w szesnastym wieku opisali starożytne malowidło przedstawiające nieznanne miasto z wieżyczkami na murach i rozległymi publicznymi dziedzińcami.

Emili pracowała intensywnie w 1999 roku przy konserwacji Złotego Domu, miała więc okazję poznać historię prowadzonych tam wykopaliisk.

– Mapy później nie odnaleziono, lecz na podstawie opisów archeolodzy wysnuli wniosek, że przedstawiała Rzym przed wielkim pożarem w sześćdziesiątym czwartym roku, który bardzo zmienił jego oblicze. Spłonęło wiele składów i domów, a na opustoszałym terenie wzniesiono Koloseum oraz łaźnie.

– Powiedziałaś, że w murach były wieżyczki – zauważył Jonathan. – Mury Rzymu nie miały wieżyczek, te pojawiły się dopiero w Murze Aureliana, zbudowanym w latach dwieście siedemdziesiąt-dwieście osiemdziesiąt naszej ery.

– I właśnie dlatego współcześni komentatorzy sugerują, że mapa odkryta w Złotym Domu przedstawiała inne miasto. Takie, które sposobilo się do odparcia potężnych sił Rzymu.

– Jerozolima – powiedział Chandler.

– Tak – potwierdziła Emili, która siedziała oparta o stół, z wyciągniętymi do przodu ramionami; jej dłonie spoczywały płasko na stole, a jasne włosy kołysały się tuż nad blatem. W jej oczach było tyle samo pasji, co niegdyś. – Jeńcy dopisali drugi wiersz inskrypcji w podziemiu Koloseum, bo chcieli nam powiedzieć, dokąd mamy iść dalej.

– W tych szafkach znajduje się dziewiętnastowieczny plan Złotego Domu! – zawołał Chandler. Podbiegłszy do ściany, jął wysuwać i wsuwać szuflady, jak gdyby plany mogły w każdej chwili wyparować. – Jest – oznajmił. Z szeroko otwartymi oczyma zbliżył się do stołu i rozłożył na nim pokaźny arkusz pergaminu.

– Chwileczkę – odezwał się Jonathan. – Nawet jeśli to malowidło tam jest, to zostało

utracone, sama tak powiedziałaś. *Domus Aurea* ciągnie się przez jakieś trzy kilometry.

Emili milczała, przyglądając się dziewiętnastowiecznemu planowi. Fundamenty starożytnych pawilonów Nerona, leżące głęboko pod powierzchnią wzgórza Palatyn, zostały nakreślone czerwonym kolorem. Ilekroć Emili objęła wzrokiem ogrom pałacu Nerona, rozumiała skargę starożytnego satyryka Marcjała: „Rzym stał się jednym domostwem!”.

– Jon? – odezwała się nieco nerwowym głosem. Poczwała, że jest o krok od odkrycia. – Co było narysowane po drugiej stronie inskrypcji w Koloseum?

– Sowy – odparł Jonathan. – Widniały po obu stronach drugiego wiersza inskrypcji, *domus aurea*.

– Spójrz tutaj – rzekła Emili, wskazując swoją stronę planu. – Zobacz, gdzie kończy się ten portyk. – Nachyliła się, żeby lepiej przeczytać drobny druk. – Krypta Sów. To prawie tak, jakby narysowali nam strzałki.

Chandler zniknął na chwilę z pola widzenia, po czym wrócił z dużym granatowym workiem. Jonathan od razu go rozpoznał.

– Do czego ta drabinka? – spytał podejrzliwie. W czasie studiów podyplomowych schodził po drabinkach sznurowych do studni i niezbadanych jaskiń.

– Sądziś, że piętnaście metrów wystarczy? Dłuższej tu nie ma, ale niektóre części Złotego Domu znajdują się dość głęboko. –

Chandler położył na stole trzy ciężkie, blisko trzydziestocentymetrowe latarki. – One też się przydadzą, bo tam na dole będzie ciemno.

– Tam na dole – powtórzył Jonathan, usiłując zachować panowanie nad sobą. – Chcesz zejść do Złotego Domu?

– Ceglane studnie w parku miejskim na Palatynie prowadzą wprost do korytarzy pałacu Nerona.

– W okresie renesansu badacze schodzili nimi do Złotego Domu – potwierdził Jonathan. – Istnieją tylko dlatego, że były wykorzystywane jako przewody wentylacyjne muzeum w pałacu.

– Otóż to – powiedział Chandler. – A muzeum jest zamknięte od ponad roku.

Rzymscy archeolodzy przez dwadzieścia lat pieczołowicie oczyścili dziesięć procent powierzchni fresków, by można tam było urządzić muzeum. Jednak wystarczyły cztery lata, by dwutlenek węgla wydychany przez turystów odbarwił starożytne malowidła. Pewnej nocy zawaliła się wewnętrzna ściana budowli, co świadczyło o tym, że stary ceglany mur zaczął kruszeć. W 2006 roku podwoje Złotego Domu ponownie zamknięto i kolejnemu pokoleniu turystów pozostało oglądanie fresków w albumach poświęconych historii sztuki.

– Plan Chandlera jest dobry – powiedziała Emili. – Korytarze muzeum prowadzą do tej części pałacu, którą Tytus zabudował łaźniami publicznymi. Jeśli pójdziemy tędy... – Emili przesunęła palcem po linii przedstawiającej starożytny portyk – ...to dotrzemy do Krypty Sów.

– My?! – zawołał Jonathan. – Ja nigdzie nie schodzę!

Emili wiedziała, że śmierć Gianpaola znów stanęła mu przed oczami.

– Nie musimy spuszczać się tam po linach – odparła. – Muzeum nie zostało zamknięte w całości. – Zerknęła na zegarek. – Przez kilka dni w tygodniu jest otwarte dla ograniczonej liczby zwiedzających. Przychodzą tam głównie dygnitarze i darczyńcy. Mogłabym sprawdzić, czy dziś po południu coś tam się dzieje. Mam znajomego w Ministerstwie Kultury...

– Emili, nawet gdybyśmy weszli przez muzeum, i tak trzeba byłoby ukradkiem pokonać setki



metrów, żeby dotrzeć do Krypty Sów. Nikt nie oglądał tych tuneli od dwustu lat.

– Co w takim razie powinnam według ciebie zrobić? – zapytała Emili, obchodząc stół. – Ci ludzie wymazują historię. Od lat niszczą podziemia Wzgórza Świątynnego, a teraz przybyli do Rzymu, żeby dokończyć dzieło. Jeśli teza twojej pracy doktorskiej jest słuszna, to Józef i niezliczeni niewolnicy oddali życie, by chronić miejsce spoczynku menory. Nie mogę pozwolić, żeby Waqf zniszczył także i ją.

– *Brava*, mnie przekonałaś – odezwał się Chandler, podając jej iPhone. – Sprawdź, czy jest dzisiaj jakaś wycieczka.

Powinienem zawiadomić policję, ale to mogłoby tylko narazić nas na większe niebezpieczeństwo, myślał Jonathan. Obydwa wybuchy, ten w magazynie i w Koloseum, nastąpiły tuż po wkroczeniu funkcjonariuszy. Już w czasie rozmowy w firmie Jonathan dostrzegł pewną prawidłowość. Ktoś dawał cynk przestępcom.

– Za pół godziny – oznajmiła z zadowoleniem Emili, odkładając aparat. – Jak stoimy z czasem?

– Co jest za pół godziny? – spytał Chandler.

– Wycieczka z przewodnikiem, jacyś darczyńcy z Londynu. A więc dopisało wam szczęście, przewodnik będzie mówił po angielsku.

– Za pół godziny rozpocznie się wycieczka z przewodnikiem? – zdziwił się Jonathan. – Zaplanowałaś to?

– *Audentes fortuna iuvat* – odpowiedziała Emili cytatem z Wergiliusza i wzruszyła ramionami. Odważnym szczęście sprzyja.

\* \* \*

Przed bramą akademii zawyły policyjne syreny.

– Choć nie zawsze. – Chandler wyjrzał przez okno. – Dzisiaj fortuna sprzyja policjantom.

– Musieli rozesłać zdjęcie – oznajmił Jonathan i odwrócił się do Emili. – Czy ktoś widział, jak tu wchodzisz?

– Na pewno zauważył ją policyjny ochroniarz przed ambasadą amerykańską po drugiej stronie ulicy. – Chandler zatrzasnął drewniane drzwi domu i zamknął je na zamek. – Policjanci w jeepie gwizdali i wrzeszczeli jak opętani, kiedy ich mijaliśmy. Zakładam, że to z jej powodu, a nie z mojego.

– Ambasada amerykańska jest przy Via Veneto – zauważył Jonathan.

– To jest ambasada we Włoszech, staruszku. Rzym to jedyne miasto na świecie, w którym znajdują się po dwa przedstawicielstwa dyplomatyczne każdego kraju. Jedno utrzymuje kontakty z Włochami, a drugie z Watykanem, który jest suwerennym państwem o obszarze czterdziestu trzech hektarów. Ambasada amerykańska stoi po drugiej stronie ulicy.

Metalowa brama akademii zatrzasnęła się i na teren uczelni wkroczył umundurowany funkcjonariusz. Jonathan stanął przy oknie obok Chandlera. Samotny radiowóz z błyskającym kogutem został za bramą. Policjant szybkim krokiem zmierzał po trawniku w stronę Casa Rustica. Kossi podążał za nim niechętnie, gestykulując.

Jonathan usłyszał głos policjanta, mówiącego po włosku:

– Jeśli nikogo tu nie ma, to skąd te świeże ślady?

Policjant zatrzymał się i gniewnie wskazał je ręką. Kossi umknął do willi niczym przywołane

do porządku dziecko. Policjant szedł dalej sam. Jonathan zobaczył twarz porucznika Rufia.

– To on – oznajmił.

– Kto?

– Policjant z Koloseum – odparł Jonathan. – Wie, że tu jesteśmy.

– Stąd nie ma wyjścia – oznajmiła Emili, spoglądając na okno. Ponad ogrodem górował starożytny mur, jego długi cień padał na równo przystrzyżony trawnik akademii.

– To nie do wiary – rzekł Jonathan. – Dwanaście godzin temu przybyłem tu jako adwokat, a teraz... Chandler, co ty wyprawiasz?

Chandler wszedł pod stół i stuknął ołówkiem w glinianą terakotę na posadzce domku.

– Masz rację, mury są za wysokie, żeby dało się przejść górą – powiedział, wyważając ośmiokątną płytkę. Wsunął pod nią palec i podniósł fragment podłogi o powierzchni około metra kwadratowego. Płytki były przyklejone do drewnianej kłapy spoczywającej na zawiasach. – Ale można dołem. Pomóż mi to dźwignąć.

Emili schyliła się i razem zaczęli podnosić klapę.

– To jest wejście do akweduktu Trajana.

Rzymscy cesarze zbudowali wielokilometrowe akwedukty pod wzgórzami; woda sama spływała do nich z odległych strumieni. Jonathan zapomniał, że budynek akademii został wzniesiony nad akweduktem Trajana, który powstał w 129 roku naszej ery.

– Dokąd prowadzi? – spytała Emili.

– Przed ponad stu pięćdziesięciu laty bojownicy Garibaldiego chronili się w akweduktach przed siłami papieskimi – wycedził Chandler, dźwigając drewnianą klapę. – Biegnie pod Murem Aureliusza.

Jonathan wspiął się na drabinę i przez półokrągły świetlik obserwował zbliżającego się Rufia. Policjant szedł powoli, sprawdzając, czy w domu nie ma bocznych drzwi. Z kabury wyjął pistolet.

– Dlaczego jest sam? – wyszeptała Emili.

– Nie chce mieć świadków – odparł Jonathan.

– Czemu nie idziesz?! – zawołała Emili.

– Musisz z nami pójść! – nalegał głośnym szeptem Chandler. – Józef Flawiusz zorganizował największy przekręt starożytności. Jedyny w swoim rodzaju.

Rufio stanął przed drzwiami i otarł czoło rękawem. Był mocno spocony.

– Halo! – ryknął, waląc pięścią w drzwi. – Wiem, że tam jesteś! Otwierać! To rozkaz policji!

Odpowiedziało mu tylko skrzypienie zardzewiałych okiennic szopy ogrodnika, poruszanych przez wiatr.

Rufio odszedł od drzwi i stanął przy oszronionym oknie. Zajrzał do środka.

– Nie wiesz, w co się wpakowałeś, tak?

Głos policjanta dobiegał teraz spoza tylnej ściany domku. Jonathan i jego towarzysze mieli nieprzyjemne wrażenie, że są otoczeni. Nagłe szarpnięcie za zamknięte na skobel drzwi przeraziło ich.

– Otwórz drzwi, zapewnię ci ochronę – powiedział Rufio, mierząc z pistoletu w drzwi chaty. Jonathan widział jego palec na spuście.

– Uciekajmy stąd, Jon! – ponagliła Emili.

Jonathan podszedł i pomógł Emili wsunąć się w ciemny otwór; później sam wszedł do środka,

a za nim Chandler. Rozległ się wystrzał i drzwi odskoczyły do środka. Jonathan opuścił klapę, przytwierdzone do niej płytki wróciły na swoje miejsce. Metalowe fragmenty zamka zadźwięczały na posadzce, Rufio wpadł do wnętrza chaty. Widząc, że nikogo nie ma, zaklął na cały głos po włosku i z wściekłości wypalił w półmrok.

Jonathan, Emili i Chandler, którzy stali pod posadzką, zastygli w bezruchu. Powiew wilgotnej bryzy niósł woń stojącej wody i pleśni.

Nagle usłyszeli sygnał telefonu i przerazili się, myśląc, że to aparat któregoś z nich.

Dzwoniła komórka Rufia. Policjant odebrał i wypowiedział tylko jedno zdanie:

– Przekażcie Saladynowi, że uciekli.

## 40.

Jonathan, Emili i Chandler słyszeli tupot butów porucznika Rufia, który zaglądał między regały i pod stoły. Chandler włączył latarkę, oświetlając rowki na ścianach, które w starożytności wskazywały poziom wody.

Stalowa rura kanalizacyjna, oblepiona rdzą, biegła przez pradawny tunel niczym wielka tyczka.

Dawni rzymscy inżynierowie zbudowali tunel ze spadkiem, tak by woda płynęła w stronę miasta. Uciekinierzy musieli balansować rękami, by utrzymać równowagę. Pokonawszy około trzydziestu metrów, zobaczyli światło sączące się przez otwór wyjściowy. Chandler wypchnął klapę do góry i jego głowa znalazła się nad powierzchnią ulicy za bramą akademii. Niczego niepodjeżdżający kierowca ciemnoniebieskiego smarta omal nie przejechał po jego ręce, lecz auto przemknęło, nie robiąc mu krzywdy. Popołudniowe światło było oślepiająco jasne.

Przed ambasadą przechadzało się dwóch policjantów głęboko pogrążonych w rozmowie. Stanęli niespełna sześć metrów od motocykla Emili.

– Wciąż masz to swoje ducati? – zapytał Jonathan, spoglądając na motor. Klasyczny motocykl Emili wyposażony był w ręcznie montowany silnik, wyróżniający się nawet wśród włoskich maszyn. Jonathan przypomniał sobie ryzykowne rajdy wijącymi się po rzymskich wzgórzach uliczkami z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. – I nadal żyjesz. Szczęście naprawdę sprzyja odważnym.

– Ja pójdę pierwszy i odwrócę ich uwagę, a wy wsiadajcie na motor – zaproponował Chandler.

– W jaki sposób dostaniesz się do Złotego Domu? – spytała Emili.

– Przy fontannie dell'Acqua Paola zawsze stoi jakaś taksówka. Krążą tam niczym sępy, polując na wyczerpanych turystów, którzy nie docenili wysokości wzgórza Janiculum. Może dopisze mi szczęście i nakłonię kierowcę, by włączył licznik.

Chandler wspiął się przez otwór i po kilku sekundach zmierzał w stronę policjantów, krzycząc w obcym języku i wymachując rękoma. Funkcjonariusze podeszli do niego.

– Zaraz wrócę – powiedziała Emili. – Nie ruszaj się stąd, przyjadę po ciebie motorem.

Przyjedziesz po mnie motorem?, pomyślał Jonathan. Wcale mi się to nie podoba. Zanim zdążył się odezwać, Emili wyskoczyła na ulicę i rażno pomaszerowała w stronę pojazdu. Po cichu przełożyła nogę przez siodełko, lecz kiedy uruchomiła silnik, jeden z policjantów coś do niej krzyknął. Emili ostro ruszyła w stronę Jonathana.

– Wskakuj! – rozkazała, przystając na chwilę.

Ledwie usiadł na siodełku, pomruk silnika zamienił się w ryk. Motorem zarzuciło przy krawężniku, omal nie zawadził tylnym kołem o uliczny kwietnik na Via Masina. Grupka okolicznych mieszkańców rozstąpiła się w cudowny sposób, gdy podwozie ducati ponownie zazgrzytało o krawężnik. Opona tylnego koła trąciła ruszt ulicznego sprzedawcy pieczonych kasztanów. Emili pochyliła się nad kierownicą jak dżokej, motor sunął zaś Viale Glorioso niczym samolot po niebie.

– Nie mogłabyś mieć skutera, tak jak wszyscy? – zapytał Jonathan, otaczając ramieniem talię Emili.

## 41.

Dotarcie z komendy policji pod bramę szesnastowiecznego pałacu La Sapienzy zajęło niespełna dwie minuty, lecz Profeta czuł się tak, jakby odbył podróż przez całe życie. Był w trakcie studiów podyplomowych z historii sztuki i architektury, gdy w przyciemnionej bibliotece nawiązali z nim kontakt przedstawiciele pierwszej wyspecjalizowanej jednostki policji. To wspomnienie stanowiło teraz część zamierzchłej uniwersyteckiej przeszłości, było jednym z wielu historycznych faktów, podobnie jak założenie uczelni przez papieża Bonifacego VIII. W 1303 roku podniósł on podatek winny, by sfinansować nowe kolegium, któremu nadał nazwę Sapienza, czyli „mądrość”. Bonifacy VIII za edukację płacił winem, lecz z punktu widzenia Profety i jego młodych kolegów, którzy wydawali połowę stypendium w okolicznych barach, edukacja pozwalała płacić za wino.

Profeta przeszedł przez główny dziedziniec pałacu, zmierzając do Sant'Ivo alla Sapienza; był to jeden z oryginalnych budynków uniwersytetu, pochodzący z połowy szesnastego wieku. Dziwaczna wieża w kształcie korkociągu, zaprojektowana przez Francesca Borrominiego, przypominała posępną basztę średniowiecznego zamczyska. W czasach Mussoliniego większość personelu uczelni została przeniesiona do przestronnego kampusu, składającego się z surowych betonowych gmachów w stylu neoklasycystycznym, który mieścił się nieopodal dworca Termini. Jednak Cianariemu ze względu na jego staż pozwolono zostać w historycznych pomieszczeniach przyległych do pałacu. Obecnie mieściło się tam archiwum państwowe.

Cianari, mruknął pod nosem Profeta, kręcąc głową. Był wykładowcą już w czasie, gdy Profeta odbywał studia podyplomowe. Sceptycznie nastawieni koledzy ustawicznie marginalizowali Cianariego, który zajmował się archeologią biblijną. Nie wierzyli w większość treści zawartych w Biblii, a co więcej, wątpili, czy z punktu widzenia archeologii można ją traktować jako pożyteczny tekst. Nawet studenci dyplomowi Cianariego żartowali z prowadzonych przez niego badań w Turcji na górze Ararat, na której rzekomo osiadła arka Noego. Jednak profesor zawsze miał ambicje dokonania epokowego odkrycia i właśnie to martwiło Profetę. Jeśli Cianari wreszcie znalazł kogoś, kto uwierzył lub – co gorsza – sfinansował jego eskapadę, mogła go ona zaprowadzić w dalekie strony.

Przed uchylonymi drzwiami gabinetu Cianariego stał funkcjonariusz.

– Nikt z kadry nie widział profesora od dwóch tygodni, *comandante*. Mówią, że podróżuje poza granicami kraju.

– Dziękuję wam, to wszystko – odparł Profeta, obawiając się najgorszego. Sam wszedł do

gabinetu, którego ściany aż po sufit wypełniały książki. Stała tam wysoka drabina na kółkach, a w powietrzu unosił się duszny zapach olejonej skóry. Profesorowie zajmowali ten gabinet nieprzerwanie od siedmiuset lat. W okolicy biurka panował totalny rozgardiasz. Gabinet nie został spustoszony, lecz jego stan wskazywał na to, że zajmujący go człowiek przeżywał głębokie rozterki. Na blacie leżały książki napisane w starożytnej grece i łacinie. Profeta okrążył je i przez chusteczkę podniósł manuskrypt, pod którym ukazała się lśniąca fotografia.

– Nie wierzę własnym oczom – rzekł, wpatrując się w czarno-białe zdjęcie.

– Co się stało, *comandante*? – Do gabinetu wkroczył właśnie porucznik Brandisi. Gdy podszedł bliżej, odpowiedź okazała się zbędna.

Powiększone zdjęcie przedstawiało zwłoki znalezione na opuszczonym nabrzeżu w Civitavecchia. Jednak tej fotografii nie zrobiono w starym magazynie, lecz w podziemnej, nisko sklepionej grocie pełnej ostrych kamiennych krawędzi. Odpiłowana górna część kolumny odsłaniała zwłoki kobiety od ramion w górę. Reszta zwężającej się kolumny pozostała w całości, tak jak ją znaleziono. Obok leżała piła łańcuchowa, której pobielale od pyłu zęby świadczyły, że została przed chwilą użyta.

– Tam ją znaleźli – oznajmił Profeta, spoglądając na widoczne w tle malowidła grobowca. – To wygląda na katakumby z pierwszego wieku.

– Kto zrobił te zdjęcia? – zapytał Brandisi.

– Zdaje się, że Cianari, choć chyba nie powinien – odparł komendant. – Czerwona poświata świadczy o tym, że nie chciał używać flesza.

Profeta wziął zdjęcie do ręki, zdjął okulary i umieścił je w niewielkiej odległości od fotografii, żeby powiększyć obraz. Skupił wzrok na ściennym malowidle. Nie widział rysunku, ale u dołu dostrzegł dwa słowa napisane czerwonym sprayem.

– Dla rabusia grobów ten fresk byłby bezcenny – zauważył Brandisi. – Skąd to graffiti?

– Myślę, że to robota Cianariego.

– Archeolog miałby niszczyć starożytny fresk niczym wandal?

– Tylko w ten sposób mógł wskazać, gdzie przeprowadzono nielegalne wykopaliska. Nie wiadomo, czego ci ludzie szukali, ale Cianari wiedział, że jest to bardzo ważne i że trzeba oznaczyć to miejsce.

Profeta zauważył pod biurkiem zmiętą płachtę papieru wielkości mapy. Rozprostował ją i rozłożył na innych papierach. Było to satelitarne zdjęcie centrum Rzymu. Ktoś zaznaczył niebieskim pisakiem dwa miejsca.

– Są tu jakieś oznaczenia – powiedział Profeta, wskazując krąg otaczający ruiny naprzeciwko Koloseum. – Rozpoznajecie to miejsce, poruczniku? – Brandisi usłyszał nagłący ton w jego głosie.

– Koszary gladiatorów – odparł Brandisi.

– Słusznie. Właśnie tam trzy godziny temu doszło do eksplozji.

Palec wskazujący Profety przesunął się nad centrum miasta i zatrzymał na drugim kręgu, który otaczał bazylikę na wzgórzu Eskwilin, pół kilometra od Koloseum. Obok ktoś nabazgrał pośpiesznie: *SPIV*.

– Te litery wyglądają jak inicjały – zauważył Brandisi.

– To nie są inicjały, poruczniku. Położenie wskazuje, że litery odnoszą się do najstarszego

rzymskiego kościoła z relikwiami, San Pietro in Vincoli. Świętego Piotra w Okowach. Poruczniku, to wygląda na robotę tych samych ludzi, którzy wysadzili korytarze pod Koloseum. Każcie wyprowadzić turystów z tego kościoła.

## 42.

Dolna część ulicy od strony wzgórza Janiculum była zatarasowana. Emili zmniejszyła obroty silnika i zaczęła zjeżdżać po kamiennych stopniach; zawieszenie motocykla amortyzowało każdy stopień

schodów wykutych w starożytności w zboczu wzgórza. Motor stoczył się jak ze skały i wyjechał na Via Goffredo Mameli. Emili włączyła zapłon, dodała gazu i ruszyła wzdłuż torów tramwajowych mostem Ponte Garibaldi, spinającym brzegi Tybru.

W przeciwnym kierunku, w stronę akademii mknął policyjny radiowóz. Emili skręciła ostro w Via Arenula; zmierzała bocznymi uliczkami za Piazza Venezia. To było jak odwrócona wersja *Rzymskich wakacji*: Audrey Hepburn siedzi za kierownicą motocykla i dodaje gazu, a Gregory Peck trzyma się jej kurczowo w pasie, drżąc o życie.

Przemknęła slalomem między samochodami na Via Cavour i znaleźli się na ocienionej stronie Oppian Hill. Tam Emili zwolniła i motor leniwie wtoczył się do zarośniętego parku miejskiego, z którego roztaczał się panoramiczny widok. Rzym wyglądał jak morze białych i czerwonych świateł samochodów i motocykli. Radiowozy wciąż stały wzdłuż arkad Koloseum niczym klucz gęsi. Autokary turystyczne zakorkowały Via dei Fori Imperiali wskutek zamknięcia placu przed Koloseum po wybuchu w podziemiach przed kilkoma godzinami.

Jonathan spojrział na zegarek. Dochodziła szesnasta piętnaście. Emili zgrabnie zsiadła z ducati i wsunęła kask pod siedzenie motocykla. Nie mógł uwierzyć, że rano w sądzie zobaczył ją po raz pierwszy od siedmiu lat. Jak to powiedział Tatton? „Na Rzym jedno życie to zbyt mało”. Najwyraźniej miał rację.

– Tu zostawię motor – oznajmiła Emili. Podprowadziła go do ceglanych ruin obrośniętych niemal metrową warstwą bluszczu i ukryła.

Park usiany był niskimi ceglanyymi wypustkami, wyglądającymi jak kominy. Były to otwory wentylacyjne starożytnych korytarzy Złotego Domu, który rozciągał się niemal na pół kilometra pod zaśmieconym parkiem. Jonathanowi utkwilo w pamięci poetyckie zdanie Pliniusza, opisujące *Domus Aurea*: „Nawet gdy drzwi są zamknięte, klejnoty rozjaśniają wnętrze niczym światło dnia”. Muzeum otwarto dla publiczności, gdy zaledwie jedna dziesiąta spośród stu pięćdziesięciu komnat została odkopana.

Jonathan i Emili przeszli przez park i znaleźli się przed bramą ze szklaną budką, w której sprzedawano bilety do Złotego Domu; wisiała na niej tabliczka z napisem „Tylko dla zorganizowanych wycieczek z przewodnikiem”. Obok kasy zgromadziło się siedem par Brytyjczyków okutanych w futra i kaszmirowe szale. Jedna z pań, mówiąc z wyrafinowanym akcentem, wyraziła zdziwienie, że wejście do tego „pałacu” stanowi zwykła stalowa brama, wiodąca do podziemi.

– Gdzie jest Chandler? – spytała Emili.

– Może nie przyjdzie... – zaczął Jonathan. – Chwileczkę, spójrz tam.

Chandler Manning pędził pod górę z pokaźną teczką pod pachą.

– Przyniosłem coś takiego... – wy dyszał, podając towarzyszącej dziewiętnastowieczny szkic kartograficzny Złotego Domu. – Kiedy oddzielicie się od wycieczki, będziecie tego potrzebowali, by znaleźć plan Jerozolimy.

Jonathan rozwinął pergamin.

– Trasa wycieczki wiedzie przez ośmiokątną jadalnię Nerona, połączoną korytarzem prowadzącym do Krypty Sów.

– Ale jak oddzielimy się od wycieczki? – zapytała Emili, wskazując ochroniarza stojącego za grupą. W muzealnych korytarzach Złotego Domu panował półmrok, wiele z nich urywało się nagle i prowadziło do wyschniętych wodospadów, fałszywych grot z urwiskami oraz innych niebezpiecznych miejsc. Dlatego każdej wycieczce po *Domus Aurea* towarzyszył ochroniarz, który szedł z tyłu i pilnował, by od grupy ani na chwilę nikt się nie oddzielał.

– Nie ma obawy – odparł Chandler, puszczać do niej oko. – W odpowiednim momencie zwrócę na siebie uwagę. Niech tylko obecny tu Aureliusz powie mi, kiedy chcecie zniknąć.

– To będzie mniej więcej w tym miejscu – odparł Jonathan, wskazując plan. – Gdy grupa znajdzie się w ośmiokątnej komnacie, goście ustawią się w kole. Wtedy odwrócisz uwagę ochroniarza, Chandler.

– Witamy państwa w *Domus Aurea*, złotej fantazji Nerona! – zaczęła przewodniczka. Była to ładna Włoszka, doktorantka mówiąca śpiewnym tonem przedszkolanki. Zrobiła krok do tyłu. – *Roma domus fiet*, czyli „Rzym jest jednym wielkim domostwem”, jak powiedział starożytny historyk, opisując wspaniałe korytarze, które będziemy wspólnie oglądać!

Wycieczka ruszyła w głąb łukowato sklepionego tunelu. Przewodniczka wskazała okrągłe otwory, umieszczone wysoko w starożytnym sklepieniu.

– Właśnie tamtędy renesansowi artyści opuścili się na linach do wnętrza tych ruin. Wielu słynnych rzymskich szesnastowiecznych malarzy wypisywało tu swoje imiona czarnym popiołem ze świecy, by nie zgubić się w drodze powrotnej!

Turyści wydawali odgłosy zdumienia na widok nazwisk widniejących na suficie; byli wśród nich Caravaggio i Rafael.

Emili widziała wykopaliska w Złotym Domu podczas studiów doktoranckich, zanim ruiny zostały otwarte dla publiczności. Pamiętała, w którym miejscu stało rusztowanie, a w którym ustawiono prowizoryczne stoły z planami rozległych ruin. Teraz wszystko wyglądało schludnie. Na tablicach z piaskowanego szkła przedstawiono trójwymiarowe ilustracje budowy Złotego Pałacu Nerona. Jonathan włókł się z tyłu, studiując plan, a wprawne oko Emili dostrzegało coraz to nowe subtelne szczegóły starożytnego korytarza, które dziwnym trafem zdołały się zachować: kawałek krystalicznego marmuru, lśniący w ceglany murze, ścienny kafel z ilustracją przedstawiającą Achillesa na polu bitwy.

– Tak oto dotarliśmy do wielkiej ośmiokątnej komnaty – oznajmiła przewodniczka, podnosząc nieco głos. – Łukowaty kształt sklepienia świadczy o tym, że sufit prawdopodobnie był wykonany z kości słoniowej. Sypały się z niego kwiaty na gości i spadały krople perfum. Jonathan skinął na Chandlera.

– Ale równie dobrze mogła to być tak zwana *orgiastica*, czyli sala służąca do królewskich kąpiei i uprawiania długotrwałych praktyk seksualnych.

– Słucham? – zapytała przewodniczka.

– Nie owijajmy w bawełnę, dinner party u Nerona nie przypominało filmu dla dzieci, prawda? Do licha ciężkiego, przecież jesteście dorośli! – Chandler wyszedł na środek kręgu. – Na obrotowe tapeczany padał z sufitu deszcz różanych płatków! Idę o zakład, że nie chodziło wyłącznie o zachętę do kulturalnej konwersacji. – Chandler wskazał malowidło ścienne, na którym widniał nagi mężczyzna w otoczeniu trzech kobiet. – Ten obrazek przedstawia mitycznego boga Priapa. No, wiedzą państwo, po czterech godzinach wezwij lekarza. Dolegliwość tę nazwano priapizmem nie bez powodu! – Przewodniczka z przerażeniem patrzyła, jak głowy turystów odwracają się w stronę Chandlera, który momentalnie przykuł uwagę wszystkich, z wrodzoną swadą roztaczając przed zaskoczonymi turystami nieuladzoną wizję nocnego życia Nerona.

– Tędy – szepnął Jonathan, prowadząc Emili po obwodzie grupy. Przynurzył się do lukowatego korytarza prowadzącego w ciemność i oboje jednocześnie wykonali krok do tyłu. Natychmiast otoczył ich półmrok. Oczekali chwilę, by upewnić się, że ich zniknięcie nie zostało zauważone.

Znajdowali się zbyt blisko grupy, aby zapalić latarki, szli więc tuż obok siebie. Jonathan czuł ciepło ciała Emili, ich dłonie ocierały się o siebie. Miękkość jej skóry przypominała mu, że dotykają się po raz pierwszy od jego powrotu do Rzymu. Z góry przez kratkę wpadało do środka odrobinę światła i Jonathan spostrzegł, że Emili nie patrzy na ściany, ale na niego. Tak jakby on także był jednym z fresków Złotego Domu, ukrytym przez lata pod warstwą brudu i nagle odsłoniętym. Uśmiechnęła się i wsunęła dłoń w jego rękę.

– Mamy długą drogę do pokonania – rzekła, delikatnie ściskając jego palce. – Chodźmy.

### 43.

Przez okna radiowozu, który wspinał się na Eskwilin, Profeta widział bryłę Koloseum, wznoszącą się u stóp zachodniego zbocza wzgórza.

– Ładny widoczek – rzucił Brandisi z tylnego siedzenia samochodu.

– Neron wziął go pod uwagę, budując swój pałac na wzgórzu – odparł komendant.

Radiowozy zwolniły, zbliżając się do końca Via Eudossiana i mijając piętnastowieczny klasztor przylegający do bazyliki Świętego Piotra w Okowach. Wzniesiony dla mnichów budynek mieścił obecnie wydział inżynierii Uniwersytetu La Sapienza. Na transparencie zawieszonym pomiędzy dwiema szesnastowiecznymi kolumnami widniał napis witający profesorów nauk inżynierskich na dorocznej konferencji poświęconej robotyce. Studenci siedzieli na schodach przed wejściem na dziedziniec starego klasztoru, paląc papierosy i rozkoszując się krótką przerwą w opadach deszczu.

Samochody policyjne zatrzymały się przed dwukondygnacyjną fasadą San Pietro in Vincoli. Kościół roztaczał zwodniczą aurę przeciętności, która wyróżniała go w takim miejscu jak Rzym. Stał od północnej strony niepozornego placu, przechodzącego w parking. Profeta wiedział jednak, że za prostą bramą z kutego żelaza i jońskimi kolumnami kryją się jedne z największych skarbów chrześcijaństwa. Pod głównym ołtarzem, w relikwiarzu ze złota i górskiego kryształu, spoczywały kajdany, którymi jak podają Dzieje Apostolskie, skuto świętego Piotra w Jerozolimie.

– Ewakuacja kościoła prawie dobiegła końca – oznajmił Rufio, wychodząc naprzeciw



Profety i Brandisiego, którzy wysiedli z radiowozu. – Byłem na Janiculum, gdy Brandisi przekazał mi informację, że trzeba ewakuować kościół. Dostaliśmy także fałszywy sygnał, że widziano doktor Travię.

Z kościoła wylewał się strumień turystów przypominających uciekinierów. Policjant spierał się ze sprzedawcą *gelato*, by ten usunął swojego vana. Głośne perorowanie sprzedawcy niesło się przez cały plac; mężczyzna raz po raz stukał palcem w wiszące na jego szyi pozwolenie, jakby był to order wojenny.

Gdy Profeta wszedł do kościoła, wewnątrz było już całkowicie puste. Nieliczne okna wpuszczały do środka niewiele światła, półmrok panował tam nawet latem. Dwadzieścia cztery kolumny zbiegały się w jednym punkcie, w którym pod ołtarzem leżało mosiężne *confessionale* z kajdanami świętego Piotra. Wprawne oko komendanta zauważyło, że marmurowe siedzisko na ołtarzu pochodzi ze starorzymskiego sedesu; nic jednak nie powiedział, gdyż obecnie służyło jako papieski tron, umiejscowiony nad okowami świętego Piotra.

Profeta stanął pośrodku nawy.

– *Comandante* – odezwał się jakiś ksiądz. – Ojciec Zicino czeka na pana.

Małymi czarnymi drzwiami Profeta wszedł do oświetlonej kinkietem zakrystii, w której wisiały szaty księży i ministrantów. Dalej znajdował się ciemny korytarzyk z portretami tutejszych księży z epoki renesansu, wśród nich podobizna Francesca della Rovere, który później został papieżem. Komendant otworzył drewniane drzwi i zobaczył kapłana w średnim wieku o zaskakująco atletycznej sylwetce. Ojciec Zicino zbliżał się do pięćdziesiątki i od awansu w kurii dzieliło go jeszcze wiele lat. Ksiądz siedział przy biurku, za nim na ścianie wisiał krzyż. Miał gładko ogoloną twarz i dobrze wypielęgnowane czarne włosy z siwiejącą grzywką. Widać było, że jest wysoki. Parafia Świętego Piotra w Okowach pełniła ważną funkcję, a nienaganny porządek panujący w gabinecie świadczył o tym, że ojciec Zicino jest sprawnym zarządcą. Gestem wskazał gościowi krzesło. Sprawiał wrażenie spokojnego, jakby w jego kościele ewakuacje były na porządku dziennym.

– W czym mogę panu pomóc, *comandante*?

– Proszę wybaczyć tę nagłą interwencję, ojcze. Mamy powody sądzić, że relikwiom może grozić niebezpieczeństwo.

– *Comandante*, ten kościół od ponad tysiąca lat jest miejscem przechowywania nielicznych już najcenniejszych kościelnych pamiątek. Okowy świętego Piotra spoczywają tu bezpiecznie od początku piątego wieku, kiedy złożyła je tutaj cesarzowa Eudoksja po podróży do Jerozolimy. Chroni je szklana płyta grubości piętnastu centymetrów.

– Czy w kościele odbywały się ostatnio jakieś prace budowlane lub renowacyjne?

– Dwa lata temu przeprowadziliśmy renowację *Mojżesza*.

Profeta wiedział o pracach nad największą atrakcją kościoła, którą stanowił *Mojżesz* Michała Anioła. Znajdujący się w południowym transepcie posąg był częścią niedokończonego grobowca Juliusza II.

Włoska firma Lottomatica sfinansowała oczyszczenie rzeźby. Jeszcze jedno dzieło korporacyjne. Profeta nie miał pewności, jak zareagowałby renesansowy mistrz na wieść, że restauracja jego posągu posłużyła do poprawienia wizerunku największego na świecie

producenta wyposażenia kasyn.

– Prowadzono jakieś prace pod kościołem?

– Nie w samym kościele. – Ksiądz zamilkł na chwilę. – Uniwersytecki wydział inżynierii przeprowadził dużą renowację w zachodnim skrzydle gmachu. Drgania bywały tak silne, że miało się wrażenie, jakby prace odbywały się pod kościołem.

Profeta przestał notować i skinął na Brandisiego, który natychmiast zniknął za drzwiami. Komendant znów spojrzął na księdza.

– Mogę zerknąć jeszcze raz na sanktuarium, ojcze?

Po chwili znaleźli się w nawie. Snopy światła z latarek policjantów krzyżowały się w półmroku. Funkcjonariusze poszukiwali we wnętrzu kościoła porzuconych plecaków i innych potencjalnie groźnych przedmiotów.

Ojciec Zicino wskazał transept, w którym znajdował się zatopiony w półmroku *Mojżesz* Michała Anioła. W ciągu dnia turyści ustawiali się w kolejce przed małą puszką na monety. Po wrzuceniu jednego euro na pół minuty zapalał się reflektor umocowany nad arcydziełem. Jednak teraz kościół był pusty, a umieszczona w ciemnym transepcie rzeźba wyglądała na zapomnianą.

– Jest trochę za duży, żeby go ukraść, nie sądzi pan? – rzucił z uśmiechem ksiądz Zicino.

Profeta odwrócił się i spojrzął na środek kościoła.

– Co znajduje się pod ołtarzem?

– Wojownicy, *comandante*.

– Wojownicy? – powtórzył Profeta, rozglądając się. – Zdawało mi się, że tutaj są tylko grobowce proboszczów tego kościoła.

– Nie, panie komendancie, miejsce pod ołtarzem stanowi wyjątek. Są tam grobowce Machabeuszów – odparł ksiądz.

Profeta się zatrzymał.

– Machabeuszów?

– Tak. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym roku w czasie prac renowacyjnych odkryto pod ołtarzem ruiny. Z inskrypcji dowiedziano się, że w szóstym wieku papież Pelagiusz przywiózł tutaj siedmiu Machabitów, którzy mieli być powtórnie pochowani. Nie wiadomo dokładnie, skąd wzięły się owe grobowce, lecz stanowią odpowiednie sąsiedztwo dla grobowca Juliusza Drugiego, którego zwano...

– Papieżem wojownikiem – dokończył Profeta. Juliusz II zabiegał o poparcie dla czwartej krucjaty, w czasie której miano poszukiwać relikwii w Jerozolimie.

– Tak, *comandante* – potwierdził z uśmiechem ksiądz. – Juliusz Drugi zasłynął ze swej odwagi, choć niektórzy powiedzieliby raczej, że była to porywczość. Żywił ogromny podziw dla Machabeuszów za to, jak bronili Jerozolimy.

– Józef Flawiusz – rzekł po chwili milczenia Profeta.

– Słucham?

– Historyk z pierwszego wieku naszej ery. Pochodził z rodu Machabeuszów...

Nadbiegł młody stopniem funkcjonariusz; jego kroki zadudniły w nawie. Szepnął coś Profecie na ucho.

– Obawiam się, że moi ludzie będą musieli zejść pod ołtarz, ojcze – oznajmił komendant, odwracając się do księdza.

– Nie mogę tak po prostu otworzyć...

- Ojcie, kościołowi grozi niebezpieczeństwo. Wibracje, które ksiądz słyszał, nie pochodziły z sąsiedniego gmachu.
- Ależ dostaliśmy zawiadomienie – odparł ojciec Zicino, odsłaniając duszę administratora. – Profesor archeologii z La Sapienzy nadzorował prace, żeby nie doszło do zniszczeń...
- Wibracje, które ojciec słyszał, pochodziły spod fundamentów kościoła.
- Skąd pan ma tę pewność?
- Moi funkcjonariusze to sprawdzili, ojcie. W sąsiedztwie nie prowadzono żadnych prac restauratorskich.

\* \* \*

Ksiądz sprowadził Profetę do klatki schodowej pod ołtarzem. Zdjął z sutanny ozdobne skórzane pudełko i umieścił je na stoliku, na którym płonęły świece wotywnie. Następnie wyjął z pudełka klucz wyglądający jak baśniowy rekwizyt. Klucz zazgrzytał w niewielkim zamku, boleć zaskrzypiał, lecz nie doszedł do końca. Ktoś z obsługi kościoła połał zamek smarem, a następnie naparł na metalową dźwignię i otworzył.

Profeta wsunął głowę do kwadratowego otworu pod marmurowym ołtarzem.

– Ale ogrom – powiedział.

Jego głos zadudnił echem. Rufio przykleknął obok i zaświecił latarką w ciemność. Wydawało się, że wąskie schody biegną w nieskończoność.

– To wejście do katakumb – rzekł Profeta, ruszając w dół z dłonią opartą o ścianę.

W blasku latarki tańczyły drobinki kurzu. Ukazała się podziemna komora głębokości co najmniej sześciu metrów z ozdobnymi kamiennymi kolumnami wykutymi w ścianach. Spoczywało w niej siedem sarkofagów ozdobionych płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny bitewne.

– Szczątki braci Machabeuszów – oznajmił Profeta.

Pod przeciwległą ścianą komory zauważył zwał świeżego gruzu. W skale wybito nieregularny otwór. Komendant wśliznął się przez niego i zaświecił latarką.

– To jakiś ogromny tunel – powiedział Rufio. – W sam raz jak na...

– Cesarski pałac – dokończył Profeta. – Te tunele istniały długo przed tym, jak na powierzchni wybudowano kościół. Stoimy w pałacu Nerona, w Złotym Domu.

## 44.

Jonathan osłaniał latarkę zwiniętą dłonią, żeby ktoś z wycieczki nie zauważył w korytarzu poświaty.

Stromizna tunelu była teraz większa; Emili mocniej opierała się dłońmi o ścianę.

– Idź ostrożnie, skała jest śliska – ostrzegł Jonathan.

Szary kostium Emili stanowił bardzo nieodpowiedni strój do chodzenia po jaskiniach, lecz mimo to cieszyła się, bo był wełniany. W korytarzach Złotego Domu panowała temperatura o dziesięć stopni niższa niż na powierzchni.

– Ten podziemny zbiornik musi mieć osiemnaście metrów wysokości – oceniła Emili, gdy znaleźli się w następnym pomieszczeniu.

– To nie zbiornik – odparł Jonathan. – Spójrz.

Skierował latarkę na ścianę, na której ukazał się starożytny fresk w jaskrawych czerwieniach i błękitach. Przedstawiał scenę rustykalną z namalowanymi niesłychanie szczegółowo drzewami i ptakami. Obraz był godny willi cesarza.

Nagle z góry dobiegł łoskot, stopniowo przybierający na sile.

– Co to jest?! – krzyknęła Emili. Jonathan poczekał, aż hałas ucichnie.

– Zdaje się, że jesteście pod stacją metra. To był pociąg.

Skierował palec na sufit, a potem wskazał plan pałacu Nerona, który przyniósł Chandler.

– Ten murowany architrav stanowi część podwójnego łuku portyku pałacu.

Idąc korytarzem wzdłuż łuku z kości słoniowej, dotarli do wielkiej sali gościnnej. Przejechał następny pociąg, ze sklepienia sypnęło pyłem. Odgłosy współczesnego życia podnosiły Jonathana na duchu. Nawet nie przyszłoby mi do głowy, że znów będę to robił, pomyślał.

Emili starła grubą warstwę porostów ze ściany, okrywającą wspaniałą pejzaż w stylu pompejańskim. Jonathan poczuł, że posadzka lekko się porusza, i skierował latarkę w dół. Roilo się tam od różowo-białych robaków, które oblepiły jego buty. Jeden z nich zniknął w środku.

– Za tą częścią wspomnień z czasów studenckich nigdy nie tęskniłem.

Jonathan i Emili wchodzili coraz głębiej do pałacu. Łoskot przejeżdżających pociągów zamienił się w łagodny odległy grzmot. Kwaśny podziemny podmuch drażnił nozdrza, więc oddychali ustami. Otaczające ich powietrze miało tysiąc pięćset lat. Wkroczyli do półokrągłej komnaty, z której rozchodziło się promieniście siedem tuneli.

– Skąd będziemy wiedzieli, który korytarz prowadzi do planu Jerozolimy?

– Spójrz na te freski – odparł Jonathan, kierując snop światła na szereg malowideł zdobiących ścianę jednego z korytarzy. – Wyglądają, jakby zostały niedawno odkryte.

Farby na pierwszym obrazie wyblakły, lecz postacie były całkiem wyraźne. Młody mężczyzna skuty łańcuchem za szyję wraz z innymi jeńcami włókł za sobą ciężki gład.

– Nie poznaję tego mitu – powiedziała Emili. – Czy to Tantal pchający kamień?

– Spójrz na następne malowidło – odparł Jonathan.

Ten sam młody jeńiec nadal miał łańcuch na szyi, lecz teraz stał przed królem, który słuchał go z wielką uwagą. Więzień wskazywał do góry, a tam, wśród gwiazd na nocnym niebie, widniały dwa szeregi krów.

– Ostatnie malowidło ukazuje niewolnika wyprowadzonego z więzienia i postawionego przed królem wyglądającym jak egipski faraon – zauważyła Emili.

– A on odczytuje sen faraona, wskazując chude i tłuste krowy.

– Który to więc rzymski mit?

– To nie jest rzymski mit, lecz opowieść biblijna.

– Rzymianie byli poganami.

– Ale nie byli nimi jeńcy jerozolimscy – odparł Jonathan. – Młody mężczyzna na fresku to niewolnik, odczytujący sen egipskiego faraona. Jakież skojarzenia?

– Biblijna przypowieść o Józefie – wyszeptała Emili.

– Otóż to. Spójrz na krowy. Faraonowi przyśniło się siedem tłustych krów i siedem chudych. Była to zapowiedź wielkiego głodu w jego kraju.

– To musi być ten korytarz. – Emili przyspieszyła kroku i skierowała światło na posadzkę. – Spójrz na te narzędzia.

Były stare i zardzewiałe. Nagle snop światła z latarki padł na rowki tworzące włoską

inskrypcję na skalnej ścianie.

– „Na cześć papieża Piusa Siódmego. Giuseppe Valadier. Tysiąc osiemset jednaście” – przetłumaczył Jonathan, stając za towarzyszką.

– Pius Siódmy zwany jest pierwszym konserwatorem zabytków wśród papieży – oznajmiła Emili. – To z pewnością on kazał swojemu architektowi Giuseppe Valadierowi wejść ze współpracownikami do tego korytarza.

Tunel wiódł do niewielkiego łuku. Jonathan skierował światło do góry i nad łukiem ukazał się duży rzeźbiony wizerunek siedzącej sowy. Oczy sowy przypominały wielkie, lśniące niczym drogocenne kamienie koła, które śledziły przechodzących dołem ludzi.

– Krypta Sów – ucieszyła się Emili. – Plan musi być niedaleko.

Wkroczyli do przestronnego okrągłego pomieszczenia. W wysoko sklepionym suficie tkwił stalowy perforowany wąż, przez który sączyły się wąskie strumienie światła. Ku zaskoczeniu Jonathana i Emili padały na duże aluminiowe rusztowanie stojące obok skalnej ściany. Wśród zardzewiałych dziewiętnastowiecznych narzędzi wykopaliskowych konstrukcja z lśniącego metalu wyglądała jak rekwizyt sceniczny umieszczony w niewłaściwej sztuce.

– Nieco zbyt nowoczesny sprzęt jak na dziewiętnasty wiek – zauważył Jonathan.

– To rusztowanie zostało tu ustawione całkiem niedawno. Na rurach prawie nie ma skroplonej pary – odparła Emili. Podeszła do rusztowania. – Ale tu nie widać fresków. Po co stawiać rusztowanie, jeśli nie ma czego restaurować?

Jonathan sprawdził ręką wytrzymałość rusztowania, a potem wspiał się na pierwszy stopień.

– Co robisz, Jon?

– To jest tutaj. Ogromne!

Emili się rozejrzała.

– Na ścianach nic nie ma.

– Rusztowanie postawiono nie po to, by patrzeć na ściany. Chodzi o posadzkę.

Emili spojrzała pod nogi i pod zieloną powłoką glonów zobaczyła blade kolory. Weszła na rusztowanie obok Jonathana i objęła wzrokiem podłogowe malowidło.

– Plan Jerozolimy, wielki jak cała sala!

Starożytny fresk przedstawiał Jerozolimę pod jasnoblękitnym niebem, wciąż widocznym, mimo że pokryta glonami farba mocno się zniszczyła. Wysokie mury otaczały rozległe publiczne dziedzińce, a pośrodku malowidła znajdowała się duża biała budowla otoczona kolumnadą.

– To wygląda tak... spokojnie – powiedziała Emili, zaskoczona sielankowym pejzażem Jerozolimy w pierwszym wieku naszej ery.

Na europejskich obrazach powtarzał się widok rzymskich żołnierzy palących Jerozolimę. Najbardziej utkwił jej w pamięci usłany trupami siedemnastowieczny obraz Poussina *Zniszczenie Świątyni w Jerozolimie za Tytusa*. Nigdy jednak nie widziała Świątyni przed napaścią Rzymian.

– Cylindryczne kolumnady to kapłańskie dziedzińce Wzgórza Świątynnego. – Jonathan wskazał środek fresku. – Ten duży biały budynek to musi być Świąte Świątych. – Opis białego sanktuarium pióra Józefa Flawiusza okazał się zaskakująco dokładny. Jak ośnieżona góra błyszcząca w słońcu.

– Jeńcy z Jerozolimy musieli zakradać się tu miesiącami, aby wykonać to malowidło – powiedziała Emili.

– Chyba wiem, po co to robili. – Jonathan zszedł z rusztowania i pokonał szerokość fresku.

Przyklęknął i starł glony z wizerunku wewnętrznego dziedzińca Wzgórza Świątynnego, żeby móc lepiej się mu przyjrzeć. – Pod ukrytą bramą najwyższy kapłan wymknął się z płomieniem – oznajmił. – Ta część malowidła musi pokazywać trasę ucieczki Józefa.

– Ale tam nic nie jest namalowane.

Jonathan przekręcił pierścień latarki, zwięzając strumień światła, które padało teraz na fresk małym jasnym kręgiem. *Tropaeum Illumina*, tak brzmiała instrukcja na fragmencie *Forma Urbis*. Oświetl monument.

Pod cienką warstwą barwionego cementu ze zdziwieniem ujrzał wąziutki szereg czerwonych kamieni, roztaczających ognistą pomarańczowoczerwoną poświatę, gdy przesuwiał się po nich blask elektrycznej latarki.

Szlaczek z klejnotów pod malowidłem.

– Emili, chodź tutaj ! – zawołał Jonathan. – To wygląda jak...

– Rubiny? – spytała Emili, stając tuż obok.

– Albo pirop, czerwony minerał, którego nazwa pochodzi od greckiego słowa *pyropus*, oznaczającego „ogniste oczy”. – Jonathan przechylił głowę; warstwa kamieni znajdowała się zaledwie milimetry pod farbą. – Całkowicie zakryte, ale widoczne pod światłem, tak samo jak inskrypcja na spodniej stronie fragmentu *Forma Urbis* – rzekł z podziwem.

– Niewolnicy musieli zebrać te kamienie z inkrustowanych klejnotami ścian pałacu Nerona i umieścić je pod tą warstwą cementu, by ukazać drogę ucieczki Józefa z menorą. – Emili przesuwiała strumień światła latarki aż do miejsca, w którym cement wybrzuszył się pod wpływem działania wody. – Tam były kolejne kamienie, a teraz znikły. – Spojrzała na Jonathana. – *Quae amissa salva*. To, co zagubione, jest bezpieczne.

Jonathan siedział w kucki w miejscu, w którym kamienna ścieżka się urwała, i próbował odczytać uszkodzoną łacińską inskrypcję.

– Tutaj było jeszcze jedno słowo zapisane na cemencie.

– Słyszałeś to? – spytała nagle Emili, unosząc dłoń.

Z ciemności dochodził wyraźny odgłos biegnących stóp.

Zanim zdążyli zareagować, silny blask latarki zbudowanej na diodach LED ukazał się w łuku korytarza, a potem przesunął się w jedną i drugą stronę, jakby w poszukiwaniu zbiegów.

– *Carabinieri!* – ryknął Profeta. – Nie ruszać się!

Jonathan zastygł w niebiesko-białej poświacie. Emili chwyciła go za ramię i wciągnęła do wnęki.

– Tam! – powiedziała, wskazując skalny występ trzy metry nad ziemią. Skarpa była stroma, lecz możliwa do pokonania.

Zaczęli się wdrapywać, jednak z każdą sekundą policjantów słyszeć było coraz bliżej. W momencie, gdy za załomem ukazał się blask latarek i oświetlił wnękę, Jonathan i Emili leżeli jedno na drugim na wąskiej skalnej półce trzy metry powyżej poziomu, na którym gorączkowo skakały snopy ostrego światła.

Przesunęły się ponad nimi i znów zapanowała ciemność. Jonathan i Emili przylegali do siebie tak ściśle, że ich usta prawie się dotykały. Jonathan wyczuł kuszący zapach szyi Emili i pomyślał, że chętnie pozostałby w takiej pułapce nieco dłużej.

– Musi być jakieś wyjście – szepnęła Emili.

– Wyjście? – odpowiedział szeptem Jonathan. – Na pewno

postawili tam ze dwudziestu ludzi. Weszliśmy prawie pół kilometra w głąb Złotego Domu! Nie ma stąd wyjścia... – Przerwał mu łoskot przetaczającego się pociągu metra. – Chwileczkę... – W jego głowie zaświtała pewna myśl.

- Co? – spytała niecierpliwie Emili.
- W komnacie z namalowanym planem Jerozolimy był właz.
- No i co z tego?
- Wydaje mi się, że prowadzi on do stacji metra.
- Przed stacją stoi zazwyczaj kilkunastu policjantów.
- Odgłos pociągów wskazywał, że wyjście jest wewnątrz stacji.
- Chodźmy – powiedziała Emili, zsuwając się z Jonathana.

Policjanci kontynuowali poszukiwania w głębi ruin, a Jonathan i Emili po cichu weszli do komnaty, w której odkryli wielkie malowidło. Jonathan wskazał klapę zakrywającą otwór. Trzy metry poniżej otworu znajdowała się metalowa krata zawieszona na żelaznych klamrach.

– To musi być peron używany do konserwacji torów – rzekł Jonathan. – Dosięgniemy drabiny z kraty, jeśli wspniemy się na rusztowanie, ale może się okazać, że jest dla nas...

Emili podbiegła do ściany i zaczęła się wspinać.

– ...za wysoko... – dokończył Jonathan, kręcąc głową.

Poszedł w ślady Emili, aluminiowe rurki zatrzeszczały pod ich stopami. Znajdowali się sześć metrów nad ziemią, gdy jakiś policjant zawrócił i znalazł się w komnacie pod nimi. Znieruchomieli oboje, żeby nie hałasować.

Funkcjonariusz wolnym krokiem przemierzał salę. Zrobił kilka kroków, światło jego latarki prześlizgiwało się po posadzce. Rozpiął kaburę, usłyszeli szurnięcie metalu o skórę. Dobył broni.

– Wiem, że tu jesteście – odezwał się porucznik Rufio.

Akustyka grotu sprawiała, że jego głos brzmiał tak, jakby Rufio znajdował się tuż obok nich. Jonathan i Emili trwali nieruchomo przy ścianie. Gdyby skierował latarkę pod kątem czterdziestu pięciu stopni do góry, widziałby ich jak na dłoni. Miał ze sobą torbę, którą spokojnym ruchem umieścił pod rusztowaniem. Chodził w jedną i drugą stronę, podeszwy jego butów skrzypiały na twardym cemencie.

Porucznik oświetlał latarką głębokie wnęki otaczające komnatę. Obszedł całą dookoła i wydawał się coraz bardziej zdenerwowany. Jonathan uświadomił sobie, że nie szuka jego i Emili, tylko czegoś innego. Wyciągnął z kieszeni białe policyjne rękawice, wsunął je szybko na dłonie i wydobyl z ciemnej niszy dwa plastikowe pojemniki. Musiały tam leżeć od miesięcy, bo zebrał się na nich szary kurz. Odkręcił zakrętki i rozlał zawartość po całej posadzce. W ciągu kilku sekund silne opary benzyny uniosły się do Emili i Jonathana.

– Nie – szepnęła Emili.

Rufio wyjął z kieszeni zapalniczkę, zapalił skrawek papieru i rzucił na środek posadzki. Płomienie błyskawicznie rozbiegły się we wszystkie strony. Do góry wzbily się kłęby dymu.

– Idź! – krzyknął Jonathan, podsadzając Emili tak, by sięgnęła drabinki zwisającej z kraty. Emili chwyciła najniższy szczebel i podciągnęła się. – Nie zatrzymuj się! – zawołał jeszcze i spojrzal w dół na płonąca posadzke. Strach przywołał dziwne skojarzenia z Homerem. *Lawina ognia zalewała przed nimi ziemią.*

Rufio usłyszał krzyk i skierował latarkę do góry. Przez dym widział majaczącą sylwetkę Jonathana, który rozpaczliwie usiłował wypchnąć metalowy właz. Policjant przemknął wokół

płonącego fresku i zaczął wspinać się po drabinie. Aluminium się rozgrzało, lecz na swoje szczęście miał rękawiczki.

Stanąwszy na kracie obok Emili, Jonathan z całej siły napał na okrągły właz w sklepieniu. Płomienie lizały już dolną część metalowej kraty, Jonathan czuł przez podeszwy ciepło stali. Zdołał przesunąć właz na bok, tak że mógł się przez niego przecisnąć. Nagle rozległ się ogłuszający łoskot zbliżającego się pociągu. Kratka rozchybotwała się gwałtownie.

– Jon! Najeżdża pociąg!

Rufio był zaledwie trzy metry pod nimi. Jonathan przecisnął się przez właz i zobaczył, że jest na środku toru kolei podziemnej. Światło pociągu zbliżało się z ogromną prędkością, czuł nawet pęd powietrza.

– Jasna cholera – zaklął.

## 45.

Profeta, który znajdował się na końcu korytarza, zobaczył unoszący się dym. Wpadł do zadymionej krypty, zasłaniając usta rękawem. Brandisi wybiegł, zanosząc się kaszlem.

– Ktoś podłożył ogień, *comandante!* – zawołał.

– Przynieście gaśnice z muzeum! – ryknął Profeta do policjantów. – Gdzie Rufio?

Brandisi wskazał do góry.

– W krypcie jest drabina pomocnicza. Widziałem, że Rufio wspina się na nią. Ścigał jakiegoś mężczyznę.

– Dokąd prowadzi ta drabina? – spytał komendant.

Brandisi drżącymi rękoma rozwinął plan miasta wielki jak namiot.

– *Aspetti, comandante!* – wyjąkał. – To musi być stacja metra Colosseo!

Profeta wyrwał radio zza paska. Rozległy się trzaski, połączenia nie było.

– Brandisi, wynoście się stąd i wezwijcie przez radio wsparcie na stację Colosseo. Niech zatrzymają wszystkie pociągi.

## 46.

Jonathan wiedział, że nie można czekać, aż pociąg przejedzie. Metalowa drabinka kołysała się pod szybkimi stąpnięciami Rufia. Nie było czasu.

– Daj mi rękę! – krzyknął do Emili.

Siedzący w kabinie pociągu Linea A podstarzały *capotreno* zamrugał powiekami. Na torach wśród kłębow pary lub dymu pojawił się młody mężczyzna. Jakby wyrósł spod ziemi. *Capotreno* położył dłoń na klaksonie, wiedząc, że za chwilę pociąg może rozjechać człowieka.

Wcisnąwszy klakson i błyskając reflektorami, *capotreno* bał się, że i tak jest za późno. W czasie swojej długiej służby widział już takie wypadki: gwałtowne uderzenie ciała o przód pociągu, krew rozsmarowaną na setkach metrów toru. Tamci ludzie popełniali samobójstwa, lecz ta sytuacja była inna. Mężczyzna nie zachowywał się spokojnie, tylko rozpaczliwie usiłował wyciągnąć coś z włazu. Motorniczy widział jego zaciekłą walkę o przeżycie.

Pociąg trąbił teraz głośno i bez ustanku. W chwili, gdy stalowa maskownica znalazła się tuż obok włazu, Jonathan dźwignął Emili. Strach przed śmiercią dodawał mu sił. Zdołał chwycić



Emili za przedramiona i jednym ruchem rzucić ją na metalowy peron biegnący wzdłuż ściany tunelu. Odepchnął się nogami i wylądował na Emili.

Skład przemknął obok, nawet nie zwalniając. Wśród ogłuszającego łoskotu wagony przetoczyły się tak blisko, że ich stalowe ściany ocierały się o garnitur Jonathana.

Emili czuła bicie jego serca. Waliło tak mocno, że pulsowanie przenikało ją na wskroś. Spojrzała mu w rozszerzone strachem oczy i pogłaskała go po plecach.

– Neron wiedział, co robi, budując pałac akurat w tym miejscu – rzekła, uśmiechając się z ulgą. – Uwzględnił bezpośrednie połączenie z systemem transportu publicznego.

Stanąwszy na nogi, rozejrzała się i zobaczyła na ścianie kabel elektryczny. Znalazła włącznik i wzdłuż toru zapalił się szereg przybrudzonych żarówek. W oddali widać było białe światła stacji metra Colosseo. Ruszyli w tamtą stronę i przekroczywszy pomarańczowy napis *Passaggio Vietato!*, znaleźli się na stacji. Panował tam ścisk, czasem ktoś spojrzał ze zdziwieniem na ich twarze pociemniałe od

dymu, lecz wśród anonimowego tłumu na peronie Jonathan i Emili czuli się swobodnie.

Szybkim krokiem zmiierzali w stronę schodów; Emili szła z przodu, a Jonathan tuż za nią. Nagle poczuł, że ktoś chwyta go mocno za rękę. Odwrócił się i stanął oko w oko z usmolonym Rufiem. Policjant przycisnął lufę pistoletu tuż pod żebrami Jonathana.

– A więc to ty – powiedział Rufio. – *Quell'awocato*. – Ten adwokat. Podróżni przesuwali się obok, spiesząc do swoich pociągów.

Jonathan usłyszał, że Emili woła go po imieniu. Sygnał dźwiękowy, który dobiegł z głośników, obwieścił zamknięcie drzwi pociągu.

– Chcę się skontaktować z przedstawicielem ambasady amerykańskiej – oznajmił oficjalnym tonem Jonathan.

– Ambasady? – Rufio się zaśmiał. – Nie zamierzam cię aresztować. – Policjant dźgnął mocno Jonathana pistoletem w bok. Wskazał schody prowadzące z peronu do góry. – Idź do wyjścia.

W tym momencie jakiś podróżny wszedł między Rufia i Jonathana, by zapytać o drogę. Jonathan wykorzystał ten ułamek sekundy, by się uwolnić. Skoczył w tłum, kierując się w stronę głosu Emili.

– Jon! Gdzie jesteś?!

– Nie zatrzymuj się – rzucił Jonathan. – On jest na peronie.

Drzwi wagonu zasuwały się, lecz Emili wcisnęła stopę i zatrzymała je na chwilę.

– Wsiadaj ! – krzyknęła.

Jonathan patrzył na odstęp między peronem a pociągiem. Piętnaście centymetrów powietrza. To był jego Rubikon. Dwie kamery znajdowały się dokładnie nad jego głową. Zostanie zidentyfikowany, co do tego nie było cienia wątpliwości. Spokojnie, jak gdyby ani przez chwilę się nie zastanawiał, wsiadł do pociągu. Rufio rzucił się za nim; zdołał wcisnąć rękę między wykończone czarną gumą drzwi

i siłą je rozsunąć. Na jego twarzy ukazał się złowieszczy uśmiech.

– Myślałeś, że...

Emili zamachnęła się i przez szparę w drzwiach zdzieliła go prosto w twarz. Rufio potoczył się na peron, a drzwi zamknęły się z westchnieniem.

Ramat Mansour stał w drzwiach swojego domu w arabskiej wiosce Silwan, rozpościerającej się na suchym białym zboczu wzgórza w cieniu murów Wzgórza Świątynnego. Mansour był zadbanym szczupłym mężczyzną ze starannie wypielęgnowanym czarnym wąsikiem. Było późne popołudnie, on zaś wciąż miał na sobie czarny turban i kefię. Oddał żonie w ramiona ich najmłodszego syna i niechętnie zapiął bawełniane *dishdasha* oraz sandały. Zaniknął antykwariat ze starożytnymi monetami i naczyniami, zabezpieczył kłódką drzwi z falistej blachy i ruszył zwirową ścieżką w stronę murów Starego Miasta.

Zapaliwszy papierosa, potarł się po wąsach, w których pojawiały się pierwsze siwe nitki.

Mansour szedł główną ulicą. Kupcy zamykali sklepy, staruszki trzepały dywany. Żwirowa droga, biegnąca po zboczu wzgórza i prowadząca do Kopuły na Skale, niegdyś sprawiała Mansourowi ogromną radość. Pamiętał, jak codziennie rano odbywali z ojcem tę pielgrzymkę z wioski. Właśnie dlatego popołudniowa wycieczka na Wzgórze Świątynne napełniała Ramata Mansoura smutkiem. Telefon jednego z asystentów Waqf oznaczał dalszą dewastację. Mansour nie umiał już spoglądać na minaret meczetu Al-Aksa bez żalu, który wywoływały w nim tak zwane wykopaliska prowadzone przez Waqf.

Minął rok od dnia, w którym posłaniec Waqf zjawił się w sklepiku i oznajmił, że doktoranckie studia archeologiczne Mansoura na uniwersytecie Birzeit mogą się przydać. Mansour żywił naiwną nadzieję, że kierownictwo Waqf chce zasięgnąć jego opinii archeologa. Szybko zamknął antykwariat i pobiegł po dyplom, a potem ucałował nową żonę i malutkiego synka na *bettawfee inshallah*, czyli na szczęście.

Wrócił do domu dopiero nazajutrz rano, oszołomiony, z twarzą umazaną szarym błotem. Czuł się tak, jakby zmuszono go do popełnienia niewyobrażalnej zbrodni.

– Powiedzieli, że chodzi o wykopaliska – szepnął z przerażeniem żonie. – Ale tam są buldożery i dziesiątki ludzi z kilofami.

Zacisnął pięści i opowiedział jej, jak robotnikom kazano gruchotać delikatne mozaikowe posadzki z czasów Heroda i bizantyjskie szkło, jak burzono misternie zdobioną kopułę przedsionka tajni Salomona. Poinstruowano wszystkich, że mają pomieszać ze sobą wszystko tak, by nikt nie zdołał odsiać fragmentów i ułożyć z nich niczego, co miałoby jakąkolwiek wartość archeologiczną. Ojciec wychował Mansoura w szacunku dla pozostałości dwóch Świątyń, które stały niegdyś na Wzgórze.

Skończywszy relację, otworzył pięść, a jego żona westchnęła. Mansour trzymał w dłoniach jedyny zabytkowy fragment, który udało mu się ocalić. Był to połyskujący w słońcu kawałek rzymskiego szkła, zielony jak jadeit, z wyrzeźbionymi u dołu kolumnami Świątyni. Nazajutrz rano Mansour niepostrzeżenie zostawił szklaną miniaturkę przed drzwiami Muzeum Ziemi Biblijnych w Zachodniej Jerozolimie. Po kilku miesiącach zabrał do muzeum żonę i dzieci. Z dumą patrzył na zalany światłem zabytek, spoczywający bezpiecznie pośrodku gabloty.

Nie dziwiło go, że większość religijnych kleryków modlących się na Wzgórze nie ma świadomości ogromu zniszczeń dokonywanych pod ziemią. Szlachetna religia, którą znał, nawoływała do szacunku dla innych kultur i ich dziedzictwa. Czy sam Mahomet nie pragnął się tam modlić ze względu na świętość ustanowioną przez Żydów? Czy Sulejman nie przyjął imienia Salomon dlatego, że starożytny przywódca wywarł na nim ogromne wrażenie? Czy Sulejman Wielki nie nakazał oczyścić Wzgórza Świątynnego z rzymskich gruzów, by oddać cześć

Świątyniom, które stały tam w dawnych czasach?

Upłynął rok i Mansour znów zmierzał w stronę siedziby Waqf we Wschodniej Jerozolimie.

Asystent, który zadzwonił wczoraj do Mansoura, miał dość taktu, by nie zapraszać go do prowadzenia wykopalisk, lecz na inspekcję tego, co zostało zrobione. Zaproponował więcej szekli, niż Mansour widział przez pół roku. Jego antykwariat od zeszłego tygodnia świecił pustkami. Liczba wycieczek chrześcijan zmniejszyła się po wybuchu zamieszek w Strefie Gazy w ubiegłym roku, to zaś oznaczało mniej klientów.

Mężczyzna wyczuł wahanie Ramata i powiedział, że jego wizyta w siedzibie Waqf zostanie potraktowana jako osobista przysługa.

– Twój kuzyn Saladyń chce spotkać się z tobą jak najprędzej.

\* \* \*

– Nie słuchaj go – powiedziała żona Mansoura, gdy wychodził z domu. Stała w drzwiach sypialni, ubrana w ciemną szatę i hidżab. – Nieważne, że wasze matki były siostrami i że kiedyś byliście jak bracia. Nie musisz tam iść. A jeśli coś... – Zamilkła nagle i zakryła usta dłonią. – Kto nas ochroni?

– Muszę iść – odparł Mansour. – On wciąż należy do rodziny.

Mansour pamiętał dzień, w którym jego rodzice niczym własne dziecko przyjęli pod dach małego chłopca, któremu zmarł dziadek – jego jedyny opiekun. Brudny, po dwakroć osierocony sześciolatek został przemycony z Bejrutu bez żadnych dokumentów. Ojciec Mansoura nakazał, by nikt nie zadawał pytań o przeszłość małego kuzyna.

Po modłach w Al-Aksa ojciec zabierał obu chłopców do swojego sklepiku ze starociami przy sadzawce Silwan. Ramat bawił się w antykwariacie z kuzynem; gonili się między lichymi szklanymi gablotami. Godzinami ustawiali monety tak, aby przyciągały wzrok turystów wracających z wycieczki do sadzawki. Ojciec Ramata, człowiek głęboko religijny, żywił wielki szacunek dla judeochrześcijańskich zabytków archeologicznych, spoczywających pod kamieniami Jerozolimy. Sadzawka znajdująca się tuż obok antykwariatu istniała dzięki źródłu, u którego – wedle chrześcijańskiej Ewangelii – Jezus uzdrowił ślepców. Przewijało się tam mnóstwo chrześcijańskich wycieczek; ojciec Mansoura zachęcał obu chłopców, żeby chodzili z nimi i ćwiczili angielski.

Sięgając pamięcią wstecz, Mansour uzmysłowił sobie, że powinien był przewidzieć, czym to się skończy. Chłopięca niewinność może odsunąć na bok straszną przeszłość, lecz jej nie wymaże. Kiedy byli nastolatkami i mieszkali w jednym pokoju, kuzyn Ramata wymykał się w nocy do piwnicy, by studiować rysunki dziadka. Te, których ojciec zabraniał im oglądać. Ramat udawał, że śpi, a kuzyn po powrocie mamrotał, jakby z kimś rozmawiał. Wychwyił tylko jedno słowo *Jeddih*. Dziadek. Po latach obaj zaczęli studiować archeologię, Ramat na uniwersytecie Birzeit, a jego kuzyn na uczelniach w Europie. Utracili ze sobą kontakt, ale Ramat wiedział, że kuzyn niebezpiecznie zaangażował się w politykę związaną z archeologią. Już wówczas przyjaciele z powodu jego skrajnych poglądów nazywali go Saladyńem.

Dwóch ochroniarzy zaprowadziło Mansoura na górę, na plac Haram al-Szarif. W Muzeum Islamskim panował półmrok. Ochroniarze zatrzymali się przed drzwiami i Mansour wszedł do środka sam. Szeroki korytarz z epoki templariuszy, prowadzący w zbrocze wzgórze, stanowił główną galerię muzeum. Mansour przeszedł obok kolekcji bogato zdobionych

siedemnastowiecznych mieczy i sztyletów, a następnie minął rzadki rękopis Koranu z ósmego wieku, przypisywany prawnukowi Proroka.

Na środku galerii stał ogromny żelazny parawan z ery krzyżowców, który osłaniał Fundament Skały między dwunastym a dwudziestym wiekiem. Majaczyła za nim sylwetka mężczyzny.

– Zbyt długo się nie widzieliśmy, Ramacie – powiedział głos zza parawanu tonem łagodnej przygany. – O wiele za długo. – Z cienia wyszedł Saladyn. – Wiem, że różnimy się w kwestii zachowania zabytków archeologicznych w Haram al-Szarif, ale jesteśmy rodziną. Nasze matki były siostrami. Mieliśmy tego samego dziadka, niech pokój będzie z nim.

– Nie wspomogę cię w dziele zniszczenia, kuzynie. Budowa następnego podziemnego meczetu pod Wzgórzem dla dziesięciu tysięcy pielgrzymów nie uratuje zabytków archeologicznych.

Mimo sprzeciwu oenzetowskich agend meczet został zbudowany i spowodował, że południowa ściana przechyliła się o piętnaście centymetrów, co mogło wywołać katastrofalne następstwa.

– Projekty religijne Waqf nie mieszczą się w obszarze moich zainteresowań – oznajmił Saladyn, przechadzając się między gablotami. – Chcę ci tylko zadać pytanie z dziedziny archeologii.

– Co masz na myśli? – spytał podejrzliwie Ramat.

– Będiesz miał rzadką okazję wzmocnienia podwalin Wzgórza Świątynnego. Nie chodzi o jego niszczenie. – Saladyn podszedł do gabloty i rozłożył na tafli szkła strukturalny plan Wzgórza. – Jesteś najlepszym nadzorcą wykopalisk w Jerozolimie. Będę potrzebował twojej pomocy.

– Przykro mi, kuzynie – rzekł Mansour, kierując się do wyjścia. – Budowa olbrzymiej cysterny na wodę z rzeki Zamzam w Mekce nie ma nic wspólnego z archeologią.

– Ten mały projekt powstał w Waqf. Nie ja jestem jego autorem.

Mały projekt, pomyślał Mansour. Na podstawie pogłosek ocenił, że robotnicy zdążyli już usunąć spod Wzgórza sto tysięcy ton żyznej gleby archeologicznej.

– Praca, którą ci proponuję, ma charakter czysto archeologiczny. W pismach Józefa Flawiusza odkryłem wzmiankę o starożytnym tunelu – mówił Saladyn. – Twój dziadek poświęcił całe życie na jego poszukiwanie.

Mansour zatrzymał się, ale nie odwrócił.

– Wiedzie od Fundamentu Skały do Groty Królewskiej, ale musimy się dowiedzieć, którądy biegnie dalej. Sądzieliśmy, że idzie na wprost obok akweduktu, lecz dokopaliśmy się jedynie do litej skały. Nasz biegły archeolog jest niedostępny. Przywalony robotą, obawiam się. Potrzebujemy twojej znajomości rzeczy, kuzynie. Nasz dziadek Hadż Amin al-Husseini poświęcił temu dziełu życie.

– Mój ojciec zakazał ci oglądania wyników badań muftiego.

– Byliśmy chłopcami, więc mógł zakazywać. Czasy się zmieniły, Ramacie. Ludzie Waqf poczekali, aż twój ojciec umrze, i wynieśli dokumentację z piwnicy. Nasz dziadek przez kilkadziesiąt lat dążył do znalezienia tego tunelu. Jego archeologia...

– To nie była archeologia, ale rewizjonizm – sprostował Mansour.

Saladyn się skrzywił.

– Kiedy byliśmy dziećmi, podążałem twoim śladem w górę strumienia od sadzawki Siloam

aż do legendarnych podziemnych zbiorników pod Wzgórzem. Wędrowałeś godzinami w ciemności, zanim zapaliłeś świecę, żeby pokazać mi Bramę Źródła, o której mowa w Księdze Izajasza, czy Sadzawkę Węża, wspomnianą w kronice Józefa. W wieku jedenastu lat mogłeś odtworzyć starożytną Jerozolimę lepiej niż ogromna większość archeologów.

Mansour milczał.

– Powiedz mi, kuzynie – ciągnął Saladyn, widząc, że Mansour nagle pogrążył się w rozmyślaniach. – Jaki dług ma twój antykwariat? – Zaczął się do niego zbliżać. – Z pewnych źródeł wiem, że od roku nie płacisz czynszu. Mogę zlikwidować połowę tego obciążenia.

Mansour zamknął oczy, zaglądając w głąb swojej moralności. Czynsz za wynajem sklepu przytłaczał go każdego dnia, a żona znów spodziewała się dziecka...

– Dorastałeś, biegając tunelami pod Wzgórzem. Znasz je lepiej niż ktokolwiek inny.

Mansourowi stanęły przed oczami rysunki dziadka, leżące w zakurzonych tekturowych pudłach pod ich dawnym domem. Wiedział o obsesji dziadka na punkcie Józefa Flawiusza, o jego poszukiwaniu tajemnego tunelu, który prowadził do ukrytej bramy.

– Poproszę cię o pomoc jeszcze tylko jeden raz. W zamian zlikwiduję cały twój dług. Za cały rok. – Saladyn patrzył w oczy Mansoura niczym kupiec na targowisku. – Sprawdziłem wszystkie źródła historyczne, próbując znaleźć ujście akweduktu z Groty Królewskiej, i wciąż nie wiem, gdzie ono jest.

– To dlatego, że trasa akweduktu została opisana w jedynym źródle historycznym, do którego nigdy byś nie zajrzał – odparł Mansour. Mówił cichym głosem, jakby przyznawał się do moralnej klęski. – W Starym Testamencie.

## 48.

Emili i Jonathan wysiedli z metra na stacji Circus Maximus, która była następnym przystankiem. Z cienia pod ulicznymi drzewami spojrzeli na drugą stronę i ze zdziwieniem zobaczyli, że stoi tam zaledwie kilku umundurowanych policjantów. Emili spodziewała się funkcjonariuszy przeczesujących stację, skaczących przez kołowrotki i zaglądających do każdego wagonu. Z naprzeciwka mijały ich samochody z zapalonymi reflektorami. Każdy z nich mógł być policyjnym radiowozem.

– Dlaczego ten funkcjonariusz nie zatrzymał pociągu albo nie wszczął alarmu na następnej stacji? – spytała Emili.

– Porucznik Rufio nie chce nas aresztować – odparł Jonathan. – Boi się, że jeśli trafimy na salę przesłuchań, wszyscy dowiedzą się, w co naprawdę gra.

– Może w takim razie nie rozpowszechni twój zdjęcie.

– I to ma mnie pocieszyć? – Jonathan zatrzymał się nagle. –

Bezwzględny policjant może na mnie czekać z odbezpieczoną bronią w pokoju hotelowym.

– Oboje wiemy, że teraz nie ma już sensu zwracać się do policji. Ale jeśli udowodnimy, że istnieje powiązanie między nielegalnymi wykopaliskami w Jerozolimie i Rzymie, rola tego policjanta wyjdzie na jaw – mówiła z determinacją Emili. – Jesteśmy o krok bliżej. Jeżeli odgadniemy, którądy Józef wyniósł menorę, może to nas doprowadzić prosto do Saladyna i jego wykopaliska w Jerozolimie.

Jonathan milczał przez chwilę. Niczym dowody w sprawie sądowej, powiązania między

inskrypcją w Koloseum i malowidłem w Złotym Domu coraz bardziej się zacieśniały. Święte drzewo światła, błyszcząca ścieżka pod planem Jerozolimy. Nagle poczuł na barkach brzemień odpowiedzialności – jak prawnik chroniący kluczowy dowód, który przeciwnik usiłuje zniszczyć.

– To nie przypadek, że papieskie wykopalisko, które niedawno zobaczyliśmy, doprowadziło nas do mapy Jerozolimy. Dziewiętnastowieczny konserwator zabytków Giuseppe Valadier mówi, że on także podążał tropem wskazówek Józefa Flawiusza, podobnie jak my.

– Mówi nam?

– Pamiętasz szkic, który ci pokazałam po tym, jak wyszliśmy z Koloseum? Valadier zrobił go podczas wykopalisk pod bramą gladiatorów, które zlecił mu Napoleon. On także musiał zauważyć inskrypcje wykonane przez jeńców, doprowadziły go one do Złotego Domu. Właśnie dlatego kopał w obu tych miejscach.

– Nawet jeśli na tym malowidle podłogowym była narysowana jakaś trasa, teraz przestała istnieć i nie da się jej zrekonstruować – odparł Jonathan.

Przeszli obok grupy nastolatków, którzy siedzieli wokół ogniska w porośniętych trawą ruinach Circus Maximus i grali na gitarze.

– Możemy lepiej przyjrzeć się temu malowidłu – powiedziała Emili, przyspieszając kroku.

– Chcesz wrócić do Złotego Domu? – Jonathan znów przystanął.

Jeśli tak, to beze mnie.

– Nie musimy. Valadier mógł narysować szkic swoich wykopalisk w Złotym Domu, tak jak narysował wykopalisko w Koloseum.

– A ty wiesz, gdzie go pozostawił?

Emili wskazała aluminiową kopułą Wielkiej Synagogi, wyraźnie widoczną na tle purpurowego nieba.

– Powiadasz, że konserwator prowadzący papieskie wykopaliska w Złotym Domu oddał swoje rysunki w ręce Żydów? – spytał z niedowierzaniem Jonathan.

– Valadier musiał mieć świadomość, że w malowidle Jerozolimy, podobnie jak w bramie gladiatorów w Koloseum, ukryte są informacje o miejscu przechowywania menory. Przekazał szkice Żydom z getta, aby zwrócić święty zabytek prawowitym właścicielom.

– I nie poinformował o tym papieża?

– Nie byłby pierwszym sławnym artystą w służbie papieża, który potajemnie zostawił Żydom swoje szkice – odparła Emili. – W tysiąc czterysta osiemdziesiątym roku, po kłótni z Juliuszem Drugim, Michał Anioł przerwał pracę tutaj i wrócił do Florencji. Swojemu asystentowi powiedział: „Sprzedaj wszystkie moje rzeczy Żydom”.

Naprzeciwko synagogi weszli w cień małego kościółka z epoki renesansu. Nad jedną parą wielkich podwójnych drzwi widniał duży napis po hebrajsku, a nad drugą jego łacińskie tłumaczenie. Jonathan zerknął na łacińską wersję.

– Niezbyt przychylnie słowa skierowane do Izajasza. „Wy jesteście tym ludem, który nieustannie rzuca Mi gniew w twarz”.

– Przez czterysta lat ściany tego kościoła służyły jako jedna z bram getta – odparła Emili. – W latach dziewięćdziesiątych pastor parafii San Gregorio zwrócił się do władz Rzymu, by zmieniono napis na fasadzie. Długotrwała nietolerancja Kościoła budziła w nim wstyd. Nasze biuro sprzeciwiło się temu i zyskało nieoczekiwane

sojusznika w archiwisze Wielkiej Synagogi, Mose Orvietim. Sprzeciwił się dążeniu Kościoła do

usunięcia trwałego śladu prześladowania Żydów. Dlatego napis pozostał.

Wysokie szprosowane okno pod kopułą synagogi nasuwało skojarzenia z latarnią lub więzieniem. Paliło się w nim żółte światło.

– Orvieti wciąż tam pracuje?

– *Signore* Orvieti pracuje w tej dzwonnicy od ponad sześćdziesięciu lat.

– Zaczynał w czasie wojny?

– Tak – potwierdziła Emili, podnosząc kołnierz. Przez dziedziniec zmierzali do tylnych schodów synagogi. – Okazał się bezcennym źródłem informacji w procesach o zwrot mienia z czasów Holokaustu, wytoczonych przez Międzynarodowe Centrum Konserwacji Zabytków. Dysponuje prawie encyklopedyczną wiedzą na temat zbiorów archiwalnych sprzed wojny.

– To musi być jego życiowe dzieło.

– Nie zostało mu nic oprócz tego archiwum. – Emili wskazała placyk przed synagogą, okolony ruiną ceglanych arkad starożytnego amfiteatru. – Naziści spędzili na ten plac dwa tysiące dziewięćdziesięciu jeden Żydów i wywieźli. Orvieti stracił żonę i pięcioro dzieci.

Jonathan słuchał w milczeniu.

– Po latach, w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku – ciągnęła Emili – wielu spośród tych, którzy przeżyli Holokaust, zorganizowało na Forum wiec poparcia dla stworzenia państwa Izrael. Członkowie miejscowej gminy żydowskiej ustawili się przy Łuku Tytusa, pod reliefem przedstawiającym marsz jeńców jerozolimskich, prowadzonych jak niewolnicy. Wiesz, w jaki sposób uczcili powstanie Izraela? Pomaszerowali w przeciwną stronę. Nie weszli na Forum, tak jak ich przodkowie, lecz wyszli z niego jak wolni ludzie. Tysiąc osiemset lat później ustawili się w szereg i pomaszerowali przez rynek. Dla wielu rodzin rzymskich Żydów nie był to marsz

wyłącznie symboliczny. Opuścili Rzym i wyjechali do Izraela.

– Orvieti wyjechał?

– Miał być ostatnim, który przemaszeruje pod łukiem. Podobno zbliżył się do łuku, lecz przytłoczyła go myśl o żonie i pięciorgu dzieciach spalonych w Auschwitz. Stał i patrzył na dzieci i ich rodziców, którzy przechodzili pod łukiem. Został sam. Ludzie ucichli, stanęli po drugiej stronie łuku i czekali na niego. Na Forum zapadła cisza.

– Co zrobił Orvieti? – spytał Jonathan.

– Słyszałam, że patrzył długo na łuk, a potem odwrócił się i poszedł do getta, do synagogi.

Zasępią Emili przeszła przez ciężką żelazną bramę i zbliżyła się do dębowych drzwi. Orvieti już tam czekał, uprzedzony przez nią telefonicznie.

Zamknął ogromne drzwi za przybyszami i zabezpieczył je ciężką metalową sztabą. Emili przedstawiła Jonathana i cała trójka ruszyła w górę schodami prowadzącymi do archiwum. Znaleźli się w osmiokątnej dzwonnicy ze świetlikiem, przez który na dębowe regały padało światło. Jonathan spoglądał na setki oprawionych w skórę tomów zapełniających jedną ścianę.

– To korespondencja – wyjaśnił Orvieti, siadając.

– Długa korespondencja – zauważył Jonathan. – Czyja?

– Między rzymskimi Żydami a Kościołem katolickim prowadzona od tysiąc pięćset pięćdziesiątego piątego do tysiąc osiemset czterdziestego trzeciego roku. Tysiące listów, w których rodzice błagają Kościół o zwrócenie porwanych i przymusowo ochrzczonych dzieci.

Emili podeszła do stołu i usiadła obok Orvietiego.

– Wydaje mi się, że odkryłam powód, dla którego wielki mufti szukał tego szkicu oraz rękopisów Józefa Flawiusza.

– A zatem czekałam na tę chwilę sześćdziesiąt lat.

– Rysunek Koloseum, który dał mi pan rano, przedstawia łuk, pod którym jeńcy czekali na egzekucję. Byliśmy tam dzisiaj z

Jonathanem i na własne oczy widzieliśmy imiona wielu z nich. Znajdowało się tam także nazwisko Joseph ben Matthias.

– Józef – wyszeptał Orvieti.

– Tak – potwierdziła Emili. – Wygląda na to, że został oskarżony o szpiegostwo i stracony za przynależność do zlikwidowanej siatki szpiegowskiej na cesarskim dworze Tytusa. Były tam także imiona Bereniki, Epafrodyta i Aliteriusa.

– Widziała pani ich imiona?

– Nie tylko imiona, lecz także inskrypcję wskazującą na powód, dla którego zorganizowali spisek na dworze: „Święte drzewo światła”.

– Jest pani pewna, że tak brzmiały te słowa? – spytał Orvieti, spoglądając na Emili szeroko otwartymi oczami.

– Wie pan, co znaczą?

– Owszem, ale to tylko mit. Majaczenia mojego poprzednika, który twierdził, że słowa te opisują... – Orvieti zamilkł.

– Menorę? – dopowiedziała Emili.

– Tak, menorę ze Świątyni Heroda – potwierdził z uśmiechem zadumy Orvieti. – W getcie od wieków krążyły legendy na ten temat.

– *Signore*, w tej opowieści może być więcej rzeczywistości niż legendy – odparła Emili. – To dlatego wielki mufti poszukiwał tekstu Józefa.

– I zabrał tylko niektóre kartki? – zdziwił się archiwista.

– Tylko te, które były mu potrzebne. Na tych stronicach średniowiecznych manuskryptów znajdował się opis bramy ukrytej w głębi Wzgórza Świątynnego. W ustępie opisującym wtargnięcie Tytusa do Świątyni zawarty jest dodatkowy wiersz: „Uciekli przez ukrytą bramę, wynosząc płomień”. Uważamy, że Józef mógł uczestniczyć w wyniesieniu oryginalnej menorę tuż przed tym, jak Tytus i jego żołnierze wdarli się do Świętego Świętych. Inskrypcja pod bramą gladiatorów zaprowadziła nas do krypty w Złotym Domu. Znaleźliśmy tam ogromny fresk przedstawiający Jerozolimę, który może wskazywać miejsce, gdzie złożono menorę.

– Jeńcy jerozolimscy zostawili przesłanie – szepnął Orvieti.

– Zakodowane w taki sposób, że rzymscy cenzorzy go nie wykryli – dodał Jonathan.

– Kiedy osiemnaście wieków później, w roku tysiąc osiemset dziewiątym, członek napoleońskiego zespołu archeologicznego zobaczył imię Tytusa pod Koloseum, zrozumiał, jak ważne jest to odkrycie, i zostawił rysunek...

– W tym archiwum – dokończył Orvieti. Zmarszczki na jego czole się wygładziły. Odkrycia archeologiczne tego kalibru każdego mogą przyprawić o zawrót głowy, a zwłaszcza kogoś takiego jak Orvieti, którego całe życie obracało się wokół tej zagadki.

Emili szczegółowo opisała freski, które odkryła z Jonathanem w Złotym Domu.

– Myślałem, że to niemożliwe – rzekł cicho i skinął głową, jak gdyby po długich



usiłowaniach rozgryzł skomplikowany problem logiczny. – Jest pani pewna, że freski w *Domus Aurea* przedstawiały siedem chudych i siedem tłustych krów? – dopytywał się.

Emili skinęła głową.

– A zatem wszystko się zgadza. To on był Józefem świata rzymskiego – stwierdził archiwista.

– Kto?

– Józef Flawiusz. – Orvieti zamilkł na chwilę i pogrążył się w myślach. – Rzymski odpowiednik biblijnego Józefa.

– Wie pan, co oznaczają te freski? – spytała Emili.

– Proszę się zastanowić nad historią Józefa. Był więźniem i wykupił się z niewoli. W jaki sposób? Faraon chciał, by ktoś odczytał jego sen, w którym siedem tłustych krów stało obok siedmiu wychudzonych. Na tej podstawie Józef przepowiedział przyszłość, wyszedł z więzienia i został drugim po faraonie, czy tak?

– Wszystko się zgadza.

– Historia Józefa Flawiusza jest taka sama. On również był więźniem i dostał się na dwór monarchy. W jaki sposób? Przepowiedział, że Wespazjan zostanie następnym cesarzem, i na jego szczęście przepowiednia się sprawdziła. Podobnie jak biblijny Józef, Flawiusz wyszedł z więzienia i zajął miejsce u boku cesarza jako prorok i wróżbita. Nawet imię wskazuje na jego tajemne dążenie, nawiązując do biblijnego wzorca.

– Ale co to ma wspólnego z zamysłem Józefa Flawiusza, by ukryć menorę?

– Proszę pomyśleć o śnie faraona, przedstawionym na tych freskach. Siedem chudych krów stoi obok siedmiu tłustych. Nawet wróżbici faraona wiedzieli, że krowy symbolizują siedem lat obfitości i siedem lat głodu.

– Skoro tak, to dlaczego interpretacja Józefa była aż tak ważna?

– Interpretacja wróżbitów nastroczała pewnego problemu natury logicznej. Jeśli krowy symbolizowały lata, to dlaczego stały obok siebie? Tego wróżbici faraona nie umieli wyjaśnić. – Orvieti wstał ze sprężystością, która zaskoczyła rozmówców. Podbiegł do regału i zdjął postrzępiony egzemplarz Starego Testamentu. Przewrócił szereg stronic, zatrzymał się na jednej i przez chwilę czytał. – Biblijny hebrajski. Słowo *eytzel* oznacza „obok”, a nie jedno przed drugim. W jaki sposób lata tłuste stoją obok lat chudych? Czy to możliwe, by zdarzyły się jednocześnie?

– A zatem jak to możliwe? – spytała Emili.

– Józef zdołał to wyjaśnić. Uświadomił sobie, że odpowiedź jest w samym śnie. Należało zacząć gromadzić ziarno natychmiast, przygotować się na głód w latach dostatku.

– Przepowiedział, że trzeba gromadzić, zanim pojawi się bezpośrednie zagrożenie. To pan ma na myśli?

– Tak. I podobnie jak jego biblijny wzór, Józef Flawiusz przewidział czas klęski. Zaczął wcielać w życie plan ocalenia menory, zanim było za późno.

## 49.

Zawiadowca stacji Colosseo, Carlo Pavan, siedział przygarbiony nad różowymi stronami „Gazzetta dello Sport”, gdy do jego szklanej dyżurki wpadł rozwścieczony funkcjonariusz policji. Miał zakrwawiony nos i wrzeszczał coś o dwóch zbiegach, którzy wtargnęły na dworzec

metra. Od tej chwili minęło dwadzieścia minut i było to najdłuższych dwadzieścia minut w pracy zawiadowcy od 2005 roku. W dniu, w którym podłożono bomby w londyńskim metrze, wszyscy podróżni rzymskiego metra jednocześnie rzucili się do ucieczki.

Od tej chwili dyżurka Pavana, nie większa niż dwie złączone budki telefoniczne, przeistoczyła się w miniaturową komendę policji. Funkcjonariusze wbiegali i wybiegali, gorączkowo przekazując kolegom z sąsiednich stacji polecenie, by obstawili teren.

Zgodnie z instrukcją policji Pavan nakazał, by autobusy zaparkowały przed stacją i zapewniły pasażerom transport do najbliższej stacji metra na Piazza Cavour. Jednak podróżni przeciwstawili się zawiadowcy i niewielu z nich wsiadało do autobusów. Do uszu funkcjonariuszy na peronach dochodziły gniewne pomruki o buncie, w razie gdyby następny pociąg nie zatrzymał się na dworcu. Bunt w czasie mojego dyżuru, pomyślał Pavan. Dlaczego ci zbiegowie nie wybrali sobie innej stacji?

Rufio stał obok automatów biletowych z zakrwawioną chusteczką w jednej dłoni i telefonem komórkowym w drugiej.

Był wściekły i miał wrażenie, że komórkowe połączenie internetowe działa jeszcze bardziej ślamazarnie niż zwykle.

Już podczas wizyty w kancelarii Dullinga wydawało mu się, że młody adwokat wygląda znajomo. Teraz wszystko złożyło się w sensowną całość: garnitur, który miał na sobie w podziemiach Koloseum, zranienie na dłoni. Nie obchodzi mnie, dlaczego się w to wplątałeś ani czym się kierujesz, myślał. Rufia interesowała odpowiedź na jedno proste pytanie. Jak brzmi twoje nazwisko?

Strona ładowała się powoli. Ukazała się tapeta z szarego marmuru i okazałe drukowane litery, które z wolna ułożyły się w napis: DULLING AND PIERCE LLP. Wreszcie pojawiło się tło strony, które stanowiła elegancka fotografia w sepii, przedstawiająca szklany wieżowiec. Rufio klikał na rozmaite wewnętrzne odnośniki: „Biura”, „Nowy Jork”, na koniec „Nasi adwokaci”.

Wędrował po stronie z narastającym poczuciem, że każdym kliknięciem bez wysiłku zbliża się do ofiary.

Zdjęcia. Uśmiechnął się. Każde nazwisko opatrzone było zdjęciem.

Jego kciuk przesunął się wzdłuż krawędzi mobilnego urządzenia, a on nie mógł się nadziwić liczbie fotografii. *Una fabbrica*, pomyślał. Przewijał dalej...

Jest. Czarno-białe zdjęcie przedstawiało lepszą wersję przerażonej twarzy, którą Rufio dopiero co widział we fluorescencyjnym świetle wagonu metra. Młody mężczyzna miał na sobie ciemny garnitur, jego głowa była lekko skierowana w bok. Poniżej widniało nazwisko „Jonathan Marcus”.

– To on? – Profeta zakłócił chwilę cichego triumfu Rufia.

Komendant zagadnął go spoza szeregu funkcjonariuszy pilnujących kołowrotek. – Rufio, zbierzcie wszystkich ludzi, których mamy w Koloseum, i postawcie ich przed stacją Termini. Szkoda, że nie przyjrzelście się lepiej podejrzanemu. Mogliśmy go zgarnąć z ulicy.

Nie chcę, żeby ktoś zgarnął go z ulicy, pomyślał Rufio. Jonathan Marcus w sali przesłuchań byłby dla niego niebezpieczny. Porucznik zerknął na zdjęcie. On musi zginąć.

– Ale masz dzień, Alessandro! – zawołał jeden z kolegów w randze porucznika. Rozległy się oklaski.

– Po prostu robię swoje – odparł Rufio. Inni policjanci spoglądali nań z podziwem. – Szkoda, że nie mogłem tego załatwić sam.

\* \* \*

– *Comandante* – rzekł Brandisi, podając Profecie telefon komórkowy. – Przed chwilą do pańskiego gabinetu zadzwonił ktoś z kurii.

Kardynał Inocenti czeka na rozmowę.

– Chodzi o wejście pod ołtarz w kościele San Pietro in Vincoli? – zdziwił się Profeta. Inocenti nigdy nie czepiał się go o drobiazgi.

– Nie – odparł Brandisi. – Kardynał zobaczył zdjęcia z nalotu, które wysłaliśmy do biblioteki watykańskiej.

– Kartki z rękopisu Józefa Flawiusza – domyślił się komendant.

– Interesuje go zwłaszcza jedna i dlatego prosi, żeby jak najprędzej spotkał się pan z nim w bibliotece.

## 50.

Emili siedziała obok Orvietiego przy stole w archiwum.

– Właśnie w tym celu jeńcy z Jerozolimy stworzyli w Złotym Domu malowidło podłogowe przedstawiające plan miasta. Chcieli, by lokalizacja „ukrytej bramy” pozostała w rękach potomków Józefa Flawiusza.

– Sądzę, że tak się stało – odparł Orvieti.

– Jednak mapa w Złotym Domu była zbyt zniszczona – zauważyła Emili. – A pan powiedział, że wszystkie szkice z epoki napoleońskiej zostały skradzione.

– Nie przekazano nam jej w postaci szkicu. Była zbyt ważna.

Jonathan i Emili spojrzeli po sobie.

– Więc jak to możliwe, że wciąż pan ją ma?

– Wydaje mi się, że została namalowana na ścianie synagogi po drugiej stronie Portico di Ottavia.

– *Signore* – powiedziała łagodnie Emili – w getcie nie pozostała ani jedna synagoga oprócz tej, w której jesteśmy.

– Wciąż jest po przeciwnej stronie ulicy – zapewnił Orvieti. – Pod gettem.

– Jak to: pod gettem? – zapytali chórem Emili i Jonathan.

– Teren ciągnący się wzdłuż Tybru leżał niegdyś o sześć metrów niżej niż obecnie. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim roku

papież nakazał podwyższyć poziom gruntu w żydowskim getcie. Dachy domów i sklepów stały się podstawą nowych ulic i budynków. Renesansowe getto z uliczkami i pierwszym piętrem sklepów nie zostało zburzone, lecz zabudowane od góry.

Orvieti zniknął między regałami i wrócił z wytartą księgą okazałych rozmiarów. Jonathan i Emili nie musieli spoglądać na ekslibris ani na czerwoną woskową pieczęć Watykanu, by wiedzieć, że jest to mapa getta powstałego w 1516 roku. Orvieti pochylił drobny tułów nad tomem i zaczął przewracać kartki. Szaroniebieskie szkice przedstawiały wąskie uliczki getta.

– Wciąż można się dostać do starych uliczek w getcie.

– Któreśdy?

– Spod kotłowni tego gmachu – odparł Orvieti. Poprowadził gości spiralnymi schodami do najniższej piwnicy synagogi, w której aż do przełomu wieków znajdował się piec. Orvieti pociągnął za sznurek i pomieszczenie oświetliła ciemna kołysząca się żarówka. Od przeżartego rdzą zbiornika na ropę odchodziły równie zardzewiałe rury.

Jonathan wsunął palce w oczka metalowej siatki grzewczej na ścianie i ściągnął ją delikatnie, jakby zdejmował obraz. Kratka wyskoczyła ze ściany i na buty Jonathana posypały się grudki betonu. Z ciemnego kwadratowego otworu doleciał wilgotny powiew.

– Dalej nie mogę pójść – oznajmił Orvieti, uśmiechając się nieznacznie. – Lekarz mówi, że powietrze jest zbyt rozrzedzone.

Jonathan pierwszy wczuł się do otworu, za nim wsunęła się Emili. W blasku ich latarek ukazały się dziewiętnastowieczne żelazne filary, które wyniosły ulice getta na obecny poziom.

Ruszyli po schodach dalej. Odór węglowego pyłu i szczurzych odchodów oblepił ich jak mgła. Podziemia otwierały się przed nimi niczym pejzaż zaginionego miasta, uliczki zaś wiodły coraz głębiej pod ziemię. Chwilami trudno było oddychać cuchnącym powietrzem. Widok przypominał nieco podwodną scenę: wszędzie leżały nadgniłe beczki i beczułki, do połowy zanurzone w mule, w snopach światła unosiły się drobinki kurzu podobne do planktonu, na frontach sklepików wciąż wisiały porośnięte glonami szyldy. Nietknięte, żywcem pogrzebane uliczki ciągnęły się na długości kilkudziesięciu metrów.

– *Portico* – rzekła ze zdumieniem Emili. Przed badaczami wyrósł podwójny szereg ogromnych granitowych kolumn, wysokości sześciu metrów. Cesarz kazał je zbudować dla swojej siostry Oktawu. – Z poziomu ulicy widać zaledwie górną część tych kolumn.

Z prawej strony ukazało się zapadnięte nadproże kamienicy; jej drewniane drzwi wygięły się i obsunęły pod ciężarem stuleci.

– Tutaj. – Emili wskazała dwie połączone zaokrąglone tabliczki ze stojącymi na dwóch łapach lwami po obu stronach.

Symbol ten jednoznacznie kojarzy się z Dziesięciorgiem Przykazań. – To musi być dom modlitwy.

Badacze weszli do środka i otoczyła ich gęsta ciemność. Blask latarek ukazywał dawną świetność wnętrza; poczuli się jak nurkowie w kajutach zatopionego luksusowego liniowca.

– Spójrz.

Jonathan skierował latarkę na fresk. Była to olśniewająca replika obrazu Jerozolimy, który zobaczyli w Złotym Domu. Oboje w milczeniu podziwiali nie tylko artystyczne mistrzostwo twórcy, lecz także jego dalekowzroczność. Mimo że był papieskim architektem, potajemnie ocalił spuściznę Józefa Flawiusza, w 1825 roku malując reprodukcję starożytnego fresku na ścianie synagogi.

– Pomyśl, ile w tym ironii – odezwała się Emili. – Valadiera zatrudnił papież, który przywrócił getto zlikwidowane przez Napoleona. Pius Siódmy nie mógł zdawać sobie sprawy z tego, co uczynił papieski architekt.

– Wątpię, czy ktokolwiek to wiedział – odparł Jonathan. – Członkowie kongregacji nawet nie podejrzewali, że ten fresk ukazuje trasę, którą przed dwoma tysiącami lat ze Wzgórza Świątynnego wyniesiono menorę.

– Zwróć uwagę na szczegółowość przedstawienia *Cardo Maximus*. – Emili wskazała główny

trakt starożytnej Jerozolimy. – Narysował nawet portyki po obu stronach, prowadzące do Wzgórza. – Plan był dokładnym, żywym odzwierciedleniem wyblakłej mozaiki, którą Emili i Jonathan odkryli przed godziną w podziemnym korytarzu Złotego Domu.

Jonathan zbliżył się do ogromnego obrazu Wzgórza Świątynnego z czterema potężnymi murami i wieżyczkami na rogach.

– Tutaj widać ledwie zaznaczoną czerwoną linię – rzekł, wskazując środek Wzgórza. – Biegnie w miejscu, w którym urywał się rząd kamieni umieszczonych w malowidle w Złotym Domu. – Jonathan powiódł dłonią po fresku, zdrapując obwódką latarki warstwę szarych grzybów.

– Ta ścieżka wiedzie przez współczesną muzułmańską dzielnicę Jerozolimy – powiedziała Emili. – Wydaje się, że tunel prowadzi od środka Wzgórza do fortecy Antonii. – Wskazała starożytną fortecę nakreśloną równoległe do północnej krawędzi fresku.

Pod czerwoną linią prowadzącą do fortecy na marginesie malowidła umieszczono mały łaciński cytat:

## *CUNICVLVS EZEKIAE*

*Sotto Cannone Chiesa*

– *Cuniculus* oznacza „tunel” albo „podziemne przejście” – przetłumaczył Jonathan. – Drugie słowo to dopełniacz imienia Hezekiah.

– Tunel Hezekiaha – podsumowała Emili. – Poniżej Valadier dopisał dodatkowy wers we współczesnym włoskim: „Pod kościołem kanonicznym”. – Wskazała odmienną czcionkę i barwę. – Giuseppe Valadier był jednym z pierwszych konserwatorów, którzy wyróżniali współczesne wstawki dodane do oryginału. Restaurując Łuk Tytusa

na Forum, świadomie użył trawertynu, w ten sposób starożytny marmur był doskonale widoczny.

– Tunel Hezekiaha – powtórzył Jonathan. – Co to oznacza?

– Wydaje mi się, że ta informacja mówi nam, w jaki sposób Józef Flawiusz wyniósł ze Wzgórza Świątynnego dwuipółmetrowy świecznik z czystego złota – rzekła z podziwem Emili. – Tunelem wykopanym przez króla Hezekiaha w ósmym wieku przed naszą erą.

## 51.

Czym prędzej wybiegli z podziemnego miasta i znów znaleźli się w dawnej kotłowni synagogi. Jonathan z powrotem umieścił kratkę na ścianie i wszedł na górę, a tymczasem Emili relacjonowała odkrycie Orvietemu. Na cyfrowym ekranie aparatu pokazywała mu zdjęcia fresku.

– Tunel Hezekiaha – powtórzył archiwista. – Oczywiście, że tak.

Podszedł do regału i z najwyższej półki zdjął jakąś księgę. Jonathan chciał mu pomóc, lecz Orvieti tylko machnął ręką.

– Muszę ćwiczyć – wyjaśnił łagodnie. Otworzywszy tom, wrócił do stołu.

– Księga Kronik – zauważył Jonathan.

– Zna pan historię króla Hezekiaha? – spytał Orvieti. Jonathan pokręcił głową; zawsze czuł się nieco winny, że jego znajomość epoki biblijnej nie dorównuje wiedzy o pogańskich kulturach

Rzymu i Grecji.

– Rzecz dzieje się około siedemsetnego roku przed naszą erą – mówił Orvieti, przerzucając cieniutkie jak chusteczka strony tekstu. – Król starożytnego Izraela, Hezekiah, postanawia zaprzestać płacenia *tangenti* królowi Asyrii. – Archiwista spojrział na Emili.

– Opłata za ochronę – przetłumaczyła z uśmiechem.

– Hezekiah wiedział, że wojska asyryjskie nie będą traciły czasu na oblężenie Jerozolimy – ciągnął Orvieti. – Mając świadomość, że miasto zostanie otoczone, zaprojektował kanał zaopatrzenia w wodę, biegnący pod Wzgórzem do źródła Gihon, które znajdowało się za murami miasta.

– Ale tunel został odkryty? – domyślił się Jonathan.

– Tylko jego południowy kraniec – odparła Emili. – W dziewiętnastym wieku chłopiec kąpiący się w arabskiej wiosce nieopodal Gihon natrafił na tunel i tabliczkę z ósmego wieku przed naszą erą, opisującą budowę korytarza, który przebiegał zgodnie z biblijnym opisem. Ale trasa przebiegu dalszej części tunelu pod Wzgórzem wciąż pozostaje tajemnicą.

– Można jednak przypuszczać, że nie stanowiła tajemnicy dla Józefa Flawiusza – rzekł Jonathan. – Dzięki temu zdołał wydostać się ze Wzgórza, a Rzymianie nie usłyszeli odgłosów kopania. Skorzystał z tunelu, który już istniał.

– Niestety, nawet jeśli ta hipoteza jest prawdziwa, nie sposób powiedzieć, którądy tunel biegnie pod współczesną Jerozolimą – zauważył Orvieti.

– Chyba że ujawnił nam to Valadier – odezwała się Emili. – Obok fresku był jeszcze jeden wers napisany po włosku. *Sotto Cannone Chiesa*.

– Pod kościołem kanonicznym? – spytał Orvieti.

– To musi być odniesienie do współczesnej lokalizacji tunelu – oznajmił Jonathan. – Pod kościołem kanonicznym.

Emili powiększyła obraz na ekranie cyfrowego aparatu.

– Sęk w tym, że w muzułmańskiej dzielnicy Jerozolimy stoi obecnie co najmniej dwadzieścia kościołów. Greckokatolickie, katolickie, franciszkańskie, armeńskie. Wszystkie przyznają się do któregoś z kanonów chrześcijaństwa.

– Chwileczkę – powiedział Jonathan. – Słowo *cannone* zapisane jest przez dwa „n”. Wydaje mi się, że to nie jest poprawna pisownia. Tak samo jak w angielskim, *canone* z jednym „n” oznacza „tradycję”, a z dwoma...

– Armatę – dokończyła Emili.

Jonathan skinął głową.

– Czyżby ta inskrypcja podpowiadała nam, abyśmy szukali kościoła pod wielką armatą? To nie ma sensu.

– Ale miało, kiedy inskrypcja powstawała w tysiąc osiemset dwudziestym piątym roku. Władza otomańska nad Jerozolimą się chwiała – zauważyła Emili. – Być może na którymś z kościołów stała armata służąca do obrony miasta.

– Może mamy tu jakieś plany Jerozolimy. – Orvieti zaczął przeszukiwać odległą część archiwum.

Jednakże Emili, głęboko pogrążona w obliczeniach, nie odpowiedziała. Wpatrywała się w cyfrowy obraz fresku, a w jej oczach czaił się łobuzerki błysk.

– Hola, hola – odezwał się Jonathan. – Chyba nie myślisz...

– Oczywiście, że tak...

– Emili, rozmawiamy o kościele w Jerozolimie, który stał tam dwieście lat temu. Nawet gdybyśmy dotarli do miasta, kościoła może już nie być. Nie można wsiąść do samolotu i liczyć na to, że cofniesz się do dziewiętnastego wieku.

– Owszem, można. Na Starym Mieście znajduje się dokładna makieta Jerozolimy, zbudowana w tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim roku na Targi Światowe. Jest wytłoczona z cynku i przedstawia najdrobniejsze szczegóły dziewiętnastowiecznej Jerozolimy łącznie z kolorowymi flagami konsulatów. Właśnie taką Jerozolimę widział ówczesny pielgrzym.

Emili dostrzegła zaciekawienie w oczach Jonathana.

– Nawet nie masz jak się tam dostać – powiedział. – Policja najprawdopodobniej zidentyfikowała nas dzięki filmom z kamer w metrze. Zatrzymaliby cię, zanim wsiadłabyś na pokład samolotu.

– Nie myślę o locie komercyjnym, Jon. – Emili podeszła do niego. – Na Piazza del Popolo działa placówka Światowego Programu Żywnościowego. Samoloty odlatują co tydzień z Ciampino i lądują na lotnisku Ben Guriona, a stamtąd żywność transportowana jest do Gazy.

– Lot ma się odbyć dzisiaj?

– Mam być na pokładzie tego samolotu.

– Emili, poczekaj choć jeden dzień, może uda nam się skontaktować...

– Z policją? – przerwała mu Emili. – I co im powiemy? Że zdołaliśmy odkryć szereg zakodowanych informacji od historyka z pierwszego wieku, co do którego mylą się wszyscy uczeni na świecie? Że wcale nie był zdrajcą, tylko podwójnym agentem, który zakonspirował się w Rzymie po to, by wynieść z tabernakulum świętą menorę? A zorganizowane przez Napoleona dwieście lat temu megalomańskie ekspedycje niechybnie wpadłyby na trop owych informacji, gdyby nie uratował ich osiemnastowieczny architekt pracujący na zlecenie papieża, potajemnie malując kopię starożytnego fresku w żydowskim getcie?

Jonathan westchnął i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– W takim razie lecę z tobą – oznajmił, znów czując ucisk w piersi. – Nie puszczę cię tam samej.

– Przed kilkoma godzinami powiedziałeś, że moja hipoteza jest... jak to ująłeś? Nieodpowiedzialna. A teraz zamierzasz wybrać się ze mną do Jerozolimy?

– Nie martwi mnie już to, że twoja hipoteza jest błędna. Obawiam się, że może być trafna. Nikt nie wie, co ci ludzie by z tobą zrobili, żeby zdobyć te informacje. To oni spowodowali wybuch pod Koloseum.

– A co z firmą? – spytała wyzywająco Emili. – Powiedziałeś, że jesteś im potrzebny.

– Teraz jestem potrzebny tobie – odparł Jonathan. – Nie tylko dlatego, że lepiej od ciebie znam łacinę. Mogę ci pomóc się w tym wszystkim połapać, utrzymać to wszystko w ryzach... I ochronić cię.

Emili podeszła do niego szybko z surową miną, jak gdyby ją rozgniewał albo uraził lekceważeniem. Pchnęła go między regały tak, że oboje zniknęli Orvietiemu z oczu.

– No dobrze, moja łacina nie jest lepsza od twojej... – zaczął Jonathan.

Jednak Emili nie pozwoliła mu dokończyć. Rozchyliła usta i pocałowała go mocno, splatając dłonie za jego głowę.

- Chwileczkę – powiedziała, odstępując od niego. – Jest pewien problem.
- W tym nie widzę żadnego problemu, wręcz przeciwnie...
- Brakuje ci dokumentów, żeby polecieć oenzetowskim samolotem. Bez *laissez-passer* nawet nie wejdiesz na płytę lotniska.

Jonathan wiedział, że dla tych, którzy legitymują się błękitnymi dokumentami ONZ, najtrudniejsze do przekroczenia granice nie stanowią przeszkody.

- Wydaje się je wyłącznie urzędnikom międzynarodowym, prawda?

Emili uśmiechnęła się konspiracyjnie.

- No cóż, w takim razie nieco zmodyfikujemy tę zasadę.

## 52.

Profeta kroczył korytarzem apartamentów papieskich, do których turyści nie mają wstępu. Strażnik w ceremonialnym stroju elżbietańskim stanął na baczność i otworzył kilka kolejnych drzwi prowadzących do Sala Consultazione Manoscritti, watykańskiej czytelni rysunków i rękopisów. Bardzo nieliczne grono niezależnych badaczy chrześcijańskich oraz watykańskich widziało na własne oczy zapierającą dech swoim ogromem czytelnię. Zapelnione starożytnymi tomami ściany rokokowej komnaty ciągnęły się niemalże w nieskończoność. Na suficie tańczyły cherubiny z książkami i kluczami, pergaminy zaś leciały z nieba jak deszcz na niezwyklej polichromii wykonanej w stylu *trompe l'oeil*.

Kardynał Inocenti siedział w małej niszy z biurkiem, niemal wypełniając ją swoim ciałem. Profeta zastanawiał się, jak ktoś z takim

zamiłowaniem do staroświeckiej rzymskiej kuchni mógł dożyć sędziwego wieku. Ponad pół wieku temu kardynał rozpoczynał karierę w kościele jako bibliotekarz; teraz, po odejściu na emeryturę z Kolegium Kardynalskiego, w którym spędził dwadzieścia lat, wrócił do swojego prawdziwego zamiłowania. A było nim katalogowanie popękanych i wyblakłych białych kruków zgromadzonych w murach Watykanu, gdzie wszystko się dla niego zaczęło.

Na biurku leżał kilkusetletni rękopis z poczerniałymi od ognia metalowymi okuciami.

- Dziękuję, że przybyłeś tak szybko, Jacopo. Masz przy sobie tę stronicę z manuskryptu?

Profeta podał kardynałowi kartkę w foliowej kopercie. Kardynał z najwyższą ostrożnością wyjął ją z osłony i złożył na otwartym tomie średniowiecznego rękopisu. Postrzępienie wydartej kartki idealnie pasowało do resztki pozostałej w księdze.

- Skąd ksiądz kardynał wiedział, że kartka pochodzi z tej księgi? – spytał Profeta.

– Przez dwieście lat ginęły u nas kartki z wielu rękopisów Józefa Flawiusza – odparł kardynał. – W tysiąc osiemset dziewiątym roku Napoleon sforsował mury Rzymu i rzucił Watykan na kolana. Mógł mieć wszystkie skarby na jedno skinienie, a co zabrał? Nie najcenniejsze dzieła sztuki, pomniki Augusta czy Grupę Laokoona. On przysłał do biblioteki swoich archeologów, by przejrzeni rękopisy Józefa Flawiusza.

- Dlaczego wybrał jego dzieła z całych zbiorów biblioteki apostolskiej? – zdziwił się Profeta.

– Wszak jego kronik nie uważa się nawet za wiarygodne źródła historyczne.

– W każdym razie nie uważa się ich za najbardziej historyczne – uściślił kardynał, podnosząc palec.

- Wasza Eminencjo – rzekł Profeta – Cesarz Rzymu zamówił u Józefa historię oblężenia



Jerozolimy w celach propagandowych. Jest równie stronicza, jak gazety Berlusconi w kwestiach politycznych.

Kardynał parsknął śmiechem.

– Z całą pewnością Tytus życzył sobie, żeby Józef napisał kronikę pochlebną dla Rzymu, ale jeśli Józefowi chodziło po głowie coś innego? Może tylko upodobił swoje dzieła do kronik imperialnych, przesycając je właściwą symboliką i propagandą? Józef mógł wykorzystać rzymską maszynę propagandową po to, by utrwalić tajemnicę, która w innym razie by nie przetrwała.

– Tak więc ten, kto ukradł te kartki, poszukuje jakiegoś przesłania... – Profeta nagle zamilkł.  
– To by tłumaczyło, dlaczego złodzieje zaznaczali kółkami litery w niektórych ustępach. Szukali w tekście Józefa liter znajdujących się w takiej samej odległości.

Kardynał Inocenti skinął głową.

– Stanowiłoby to również odpowiedź na pytanie, dlaczego wasze badania laboratoryjne wykazały, że pergamin został potraktowany azotanem potasowym. Złodzieje szukali wytartych słów pod tymi, które są widoczne.

– Tego rodzaju wysiłki podejmują uczeni, a nie złodzieje antyków. Ci ludzie nie są miłośnikami historii, tak jak Wasza Eminencja.

– Ja nie mówię o historii – odparł kardynał, nie spuszczać oka z Profety. – Mówię o cheiwości, *comandante*. Ci ludzie wierzą, że Józef zostawił w swoim tekście przesłanie tak cenne, iż gotów był poświęcić dla niego swoją reputację. Być może chodzi o jakiś obiekt bądź skarb pozostawiony tym, którzy przeżyli w spustoszonej Jerozolimie. – Kardynał uniósł kartkę z rękopisu. – Badają rękopisy Józefa za pomocą środków chemicznych, szukają zakodowanych informacji w łacińskich tekstach. Kiedyś podzieliłeś się ze mną pewnym porzekadłem dotyczącym skradzionych antyków.

– Im wspanialszy zabytek, tym większy złodziej.

– *Veramente* – potwierdził kardynał Inocenti, po czym obrócił krzesło i sięgnął po szarą kopertę, leżącą za jego plecami. – Zakonnicy w naszych jerozolimskich klasztorach od lat śledzą nielegalną działalność archeologiczną prowadzoną pod Wzgórzem Świątynnym.

Wzgórze znajduje się pod jurysdykcją islamskiego funduszu powierniczego o nazwie Waqf. Jest to organizacja tak tajemnicza, że w porównaniu z nią sprawy wewnętrzne Watykanu jawią się niczym otwarta księga.

Kardynał podał Profecie zdjęcia. Każde przedstawiało pokaźny stos gruzu pośród oliwnych zagajników. Tu i ówdzie wystawały z nich odłamki marmuru i terakoty.

– Co to jest?

– Bezcenne ruiny pochodzące spod Wzgórza Świątynnego – odparł kardynał. – Porzucono je w dolinie Kidron, gdzie je znaleźliśmy. Były systematycznie mieszane w celu uniemożliwienia przyszłych badań archeologicznych.

– Te nielegalne wykopaliska prowadzi Waqf?

– Nie bezpośrednio. W zarządzie Waqf zasiada wielu religijnych i czcigodnych imamów, którzy nic o nich nie wiedzą. Jednak garstka innych wykorzystwała władzę Waqf nad Wzgórzem, by zezwolić na długotrwałe i katastrofalne zniszczenia. Nasi informatorzy chrześcijanie z Jerozolimy donieśli, że widzieli, jak do Muzeum Islamskiego na Wzgórzach wnoszone są skrzynie z bezcennymi rękopisami Józefa Flawiusza, a także szczegółowe mapy topograficzne Rzymu.

- Ksiądz kardynał powiada, że ktoś prowadzi wykopaliska w Rzymie, by znaleźć konkretne miejsce znajdujące się pod Wzgórzem Świątynnym – zauważył Profeta.
- Co gorsza, obawiam się, że ów ktoś dopiął swego. Uważamy, że Saladyn spowoduje niebawem eksplozję w Jerozolimie. Nasi ludzie w Betlejem informują o przemyśle przez terytorium Syrii pianki nitrocelulozowej, a także mat ze sprasowanej gumy.
- Ksiądz kardynał spodziewa się wybuchu w Jerozolimie?
- Uważamy, że ci ludzie szykują eksplozję pod Wzgórzem Świątynnym.

## 53.

Motocykl zbliżał się do zapuszczonego powojennego bloku na przedmieściu Rzymu. Budynek miał sześć kondygnacji. Metalowe elementy konstrukcji były zardzewiałe, a pęknięcia wokół okien na parterze uwidaczniały miejsca, w których wyrwano kraty zabezpieczające.

- Podejrzewam, że tego obiektu nie ma na mapach turystycznych – odezwał się Jonathan.

Na drzwiach widniał szyld w kształcie tarczy heraldycznej. Napis głosił: RAOUL FRADELI, ARCYDZIEŁA, SZTUKA PORTRETOWA.

- No to jesteśmy – oznajmiła Emili.
- Fradeli? – zdziwił się Jonathan. – Nazwisko brzmi znajomo.
- Ani się obejrzysz, jak zostaniesz pracownikiem ONZ.

Jonathan zerknął na ręcznie namalowany szyld.

- Arcydzieła? Tylko mi nie mów, że to fałszerz.
- Spójrz na to pozytywnie. Za chwilę będziesz miał jedną z najlepszych na świecie imitacji oenzetowskiego paszportu.

Jonathan wiedział, że dzięki pewnej ręce i doskonałemu oku do podrabiania podpisów fałszerze mogli dobrze zarabiać na wytwarzaniu fałszywych paszportów ONZ. Opłacało się to znacznie bardziej niż ślęczenie miesiącami nad kopią obrazu Moneta, która musiała konkurować z plakatami w pierwszym lepszym sklepiku na rogu ulicy.

- To nazwisko naprawdę brzmi znajomo – powiedział Jonathan.

Emili nacisnęła guzik dzwonka.

- *Quem é?* – zapytał szorstki głos po portugalsku.
- Raoul, to ja, Emili.

Metaliczny dźwięk dzwonka rozległ się echem w alejce. Emili i Jonathan ruszyli w górę po skrzypiących, przetartych niemal na wylot schodach. Gdzieś z klatki schodowej dobiegały zgrzytliwe akordy opery odtwarzanej ze starego gramofonu. W powietrzu unosiła się ostra woń pleśni.

- Chwileczkę... Raoul Fradeli... – wyszeptał Jonathan. Przed trzema laty kancelaria Dulling and Pierce reprezentowała muzeum z Detroit w procesie przeciwko małemu włoskiemu handlarzowi sztuki. Firma ubezpieczeniowa muzeum przeprowadziła śledztwo w sprawie eksponatu i stwierdziła, że pochodzi on ze studia Raoula Fradelego. Fradeli twierdził, iż tylko odrestaurował obraz dla handlarza, lecz było jasne, że namalował go od początku do końca.

Jonathan zatrzymał się na podeście schodów.

- Emili, ja poznałem tego faceta przy okazji procesu.
- Na twoim miejscu nie wspominałabym o tym ani słowem.

– A jeśli on mnie rozpozna? – spytał szeptem Jonathan.

Przypomniawszy sobie spotkanie w sali konferencyjnej w biurze firmy w Nowym Jorku. Siedział naprzeciwko Raoula Fradelego i patrzył, jak starsi prawnicy zasypują go pytaniami. Biegli nie mogli dojść do zgody, które części obrazu są oryginalne.

– Oskarżenie przeciw niemu zostało oddalone – dodał.

Emili już miała zapukać, lecz nagle się odwróciła.

– Mówiłam ci, że jest dobry.

Raoul otworzył drzwi. Miał na sobie białą marynarkę z postawionym kołnierzem i beret ściągnięty na bakier. Jego twarz zdobił trzydniowy zarost. Wyglądał jak typowy przedstawiciel bohemy artystycznej. Na widok Jonathanana mina Raoula momentalnie uległa zmianie.

– A to, kurwa, co za jeden? – spytał po angielsku z portugalskim akcentem.

Emili przeszła obok niego.

– Przyjaciół, który potrzebuje przysługi.

Raoul przyglądał się Jonathanowi, mrużąc oczy, jak gdyby jego twarz z czymś mu się kojarzyła.

– I który hojnie za nią zapłaci – dodała Emili.

Raoul nagle się rozpromienił.

– W takim razie twój przyjaciel jest również moim przyjacielem. *Benvenuto*.

Na ścianie wisały repliki Goi, Picassa i niedokończony obraz Jacksona Pollocka. W umywalce mały szkic ołówkiem moczył się w mydlanych bańkach; tą metodą można w ciągu kilku godzin postarzyć pergamin o setki lat.

Emili wzięła Raoula na stronę i pokazała mu *laissez-passer*, wydawany urzędnikom Organizacji Narodów Zjednoczonych. Gospodarz niechętnie skinął głową i wziął od niej dokument.

– Ja znam tego faceta? – spytał szeptem po włosku.

– Nie znasz go, Raoul.

– Jesteś pewna?

– Zapłacę ci, ile chcesz, i zniknę z twojego życia – odezwał się Jonathan z pewnością równie fałszywą jak otaczające go obrazy.

Raoul odwrócił się do Emili.

– On mi się podoba – rzekł, wskazując Jonathanana. – Podobasz mi się, więc dam ci zniżkę.

Z dokumentem Emili podszedł do kuchenki i pomieszał w garnku, w którym gotował makaron. Następnie usiadł przy stoliku naprzeciwko Jonathanana.

– *Le bleu?* – zapytał.

– Co to jest *le bleu*?

– Najbardziej pożądane – odparł Raoul, unosząc mały niebieski paszport Emili. – Oenzetowski *laissez-passer*. Otwiera każdą granicę na świecie – dodał nieco ciszej, lecz tonem pełnym szacunku.

– Ile będzie kosztował? – zapytała Emili.

– *Mille*.

Tysiąc euro! – krzyknął w duchu Jonathan. Emili skinęła głową na znak, że to godziwa cena.

– Może być – powiedział ku swemu zaskoczeniu Jonathan, sięgając do kieszeni i odliczając banknoty. Była to prawie cała gotówka, którą wyciągnął przed wyjazdem z Rzymu.

Raoul, nie odrywając wzroku od oczu klienta, wysunął rękę, jakby chciał wyrwać mu pieniądze. Jonathan cofnął dłoń i spojrział na kuchenkę. Burczało mu w brzuchu.

– To pasta?

Raoul skinął głową.

– Dolicz obiad do ceny.

Gospodarz z uśmiechem zaprowadził Emili i Jonathana do pokoiku w tylnej części mieszkania, w którym stał skaner i urządzenie do laminowania. Jonathana uderzył kontrast między nowoczesną techniką i zakurzonym studium malarskim. Emili tylko rzuciła okiem.

– Cieszymy się, że jest profesjonalistą – wyszeptła.

– To będzie prawdziwy człowiek – rzekł Raoul, zakładając okulary z jubilerskimi lupami. – Nawet jeśli przepuszczą paszport przez skaner, okaże się, że odpowiada jednemu z piętnastu tysięcy dokumentów wydanych przez ONZ.

Wyjął niewypełniony niebieski paszport ONZ, brzytwę oraz cienki marker, opuścił szkła powiększające i zabrał się do pracy.

Emili i Jonathan czekali przy stoliku obok stosu brudnych naczyń w zlewozmywaku. Słyszeli odgłosy cięcia i pracy skanera. Na ścianie kuchni wisiały niedokończone szkice Chagalla, wydzielające atramentowy zapach popiołu i kredy. Gdy makaron się ugotował, Emili przyniosła dwa dymiące talerze.

– Mam do ciebie pytanie – powiedziała.

– Jeśli chcesz spytać, czy pamiętam, jak uczyłaś mnie nawijać makaron, rozczaruję cię.

– O twoją pracę w kancelarii. – Emili oparła się na krześle. – Wciąż dziwię się, że reprezentowałeś tego handlarza antyków przed paroma miesiącami.

– Którego?

– Cavettiego. Wiedziałaś, że facet ma brudne łapska. Prowadzi pod Neapolem nielegalne wykopalisko wielkości stadionu piłkarskiego.

– Ale tamten eksponat nie został nielegalnie wykopany. I na pewno nie należał do żadnego muzeum we Włoszech.

– Skąd masz taką pewność?

– Ponieważ był podróbką.

– Co takiego? – Emili otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– Łacińska inskrypcja była zapisana według zasad gramatycznych, które powstały dopiero w dziesiątym wieku, a uczesanie tej kobiety przypominało renesansową *pinup girl*.

– Żaden inny biegły nie zwrócił na to uwagi?

Jonathan wzruszył ramionami.

– Ktoś w końcu coś zauważy.

– A zatem uchroniłeś Włochów przed kompromitacją, która groziłaby im, gdyby wystawili w muzeum fałszywkę, Cavettiemu uratowałeś twarz w świecie handlu sztuką, a firmie zapewniłeś kolejne zwycięstwo.

– Trudno to uznać za rozwiązanie heroiczne, ale sprawiedliwości nie zaprowadzają już bohaterowie z mieczami w dłoniach – odparł Jonathan. – Robią to adwokaci.

– Wyprawa ze mną do Jerozolimy jest rozwiązaniem heroicznym – rzekła łagodniej Emili. – Jak wyjaśnisz tę decyzję, mecenasie?

– Gra toczy się o jeden z największych skarbów starożytnego świata, Emili.

Oboje wiedzieli, że prawdziwej odpowiedzi na to pytanie nie należy wypowiadać, mimo iż wisiała w gęstym od zapachów powietrzu. Ponieważ prawie cię utraciłem. Bo setki razy wyobrażałem sobie, jak leżysz w katakumbach, przysypana gruzem, a z twoich ust sączy się krew. Bo pamiętam, jak chwyciłem cię za nadgarstek, gorączkowo szukając pulsu i szepcząc do ucha: „Zostań ze mną... zostań ze mną”.

– Mówiłeś coś, Jon? – spytała Emili, siadając. – Przed chwilą powiedziałeś „zostań ze mną”.

– Miało być „zostać z tobą” – odparł Jonathan, wierząc się na krześle. – Chciałbym zostać z tobą.

– Potrzebny mi twój prawdziwy paszport – odezwał się z pokoju Raoul. Jonathan z wdzięcznością przywitał jego głos.

– Do czego?

– Tylko go pożyczę, popracuję nad nim i oddam. – Raoul ponownie opuścił lupy na okulary. – Laminat na zdjęciu musi być zmatowiały i pomięty. Nowe zdjęcie to murowana wpadka.

Jonathan patrzył, jak Raoul maltretuje jego prawdziwy paszport i poddaje przemiałowi jego tożsamość. Starożytni Rzymianie zdzierali i myli pergaminy, by ich ponownie użyć, lecz *scriptio inferior* wychodził po latach na wierzch, gdy zwierzęca skóra się starzała. Emili wzięła Jonathana za rękę i tłumaczyła, w jaki sposób nawija się makaron na łyżkę, a on uświadomił sobie, że *scriptio inferior* jego przeszłości wyłazi na wierzch z zatrważającą wyrazistością.

– Tylko nie poplamcie sosem pomidorowym Chagalla, który leży na blacie, bardzo was proszę – rzucił Raoul, unosząc głowę. Przez szkła powiększające jego oczy wydawały się komicznie duże. – Niedawno sprzedałem go do British Museum.

## 54.

Generał Eilat Segev siedziała w swoim gabinecie w Izraelskim Zarządzie Starożytności. Biuro mieściło się we wschodniej Jerozolimie w Muzeum Rockefellera, którego dziewiętnastowieczny gmach, zbudowany w stylu bizantyjskim, wyglądał jak wyciosany z jednej bryły piaskowca. W korytarzach tuż obok gabinetu stały bezcenne greckie rzeźby i kapitele kolumn z epoki rzymskiej; oparte o drewniane skrzynie zabytki wyglądały tak, jakby znajdowały się w magazynie. Sceneria ta nasuwała skojarzenia z ascetycznymi zwyczajami brytyjskiej archeologii w latach dwudziestych dwudziestego wieku. Być może działo się tak dlatego, że izraelski rząd nie kwapił się do wydawania fortuny na budynek stojący w głębi terytorium arabskiego. Wolny od ozdób wystrój Muzeum Rockefellera idealnie licował z siłą i prostotą wizerunku generał Eilat Segev, kobiety, która stała na czele jedynej w Izraelu organizacji walczącej z nielegalnymi wykopaliskami i pokątnym handlem zabytkami.

Pani generał pochyliła się nad biurkiem. Miała długie siwe włosy zaczesane do tyłu i odsłaniające opaloną i pomarszczoną za sprawą trzydziestu lat pracy w terenie twarz. Generał Segev analizowała mapy archeologiczne terenu leżącego na południe od Wzgórza Świątynnego. Wciąż miała na sobie tę samą zakurzoną białą bluzkę i oliwkowe spodnie, w których nieco wcześniej dokonywała oględzin wykopalisk. Jej strój kojarzył się ze stylem wojskowym, zwłaszcza gdy pochyliła się nad mapami. Kiedyś, jako dowódca elitarnego oddziału zwiadowczego, rozpracowywała nocne ruchy syryjskich wojsk nad granicą.

Archeologia była jej pierwszą miłością, lecz mogła się jej poświęcić dopiero po zakończeniu kariery wojskowej. Ta zaś raptownie dobiegła końca w Sharm el-Sheikh, gdzie dowodziła pododdziałem służby bezpieczeństwa ochraniającym zagranicznego dygnitarza. Kula przeznaczona dla izraelskiego ministra spraw zagranicznych trafiła w brzuch Eilat Segev. Zamiłowanie do archeologii oraz gorąca rekomendacja z ministerstwa sprawiły, że pani generał została przeniesiona do Zarządu Starożytności.

Sądziła, że realizowaniu tej pasji będzie towarzyszył większy spokój. Chciała pójść w ślady kolegów żołnierzy, takich jak Yigael Yadin, który przez całe lata poszukiwał zabytków w żyznej archeologicznie izraelskiej ziemi i chronił je przed rabusiami. Okazało się jednak, że kierowana przez nią organizacja bardziej przypomina Mossad niż urząd ochrony zabytków. Agenci w cywilu codziennie odkrywali nowe tunele wykorzystywane do przemytu zabytków i broni z Egiptu do Strefy Gazy. Zatrudnieni przez urząd chasydzcy informatorzy śledzili poczynania ekstremistycznych grup religijnych, dążących do niszczenia muzułmańskich zabytków. Generał Segev brała udział we wszystkich wojnach prowadzonych przez Izrael od 1967 roku, lecz chroniła muzułmańskie zabytki z takim samym poświęceniem, z jakim walczyła na Zachodnim Brzegu Jordanu.

Zadzwoił telefon.

– Segev.

– Generał Segev? – Włoski akcent Profety i jego chrapliwy głos nietrudno było rozpoznać. Na dodatek policjant zawsze używał w rozmowie stopnia wojskowego.

– Słucham, Jacopo. – Eilat Segev odpowiedziała po angielsku, gdyż w tym języku najłatwiej było im się porozumieć.

W innych okolicznościach wymienialiby się wspomnieniami z dawnych lat, gdy dzięki współpracy Tutela del Patrimonio Culturale z Zarządem Starożytności udało się rozbić szajkę handlarzy rękopisów w Ammanie. Profeta wiedział jednak o trudnościach i niebezpieczeństwach, z jakimi musi się borykać jego rozmówczyni. Kiedyś zaskoczyła słuchaczy podczas dyskusji panelowej w Palazzo dei Conservatori w Rzymie. Zapytana o różnicę pomiędzy ruinami w Rzymie i Izraelu, odpowiedziała: „To proste. W Rzymie ruiny są martwe”.

– Pani generał – zaczął Profeta. – Wykryliśmy w Rzymie szereg nielegalnych wykopalisk, którymi może kierować zarząd Waqf w Jerozolimie.

– Waqf? – zapytała Segev.

– Czy otrzymała pani z UNESCO jakieś informacje na temat aktywności na terenie stanowisk archeologicznych we Wzgórzu Świątynnym?

– Nie mogę tam wysłać ani jednego funkcjonariusza, ale mamy doniesienia o dewastacji na masową skalę, której się tam dokonuje.

– Dewastacji?

– W islamskim świecie politycznym upowszechnił się zamysł usunięcia ze Wzgórza wszelkich judeochrześcijańskich pozostałości archeologicznych. Jasir Arafat codziennie zaprzeczał, by kiedykolwiek istniały tam jakieś świątynie.

– Nie może pani wysłać archeologów z UNESCO nawet na krótką inspekcję?

– Ariel Sharon pojawił się tam na dziesięć minut, a później przez pół roku musieliśmy tłumić zamieszki. Wielu uważa, że postawienie stopy na Wzgórzu dało mu mistyczną moc, dzięki której odżyły jego aspiracje polityczne.

Niespełna dwa miesiące po tej wycieczce został premierem. Przestraszyliśmy się, że politycy ustawią się w kolejce do Wzgórza.

Oboje rozmówcy parsknęli śmiechem.

– Pani generał, w czasie naszego śledztwa w Rzymie wypłynęło nazwisko Saladyna.

– To pseudonim bojowy człowieka, którego podejrzewamy o prowadzenie wykopalisk pod Wzgórzem Świątynnym. Jacopo, jest pan w pobliżu faksu?

Profeta od razu zrozumiał, dlaczego Segev woli skorzystać z prymitywniejszego środka komunikacji. Chce przekazać poufną informację. Przeczytaj i zniszcz.

Podłączony do bezpiecznej linii faks obok biurka komendanta włączył się i po chwili ukazało się czarno-białe zdjęcie.

Fotografia przedstawiała czterech mężczyzn stojących na rusztowaniu konserwatorskim przy Kopule na Skale.

– Odebrał pan?

– Prace restauracyjne? – upewnił się Profeta.

– To przykrywka – wyjaśniła generał Segev. – Dzięki temu mają pretekst, by dostać się pod powierzchnię Wzgórza.

Jeden z mężczyzn stojących na rusztowaniu odwrócił głowę. Widać było tylko jej tył pokryty szczecina czarnych, krótko obciętych włosów.

– Ten z odwróconą głową wie o obecności aparatu – oznajmił komendant.

– Uważamy, że to właśnie jest Saladyn.

– Czy Interpol dysponuje zdjęciem, które moglibyśmy rozesłać?

– Po pięciu latach obserwacji nie mamy nawet próbki jego głosu z telefonu komórkowego. Wiemy tylko tyle, że Waqf zezwala mu na prowadzenie wykopalisk pod Wzgórzem.

– Ten facet musiał zdobyć nie byle jakie wykształcenie – zauważył Profeta. – Znaleźliśmy setki luźnych kartek z rękopisów Józefa Flawiusza. W czasie nalotu na jego tajne laboratorium odkryliśmy

kobiece zwłoki w starożytnym stroju, zachowane w używanej przez starożytnych Rzymian mieszance olejków, którą opisał Pliniusz. Segev słuchała w milczeniu.

– Jacopo, czy na jej ciele znajdowała się inskrypcja? – spytała głosem, z którego nagle uleciały wszelkie oznaki przemęczenia.

– Tak, to było greckie wyrażenie. „Przez pępek świata”.

– Jest pan pewien, że tak brzmiały te słowa? – dopytywała generał.

Profeta poczuł, że wkroczył na niebezpieczny grunt, i nagle wyrosła między nimi bariera.

– Coś mi mówi, że zabrnąłem dalej, niż mi się wydawało.

Eilat Segev milczała przez chwilę.

– Jacopo, nie bez powodu zwał pana prorokiem.

## 55.

Mimo że była północ, na rzymskim lotnisku Ciampino zgromadził się tłum pasażerów, których loty były opóźnione z powodu deszczu. Jonathan mocniej naciągnął na czoło czapkę rzymskiej Romy. Wtopiwszy się z Emili w wycieczkę religijną z Devonshire, zbliżali się do bramek. W odróżnieniu od międzynarodowego lotniska Fiumicino, z którego odbywały się

wyłącznie loty komercyjne, Ciampino pełniło funkcje cywilne i wojskowe. Dziesiątki żołnierzy w pełnym umundurowaniu, kręcących się w sklepach wolnocłowych, nie uspokajało napiętych nerwów Jonathana.

W ręku trzymał paszport ONZ w skórzanej oprawie.

– Zainkasował tysiąc euro i nawet nie pozwolił mi wybrać ojczyzny – powiedział Jonathan, spoglądając na Emili. – Nie mam bladego pojęcia o Kanadzie.

Rozeźleni podróżni oblegali kasy biletowe tanich włoskich linii regionalnych, dzięki którym Ciampino zaczęło w ostatnich latach prosperować. Emili prowadziła Jonathana przez tłum do schodów

wiodących na antresolę. Znajdowały się tam sześcienne pomieszczenia o ścianach z pleksiglasu, mieszczące biura obsługi klientów korporacyjnych, pasażerów oraz agend Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Punkt obsługi ONZ był tuż obok posterunku ochrony lotniska. Ochroniarze jedli panini, oglądając serial *Prawo i porządek* z włoskim dubbingiem. Żaden nawet nie odwrócił głowy, gdy Jonathan i Emili wchodzili do sąsiedniego biura.

– *Ciao, Andre* – odezwała się Emili do oenzetowskiego administratora. Mężczyzna miał na sobie niebieski uniform i ściągnięty na bok krawat, a z jego ramienia zwisał oberwany epelet. Najwidoczniej nie spodziewano się tu w najbliższym czasie kontroli zwierzchnictwa. – Mógłbyś nas przeprowadzić przez cło? Chcemy zdążyć na samolot do Izraela o dwunastej.

Andre pokręcił głową i roześmiał się.

– To za czterdzieści minut! Czy wy się kiedyś nauczycie? – Odłożył kanapkę na biurko. – Będzie na styk, jak zawsze. Niczego nie obiecuję.

Emili przedstawiła Jonathana, który nie mógł przestać myśleć o tym, że po drugiej stronie przezroczystej ścianki siedzi ośmiu gliniarzy i ogląda amerykański serial z włoskim dubbingiem. Usłyszał strzały i aż podskoczył. Dźwięk gitary basowej z motywu przewodniego filmu przypominał mu, że to tylko program telewizyjny.

– Za dużo kawy? – spytał z uśmiechem Andre.

Poprowadził Emili i Jonathana murowanym korytarzem dla pracowników. Szczęśliwy, że ma szansę poćwiczyć swoją łamaną angielszczyznę, dzielił się z Jonathanem trywialnymi informacjami o lotnisku.

– Port lotniczy z największy wiek! – oznajmił dumnie.

– Andre chce powiedzieć, że Ciampino to najstarsze handlowe lotnisko na świecie – szepnęła Emili do ucha Jonathana. – Istnieje od tysiąc dziewięćset szesnastego roku.

Jonathan uprzejmie skinął głową. Oby samoloty były młodsze.

Przez automatyczne drzwi wyszli na oświetlony reflektorami asfalt i zbliżyli się do odgradzonego linami terenu za szeregiem generatorów. W ciemności widać było linie zielonych światełek; obok przemykały ciężarówki należące do Lufthansy, błyskając pomarańczowym światłem. Andre zmierzał w stronę oenzetowskiego samolotu, rosyjskiego AN-30 z napędem turbośmigłowym. Samolot miał płaski przód w kształcie pigułki i archaiczne okrągłe okienka, nieco podobne do okrętowych. Emili mówiła coś do Jonathana, lecz jej głos nie miał szans przebić się przez ryk wirujących turbin. Wyblakła chorwacka flaga na ogonie świadczyła o tym, że wycofany przed laty ze służby wojskowej samolot przystosowano do lotów przez Morze Śródziemne w barwach ONZ.



– Co to jest UNFAO? – spytał Jonathan, wskazując jasnoczerwone oznaczenie.

– Samolot należy do Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa, która ma siedzibę na Piazza del Popolo.

Dwaj piloci stali pod brzuchem maszyny, rozmawiając z mechanikami; wyglądali jak kierowcy taksówek, gawędzący przed wyjazdem do pasażerów.

Emili i Jonathan wspięli się do luku po pomarańczowej drabinie. Aluminiowe wnętrze samolotu pokrywała cienka wykładzina. Dzięki poświacie kontrolki w kabinie pilotów widać było ładunek samolotu, który stanowiły długie szeregi ustawionych w stosy mrozonek. Dla pasażerów przygotowano zaledwie dwa stojące naprzeciw siebie fotele.

Gdy tylko piloci wsiedli, a Emili i Jonathan zajęli miejsca, samolot niespodziewanie ruszył. Piloci nie ogłosili żadnego komunikatu.

Nie będzie demonstracyjnych ostrzeżeń o zachowaniu bezpieczeństwa, pomyślał Jonathan. Samolot drżał lekko pod własnym ciężarem, metal stękał niczym przerdzewiała karuzela. Silniki zapiszczały jak czajnik, każde połączenie metalowego kadłuba trzasnęło, jakby cała maszyna miała lada chwila rozpaść się na kawałki. Emili

przeglądała plany Jerozolimy, nie zwracając na, nic uwagi. Koła oderwały się od ziemi i nagle zapanował spokój. W dole zamigotały jasne punkciki świateł, znaczące brzegi Tybru.

– Wszystko w porządku – powiedziała Emili, jak gdyby uspokajała wielkiego zwierza. Jej wzrok skierowany był na metalowy sufit samolotu. – Trochę się zasiedziałeś, normalna rzecz. – Po chwili spojrzała na Jonathana, który zrozumiał, że jej słowa były skierowane do niego, a nie do maszyny.

Samolot znalazł się nad ciemną powierzchnią Morza Śródziemnego. W wąskim snopie światła padającym z lampki nad fotelem Emili przeglądała obrazy klasztorów na planie.

– Co ty tam zobaczyłeś? – spytała nagle, unosząc głowę.

– Tam, to znaczy gdzie?

– Siedem lat temu w katakumbach, zanim się zaważyły. Coś zobaczyłeś, prawda? Jakiś fresk lub inskrypcję. Coś, co potwierdzało twoją hipotezę o spisku Józefa na cesarskim dworze.

Jonathan odwrócił głowę. Nigdy nie rozmawiali wprost o tamtej tragedii. Emili wiedziała, że Jonathan pieczołowicie odgrodził to wspomnienie i zepchnął je gdzieś na peryferie świadomości.

– Kiedy zeszłaś po linie do katakumb, Gianpaolo i ja byliśmy kilka metrów przed tobą. – Pamiętał, jak szli nisko sklepieniem korytarzem. Obrazy były na przemian to zamglone niczym słaba transmisja telewizyjna, to znów żywe i przerażająco wyraźne. – Weszliśmy z Gianpaolem do dużej pieczary, której wszystkie trzy ściany pokrywał starożytny fresk. Malowidło na pierwszej ścianie przedstawiało wielką arenę. Stał na niej brodaty starzec w arystokratycznej todzie, *damnatio ad bestias*. Skazany na pożarcie przez bestie. – Wzrok Jonathana był nieobecny, jak gdyby wciąż widział obrazy na ścianach grobowca. – Następna scena przedstawiała ucieczkę skazańca, który wypada przez podłoże areny.

– Przez zapadnię?

– Właśnie tak. Na trzeciej ścianie widać było, jak niesie pochodnię w podziemnym tunelu wychodzącym z Koloseum. Siwa broda i arystokratyczny strój wskazywały, że odgrywał jakąś rolę na cesarskim dworze.

– Teraz jesteś przekonany, że mężczyzną przedstawionym na obrazach był Józef Flawiusz, prawda?

Jonathan skinął głową.

– Pod malowidłem znajdował się słynny cytat ze Swetoniusza. „Po ucieczce pewnego jeńca z Koloseum Tytus gorzko zapłakał”. To, co dzisiaj zobaczyliśmy, świadczy, że Tytus nie rozpaczął wyłącznie z powodu zdrady Józefa. Wróżbici poinformowali go, że prawdziwa menora wymknęła mu się z rąk, i ta myśl głęboko go przybiła.

Na twarzy Jonathana malowało się skupienie, jak gdyby usiłował trzymać w ryzach bolesne wspomnienia.

– Gianpaolo przekazał Szarifowi przez radio, że znaleźliśmy malowidło, i wtedy grobowiec się zawalił.

Jonathan spojrział na światło błyskające na skrzydle samolotu. Jednak czerń tamtej straszliwej nocy wydawała się tak samo realna jak ciemność za oknem.

W chmurze pyłu Jonathan zarzucił sobie ciało nieprzytomnej Emili na ramię i zaczął uciekać przed walącym się sklepieniem katakumb. Znalazł się w pieczarze, przez którą weszli do podziemia. Sznurowa drabinka kończyła się kilkanaście centymetrów nad podłogą. W otworze, z którego zwisała, tkwiła głowa Szarifa.

– Co się tam, u licha, stało?! – zapytał nerwowo Szarif. – To było jak wybuch bomby!

– Katakumby runęły! – odpowiedział krzykiem Jonathan. – Gianpaolo wyjdzie pierwszy! – Odwrócił się do przyjaciela. – Wchodź, ja wniosę ją na górę!

– Ona potrzebuje pomocy! – zawołał Gianpaolo. – Idź pierwszy!

Jonathan przesunął Emili na ramieniu, by mieć obie ręce wolne, i chwycił za pierwszy szczebel.

– O Jezu... – jęknął Gianpaolo.

– Damy sobie radę. – Jonathan zrobił następny krok. – Nikomu nic się nie stanie, damę słowo.

W tym momencie odpadł wielki kawał sklepienia. Odłamki tynku rozprysły się na ściany grotty.

Jonathan krok po kroku wspinał się dalej, czując w udach ciężar ciała swojego i Emili. Naczynia krwionośne na jego przedramionach były bliskie eksplozji. Szarif przejął od niego bezwładną Emili i złożył ją na trawie.

Następnie wyprostował się i złapał za głowę.

– Jon, co się stało, do diabła?!

– Sprowadź pomoc. Nieopodal bramy willi są policjanci...

– Ale mieliśmy nie...

– Ruszaj! Trzeba zawieźć Emili do szpitala!

Szarif pomknął mokrą od deszczu ścieżką.

– Gianpaolo, słyszysz mnie?

– Tak, chciałem wejść na drabinę, ale nie mogłem.

Jonathan słyszał drzenie jego głosu. Gianpaolo płakał.

– Uwieś się drabiny, a ja cię wyciągnę!

Ogromny płat oderwał się od sklepienia, z katakumb dobiegł przeraźliwy krzyk.

– Hej, jesteś tam?

– Tutaj wszystko się wali!

Jonathan zajrzał w głąb otworu. Zobaczył tylko szary pył.

– Trzymaj się drabiny i nie puszczaj!

Gianpaolo nie odpowiedział, lecz Jonathan czuł ciężar jego ciała. Wolno, z bolesną

determinacją, zaczął wciągać drabinę, na której wisiała drobna sylwetka Gianpaola. Po wykonaniu czterech czy pięciu ruchów zobaczył nad otworem pokrytą szarym kurzem twarz. Gianpaolo spojrział na uliczną lampę za Jonathanem, jak gdyby nigdy nie widział światła.

– Nie ruszaj się! – krzyknął Jonathan.

Zdołał zbliżyć się do Gianpaola, nie rozluźniając uchwytu drabiny. Wsunął rękę w głąb otworu, a przyjaciel chwycił ją kurczowo.

– Druga ręka, Gianpaolo – wykrztusił Jonathan. – Nie mogę cię utrzymać!

W zaciśniętej w pięść drugiej dłoni Gianpaolo trzymał kartkę papieru z notatnika. Przed zawaleniem się grobowca znaleźli na ścianie tekst po łacinie, który Gianpaolo zapisał.

– Wypuść papier i podaj mi rękę!

– Nie mogę... – Gianpaolo otworzył szeroko oczy, zdziwiony, że mięśnie nie chcą go słuchać. – Ręka nie chce się otworzyć.

– Wymykasz mi się! – Jonathan czuł, że ręka trzeszczy mu w stawie. – Puść kartkę...

Jednak twarz Gianpaola przybrała nagle wyraz, który od tej pory prześladował Jonathana w snach. Miał nadzieję, że kiedyś go zrozumie. Zamiast grymasu bólu pojawił się na niej senny spokój i obojętność.

– Jon? – powiedział Gianpaolo.

To było jego ostatnie słowo. Wyrzekł je cicho i z intonacją pytania, jakby widok Jonathana go zaskoczył. A może dlatego, że ktoś, komu całkowicie zaufał, pozwolił, by stało się coś tak strasznego. Druga możliwość była o wiele bardziej niepokojąca.

Jonathan poczuł, że palce Gianpaola wysuwają się z jego ręki jeden po drugim. Zapamiętał dotknięcie koniuszka ostatniego palca, a potem Gianpaolo zaczął spadać z przechyloną głową niczym zdziwione dziecko i zniknął w tumanie pyłu.

Jonathan klęczał z ręką wsuniętą do otworu i nie przestawał się trząść.

– Odejdź od niej !

Otoczyli go policjanci i zaczęli wykrzykiwać rozkazy. Bezwładne ciało nieprzytomnej Emili leżało przed nim niczym ofiara, którą składa się bogom.

Jonathan Marcus, laureat Nagrody Rzymu, ostatnim wysiłkiem założył ręce za głowę.

– Trzeba ją zabrać do szpitala – wycharczał, spoglądając na Emili. – Proszę.

Obudził się i drgnął. Za oknem samolotu panowała noc. Silniki maszyny ryczały niczym grzmot, światelko sygnalizacyjne na skrzydle mrugało w ciemności. Czerwona dźwignia bezpieczeństwa stalowych drzwi wpiła się w zagłębienie pleców Jonathana. Wyczerpany, przetaił oczy, lecz nie czuł lekkiego otępienia, które zwykle towarzyszy przebudzeniu w obcym miejscu. Na jego kolanach leżały plany Jerozolimy. Blask księżyca w pełni padał na górne krawędzie chmur rozpościerających się poniżej samolotu. Uszy Jonathana zareagowały na raptowny spadek ciśnienia. Maszyna obniżała lot.

Jonathan podskoczył, widząc, że fotel Emili jest pusty.

Nagle drzwi kokpitu otworzyły się i stanęła w nich Emili; najwyraźniej rozmawiała z pilotami. Z zarumienionymi policzkami i blond włosami opadającymi z przodu ramion wyglądała na wypoczętą. Jej usta błyszczały w blasku lamp kabiny samolotu. Kiedyś Jonathan żartobliwie, lecz z pełnym podziwu śmiechem przyrównał je do pełnych, różowych burt tryremy, starożytnego rzymskiego okrętu wiosłowego.

– Lądowanie za niespełna dziesięć minut – oznajmiła, opadając na fotel. Była całkowicie nieświadoma, jak pięknie wygląda. – Wylądujemy tuż przed świtem.

– Rozumiem, że na pokładzie tego samolotu nie serwuje się posiłków. – Jonathan wskazał kartony z żywnością dla głodujących. – Usmażyłbym smakowity omlet z tony jaj w proszku.

Pilot mówił coś głośno do mikrofonu. Kontrola nad lotem przechodziła z rąk dyspozytorów w Kairze do wieży południowego Izraela.

– Zbliżamy się do Tel Awiwu – oznajmiła Emili.

Samolot wykonał ostry skręt na wschód i za oknami pojawiły się rzędy świateł nadbrzeżnych hoteli. Po kilku minutach w polu widzenia ukazały się oświetlone szklane ściany portu lotniczego. Nowoczesna architektura sprawiała osobliwe wrażenie na tle ciemnego pejzażu pustyni. Przeprowadzona niedawno kosztem stu milionów dolarów renowacja uczyniła z lotniska Ben Guriona wielowarstwową konstrukcję z chromu i szkła, spoczywającą na skalistym podłożu Jerozolimy.

Maszyna podchodziła stromo do lądowania, ciśnienie w kabinie spadło o połowę. Jonathan wciąż łapał oddech, gdy antonow znieruchomiał, a piloci zajęli się papierkową robotą. Samolot obiegli pracownicy ochrony, szykując się do kontroli pojemników z żywnością.

Na horyzoncie tuż nad powierzchnią Wzgórz Judejskich ukazała się niebieska poświata. Gdy pilot otworzył drzwi, powiew wiatru przyniósł do kabiny intensywną woń sadów pomarańczowych i paliwa lotniczego. Trzech izraelskich żołnierzy podstawilo aluminiowe schody do kadłuba, by zabezpieczyć wnętrze oenzetowskiego samolotu. Była to standardowa procedura, którą stosowano wobec wszystkich maszyn lądujących na lotnisku Ben Guriona w ramach Światowego Programu Żywnościowego.

Emili i Jonathan wsiedli na tył jednego z niewielkich wózków, na które miano przeładować żywność z samolotu.

Wózek przemknął pod brzuchem samolotu z afrykańskimi znakami, stojącego na pasie. Kilkunastu pasażerów w podartych ubraniach schodziło na płytę lotniska.

– Skąd przylatują samoloty o piątej rano? – spytał Jonathan, zerkając na zegarek.

– Nowi emigranci z Etiopii – odparł kierowca wózka, wskazując starego Afrykańczyka w obcisłej białej czapce z włóczki, który ledwo utrzymywał równowagę na schodkach.

Z podręcznika prawa międzynarodowego Jonathan pamiętał, że Izrael długo zabiegał u etiopskiego rządu o to, by pozwolił na powrót do ojczyzny przebywającej tam od tysiąclecia mniejszości żydowskiej, przez wielu uważanej za zaginione plemię Dan. Gdy starzec dotarł do końca aluminiowych schodów, dwóch młodych izraelskich żołnierzy wzięło go pod rękę. Mężczyzna uklęknął i ucałował ziemię. Emili także to zauważyła. *Terra Sancta*, pomyślał Jonathan.

– Witamy na Ziemi Obiecanej – powiedziała.

Główny terminal lotniska Ben Guriona wyglądał jak marmurowa góra. Na wielopiętrowym atrium w kształcie rogalika lśniły liczne neony z zapisanymi hebrajskim liternictwem nazwami amerykańskich marek. Nad restauracją McDonald's wisiał duży angielski napis KOSHER.

Wózek dojechał do szeregu piętnastu budek, w których znajdowały się punkty kontroli paszportowej.

– Paszporty poproszę.

Jonathan wsunął dzieło Raoula pod szybkę oenzetowskiego stanowiska. Serce biło mu tak

mocno, że omal nie wyrwało się z piersi. Ładna izraelska urzędniczka z ciepłym uśmiechem wydobyła długopis spośród brązowych loków i napisała krótką notkę. Jonathan uśmiechnął się, lecz jego wargi pobladły od zaciskania. Jeszcze wczoraj byłem czynnym adwokatem, a dzisiaj wędruję po świecie z fałszywym paszportem. Wyobraził sobie izraelskich ochroniarzy w cywilnych ubraniach, którzy wyrastają jak spod ziemi, prowadzą go do swojej siedziby na lotnisku i pod woj skową eskortą deportuj ą do Włoch. Jednak nic takiego się nie zdarzyło i młoda kobieta zwyczajnie oddała mu paszport z wpisem.

– *Todah* – rzekła, skinąwszy uprzejmie głową, po czym skierowała wzrok na następną osobę w kolejce. Jonathan mimo usilnych starań zdradzał oznaki zaskoczenia, kiedy go przepuszczała.

Zgodnie z zapowiedzią Emili, odnalezienie się przy punkcie odbioru bagażu stanowiło nie lada sztukę, gdyż było to jedyne miejsce na lotnisku, w którym o tej porze panował tłok. Łatwo było przeoczyć Emili wśród zakonników i zakonnice w habitach chasydów oraz prawosławnych popów w czarnych trójkątnych nakryciach głowy. Wyglądała jak nieprzygotowana uczestniczka wspaniałego balu przebierańców.

Gdy przekroczyli próg szklanych drzwi, krawat Jonathana frunął nad jego ramię, poderwany podmuchem suchego lewentyńskiego wiatru. Ponad nadmorską równiną wschodziło słońce; jego promienie padały na rząd taksówek marki Kia, stojących przed terminalem bagażowym.

– Emili! – krzyknął jakiś głos z tyłu i oboje się odwrócili.

Szczupły, przystojny młody Arab w lotniczych okularach wysunął głowę przez okienko starego mercedesa i pomachał im. Samochód miał trzy okna po jednej stronie, a beżowy lakier poczerniał od spalin dieslowskiego silnika. W okienkach powiewały podarte firanki. Takimi autami jeździli przed dwudziestu laty dyktatorzy krajów Trzeciego Świata.

Kierowca wysiadł z samochodu i uściskał Emili. Zamienili parę zdań po arabsku.

– Jonathanie, to jest Yusef Rashid, który od pięciu lat współpracuje z UNESCO. Yusefie, Jonathan Marcus jest moim starym przyjacielem.

Stary przyjaciel, pomyślał Jonathan. Awansowałem.

Yusef zdjął okulary. Świeża cera i jasnobrązowe oczy jeszcze dobitniej świadczyły o jego młodym wieku. Jonathan zauważył, że na masce samochodu widnieją litery TV wykonane z czarnej taśmy maskującej. Jaśniejszy lakier wskazywał, że kiedyś znajdował się tam skrót ONZ.

– Przerzuciłeś się na prasę? – zaciekał się Jonathan.

– Nie – odparł z uśmiechem Yusef. – Napis ONZ chronił przed ostrzałem. Ale to się zmieniło. – Młody Arab uniósł cienki palec, jak gdyby usiłował rozwikłać pradawną zagadkę. – Później zrozumiałem, że nikt tutaj nie lubi złej publicity.

## 56.

Ramat Mansour miał oczy zawiązane opaską. Dwaj ludzie Saladyna chwycili go mocno za łokcie i poprowadzili. Przez chwilę potykał się na nierównym podłożu, a później posadzka zrobiła się gładka jak metal. Jeden ze strażników nacisnął guzik, zadźwięczał elektryczny gong i Ramat poczuł, że zjeżdża w dół. Winda, pomyślał.

Gdy drzwi się rozsunęły, strażnicy zdjęli mu opaskę. Ramat zobaczył, że znajduje się w podziemnym korytarzu. Z podziwem spojrzął na wielkie głazy, starając się dopasować je do

hipotetycznych szkiców tego, co zdaniem archeologów kryło się pod Wzgórzem Świątynnym. W korytarzu nie było nikogo poza kilkoma klerykami siedzącymi na metalowych krzeselkach i trzymających karabiny. Ich obecność świadczyła o tajemnej naturze tego miejsca. Saladyn wymagał lojalności od wszystkich, którzy się tam znaleźli. Ramat wiedział o tym, że wydano fatwę na rodziny dwóch ludzi, na których padło zaledwie podejrzenie zdrady.

Jeden z kleryków odprowadził Ramata wzrokiem.

– Oby zatrzymał cię dłużej niż poprzedniego.

Przy końcu korytarza rosły strażnik z pistoletem automatycznym na okrągłym brzuchu oklepał klatkę piersiową i nogi Ramata.

– Nie mam pistoletu – rzekł Ramat do strażnika.

– A ja nie szukam pistoletów, tylko aparatów fotograficznych.

Wszelkiego rodzaju dokumentacja podziemnych wykopalisk stanowiła zagrożenie większe niż broń.

Rewizja przypomniała Ramatowi o jego poczuciu winy. Przed wielu laty współpracował przy powstawaniu tego „wykopaliska”. Wówczas oczyszczono zaledwie trzy metry groty, w wielu miejscach trzeba się było schylać, aby nie zawadzić oskardem o sklepienie.

Strażnik pochylił się i z użyciem siły uniósł skobel żelaznych drzwi. W pierwszej chwili zdezorientowany Ramat pomyślał, że wyprowadzono go na zewnątrz. Dopiero spojrzawszy na wysokie sklepienie jaskini, uświadomił sobie, jak wielka jest skala przedsięwzięcia, które zrealizował Saladyn. Ramat wsparł się na poręczy i opanował emocje. Strażnicy pchnęli go naprzód.

Powiedz mu to, co chce wiedzieć, i wracaj do rodziny, pomyślał. W przerażenie wprawiała go sama myśl, że zobaczył ogrom podziemnej operacji. Lawirował między ciężkim sprzętem budowlanym, ominął koparkę i przechodził nad leżącymi wiertarkami. Saladyn pochylił się nad planem architektonicznym rozłożonym nad drewnianą kobyłką.

– To jest tam – oznajmił, wskazując otwór tunelu znajdujący się dwanaście metrów nad dnem groty. – Tamtędy biegnie tunel od Fundamentu Skały, ale gdzie jest jego dalsza część? – Saladyn przeprowadził ręką przez jaskinię wyimaginowaną linię. – Projekcja wykonana za pomocą nowoczesnego sprzętu pokazała, że akwedukt wiedzie tamtędy. – W skalnej ścianie ziała ogromna dziura zrobiona niedawno za pomocą młotów pneumatycznych lub innego ciężkiego sprzętu. – Ale te obliczenia najwyraźniej okazały się nieprecyzyjne – wyjaśnił Saladyn. Wygląd niewzruszonej skały świadczył dobitnie o prawdziwości jego słów.

Ramat zrobił kilka kroków ze schyloną głową, spoglądając na posadzkę. Przyklęknął i wyczuł lekkie zagłębienie oddzielone dwoma wybrzuszeniami wykutymi w kamieniu, biegnącymi równoległe i oddalonymi od siebie o stopę. Śluza.

– Podłoże jest w tym miejscu nierówne, widać ślady odprowadzenia wody, choć... – Opony twoich maszyn prawie je zatarły. – Choć noszą pewne ślady zniszczeń – dokończył Ramat, biorąc się w karby. – Zwróć uwagę na to odbarwienie. – Wskazał ciemniejsze pasmo biegnące przez całą szerokość groty.

Saladyn spojrzał na wysoki otwór tunelu.

– Woda spadała stamtąd i płynęła po dnie groty.

– To wyjaśnia, dlaczego dno opada w stronę tamtej ściany – dodał Ramat.

– Ale nigdzie nie ma dokumentów świadczących o istnieniu tutaj rzymskiego tunelu – odparł

Saladyn.

– W epoce rzymskiej kapłani musieli wykorzystać system odprowadzenia wody Pierwszej Świątyni, która istniała od czasów Asyryjczyków, czyli od ósmego wieku przed naszą erą – oznajmił Ramat. – Jeśli tam jest tunel, musiał go wykopać biblijny król Hezekiah.

\* \* \*

Saladyn skinął na robotników, by wiercili w przeciwległej ścianie jaskini; wydawał komendy z wprawą zawodowego dowódcy. Jednak Ramat dostrzegał w oczach kuzyna niepewność. Zaczyna mu brakować czasu. Sześćdziesiąt lat poszukiwań prowadzonych przez wielkiego muftiego doprowadziło Saladyna do tej chwili. Ramat wiedział, że kuzyn odziedziczył obsesję przodka.

Dwóch mężczyzn ustawiło głowicę młota pneumatycznego kilka centymetrów nad posadzką jaskini. Po paru ogłuszających uderzeniach maszyna zaczęła pracować ciszej. Za ścianą znajdowała się pusta przestrzeń.

– Dość! – krzyknął Saladyn. Gulgotanie silnika zamilkło. Saladyn podszedł do ściany i przyklęknął. Ze ściany spływała wąska strużka wody. – Oto akwedukt prowadzący do ukrytej bramy – rzekł Saladyn, po czym odwrócił się do Ramata. – Kuzynie, znalazłeś go.

## 57.

Odjeżdżając z lotniska Ben Guriona, Jonathan widział na horyzoncie zapowiedź zimowych deszczów na pustyni Negew. Szare cumulusy, podświetlone wschodzącym słońcem, wyglądały jak olbrzymie bele bawełny, które ktoś podpalił. Okno było otwarte, więc Jonathan mógł posmakować suchego pustynnego powietrza i poczuć woń cyprysów. Po kilku minutach samochód rozpoczął stromy podjazd i klimat uległ zmianie. Aby dotrzeć do Jerozolimy, należało z nizin Tel Awiwu wspiąć się na Wzgórza Judejskie. Yusef pojechał trasą numer jeden; była to dwupasmowa szosa wijąca się po smaganym wiatrem judejskim pustkowiu. Nie zwalniał na górskich zakrętach, toteż Jonathan i Emili co rusz na siebie wpadali, wymieniając nerwowe spojrzenia. Jonathan zauważył przy poboczu odrestaurowany rzymski znacznik drogowy. *Colonia Aelia Capitolina XXIV*. Tak Rzymianie nazwali Jerozolimę po podboju: Aelia Capitolina. Starożytny znacznik wskazywał, że do murów Starego Miasta zostało mniej więcej czterdzieści kilometrów.

Promienie porannego słońca padły na jasne czoło Emili. Jonathan miał wrażenie, jakby został rzucony w przeszłość – do Rzymu, do akademii, do Emili. Wiedział, że z tego powodu jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie, lecz z drugiej strony czuł, że wszystko się przed nim otwiera. Jak gdyby odnalazł zagubione poczucie jaźni. Nie minął jeszcze dzień od chwili, gdy Emili powiedziała na sali sądowej: „Zakopany niczym jakaś ruina pod tym drogim garniturkiem”.

Mercedes przemykał wąskim kanionem, o centymetry mijając występy skał po obu stronach. Droga wyglądała tak, jakby ją przebito, ale była naturalna. Józef Flawiusz nazwał ją „góorskimi wrotami”. Był to jedyny bezpośredni szlak prowadzący do Jerozolimy, stanowił więc jedną z najsłynniejszych wojskowych pułapek w historii. Pomagał bronić Jerozolimy, spowalniając marsz Asyryjczyków w ósmym wieku przed naszą erą, Babilończyków w szóstym wieku przed

naszą erą, Greków w drugim wieku przed naszą erą, Rzymian w pierwszym wieku naszej ery, krzyżowców w jedenastym wieku, wojsk otomańskich w szesnastym wieku i Jordańczyków w dwudziestym. Wszystkie wojska dążyły do zaatakowania Jerozolimy, a wypalone szkielety izraelskich czołgów i bojowych półciężarówek stanowiły pamiątkę po żołnierzach zabitych przez jordańskich snajperów, którzy zaczęli się na zboczach gór w czasie izraelskiej wojny o niepodległość w 1948 roku.

– Czy Zarząd Starożytności może nam zapewnić bezpieczne wejście pod Wzgórze Świątynne? – spytał Jonathan.

Emili pokręciła głową.

– Mogą jedynie udostępnić nam kopie map, z których korzystał Charles Warren i inni brytyjscy badacze.

– Ci ludzie byli w Jerozolimie w tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim roku – zauważył Jonathan.

– To oni jako ostatni badali teren pod Wzgórzem – odparła Emili.

Samochód okrążył ostatnią górę i ukazał się panoramiczny widok Starego Miasta Jerozolimy, wiszącego nad doliną Kidron niczym obrazek w baśniowej książce. Wieżyczki w ścianach wyglądały jak gigantycznych rozmiarów figury na szachownicy. W blasku porannego słońca sprawiały wrażenie przeniesionych ze średniowiecznej legendy. Starożytne źródła podawały, że w epoce rzymskiej mury były tak grube, iż mogło się na nich ustawić dziesięciu łuczników jeden za drugim. Widoczne poniżej murów tarasy porastały prawdziwe rzeki dzikich kwiatów. Stromizna podjazdu zwiększyła się i Yusef wrzucił dwójkę.

Przejechali obok białego klasztoru Zaśnięcia, w którym zgodnie z większością tradycji chrześcijańskich odbyła się ostatnia wieczerza, a następnie zaczęli okrążyć mury Starego Miasta. Jonathan wskazał jedną z monumentalnych starożytnych bram prowadzących na Wzgórze Świątynne, obecnie zatarasowaną szesnastowiecznymi głazami.

– Złota Brama – powiedziała Emili. – W szesnastym wieku zablokował ją Sulejman Wielki, który publicznie odrzucał wszystkie religie poza islamem. Jednak po przeczytaniu w biblijnej literaturze, że pewnego dnia wkroczy przez nią żydowski mesjasz, przeraził się w głębi serca i kazał ją zamurować. Rozkazał nawet otoczyć łuk cmentarzami, na wypadek gdyby mesjasz pochodził z kasty kapłańskiej, której członkom żydowskie prawo zabraniało stąpania po ludzkich grobach.

– To się nazywa zapobiegliwość – rzekł Jonathan.

Samochód zaczął się wspinać wąską szosą na ostatni podjazd i znalazł się nad sześćdziesięciometrowym urwiskiem doliny Kidron. Za sprawą porannej mgły powstało złudzenie, że mury Starego Miasta obrębiają krawędź Ziemi.

– Dojechaliśmy do Bramy Jaffy – oznajmił Yusef, za trzymując samochód.

Zaparkował dokładnie naprzeciwko cudu tureckiej architektury, jednej z najstarszych bram świata, której smukłe wieżyczki spoczywały na szpiczastym łuku.

Jonathan zaskoczył chłód górskiego powietrza Jerozolimy. Razem z Emili przeszli obok zamkniętych okiennic kafejki. Sędziwy arabski taksówkarz w kefii obserwował ich z ciekawością; stojąca na jałowym biegu taksówka zajmowała całą szerokość starożytnego kamiennego przejścia. Emili uzmysłowiła sobie, że nauka jazdy w centrum Rzymu nie przygotowałyby jej do manewrowania po uliczkach jerozolimskiego Starego Miasta.



W wewnętrznych ścianach bramy, pod małymi kamiennymi łukami, usadowiły się sklepiki, o tej porze zamknięte. Mesjanistyczna księgarnia Emmanuela. Kącik franciszkański. Kabob Halego. Nad księgarniami mieścił się hotel Petra. Spękane beżowe kamienie i spaczony drewniane okiennice wydawały się równie zaniedbane jak w 1871 roku, gdy opisał je podczas swojego pobytu Mark Twain.

Jonathan i Emili zbliżyli się do ciemnej cytadeli zbudowanej jak zamek i otoczonej trawiastą fosą. Ukośna kamienna fasada oraz blanki z wieżyczkami i szczelinami łuczników stały tam od wieków, lecz zostały tak zbudowane, że mogłyby przetrwać następne średniowieczne oblężenie.

– Wchodzimy do środka? – spytał Jonathan.

– To muzeum – odparła Emili.

– Budowla wygląda na starszą od eksponatów.

– Bo taka jest – potwierdziła z uśmiechem Emili. – Cytadela powstała w czasach Heroda jako Wieża Fazaela, w trzecim wieku Rzymianie przemianowali ją na świątynię Jupitera, w siódmym wieku stała się fortecą Ummaidów, w jedenastym stanęli tu obozem krzyżowcy, w dwunastym uczynił ją swoją fortecą Saladyn, w szesnastym służyła jako turecki meczet, a w latach dwudziestych dwudziestego wieku Brytyjczycy urządzili w niej klub.

– Innymi słowy, jest to muzeum muzeów – zauważył cierpko Jonathan.

Emili wspięła się po stromych schodach cytadeli do wąskiego drewnianego mostka wiszącego ponad piętnastometrową fosą, która o tej porze wyglądała jak ciemna studnia. Drzwi frontowe muzeum, dwie tafle zmatowionego szkła osadzone w gotyckim łuku, stanowiły ciekawe połączenie starożytnej i nowoczesnej architektury. Emili sięgnęła do klamki.

– Jeszcze nie ma szóstej, Emili. Niemożliwe, by muzeum... Klamka obróciła się i drzwi były otwarte.

– Hm... – mruknął Jonathan.

– Mamy się tu spotkać z moim informatorem.

W długim holu Jonathan zauważył sylwetkę kobiety widoczną w blasku halogenowych żarówek. Gdy się zbliżyli, zorientował się, że kobieta jest starsza, niż można by sądzić na podstawie jej wysportowanej sylwetki. Siwe włosy i zmarszczki na twarzy wskazywały, że ma około sześćdziesięciu pięciu lat. Kobieta stała, swobodnie oparta o ścianę.

– Emili, w coś ty się wpakowała? – spytała Eilat Segev.

## 58.

– Chciał pan się ze mną widzieć, komendancie? – spytał porucznik Rufio, stając w progu gabinetu Profety.

– Tak. Mamy zdjęcie podejrzanego na stacji metra.

Profeta przesunął ziarnistą fotografię po blacie biurka. Przedstawiała młodego mężczyznę w szarym garniturze na stacji Colosseo. Pod rozwianymi przez podmuch powietrza brązowymi włosami widać było jego profil. Porucznik Rufio nie miał najmniejszych wątpliwości, że jest to Jonathan Marcus.

– Znacie tego mężczyznę?

– Tak – potwierdził niechętnie Rufio. – Widziałem go na stacji Colosseo.

– Zdjęcie pochodzi z kamery nad peronem? – spytał Profeta, przyglądając się mężczyźnie.

Następnie zerknął przez okno w stronę kopuły Panteonu znajdującego się zaledwie o jedną przecznicę dalej. – Wymknął nam się trzy razy.

– Trzy razy? – zdziwił się Rufio. – Nawet jeśli to on był w Koloseum, możemy mówić o dwóch razach, *comandante*. Raz w podziemiach Koloseum i raz na stacji metra. Kiedy był ten trzeci raz?

– Siedziałem naprzeciwko tego faceta w siedzibie kancelarii Dullinga. Jonathan Marcus – ciągnął Profeta – to amerykański adwokat, który przyleciał do Rzymu wczoraj o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt i zameldował się w hotelu kwadrans po czwartej.

Komendant położył obok zdjęcia ze stacji podobiznę Jonathana Marcusa ściągniętą ze strony internetowej kancelarii Dulling and Pierce.

– Amerykański prawnik zamieszany w wybuch w podziemiach Koloseum? – udał zdziwienie Rufio.

– Nie jest to pierwszy lepszy amerykański prawnik – zauważył Profeta. – Siedem lat temu zdobył Nagrodę Rzymu za badania nad dziełami Józefa Flawiusza, które prowadził w Akademii Amerykańskiej. Tu są wszystkie informacje – dodał komendant, kładąc przed Rufiem czerwoną teczkę. Rufio wiedział, że kolorem tym oznacza się akta osób, których aresztowanie jest priorytetowe.

– Czy ten człowiek ma kartotekę policyjną? – Rufio uniósł brwi; tym razem jego zaskoczenie było autentyczne. Otworzył teczkę i wyjął wycinek z artykułu we włoskiej gazecie. Przeczytał na głos tytuł: *Tragiczny finał nocnych wykopalisk*. Następnie przekartkował pozostałe materiały i spojrzał na komendanta. – Nielegalne wejście na teren? – zapytał, spoglądając na dokumentację.

– Miał szczęście, że uniknął *omicidio* – odparł Profeta.

– Zabójstwo?

– Zdaje się, że nie doceniliśmy wiedzy pana Marcusa na temat starożytności. Zabrał ze sobą jeszcze troje doktorantów na przedmieścia Rzymu w poszukiwaniu jakiegoś grobowca. Wdrapali się przez

parkan na teren porzuconej osiemnastowiecznej willi o nazwie Villa Torlonia, a następnie opuścili się na linie do katakumb.

– Policyjne dochodzenie wykazało, że znaleźli się w podziemiach o godzinie zero trzydzieści – przeczytał Rufio. – Ruiny zawałyły się tuż po pierwszej.

– Jeden z doktorantów poniósł śmierć – dodał rzeczowym tonem Profeta. – Gianpaolo Narcusi, rodowity rzymianin, został uznany za zmarłego po przywiezieniu do San Pietro Fatebenfratelli o pierwszej czterdzieści jeden – cytował z pamięci komendant. – Dla nas jednak ważniejsze są informacje o dwojgu pozostałych uczestnikach nocnej eskapady.

Porucznik Rufio odczytał pierwsze nazwisko wydrukowane czcionką Courier na policyjnym raporcie.

– Emili Travia. To ta oenzetowska urzędniczka, która była w Koloseum!

Profeta skinął głową.

– A czwarty doktorant?

– Nie do wiary... – mruczał pod nosem Rufio. – Członek Międzynarodowego Centrum i były pracownik Palazzo Conservatori... – Rufio uniósł głowę. – Szarif Lebag.

– Jednak dla naszego śledztwa największe znaczenie ma nie tożsamość osoby, która z nim wczoraj była, lecz miejsce, w którym kopali.

Profeta wręczył Rufiowi drugie zdjęcie przedstawiające prymitywne stanowisko wykopaliskowe. Obok przepiłowanej kolumny leżała piła łańcuchowa.

– Oto fotografia, którą znaleźliśmy dzisiaj w gabinecie profesora Cianariego. Podejrzewamy, że zdawał sobie sprawę z wagi tego odkrycia i na ścianie podziemnego korytarza za pomocą farby w sprayu przedstawił jego lokalizację.

– Jest za ciemno, by odczytać napis.

– Owszem, jakość jest słaba – potwierdził Profeta, wręczając Rufiowi inną wersję. – Zespół porucznik Copii zdołał ją cyfrowo rozjaśnić.

Dzięki powiększeniu koślawe wyrazy w jednej chwili stały się czytelne.

– Villa Torlonia – powiedział Rufio.

– Słusznie, poruczniku. Kolumna, na którą natrafiliśmy w magazynie, została znaleziona...

– Dokładnie w tym samym miejscu, w którym Jonathan Marcus siedem lat temu prowadził nielegalne wykopaliska – dokończył Rufio.

– Nie wiem, jakie badania rozpoczął przed siedmioma laty pan Marcus, ale wygląda na to, że ktoś usiłuje doprowadzić je do końca.

## 59.

Eilat Segev wyprowadziła Emili i Jonathana na dziedziniec starożytnej cytadeli, na której wciąż paliły się nocne światła. Po metalowych zewnętrznych schodach wspięli się na podmurówkę muru Starego Miasta. Nad dnem sąsiedniej doliny zawisła przezroczysta poranna mgiełka, a w oddali tuż nad Wzgórzami Judejskimi na tle pustynnej poświaty wypłynęło słońce.

Dla Eilat Segev widok ten oznaczał coś więcej niż dla przybyszów. Pamiętała walkę z Jordańczykami o kontrolę nad starożytną cytadelą w 1967 roku, zanim budowlę zamieniono w muzeum. Na starożytnych murach, pomiędzy podmurówkami leżeli niczym średniowieczni łucznicy jordańscy snajperzy, odpierając nocne ataki izraelskich batalionów. Po dziś dzień na widok rodzin z dziećmi, zatrzymujących się w punktach widokowych, Eilat Segev przypominała sobie tych, którzy oddali życie po to, by takie wycieczki do muzeum były możliwe.

Eilat Segev wbiła kod na tabliczce wmontowanej w kamień i kratkowa brama otworzyła się bezgłośnie. Przy ścianach przestronnego holu stały makiety starożytnej Jerozolimy. Epoka Salomona, przypadająca na okres od dziesiątego do szóstego wieku przed naszą erą, epoka Drugiej Świątyni, czyli okres od szóstego wieku przed naszą erą do pierwszego wieku naszej ery. W gablotach znajdowały

się srebrne monety z czasów panowania Hadriana nad Jerozolimą; był także miecz wykopany w ruinach nieopodal Wzgórza Świątynnego. Pod inną ścianą foyer spoczywała mosiężna replika *Dawida* dłuta Verrocchia, подарowana Izraelczykom przez Florencję z okazji odbicia Starego Miasta Jerozolimy z rąk Jordańczyków.

– Powiedziałaś komendantowi Profecie o naszej rozmowie? – spytała Emili.

– Oczywiście, że nie. Trudno było oczekiwać zrozumienia z jego strony. Nie sądzę, by ktokolwiek w Europie czy w ONZ pojął to, co dzieje się pod Wzgórzem Świątynnym – odparła Eilat Segev. – Zdjęcia wykonane w podczerwieni z pokładu helikoptera pokazują, że pod powierzchnią wzgórza znajduje się sześć buldożerów. Pewnie nawet teraz przeczesują podziemia w poszukiwaniu wszelkiego rodzaju zabytków judeochrześcijańskich.

- Izrael współpracuje z UNESCO – zauważył Jonathan. – Czy nie można...
- Nie – wpadła mu w słowo Eilat Segev, powoli kręcąc głową. – Waqf twierdzi, że od niemal ośmiuset lat sprawuje pieczę nad Wzgórzem Świątynnym. Sprawował ją przez cały czas z wyjątkiem paru godzin.
- Jak to możliwe? – zdumiał się Jonathan.
- W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku odparliśmy natarcie Jordanii i przejęliśmy Wschodnią Jerozolimę łącznie ze Wzgórzem Świątynnym, jednocząc miasto po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat. W Bramie Syjonu wciąż widać otwory po naszych kulach. Wdarliśmy się do Starego Miasta. Pamiętam zakłócony trzaskami głos generała Dajana w telewizji. „Wzgórze Świątynne jest w naszych rękach! Wzgórze Świątynne jest w naszych rękach!”. Jednak kilka dni później wojskowi oddali Waqf władzę nad Wzgórzem.
- Dlaczego to zrobili?
- Niektórzy historycy twierdzą, że ówczesni izraelscy politycy zlekli się religijnego znaczenia Wzgórza Świątynnego. Nie chcieli, by idea mesjańskiego zbawienia zakłóciła budowę pragmatycznie myślącego, nowoczesnego społeczeństwa we Wschodniej Jerozolimie i na Zachodnim Brzegu Jordanu.
- Pozwolili więc, by Wzgórze zostało w rękach Waqf? – indagował Jonathan.
- Ściśle rzecz biorąc, jurysdykcja nad Wzgórzem miała wrócić do króla Jordanii, który nominalnie zarządzał nim podczas jordańskiej okupacji przed tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym rokiem. Król delegował wówczas jedynie najbardziej prozaiczne elementy codziennego administrowania Wzgórzem. Jednak po zawarciu porozumień pokojowych w Oslo Organizacja Wyzwolenia Palestyny pod kierownictwem Jasira Arafata postanowiła stać się czymś więcej niż organizacją terrorystyczną. Chcąc naśladować rzeczywisty rząd i zademonstrować zdolności organizacyjne, Arafat zachęcił niektórych członków zarządu Waqf, by odebrali władzę Jordańczykom. Nawet oni nie znają skali działalności archeologicznej, która od dwudziestu lat odbywa się pod powierzchnią Wzgórza. Waqf otoczył swoje poczynania tajemnicą, jakiej nie znano tutaj od czasów otomańskich. Dlatego po dziś dzień Wzgórze Świątynne pozostaje wyspą suwerenności Waqf, finansowaną przez zagadkowe organizacje kulturalne z Arabii Saudyjskiej i równie tajemnicze fundusze korporacyjne.
- Musimy ich powstrzymać, zanim odkryją... – Emili pochyliła się nad mapą.
- Przedstawiłaś mi swoją hipotezę, gdy rozmawialiśmy przez telefon. Nasz Zarząd Starożytności przez długie lata próbował ustalić miejsce pobytu przedmiotów wywiezionych z Jerozolimy po tym, jak Rzymianie zdobyli miasto. Nie ma twardych dowodów na to, że Józef Flawiusz, czy też jakaś inna postać historyczna, zdołał ujść ze Świątyni z menorą. Przeprowadzono wyczerpujące badania we Francji, lecz potem Zarząd Starożytności postanowił zaprzestać działań w tym kierunku.
- Dlaczego szukano akurat we Francji? – zdziwił się Jonathan.
- Poszukiwania prowadzono w Carcassonne, służyłam wówczas w komórce wywiadu służby bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Zagranicznych – ciągnęła Eilat Segev. – W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku wysłano oddział tajnej służby bezpieczeństwa do Carcassonne, gdyż od wieków krążyła w tym regionie legenda o tym, że właśnie tam zakopano menorę. Wybór miejsca może się wydawać śmieszny, ale w czasie studiów na Uniwersytecie Hebrajskim nabrałam przekonania, że nie można go wykluczyć.

Gotowie splądrowali Rzym w czterysta dziesiątym roku naszej ery, czterdzieści pięć lat przed znacznie sławniejszym spaleniem Kartaginy. Tak więc mogło się wydawać, że Gotowie zabrali menorę i zawieźli ją do południowej Francji, właśnie do Carcassonne. Golda Meir zaakceptowała operację, ale tylko pod warunkiem że zostanie ona przeprowadzona po cichu i izraelscy podatnicy nie dowiedzą się, iż Mossad ugania się za legendami. – Eilat Segev wzruszyła ramionami. – Naturalnie, dwutygodniowe śledztwo nie dało żadnych pozytywnych wyników. Nawiązano jedynie kontakty z miejscowymi pomyleńcami i tanimi antykwariatami, które podsycaly tajemnicę zaginionego skarbu. Jedyna możliwa lokalizacja, jaka pozostała, to podziemia Wzgórza Świątynnego. – Segev z rezygnacją pokręciła głową. – W klimacie politycznym, jaki tu panuje...

– Dlatego tym ważniejsze jest dla nas ustalenie, który klasztor w Jerozolimie został określony mianem kanonicznego na fresku w rzymskiej synagodze – przerwała wywód Emili. – Musimy obejrzeć makietę.

Cała trójka ruszyła spiralnymi schodami na dół do magazynu. Zapalające się jedna po drugiej lampy oświetliły wnętrze wilgotnej krypty. Na samym środku stała metalowa makietka miasta, szeroka na dziewięć metrów.

– Te detale są nadzwyczajne – zauważył Jonathan.

– Całość waży ponad tonę – oznajmiła Eilat Segev. – Powinniście znaleźć ten klasztor.

Znaleźć klasztor?, zdziwił się Jonathan, pochylając się nad makietą. Tutaj dałoby się odszukać papierek z dziewiętnastego wieku.

Zewnętrzny mur z epoki otomańskiej, otaczający miasto, tworzył prostokątny grzbiet wzdłuż doliny Kidron. Na makiecie widoczna była każda ulica i alejka, a nawet flagi na rozmaitych klasztorach oraz małe półksiężycy na szczycie jednej z otomańskich twierdz. Przycupnięte na wierzchołku wysokiego płaskowyżu ruiny Wzgórza Świątynnego sprawiały wrażenie zaniedbanych. Makietka przedstawiała walącą się drewnianą Kopułę na Skale tak, jak wyglądała ona w 1873 roku.

– Te cztery mury zbudowane w epoce rzymskiej wciąż podtrzymują platformę Wzgórza Świątynnego – mówiła Segev. Czerwonym laserowym wskaźnikiem pokazała teren Wzgórza. – Wszystkie są zbudowane z kamienia i mają z grubsza po dwadzieścia metrów wysokości. Nie wiadomo, skąd Saladyn kieruje operacją, ale wiemy, że Waqf odnowił podziemne krypty znajdujące się w północno-zachodnim narożniku Wzgórza. – Czerwony punkt przesunął się do północnej ściany. – Sądzymy, że koparki wjechały tędy, przez bramę Bab el-Asbat, zwaną także Bramą Lwa. Nie widać jej z żadnego kościoła ani synagogi na Starym Mieście. Koparki wyjeżdżają i zrzucają znaleziska archeologiczne w dolinie Kidron, tutaj... – Laserowy wskaźnik zatoczył krąg w dolinie leżącej kilkadziesiąt metrów poniżej zewnętrznych murów Starego Miasta. – Rosną tam sady oliwne. – Drzewka z sękatymi konarami również zostały szczegółowo przedstawione na makiecie.

– Wydrążyli Wzgórze Świątynne tak głęboko, że tej ścianie – Emili wskazała na makiecie odcinek południowego muru – grozi zawalenie. Ekipy pracowników UNESCO od lat starają się zabezpieczyć ją od zewnątrz. Właśnie w tym celu Szarif przyjechał tutaj po raz pierwszy.

Jonathan przeszedł na drugą stronę makiety i skierował wzrok na inną część miasta.

– Emili!

– Tak?

– Na wierzchołku tej wieży stoi działo. – Jonathan wskazał miniaturkę kamiennego klasztoru, który znajdował się na makiecie o piętnaście centymetrów od Wzgórza Świątynnego. Na dachu budowli tkwiła lśniąca srebrna armatka.

– Klasztor Sióstr Syjonu – oznajmiła Eilat Segev. Widziała, że plan Emili zaczyna nabierać konkretnych kształtów. – Nawet o tym nie myślcie – dodała z matczyną troską. – Kiedy zejdziecie pod powierzchnię Wzgórza, nie będziemy mogli zapewnić wam ochrony. Wkroczycie na terytorium, na którym nie obowiązuje żadne prawo. A ja nawet nie będę mogła powiedzieć, że pomogłam wam się tam dostać.

## 60.

Saladyn kroczył tunelem, jak gdyby każdym stąpieniem kruszył skałę.

– Od tego miejsca korytarz powinien być zatarasowany od pierwszego wieku – oznajmił z radością.

I prawie na pewno był, pomyślał z żalem Ramat. Trzęsienie ziemi w 363 roku odcięło większość korytarzy pod Wzgórzem, ratując je przed mistykami, poszukiwaczami pamiątek, a nawet osławionymi templariuszami. Dzięki niemu współcześni archeolodzy nie znaleźli żadnych śladów długotrwałych średniowiecznych wykopalisk pod powierzchnią Wzgórza. Ramata ogarnęło poczucie winy. Za moją sprawą pierwszy człowiek, który postawił nogę w tym akwedukcie od czasów rzymskich, nie jest lepszy od Tytusa.

Tunel został wyrąbany w twardej skale, a nie w piaskowcu, toteż gruzu była znikoma ilość. Ludzie Saladyna ciągnęli już grube żółte węże do usuwania pyłu.

Sklepienie tunelu zostało podwyższone. Saladyn skierował latarkę na płaskorzeźby z epoki rzymskiej, przedstawiające skomplikowane sceny biblijne oraz fantastyczne stwory: skrzydłatego lwa z orlimi szponami oraz węża poruszającego się jak człowiek. Jeden z robotników przy użyciu sprayu robił na każdym czerwony krzyż, zaznaczając go jako przeznaczony do zniszczenia.

Saladyn prowadził swoją ekipę w głąb korytarza. Zatrzymał się za załomem tunelu. Ścianę, przed którą stał, otulał ciemny zmierzwiony mech, wyglądający jak broda bardzo starego mężczyzny. Snop światła z latarki przesunął się po sklepieniu, na którym błysnęła jasna smuga metalu.

Podszedł ostrożnie do mchu, uważnie spoglądając pod nogi. Powoli wyciągnął zza paska nóż i wsunął rękę w miękką gąbkę. Zanurzyła się niemal do ramienia. Saladyn natrafił na coś twardego i stuknął w to czubkiem ostrza. Rozległ się dźwięk uderzenia metalu o metal.

– Józef podaje, że ukryta brama była zrobiona z brązu. To musi być ona – wykrztusił niemal bez tchu.

– Te wrota mają trzy metry wysokości – szepnęła z podziwem Ramat, który stanął za kuzynem. – Wyważenie ich zajmie kilka dni.

Saladyn puścił jego słowa mimo uszu, chłodnym wzrokiem oceniając starożytną konstrukcję.

– Usunąć wszystkich z wnętrza Wzgórza – rozkazał, odzyskując panowanie nad sobą. – Do tych drzwi zastosujemy nasz najpotężniejszy ładunek. – Odwrócił się i spojrzał na Ahmeda. – O ósmej przyprawy muszą się znaleźć przy okienku biletowym na placu przy Murze Zachodnim. Akcja dywersyjna musi nastąpić równocześnie – rzekł, przenosząc wzrok na starożytne brązowe

drzwi.

## 61.

Jonathan i Emili szli za Eilat Segev przez arabski suk\* we Wschodniej Jerozolimie, zmierzając ku klasztorowi Sióstr Syjonu. Nawet o siódmej rano rynek na Starym Mieście tchnął zwierzęcym oddechem. W labiryncie kamiennych uliczek rzeźnik pod gołym niebem atakował tusze owiec i kóz, szykując je do porannego handlu. Ostrzegł przechodzących, by patrzyli pod nogi, gdyż kamienie były śliskie od zwierzęcych wnętrzności. Ciszę rozpraszała jedynie irańska muzyka pop, płynąca z tranzystorowego radia.

\* Arabskie targowisko.

Nieco dalej, wśród zamkniętych straganów ukrytych pod misternie rzeźbionymi kamiennymi balkonami, tu i ówdzie panowała już ożywiona atmosfera; starsi mężczyźni zaciekle kłócili się o pierwsze dostawy owoców ustawionych w stopy pomiędzy blankami murów. Z sufitów zwisały kefie i *tabu*, długie męskie szaty. Jonathan i Emili przeciskali się pomiędzy nimi jak przez gęstwinę dżungli. Pod gołą żarówką sklepikarz robił remanent towarów przed rozpoczęciem handlu. Jonathan zauważył, że portrety Jasira Arafata sąsiadują z koszulkami ozdobionymi angielskimi napisami.

- Mamy tutaj prawdziwy pluralizm – zauważył Jonathan.
- Kupców nie stać na luksus nietolerancji – odparła Emili.

Nielegalny handel dziełami sztuki z powodzeniem odbywał się między sunnitami i szyitami, którzy z myślą o przemyśle zabytków odsuwali na bok dzielące ich różnice religijne.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Jonathan, kiedy stanęli przed fasadą klasztoru Sióstr Syjonu.

Zapukali w ciężkie dębowe drzwi.

Przez chwilę panowała cisza, a potem dał się słyszeć zgrzyt odsuwanej skobla. Drzwi uchyliły się nieznacznie.

Ukazała się za nimi sylwetka wysokiej szczupłej kobiety. Emili rozpoznała niebieską sukienkę średniej długości, szary sweter i płaskie białe buty. Była to jedna z Sióstr Syjonu, rzymskokatolickiego zakonu powstałego w połowie dziewiętnastego wieku. Mimo że miała kasztanowe włosy, wyglądała na osobę dobiegającą pięćdziesiątki.

– Czy możemy pomówić z przeoryszą? – zagadnęła ją po angielsku Emili. – To naprawdę pilna sprawa.

– Przeorysza jest w tej chwili nieobecna – odpowiedziała z australijskim akcentem zakonnica.

– Ale nam naprawdę zależy...

– Przykro mi. Klasztor jest otwarty dla gości od...

– Mamy informacje, że w pobliżu klasztoru prowadzone są nielegalne wykopaliska – przerwała jej Emili.

Zamykające się drzwi znieruchomiały.

– Słucham? – zapytała zakonnica.

Emili poczuła, że udało jej się wzbudzić zaciekawienie rozmówczyni.

– Chodzi o nielegalne wykopalisko, które może stanowić zagrożenie dla klasztoru.

Kobieta szerzej otworzyła drzwi, ukazując oboje oczu. Jonathan miał świadomość, że ani on, ani Emili nie prezentują się imponująco. Przepocona koszula przylepiła się do jego piersi, a Emili wciąż miała na sobie ubrudzone szare spodnie i jedwabną bluzkę, noszącą ślady osmalenia dymem podczas wybuchu w podziemiach Rzymu.

– Proszę wejść – rzekła zakonnica.

Ściany długiego holu nie były pomalowane, częściowo pokrywała je spękana mahoniowa boazeria. Na korkowej tablicy rozpisano dyżury; nieco niżej ktoś umieścił plakat z obrazem Rafała wiszącym w Muzeum Watykańskim.

Gdy znaleźli się w obszernej sali wykładowej, zakonnica poinformowała gości, że klasztor chętnie przyjmuje grupy wiernych z całego świata pragnących obejrzyć *lithostrotos*, który znajduje się w piwnicy.

– Chodnik? – zdziwił się Jonathan, jednocześnie tłumacząc greckie słowo. – Przybywają z całego świata, żeby podziwiać chodnik?

Siostra się uśmiechnęła.

– *Lithostrotos* w naszej piwnicy pochodzi z pierwszego wieku. Są to podobno oryginalne kamienie, na których odbył się haniebny sąd Poncjusza Piłata nad Jezusem. Zawsze było to miejsce spokojnej refleksji. – Zakonnica spojrzała w bok. – Aż do niedawna.

– Słyszała siostra hałasy dochodzące spod ziemi? – zapytała Emili.

– Od miesięcy – potwierdziła zmęczonym głosem zakonnica.

Mówiąc, co jakiś czas przelotnie spoglądała w oczy nieznanym.

– Jakie to były hałasy?

– Brzmiały jak łoskot elektrycznych świdrów i silników ciężkich maszyn budowlanych.

– Maszyn budowlanych? – zdziwiła się Emili.

– Podniosłam ostatnio tę kwestię w liście do Rzymu – odparła siostra. – Odpowiedziano mi, że teren wokół kościoła należy do muzułmańskich władz religijnych. Odpisałam, że podziemne jaskinie przylegające do klasztoru znajdują się pod Wzgórzem Świątynnym i że ich ochrona należy do obowiązków wszystkich religii. Nakazano mi więcej o tym nie wspominać. – Przez chwilę panowała żałobna cisza. – Nigdy nie słyszałam głośniejszego wiercenia niż... – Siostra znów zamilkła, jakby nie wiedziała, ile wolno jej ujawnić.

– Głośniejszego niż co, siostrze? – dopytywała się Emili.

– Niż wczorajszej nocy – odparła zakonnica, nachylając się do rozmówczynie.

## 62.

Ahmed Hassan kroczył wśród hałaśliwych odgłosów i feerii barw targu korzennego, patrząc, jak sprzedawcy zdejmują z taczek ciężkie worki kminku, kolendry, kopru włoskiego i curry. Właściciel ostatniego straganu skinął Ahmedowi, pozwalając mu zajrzeć do worka z kurkumą. Ahmed schylił się i wsunął rękę w zwal żółtego proszku. Wyglądało to tak, jakby sprawdzał jakość przyprawy, lecz w środku znajdowały się trzy tuby zawierające czerwony fosfor zmieszany z nitrocelulozą. Razem tworzyły silny ładunek wybuchowy. Ahmed zawiązał worek i dźwignął go na ramię. Jego szczupła sylwetka ugięła się pod ciężarem. Nitroceluloza nie zwiększała znacząco wagi worka, lecz siła jej wybuchu równała się mocy stu kilogramów TNT. Ahmed pokonał labirynt uliczek Jerozolimy, minął Via Dolorosa z rzędami zamkniętych



sklepeków z chrześcijańskimi pamiątkami, a następnie znalazł się na Bab el-Hadid. Tak dotarł do małego sklepu w dzielnicy muzułmańskiej, gdzie sprzedawano szałamę.

– Czekaliśmy na te przyprawy! – zawołał starzec, który kroił jagnię przed nieczynnym jeszcze kramem. Mówił głośno z myślą o izraelskich obserwatorach, od których roiło się w dzielnicy muzułmańskiej. Ahmed przeszedł pod uniesioną okiennicą i złożył worek za ladą, a następnie ostrożnie wyjął ze środka trzy fiolki z nitrocelulozą. Otworzył stalową klapę w podłodze i owionęła go woń zwierzęcego mięsa.

Zszedł po schodkach do chłodnej kamiennej grotty, w której na hakach wisiały obdarte ze skóry kozie tusze. Od razu zauważył plastikową torbę z ubraniami przygotowanym dla niego przez Saladyna.

Ahmed zdjął *madras* i włożył na chudy tułów białą koszulę w zachodnim stylu. Następnie wdział *tzitzit*, wełniane frędzle noszone przez ortodoksyjnych Żydów, pomarszczone czarne spodnie oraz czarną marynarkę. Na głowę założył czarną zamszową jarmułkę i przykrył ją szerokim czarnym kapeluszem. Wreszcie wyjął z torby sidur, ukradziony hebrajski modlitewnik, otworzył go i umieścił fiolki z nitrocelulozą w miejscu, w którym starannie wycięto kartki. Zawartość fiolek była wybuchowa, dlatego Ahmed ostrożnie wsunął sidur do kieszeni marynarki i wszedł po schodkach do sklepiku.

Na Bab el-Quattan, gdy zmierzał w stronę placu Muru Zachodniego, zatrzymało go przy punkcie kontroli dwóch izraelskich żołnierzy. Jego przebranie młodego sefardyjskiego studenta jesiwy wyglądało tak przekonująco, że został przepuszczony bez jednego pytania.

### 63.

Jonathan i Emili weszli za zakonnica do klasztornej kaplicy. Za ołtarzem, między dwoma metalowymi słupkami wisiał cienki stalowy łańcuch, odgradzający spiralne schody. Siostra rozpięła łańcuch i zaczęła schodzić do ciemnej piwnicy.

– Usłyszałam wiercenie podczas mycia *lithostrotos*, które wykonuję codziennie wieczorem.

W starożytności kamienne ściany klatki schodowej zostały gęsto pokryte rysunkami koncentrycznie ułożonych prostokątów.

– Co to za rysunki? – spytała Emili.

– Pozostałość Saturnaliów – odparła zakonnica. – Piwnica służyła jako więzienie fortecy Antonii. Rzymianie byli okrutni i zmuszali jeńców do gry w króla.

– Gry w króla?

– Rzymscy żołnierze i strażnicy często naigrawali się z żydowskich więźniów. Mianowali któregoś królem na dzień albo tydzień, a później go krzyżowali. To nie przypadek, że ostatnie wizerunki Jezusa ukazują go w cierniowej koronie. Rzymianie dla szyderstwa koronowali jeńców na monarchów. – Zakonnica wskazała posadzkę. – Tu widać świetnie zachowane napisy na *lithostrotos*, wykonane przez więźniów zmuszonych do gry w króla w dniu śmierci. – Chodnik był pokryty symbolami astrologicznymi i pogańskimi. – Właśnie dlatego nasz klasztor jest tak ważny dla chrześcijańskich pielgrzymów. Możliwe, że któryś z tych rysunków został wyryty przez samego Jezusa. Rzymianie wzięli go tutaj wraz z innymi żydowskimi jeńcami, wichrzycielami politycznymi. Z tego względu otaczamy *lithostrotos* pieczołowitą opieką.

Schody prowadziły do komnaty z epoki rzymskiej. Wzdłuż bocznych ścian wznosiły się ogromne rzymskie kolumny. Posadzkę tworzyła oryginalna rzymska terakota pokryta lśniąca szarą emalią. Jedyne oświetlenie komory stanowiła wysoka świeca płonąca na centralnie położonym ołtarzu.

– Nadzwyczajne – powiedział Jonathan, wskazując ciemność. – Podstawy kolumn są w późnym stylu attyckim, tak jak opisał to Józef Flawiusz. – Jako naukowiec nie krył podziwu dla budowli. – Są monolityczne, a kapitele noszą rzeźbione zdobienia w bizantyjskiej odmianie stylu korynckiego. – Jonathan skierował latarkę na wysokie sklepienie.

– Te łuki dźwigają na sobie całe miasto. Jerozolima jest miastem zbudowanym na podporach ustawionych w ogromnych dolinach. – Zakonnica wskazała ręką potężny głaz. – Po zniszczeniu miasta w siedemdziesiątym roku pozostało tyle gruzu, że Rzymianie po prostu zabudowali je nowym miastem.

W końcowej części jaskini znajdowało się spore rozlewisko wody. Snop światła z latarki Jonathana był zbyt słaby, by sięgnąć jego drugiego brzegu.

– Ta woda musi przepływać pod Wzgórzem Świątynnym – oznajmiła Emili. – Czy to jest starożytny zbiornik, z którego korzystano w fortecy?

– To nie zbiornik, lecz fosa – odparła zakonnica. – Oddzielała fortecę od Wzgórza.

– Czy ona biegnie prosto do korytarzy pod Wzgórzem? – dopytywała Emili.

– Na początku lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku można było dopłynąć po niej tratwą do podziemnych krypt. Jednak w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku brytyjska ekspedycja Charlesa Warrena przypadkowo wpłynęła tam z kijem umocnionym w nafcie. Siostry wzięły go za ducha i kazały przegrodzić wodę murem. – Zakonnica wskazała łuk widoczny nad czarną powierzchnią wody. – Słyszałam pogłoski, że pod tym łukiem znajduje się tunel, który prowadzi do krypt pod powierzchnią Wzgórza.

– Tamten? – spytała Emili, wskazując ręką.

Siostra skinęła głową.

Emili podeszła do zniszczonej łodzi wiosłowej, otoczonej glonami; na jej dnie zebrał się mulisty osad.

– Możemy ją pożyczyć?

– Chwileczkę – odezwał się Jonathan, spoglądając to na łódź, to na Emili. – Nie proponujesz chyba, żebyśmy do tego wsiedli?

– To jedyny sposób – odparła z wymuszonym uśmiechem Emili. – Musimy dostać się pod Wzgórze łodzią.

– Nawet jeśli to kiedyś była łódź, teraz zasługuje najwyżej na miano tratwy. Skąd mamy pewność, że to w ogóle utrzyma się na wodzie?!

Emili odwróciła się do siostry.

– Utrzyma się?

– Raczej tak, ale ja bym...

– Widzisz? – powiedziała z uśmiechem Emili do Jonathana.

Bez słowa wsiała do drewniej łupiny i przykucnęła, by utrzymać równowagę.

Jonathan uniósł palec wskazujący, próbując wymyślić kontrargument, którym mógłby odwieść towarzyszkę od tego pomysłu. Dał jednak za wygraną i niechętnie wszedł do chybotałwej łódki. Sterowali nią, lekko odpychając się rękoma od kamiennych kolumn. Masa ich

ciał sprawiła, że łódź szorowała dnem o starożytny gruz na dnie. Po chwili zrobiło się głębiej i leniwy nurt poniósł ich w ciemność.

Sklepienie było wyższe, niż sobie wyobrażali, a nad nim znajdowały się ulice miasta. Światło wpadające przez kratki połyskiwało na powierzchni niczym blask księżyca.

Łódka nabrała prędkości i odbijała się od ścian podziemnego tunelu.

Nagle poleciała w dół na czymś w rodzaju katarakty; Jonathan poczuł się przez chwilę jak na wodnej zjeżdżalni. Odchylił się do tyłu, aby zmienić środek ciężkości łodzi. Emili omal nie wypadła za burtę, lecz właśnie w tym momencie dziób łódki uderzył o powierzchnię i wylądowała na kolanach Jonathana. Łódka ustabilizowała się i popłynęła wodnym torem, stukając w niskie kamienne brzegi.

Jonathan usiadł pewniej i wychylił się przez burtę, kierując snop światła w dół. Łódka sunęła starożytnym akweduktem, tak wysokim, że można było odnieść wrażenie, iż unosi się w powietrzu. Blask latarki nie sięgał dna kanału.

Łajba dopłynęła do drugiego brzegu i osiadła na piaszczystej krawędzi wąskiego korytarza. Lewa ściana przypominała postrzępioną, załamującą się ku górze skalną ścianę kanionu w kolorze rdzy. Po przeciwnej stronie korytarza znajdował się mur zbudowany z ogromnych prostokątnych bloków kamienia. Przez szczeliny między nimi sączył się blask słońca, malując jasne punkciki na pierwotnej skale Wzgórza Świątynnego.

– Ten olbrzymi mur został wzniesiony przez Heroda, który chciał, by Świątynia wystawała poza krawędź skalnej ściany – wyjaśniła Emili, kierując się w głąb korytarza. Pod jej stopami szeleściły suche liście. Jonathan zaświecił w dół i zobaczył, że poruszają się w głębokiej do kostek warstwie wyschniętych papierów. – To musi być zachodnia ściana fortyfikacji – powiedziała Emili.

– Skąd wiesz?

– Żydzi od wieków wsuwają zapisane na papierze modlitwy w szczeliny między kamieniami Ściany Płaczu. – Emili poklepała dłonią kamienne bloki. – Zanim je zasklepiono, niektóre kartki musiały wepchnąć inne aż tutaj, pod powierzchnię Wzgórza.

Korytarz oddalał się od źródła światła i biegł ku górze. Błotnisty osad znikł i w jego miejsce pojawiła się sucha ziemia. W wąskim korytarzu wznosiły się nowoczesne wsporniki z pustaków. Światło z latarki Emili padło na aluminiową poręcz przytwierdzoną do ściany korytarza.

– Ci, którzy prowadzą wykopalisko pod Wzgórzem, musieli tędy przechodzić – oznajmiła Emili. Wszędzie leżały papierki, puszkki i foliowe torebki. Po chwili pojawiły się kilofy, łopaty, ręczne świdry i metalowe drapak. – Trudno to nazwać narzędziami do prowadzenia naukowych wykopalisk – zauważyła gniewnie.

Na ścianie widniała niewielka inskrypcja opisująca obowiązki kapłańskie. Pokrywał ją świeżo nałożony jasny żel. Jonathan nachylił się i uniósł dłoń, żeby go dotknąć.

– Uwważ! To stężony kwas chlorowodorowy.

– Skąd wiesz, że to jest...

– Po zapachu. To kwas na bazie siarki z domieszką wotriolu.

Używało się go do rozpuszczania kamieni już w średniowieczu.

Kolejna porcja środka chemicznego sprawi, że starożytna inskrypcja stanie się nieczytelna i będzie wyglądała jak rysa na nierównej ścianie.

Ślady planowej destrukcji stawały się coraz bardziej widoczne: stosy ziemi, gliny, osadu. Zamierzenia władz Waqf wydawały się oczywiste. Na dnie jednego z korytarzy, wśród kilofów i pustych pojemników na rozpuszczalniki, wałały się odłamki starożytnych malowanych naczyń. Na kawałku przeciętej mozaiki leżała ręczna piła. Jej zęby zagłębiły się w błękitne płytki, na których przedstawiono jakiś obrzęd kapłański. Jonathan przyjrzał się dokładniej i zauważył niebieską emalię na krawędzi kilofa. Emili powiodła palcami po resztkach średniowiecznego herbu templariuszy. Spora część płytek została już pokruszona i leżała w kubie.

Emili wyjęła aparat i zaczęła fotografować prymitywne narzędzia, zniszczone przedmioty oraz foliowe rękawice zabezpieczające ręce przed działaniem niebezpiecznych rozpuszczalników.

– Słyszysz? – zapytała Emili. Z oddali dochodził słaby pomruk świrdrów. – Tędy.

– Emili, zebrałaś już dowody – powiedział Jonathan, spoglądając na aparat. – Nie jestem pewien, czy powinniśmy iść dalej... – Lecz Emili już pędziła korytarzem. – To niegrzecznie tak się zachowywać! – zawołał Jonathan, ruszając za nią biegiem.

Odgłosy wiercenia stały się głośniejsze. Korytarz prowadził do ozdobnych starożytnych schodów wykutych w litej skale.

Nad ich wierzchołkiem znajdowały się nowoczesne stalowe drzwi, przez szpary wokół nich sączyło się jasne światło.

– Jak sądzisz, co jest za tymi drzwiami? – spytał Jonathan.

– Grota Królewska – odparła Emili. – Właśnie tam musi się znajdować nielegalne wykopalisko.

– Ta Grota Królewska, o której pisze Józef? – Jonathan uniósł brwi ze zdziwienia. – Podobno miała trzysta metrów średnicy, czyli prawie tyle samo, ile wynosi szerokość całego Wzgórza. Nikt jej nie widział od czasów starożytnych.

– Prawie nikt. W latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku bez wiedzy otomańskich namiestników wśliznęli się do niej brytyjscy badacze i podobno organizowali tam zebrania loży masońskiej.

– I to mają być twoje źródła naukowe?

– Punkt dla ciebie.

Zbliżyli się do drzwi. Schody były wąskie i strome; przypominały kamienną drabinę. Jonathan wspiął się pierwszy, opierając się o ścianę, by utrzymać równowagę.

Stanąwszy na szczycie schodów, położył dłoń na klamce. Widok ciemnego korytarza, którym przyszli, strome schody, jaskrawy blask za metalowymi drzwiami – wszystko to przypominało dziwną pośmiertną wizję.

Trzysta metrów średnicy, pomyślał Jonathan i nacisnął klamkę. To musi być legenda.

## 64.

Ahmed Hassan poprawił czarny kapelusz, czekając w kolejce do ostatniego punktu kontroli przed placem Muru Zachodniego. Przed nim stała liczna grupa młodych amerykańskich Żydów; kilkudziesięciu nastolatków robiło sobie zdjęcia z izraelskimi żołnierzami, ich kolorowe plecaki przechodziły tymczasem przez skanery rentgenowskie. W tym zamieszaniu Ahmed przemknął niezauważony przez wykrywacz metalu. Stał po drugiej stronie bramki, pamiętając o tym, że każde nieostrożne dotknięcie modlitewnika spowoduje detonację.

– Skąd jesteś, *habibi*? – zapytała wysoka, szczupła izraelska policjantka, o jakieś dziesięć lat starsza od Ahmeda. Jego duże brązowe oczy znieruchomiały ze strachu. Dlaczego ona odezwała się do mnie po arabsku? *Habibi* to arabskie słowo oznaczające „mój drogi”.

Jednak uśmiech policjantki uspokoił Ahmeda. Słyszał setki razy, jak młodzi Izraelczycy używają arabskich słów, traktując je jak miły dla ucha slang. Wywoływało to wściekłość wielu przyjaciół Ahmeda. Najpierw odebrali nam ziemię, a teraz język. Ahmedowi sprawiało przyjemność, że obcy mówią jego językiem. Choć przez chwilę ich rozumiał.

– Z Jemenu – odparł zgodnie z pouczeniem Saladyna.

Ostatnio do Jerozolimy napłynęła cała fala religijnych Żydów z Jemenu, toteż jego odpowiedź była nie tylko wiarygodna, lecz także pospolita.

Policjantka wzięła modlitewnik z ruchomej taśmy skanera i trzymała luźno za grzbiet. Ahmed zaczął się pocić.

– Jeszcze jedno pytanie – rzekła policjantka.

Chłopak obserwował ją szeroko otwartymi oczyma.

– Jaka jest *parasha* na ten tydzień? – Był to błyskawiczny sposób weryfikacji religijnych Żydów, którzy powinni znać treść tygodniowego czytania Tory.

Ahmed odetchnął, rad, że Saladyn przygotował go na to jedno jedyne pytanie. Bez wysiłku wymówił dwa słowa po hebrajsku i Izraelka się uśmiechnęła. Wręczyła mu modlitewnik i skinęła ręką w stronę Ściany Płaczu.

– Pomódl się za mnie – rzuciła odrobinę cynicznie, nim spojrzała na następnego turystę.

Ahmed skinął głową, nie rozumiejąc.

Po zakończeniu przez policję wewnętrznego śledztwa funkcjonariuszka dostała naganę za wykorzystanie pytania, które Hamas rozpowszechnił w swoich szeregach. Wiedzano o tym, gdyż dwa miesiące wcześniej skradziono listę pytań od ochrony El Al. Policjantce zarzucono także to, że nie zauważyła całego szeregu szczegółów widocznych na nagraniu z kamery. Spinacz na jarmulce Ahmeda był zbyt długi, pasował do kefiru. Na wełnianym *tzitzit* widniała sprana różowa plama od krwi na klatce piersiowej w miejscu, w którym byle jak zaszyto rozdarcie z grubsza odpowiadające szerokości *shafra*, ząbkowanego noża, często używanego w niedawnych napaściach na osadników na Zachodnim Brzegu Jordanu.

Ahmed przemierzył plac i skierował się w stronę kasy biletowej wycieczek do tunelu Muru Zachodniego. W budce paliło się światło; rosyjska nastolatka w kombinezonie sprzątaczkki wycierała okna od środka. Nie patrząc na dziewczynę, Ahmed obszedł budkę i znalazł się na jej tyłach. Dobywszy z kieszeni marynarki fiolki z nitrocelulozą, zauważył, że lepka strona taśmy klejącej pokryła się kłaczkami materiału. Nie mógł mieć pewności, że się przylepi. Schylił się i ostrożnie, aby ich nie stłuc, przycisnął pojemniki do ściany budki. Zdjął z nadgarstka pęknięty zegarek Casio i wyjął spod koperty zwój miedzianego drutu, którym następnie owinął obie fiolki.

Powoli odsunął rękę i pomodlił się krótko z wdzięczności, że taśma jednak przywarła do ściany. Zgodnie z poleceniem odszedł od budki i ruszył w stronę Ściany Płaczu. Zrobił to na wypadek, gdyby ktoś go obserwował. Spędził minutę, udając nabożne milczenie wśród tłumu identycznie ubranych młodych mężczyzn, i oddalił się z placu.

Spustoszenie w grocie było tak wielkie, że Jonathanowi włosy stanęły dęba. Emili zamarała obok niego w bezruchu. Ogromna jaskinia była pusta, lecz uśpione buldożery, dziesiątki leżących taczek oraz masywny stalowy kadłub dźwigu dobitnie świadczyły o skali prowadzonych tu codziennie robót. Z wysokich ścian zwieszały się liczne drewniane podesty, przypominające prymitywne rusztowania. Na deskach leżały piły łańcuchowe, a tuż obok stały kubły z odłamkami ceramiki oraz starożytnego szkła.

– To archeologiczny terroryzm – odezwała się cicho Emili.

Wkroczyli na wąską aluminiową kładkę biegnącą wzdłuż ścian. Dawła ona dostęp do łukowatych otworów tuneli rozmieszczonych na całym obwodzie groty.

– Przekopywali się przez każdy z tych tuneli – oznajmił Jonathan, spoglądając na otwory. – Szukali tego, przez który kapłan uciekł przed żołnierzami Tytusa.

– I wydaje mi się, że go znaleźli – odparła Emili, wskazując świeżo odkopany łuk w ścianie groty. Na drewnianym stole obok spoczywały plany architektoniczne. Otwór tunelu zakrywały gumowe płachty. Leżące pod nimi grube żółte rury prowadziły do wielkich stalowych pojemników, a tych samych rozmiarów niebieska rura podłączona była do przemysłowej dmuchawy podłogowej.

– Do czego służy ten sprzęt? – spytał Jonathan.

– Gumowe płachty mają zapobiec rozrzuconiu gruzu w czasie wybuchu, a te rury to rodzaj hydroodkurzacza. Stalowe zbiorniki zbiorą pył i popłynie z nich do tunelu świeże powietrze tuż po detonacji.

Dwóch Arabów w kombinezonach UNESCO wybiegło z otworu i przymocowało gumowe płachty do bocznych ścian łuku. Emili i Jonathan skryli się w ciemności. Mężczyźni przykleili krawędzie płachty do skały, a następnie wbiegli po sześciopiętrowych drewnianych schodkach do wyjścia groty. Jeden odwrócił się i zaczął schodzić, lecz drugi krzyknął na niego, wskazując na zegarek.

– Czegoś zapomniał – domyśliła się Emili, obserwując tę scenę.

– Wygląda na to, że im się spieszy.

– Umieścili ładunki we wnętrzu tunelu i zamierzają je odpalić.

– Wyośmy się stąd – rzekł Jonathan. – Masz zdjęcia, które możesz pokazać na sesji Komitetu Światowego Dziedzictwa. Wracajmy do klasztoru.

Z korytarza, którym nadeszli, dochodziły słabe okrzyki w języku arabskim.

– Jon – powiedziała Emili na widok zbliżających się błysków światła. – Nie sądzę, by powrót tą samą drogą był rozsądnym pomysłem. Musimy wejść do groty.

– Do groty?! Przecież sama powiedziałaś, że szykują eksplozję!

Kilka sekund później zza załomu tunelu wychynął jeden ze strażników Waqf i zaświecił latarką w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stali Jonathan i Emili. Nikogo tam nie było.

## 66.

Ramat Mansour zdjął opaskę z oczu. Stał samotnie za murami Wzgórza Świątynnego, wśród sękatych pni drzewek oliwnych w dolinie Kidron. Wspomnienia ostatnich dwóch godzin – szybki marsz podziemnymi korytarzami, oślepiające reflektory olbrzymiego wykopaliska, odkrycie brązowych drzwi z epoki Świątyni – miały posmak ciągu niepołączonych ze sobą snów.

Ramatowi zdarzało się lunatykować, miał więc nadzieję, że ostatnie dwie godziny były jedynie okropnym *hulum*.

Jednakże mała drewniana skrzynka, leżąca u jego stóp, świadczyła o czymś innym. Nalepka anonsowała libańskie truskawki, lecz Ramat domyślał się, jaka jest zawartość pojemnika. Uniósł wieko i jego oczom ukazały się trzy równe pliki riali, banknotów Arabii Saudyjskiej. Jeszcze nigdy nie widział tylu pieniędzy. W każdym pliku musiało być sto banknotów; przy obowiązującym kursie wymiany wystarczy to na pokrycie długu za czynsz nie na rok, ale na dwa lata. Widok pieniędzy od Saladyna nie pocieszył Ramata, tylko przerażająco dobitnie uświadomił mu powagę jego czynu. Doprowadził kuzyna do tajemnej bramy opisanej przez Józefa Flawiusza. Przypomnił sobie słowa, które Saladyn wypowiedział do nastolatka tuż po odkryciu przejścia. „O ósmej przyprawy muszą się znaleźć przy okienku biletowym na placu przy Murze Zachodnim. Akcja dywersyjna musi nastąpić równocześnie”.

Mansour wstał i wziął skrzynkę pod pachę. Krocząc brukowaną dróżką, a później żwirową ścieżką, dotarł do wioski Silwan. Wtem coś przyszło mu do głowy i zatrzymał się. Właśnie w taki sposób

planują przebicie się przez ukrytą bramę! Równoczesne eksplozje. Przypomnił sobie Ahmeda, który nie miał kawałka dolnej części ucha. Młody konstruktor bomb. Ramat Mansour stopniowo uświadomił sobie, w jaki sposób Saladyn zamierza sforsować Brązową Bramę: detonacja pod Wzgórzem wymaga drugiej, która odwróci od tamtej uwagę.

Ósma rano, budka biletowa przy tunelu Mostu Zachodniego. Ramat spojrzął na zegarek: była siódma pięćdziesiąt dwie. Zostało osiem minut.

Popędził z powrotem żwirową ścieżką i przebiegł pod Bramą Moghrabi. Za wejściem na plac Muru Zachodniego i szeregiem skanerów rentgenowskich znajdowała się kasa, w której sprzedawano bilety na wycieczkę do tunelu Muru Zachodniego. Obok niej kłębił się tłum nastolatków różnej narodowości. Jedni stali, inni leżeli lub siedzieli na plecachach.

Co ja zrobiłem?

Mansour wyciągnął zegarek: była siódma pięćdziesiąt sześć.

Przemknął przez niepilnowany wykrywacz metalu i biegł dalej placem, krzycząc na cały głos: *Ashwik qunbula!* Tam jest bomba!

*Hafsik!* – odpowiedział po arabsku głuchy elektroniczny głos policyjnego megafonu. Stój, bo zaczniemy strzelać.

Mansour się zatrzymał.

Młody izraelski policjant, który rzucił się za nim w pościg, uniósł pistolet. Usłyszał słowo *qunbula*. W ramach treningu poznał kilkanaście arabskich słów, oznaczających materiały wybuchowe. Każde z nich w obecnej sytuacji politycznej upoważniało go do otwarcia ognia.

Jednak gdy Mansour się odwrócił, policjant zobaczył, że uciekinier nie ma szklatego wzroku fanatycznego nastolatka z Hamasu. W prawej dłoni trzymał izraelski paszport. Był to pożądany dokument w okolicznych arabskich wioskach, dający jemu i jego rodzinie prawo do pełnego obywatelstwa. Po co go pokazuje?

– Za dwie minuty wybuchnie tam bomba! – zawołał

Mansour po arabsku, wskazując na zgrupowanie turystów wokół budki.

Nie rozumiejąc jego słów, policjant krzyknął:

– Rozepnij kurtkę!

– Tam jest bomba! – powtórzył po arabsku Mansour, pokazując ręką budkę.

Funkcjonariusz sprawdzał, czy pod wierzchnim okryciem Ramata znajduje się pas wypchany gwoździami. W razie stwierdzenia obecności ładunku wybuchowego zamachowca należy zabić. Taktyka strzelania bez ostrzeżenia pozwalała co rok ocalić życie dziesiątków ludzi w ulicznych kafejkach Ben Jehudy i pasażach handlowych Tel Awiwu.

Jednak coś powstrzymało rękę policjanta.

– Tłumacz! – krzyknął, wciąż mierząc z pistoletu w głowę Mansoura. – Natychmiast!

\* \* \*

Saladyn obserwował zamieszanie na środku placu z wysokości piętnastu metrów. Stał za witrażowym okienkiem wmontowanym w średniowieczny otwór łuczniczy przy południowej krawędzi zachodniej ściany Wzgórza. W pomieszczeniu mieściła się część biura Muzeum Islamskiego, lecz roztaczający się z niego widok dawał Saladynowi możliwość obserwowania wybuchu przy budce biletowej. Widział, jak Ramat wymachuje rękoma, usiłując coś wytłumaczyć izraelskiemu policjantowi.

Zerknął na zegarek. Zostały trzy minuty. Za dużo czasu. Jeśli policja zapobiegnie detonacji ładunku przy kasie, huk eksplozji pod Wzgórzem Świątynnym będzie słyszalny na kilometr i wywoła reperkusje międzynarodowe. Saladyn nie mógł na to pozwolić. Kuzynie, sam jesteś sobie winien.

Odszedł od okna i skinął na niskiego tęgiego mężczyznę w zielonym swetrze w romby. Z wyłożonego styropianem futerału mężczyzna wyjął długi karabin snajperski Dragunow kalibru 7,62 z czarną kolbą i celownikiem optycznym. Spokojnie, jakby chodziło o otwarcie okna w dusznym pokoju, mężczyzna oparł czarny tłumik i podstawę przedniego celownika na długim kamiennym parapecie. Nastawił wizjer i w małym hotelowym notatniku zapisał równanie uwzględniające siłę wiatru i zmienne podwyższenia. Przetawił powiększenie z trzech jednostek na dziewięć i na krzyżyku celownika optycznego ukazało się znamień na szyi Ramata.

\* \* \*

Policjant przyglądał się Ramatowi.

– Co chcesz mi powiedzieć?! – zawołał. – Na placu jest bomba?!

Ramat skinął głową, wykrzykując coś po arabsku i raz po raz wskazując palcem kasę biletową.

– Tam, obok budki z biletami?

Nagle szyję Ramata Mansoura przebił pocisk. Stało się to tak niespodziewanie, że policjant pomyślał, iż to on przypadkowo wypalił z pistoletu. Ramat zacisnął obie dłonie na krwawym otworze w szyi. Jego oczy się rozszerzyły, a z krtani wydobywało się straszliwe gulgotanie, gdy odruchowo wciągał powietrze.

Policjant momentalnie zrozumiał, co się dzieje.

– *Tzala!* – ryknął. Snajper!

Ramat opadł na kolana, a funkcjonariusz uklęknął obok, przyciskając dłonie do jego szyi. Jednak ranny wciąż usilnie wskazywał palcem w stronę budki biletowej. Policjant skoczył w stronę kasy, krzycząc, by turyści opuścili całą południową część placu. Dziesiątki nastolatków pierzchno w popłochu, porzucając swoje rzeczy.

Funkcjonariusz wrócił biegiem do Ramata i ponownie przycisnął dłoń do jego szyi. Jesteśmy



za blisko budki, mówiły oczy Araba.

– Idź – wycharczał. – Proszę. – Zegarek spoczywający na jego otwartej dłoni wskazywał ósmą zero zero.

Ramat leżał samotnie na opuszczonym placu. W budce rozbłysło białe światło i okna zapaliły się niczym olbrzymia latarnia. Metal wygiął się na zewnątrz, budka rozděła się rozprężyła tak, jak i

ostatnie chwile życia Ramata Mansoura. Masa odłamków szkła ogarnęła go niczym połyskliwa fala, a on zobaczył, jak stoi w wodzie na plaży w Gazie z synkiem w ramionach.

## 67.

Emili i Jonathan posuwali się po wąskiej kładce w jasno oświetlonej grocie, nie odrywając pleców od kamiennej ściany. Jonathan spojrział w dół. Od dna jaskini dzieliła ich wysokość około pięciu pięter.

Ściany zdrząły i w grocie przetoczył się głęboki niski pomruk. Ze sklepienia posypał się kurz.

– Zdetonowali ładunek – oznajmiła Emili.

Drżenie nasiliło się, a Emili i Jonathan spojrzeli na siebie. Nie wiedzieli, czy rusztowanie jest wystarczająco mocne, by wytrzymać wstrząs. Czy samo Wzgórze wytrzyma? – zastanawiała się Emili. W przeszłości trzęsienia ziemi pochłaniały całe tunele i wielkie grotty pod Wzgórzem Świątynnym. Izraelski Zarząd Starożytności wszem wobec ostrzegał, że nielegalne wykopaliska grożą osłabieniem struktury Wzgórza, które może się zawalić wraz z Kopułą na Skale.

Z otworu tunelu buchnął tuman skalnego pyłu i gruzu. Gumowa płachta nie wytrzymała i odskoczyła. W ślad za nią popłynęła chmura kurzu, zasnuwając posadzkę aż do wysokości kół koparek spychaczy. Dmuchawy wyrzuciły pył do góry.

Grzmot zamarł i w tej samej chwili Jonathan usłyszał wściekły wrzask.

Na przeciwległej stronie kładki stał ochroniarz Waqf i krzyczał, mierząc do Jonathana z kałasznikowa.

– Co on mówi? – spytał Jonathan.

– Że jesteś nieproszonym kundlem – przetłumaczyła Emili.

– Mogłaś to przetłumaczyć oględniej – odparł Jonathan, powoli unosząc ręce.

Tuman kurzu wznosił się powoli na ich wysokość. Emili ledwo widziała swoje stopy.

Ochroniarz gmerał przy radiu, wrzeszcząc coś szybko po arabsku.

– Widzisz te schody? – spytał cicho Jonathan.

Zerknął na sześć kondygnacji drewnianych stopni prowadzących z rusztowania na dno jaskini.

– Jon, ten facet trzyma cię na muszce – wyszeptła Emili, która nie mogła oderwać wzroku od kałasznikowa.

– Za chwilę straci nas z oczu – odparł Jonathan. – Dmuchawy wyrzucają pył w górę. Na dnie grotty jest już czysto. Możemy dostać się do tunelu.

– A jeśli malowidło w Rzymie pokazywało prawdę, to tunel biegnie równoległe do akweduktu... – Emili zaniósła się kaszlem.

– ...który zaprowadzi nas do sadzawki Silwan za murami miasta – dokończył Jonathan. – Tą samą trasą dwa tysiące lat temu wymknął się Józef.

Postać mężczyzny z karabinem prawie znikła w tumanie kurzu.

– Ruszajmy – powiedział Jonathan. Ochroniarz wciąż wrzeszczał. – Weź głęboki oddech.

Jeśli to możliwe, pomyślała Emili, która już się krztusiła.

Błyskawicznie przemknęli po aluminiowej kładce; Jonathan położył dłoń Emili na poręczu. Popędzili schodami w dół i po chwili znaleźli się na dnie grotu.

Jonathanowi brakowało powietrza. Połykał je, wstrzymując oddech. Emili też ledwo oddychała. Czuł słabnący uścisk jej dłoni, gdy prowadził ją za rękę obok złotego korpusu sypiacza. Kierował się w stronę szumu odkurzaczy. Już miał skręcić, gdy widoczność zaczęła się poprawiać i po chwili kurz całkowicie się rozproszył.

Dyszeli ciężko, posuwając się w tunelu obok misternych inskrypcji z epoki asyryjskiej, które pokrywały ściany. Emili nie mogła odżałować, że ogląda je w biegu. Wiedziała, że jest to jedyna w życiu szansa zobaczenia we wnętrzu Wzgórza oryginalnych inskrypcji z czasów Pierwszej Świątyni. Ściany w głębi tunelu nosiły ślady niedawnej eksplozji, w powietrzu unosiła się woń spalonej ogniem skały.

– Oto powód, dla którego zdetonowali ładunek – rzekł Jonathan. Potężne brązowe drzwi zostały wyrwane z zawiasów i leżały ukośnie między ścianami. Przemykając pod nimi, Emili odczuwała wściekłość z powodu zniszczeń, a zarazem podziw dla ich wielkości i precyzji wykonania.

Prostując się po drugiej stronie drzwi, ujrzeli na ścianach skomplikowane reliefy. Płaskorzeźby przedstawiały otwarte dłonie z częściowo rozłożonymi palcami.

– Znak kapłańskiego błogosławieństwa – wyjaśniła Emili. – Z tego korytarza korzystali *kohanim*.

Oboje szli w milczeniu, zdając sobie sprawę ze świętości miejsca i możliwości, że za chwilę coś odkryją. Zbliżali się z każdym krokiem. Adrenalina sprawiła, że sceptycyzm Jonathana na chwilę prysł i w jego głowie zakiełkowała nadzieja. Czy to może być miejsce, w którym kapłani ukryli menorę z tabernakulum?

Następne pomieszczenie było okrągłe i niewielkich rozmiarów. Miało łukowate sklepienie, a jego przekątna wynosiła około sześciu metrów. Eksplozja skruszyła pilastry, lecz kształty odłamków gruzu wskazywały, że ściany miały bogate zdobienia.

– Podziemne sanktuarium – rzekła Emili. – Sądząc po wzorach, można stwierdzić, że powstało w epoce Pierwszej Świątyni, w ósmym wieku przed naszą erą.

– Siedemset lat później, w czasach Drugiej Świątyni, jej kapłani prawdopodobnie wykorzystali ją jako tajny skarbiec.

Pośrodku komnaty znajdowały się trzy wysokie stopnie wykute w litej skale, prowadzące do płaskiego podestu. Jonathan odniósł wrażenie, że spoczywał na nim jakiś obiekt, który został zabrany.

Trzy stopnie, pomyślał, przypominając sobie słowa Chandlera. Najwyższy kapłan wstępował po trzech stopniach, by dotrzeć do płomieni menory.

– Ukryli tutaj menorę w czasie oblężenia – powiedział

Jonathan. Wskazał pociemniałe od dymu sklepienie. – Pielęgnowali ogień.

Skierował światło latarki na najwyższy stopień i zbliżył się do niego.

– Tam jest inskrypcja.

## A CAPTIVO AD OSTIA ROMÆ

7D11

– „Z jeńca do ust Rzymu” – przetłumaczył Jonathan. – Hebrajski podpis Yosef. W siedemnastym wieku do alfabetu łacińskiego dodana została litera „J”, zatem...

– Józef – dokończyła Emili. – Podobne do Josephus\*.

\* Imię Józefa Flawiusza brzmi po łacinie Josephus.

Jonathan skinął głową.

– W czasie, gdy Rzymianie obracali Świątynię w gruzy, jego imię wciąż brzmiało Józef. Zmienił je na Josephus dopiero po wojnie, gdy otrzymał rzymskie obywatelstwo.

– Ale w pierwszym wieku naszej ery imię Józef nie było rzadkością w Jerozolimie – zauważyła Emili.

– Dlatego Józef w tych pięciu słowach zawarł niemal całą autobiografię. „Z jeńca do ust Rzymu”. Najpierw zostaje pojmany i uwięziony, a potem zdobywa pozycję głównego negocjatora cesarstwa rzymskiego.

– Negocjował w imieniu cesarstwa?

– W autobiografii pisze, że usiłował reprezentować Tytusa w czasie prób zawarcia traktatu z Jerozolimą. Jerozolimscy dowódcy wojskowi zgodzili się wysłać dyplomatę o pozycji równej pozycji Józefa. Gdy czekał na niego u bram Jerozolimy, Hebrajczycy wypuścili świnię.

Emili się uśmiechnęła.

– Zgaduję, że negocjacje nie przebiegły pomyślnie.

– W głębi duszy Józef wcale tego nie oczekiwał. Jednak światu pokazał się jako rzymski negocjator. Dosłownie „usta Rzymu”.

– Uważasz, że te słowa mają inne znaczenie?

Jonathan skinął głową.

– Sądzę, że Józef nie opisuje nam swojej drogi życiowej wyłącznie po to, by ujawnić tożsamość. Mógł to uczynić na wiele innych sposobów. Uważam, że wskazuje lokalizację, mówi nam, dokąd przemycił menorę.

Emili wpatrywała się w inskrypcję. Nagle jej twarz się rozjaśniła.

– Ostia – powiedziała. – To określenie geograficzne. Nie *ostium*, tak jak w, słowie „usta”. Chodzi o Ostię, starożytną rzymską przystań! Port nosił nazwę Ostia, która pochodziła od określenia ujścia Tybru. W tym miejscu rzeka wpadała do Morza Śródziemnego.

– *Captivae* zaś nie odnosi się jedynie do jeńca Józefa, lecz także do zabytku. Do menory. Świecznik został otoczony niczym jeniec, lecz później ktoś wyniósł go potajemnie ze Wzgórza i z Jerozolimy.

– Do rzymskiego portu – dopowiedziała Emili. Ze zdumieniem uświadamiała sobie ogromną skalę tej operacji.

– Józef Flawiusz wiedział, że tylko kapłan może utrzymać na wygnaniu płomień menory – rzekł Jonathan, oszołomiony tym odkryciem nie mniej niż Emili. – Musiał zabrać ją ze sobą.

Profeta stał na Via Nomentana i patrzył na szkielet Villa Torlonia. Silniki radiowozów pracowały na jałowych obrotach. To, co znajdowało się za wysoką bramą, wyglądało jak zarośnięty opuszczony park. Ciemna sylweta dworku majaczyła niewyraźnie w porannej mgle. Rufio stanął obok dowódcy i popatrzył na teren wokół zrujnowanego budynku. Wspaniałym niegdyś ogrodem zawładnęły chwasty.

– Z policyjnego raportu wynika, że przed siedmioma laty Jonathan Marcus prowadził tam wykopaliska – oznajmił porucznik Brandisi.

– To wygląda jak nawiedzony dwór – powiedział Rufio.

– Owszem, był nawiedzany przez polityczne upiory – dodał Profeta. – Mussolini urządził tu sobie prywatną rezydencję, a w czasie niemieckiej okupacji w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku w willi mieszkali oficerowie SS.

– Tacy lokatorzy szczytu nie przynoszą – zauważył Brandisi.

– Dlatego nie należy się dziwić, że władze miasta pozwoliły willi popaść w ruinę. Rzym wciąż selektywnie pielęgnuje swoją historię.

– Gdzie znajdują się grobowce, panie komendancie?

– Są wszędzie. Pod nami ciągnie się dwanaście kilometrów katakumb.

– Dwanaście kilometrów?

– Tereny wokół starożytnego Rzymu były olbrzymimi miastami umarłych – wyjaśnił Profeta.

– Później zabudowano je pałacami i ambasadami.

Ochroniarz otworzył bramę willi.

– *Comandante*, może tylko tracimy czas – odezwał się Rufio. – Po co właściwie tu przyjechaliśmy?

Odezwało się walkie-talkie Brandisiego.

– Jeden z naszych natrafił na ślad wykopaliska przed willą.

Wszyscy ruszyli w tamtą stronę. Po chwili dotarli do białego grobowca nie wyższego niż ołtarzyk wystający z ziemi. Jedna z jego marmurowych ścianek została usunięta, lecz prostokątny otwór maskowała żelazna krata zabezpieczona kłódką. Profeta schylił się, by dokładniej ją obejrzeć.

– Spójrzcie na to – powiedział Rufio, kierując latarkę w prawą stronę. Wzdłuż grobowca wykopano rów głęboki na około pół metra i wyciągnięto z ziemi zardzewiałą rurę aż do pękniętej złączki. –

Może służba gazownicza likwidowała wyciek gazu – zasugerował.

– To nie jest robota gazowników, poruczniku – odparł Profeta, który uklęknął na trawie. – Ci ludzie oczyścili nagrobek acetonem, aby odczytać napis. Czy dotarł już przedstawiciel Watykanu?

– Właśnie przyjechał, panie komendancie – oznajmił Rufio.

Papieska Komisja Archeologii Sakralnej przy kurii rzymskiej sprawowała wyłączną władzę nad katakumbami od 1929 roku. Kościół potajemnie wynegocjował wtedy z Mussolinim układ, dzięki któremu uzyskał kontrolę nad wszystkimi żydowskimi zabytkami w Rzymie, pochodzącymi z pierwszego i drugiego wieku naszej ery.

W półmroku widać było młodego krępego mężczyznę w sutannie, który zbliżał się do grupki policjantów. Ksiądz miał rude włosy i zaniedbaną brodę, a na sznurku jego sutanny dyndało pokaźne kółko ze starymi kluczami. Duchowny przyglądał się uważnie kłódkę, a jego krępe palce

przesuwały się po metalowej obręczy. Klapa ustąpiła przy pierwszej próbie. Za łatwo, pomyślał Profeta. Zerknął na zawiasy, które błyszczały od niedawno nałożonego smaru.

- Czy ktoś otrzymał *permesso*, potrzebne do otwarcia grobowca?
- Nikt od nas – zapewnił młody ksiądz.

Profeta schylił się do otwartej klapy i zaświecił w głąb. Momentalnie rozpoznał grootę utrwaloną na zdjęciach znalezionych w gabinecie profesora Cianariego. Stąd właśnie zabrano kolumnę, na którą oddział Profety natrafił w portowym magazynie. Jej górna część wciąż spoczywała w grocie, pocięta na drobne kawałki.

- A więc to tutaj ją znaleźli – rzekł Profeta. Jego głos odbił się echem od ścian grobowca.
- To znaczy kogo?

– Kobietę, którą zobaczyliśmy w magazynie. Kopali tu nie dalej niż dziesięć dni temu. – Komendant wskazał na wpół zatartą w marmurze inskrypcję. – *Sepulcrus Berenice Regina*. Grobowiec księżniczki Bereniki. Teraz wiadomo, dlaczego urządzono jej taki wymyślny pochówek. To była Berenika, ostatnia księżniczka Jerozolimy.

Nagle Profeta zauważył coś ciekawego na zewnątrz grobowca. Na mokrej trawie tuż obok jego stopy leżał mały niebielony skrawek papieru, przesiąknięty wodą po wielu dniach opadów.

Papier do zwijania skrętów.

Rufio nawet nie zauważył, że komendant chowa coś do kieszeni.

## 69.

Emili usłyszała szuranie stóp w korytarzu.

- Ten strażnik jest niedaleko.

Jednocześnie rozległy się okrzyki i uderzenia pocisków w skalną ścianę.

- Ruszajmy – powiedział Jonathan.

Mimo iż uciekali przed pogonią, Emili nie mogła się nadziwić, że istnienie tunelu potwierdza biblijną historię Hezekiaha, który w czasie oblężenia Jerozolimy przez Asyryjczyków korzystał z tajemniczego źródła wody. Saladyń zniszczy ten tunel, to tylko kwestia czasu.

- Słyszysz? – spytał Jonathan, który biegł tuż za nią.
- Ochroniarze są coraz bliżej – odparła Emili.

– Mam na myśli wodę. – Zatrzymali się. Szmer podziemnego strumienia był bardzo wyraźny. – Musimy być blisko źródła. – Jonathan zaświecił przed siebie latarką.

Korytarz ciągnął się jeszcze tylko przez metr z kawałkiem. Emili stała tak blisko brzegu, że czubki jej butów wystawały poza krawędź.

Światło laterek nie sięgało daleko, lecz oboje słyszeli pomruk płynącej w dole wody.

Jonathan oświetlił dziwny las białych pnączy, które zwisały z góry.

– To korzenie drzew oliwnych rosnących w dolinie nad nami – wyjaśniła Emili. – Niektóre z nich mają ponad tysiąc lat.

W korytarzu pojawiły się skaczące jasne plamy. Zbliżali się strażnicy Waqf.

– Korzenie podążały za wodą, której poziom obniżał się z upływem czasu – rzekł Jonathan. – Możemy opuścić się po nich do strumienia.

- Opuścić się? Spójrz, jakie są wątle. Nie utrzymają nas! Tuż obok świsnął pocisk.

– No dobrze, ty idź pierwszy – zgodziła się Emili.

Jonathan wyciągnął rękę, lecz korzenie oliwek znajdowały się za daleko od krawędzi tunelu. Skoczył, chwycił się splotu pnączy i zakołysał się między ścianami. Korzenie były zaskakująco suche i kruche; Jonathan poczuł, jak napinają się pod jego ciężarem. Mimo to wytrzymały. Zsunął się o jakieś piętnaście centymetrów i znalazł zagłębienie w skalnej ścianie, na którym mógł postawić nogi.

– Teraz ty! – zawołał. – Skacz nade mną!

Emili rzuciła się ku korzeniom. Złapała tę samą wiązkę i oparła stopy na ramionach Jonathana.

– Nie ruszaj się – szepnął Jonathan. – Są dokładnie nad nami.

W dole pędziła woda, a nad nimi błyskały światła latarek ochroniarzy. Krzyczeli na siebie, obwiniając jeden drugiego, że wybrali niewłaściwy tunel.

Jonathan i Emili tkwili nieruchomo w ciemności. Korzenie drzewek oliwnych trzeszczały pod obciążeniem, lecz jeszcze je wytrzymywały.

– Są za słabe – szepnęła przerażona Emili. Niektóre korzenie pękły i oboje osunęli się o kilkanaście centymetrów niżej. Tam jednak się zatrzymali. Strażnicy Waqf stali nad brzegiem urwiska i świecili w ciemność, ale nie wyglądali poza krawędź, za którą wisieli Jonathan i Emili.

Pnącza zaczęły puszczać z trzaskiem. Jonathan spojrzał w górę. Trzymali się teraz tylko na jednym korzeniu.

Zapewne ochroniarz usłyszał ten odgłos, bo wysunął latarkę nad krawędź i snop światła padł na uciekinierów. Arab nie zdążył jednak zareagować.

Korzeń oliwki pękł z suchym trzaskiem. Jonathan i Emili runęli w przepaść.

## 70.

Kilka sekund po wybuchu na placu Muru Zachodniego czarny opancerzony volkswagen z przyciemnionymi szybami i palestyńską rejestracją zwolnił i zatrzymał się przed Bramą Damascęską. Z samochodu wyskoczył młody brodaty mułła i otworzył wzmocnione polietylenem stalowe drzwiczki. Saladyn wsiadł na tylną kanapę auta, wyposażoną w satelitarny terminal do przesyłu danych oraz satelitarny telefon wielkości pierwszych komórek. Natychmiast skierował uwagę na ekran monitora, pokazujący w czasie rzeczywistym obraz z kamery wideo umieszczonej w tunelu, w której zdetonowano ładunek.

Izraelska policja już kierowała się w stronę Starego Miasta; była to standardowa procedura po ataku terrorystycznym. Saladyn musiał się stamtąd natychmiast ewakuować.

Ostia, pomyślał Saladyn.

Samochód zmierzał w kierunku granicy Strefy Gazy. Saladyn trzymał telefon komórkowy w jednej ręce, w drugiej zaś oprawiony w wytartą skórę notes dziadka, który przez całe życie gromadził w nim swoje spostrzeżenia. Gdyby wielki mufti poznał kluczową informację odkrytą przed chwilą przez wnuka, zdumiałby się tak samo jak na widok ekranu komputerowego, na który ów wnuk spoglądał.

– Szukajcie następnych inskrypcji – polecił Saladyn. – Musimy mieć pewność, że to znajduje się w Ostii.

Na ekranie widział nierówne skalne ściany groty oświetlone purpurowym światłem. Ukazały

się na nim ukryte drzwi, rzucone wybuchem w poprzek korytarza.

– Wciąż jesteśmy w okrągłej komorze, szejku – oznajmił głos dobiegający zza kamery. Operator przechylił kamerę tak, by widać było sklepienie. Na centralnym miejscu znajdował się duży kamienny blok. Prowadziły do niego schody. – To jedyna inskrypcja w tym pomieszczeniu.

– Pokaż jeszcze raz.

Obiektyw skupił się na kamieniu i ukazała się inskrypcja, lecz światło padające bezpośrednio na gładką powierzchnię spowodowało odbłask, który uniemożliwił jej odczytanie.

– Przygaś oświetlenie – rzekł spokojnie Saladyn. Jednak w jego głosie słychać było wyraźną nutkę oczekiwania.

Natężenie światła zmniejszyło się i inskrypcja uwidoczniła się na ekranie. Brzmiała tak, jak Saladyn minutę wcześniej przeczytał.

*A Captivo ad Ostia Romae.*

Zatem menory nie ma w podziemiach Jerozolimy. Saladyn od lat podejrzewał, że plan Józefa Flawiusza był bardzo chytry i uwzględniał taką ewentualność.

Uzyskał numer serwera wymiany w Paryżu i zadzwonił na komórkę w Rzymie.

Nastąpiło połączenie. Saladyn wypowiedział do telefonu tylko jedno słowo:

– Ostia.

– Widziałeś inskrypcję? Jesteś pewien? – spytał kobiecy głos, w którym brzmiało zdenerwowanie.

– Tak, to znajduje się w Ostii. Kiedy przyleci samolot?

– Za czterdzieści minut. Granica Gazy, tak jak zaplanowałeś.

– Jeszcze dziś muszę zacząć kopać. Mapy są potrzebne natychmiast.

– Ostia ciągnie się na długości niemal pięciu kilometrów – oznajmił głos w telefonie. – Nie zdołasz odnaleźć...

– Józef ujawnił miejsce w wersji kroniki.

– Aby przeczytać renesansowe manuskrypty Józefa Flawiusza, potrzebna jest przepustka do Sala Consultazione Manoscritti w Bibliotece Watykańskiej.

– Tej informacji nie ma w Watykanie – odparł Saladyn. – Znajduje się w archiwach Wielkiej Synagogi w Rzymie.

## 71.

Jonathan spadał w mroku sześć metrów, a potem wylądował nogami w gęstej zupie podziemnej sadzawki. Emili wynurzyła się tuż obok, jej twarz pokryta była grubymi smugami glonów i mchu.

Powoli pokręciła głową.

– Korzenie miały nas utrzymać, tak?

Jonathan starł grudkę glonów z jej policzka.

– Wszystko w porządku?

– W porządku? Szalenciec z kałasznikowem czai się dziesięć metrów nad nami, a ja nie widzę stąd wyjścia. Nie powiedziałabym, że wszystko jest w porządku.

Przebrnęli przez wodne porosty i wspięli się na wąski skalny występ na drugim końcu jaskini. Emili pośliznęła się i strąciła kamień do wody.

– Może gdybyśmy wspięli się po tych korzeniach... – zaczął Jonathan, lecz nagle zamilkł i spojrzał na kamień, który stoczył się ze skały. Przebił się przez warstwę mchu na powierzchni sadzawki i w tym miejscu ukazała się woda. Była jasnoniebieska, jakby została podświetlona.

Jonathan patrzył na nią jak zaczarowany.

– Dlaczego ta woda błyszczy?

– O czym ty mówisz? Woda nie może błyszczeć... – Emili skierowała wzrok tam, gdzie patrzył Jonathan. Powierzchnia wody rzeczywiście połyskiwała niczym basen z luksusowym podświetleniem w kurorcie.

Jonathan odgarnął glony z powierzchni. Cała sadzawka lśniła żywym blaskiem.

– Skąd się bierze takie zabarwienie?

– Pod wodą musi być otwór, przez który wpada światło. –

Jonathan spojrzał na towarzyszkę. – Będziemy musieli przez niego przepłynąć.

Zawinął rękawy, by zmniejszyć opór wody. Emili chwyciła go za rękę.

– Jon, nie wiemy, dokąd ta sadzawka prowadzi!

Nagle w wodzie coś plusnęło.

– Strażnicy zrzucili linę – oznajmił Jonathan.

Arabskie okrzyki stały się głośniejsze, dał się słyszeć szcęk karabinów objających się o skalną ścianę. Głosy były coraz bliżej.

Emili spojrzała niepewnie na wodę.

– *Al tre si parte?* – zapytała. A więc do trzech?

Jonathan skinął głową.

– Weź głęboki oddech i płyn za mną do samego dna. W skale musi być otwór.

– Jeden.

Snop światła przemknął po powierzchni i zatrzymał się na uciekinierach. Ochroniarze wydali triumfalny okrzyk.

– Dwa – powiedziała Emili, ściskając dłoń Jonathana. Oboje spojrzeli na wodę. – Trzy!

Zanurkowali w stronę światła i odepchnęli się nogami. Ogarnęła ich łagodna cisza. Wydawało się, że odgłosy taplających się w wodzie ochroniarzy dobiegają z bardzo daleka. Podwodne światło jeszcze bardziej pojaśniało, siny błękit zmienił się w pastelową chmurę. Jonathan i Emili poczuli narastające ciśnienie w uszach. W niewielkiej odległości od dna sadzawki ujrzeli otwór w skale wypełniony świetlistym błękitem, wystarczająco szeroki, by można było przez niego przepłynąć. Emili wyszła pierwsza. Jonathan piął się potężnymi ruchami ramion, biała koszula unosiła się wokół jego tułowia. Nagle ze wszystkich stron otoczyły ich nowoczesne podwodne lampy.

## 72.

Grupa baptystów południowych z kongregacji Dolina Dusz w Hillsboro w Wirginii Zachodniej patrzyła na spokojną podwodną sadzawkę. Niebawem turyści mieli wrócić do klimatyzowanego autokaru zaparkowanego przed siedzibą organizatora wycieczek do podwodnego tunelu Hezekiaha. Po krótkiej cichej modlitwie ich gorliwy kaznodzieja, pastor Josiah Briggens, oznajmił, że w ciemnym tunelu przy blasku świec będą czytać psalmy. Wierni w nabożnym milczeniu podziwiali podwodne źródło, przy którym, jak podaje Ewangelia, Jezus



przywracał wzrok ślepcom. Wielebny pastor, zaciągając w charakterystyczny dla Wirginii Zachodniej sposób, zaintonował Psalm 91.

– Czerpmy naukę z tych cichych wód – rzekł pastor, a wierni spoglądali na świetliście błękitną taflę. Weszli do starożytnego tunelu tak daleko, jak pozwalał regulamin. – Niech te wody rozleją swój spokój na Izrael, niech ukoją...

I właśnie w tej chwili tafla wody rozprysła się niczym szkło.

Jonathan i Emili wynurzyli się na powierzchnię, chlapiąc na wszystkie strony i chciwie łapiąc oddech.

Członkowie Doliny Dusz patrzyli na nich jak osłupiali. Rozległy się krzyki, ten i ów wierny padł na kolana, wołając:

– Alleluja, ojczy!

Jonathan i Emili dopłynęli do brzegu.

– Słodka Maryjo i Józefie! – wykrztusił kaznodzieja.

Jonathan uśmiechnął się grzecznie.

– Obawiam się, że niezupełnie.

## 73.

– Tunel w Gazie jest wciąż otwarty? – spytał kierowcę Saladyn. Ostatnimi czasy Izraelczycy odkryli wiele tuneli, którymi jego ludzie od lat przedostawali się przez granicę między Strefą Gazy i Izraelem.

– Tak, szejku – odparł młody mułła siedzący za kierownicą. Zjechał na pobocze za opuszczonym przydrożnym straganem owocowym. Teraz budka była zabita deskami, a wyblakły szyld z arabskim napisem reklamującym świeże granaty kołysał się na pustynnym wietrze. Szofer spojrzął na podświetlony ekran odbiornika GPS, by sprawdzić położenie. Odwrócił się do Saladyna i poważnie skinął głową. Właśnie w tym miejscu Saladyn miał przedostać się podziemnymi tunelami do Gazy, a stamtąd polecieć samolotem do Rzymu.

Stragan znajdował się dwieście metrów od pierwszego z szeregu potrójnych zasieków z drutu kolczastego, biegnących wzdłuż granicy Strefy Gazy.

Mułła wyjął spod fotela kierowcy stary pistolet. Wysiadł z samochodu i podszedł do budki. Po chwili wrócił i otworzył tylną klapę auta.

– Tunel jest bezpieczny, szejku – oznajmił po arabsku.

Saladyn zbliżył się do straganu, zdjął z gwoźdźca luźną deskę i wszedł do budki. Podniósł część podłogi, pod którą ukazał się otwór. Arab wśliznął się do niego, a następnie wsunął deski na miejsce. W służącym przemytnikom broni tunelu unosił się intensywny zapach mokrego cementu.

Przez sto metrów Saladyn musiał wymacywać rękami drogę w ciemności. Był to solidny wysoki tunel, niewymagający ciąglego schylania się. Saladyn wiedział, że handlarze broni kopią najlepsze tunele między Gazą a Izraelem. Przechodząc pod wysokim betonowym murem, oddzielającym Strefę Gazy od Izraela, słyszał rozmawiających po hebrajsku pograniczników.

Wylot tunelu znajdował się wewnątrz Strefy Gazy, dwieście metrów od granicy.

Saladyn dotarł do końca i wspiął się po drabinie do przydrożnej szopy. Wychodząc, zobaczył stare bmw, które tam na niego czekało. Biały lakier łuszczył się, tumany kurzu przesłaniały

reflektory niczym mgła. Saladyn wsiadł do samochodu i usiadł na tylnej kanapie.

Kierowca ruszył na południe w stronę granicy Gazy z Egiptem i dojechał do granicznego ogrodzenia pod napięciem. Saladyn wysiadł i przeszedł przez otwór wycięty w ogrodzeniu. Po drugiej stronie stał granatowy samolot Cessna Citation X, mający wszelkie zezwolenia egipskich sił zbrojnych. Saladyn zażyczył sobie właśnie tego samolotu z bogatej kolekcji pewnego irańskiego szejka nie tylko dlatego, że podwójny hydrauliczny silnik czynił go najszybszym cywilnym samolotem na świecie, lecz również dlatego, że jego pułap wynosił piętnaście kilometrów. Na takiej wysokości był on niewykrywalny dla większości istniejących radarów. Cessna omal nie zawróciła przed lądowaniem, gdyż wichura jak okiem sięgnąć zamieniła pustynię w gęsty pomarańczowy tuman.

Krocząc w stronę samolotu, Saladyn zasłaniał twarz rękawem. Mężczyzna w ciasno zawiązanej keffii doprowadził go do aluminiowych schodków cessny.

– Za niespełna trzy godziny będziemy w Rzymie, szejku – oznajmił głośno pilot. – Nasi ludzie już rozpoczęli wykopaliska w Ostii.

## 74.

Jonathan i Emili siedzieli w gabinecie Eilat Segev w Muzeum Rockefellera. Mieli na sobie białe dresy, które gospodyni przyniosła z laboratorium; ich ubrania schły w suszarce w piwnicy. Segev nakłoniła ich do wypicia gorącej herbaty, sama zaś poszła do biblioteki muzeum po mapę Ostii.

– Skoro macie rację, to spróbujcie sobie wyobrazić, jakiego planowania wymagała akcja przemylenia do Rzymu obiektu wielkości menory.

– Józef Flawiusz napisał, że przeżył katastrofę morską – odparł Jonathan. – Ładunek ponoć zatonął...

– ...ale równie dobrze Józef mógł wykorzystać to zdarzenie, by przenieść ładunek do portu poza Rzymem – dokończyła Eilat Segev. Jako doświadczony wywiadowca podziwiała ogromne przedsięwzięcie logistyczno-organizacyjne, którego podjął się starożytny historyk.

– Menora znajduje się w Rzymie, dlaczego zatem Józef miałby kierować do Jerozolimy tego, który chciał poznać tajemnicę? – wtrąciła się Emili. – Po co namalował plan Jerozolimy w Złotym Domu, po co wykonał inskrypcję w tunelu Hezekiaha? Czemu nie zostawił wszystkich informacji na własnym podwórku?

– Wydaje mi się, że chciał, by menora została odkryta tylko pod warunkiem, że jego potomkowie będą mogli znów podróżować do Jerozolimy – odrzekł Jonathan. Wstał i zaczął chodzić, tak jak to czynił kiedyś w bibliotece akademickiej. – Pozostawił informację o miejscu ukrycia menory pod powierzchnią Wzgórza Świątynnego. Aby ją poznać, trzeba mieć władzę nad Jerozolimą. Wówczas po odkryciu menory można ją natychmiast postawić na właściwym miejscu w odbudowanej Świątyni, by pełniła swoją funkcję. Nie zapominajmy, że mówimy o dwóch i pół metra czystego złota. Józef wiedział, że jeśli jego potomkowie odnajdą menorę, wciąż przebywając na wygnaniu w Rzymie, będą potrzebowali sanktuarium, w którym można ją umieścić. Chciwość stanowiłaby dla niej zagrożenie równie wielkie, jak rzymskie oblężenie.

– Ostia była znanym Józefowi miejscem, do którego mógł dotrzeć – zauważyła Emili. – Do tego portu zawijały wszystkie rzymskie okręty po zdobyciu Jerozolimy przez legionistów.

Emili nachyliła się nad mapą, którą Eilat Segev rozłożyła na biurku. Znała dramatyczną historię ponownego odkrycia Ostii przez archeologów w dziewiętnastym wieku. Pod wielometrową warstwą mułu i osadów archeolodzy znaleźli brukowane ulice, mozaikowe łaźnie i pokryte freskami tawerny. Wszystko zachowało się w prawie nietkniętym stanie.

– Czy Izraelczycy prowadzili jakąś działalność archeologiczną w Ostii? – spytała Emili.

Eilat Segev spojrzała na swoje zdjęcie w wojskowym mundurze, wiszące w gabinecie.

– Nie była to działalność archeologiczna.

– To znaczy?

– Na początku lat siedemdziesiątych współczesne miasto Ostia ze względu na niewielką odległość od lotniska Fiumicino stało się kryjówką palestyńskich terrorystów. W październiku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku agenci Mossadu aresztowali pięciu Palestyńczyków w ich mieszkaniu w Ostii. W szafie znaleźli dwa rosyjskie pociski SA-siedem i rozkład lotów linii El Al.

Jonathan uniósł głowę znad mapy.

– Nie uwierzycie. – Przesunął mapę tak, by Emili i Eilat Segev mogły ją lepiej widzieć. Wskazał główną ulicę miasta. – Oto Decumanus, czyli najważniejsza arteria. Odchodzi od niej ukośna droga, która prowadzi do małego budynekczku. – Wskazał zapisaną na jego tle włoską nazwę. *Sinagoga Antica*.

– Tak, powinnam była o tym pamiętać – powiedziała Segev. – W ruinach Ostii znajduje się najstarsza synagoga na świecie poza Izraelem.

– Jednak nie to jest najważniejsze. Spójrzcie na tę małą budowlę sąsiadującą z synagogą. Nosi niezwykłą nazwę.

– *Domus Fulminata* – przeczytała niepewnie Izraelka.

– Dom Boskiego Ognia – przetłumaczył Jonathan. – *Fulmen* to „błyskawica” bądź każdy inny ogień zesłany przez bogów.

– Zatem była to pogańska świątynia – zauważyła Emili.

– Jest zorientowana na zachód, a pogańskie świątynie zwrócone były ku wschodowi. A co najważniejsze, synagogi nigdy nie postawiono by tak blisko, chyba że...

– Wyrażenie „boski ogień” ma inny sens – dokończyła Emili. – Na przykład miejsce ukrycia naczyń ze świętym ogniem. – Emili oparła się plecami o krzesło. – Genialne.

– Owszem – potwierdził z uśmiechem Jonathan. – Czy można było lepiej ukryć menorę przed tajną policją? Świątynia o pogańskiej nazwie to idealne miejsce.

## 75.

Porucznik Brandisi ostrożnie wszedł do gabinetu dowódcy z plikiem szarych kopert pod pachą.

– *Comandante?*

– Słucham, poruczniku – odparł Profeta, nie unosząc głowy.

– Przed chwilą ochrona Koloseum i nadzorca archeologiczny dostarczyli nam materiały, o które się zwróciliśmy. Większość to kopie zezwoleń dla ekip archeologicznych i budowlanych na wejście do podziemi Koloseum podpisanych przez nadzorcę archeologicznego.

– Ekipy budowlane?

- Na jutro w Koloseum jest zaplanowana ceremonia otwarcia dorocznej konferencji Komitetu Światowego Dziedzictwa przy ONZ.
- Tak, widziałem scenę, na której będą się odbywały występy artystyczne.
- Ekipy budujące estradę otrzymały wstęp do północnej części Koloseum – dodał Brandisi. – Zadzwoń do Międzynarodowego Centrum Konserwacji Zabytków. Pani dyrektor potwierdziła, że w celu zminimalizowania obciążenia budowli postanowiono ograniczyć ceremonię do północnej części areny. To ta część, która znajduje się bliżej Via del Colosseo. Wydaje się jednak, że niektórzy spośród robotników wielokrotnie zapuszczali się do południowej części, w której nie ma rusztowań.
- Nieopodal korytarza, który odkryliśmy dziś rano – zauważył Profeta.
- Do samego korytarza, panie komendancie. Jacyś robotnicy wchodzili dokładnie pod ten sam łuk, pod którym weszła do ruin doktor Emili Travia. Zarejestrowała ją kamera bezpieczeństwa.
- Sugerujecie, że przygotowania do ceremonii posłużyły za przykrywkę dla nielegalnych wykopalisk, które ujawniliśmy? – Profeta odłożył długopis. – Ustaliliście tożsamość robotników, którzy wchodzili do podziemia?
- Jeszcze nie, ale szukamy.
- *Comandante?* – odezwała się porucznik Copia, stając w drzwiach. – Dostaliśmy odpowiedź z Interpolu. Mamy identyfikację.
- Jaką identyfikację?
- Słowo zapisane w dolnym narożniku jednego z manuskryptów Józefa Flawiusza. Orvieti. Okazało się, że to nazwisko. Znajduje się w policyjnej bazie danych duchowieństwa.
- U Świętego Piotra?
- Zdaje się, że Mose Orvieti ma innego szefa – odparła porucznik Copia.

## 76.

Eilat Segev prowadziła Jonathana i Emili korytarzem służbowym gmachu lotniska Ben Guriona. Roilo się tam od izraelskich celników ubranych w niebieskie koszule i granatowe spodnie. Wysocy dyplomaci przemykali w towarzystwie arabskich szejków, którzy wysiadali z prywatnych samolotów i spieszyli na konferencję z przedstawicielami izraelskich władz. Oficjalnie takie spotkania w ogóle się nie odbywały.

Na czele szła szybkim krokiem Segev, rozmawiając przez komórkę.

Jonathan usiłował zapiąć marynarkę, która skurczyła się w praniu; rękawy sięgały mu do przedramion.

– Nie mogę uwierzyć, że ona wsadziła moją marynarkę do pralki.

– Kolor glonów nie pasował do twojego krawata – oznajmiła z uśmiechem Emili, zerkając na przykrótkie rękawy. – Odślonięte mankiety są modne.

Eilat Segev skończyła nagle rozmowę i odwróciła się.

– Rzymska policja wydała na was oboje europejski nakaz natychmiastowego aresztowania. To prawie niemożliwe, żeby dostarczyć was teraz do Włoch. Mogę jedynie załatwić wam samolot El Al. Gdybym przeprowadziła was przez bramki na Fiumicino, spowodowałoby to wielomiesięczne napięcie dyplomatyczne między naszymi

krajami. Przypuszczalnie szuka was teraz na lotnisku czterdziestu mundurowych.

– Jednak nakaz policyjny nie został zapewne dostarczony włoskim celnikom, prawda? – spytała Emili. Segev skinęła głową.

– A to dlaczego? – zdziwił się Jonathan.

– Dlatego że policjanci szukają nas na Fiumicino wśród pasażerów odlatujących, a nie przylatujących. Nie przyszło im do głowy, że któreś z nas, teoretycznie opuściwszy kraj, zechce tak szybko do niego powrócić.

Izraelscy ochroniarze z szacunkiem kiwali głową przechodzącej Eilat Segev. Kontrola paszportów dyplomatycznych Jonathana i Emili była jeszcze bardziej pobieżna niż zazwyczaj. Jonathan nawet nie pamiętał, czy przechodzili przez wykrywacz metalu. Starszy członek personelu lotniska wręczył im bilety. Dla obojga zarezerwowano miejsca oenzetowskich naukowców, przybyłych do Izraela na zaproszenie Zarządu Starożytności. Jonathan podziwiał profesjonalny wygląd dokumentów. Na parterze metalowej klatki schodowej otworzyły się drzwi. Za nimi znajdowała się płyta lotniska.

– Kiedy samolot wyląduje na Fiumicino, będziecie zdani tylko na siebie. Nawet nie wiem, czy zdołacie dotrzeć do Ostii! – Eilat Segev mówiła głośno, przekrzykując zgiełk panujący na lotnisku. – Wasze miejsca znajdują się w początkowej części kadłuba, żebyście mieli więcej czasu na wysiadanie! Pamiętajcie, na Fiumicino...

– Tak, wiemy! – wpadła jej w słowo Emili. – Będziemy zdani tylko na siebie!

Eilat Segev skinęła głową, a potem odwróciła się i odeszła.

\* \* \*

Siedząc wygodnie w kabinie pierwszej klasy, Jonathan wciąż miał w uszach ogłuszający szum, który panował na płycie lotniska.

– Spójrz na to optymistycznie – szepnęła Emili. – Ten start powinien być o wiele łagodniejszy niż poprzedni.

Jonathan rozłożył na stoliku mapę Ostii. Patrzył na Emili, która uważnie studiowała mapę, i wspominał ich pierwsze wspólne wykopaliska. Było to na południowym wybrzeżu Włoch, a oni należeli do zespołu archeologicznego Akademii Amerykańskiej. W samym środku lata siedzieli we dwoje w jadalni podrzędnego pensjonatu i oglądali lotnicze zdjęcia terenu wioski, na którym miała się znajdować przykryta warstwą gleby pogańska świątynia. Jonathan zauważył, że rzędy karczochów układają się nieregularnie, co mogło wskazywać na obecność pod ziemią dużego obiektu, który zakłócał wzrost ich korzeni. Pełni entuzjazmu i oszołomieni winem wybiegli z latarkami na pole karczochów. Bardzo szybko zauważyli wystający z ziemi i lśniący w blasku księżyca okrągły kawałek marmuru. Uklękli i gołymi rękami odgarnęli ziemię wokół gładkiej powierzchni. Ich oczom ukazał się wyrzeźbiony z kamienia liść akantu.

– To koryncki kapitel – oznajmiła radośnie Emili. Nagle oboje wyobrazili sobie ogromną marmurową świątynię uspioną pod zalanym księżycowym światłem polem karczochów. Emili nachyliła się mocniej, żeby lepiej odślonić marmur, i ich twarze przypadkowo się dotknęły. Długie jasne włosy Emili otoczyły głowy obojga, tworząc ciepłą aurę intymności. Emili pierwsza rozchyliła usta. Gdy znaleźli się w jej pokoju w pensjonacie, Jonathan pieczołowicie zdejmował jej przepoconą bluzkę, szorty w kolorze khaki i bieliznę. To było jak odkrywanie warstw archeologicznych, wymagające nadzwyczajnej uwagi i staranności. Miał świadomość, że

złączyło ich coś więcej niż poobiednia grappa; to było wspólne odkrywanie nieznanego. Później leżeli nago na wąskim łóżku, a ona położyła rękę na jego piersi. Chłodne nocne powietrze owiewało ciepłą wilgotną skórę. Emili otworzyła jasne oczy i zamrugła, jak gdyby coś jej się przypomniało.

- Odkryliśmy dzisiaj coś niezwykłego – powiedziała, wskazując ręką w stronę pola.
- Tak, rzeczywiście – odparł Jonathan, nie odrywając od niej wzroku.

\* \* \*

Zbliżając się do Fiumicino, samolot leciał coraz niżej nad Morzem Śródziemnym. Wzdłuż poszarpanych skalistych brzegów włoskich miasteczek uwijały się *gozzi*, niewielkie łodzie rybackie. Klify miały barwę miodu. Stada wędrownych ptaków unosiły się nad opuszczoną pakowalnią ryb.

Samolot podkołował na stanowisko; Jonathan i Emili zeszli po rampie i wraz z innymi pasażerami skierowali się do bramki. Z prawej strony grupa pracowników ochrony lotniska kręciła się w pobliżu sklepów wolnocłowych. Funkcjonariusz policji bezwstydnie flirtował z młodą stewardesą.

- Jak przedostaniemy się przez kontrolę paszportową? – spytał Jonathan.
- Z niewielką pomocą nam się uda – odparła Emili.
- Kto nam pomoże?
- Ona. – Emili wskazała elegancką kobietę, która stała po drugiej stronie strumienia przechodzących ludzi.

Na widok zbliżającej się Emili kobieta uśmiechnęła się nieznacznie. Powitała oboje oficjalnym tonem. Zrobiła to z myślą o stojących obok urzędnikach, którzy zajmowali się kontrolą paszportów dyplomatycznych.

- Domyślam się, że nie mają państwo bagaży – powiedziała Jacqueline Olivier.

## 77.

Limuzyna marki Lancia z marokańską rejestracją dyplomatyczną zbliżała się do Muru Aureliana otaczającego centrum Rzymu. Na tylnej kanapie auta siedział Saladyn. Powstała w trzecim wieku

fortyfikacja broniła niegdyś miasta przed germańskimi najeźdźcami z północy. Saladyn wiedział o tym i czuł dumę ze swojego osobistego triumfu, gdy lancia przejeżdżała po resztkach muru, za którym biegła dwujezdniowa ulica. Samochód pojechał dalej Lungotevere dei Sangallo i zatrzymał się przy moście Fabricio.

Saladyn wysiadł w padającym deszczu naprzeciwko Wielkiej Synagogi w Rzymie. Swobodnie przeszedł brukowaną ulicę obok policjantów, którzy stali pod parasolami i rozmawiali przed główną bramą synagogi. Następnie skręcił w boczną uliczkę odchodzącą od Piazza delie Cinque Scole. Tydzień wcześniej jego ludzie przeprowadzili rekonesans w getcie i poluzowali kratkę kanału ściekowego. Arab podniósł ją i opuścił się do stalowego drenu. Było to niewidoczne wejście do synagogi, którego żaden z czterech policjantów nie pilnował.

Jeden wers Józefa Flawiusza, myślał z napięciem Saladyn, przyspieszając kroku. Jeden wers powie mi, w którym miejscu Ostii spoczywa menora.

Agent Saladyna od miesięcy wynajmował mieszkanie w jednym z nielicznych zaniedbanych budynków, które pozostały naprzeciwko synagogi. Przed kilkoma minutami przekazał szefowi informację, że najcenniejszy zabytek getta właśnie wszedł do archiwum. Był nim sam kustosz Mose Orvieti.

Z tunelu Saladyn dostał się do najniższego podpiwniczenia synagogi i zauważył świeże ślady na kurzu obok zbiornika oleju. Podążył za nimi do spiralnych schodów prowadzących do kopuły świątyni. Sprawdził bezpiecznik broni, którą trzymał pod kurtką.

Po cichu wchodził do dzwonnicy synagogi, czując, że tam powraca. Wprawdzie nigdy w niej nie był, lecz dla niego był to powrót w sensie metafizycznym. Utożsamiał się z misją dziadka i opowieściami pomocników wielkiego muftiego, którzy zbiegli przed trybunałem w Norymberdze, przeprowadzając się wraz z dziadkiem Saladyna do Bagdadu. Teraz wnukowi zdawało się, że to on wspinał się tymi schodami ponad sześćdziesiąt pięć lat temu, w 1943 roku, by stanąć oko w oko z Orvietim. Starcy w Bagdadzie często powtarzali mu, że jest bardzo podobny do zmarłego przywódcy. Nie tylko płonący w nim wewnętrzny ogień, lecz także rysy twarzy przypominały wielkiego muftiego.

Saladyn dotarł do szczytu schodów i stanął w otwartych drzwiach archiwum. Czekał tam przez chwilę, niezauważony. Wtedy docenił starca siedzącego przy stoliku, a nawet poczuł do niego szacunek. Być może w tym samym miejscu zastał go dziadek w innej epoce. Orvieti wyczuł, że nie jest sam, i wykonał gest ręką, nie podnosząc głowy. Zaznaczył miejsce w książce i dopiero wówczas odsunął krzesło, by wstać.

Uniósł głowę i spojrzał na przybysza. W ciągu minionych lat często przypominał sobie wielkiego muftiego, który dotykał dłońmi książek, krocząc w otaczającym go wianuszkach profesorów z Berlina. Dlatego w pierwszej chwili w ogóle nie zareagował na widok Saladyna. Żył z tym wspomnieniem dzień po dniu. Lecz potem, jak gdyby ujrawszy po przebudzeniu senny koszmar u stóp łóżka, przetarł oczy. Mężczyzna stojący w drzwiach nie był zjawą. Był postacią z krwi i kości.

Orvieti odezwał się spokojnym głosem człowieka, który czekał na tę chwilę przez całe życie.

- Jak to możliwe, że się nie zestarzałeś?

## 78.

Saladyn objął wzrokiem archiwum i spojrzał na kustosza.

- Masz coś, czego potrzebuję.

Orvieti wstał. O dziwo, nie bał się; czuł coś w rodzaju arogancji, tak jakby widok ducha cofnął dlań czas o pół wieku. Przybysz miał na sobie zachodnie ubranie – czarne spodnie, rozpiętą białą koszulę i szary płaszcz – a nie religijny strój muftiego, lecz twarz ponad wszelką wątpliwość była ta sama.

- Szukam w tekście Józefa fragmentu, którego mój dziadek nie zdołał znaleźć.

Twój dziadek, pomyślał Orvieti. Młody Arab poruszał się z taką samą wyniosłością, jaką archiwista zapamiętał u jego przodka.

W jego głosie brzmiała nawet ta sama, niemal niezauważalna nutka umysłowej niestabilności.

- Nie udawaj zaskoczonego, *signore* – rzekł Saladyn. – Wiesz równie dobrze jak ja, że Józef Flawiusz wyjawiał miejsce ukrycia menory w jednym wersie tekstu. Dziadek wierzył, że obiekt

znajduje się w Jerozolimie, dlatego przez całe życie poszukiwał w dziełach Józefa ustępów opisujących Wzgórze Świątynne. Badał wszystkie strony, które nawiązywały do „ukrytej bramy”.

– Badał je? – zapytał Orvieti. On je kradł, wrywał z rękopisów, jakby pozbawiał kończyn żywe istoty.

– Ale podążał fałszywym tropem, prawda? – ciągnął Saladyn. – Menory nie ma w Jerozolimie, jest w pobliżu Rzymu. A ty powiesz mi teraz, gdzie dokładnie się znajduje. Który wers Józefa ujawnia położenie menory?

– Nie wiem.

– *Signore*. – Saladyn zrobił krok w stronę archiwisty. – Wierz mi, że wolałbym osobiście znaleźć odpowiedź w starożytnych źródłach. Dlatego do tej pory mnie nie zobaczyłeś. Wszak błąd Tytusa wziął się z tego, że uwierzył na słowo tym, którzy wmówili mu, iż zdobył autentyczną menorę.

– Nie wiem, jakiej informacji o Józefie Flawiuszu poszukujesz – odparł Orvieti. – Ale wielki mufti ukradł je z tego archiwum przed wieloma laty.

– Ukradł wszystkie, które znajdowały się tu wówczas. – Saladyn zrobił następny krok. – Ale ty nie tak dawno otrzymałeś nowe, czyż nie?

– Od kogo? – spytał Orvieti, nawet nie drgnąwszy.

– Z moich źródeł w Watykanie wiem, że poprzedni papież, Jan Paweł Drugi, przekazał tę informację rabinowi getta.

– Nic o tym nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą Orvieti, lecz narastało w nim poczucie strachu. Dwóch przywódców duchowych łączyła niezwykła, głęboka przyjaźń. Papież odczuwał wielki

ból z powodu dawnego antysemityzmu Kościoła i często mówił rabinowi o *teshuvah*, czyli pragnieniu pokuty. Właśnie ono doprowadziło do tego, że w 1986 roku złożył historyczną wizytę w Wielkiej Synagodze. Rabin getta żydowskiego był jedną z zaledwie trzech osób wymienionych w testamencie papieża.

– Moi ludzie powiedzieli, że papież dał rabinowi kartkę papieru, na której znajdowała się jedna linijka tekstu. Który to był wers Józefa?

– Jeśli szukasz informacji od papieża, powinieneś udać się na drugą stronę rzeki.

Saladyn sięgnął pod płaszcz i jednym ruchem wyciągnął beretkę. Tłumik pistoletu wpił się w skórę na czole archiwisty.

– Policzę do trzech i masz mi powiedzieć, który wers kronik Józefa ujawnia miejsce ukrycia menory – oznajmił Saladyn. Czuł pod metalem miękkość skóry Orvietiego. – Raz.

Orvieti milczał. Widział desperację w oczach młodego mężczyzny.

– Dwa.

Archiwista zeszywniał i wyprostował plecy.

– Już raz umarłem, nie możesz mnie zabić powtórnie.

– Zaraz się przekonamy – powiedział Saladyn. Jego palec nacisnął mocniej spust beziglicowego pistoletu. – Trzy...

– Halo! – zawołał porucznik Brandisi. Jego głos odbił się echem w klatce schodowej. Saladyn odsunął broń od czoła archiwisty i skierował wzrok na schody.

– Ani pary z ust – rozkazał, robiąc krok w stronę drzwi.



– *Signore?* Proszę mi poświęcić kilka minut! – krzyknął Brandisi, zatrzymując się na schodach. Jak ten stary może się codziennie wspinać na tę wieżę?

Saladyn zwrócił się do drzwi, a gdy spojrzął za siebie, krzesło Orvietiego było puste. Archiwista zdążył dotrzeć do połowy spiralnych schodów wiodących na drugie piętro biblioteki.

Arab podbiegł do stopni i spojrzął do góry. Nie mógł oddać pewnego strzału. Żelazne pręty balkonu tworzyły barierę osłaniającą Orvietiego.

– Nie zdołasz uciec – wycedził przez zęby Saladyn. Mówił tak cicho, że jego głos nie wydostawał się poza drzwi. – Sądzisz, że mnie prześcigniesz?

Zaczął wspinać się po schodkach, biorąc po dwa stopnie naraz i trzymając pistolet w dłoni. Był tuż pod balkonem, gdy niespodziewanie dostał kopniaka prosto w twarz, który odrzucił go kilka stopni w dół. Zamrugał, lekko ogłuszony, i poczuł smak krwi na wargach. Z otworu tłumika trysnęły trzy języki ognia w stronę skórzanych grzbietów ksiąg, o włos od miejsca, w którym zniknął archiwista. Po dwakroć rozwścieczony Saladyn rzucił się w pościg. Od Orvietiego dzieliło go teraz zaledwie kilka szczebli.

– Halo, *signore* Orvieti!

Głos Brandisiego był zasapany; policjant pokonywał właśnie ostatni zakręt schodów. Przemaszerował pieszo sześć przecznic, by dotrzeć do synagogi. Komendant pouczył go, żeby zaparkował radiowóz poza gettem. To było żydowskie getto w Rzymie, mówił Profeta. Jego mieszkańcy, którzy widzieli, jak Aureliusz stawia mur, jak Konstantyn wznosi kościół i jak Mussolini buduje swoje imperium, mieli powody do nieufności wobec władzy.

Orvieti dotarł do szczytu schodów łączących trzy poziomy regałów z książkami. Tam otworzył jedno skrzydło dużego witrażowego okna. Deszcz dudnił o szybę i Orvieti zastanawiał się, czy mając tak drobną postać, zdoła oprzeć się wiatrowi. Zręcznie wyszedł przez otwarte okno i wspiął się na gzyms otaczający kopułę synagogi. Saladyn rozpaczliwie wyciągnął rękę, próbując go dosięgnąć, lecz do nogi archiwisty zabrakło mu centymetrów.

Niebo poszarzało i dął zmienny wiatr, a deszcz smagał całe jego ciało. Orvieti stał oparty o łuk kopuły świątyni. Wicher w każdej chwili mógł strącić go z gzymsu. Było tak, jakby sam Bóg ujrzał nawałnicę wewnątrz dzwonnicy i postanowił dać jej wyraz na zewnątrz.

Orvieti przesuwiał się bokiem po kolistym gzymsie, a Saladyn wychylił się z okna i wycelował. Stado przemoczonych gołębi zerwało się tuż za archiwistą, niemal strącając go z dachu. Następny pocisk wystrzelony przez Araba przemknął obok, chybiając tylko z powodu zakrzywienia kopuły.

– Halo! – Brandisi stanął w drzwiach dzwonnicy, z trudem łapiąc oddech. Zobaczył plecy Saladyna, stojącego na szczycie bibliotecznej drabiny.

Arab odwrócił się, kalkulując w myślach. Wsunął berettę do kieszeni płaszcza i osuszył rękawem krew na ustach. Następnie szybko zszedł z drabiny i z szerokim uśmiechem pospieszył na spotkanie policjanta.

– Przepraszam, że pana nie usłyszałem. Pośliznąłem się przy próbie zamknięcia okna – wyjaśnił, ze wzruszeniem ramion wskazując krwawiącą wargę. – W czasie deszczu wróble wlatują do środka.

– Szukam *signore* Orvietiego – oznajmił oficjalnym tonem Brandisi. – Ochroniarze twierdzili, że go zastanę.

– Nie, ja jestem jego asystentem – odrzekł po włosku Saladyn. Mówił bez śladu obcego

akcentu. – Czy mogę panu jakoś pomóc?

Ochroniarz zapewnił, że Orvieti jest sam, pomyślał Brandisi.

– Chcemy pomówić osobiście z *signore* Orvietim. Chodzi o toczące się śledztwo.

– Rozumiem – powiedział z z troskaniem Saladyn. – W takim razie zaraz go poszukam.

– Byłem na dole i powiedziano mi, że zastanę kustosza tutaj.

– Może zaszył się wśród regałów.

– Tam, na górze?

– Ma mocne nogi, panie władzo – odparł Saladyn. Czuł, że warga puchnie mu coraz bardziej.

– Proszę mi wierzyć.

Orvieti stał na gzymsie i trząsał się z zimna. Ręce także mu się trzęsły, gdy się schylił, usiłując kopniakiem stłuc witraż, by wejść do środka. Jednak szkło było mokre i noga ześlizgiwała się po szybie.

Ze wszystkich sił trzymał się gzymsu, lecz nie miał ich na tyle dużo, by zbić szybę. Przy każdej próbie tracił ich coraz więcej. Młodzi policjanci, stojący dwadzieścia metrów niżej pod parasolami, nie wiedzieli, co się dzieje na kopule. Archiwista rozumiał, że ma tylko jedną szansę. Kiedyś potrafił się modlić o siłę, ale to było dawno. Minęło sześćdziesiąt lat od dnia, gdy o coś się modlił. Zamknął oczy i zebrał wszystkie siły na ostatnie kopnięcie. Witraż pękł, kawałki szkła wpadły do środka.

– Co to za hałas? – spytał Brandisi, spoglądając do góry, lecz w tej samej chwili Saladyn chwycił go za szyję i rąbnął jego głową o żelazną poręcz schodów. Brandisi padł nieprzytomny na podłogę. Saladyn wyciągnął berettę i stojąc nad policjantem, nacisnął spust. Usłyszał jedynie głucho stuknięcie w polimerowej obudowie. Magazynek był pusty. Nigdy by się nie spodziewał, że zmarnuje na starca siedem naboń. Wypchnął magazynkę z kolby.

– *Signore* Orvieti! – zawołał ze schodów zaniepokojony głos.

Saladyn ukrył się za drzwiami. Do pomieszczenia wkroczył niezgrabnie krępy ochroniarz, który usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Saladyn wymknął się po cichu drzwiami i zaczął schodzić. Dotarłszy bez przeszkód na dół, wszedł do otworu grzewczego w posadzce i wsunął kratkę na miejsce.

## 79.

Dyrektorka kiwała głową mijanym po drodze ochroniarzom. Jonathan i Emili podążali za nią terminalem lotniska Fiumicino, a następnie korytarzem zarezerwowanym dla dyplomatów. Przy ścianie znajdowały się miejsca dla dziennikarzy dokumentujących przybycie ważnych osobistości. Dyrektorka odezwała się do Emili kątem ust, na których wciąż błąkał się niewyraźny uśmiezek.

– Wzięłaś pod uwagę, jak bardzo narażasz swoją karierę, jeśli jest to pomyłka?

– A co może się stać, jeśli mam rację? To jest ważniejsze pytanie.

Minęli sektor odbioru bagaży. Dyrektorka pokazała obsłudze dokumenty, Jonathan i Emili mogli iść dalej. Jonathan znów się zdziwił, jak łatwo jest przekraczać granice państw członkowskich ONZ. Jednocześnie martwiło go to, że Interpol tak słabo kontroluje pasażerów na trasach międzynarodowych.

Wyszli na parking i wsiedli do czekającego samochodu dyrektorki. Na tablicy rejestracyjnej

auta widniał znak administracji rządowej. Jonathan zajął miejsce obok kierowcy. Emili i dyrektorka usiadły na tylnej kanapie.

Teraz, gdy zniknęli z oczu funkcjonariuszy publicznych, dyrektorka mogła odrzucić oficjalny ton. Zaczęła się zachowywać jak poirytowana matka.

- Czy ktoś łaskawie mi powie, co się dzieje?
- Udało nam się, Jacqueline – odparła Emili.
- Co mianowicie?

– Możemy przedstawić dowody świadczące o tym, że Waqf prowadzi nielegalne wykopaliska pod Wzgórzem Świątynnym w Jerozolimie. Widzieliśmy je na własne oczy.

– Weszliście pod powierzchnię Wzgórza? – spytała poruszona dyrektorka. – Zdajecie sobie sprawę, ile przepisów międzynarodowych naruszyliście?

– Działalność pod Wzgórzem Świątynnym w Jerozolimie jest bardziej destrukcyjna, niż sądziliśmy. Ci ludzie dążą do wymazania dwóch tysięcy lat dziedzictwa judeochrześcijańskiego.

– Emili podała dyrektorce cienki kawałek plastiku wielkości znaczka pocztowego. – Oto karta pamięci z mojego aparatu. To aż nadto wystarczający materialny dowód, który można przedstawić na konferencji Komitetu Światowego Dziedzictwa. Postaraj się, żeby dotarł bezpiecznie do biura. Są tam zdjęcia dewastacji dokonywanej przez Waqf piętnaście metrów pod powierzchnią Wzgórza.

Dyrektorka popatrzyła na elektroniczny chip.

– Zrobię, co w mojej mocy – powiedziała. – Ale jeśli to prawda, jaki związek mają te wydarzenia ze starożytnym portem w Ostii?

– Przed dwoma tysiącami lat ze Wzgórza został wyniesiony pewien przedmiot – wyjaśniła Emili. – Odkrycie go pozwoli zdemaskować prowadzoną w Jerozolimie kampanię rewizjonizmu historycznego...

– Rewizjonizmu historycznego? – Dyrektorka pokręciła głową, z niedowierzaniem przyglądając oczom. Starła się panować nad swoimi reakcjami, jakby pamiętała o tym, że od dwóch lat powierzała doktor Travii najtrudniejsze misje podejmowane przez jej organizację.

– Emili, powiadasz, że ten człowiek, Saladyn, jeśli w ogóle istnieje, w pogoni za zabytkiem archeologicznym podróżował z Jerozolimy do Rzymu i uczynił to z powodu hipotezy, iż ów zabytek przywędrował tutaj dwa tysiące lat temu?

– Trafiał do Ostii – odparła Emili. – Przyniosłaś to, o czym rozmawialiśmy?

Dyrektorka sięgnęła do kieszeni w oparciu przedniej kanapy samochodu i niechętnie podała Emili foliową torebkę.

- Dwie latarki i mapa Ostii, tak jak prosiłaś. Ale musisz się zgodzić na jeden warunek.
- Tak, zgadzam się – potwierdziła Emili.
- Jaki warunek? – zapytał Jonathan.
- W ciągu godziny mamy wezwać policję.

Jonathan ze zdziwieniem uzmysłowił sobie, jak daleko jego myśli odbiegły od prawa. Dziesięć godzin temu wraz z Emili opuścił Włochy i od tego czasu ani razu nie pomyślał o ambasadzie amerykańskiej i o policji. Postrzegał prawo tak samo jak wówczas, gdy był studentem: jako niewygodne ograniczenie, utrudniające realizację wielkiej historycznej misji.

– Dość już się narażam, Emili. Dostyc zabawy w banitów, jasne? I pamiętaj, żeby wezwać policję. *Carabinieri* zapewnią wam ochronę, rozumiesz?

– Tak. Dziękuję, Jacqueline.

Dyrektorka wysiadła bez słowa z samochodu, posyłając obojgu ostrzegawcze spojrzenie. Jej oczy mówiły Emili bardzo wyraźnie: Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

## 80.

Trzydzieści kilometrów od Rzymu, w Ostii, Saladyn zaparkował ciężarówkę obok pól lawendy otaczających starożytne miasto. Miał na sobie perforowaną pomarańczową kamizelkę majstra, który nadzoruje pracę swojej brygady przy drucianym ogrodzeniu otaczającym ruiny. Wykopaliska pod rzymskim Koloseum były rozległe, lecz obecny projekt wymagał usunięcia w ciągu trzech godzin asfaltu na długości metra. Miało to umożliwić wykopanie tunelu, którym ludzie Saladyna wniosą sprzęt archeologiczny na teren stanowiska. Samochody z zapalonymi światłami przeciwmgielnymi przemykały obok zaparkowanej ciężarówki. Podobnie jak inne projekty wykopaliskowe podjęte przez Saladyna, wykopalisko w ruinach nadmorskiego miasta miało być prowadzone na widoku, a zarazem pozostać niewidzialne.

On tutaj był, pomyślał Saladyn. Józef Flawiusz umieścił menorę w portowym miasteczku, zamiast ryzykować podróż do Rzymu. A teraz on, Saladyn, ją odkryje.

\* \* \*

Roberto Fiegi służył w policji od pięciu lat, ale jeszcze nigdy nie widział robotników drogowych pracujących w takiej ulewie. Ujrawszy ich przez szybę radiowozu, był przekonany, że ma zwidy. Robił ostatnie okrążenie wokół starożytnych ruin w Ostii podczas porannego patrolu, gdy na poboczu obok ogrodzenia dostrzegł czterech mężczyzn w kombinezonach. Była za kwadrans trzynasta. Fiegi znał większość pracowników Comune di Ostia, ale nie rozpoznał żadnego z tej czwórki. Mieli ciemną skórę jak Sycylijczycy, lecz ich podejście do obowiązków było krańcowo odmienne. Nie tylko pracowali przez całą poranną zmianę, ale także nie przestawali w czasie deszczu, który zwykle powodował przerwanie robót drogowych.

Saladyn obserwował nadjeżdżający radiowóz z takim samym zaciekawieniem, z jakim policjant przyglądał się fałszywemu placowi budowy.

Radiowóz marki Fiat z migającym niebieskim światełkiem zwolnił i zjechał na pobocze za ciężarówką służby miejskiej. Trzech robotników stało wokół sporego otworu przy prawej krawędzi drogi, znajdującej się bliżej ruin.

– *Spero che vi pagano lo straordinario!* – powiedział Fiegi, wysiadając z radiowozu i mrużąc oczy. Mam nadzieję, że płacą wam za nadgodziny!

Mężczyźni przerwali pracę, mierząc go posępnym wzrokiem. Obudziło to czujność Fiegiego. Wyczuł, że wykonują zadanie znacznie poważniejsze niż zwykli robotnicy.

Podszedł do wysokiego młodzieńca o końskiej twarzy, niemal jeszcze nastolatka. Ludność Sycylii różni się od rodaków z pozostałej części kraju, lecz chłopak najwyraźniej był Arabem. Fiegi zadał jakieś pytanie i dwóch robotników znieruchomiało.

Nagle policjant uzmysłowił sobie, że żaden z tych ludzi nie zna ani słowa po włosku.

– Panie władzo! – Z wykopanego niedawno otworu wynurzył się Saladyn w pomarańczowej kamizelce, uśmiechając się przyjaźnie do policjanta. – Czasem wydaje mi się, że w starożytnej Ostii mieli lepsze drogi! – Podszedł do funkcjonariusza, jak gdyby witał koronowaną głowę,

która składa wizytę robotnikom. – Miło, że ktoś wreszcie się nami zainteresował! – mówił płynnie po włosku Saladyn. – Odpowiednie wydrenowanie drogi jest niesłychanie ważne. Wilgoć pod nawierzchnią może prowadzić do pęknięcia asfaltu.

Fiegi rzucił okiem na spękaną wiejską szosę. Trudno było uwierzyć, że woda może ją zniszczyć jeszcze bardziej.

– Pokażę panu nasze plany odwodnienia – oznajmił Saladyn, gestem zapraszając policjanta za ciężarówkę. Wiedział, że zabicie funkcjonariusza nastreczyłoby problemów. Należałoby się pozbyć radiowozu, a plan wykopalisk był bardzo napięty. Nie mógł jednak pozwolić sobie na najmniejsze ryzyko. Ten tępy glina nie udaremni mojego planu rozwiązania zagadki sprzed dwóch tysięcy lat.

Policjant wszedł za tył ciężarówki. Saladyn podążał za nim. Zdejmując kask na znak szacunku, kładł palec na spuście beretty, którą ukrył pod kombinezonem.

## 81.

– To miejsce wygląda na opuszczone – odezwał się Jonathan, gdy kierowca zwolnił przed kasą biletową Ostia Antica. Budka miała zamknięte okiennice.

Zdawało się, że ten widok sprawił kierowcy satysfakcję. Odwrócił się do pasażerów.

– Mówiłem państwu, że jest zamknięte – rzekł ponuro po włosku.

Jonathan i Emili wysiedli z taksówki na długiej ścieżce biegnącej pod baldachimem mokrych sosen. W oddali majaczyła renesansowa twierdza papieża Juliusza II, opuszczona w 1567 roku, kiedy to Tyber w czasie powodzi zmienił swój bieg. Białe i purpurowe pola trybuli i lawendy otaczały ruiny, ciągnąc się niemal po horyzont.

– Tam było wybrzeże Morza Śródziemnego – powiedziała Emili. – Osad odsunął wodę o sześć kilometrów do miejsca, w którym obecnie znajduje się brzeg.

– Ale wciąż można tu podziwiać morskie widoki – odparł Jonathan.

Kiedy zbliżali się do zamkniętej bramy, powitał ich głośny grzmot pioruna. Za prętami rozciągała się długa uliczka obróconego w ruinę miasta, wzdłuż której stały piętrowe budynki z pierwszego wieku naszej ery.

Padało coraz mocniej. Jonathan przeskoczył ogrodzenie, jego buty szurnęły na ceglany murze po drugiej stronie. Wylądował na świetnie zachowanej mozaice starożytnej łaźni publicznej; rysunek przedstawiał skaczące delfiny. Emili poszła w jego ślady; Jonathan pomógł jej zejść.

W ciepły letni dzień, w szczycie sezonu turystycznego, wśród ruin kłębiłyby się tłumy ludzi. Teraz jednak zabytkowy kompleks był zamknięty; widok pustej przestrzeni wzbudził w Jonathanie silne poczucie niepokoju. Trawertynowe kolumny biegły w kilku kierunkach wzdłuż starożytnych uliczek. Po kamieniach płynęła błotnistymi strumieniami deszczówka.

Nagle z krzaków dobiegł szmer. Oboje zamilkli.

– To pewnie jakieś zwierzę – rzekł Jonathan, lecz mimo to schylił się i podniósł z ziemi gruby kij.

Ruszyli główną ulicą obok sklepików i kamienic starożytnej Ostii, podobnie jak Pompeje pozwalających wyobrazić sobie codzienne życie w tamtych czasach. Przeszli pod niskim łukiem piekarni z nienaruszoną marmurową ladą. Wzdłuż ścian udekorowanych malowidłami pieczywa i

owoców znajdowały się siedziska.

Jonathan skierował kroki w stronę ruin synagogi. Emili podążyła za nim, zgięta niemal wpół. Porywisty wiatr świstał wśród starożytnych cegieł.

– Synagoga jest tam – powiedziała Emili, spoglądając na laminowaną mapę.

Przy końcu piaszczystej drogi stały ruiny kamiennego muru otaczającego cztery smukłe kolumny i granitową płytę.

Posadzkę tworzyła mozaika chropowatych kamieni; Jonathan przesunął po nich ręką.

– Na rysunkach nie ma podobizn ludzi ani zwierząt – oznajmił.

– Zgodnie z przykazaniem ze Starego Testamentu, zabraniającym tworzenia wizerunków bóstw?

– Tak. Spójrz tam. – Jonathan wskazał miejsce tuż pod kapitelem jońskiej kolumny, na której wyryto w kamieniu kształt siedmioramiennej menory.

– Jesteśmy w synagodze, Jon – powiedziała Emili, schylając się na skraju mozaikowej posadzki. – Ze świątyni wychodzi ścieżka i prowadzi tamtędy. – Wskazała niewielką ruinę z resztkami ścian i popatrzyła na plan. – To musi być *Domus Fulminata*, Dom Boskiego Ognia.

Zmierzając w stronę murów, zauważyli marmurową studnię zarośniętą wysoką trawą. W celu ochrony inskrypcji i mozaik otaczających studnię kustosze parku archeologicznego w Ostii umocowali na wierzchołku muru falistą blachę. O blaszane zadaszenie dudnił głucho deszcz.

Jonathan schylił się nad krawędzią studni i zaświecił do środka latarką. Między dwoma doskonale zachowanymi pilastrami wykutymi w kamiennej ścianie studni zauważył inskrypcję. Otarł z niej błoto.

– Inskrypcja z epoki rzymskiej! – zawołał, przekrzykując deszcz. – Trochę łaciny i trochę hebrajskiego. „Nie zapomnę cię, o Jeruzalem, niechaj moja prawa ręka utraci swój spryt” – przetłumaczył.

– Nie wygląda mi to na pogański napis – rzekła z uśmiechem Emili, po której twarzy płynęły strugi wody.

## 82.

Jonathan wspiął się na otwór studni i oparł nogi na żelaznych kołkach, które tworzyły prymitywną drabinę prowadzącą do połyskującego lustra wody. Kiedy schodził, deszcz przestał padać; nad ziemią zawisła ciepła mgła i wokół rozniósł się wszechogarniający zapach pleśni i zgnilizny. Stanąwszy po kolana w zimnej wodzie, Jonathan zadarł głowę, aby zawołać Emili. Chciał powiedzieć, że zejście jest bezpieczne, lecz ona pokonała stopnie dwa razy szybciej od niego.

– Następnym razem ty pójdziesz pierwsza, szpanerko – rzekł na widok jej uśmiechu.

Brodząc w wodzie, Emili podeszła do łukowatego otworu w ścianie studni. Ziemia w korytarzu była sucha. Jonathan oświetlił ściany latarką.

– Nie ma tu ani śladu ścieków. Na skale nie widać plam po nagromadzeniu nieczystości.

Ostia miała jeden z najlepszych systemów kanalizacyjnych w starożytnym świecie, lecz ziemia w tunelu była czysta. Emili przyklęka i starła kurz z podłoża.

– Te kamienie nie pochodzą z rzymskich kamieniołomów – powiedziała. – To kamień jerozolimski.

Na ścianach widniały wyblakłe freski wykonane z ogromnym kunsztem artystycznym, należnym miejscu kultu.

– Te zdobienia są zbyt wymyślne jak na system odwadniający, nie sądzisz? – spytał Jonathan.

Wyblakłe malowidło na ścianie przedstawiało brodatego mężczyznę na rzymskim okręcie unoszącym się wśród fal. Niewolnicy trudzili się przy dwóch rzędach wiosł, a brodacza stał z Rzymianami, trzymając w dłoni pochodnię.

– To musi być Józef w podróży z Jerozolimy do Rzymu – oznajmił Jonathan. Ostatnia scena przedstawiała mężczyznę stojącego na kładce przystani. Narysowane węglem ciemne tło świadczyło, że jest noc. Mężczyźni dźwigali w rękach obiekt, którego nie sposób pomylić z żadnym innym. Jonathan patrzył ze zdumieniem na fresk, jak gdyby ujrzał niezbitą dowód na sali sądowej. Menora z tabernakulum miała około dziesięciu centymetrów wysokości, jej siedem złotych ramion górowało nad okrętem. W ten sposób pokazano ogrom wysokiego na dwa i pół metra świecznika z czystego złota. Wizerunek na fresku był pierwszym jednoznacznym potwierdzeniem, że Jonathan i Emili są na właściwym tropie. – To malowidło pokazuje, jak Józef pod osłoną nocy znosi menorę z pokładu rzymskiego okrętu.

– Ona naprawdę może tu być – stwierdziła Emili, ruszając w głąb korytarza.

Ze sklepienia odpadły kamienie, lecz tunel rozszerzał się tak, że można było przejść.

Blask latarek wydobyl z ciemności niewielką okrągłą komorę wykutą w skale. Na ścianach widniały kolumny z wizerunkami menory, a na środku pomieszczenia tkwił grubo ciosany prostokątny kamień, do którego prowadziły trzy stopnie.

– Dokładnie tak samo jak w krypcie pod Wzgórzem Świątynnym – zauważyła Emili. – Kapłani na wygnaniu zapalali menorę, wchodząc po stopniach. – Emili wskazała pocerniałe od dymu sklepienie na środku.

– Na najwyższym stopniu jest inskrypcja – rzekł Jonathan, czując przyływ adrenaliny. – Po grecku.

### *πρός δὲ τὴν πύλιν αὐτὸς ἀνεχώρει*

– „Spoczęło pod łukiem, gdzie przeszedł pochód triumfalny” – przetłumaczył Jonathan. – Czcionka wygląda na pierwszy wiek.

– To wers z Józefa Flawiusza, prawda? – spytała Emili.

– Od wieków stanowił zagadkę dla badaczy jego dzieł. Podmiot domyślny nie ma żadnego odniesienia w tekście.

Emili zbliżyła się do inskrypcji.

– Jon, czy myślisz, że... – Przytłumiony głos Emili odbił się echem w komorze.

– Tak, myślę, że właśnie w tym wersie Józef ujawnia miejsce, w którym zostawił menorę.

– Ale gdzie?

– Triumfalny pochód najwyraźniej odnosi się do rzymskiej parady wojskowej, która odbyła się po powrocie legionów z Jerozolimy.

– Naturalnie, taki był rzymski zwyczaj. Najpierw szli żołnierze, a potem skuci łańcuchami jeńcy wojenni dźwigający łupy wojenne.

– Co oznacza, że Józef nawiązuje tutaj do Łuku Tytusa. Brama, pod którą przeszedł pochód triumfalny. – Jonathan powoli odsunął się od ściany, jakby potrzebował więcej miejsca, by

uprzytomnić sobie jakiś doniosły fakt. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Uwierzyć w co?

– Emili, ta informacja widnieje tutaj od niemal dwóch tysięcy lat! „Spoczęło pod łukiem”. Józef i jego ludzie umieścili menorę wewnątrz łuku i tam ją pozostawili.

– Jak to: wewnątrz?

– Pomyśl, jak Józef zakpił sobie z Rzymian. Łuk Tytusa wzniesiono po to, by upamiętnić podbicie Jerozolimy, a tymczasem chronił on właśnie ten obiekt, który cesarz zamierzał unicestwić.

– To niesamowite. Ale jak członkowie siatki szpiegowskiej Józefa zdołali ulokować menorę wewnątrz Łuku Tytusa?

– Nie musiało to być aż tak trudne, jak nam się zdaje. Rzymianie wykorzystywali hebrajskich niewolników przy wznoszeniu Koloseum, Łaźni Tytusa oraz innych obiektów. Czy mogła być lepsza kryjówka dla ich świętości niż trzewia monumentu, którego Rzym będzie bronił po wieczne czasy? Minęło prawie dziesięć lat, łuk był prawie gotowy, a cesarz był bliski odkrycia spisku na swoim dworze. Józef szukał kryjówki, na którą na pewno nie padnie podejrzenie. – Jonathan zamilkł, zdumiony swoją sugestią.

– Możemy ich zdemaskować tu, w Rzymie. Saladyn i jego ludzie być może już kopią pod Łukiem Tytusa.

Nielegalne wykopalisko w centrum Forum Romanum, pomyślał Jonathan. Jeszcze wczoraj coś takiego nie przyszłoby mu do głowy.

Ruszyli w drogę powrotną. Emili pierwsza znalazła się w studni i wpadła na coś dużego, co unosiło się na wodzie.

Spod powierzchni wody wpatrywał się w nią szklistym wzrokiem trup człowieka. Jego kręcone brązowe włosy poruszały się niczym podwodne rośliny, dłonie były uniesione w ostatnim geście obrony. Emili zobaczyła lśniąca odznakę policyjną. Odwróciła się raptownie i wpadła na Jonathana. Poczła palący smak w gardle i zwymiotowała. Jonathan zobaczył, co ją przstraszyło, i także się zatrzymał. Zgięta wpół Emili spojrzała na niego.

– Czas zawiadomić policję – rzekła, oddychając płytko.

Jonathan spojrzał na zegarek.

– Właściwie już powinniśmy byli to zrobić.

Emili wspięła się na stopnie i błyskawicznie znalazła się u szczytu studni.

– Widzisz tam policję?! – zawołał głośno Jonathan.

– Niczego nie...

Emili nie dokończyła zdania.

Jonathan zobaczył tylko grube ramię, które chwyciło ją i brutalnie wyciągnęło do góry.

– Nie!

Wspinał się szybko po żelaznych prętach. Słyszał krzyk Emili. Dotarłszy na górę, wypchnął się rękami ze studni i wylądował w kałuży błota.

– Emili!

Instynktownie chwycił drewnianą tyczkę leżącą obok studni. Deszcz i mgła ograniczały widoczność najwyżej do piętnastu metrów. Emili znikła.



Porucznik Brandisi ocknął się na noszach, które kołysały się w rękach sanitariuszy niosących ранego brukowaną uliczką Via del Portico d'Ottavia. Poczł chłód w okolicy serca i przez chwilę bał się, że otrzymał postrzał w pierś. Jak przez mgłę ujrzał sanitariusza, który pochylał się nad nim ze stetoskopem. Wiedział już, skąd wzięło się wrażenie chłodu. Dotknął czoła i namacał palcami zimny kompres w miejscu, w które został uderzony.

– Brandisi? – odezwał się stojący obok Profeta.

– *Comandante!* – zawołał zdumiony policjant.

– Macie sporą opuchliznę, poruczniku – rzekł dowódca. – Ale ktoś tam na górze strzelał z beretty, więc możecie się uważać za szczęściarza. Widzieliście, kto was rąbnął?

– Facet podający się za asystenta archiwisty. Młody, śniada skóra, mógł pochodzić z Bliskiego Wschodu. Miał srebrne okulary i czarne, krótko obcięte włosy. Ogolone, mówiąc ściśle.

Profeta odwrócił się do innego policjanta.

– Roześlijcie rysopis tego człowieka w promieniu dwudziestu przecznic.

– Znaleźli Orvietiego? – spytał Brandisi.

– Nikogo oprócz was nie było w archiwum – odparł Profeta. – Ale możliwe, że Orvieti wylazł po gzymsie z kopuły i strzaskał witraż w oknie, a potem prysnął.

– Chciałbym to zobaczyć – powiedział Brandisi, siadając na noszach. Mimo protestów sanitariuszy z pomocą kolegi stanął na nogach.

Komendant zaprowadził go do synagogi. Razem wspięli się po schodach na najwyższy poziom biblioteki; pachniało tam jak na starym strychu. Profeta stanął obok zbitego witrażu. Odłamki kolorowego szkła leżały obok plamy świeżej krwi, która czerwieniła się na wykładzinie.

– To krew archiwisty – oznajmił Profeta.

– Jest pan pewien, *comandante!* – Brandisi zdjął kompres z głowy i sprawdził, czy krwawi. – Facet w wieku osiemdziesięciu czterech lat zdołałby wdrapać się na gzyms i stłuc nogą witraż?

W drzwiach archiwum stanął policjant.

– Nigdzie nie widziano tego człowieka, *comandante*. Ochroniarze uparcie twierdzą, że nikogo nie wpuszczali do synagogi oprócz was i *signore* Orvietiego.

– Ale ktoś tutaj był – odrzekł Profeta. – Tych trzech dziur nie wywalił strzałami Orvieti ani Brandisi. I coś mi mówi, że Orvieti nie wylazł na dach i nie roztrzaskał witraża dla kaprysu. Ktoś usiłował go zabić.

– Gość w tym wieku wychodzi na gzyms w czasie burzy... – Brandisi pokręcił głową. – A później wślizguje się do synagogi przez wybite okno.

– Ja nie jestem zaskoczony – odparł Profeta. – Mose Orvietiemu już raz udało się przeżyć, mimo że wydawało się to niemożliwe.

## 84.

Jonathan pędził ulicami Ostii, rozpaczliwie zaglądnając za ruiny murów.

– Emili!

Słychać było tylko siekący deszcz i odgłos, jaki wydawały jego buty, zapadając się w błoto. Jonathan zatrzymał się i poczuł, że ogarnia go trwoga. Było południe, lecz niskie ciemne chmury niemal zmieniły je w zmierzch. Jonathan usłyszał szmer w zaroślach i pobiegł tam, lecz zobaczył

jedynie kota, który zjadał coś z papierka.

Nagle z pustej uliczki dobiegł odgłos szamotaniny. Rozejrzał się, lecz szum deszczu uniemożliwił precyzyjne ustalenie kierunku. Jonathan wybrał na chybił trafił i znalazł się w rozległych ruinach jakiegoś starożytnego składu.

Usłyszał stłumiony krzyk dochodzący ze znajdującego się obok starożytnego teatru. Kamienne łuki zamykały bramy; Jonathan potrząsał każdą po kolei, aż znalazł zardzewiałą boczną furtkę bez zamka. Pchnął ją i wbiegł do środka. Latem odbywały się tu festiwale teatralne z liczną widownią, lecz zimą pusty teatr wyglądał tak, jakby wciąż spoczywał pod powierzchnią ziemi.

– Znajdź to, proszę.

Głos dochodził z bardzo bliska. Jonathan się odwrócił. Akustyka teatru sprawiała, że nie sposób było stwierdzić, z której strony się niósł. Słowa zostały wypowiedziane po angielsku, lecz tak cicho, że nie dało się rozpoznać akcentu.

– Halo! – zawołał Jonathan. Echo jego głosu wypełniło pusty teatr.

– Znajdź to, proszę – powtórzył głos błagalnym tonem, jak gdyby ktoś prosił o przysługę.

– Kim jesteś!? – ryknął Jonathan. Wbiegł po kamiennych siedziskach dla widowni, ale nikogo nie zobaczył.

Nagle na końcu półkolistej krzywizny zamajaczyła we mgle sylwetka kobiety.

– Emili! – krzyknął Jonathan i pomknął w jej stronę.

Zbliżywszy się, zobaczył, że to nie Emili. Kobieta robiła wrażenie tak samo roztrzęsionej jak on. Stała w deszczu, jej twarz znaczyły spływające smugi kredki do oczu.

– Dlaczego nie wezwaliście policji, kiedy było to możliwe? – zapytała Jacqueline Olivier.

– Nie... – szepnął Jonathan, unosząc rękę. Złudzenie było niczym fizyczna siła, której nie umiał powstrzymać.

Powoli dotarło do niego, że zostali zdradzeni. Przechylił głowę i zamknął oczy.

– Kpisz sobie ze mnie! – warknął gniewnie. – Jesteś w to wszystko zamieszana!

– Znajdź to, proszę cię – powiedziała łamiącym się głosem Jacqueline Olivier. Jonathan widział przerażenie w jej oczach. – On ją zabije, jeśli tego nie znajdziesz.

– Dokąd ją zabrali? – spytał Jonathan głosem drżącym od gniewu.

– Nie wiem. Kontaktują się ze mną. – Dyrektorka odwróciła głowę. – Tak to działa.

– Tak to działa?! – powtórzył Jonathan, z trudem się opanowując. W tym momencie widział z całkowitą jasnością wszystko, nie tylko skalę operacji Saladyna: fakturę błota w teatrze, lśniące w deszczu kamienie, jednolicie szare niebo. – Od jak dawna...?

– Myślisz, że wiedziałam, iż to zajdzie aż tak daleko? – Do oczu Jacqueline Olivier napłynęły łzy.

– Współpracujesz z Saladynem od czasu, gdy Emili i Szarif znaleźli się w Jerozolimie, prawda? – Głos Jonathana nabrał siły. – To dlatego ludzie Waqf wiedzieli, że twoi pracownicy zejdą pod Stare Miasto. Dostawali od ciebie cynk.

– Zgodzili się ograniczyć wykopaliska pod Wzgórzem, jeśli podam im informacje! Myślisz, że wiedziałam, iż Szarif zginie? – Dyrektorka zamilkła na chwilę. – Nikt nie miał ucierpieć.

Głos Jacqueline Olivier drżał. Jej ciało także się trzęsło, obcasy butów ślizgały się na kamieniach. Złapała się poręczy.

– Zdradziłaś ją... Jak mogłaś do spółki z Waqf...

– Jak mogłam? – powtórzyła dyrektorka pewniejszym tonem. – Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, jakie wpływy mają dwadzieścia dwa narody arabskie w ONZ? Musimy działać w realnych warunkach. – Jacqueline Olivier broniła się, przechodząc do kontrataku. – Jeśli chcesz ocalić rękopisy na liściach palmowych w Kazachstanie, trzeba zebrać fundusze nie tylko na regulatory wilgotności, ale także na łapówki dla rebeliantów Timri, żeby nie przyszli o północy i nie podpalili biblioteki. Nie powstrzymasz talibów przed wysadzeniem posągów Buddy, ale możesz zdobyć od łotrów informację, którą wyślą resztki do Kabulu, a stamtąd na rynki aukcyjne w Londynie. Na tym polega ta gra!

– Saladyn to morderca – oznajmił Jonathan.

– Wiem o tym – odparła Jacqueline Olivier. – Musisz robić, co ci każe. Jeśli powiesz komuś, że porwał Emili, zabije ją. Proszę cię, znajdź to, czego oni chcą.

Jonathan odprowadzał wzrokiem dyrektorkę, która schodziła po kamiennych stopniach. Wiedział, że nie powinien za nią iść.

– Skąd będą wiedzieli, jeśli to znajdę...

– Będą wiedzieli – odpowiedziała Jacqueline Olivier, odwracając się. Mimo dzielącej ich odległości widział strach w jej oczach. – Saladyn wie więcej, niż przypuszczasz.

Kobieta dotarła do najniższego rzędu miejsc i znikła pod łukiem.

– Co to znaczy?! – zawołał za nią Jonathan.

Ale odpowiedział mu tylko szum w gałęziach mokrych drzew. Zrozumiał, że jest sam.

Pomknął po kamiennych ławkach do góry. Napięte mięśnie jego nóg wręcz bolały.

– Co to znaczy?! – ryknął, stojąc na najwyższym poziomie. Z tego miejsca paprocie i winorośle w ruinach wyglądały jak dywan, który przykrył labirynt starożytnych uliczek. Nigdzie nie było ani śladu życia. Jonathan słyszał tylko swój chrapliwy oddech.

Ruszył biegiem do automatu obok zamkniętego baru. Skórzany portfel wciąż ociekał wodą ze strumienia pod Wzgórzem Świątynnym; atrament na wizytówce Chandlera rozpląnął się, ale liczby były czytelne. Drżącymi palcami Jonathan ledwo zdołał wciskać numery międzynarodowego kodu na karcie kredytowej. Wiedział, że dokonując transakcji, zdradzi policji miejsce swojego pobytu, to jednak najmniej go martwiło.

– Halo? – odezwał się Chandler. W słuchawce słychać było głośnie trzaski.

– Chandler, Bogu dzięki, że jesteś – rzekł Jonathan.

– Aureliuszu, gdzie się, u diabła, podziewałeś?! Ścigają cię!

– Kto?

– Wszyscy! – odparł Chandler. – *Carabinieri*, dziennikarze, pewnie nawet Interpol! – Jonathan ledwie słyszał głos rozmówcy; nie wiedział, czy przyczyną zakłóceń jest burza, czy wiek aparatu.

– Chandler, dzwonię z Ostii.

– Z Ostii? A co tam jest, do jasnej cholery?

– Słuchaj mnie. Za dwadzieścia minut musimy spotkać się na Forum.

Przez chwilę Jonathan słyszał tylko trzaski.

– Muszę się dostać do wnętrza Łuku Tytusa!

– Co takiego?

– Muszę wejść do łuku!

– Przez chwilę były zakłócenia! – odrzekł głośniejszym głosem Chandler. – Powiedziałeś, że chcesz wejść

do łuku?

- Wydaje mi się, że to znajduje się w łuku!
  - Jasna cholera – zaklął Chandler.
  - Musisz mi pomóc otworzyć zamek!
  - No dobra, dobra. Możemy się spotkać za dwadzieścia minut. Chwileczkę, ktoś puka do drzwi. Kto tam...?
- Głos Chandlera zamilkł.
- Halo? – powiedział Jonathan. W słuchawce zapadła cisza.

## 85.

Mose Orvieti kuśtykał pod ogromną kolumnadą placu Świętego Piotra, zmierzając w stronę Pałacu Watykańskiego. Jego lewa noga krwawiła pod rozdartymi spodniami. Rozpoznał młodych Żydów handlujących na placu gipsowymi rzeźbami i różańcami. Wielu z nich było wnukami ludzi, wśród których Orvieti wyrastał w getcie. Papież Paweł IV dyskryminował Żydów, kazając im sprzedawać katolickie dewocjonała w Watykanie, lecz czterysta lat później jego intencje uległy odwróceniu. Młodzi mężczyźni dziedziczyli zezwolenia ojców z taką dumą, jakby były to tytuły szlacheckie.

Orvieti pamiętał, kiedy ostatni raz przechodził przez ten plac. Nie była to nagłośniona wycieczka. Pewien kardynał wezwał go, by zapytać, czy w czasie wojny z żydowskich archiwów zabrano bezcenny inkunabuł, ilustrowaną renesansową Biblię. Orvieti opisał jej złożony ekslibris. Watykan po cichu zwrócił księgę, nie zadając dalszych pytań.

Stojący przy wejściu apartamentów papieskich członek Corpo Vigilanza otrzymał polecenie, by natychmiast wpuścić Orvietiego, mimo że ten nie był umówiony. Strażnik przeprowadził gościa przez drewniane drzwi, a następnie schodami. Orvieti szedł powoli, opierając się o balustradę. Strażnik zauważył smugę krwi ciągnącą się za przybyszem na białym marmurze. W pokrytym freskami korytarzu zatrzymał się, zapukał i otworzył drzwi. Kardynał Francesco Inocenti siedział na połączonym fotelu obok dużego marmurowego kominka. Był ubrany do mszy; pod czerwoną sutanną miał białą koronkową komżę oraz pektorał na sznurze. Jego mitra z białego adamaszku spoczywała na stole. W ogromnym kominku trząskał ogień.

– Czekałem na ciebie, stary przyjacielu – powiedział Inocenti, wychodząc gościowi naprzeciw.

Kuśtykając, starzec wyszedł z cienia. Wygląda jak sam patriarcha Jakub po całonocnych zmaganiach w głuszy, pomyślał kardynał.

– Kto ci to zrobił? – spytał Inocenti, ujmując archiwistę za rękę i prowadząc do swojego fotela.

– Jeszcze nigdy nie prosiłem cię o przysługę, Francesco, ale teraz to zrobię – rzekł Orvieti.

Kardynał Francesco Inocenti i Mose Orvieti darzyli się wielkim szacunkiem. Starsi bracia w wierze, mawiał o Żydach mieszkających po drugiej stronie Tybru papież Jan Paweł II. Wyrażenie to trafnie opisywało relacje łączące tych dwóch mężczyzn. Przez wieki narosło wiele goryczy między dwiema społecznościami, lecz kardynała i archiwistę nierozzerwalnie połączyła przeszłość.

Mimo to Orvieti wiedział, że jego prośba wystawi na próbę nawet najsilniejsze więzi.

Premierzy, rządy i dyrektorzy muzeów zwracali się do Kościoła z prośbą o udzielenie informacji na temat menory, lecz Watykan odmawiał i milczał. Nadszedł jednak czas, by Mose Orvieti zapytał o nią wprost jednego ze swych najstarszych przyjaciół. Orvieti nie przyszedłby do kardynała, gdyby nie pamiętał owego dnia przed sześćdziesięciu laty. Pod wpływem kaprysu naziści zażądali od rzymskich Żydów pięćdziesięciu kilogramów złota, na zebranie go dając im trzydzieści sześć godzin. Kilka godzin przed upływem terminu brakowało półtora kilo kruszcu. W synagodze debatowano, co czynić, kiedy rozległo się pukanie do tylnych drzwi. Młody i szczupły wówczas ksiądz Francesco Inocenti otworzył torbę, którą trzymał na ramieniu. Znajdowało się w niej kilkadziesiąt kielichów ze szczerego złota, pokrytych hebrajskimi inskrypcjami. „To wasza własność, jak mi się zdaje”, rzekł do Orvietiego młody ksiądz, po czym zniknął w mroku.

A teraz siedzieli obok siebie jako starcy. Francesco Inocenti zarządzał kurią rzymską, a Mose Orvieti był archiwistą. Obaj stanowili autorytet dla swoich środowisk.

– Co cię trapi, Mose?

Orvieti był zdecydowany. Przechodząc przez strzaskany witraż, zdarł sobie skórę na udach i łydkach, lecz ani słowem nie wspominał o ranach i bólu.

– Menora.

– Mose – powiedział kardynał i zamilkł. – Wiesz, że nie wolno mi rozmawiać o niczym, co ma związek z menorą. Takie ustalenia zapadły w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku. Brałeś udział w spotkaniu...

– Ten układ nie został zawarty ze mną, ale z państwem Izrael – zauważył Orvieti.

Ściśle rzecz biorąc, miał rację. Kardynał mówił o tajnym spotkaniu przedstawicieli Izraela i Watykanu, zwołanym po tym, jak izraelscy archeolodzy poprosili o zbadanie, gdzie znajduje się menora. Przedstawili przekonującą wersję wypadków, z której wynikało, że świecznik mógł trafić do Muzeum Watykańskiego. Zgromadzili informacje zaczerpnięte z różnych źródeł, między innymi z pism Teofanesa i innych mnichów w Konstantynopolu. Świadczyły one o tym, że jeszcze w jedenastym wieku w bizantyjskich pałacach stojących w miejscu, w którym obecnie wznosi się Hagia Sofia, trzymano wielki świecznik. Po splądrowaniu Konstantynopola w czasie czwartej krucjaty w 1204 roku menora mogła wrócić do Rzymu, a tym samym do Watykanu. Jednak rzecznik biblioteki watykańskiej milczał. Do stolicy Włoch przybyli izraelscy dyplomaci w towarzystwie archeologów i podpisali porozumienie, na mocy którego miało nie być dalszych zapytań o tę kwestię. W zamian za to Watykan zgodził się na bezterminowe wypożyczenie bezcennych żydowskich rękopisów, skonfiskowanych rzymskim Żydom w czternastym i piętnastym wieku. Izraelska delegacja powróciła do kraju z rzadkimi manuskryptami, które zapęły całe nowe skrzydło Muzeum Diaspory w Tel Awiwie. Jednak na najważniejsze pytanie nie uzyskano jasnej odpowiedzi.

– Mose, byli tu najwybitniejsi archeolodzy biblijni na świecie. Pokazali rysunki... – Kardynał zamilkł i zapatrzył się w ogień. – Pieczołowicie nakreślili trasę wędrówki menory, jakby wierzyli, że zebrane przez nich dowody czarodziejskim sposobem sprawiają, iż ona naprawdę tu jest. – Kardynał mówił z szacunkiem i emfazą, lecz w jego głosie pobrzmiwała także nutka pobłażliwości. – Naturalnie, gdyby ich założenia były słuszne, gdyby w tysiąc dwieście czwartym roku naszej ery menora trafiła z krypty pod *Heptalychnos* w Konstantynopolu w ręce Kościoła, ja i tak nie mógłbym ci

udzielić tej informacji. – Z szacunku dla gościa kardynał użył określenia „nasza era”, a nie „po Chrystusie”. – Mose, ty lepiej niż ktokolwiek wiesz, że najlepszą ochroną archiwum jest dyskrecja.

– Trzymacie menorę, którą Tytus zabrał po zdobyciu Jerozolimy – oznajmił spokojnym głosem Orvieti.

Kardynał milczał przez chwilę, zaskoczony śmiałym stwierdzeniem archiwisty.

– Ale nie jest to menora ze Świątyni Heroda – ciągnął Orvieti. – To replika. Walczyły o nią i za nią umierały niezliczone rzesze ludzi, kradziono ją i ponownie wykradano w średniowieczu. – Orvieti przesunął się na skraj fotela. – Na początku osiemnastego wieku uświadomił to sobie jeden z kościelnych złotników, Luigi Valadier. Przedmiot znajdujący się w tajnym archiwum Watykanu nie pasował do proporcji opisanych w Księdze Wyjścia. Valadier dokładnie przestudiował kroniki Józefa należące do Kościoła i doszedł do wniosku, że rzymskie wojsko nie zdobyło prawdziwej menory. Hipoteza była tak kontrowersyjna, że zwłoki utopionego Luigiego Valadiera znaleziono, zanim zdołał ją udowodnić. Opowiedział o niej tylko swojemu synowi Giuseppe Valadierowi. Gdy Napoleon z zamiłowania do archeologii postanowił przeorać Koloseum, Giuseppe zgodził mu się w tym pomóc, bez wątplenia wzbudzając kontrowersje. Miał okazję poszukać w Koloseum prawdy. Jednak to, co znalazł, nie wieńczyło badań ojca, lecz okazało się zaledwie ich początkiem. Odkrył pozostawione przez Józefa Flawiusza wskazówki prowadzące do oryginalnej menory i rozpoczął prywatną krucjatę. W Złotym Domu natrafił na plan Jerozolimy i postąpił jak rasowy konserwator, kopiując go na ścianie synagogi w getcie. Przesłaniu Józefa groziło zaginięcie, a Valadier je ocalił. Czy istnieje doskonalszy przykład działalności konserwatorskiej niż zwrócenie świętego naczynia Jerozolimie i ludowi, któremu zostało zrabowane przed dwoma tysiącami lat? – Orvieti zamilkł.

– Giuseppe Valadier był religijnym człowiekiem – rzekł kardynał. – Powierzył swoje szkice Żydom, a nie Watykanowi, ale czy sugerujesz, że nie powiedział o tym Stolicy Apostolskiej?

– Żydowska gmina w Rzymie mogła paść łupem rabusiów. Valadier wiedział, że ostatnie przesłanie Józefa Flawiusza musi spocząć w bezpiecznym miejscu, lecz nie może zdradzić miejsca spoczynku menory. Wydaje się, że powierzył przesłanie Stolicy Apostolskiej, a później papieżem przekazywali je swoim następcom.

– Skąd wiesz... – zaczął kardynał Inocenti, lecz ugryzł się w język i zamilkł. Skinął na gwardzistę szwajcarskiego, a ten opuścił pomieszczenie. Kardynał spojrział Orvietemu prosto w oczy i rzekł cicho: – Miesiąc temu z naszych zbiorów kartograficznych znikły mapy Jerozolimy, podobnie jak mapy żydowskich katakumb z pierwszego wieku poza murami Rzymu.

– On wrócił do Rzymu, aby ją znaleźć – oznajmił Orvieti.

– Jak to możliwe... – W oczach kardynała błysnął strach. Inocenti wstał i zaczął spacerować przed kominkiem. – Waqf zajmuje się tym od sześćdziesięciu lat. Jak zamierzasz ich powstrzymać? Mają teraz wszystkie informacje, które są im potrzebne.

– Nie wszystkie – odparł Orvieti. – Wydaje mi się, że papież Jan Paweł Drugi wysłał wiadomość do rabina Rzymu. Sądzę, że ujawnił wers w tekście Józefa, który opisuje miejsce ukrycia menory.

Kardynał spuścił wzrok. Wiedział, że zwracanie świętych pamiątek było osobistą pasją Jana Pawła II. Podjął między innymi kontrowersyjną decyzję o przekazaniu kości dwóch średniowiecznych świętych, o które Cerkiew prawosławna zabiegała od wieków.

– Pamiętam wzruszenie Ojca Świętego podczas wizyty w Wielkiej Synagodze. „Ukaż mi promyk światła, a ja zbuduję z niego świątynię”, powiedział. Ale nie pamiętam, by przekazywał jakieś informacje rabinowi. Nawet jeśli je miał, nie mógł ich ujawnić. Zasady dyskrecji obowiązujące w kurii...

– Miały moc wiążącą jedynie za jego życia – wtrącił Orvieti – dlatego zostawił wiadomość pośmiertną. Rzecz jasna, zdanie zawarte w jego testamencie jest niewystarczające. Jako papieski szambelan ty powinienes być emisariuszem, który udał się do naczelnego rabina Rzymu. Wiedziałeś, jakie informacje między sobą wymieniają. Komentarz musiał być niejasny, mógł być zaledwie aluzją.

Kardynał Inocenti kroczył po czarno-białej posadzce, wytrzeszczając oczy, jakby za chwilę miał zgrzeszyć.

– Przed śmiercią Jego Świątobliwość poprosił mnie, żebym przekazał rabinowi jeden wers – rzekł. Papież ścisnął w dłoni jego rękę, ostatnim tchem dyktując list. – Cytował z Księgi Powtórzonego Prawa, rozdział szósty, wersety siódmy i dziewiąty. *Wpisz je twoim synom... Wypisz je na drzwiach swojego domu i na twoich bramach.* Tylko tyle Ojciec Święty powiedział.

– Mezuz – szepnął Orvieti. Z wielkim wysiłkiem dźwignął drobną postać z fotela. Wiedział, że w Biblii znajdują się dwa nakazy wypisania słów Boga na bramie domu. W kamiennych nadprożach wielu średniowiecznych domów, wciąż stojących w getcie, umieszczono ceremonialne zwoje. W nowoczesnych żydowskich domach mezuzy z porcelany, metalu bądź kamienia montowano na progach. – Informacja znajduje się w zwoju nad progiem – oznajmił Orvieti. – Ale w którym domu?

Zamknął oczy, rozważając różne możliwości. Valadier kopał w Koloseum i w Złotym Domu... Nagle oczy archiwisty się rozszerzyły. Oraz w Łuku Tytusa.

– Oczywiście, brama.

– Nic ci nie jest, Mose?

– Francesco, masz rysunki albo zdjęcia Łuku Tytusa?

Po chwili ksiądz przyniósł z sąsiadującej z gabinetem Sala Consultazione Manoscritti księgę dokumentującą prowadzone pod nadzorem Watykanu prace konserwacyjne budowli na Forum.

– Proszę – powiedział kardynał, otwierając album na czarno-białym zdjęciu dziewiętnastowiecznej inskrypcji na Łuku Tytusa.

– „Giuseppe Valadier odrestaurował Łuk Tytusa w imieniu papieża Piusa Siódmego w roku tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym”.

Właśnie dlatego przekazał rysunki synagodze. Orvieti wreszcie zrozumiał. Valadier odkrył, że wskazówki pozostawione przez Józefa prowadziły do Łuku Tytusa. Pochylił się, szukając wzrokiem jakichś nadzwyczajnych elementów.

– Tutaj – rzekł Orvieti, wskazując końcówkę inskrypcji z dedykacją.

ANNO • SACRI • PRINCIPATUS • EIUS • XXIII

– Valadier podaje, że ukończył prace konserwacyjne w dwudziestym czwartym roku pontyfikatu papieża Piusa Siódmego... – Kardynał Inocenti nagle zamilkł. – Ale to dziwne – ciągnął, wskazując rzymskie cyfry epigrafu. – Pisownia rzymskiego liczebnika jest osobliwa. Starożytni Rzymianie używali liczby IIII, unikając stosowania zapisu IV, gdyż przypominał on

litery IV, pierwsze litery imienia boga Jupitera, zapisywanego wówczas IVPITER. Z tego właśnie powodu Ojcowie Kościoła jak najczęściej używali znaków IV, traktując to jako symbol sprzeciwu wobec pogańskiego bóstwa. – Inocenti wskazał ponownie fragment inskrypcji. – Valadier zastosował starożytną rzymską pisownię, IIII. To mogło być przeoczenie.

Nie ma mowy o przeoczeniu, pomyślał Orvieti. Nagle poczuł przyływ energii.

– Dziękuję ci za pomoc, Francesco.

– Mose, trzeba ci opatrzeć nogę, nie możemy cię tak wypuścić...

Orvieti prawie go nie słyszał. Mezusa na Łuku Tytusa. Pogański monument upamiętniający zrabowanie jerozolimskiej menory nosił w sobie tajemnicę jej przetrwania. Odpowiedź na pytanie o miejsce spoczynku menory nie kryła się w Watykanie, lecz w ruinach na Forum.

– Ależ nie, zrobiłeś już wystarczająco dużo. – Orvieti zniżył głos. – Pokazałeś mi, gdzie szukać odpowiedzi.

## 86.

Jonathan wbiegł do ruin na Forum przez północną bramę przylegającą do więzienia Mamertine. Przemknął obok grupy turystów, a następnie minął mównicę. Czując ból w mięśniach, kroczył pod górę Via Sacra w stronę Łuku Tytusa.

Mżawka ustała i przez chmury nad Rzymem przejrzało słońce. Powietrze było tak jasne, jak bywa tylko po wielodniowych opadach.

Jonathan zbliżył się do łuku. Jako student w akademii dokładnie oglądał trawertynowe sklepienie, będące wzorem dla wszystkich łuków triumfalnych w Rzymie oraz dla tych, które wznoszono w późniejszych wiekach. Jednak historyczne znaczenie budowli wydawało się błahostką w porównaniu z obiektem, który być może krył się w niej przez dwa tysiące lat.

Attyka łuku miała grubo ponad trzy metry, o wiele więcej, niż potrzebne było do ukrycia złotej menory o wysokości dwóch i pół metra. Jonathan wyobraził sobie, jak Józef i jego wspólnicy w środku nocy windują ciężki obiekt na szczyt budowli. Znana wśród rzymskich Żydów od tysiąca lat tradycja mówiąca o tym, że nie staje się pod łukiem, nagle stała się zrozumiała. Obecność świętej menory uświęcała ziemię, która się pod nią znajdowała.

Jednak wszystkie te myśli bladły wobec strachu. Jonathan pamiętał, po co tam przybył. Musiał uratować Emili.

Zmierzając ku Forum, kilkadziesiąt razy pomyślał, by zwrócić się o pomoc do władz. Nie mógł iść na policję, bo dowiedziałby się o tym porucznik Rufio, zastanawiał się jednakże nad ambasadą amerykańską, kancelarią, a nawet komórką zagraniczną nowojorskiej policji. Z przerażeniem uzmysłowił sobie, że nikomu nie może zaufać. Dyrektorka oenzetowskiej agendy. Jonathan wciąż nie mógł w to uwierzyć. „Saladyn wie więcej, niż przypuszczasz”.

Okrążył łuk, szukając wzrokiem śladów wejścia lub niedawnych wykopalisk. Przy łuku stało wąskie aluminiowe rusztowanie, wykorzystywane do czyszczenia zachodniej fasady, lecz fronton był zbudowany z litego kamienia.

Jonathan wszedł na podstawę łuku, by rozejrzeć się za Chandlerem. Zaczął się obawiać, że połączenie zostało przerwane świadomie. Zerknął w stronę uliczki Via dei Fori Imperiali. Chandlera nigdzie nie było.



Zszedł między filary łuku i spojrzął na rzeźbione listowie łączące się u dołu z płaskorzeźbami. Patrzył na relief zdobiący zachodni filar, najświetniejszy element łuku i być może najświetniejszą płaskorzeźbę Rzymu. Głęboko żłobiony wizerunek przedstawiał pochód triumfalny. Ulicami miasta jeńcy jerozolimscy nieśli na ramionach ogromną menorę. Pędzenie więźniów Rzymu stało się częstą praktyką, którą stosowano po podbojach. Teraz jednak obraz ten znaczył dla Jonathana znacznie więcej niż w czasie seminarium. Od tego mogło zależeć życie Emili.

Podszedł do reliefu tak blisko, że mógł dotknąć kamiennych postaci jeńców dźwigających menorę.

– Gdzie ją ukryłeś? – zapytał cicho. Wydawało się, że wyrzeźbione figury maszerują dalej, nie zwracając uwagi na jego rozpacz. Sfrustrowany i wyczerpany Jonathan zbliżył się jeszcze bardziej do kamieni i ryknął: – Schowałeś ją wewnątrz łuku?!

Jego głos odbił się od kamiennych filarów. Na Forum panował spokój. Kilkoro turystów w starszym wieku zaczęło się spieszenie oddalać od młodego pomyleńca.

– Tak – odezwał się cicho jakiś głos. Przez chwilę Jonathanowi zdawało się, że to kamienie mu odpowiedziały.

Odwróciwszy się, ujrzał Mose Orvietiego. Archiwista stał bez ruchu. Jego spodnie były podarte i poplamione zaschniętą brązową krwią.

– *Signore Orvieti*, nie się panu nie stało?

Orvieti nie myślał o sobie.

– Gdzie ona jest?

Jonathan milczał.

Archiwista podszedł bliżej. Połączyło ich niemal mistyczne zrozumienie.

– Musisz ją znaleźć, tak?

Jonathan prawie niedostrzegalnie skinął głową.

Orvieti położył mu dłoń na ramieniu.

– A więc dobrze, znajdziemy ją.

– Jest w łuku? – spytał z nadzieją Jonathan.

– Tak – potwierdził Orvieti. – Nie wiemy tylko, w którym miejscu.

– Ale on jest tutaj – rzekł Jonathan, wskazując monument. – Łuk Tytusa jest tu, na Forum. Wers z Józefa brzmiał „Spoczęło pod łukiem, gdzie przeszedł pochód triumfalny”.

– A pod Łukiem Tytusa nigdy nie przeszedł żaden pochód triumfalny. Wers z Józefa odnosi się do oryginalnego Łuku Tytusa. Ten został wzniesiony dopiero dziesięć lat po podbiciu Jerozolimy.

– Oryginalny Łuk Tytusa. – Chyba wyszedłem z wprawy, pomyślał Jonathan. – Zapomniałem, że Rzymianie budowali dwa łuki triumfalne. Jeden dla zwyczajnych wojsk, aby mogły pod nim przejść, a drugi, wspanialszy, dla przyszłych pokoleń. – Jeńcy na reliefie nieśli menorę w stronę łuku widocznego w prawym górnym rogu.



Jednak lokalizacja pierwszego Łuku Tytusa, pod którym przemaszerował pochód, odeszła w niepamięć co najmniej tysiąc lat temu. Ostatni ślad historyczny dotyczący łuku znalazł się w zapiskach z podróży anonimowego mnicha z ósmego wieku, który nawet nie wspomniał, gdzie on się znajdował. Napisał jedynie, że teren otaczający łuk stał się miejscem pobytu społeczności potomków jeńców Tytusa.

– *Signore*, nawet jeśli Józef umieścił menorę w oryginalnym łuku, nie wiemy, gdzie go szukać.

– Chyba że ktoś nam to powie – odparł Orvieti i kuśtykając, zbliżył się do ściany filaru. – Tam jest jakaś informacja.

Jonathan skierował wzrok na masywną attykę.

– W inskrypcji z dedykacją?

Łacińska inskrypcja, umieszczona nad łukiem, została sformułowana pełnym wyrazów wdzięczności językiem skierowanym do urzędującego papieża. Takich zwrotów używali wszyscy papiescy architekci.

*Insigne Religionis Atque Artis Monumentum  
Fulciri Servarique Iussit  
Anno Sacri Principatus Eius XXIII*

– „Znak religii i sztuki... został zachowany” – tłumaczył Jonathan, zadzierając głowę. Typowa watykańska pompa. Już miał odwrócić wzrok, gdy zauważył coś dziwnego w pierwszym słowie. – *Insigne*. To łacińskie słowo oznacza „znak” albo „emblem”, od niego pochodzi wyraz „insygnium”. – Do Jonathana zaczynało docierać pełne znaczenie tych słów. – „Insygnium niezwykle w religii i sztuce zostało zachowane...”. – Jonathan zamilkł i odwrócił się do Orvietiego. – Trudno w to uwierzyć – powiedział, ogarniając intencję konserwatora. – Insygnium to menora, prawda? Insygnium niezwykle w religii i sztuce zostało zachowane.

– Przed śmiercią papież Jan Paweł Drugi zacytował rabinowi Rzymu urywek z Księgi Powtórzonego Prawa. Fragment nawiązywał do słów zapisanych na drzwiach.

– Sądzi pan, że wiadomość odnosi się do inskrypcji?

– Albo do zwoju ukrytego gdzieś w fasadzie łuku – odparł Orvieti. – Właśnie dlatego papież zacytował ustęp z Księgi Powtórzonego Prawa. Wiadomość została zapisana w mezuzie. Takiej wskazówki szukałby tylko mieszkaniec getta.

– Łuk jest ogromny, *signore* – zauważył Jonathan. – Mógł go umieścić wszędzie.

– Spójrz na datę.

Jonathan popatrzył na ostatni wers dedykacji.

– Papieski architekt użył pogańskiego zapisu IIII, a nie eklezjastycznego IV.

– Zapisane na drzwiach – powtórzył Orvieti. – Może nie bez powodu autor inskrypcji zwraca uwagę na czwartą jedynekę.

– Sądzi pan, że za cyfrą znajduje się jakiś zwój? – spytał Jonathan.

Orvieti skinął głową.

Jonathan spojrział na rusztowanie. Sięgało do najniższego wersu dedykacji, w którym znajdowała się data. Rozejrzał się po placu. Rozproszone grupy turystów zebrały się po drugiej stronie Forum. Dziewięć metrów od przeciwnej strony łuku siedzieli dwaj ochroniarze.

To nie do wiary, że coś takiego chodzi mi po głowie.

Jonathan chwycił się poprzeczki rusztowania i podciągnął. Konstrukcja zachwiała się, zerknął więc w dół, by sprawdzić, czy się przechyla. Fronton był o wiele wyższy, niż się spodziewał, a inskrypcja składająca się z ogromnych brązowych liter także była większa, niż oceniał, patrząc na nią z dołu.

Jonathan stanął na rusztowaniu obok ostatniego wiersza inskrypcji. Każda z brązowych liter była równa połowie jego wzrostu.

Ku jego zaskoczeniu okazało się, że końcowa jedyńska w liczebniku jest przymocowana do frontonu inaczej niż pozostałe cyfry. Zobaczywszy z prawej strony zawiasy, pociągnął za długą prostokątną

cyfrę. Wybrzuszyła się i odgięła niczym wąskie metalowe drzwiczki. Pod nią wewnątrz frontonu ukazał się wykuty w kamieniu prostokątny otwór wysokości trzydziestu centymetrów. Znajdował się w nim ciasny zwój. Tam naprawdę coś jest.

Opierając się o brązową cyfrę, żeby się nie bujała, Jonathan wsunął rękę do środka po pergamin. Pergamin był suchy, lecz jego dolna część przywarła do kamienia, musiał więc mocno pociągnąć. Wtedy ostrożnie puścił cyfrę, a ta wsunęła się na miejsce. Szybko schodził po rusztowaniu, jakby nie zwracał uwagi na jego wysokość.

– *Ignore!* – zawołał jeden z ochroniarzy. Wystraszył Jonathana, który omal nie stracił równowagi. Spojrzał w dół. Ochroniarze znajdowali się dokładnie pod rusztowaniem. Zmierzali w stronę Orvietiego.

– Zamykamy ruiny! – oznajmił starszy ochroniarz.

Orvieti przeprosił i zastosował się do polecenia, starając się odciągnąć uwagę ochroniarzy od rusztowania.

Jonathan spojrział na zegarek. Trzecia. Zimą ruiny zamykano godzinę przed zachodem słońca.

Starszy ochroniarz przeszedł pod łukiem; Jonathan stał nieruchomo, przywierając do frontonu. Gdyby mężczyzna spojrział do góry, zobaczyłby Jonathana jak na dłoni. Najciszej jak się dało, Jonathan zszedł na dół, pokonując po dwa stopnie naraz.

Ledwo Jonathan stanął na ziemi, ochroniarz odwrócił się do łuku. Ze zdziwieniem zobaczył pod Łukiem Tytusa młodego mężczyznę, którego przed chwilą tam nie było.

– Forum jest zamknięte, *ignore!* – rzekł ochroniarz, drapiąc się po białym wąsiku. – Pracuję tu od trzydziestu lat i nie mam dość czasu, by obejrzeć te ruiny!

– To, co w nich najważniejsze, często umyka naszej uwagi! – odparł Jonathan, szybkim krokiem zmierzając do wyjścia.

## 87.

Emili siedziała z zawiązanymi oczyma na aluminiowym krzeselku. Przez szparkę pod opaską widziała poświatę ekranów komputerowych w ciemnym pomieszczeniu. Chciała się poruszyć, lecz poliuretanowe paski krępowały jej nadgarstki i kostki. Knebel wydzieliał ostry chemiczny odór i palił ją w gardło. Próbowwała krzyknąć, lecz z jej ust wydostał się jedynie stłumiony jęk. W oddali słyszała przejeżdżające autobusy. Ziemista woń wskazywała, że pomieszczenie znajduje się pod ziemią. Albo pod mostem. Lub w tunelu. Siedziała z głową zwieszoną na jedną stronę, udając, że wciąż jest nieprzytomna. Wykorzystywała czas, by pozbierać myśli.

Jako urzędniczka oenzetowskiej agencji zaliczyła obowiązkowy kurs przygotowujący do sytuacji więźnia. Wskazówki mogące uratować życie brzmiały: zachowuj orientację, zadawaj pytania, staraj się ustalić swoje położenie i ocenić, ile czasu upłynęło.

Słyszała stukanie klawiatury, które potwierdzało przypuszczenie Emili, że porywacze dysponują nowoczesnym sprzętem. W tle słychać było ciche głosy. Arabski. Ta sama odmiana, którą posługiwali się mężczyźni w samochodzie.

– Próbujesz zgadnąć, gdzie jesteś, prawda? – spytał głos dochodzący z bardzo bliska. Włoski porywacza zdradzał minimalną arabską naleciałość, słyszalną tylko dla rdzennego Włocha.

Nagle wyrwano knebel z jej ust. Ręka tego, który to zrobił, wydawała się oddzielona od ciała.

– Wiem, kim jesteś – powiedziała z wysiłkiem Emili. Jej usta i policzki zwiotczały. – Saladyn.

– Zbieraj informacje, zadawaj pytania – rzekł Saladyn. – Nauczyci cię, że tak należy postępować w tej sytuacji? Mamrotałaś o tym przez sen. Wszystko jest w oenzetowskim podręczniku, tak?

Emili odwróciła głowę w stronę, z której dobiegał głos, i splunęła prosto w twarz Saladyna.

– Tego nie ma w podręczniku – powiedziała.

Usłyszała szuranie butów na kamiennej posadzce.

– Zawsze byłaś nieprzewidywalna, prawda? Zawsze.

Skąd on to wie?

– Nasz wspólny szacunek dla historii sprawił, że się zetknęliśmy.

– Szacunek? – Emili nie mogła się powstrzymać. – Niszczycie tysiące zabytków judeochrześcijańskich. Nie macie ani krzty szacunku dla historii.

Arab rąbnął pięścią w aluminiowy stół tak mocno, że go wygiął.

– Szanuję historię i rozumiem, jakie są skutki kontroli nad nią! – Jego gniewne słowa odbiły się echem w ciemności.

Wymamrotał coś po arabsku; ktoś szorstkim gestem chwycił głowę Emili i zdjął jej opaskę. Zobaczyła ciemną grootę pozbawioną widocznego sklepienia. Ekranów dwóch komputerów wyświetlały skomplikowane podziemne mapy nałożone na pocięte siatkami widoki Rzymu. Obok aluminiowego stolika stały zbiorniki z tlenem i acetylenem oraz sprzęt do nurkowania.

Emili chciała się odwrócić, żeby zobaczyć Saladyna, który stał za nią.

– Patrz przed siebie – rzucił z dezaprobatą.

– Emili – odezwał się inny, kobiecy głos. Z ciemności wynurzyła się jakaś kobieta.

To była Jacqueline Olivier.

– Rób, co on ci każe, proszę cię.

Emili przez chwilę patrzyła na nią jak osłupiała. Ręce dyrektorki nie były skrępowane; usiadła na krześle naprzeciwko. Nosila biżuterię i biały zimowy kostium. Nawet w tych okolicznościach Emili nadal pamiętała, że dzisiaj ma się odbyć ceremonia otwarcia konferencji Komitetu Światowego Dziedzictwa. Dyrektorka wybierała się na nią.

– Jacqueline, co ty...

– Mogę ci pomóc – przerwała jej dyrektorka. – Oni szukają zaginionego Łuku Tytusa. Nie tego na Forum, lecz oryginalnego. Uważają, że ten mężczyzna, z którym podróżowałaś...

– Jonathan?

– ...powiedział ci, gdzie znajduje się łuk. Chcą się tego dowiedzieć. Józef Flawiusz ukrył tam menorę. Musisz im powiedzieć.

Nagle Emili zrobiło się słabo.

– Jak możesz tak postępować?

– Nie czas teraz na wyjaśnienia. – Jacqueline zerknęła nerwowo na Saladyna. – Powie wam. Nie krzywdźcie jej.

– Na twoim miejscu nie osądzałbym dyrektorki – odezwał się Saladyn. – Przekonywała nas, żebyśmy cię puścili. Przyjechała tu, by ratować ci życie, mimo że za niespełną godzinę ma wystąpienie na ceremonii w Koloseum. – Emili usłyszała odgłos ładowania broni. – A teraz ty masz szansę ocalić jej życie, doktor Travia.

– O czym ty mówisz?

– Proszę się nie ruszać, pani dyrektor – rozkazał Saladyn.

Rezygnacja na twarzy zmieniła się w ślepy strach. Kobieta spoglądała nad ramieniem Emili.

– Doktor Travia, albo mi powiesz, gdzie jest oryginalny łuk, albo ją zabiję – wyszeptał Saladyn do ucha Emili.

– Zaczekaj! – krzyknęła z przerażeniem dyrektorka. – Ona tego nie wie! – Jacqueline Olivier nie umiała dłużej zachowywać godności.

– Nie byłbym tego taki pewny – rzekł zimno Saladyn.

Jacqueline Olivier spojrzała z przestachem na Emili. Ta jednak nie wiedziała, czy dyrektorka okazuje prawdziwe emocje.

– Doktor Travia, liczę do trzech. Gdzie znajduje się oryginalny Łuk Tytusa? – spytał Saladyn. – Raz.

– Nie wiem – odparła drżącym głosem Emili. – Zakładaliśmy, że wskazówka odnosiła się do łuku na Forum.

– Emili, proszę cię w imieniu nas obu – mówiła dyrektorka, nie panując nad swoim głosem. – Powiedz mu, co wiesz.

– Dwa.

Emili milczała. Cały jej świat został wyrócony do góry nogami. Niemożliwe przestało istnieć.

– Trzy.

Spojrzenie Jacqueline było utkwione w punkt nad ramieniem Emili. Jednak gdy Saladyn wypowiedział słowo „trzy”, dyrektorka opuściła wzrok i spojrzała na Emili.

Rozległy się dwa stuknięcia niewiele głośniejsze od wybuchu petardy.

W pierwszej chwili Emili nie wiedziała, co się stało. Potem zobaczyła krew spływającą z

czoła dyrektorki na kaszmirową chustę. Wydawało się, że dyrektorka także nie wie, co jej zrobiono. Zachowała dość przytomności, by poczuć krew na czole. Ostatnim gestem, pełnym niemal komicznego namaszczenia, zaczęła ją ścierać. Spojrzała na zakrwawione palce, jej oczy zasły mgłą i runęła głową na aluminiowy stolik.

Emili patrzyła na dyrektorkę. Struchlała ze strachu. Czowała dym unoszący się z lufy znajdującej się o centymetry od jej głowy.

– W porządku – powiedział z ulgą Saladyn. – Ona rzeczywiście nie wie.

Kilka sekund później rąbnął ją kolbą pistoletu w tył głowy. Ból był tak silny, że aż widzialny. Ciemne smugi zasnuły jej spojrzenie, a potem pochłonęły wszystko. W ostatniej chwili jej wzrok padł na różowy makijaż na policzku dyrektorki, której głowa tonęła w kałuży krwi.

## 88.

Jonathan wybiegł przez kołowrotek i znalazł Orvietiego na Via dei Fori Imperiali. Archiwista stał przed budynkiem nowego centrum turystycznego. Jonathan przekazał mu zwój znaleziony we frontonie łuku.

– Nie dam rady go otworzyć – rzekł oszołomiony Orvieti. – Ręce mi się trzęsą.

Jonathan rozwinął zwój. Pergamin pękł mu w rękach na dwoje, lecz kawałki łatwo się do siebie dopasowały, atrament zaś zachował się nad podziw dobrze. Jonathan jako rasowy historyk zauważył z radością, że pergamin wyczyszczono pumeksem, zanim zaczęto go zapisywać; dzięki temu czerni atramentu nie wyblakła po upływie stuleci. Przedstawiał szkic architektoniczny Koloseum. Nad rysunkiem znajdował się cytat. Jonathan rozpoznał go od razu.

*Siedem gałęzi światła splata się... w miejscu, w którym rzymskie prawo wykonuje wyroki na skazanych za zdradę...*



– To następny cytat z Józefa Flawiusza – oznajmił Jonathan, spoglądając na pergamin.

Orvieti nie patrzył na cytat, lecz na niego. Jonathan był bledszy niż przed chwilą.

– Wiesz, co to oznacza? – spytał archiwista.

Jonathan skinął głową.

– To opis miejsca w Koloseum. „W miejscu, w którym rzymskie prawo wykonuje wyroki na skazanych za zdradę”. Musi chodzić o arenę. – Ponownie spojrzał na szkic. – Siedem gałęzi światła to siedem smug promieni słonecznych, wpadających między łukami na najwyższym poziomie Koloseum. Splatają się w miejscu na arenie. – Jonathan wskazał ilustrację. – Proszę spojrzeć. Na dziewiętnastowiecznym szkicu Valadiera widać promienie światła, które wpadają przez łuki Koloseum i łączą się ze sobą.

– A zatem Józef wskazuje miejsce.

– Tak, ale jest pewna trudność. Zachodnia część ściany Koloseum runęła długo przed nadejściem dziewiętnastego wieku, więc Valadier musiał w tysiąc osiemset dziewiątym roku odbudować łuki, by światło mogło paść w to samo miejsce areny. – Jonathan mówił szybko, jakby chciał nadażyć za swoimi myślami. – Te linie na szkicu Valadiera to nie elementy konstrukcyjne, ale promienie światła. Właśnie dlatego tak ważne było, aby jego szkice Koloseum pozostały w archiwum getta. Zrekonstruował łuki amfiteatru właśnie po to, by odnaleźć miejsce, które opisuje wers Józefa Flawiusza.

– Ale do czego prowadziło to miejsce na arenie? – spytał Orvieti.

Jonathan zamilkł, jego oczy zaszyły mgłą.

– Do zapadni – wyszeptał.

– Do zapadni?

– Tak – odparł Jonathan, wrywając się z chwilowego oszołomienia. – Przed siedmioma laty zobaczyłem starożytny fresk w katakumbach, tuż przed ich zawaleniem się. Przedstawiał człowieka uciekającego z areny Koloseum przez zapadnię.

Jonathan wziął głęboki oddech.

*Scriptio inferior* jego życia znów wychynęło na powierzchnię, lecz teraz nowe i stare skrypty uzupełniały się w sposób, jakiego nigdy by nie przewidział. Być może zaprowadził Emili, Szarifa i Gianpaola do grobowca, którego znaczenie przekraczało wyobraźnię. Może zobaczyłeś coś więcej, powiedziała Emili w Ostii. Właśnie dlatego tutaj jesteś.

– *Signore*, wydaje mi się, że te smugi światła pokażą nam, w którym miejscu znajdowała się zapadnia.

– Uważasz, że to Józef był tym, który uciekł?

– Tak, i myślę, że właśnie dlatego starożytni historycy napisali, iż Tytus gorzko zapłakał po jego ucieczce. Józef Flawiusz nie był dla Tytusa zwykłym zbiegiem. Był jedynym kapłanem, który mógł podtrzymać płomień ukrytej menory. Pamiętajmy, że Tytus i jego wróżbici lękali się tego płomienia. Aby go zgasić, należało się postarać, by nie pozostał żaden kapłan, który mógłby go podsycać. Dlatego starożytni Rzymianie zabijali wszystkich kapłanów. Chcieli zniszczyć męskie linie rodów.

– Skutki tych działań trwają do dziś – rzekł pośepnie Orvieti. – Wśród rzymskich Żydów prawie nie ma *kohanim*, czyli kapłanów. W dzieciństwie nie znałem prawie żadnego innego.

– Innego? Czy to znaczy, że jest pan...

Orvieti uniósł nieznacznie lewą rękę. Sygnalizował w ten sposób, że wiara jest dla niego bolesną kwestią.

– Jeśli kiedyś miałem coś wspólnego ze świętością, to jej resztki dawno ze mnie uleciały.

Archiwista spojrział w stronę Koloseum.

Nad Palatynem zaszło słońce, lecz jego żółte promienie zalewały Via di San Gregorio i padały na wierzchołek Koloseum. Orvieti zerknął na zegarek.

– Jest kwadrans po trzeciej. Słońce przejdzie przez łuki za niespełna dwadzieścia minut.

## 89.

Wieczorna konferencja Komitetu Światowego Dziedzictwa w Rzymie miała upamiętnić

dwusetną rocznicę pierwszej wielkiej renowacji Koloseum, która odbyła się w 1809 roku. Dyplomaci i akredytowani dziennikarze z identyfikatorami na niebieskich paskach sunęli po czerwonym dywanie do Koloseum, przechodząc przez bramki wykrywaczy metalu. Czarne limuzyny z tablicami dyplomatycznymi stały obok zewnętrznych łuków budowli. Włoscy żołnierze i funkcjonariusze w cywilu krążyli wokół policyjnych barierek zamykających Piazza del Colosseo.

Korporacyjni sponsorzy zadbali o stoły, pojawiła się także reklama włoskiego banku narodowego: „Banco Roma będzie trwać jak Koloseum”. Ekipy telewizyjne prowadziły wywiady z rzymskimi celebrytami. Bramkarz włoskiej reprezentacji stanął między filarami łuków, pozując do zdjęcia paparazzim.

\* \* \*

Jonathan szedł z Orvietim Via dei Fori Imperiali, uliczką biegnącą wzdłuż boku Piazza del Colosseo. Nie mógł uwierzyć, że był tam zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu. Wczoraj przyszedłem tu jako turysta, a dzisiaj jestem zbiegiem. Popatrzył na zgromadzony tłum, skupiając wzrok na policjantach ustawionych przy każdym wejściu.

– Jak dostaniesz się do środka? – spytał Orvieti. – Musisz być na arenie, żeby zobaczyć promienie słońca.

– Proszę spojrzeć tam – odparł Jonathan, wskazując dalszy koniec placu. Ciężarówki firm cateringowych i obsługujących estradę ustawiły się przy wschodniej ścianie okrągłych ruin. Nieco z boku Jonathan zauważył grupę gladiatorów wynajętych na imprezę, którzy ćwiczyli układy walki. Dwóch aktorów trenowało pchnięcia. Starszy wiekiem kolega, znający się na szermierce, wtrącił się do treningu, by skorygować poszczególne elementy. Niektórzy uczestnicy pokazu mieli już na sobie kostiumy i maski.

Inni członkowie zespołu wychodzili z przyczepy zaparkowanej pod łukiem.

– Mam pomysł – oznajmił Jonathan.

Przecisnął się przez szeregi gapiów i wszedł do pustej przyczepy. Na półkach leżały klasyczne miecze, mosiężne puklerze, spódniczki z lamparciej skóry, ochraniacze na ręce i hełmy gladiatorów z czerwonymi pióropuszcami z włosia szczotek.

Jonathan szybko przebrał się w kostium; miał nawet sztylet zrobiony ze zwykłego scyzoryka z przyklejoną plastikową rączką. Ruszył biegiem za grupą, trzymając garnitur i buty pod pachą. Nagle

zatrzymała go jakaś Amerykanka, mówiąca z wyraźnym południowym akcentem:

– Skarbie, możemy sobie zrobić z tobą zdjęcie?

Jonathana otoczyła rodzina z Teksasu zaopatrzona w cztery cyfrowe aparaty fotograficzne. Włożył hełm, a turyści ustawiali się na zmianę obok niego.

W przebraniu minął szybkim krokiem oenzetowskich ochroniarzy. Słyszał gorączkowe okrzyki pracowników Międzynarodowego Centrum Konserwacji Zabytków poszukujących dyrektorki, której wystąpienie miało otworzyć konferencję. Pracownicy obsługi, także w kostiumach z epoki, pchali po rampach wózki z przystawkami. Jonathan odnalazł aktorów w strojach i wmieszał się między nich. Ubranie zdołał schować za regałem, na którym stały potrawy.

– Jesteś nowy? – spytał Jonathana po włosku jeden z członków trupy. Wyciągnął rękę, a



potem zamknął jego przedramię w żelaznym uścisku. Tak witano się w starożytnym Rzymie. Jonathan odwzajemnił gest. Naprawdę wczuwają się w swoją rolę. – Masz zastępstwo – rzekł po włosku mężczyzna. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. – Jakim jesteś gladiatorem?

– Słucham?

– Jaki jest twój styl walki? – spytał poważnie tamten.

– Ach tak, oczywiście. – Jonathan przypomniał sobie poszczególne grupy gladiatorów w starożytnym Rzymie. – Jestem *hoplomachusem* – odparł, wymieniając pierwszą nazwę, jaka przyszła mu do głowy.

– *Salve!* Potrzebowaliśmy *hoplomachusa!* Musisz mieć małą okrągłą tarczę, ale wiedziałeś o tym. – Mężczyzna skinął na rekwizytora. – Ci dwaj to *retiarii*, choć pewnie odgadłeś po trójzębach i zbrojach. – Wskazani aktorzy niemrawo zamachali do Jonathana. – A tamten to rydwanista. – Aktor zapinał właśnie hełm z przyłbicą. – O, jest twoja tarcza – ucieszył się instruktor, wręczając Jonathanowi cienką replikę tarczy greckiego hoplity. Wyjaśnił, że jest adiunktem na wydziale historycznym miejscowej uczelni i pilnuje, by używano prawdziwych mieczy. Dlatego opanowanie układów choreograficznych jest tym ważniejsze dla ich bezpieczeństwa. Zaczął opowiadać o rozmaitych rodzajach oręża, których używali gladiatorzy. Mówił o nabitych ćwiekami skórzanych rękawicach i ciężkich sieciach, lecz myśli Jonathana wędrowały gdzie indziej. Spojrzał na złociste promienie, które zaczynały już obejmować górną część łuków.

Za kilka minut zbiegną się w jakimś punkcie na arenie.

Siedem gałęzi splata się w jednym miejscu.

– Powinieneś owinąć taśmą swój drugi miecz – rzekł instruktor, wręczając Jonathanowi zwój gumowanej czarnej taśmy. – Zmięczamy czubek ostrza na wypadek nieumyślnego kontaktu. Nikt nie chce zranić kolegi.

– Naturalnie – przytaknął Jonathan. Jego głos zabrzmiał metalicznie spod hełmu.

Zanim jednak zdążył nałożyć taśmę, cała trupa zamilkła i ustawiła się w szyku.

– Do boju! – zawołał po łacinie uczonego instruktor i gladiatorzy ruszyli na arenę.

Wokół zgromadzili się uczestnicy konferencji i zaczęli robić zdjęcia, a pierwsza połowa trupy wbiegła na pole walki. Rozległy się okrzyki przybyłych gości; Jonathan widział aktorów, którzy na piaszczystej arenie zadawali wyćwiczone pchnięcia i wykonywali uniki.

Dyskretnie odłączył się od trupy i przeszedł korytarzem długość kilku łuków. Skierował wzrok na snopy światła przechodzące przez siedem łuków na zachodniej ścianie areny.

Niezwykle widowisko.

Siedem odrębnych promieni sunęło w dół po załomach zachodniej ściany. Słońce opadało zaskakująco szybko, a zaokrąglenie budowli sprawiało, że coraz bardziej się do siebie zbliżały. Dotknęły już powierzchni areny.

– Ruszaj! – rzucił jeden ze starszych aktorów, pukając od tyłu w hełm Jonathana.

– Nie jestem... – Jonathan nie zdążył dokończyć zdania, gdyż został wypchnięty na arenę.

Osołomiła go odświętna atmosfera ceremonii. Wokół balustrady zebrało się pięćset osób w eleganckich ubraniach: filantropi, dyrektorzy firm oraz towarzyszące im piękne kobiety.

Na arenie gladiatorzy toczyli zainscenizowane walki, a Jonathan kluczył, starając się schodzić wszystkim z drogi. Walczący wzbijali duże ilości piasku, toteż nagle okazało się, że Jonathan nie widzi słonecznych promieni przechodzących przez łuki w zachodniej ścianie areny. Wybiegł na

środek, skąd miał lepszy widok. Snopy promieni przesuwaly się po powierzchni ziemi, stopniowo zbliżając się do siebie.

– Zajmij wyznaczone miejsce! – warknął jeden z gladiatorów.

Jonathan był jednak zbyt skupiony na swoim zadaniu, aby go posłuchać. Promienie skupiły się w jednym punkcie przy południowo-wschodniej części obwodu areny. Jonathan ruszył jak zaczarowany w tamtą stronę, nie zwracając uwagi na mężczyzn wykonujących wokół niego salta. Siedem promieni ułożyło się w trzy litery V niczym w wyreżyserowanym, spektaklu świetlnym, tworząc kształt menory, który objął całą powierzchnię Koloseum. W tym miejscu znajdowała się zapadnia, myślał Jonathan. Właśnie wtedy Józef Flawiusz wymknął się z areny.

Przeciagnał nogą po piasku, zaznaczając to miejsce. Spojrzał, który z pobliskich łuków znajduje się na wysokości punktu pod jego stopami. Był oznaczony liczbą XVIII. Promienie słońca zbiegły się przed osiemnastym łukiem Koloseum.

Jonathan zerknął na labirynt ruin w odsłoniętej części podziemia areny. Zdawało mu się, że widzi Józefa znikającego w zapadni niegdyś umieszczonej dokładnie w miejscu, w którym stał.

Tu musiał się znajdować tunel prowadzący poza Koloseum.

Nagle ktoś chwycił Jonathana od tyłu i cisnął go na balustradę. Jego hełm uderzył o stal i Jonathan runął na ziemię. Dostał w głowę rękojęcią miecza i omal nie stracił przytomności. Zerwał się na nogi akurat w chwili, gdy ostrze miecza spadło na kamienie tuż obok niego, krzesząc iskry.

Mężczyzna był przebrany w kostium gladiatora. Miał czarne napierśniki i dwa miecze. Był *dimachaeriušem*, uważanym za najgroźniejszego z gladiatorów. Jeden miecz spoczywał w pochwie u jego boku, a ostrze drugiego kołysało się to w jedną, to w drugą stronę.

– Rany boskie – jęknął Jonathan. – Nie biorę w tym...

Nie zdołał dokończyć zdania, gdyż przeciwnik zadał mu następny cios w klatkę piersiową. Aluminiowy puklerz prawie zginał się we dwoje. Ostrze miecza gladiatora nie było niczym owinięte.

Coś się nie zgadzało.

Stojąc w tumanie pyłu, przeciwnik znów się zamachnął, a Jonathan przetoczył się na bok. Z widowni dobiegały radosne okrzyki; Jonathan uświadomił sobie, że pokaz podoba się ludziom i że go dopingują. Któryś z aktorów potrafił przypadkowo Jonathana i runął teatralnie na arenę.

– Mówiłem, żebyś pilnował swojego miejsca! – zwrócił mu uwagę aktor. Podniósłszy się, stracił z oczu mężczyznę, który go zaatakował. Przeciwnik zniknął w wirze błyszczącej blachy i chmurach kurzu.

Dostał cios w tył hełmu i wykonał obrót, lecz hełm częściowo zasłaniał mu widoczność. Przeciwnik zaatakował ponownie. Jego uderzenia różniły się od ciosów zadawanych przez aktorów. Były to cięcia znamionujące kogoś, kto przywykł do noszenia szermierczego plastronu, a nie blaszanej zbroi, jakiej używają aktorzy grający gladiatorów.

– Kim jesteś?! – krzyknął Jonathan, zataczając się do tyłu.

Ostrza mieczy uderzyły o siebie i Jonathan cofnął się w stronę balustrady. Jednak siła uderzenia była niczym w porównaniu ze wstrząsem, którego doznał na widok znajomych rysów między ochraniaczami policzkowymi rzymskiego hełmu. Widział je z przerażającą jasnością.

Jonathan zareagował gniewnie, sięgając do swojego arsenału cięć. Zręcznie trafił w żebra, rzucając przeciwnika na ziemię, a następnie uderzył płazem w jego głowę, zrzucając z niej hełm.

Ukazała się zmierzwiona czupryna i zaczerwieniona twarz Chandlera Manninga.

– Aureliusz – wydyszał Chandler, krzywiąc usta w gorzkim uśmiechu. – Ostrzegałem cię, że wygram mecz.

## 90.

Manning wstał, a Jonathan w jednej chwili połączył ze sobą kolejne zdarzenia: Chandler na Forum, Chandler z mapami Złotego Domu, wiedzący, którym korytarzem się wymknąć. Wszystko po to, by Jonathan i Emili wykonali następny krok w stronę, w którą przez cały czas dyskretnie ich kierował.

– Brałeś w tym udział od samego początku, co?

– Oto błyskotliwy Marcus, którego pamiętam – odparł z wyzywającym uśmiechem Chandler.

– Ale po co? Żeby być tym, który ją znajdzie? – Jonathan z trudem hamował gniew. – Jesteś gotów narazić życie Emili, żeby zdobyć starożytny artefakt?!

Chandler parsknął śmiechem.

– Uważasz, że to artefakt? Cóż za ironia!

– Ironia? – Szok wywołany odkryciem prawdy mijał; w Jonathanie narastała wściekłość.

– Tak, Aureliusz. Ironia polega na tym, że to ty zawsze mówiłeś, iż jestem łatwowierny. Twierdziłeś, że gonię za alternatywną historią i naciągany opowieściami o zaginionych skarbach, a teraz okazało się, że sam połknąłeś przynętę wraz z haczykiem. Naprawdę myślisz, że istnieje zaginiony zabytek jerozolimski? Oto jedna z fantazji, którymi zaprzętailiśmy głowy w akademii. A ja wreszcie się obłowię.

– Saladyn to potwór – oznajmił głośno Jonathan.

– Wolę go nazywać klientem – odparł Chandler, rozkładając ręce. – Za królewską fortunę, którą mi zaproponował, zgodziłbym się nawet szukać zakichanego Excalibura. – Chandler zbliżał się powoli do Jonathana z uniesionym mieczem.

– Wy dwaj, to ma być walka! – przypomniał chrapliwym głosem jeden z aktorów. – Nie bierzecie forszy za pogaduszki!

– Posłuchaj mnie, Chandler – rzekł Jonathan, całą siłą woli kontrolując złość. – Menora naprawdę istnieje. Słyszysz? To nie wymysł.

– Teraz już wiem. A ty powiesz mi, gdzie się znajduje. Wobec dwóch i pół metra złota honorarium Saladyna wypada blado, nie sądzisz? Właśnie dlatego to wszystko wykombinowałem. – Chandler poklepał się po puklerzu. – Mam przy sobie rysunki wszystkich tras ucieczki z Koloseum. Muszę tylko wiedzieć, z której skorzystał Józef Flawiusz...

– Chandler, oni porwali Emili – przerwał mu Jonathan. – Nie rozumiesz...

– Ja nie rozumiem? Ja nie rozumiem! – ryknął Chandler, patrząc na Jonathana obłąkanym wzrokiem. – Tym razem to ty nie rozumiesz! Jonathan Marcus, złoty chłopiec Akademii Amerykańskiej, i Chandler Manning, marny bibliotekarzyna!

Dopiero w tej chwili Jonathan uświadomił sobie, jak bardzo Chandler nim gardzi. Łatwo mu było oszukiwać go, udając, że wraz z nim i Emili krok po kroku odkrywa wielką tajemnicę.

– Gdzie ona jest, Chandler? – spytał, ruszając zaczepnie w stronę przeciwnika. – Do czego jest im potrzebna?

Widoczne pod hełmem oczy Chandlera wyglądały jak szparki.

– Jak zawsze chcesz grać bohatera, co, Aureliusz? – odpowiedział pytaniem, nie przestając wymachiwać mieczem.

Jonathan zaatakował bez słowa. Ostrza mieczy szczękły głośno. Walczący w pobliżu aktorzy zdziwili się, że nie są owinięte ochronną taśmą. Chandler rozpląnął się w chmurze pyłu, a Jonathan odwrócił się, żeby go zlokalizować. Nagle zobaczył błysk miecza nad głową i wykonał obronne cięcie.

Uderzył tak mocno, że miecz przeciwnika frunął w powietrze. Tamten zanurkował po niego teatralnie, poruszając się jak w zwolnionym tempie.

– Wyluzuj, kolego! – zawołał przez maskę. – Moje dzieci są na widowni.

Jonathan pokuśtykał na środek areny. Aktorzy walczyli w parach, realizując założenia choreograficzne. Zjawił się następny przeciwnik, lecz widząc owinięte taśmą ostrze, Jonathan wykonał unik i minęli się bez starcia. Raptem Chandler natarł ponownie, pojawiwszy się zniecka w tumanie kurzu. Cios przeciął blaszany napierśnik Jonathana i powalił go na ziemię. Jonathan poczuł piekący ból żeber.

– Muszę ci to oddać, Aureliusz, że nie jesteś tym samym chłoptasiem, który siedem lat temu wyjechał z Rzymu. Wygnany z rajskiego ogrodu akademii, nawet nie powiedział słowa na swoją obronę. Saladyn nie spodziewał się jakiegoś cholernego bohatera, lecz adwokata.

– Powiedz mi tylko, gdzie ona jest – nalegał Jonathan, kaszląc i stając na nogi. – Do czego jest im potrzebna?

– Wielki Jonathan Marcus – drwił Chandler. – Wciąż tego nie wykombinowałeś, co? – Chandler podniósł miecz i przyjął pozycję jak do gardy. – Nie jej potrzebują, ale ciebie.

– Co takiego?!

– Myślisz, że jest w tym jakikolwiek przypadek, Aureliusz? Twoja znajomość dzieł Józefa Flawiusza. Przyleciałeś do Rzymu, żeby bronić tajemniczych fragmentów *Forma Urbis*! To on wszystko zaaranżował. Jak sądzisz, dlaczego te kawałki trafiły do muzeum w Rzymie? Saladyn wiedział, że ona je rozpozna i namówi Ministerstwo Kultury do wytoczenia sprawy. Wiedział, że twoja kancelaria broni muzeum. Myślisz, że nie wiedział o twoim przylocie do Rzymu? Liczył na ciebie! Zapłacił mi, żebym przez cały czas cię niańczył.

– Ale przecież oni zobaczyli wszystko, co ja widziałem!

– Niezupełnie – odparł Chandler. – Siedem lat temu w katakumbach. Na czyj grobowiec natrafiłeś, Aureliusz? To była Berenika.

Zobaczyłeś na ścianach informację, która prawie jednoznacznie wskazywała miejsce ukrycia menory. Ale ty o tym nie wiedziałeś.

– Fresk – powiedział głucho Jonathan.

– Otóż to – rzucił wyzywająco Chandler. – Fresk, który uległ zniszczeniu w twojej obecności.

– Byłem więc ostatnim człowiekiem, który ujrzał wewnątrz grobowca.

– *Brava* – rzekł Chandler. – Niezupełnie ostatnim, ale Gianpaolo nie na wiele nam się zda.

– Chandler, ty idioto, myślisz, że on pozwoli ci ujść z życiem? Ten człowiek z zimną krwią zabił Szarifa tylko po to, by nikt nie zagroził jego poszukiwaniom!

Jonathan uniósł dłoń do ciosu, lecz w tej samej chwili ktoś chwycił go z tyłu, krępując obie jego ręce.

– My, Trakowie, pokonamy was! – zawołał jeden z najroślej szych aktorów w trupie. Był to

element układu choreograficznego. Jonathan wyrywał się przez chwilę. Płytki policzkowe hełmu nie pozwalały mu zobaczyć, kto go trzyma. Chandler zbliżał się z wysuniętym do przodu mieczem. W panującym na arenie chaosie i tumanach kurzu zmagania Jonathana wyglądały jak wyreżyserowana scena walki.

– Czas przestać grać bohatera, Aureliuszu. Gdzie ona jest? Gdzie Józef ukrył menorę? Jest tu, w Koloseum? Dlatego wróciłeś?

Widzowie wiwatowali, lecz Jonathan tego nie słyszał. Coś się w nim załamało. Nie zastanawiając się, szarpnął głową do tyłu, trafiając pióropuszem w hełm trzymającego go aktora. Tamten zaklął i puścił Jonathana, on zaś oburącz zamachnął się mieczem i trafił Chandlera płazem prosto w żołądek. Ten aż zatoczył się pod ciosem. Jonathan uderzył ponownie i przeciwnik runął na piach. Widzowie ryknęli jeszcze głośniejszym, podziwiając realizm sceny.

– Gdzie ona jest?! – ryknął Jonathan, dźgając Chandlera w twarz trzonkiem miecza. – Gadaj, bo przysięgam...

– Co zrobisz? – wpadł mu w słowo Chandler, plując krwią. – Czy to jest groźba, staruszkule? Seneka trafnie to ujął: *Gladiator in arena consilium capit*. Na arenie nie szukaj porad adwokata, zgadza się? Liczy się tylko brutalna siła.

Chandler wstał, obrócił się na pięcie i runął całym ciężarem ciała na Jonathana. Naparł na pęknięty puklerz, a siła uderzenia sprawiła, że miecz wyleciał Jonathanowi z ręki i spadł trzy metry dalej. Chandler wykorzystał przewagę i ruszył do szarży, machając mieczem, by ostrze nabrało rozpędu. Wtedy Jonathan zrobił coś, czego żaden aktor z trupy już nigdy nie zapomniał. Nikt nie zdołałby również tego powtórzyć, bez względu na to, ile sobotnich popołudni poświęciłby na ćwiczenia na macie.

Zamiast się wycofać, skoczył w stronę nacierającego ostrza z gołymi rękoma. Przydepnął czubek ostrza, które frunęło rękojeścią do jego dłoni, i jednym płynnym ruchem uderzył płazem w rzepkę Chandlera. Kość przesunęła się z głośnym chrupnięciem. Chandler wrzasnął z bólu. Jonathan wykorzystał siłę rozpędu przeciwnika i cisnął go na balustradę. Ciało przechyliło się, a Chandler chwycił się prawą ręką poręczy i tylko to uchroniło go przed runięciem do labiryntu, którego dno znajdowało się dziesięć metrów niżej. Machnął jedną nogą, szukając oparcia na starożytnych ceglach areny.

Widownia zamilkła z przerażenia. Jonathan wstał powoli i niepewnie, trzymając ręce na posiniaczonych kolanach. A potem się wyprostował. Widownia w Koloseum ryknęła jak na komendę. Nawet aktorzy bili brawo.

– Kto robił ich choreografię?

– Powinniśmy zatrudnić tych dwóch.

Chandler wisiał jedną ręką na balustradzie i jęczał.

– Pomocy, nie mogę się utrzymać!

Jonathan stanął nad nim.

– Skąd Saladyn tyle o mnie wie? Opowiedziałeś mu o badaniach, które prowadziłem przed siedmioma laty?

– Nie, to on mi o nich powiedział. – Chandler jęknął boleśnie. – On cię zna... A teraz mi pomóż! Mam ogień w kolanie!

Wśród okrzyków tłumu Jonathan usłyszał wycie policyjnych syren. Odwrócił się w stronę wyjścia.

- Jak mam się stąd wydostać? Co powiedzieć policji?
- Przykro mi, Chandler. *Gladiator in arena consilium capit.*

## 91.

Jonathan zabrał swoje ubranie, wybiegł z areny i pod łukiem przebrał się w garnitur. Orvieti czekał, tak jak się umówili. Ruszyli razem korytarzem, przeciskając się między gośćmi i spoglądając na oznaczenia łuków. Obok przebiegali policjanci, toteż Jonathan, którego twarzy nie zasłaniała już maska, odwracał się do ściany. Musimy zejść do labiryntu pod areną.

– Oto brama – rzekł Jonathan, wskazując nad łukiem liczbę XVIII.

– Naturalnie – odparł cicho Orvieti. – Minęło tyle lat, a ja się nie domyśliłem. Teraz wydawało mu się jasne, że jeńcy jerozolimscy wykopali tunel służący do ucieczki pod liczbą osiemnaście. Hebrajskie słowo *chai*, oznaczające tę liczbę, ma całe mnóstwo mistycznych asocjacji nawiązujących do życia i przetrwania.

Wkroczyli do ciemnej apsydy i zaczęli schodzić stromymi schodami do podziemnego labiryntu. Jonathan trzymał archiwistę mocno za ramię. Schody prowadziły do spowitego szarością łuku, stanowiącego wejście do podziemi. Nad areną i poręczą odgradzającą arenę od połowicznie zrekonstruowanego podłoża unosiły się tumany kurzu. Ziemia w labiryncie po deszczu zamieniła się w błoto. Buty Orvietiego zapadały się przy każdym kroku.

Tunel musi być właśnie tu, pomyślał Jonathan. Stanęli pod osiemnastym łukiem. Jonathan oświetlił latarką łuk przypominający opuszczony szyb, gdyż był do połowy zabity starymi deskami.

– To musi być to – oznajmił, wskazując inskrypcję wydrapaną na kamieniu nad wejściem. – *Astra polumque pia cepisti mente, Rabin* – przeczytał na głos i przetłumaczył: – „I Rabirius wykorzystał niebo w architekturze”.

– Rabirius? – zdziwił się Orvieti.

– Jeden z architektów, którzy zaprojektowali Koloseum – odparł Jonathan, uśmiechając się z wysiłkiem. – To cytat z Marcjalisa, starożytnego satyryka żyjącego w czasach Józefa Flawiusza. Teraz wszystko idealnie do siebie pasuje. Marcjalis na pozór wychwala Rabiriusa, jednego z twórców Koloseum, a w gruncie rzeczy podaje jeńcom miejsce, w którym znajdowała się zapadnia.

– Jesteś pewien, że nie chodzi mu wyłącznie o to, by podkreślić urodę łuków?

– W czasie pewnego wesela Marcjalis wstał i wzniósł taki oto toast na cześć pana młodego: *Quid ergo in Ula petitur et placet? Tussit.* „Kocha ją nawet wówczas, gdy ona kaszle”.

Orvieti milczał, lecz najwyraźniej nie wychwycił ukrytej zniewagi.

– To klasyczny Marcjalis, *signore*. Zdanie wydaje się romantyczne, ale niesie mroczny podtekst. Autor oznajmia gościom, że narzeczony kocha pannę młodą nie z powodu jej urody, lecz dlatego, że ta cierpi na suchoty, która to choroba w starożytnym Rzymie często bywała fatalna w skutkach. Rychła śmierć panny młodej oznacza, że mąż odziedziczy część majątku ojca. Marcjalis potrafił zaskakiwać i demaskować, zawsze pisał o ciemnej stronie Rzymu. W tym przypadku mówi jeńcom, gdzie znajduje się droga ucieczki, i robi to w taki sposób, by tajna policja nie miała szansy odczytać informacji. Rabirius zbudował łuki tak, by promienie słońca pomogły jeńcom „wykorzystać niebo” do zlokalizowania zapadni.

Jonathan przykłąknął i wygrzebał odrobinę błota pod deską. Zdrapanie go rękami byłoby trudniejsze, gdyby ziemia była sucha i ubita.

– Przechodząc tędy, Józef Flawiusz musiał ominąć gwardię pretoriańską – wyjaśnił Jonathan.

– Wpadł do zapadni, a potem podążył tym tunelem.

Jonathan schylił się i nogą próbował odsunąć deskę od ściany, lecz zbyt duża ilość błota utrzymywała ją na miejscu. Wybrał jeszcze trochę i deska odpadła prawie sama.

Zajrzał w ciemny otwór.

– Idę z tobą – oznajmił Orvieti. – Jeśli są tam inskrypcje pozostawione przez jeńców jerozolimskich, nie będą zapisane po łacinie. Będziesz mnie potrzebował. Ona mnie potrzebuje – dodał po chwili.

– *Signore*, powietrze jest zbyt rzadkie, sam pan to powiedział.

– Tak orzekł mój lekarz – zaproponował żartobliwie archiwista. – A ja w razie czego mogę zawsze skorzystać z zapasu świeżego powietrza.

– Coś mi się zdaje, że nigdy nie musiał pan z niego korzystać – rzekł Jonathan, wchodząc do tunelu.

Być może tym korytarzem Józef dostał się z Koloseum do Łuku Tytusa, pomyślał.

Wejście było niskie; Jonathan szedł, prowadząc archiwistę. Po chwili korytarz osiągnął wysokość półtora metra. Orvieti ciężko oddychał przez nos. Miejscami powietrze było wilgotne i cuchnące, oddychanie sprawiało trudność nawet Jonathanowi. Podziwiał wytrzymałość starego archiwisty.

– Potrzebuje pan skorzystać z tlenu?

Orvieti pokręcił głową.

– Jeszcze nie. A ty?

Jonathan dotknął ręką kamieniarki, którą pokryto ściany korytarza, by zminimalizować wchłanianie wody. Tunel pełnił funkcję akweduktu.

Sklepienie było łukowate, a nie bardziej pospolite, kroksztynowe. Wskazywało to, że musiały tędy przepływać duże ilości rwącej wody. Korytarz nie prowadził do publicznych łaźni, gdyż ze starożytnego cementu nie wychodziły gliniane rury; nie służył także do transportu wody pitnej, ponieważ szyby pomocnicze znajdowały się zbyt daleko od siebie.

To bardzo dziwne, pomyślał Jonathan. Tunel opadał, w miarę jak oddalali się od Koloseum. Witruwiusz i Pliniusz podają, że akwedukty biegnęły zwykle pod kątem trzech stopni w dół ku centrum miasta, dzięki czemu powstawało większe ciśnienie i woda zbierała mniej zanieczyszczeń. Jednak ten tunel zbudowano tak, jakby chodziło o spowolnienie wody zmierzającej do Koloseum.

– Oczywiście – powiedział Jonathan. – Ten akwedukt służył do transportu wody z rzeki do Koloseum. Napełniano go nią przed bitwami morskimi.

– Bitwami morskimi?

– Kiedy Tytus otworzył Koloseum w siedemdziesiątym dziewiątym roku naszej ery, za pomocą przemyślnego systemu akweduktów zalano arenę, aby inscenizować bitwy morskie. Potężne kanały wodne już istniały, bo Neron zbudował ogromne jezioro w miejscu, w którym wzniesiono Koloseum.

Jonathan wskazał światelko błyszczące trzydzieści metrów dalej w głębi tunelu.

– *Signore*, jeśli to jest właz albo kratka uliczna, może powinniśmy...

Orvieti uniósł dłoń, domyślając się, co Jonathan zamierza powiedzieć.

– Wiesz, że nie mogę zawrócić.

Tunel prowadził do podziemnej uliczki. Trzy metry wyżej znajdował się asfalt współczesnych ulic Rzymu, wspartych na stalowych filarach, postawionych w dziewiętnastym wieku, kiedy to budowano nabrzeże Tybru. Sklepienie podziemia ciągnęło się niczym ciemne niebo nad wąwozami starożytnych ulic między Palatynem a Kapitołem. W porównaniu z ciasnymi zaułkami podziemnego żydowskiego getta to podziemie wydawało się ogromne. Można w nim było podziwiać zapierające dech w piersiach miejskie widoki oraz biegnące w ciemność ceglane mury.

Orvieti popatrzył na mały otwór we włazie, pod którym się znaleźli.

– „Ukaż mi promyk światła, a ja zbuduję z niego świątynię” – rzekł po cichu.

– Widzi pan inskrypcję?

– Nie, przypomniałem sobie tylko słowa, które wypowiedział Jan Paweł Drugi, odwiedzając Wielką Synagogę.

Jonathan schylił się pod dużym brązowym kamieniem węgielnym. Zdrapał odrobinę ziemi, odkrywając wyryte litery.

– *Vicus Jugaris*. To znaczy „Droga Jarzma” – wyjaśnił.

– Jarzma? – spytał Orvieti.

– Jarzmo służyło do prowadzenia bydła. Jednak starożytny autor Liwiusz podaje, że nazwa ulicy odnosiła się również do pochodów jeńców wojennych, którzy szli w kajdanach. – Jonathan odwrócił się do towarzysza. – Wie pan, co to oznacza? Ta ulica była trasą pochodów triumfalnych. Doprowadzi nas do Łuku Tytusa.

Z chodnika wystawały resztki kolumn i kamiennych stopni. Jonathan wyjaśnił, że przypuszczalnie stanowią pozostałość portyku z ery republiki. Siadywali w nim przy ulicy senatorowie, by obserwować pochody triumfalne.

Przez żelazną kratkę wpadał szmer fontanny, widać było topole oraz plac na powierzchni. Paliły się lampy i słychać było szmer bieżącej wody.

– Jesteśmy pod Piazza Bocea della Verità – oznajmił Jonathan.

Pomarańczowe światło wpadało przez kratkę deszczową na środku sklepienia, oświetlając ogromny nieużywany zbiornik. Kamienna ściana półkolistego akwenu miała dwanaście metrów.

– To jest tama – powiedział Jonathan. – Ściana musiała służyć jako ujęcie wody z rzeki, którą dostarczano do Koloseum.

Miliony litrów wody z Tybru kierowano na arenę, by móc tam organizować bitwy morskie.

Ściana tamy zbudowana była z ogromnych bloków trawertynu, dopasowanych do siebie bez użycia cementu. Takie metody budowlane stosowano w Jerozolimie Heroda, a nie w Rzymie.

Podziemna

architektura nagle stała się dla Jonathana bardziej zrozumiała.

– Jeńcy jerozolimscy musieli się trudzić miesiącami, by zbudować ten akwedukt.

Wzniesiona z ogromnych kamieni tama do złudzenia przypominała zachodnią ścianę Jerozolimy. Między nimi była jednak pewna różnica: tę ścianę wspierało siedem wygiętych łuków, które tworzyły schody, biegnące w górę i łączące się w półkolistą platformę. Wyglądała jak balkon odchodzący od środka muru. Były w nim niewielkie drzwi, a za nimi otwierała się ciemność. Środkowe schodki częściowo się zawaliły, co mogło świadczyć o tym, że ktoś wpadł z



nich z wielkim impetem do głębokiego zbiornika poniżej.

Orvieti podszedł do brzegu basenu i spojrzął na siedem łukowatych schodów.

– To próba – oznajmił.

– Co mianowicie?

– Kształt tych mostków – odparł Orvieti. – *Notaricon*, starożytnie zabezpieczenie, składające się zwykle z dwóch lub trzech ścieżek do wyboru. Tutaj budowniczowie postawili siedem łuków, którymi można wspiąć się na platformę, ale najprawdopodobniej tylko jeden jest solidny. Niewłaściwe są zapewne puste... – Orvieti nie dokończył zdania, tylko spojrzął w ciemną czelusć.

## 92.

Jonathan ześliznął się po stromym śliskim brzegu zbiornika.

– Tu jest zbyt stromo, proszę tam zostać! – krzyknął do Orvietiego. Podszedł do środka dna akwenu i popatrzył na siedem łuków. Kiedy z rozkazu cesarza Wespazjana zabudowano zbiornik, niewolnicy musieli wymykać się z budowy Koloseum i potajemnie wznosić tę misterną konstrukcję.

Jonathan usłyszał czyjeś kroki.

– Halo – powiedział, spoglądając w ciemność. Z cienia nadchodziła jakaś postać, a obok niej podążała druga, poruszająca się znacznie bardziej niezdarnie.

Na chwilę zapadła cisza, a później odezwał się czyjs głos. W podziemiach wydawało się, że dochodzi on z bardzo bliska.

– Nadzwyczajna robota, Jonathanie.

Jonathan ledwie widział mężczyznę stojącego przy stromym brzegu zbiornika. Znajdował się tuż obok naturalnego źródła światła, którym była kratka w nawierzchni ulicy. Twarzy nie było widać, lecz nieznajomy miał rozpiętą białą koszulę i czarne spodnie.

– Skąd wiesz, kim jestem? – spytał Jonathan.

– Dlatego... – odpowiedział mężczyzna, wypychając stojącą obok niego osobę pod światło. Była to Emili. Miała potargane włosy i oczy nabiegłe krwią. Jej usta zaklejono szarą taśmą, lecz Jonathan widział, że drżą. Miała zbyt ciasno związane ręce za plecami, a jej bluzka była zbrzydzana krwią. Nieznajomy mężczyzna przyciskał jej do skroni lufę pistoletu Beretta. – Mamy wspólnych znajomych.

Jonathan patrzył na Emili.

– Dobrze! – krzyknął, wyciągając przed siebie ręce. – Tylko odłóż broń – dodał uspokajającym głosem.

Zapadła cisza. Emili znikła z zasięgu jego wzroku, sylwetka mężczyzny również.

– Podałem ci wszystkie informacje, które miałem! – zawołał błagalnie Jonathan. – Szedłeś za mną tunelem od Koloseum. Nie jestem ci już potrzebny. Wypuść ją.

Z cienia dobiegło szydercze kłaśnięcie.

– Błyskotliwe zakończenie mowy obrończej – powiedział głos.

– Puść ją, proszę.

Panowała straszliwa cisza. Jonathan bał się, że nigdy jej nie zapomni, tak jak ofiary okropnych zdarzeń nigdy nie zapominają ciszy poprzedzającej wypadki, które zmieniły koleje ich życia.

Zdawało mu się, że dostrzega w ciemności zęby obnażone w uśmiechu.

– Trudno o bardziej nieprawdopodobną wędrówkę w stronę heroizmu. Znam cię tak długo i nigdy nie przyszło mi do głowy, że dożyję takiego dnia.

– O czym ty mówisz?

– To nadzwyczajne, że stoisz w tym miejscu, prawda? Przypisz to bogom przeznaczenia. A może zastanawiałeś się, dlaczego właśnie ciebie ściągnięto do Rzymu, abyś zajął się sprawą prowadzoną przez kancelarię Dullinga? – Mężczyzna mówił głośnie, jak gdyby napawał się dumą z tak precyzyjnie zaplanowanej akcji, za którą nie oddano mu pełnej sprawiedliwości. Okręzał płamę światła, w której stał Jonathan, ciągnąc za sobą Emili. Spod jego butów wznosił się pył. Twarz wciąż spowijała ciemność. – A może był to przypadek, że fresk, który zobaczyłeś w katakumbach siedem lat temu, przedstawiał drogę ucieczki Józefa z Koloseum?

Ton głosu Saladyna brzmiał dziwnie znajomo: płynne, jakby wypowiedane kursywą zdania. Jednak Jonathan nie umiał go z niczym powiązać.

– Skąd wiesz...

– Skąd wiem? Byłem tam. Ja ci to zrobiłem. To ja skazałem cię na wygnanie, a teraz ściągnąłem z powrotem.

– To niemożliwe – odparł cicho Jonathan. – Było nas tylko czworo. – A dwaj, Gianpaolo i Szarif, nie żyją, pomyślał.

– Szukałem tych katakumb od miesięcy i potrzebowałem jakiejś przykrywki do prowadzenia wykopalisk – oznajmił głos z ciemności.

– Sfingowałeś zawalenie się katakumb, aby zataić wykopaliska – dopowiedział Jonathan, czując narastające mdłości.

Tamten mówił rzeczowo i beznamiętnie.

– Wydarzenie to odmieniło całe twoje życie. Przez cały czas obwiniałeś siebie o śmierć Gianpaola. Dlatego odszedłeś z uczelni.

– Zabiłeś człowieka – powiedział Jonathan. – I po co?

– Po co? – Mężczyzna się roześmiał. – Jak twoim zdaniem to osiągnąłem? Ta noc zmieniła nie tylko twoje życie, ale i moje. Udowodniłem nawet najbardziej sceptycznie nastawionym imamom z Waqf, że mogę zbliżyć się bardziej niż ktokolwiek do odnalezienia menory, że mogę podjąć dzieło mojego dziadka sprzed sześćdziesięciu lat! Niech inni gędzą o religii i mitologii. Mój dziadek wiedział, że ten, kto ma władzę nad przeszłością, zdobywa władzę nad przyszłością. Wiedział, że historia jest zapisana w ogniu.

Jonathan zamarł. Słyszał już kiedyś te słowa. Przypomnił sobie czasy studiów w akademii. Siedział przed willą z Emili i Szarifem, trzymając w dłoniach plan katakumb pod Villa Torlonia. „Musimy to zrobić. Historia jest zapisana w ogniu. Gdy ogień zgaśnie, ona zniknie!”

– Co powiedziałaś? – spytał Jonathan.

W ciemności zapanowała cisza.

Mężczyzna stanął w kręgu światła. Był szczupły, miał szare oczy, kanciastą szczękę i nierówne zęby. Nie nosił już wypielęgnowanej bródki uczonego, a z kędzierzawych włosów została krótka szczecina. Ale wciąż był tym samym człowiekiem.

– Nie... – wyszeptał Jonathan. Saladyn stał przed nim w całej okazałości, a on pojął całą obrzydliwość spisku.

– Kto tworzy bohatera w starożytnych mitach, Jon? – spytał Szarif Lebag, przystawiając

pistolet do czoła Emili. – Złoczyńca.

### 93.

– Często się zastanawiałem, jak wyglądał Tytus w chwili, gdy dowiedział się, że to Józef go zdradził – rzekł Szarif.

Mówił z denerwującą nonszalancją, teatralnie unosząc wolną rękę. – Pocił się w swojej willi, opuścił otwarcie Koloseum, by rozmyślać o trasach ucieczki spod Wzgórza Świątynnego i zachodzić w głowę, jak święty przedmiot umknął mu sprzed nosa. W tych rozważaniach towarzyszył mu tylko najbardziej zaufany dworzanin. Ktoś, kto okazał się nieoceniony w czasie oblężenia Jerozolimy. Jego osobisty kronikarz Józef Flawiusz. Ten obraz w nieskończoność stawał mi przed oczyma. Ta chwila, gdy Tytus uświadamia sobie, że samotny historyk pokonał armię, której nie oparł się nikt na świecie. Zaufany dziejopis, który przez lata szykował zdradę, który z każdą opublikowaną księgą, pełną pochlebstw dla cesarza, zyskiwał u niego coraz większy posłuch.

Szarif wydawał się Jonathanowi znajomy, lecz inny. W jego oczach czaił się wyraz pustki i okrucieństwa. To był człowiek, który przeszedł przemianę.

– Teraz wreszcie wiem, jak wyglądała twarz Tytusa, gdy zdrada stanęła mu przed oczyma niczym słońce. W tej chwili ty tak wyglądasz – rzekł z satysfakcją Szarif.

– W Jerozolimie odegrałeś komedię – odparł Jonathan, czując się dziwnie mały. Spojrzał na Emili męczącą się w ciemności obok Szarifa. – Monitorowałeś badania Emili, ale nie polegałeś na informatorze z targowiska, prawda? Musiałeś ją zhańbić, tak jak zrobiłeś to ze mną.

– Puściłem ją żywą! Po tym, jak zobaczyła moje laboratorium w podziemiach Jerozolimy. Masz pojęcie, ilu ludzi chciało widzieć ją martwą?

– Od jak dawna prowadzisz to podwójne życie? Kiedy imamowie ze Wzgórza poddali cię praniu mózgu, żebyś podjął poszukiwania menory?

– Oni nic nie rozumieją z zadania, które na siebie wziąłem! Wiesz, dlaczego niszczą zabytki pod Wzgórzem? Bo wierzą, że żydowskie i chrześcijańskie skorupy mają w sobie moc. Wierzą w czary-mary. – Szarif przemawiał spokojnie, wykazując nadzwyczajną łatwość władania bronią. – Ja nie jestem taki naiwny. Ten zabytek musi zostać zniszczony po to, by wymazać historię Świątyni na Wzgórzach. Szefowie al-Quds zgodzili się sfinansować badania, jeśli moje pierwsze wykopalisko siedem lat temu nie zostanie wykryte.

– Wiedziałaś prędzej ode mnie, że moja praca o Józefie jest prawdziwa. Twój dziadek prowadził te badania dziesiątki lat. Właśnie dlatego namówiłeś nas, abyśmy zeszli do katakumb iw środku nocy...

Pamiętał, jak on, Emili i Gianpaolo schodzili po linie do katakumb. Kto ich do tego zachęcił, kto zaproponował, że woli obsługiwać blok we władze, zamiast zejść do ruin? Czwarty z doktorantów, Szarif Lebag. Wtedy wyglądało to na szczyt poświęcenia. Włożył mnóstwo energii w przygotowania, rysował podziemne korytarze, a później zasiadł przy władze niczym astronauta, który pozostaje w centrum kontroli lotów. Jednak Szarif nie mógł podjąć innej decyzji. Wiedział, że ruiny się zawałą, bo sam to wszystko zaaranżował.

– Nie masz szans na zwycięstwo, Szarifie – rzekł Jonathan. – Nie zdołasz zmanipulować historii.

– Naprawdę w to wierzysz, Marcus? Czy wy, prawnicy, nie orzecie tak samo jak ja? Poszukujecie dokumentów, które potwierdzają wersję waszego klienta. Odkopawszy zabytek, który pasuje do wersji przeciwnika, co robicie? Kruszyście go na kawałki. Albo zagrzebujecie w szafie z dokumentacją, w której już nigdy nie ujrzy światła dziennego. Przypomina to trochę niszczenie jednych artefaktów, a oszczędzanie innych. Myślisz, że powodują mną dziecinne wierzenia religijne? Jestem politycznym realistą, tak jak Tytus. To siła zapisuje karty historii, a nie prawda, Jon.

Szarif zmienił się tak bardzo, że spod powłoki przezierają zaledwie drobne kawałeczki dawnego człowieka. Znikła jego maniera niedopowiadania i oszczędna gestykulacja.

– Wypuścić ją? – rzucił drwiąco Saladyn. Brutalnie pociągnął Emili za włosy, mocniej przyciskając lufę do jej skroni. – Zdajesz sobie sprawę, ile mnie kosztowało, żeby was oboje tu sprowadzić? Musiałem się postarać o fragmenty *Forma Urbis*, żeby ona uruchomiła proces i żebyś ty wrócił do Rzymu. – Szarif zrobił krok i stanął w tym samym snopie światła, który padał na Jonathana. – Wiedziałem, że rozgryziesz przesłania Józefa. Potrzebowałem tego. – Saladyn patrzył na Jonathana, w jego spojrzeniu zażyłość dziwnie mieszała się z bezwzględnością. Podszedł jeszcze bliżej.

– Czy kształt tych łuków cię zaskakuje? – Promień światła odbił się od lufy pistoletu. – Na pewno nie. Siedem schodów w kształcie menory, łączących się w jedną platformę, i drzwi prowadzące do zaginionego Łuku Tytusa. Naturalnie, tylko jeden pomost jest wystarczająco mocny. Wystarczy, że wybierzesz właściwy. – Saladyn pociągnął Emili za włosy. W jej zaczerwienionych oczach lśniły łzy. Kręciła głową, patrząc błagalnie na Jonathana. – Który to pomost? – spytał, gestem wskazując schody prowadzące do ściany. – Liczę do trzech.

– Nie wiem – odparł cicho Jonathan. – N-nikt tego nie wie! – krzyknął, jękając się.

– A więc nie ma sensu liczyć? – Saladyn odsunął się od Emili, prostując rękę z pistoletem.

– Nie! – zawołał głos z ciemności. Saladyn zaświecił latarką w tamtym kierunku. Na dnie zbiornika stał Mose Orvieti, trzymając w chudych dłoniach zielony zbiornik z tlenem. Jego spodnie były poplamione krwią.

Orvieti zszedł po stopniach wykutych w ścianie basenu i zbliżył się do podstawy siedmiu schodów. Odwrócił się, spoglądając na Szarifa.

– Wiem, które to schody – rzekł z pogardą. Schylił się nad pierwszym stopniem środkowych i potarł go podeszwą buta. Ukazały się wyryte w kamieniu duże drukowane hebrajskie litery. – Każdy pomost przedstawia inną *sefirah*. Starożytni mistycy pisali o dziesięciu boskich atrybutach, które przyczyniły się do stworzenia świata. Ramiona menory symbolizują siedem z nich. – Orvieti podszedł do następnego pomostu i uklęknął na pierwszym stopniu, odsłaniając inskrypcję. – *Gevurah*.

– Co to znaczy?

– Siła.

Orvieti podchodził do każdego pomostu, oczyszczał pierwszy stopień i odczytywał miano każdej *sefirah*: *Tipheret*, majestat. *Chesed*, dobroć. *Malchut*, suwerenność. *Yesod*, pokora.

– Który to pomost? – spytał Jonathan. – Który atrybut Józef najmocniej kojarzył z menorą? Wspaniałość?

– Żaden z tych – odparł Orvieti. Zbliżył się do ostatniego pomostu, wznoszącego się przy

zachodniej ścianie zbiornika. Potarł pierwszy stopień i nie znalazł inskrypcji.

Spojrzał na Jonathana.

– Oto on. Siódma gałąź.

– Ale tam nie ma inskrypcji – zauważył Jonathan.

– Ostatnia *sefirah* to *netzach*, wieczność. Siódmym ramieniem było wieczne światło, *ne'er tamid* – powiedział Orvieti. – Niegasnący płomień, o którego ocalenie walczył Józef.

– Jest pan pewien? – zapytał cicho Jonathan.

– Wcale nie – odparł archiwista.

– Ruszaj! – ryknął Szarif, ruchem głowy wskazując schody. Odwrócił się do Jonathana. – A ty idź z nim.

– Te schody mają tysiące lat, nie utrzymają... – zaprotestował Orvieti.

– On idzie z tobą! – krzyknął Szarif. – Może lepiej się zastanowisz.

Jonathan podszedł i stanął obok Orvietiego. Spojrzeli na siedem pomostów.

Z dyndającym u szyi małym zbiornikiem na tlen Orvieti wstąpił na starożytne schody, wznoszące się niczym wygięta wieżyczka ze skalnego podłoża basenu. Jonathan podążył za nim, czując, że schody drżą pod ciężarem dwóch mężczyzn. Orvieti kroczył po stopniach dość bezceremonialnie; Jonathan zdziwił się, że idzie tak szybko. Nogi starca poruszały się żwawo, jakby napędzała je ta sama adrenalina, która pchała do przodu Jonathana. Dotarli do wierzchołka wznoszącego się nad ciemną przepaścią łuku. Szybki marsz pomógł im utrzymać równowagę na wąskich schodkach; Jonathan starał się nie patrzeć dół. Nagle kamienie zatrzęszczały pod ich stopami i Jonathan się zatrzymał.

– Wchodź dalej – powiedział Orvieti.

Dopiero z bliska potrafili ocenić prawdziwe rozmiary ściany. Szerokie na sześć metrów kamienie były ludzaco podobne do tych, które tworzyły mury Świątyni Jerozolimskiej. Jonathan i Orvieti stanęli na platformie i zobaczyli, że kilkanaście centymetrów od otworu korytarza znajduje się ściana.

– Tunel jest zamurowany! – krzyknął Jonathan do Saladyna.

Orvieti stał przed małym zamurowanym ceglami łukiem. Jeśli on lub Jonathan miał wątpliwości co do tego, kto stworzył budowlę, zostały one błyskawicznie rozwiane. Tuż przed zamurowanym otworem wejściowym znajdowała się wryta w kamieniu hebrajska inskrypcja.

בתוך הים ביבשה

– *Przez środek morza po suchej ziemi\** – przetłumaczył Orvieti i spojrzał na Jonathana. – To ustęp z Księgi Wyjścia. Kiedy wody Morza Czerwonego rozstały się, Izraelici przeszli po ziemi przez morze.

\* Wj 14, 22.

– Co znaczy ten napis?

Jak gdyby w odpowiedzi na to pytanie platforma zaczęła drżeć i powoli obniżyła się o trzydzieści centymetrów. Jonathan myślał, że ugina się pod ciężarem, lecz nagle skała przestała się poruszać. W grocie rozległ się głośny trzask i jeden z łukowatych pomostów pękł pod naporem obniżonej platformy. Ciężkie kamienie potoczyły się w przepaść. Cała konstrukcja utraciła stabilność, następne dwa pomosty pękły; kamienie ze środkowego nie poleciały w

rozpadlinę, lecz na dno basenu. Ogromne głazy runęły na skałę niecały metr od miejsca, w którym stała Emili.

– To nie pomosty stanowiły próbę – rzekł Orvieti. – Dopiero przed nią stoimy.

Jonathan zauważył, że duży kamień po lewej stronie od platformy się wybrzuszył. W szparach pojawiły się strużki wody i jak w zwolnionym tempie zaczęły opływać kształty kamieni. Woda płynęła z coraz większą siłą. Jonathan spojrzał wyżej, w miejsce, w którym pojawiły się kolejne wybrzuszenia. Trysnęły z nich mocniejsze strumienie wody.

– Ściana pęka! – krzyknął Jonathan. – Musimy...

– To jedyne bezpieczne miejsce – przerwał mu Orvieti.

Postradałeś zmysły, pomyślał Jonathan i spróbował ponownie.

– Stoimy przed samą ścianą, Mose! Rzeka! Cały zbiornik stanie się...

– Morzem Czerwonym – dokończył spokojnie archiwista.

– Co się dzieje?! – ryknął Jonathan, przekrzykując łoskot pękających kamieni.

– Musisz uwierzyć w rozstąpienie morza – oznajmił Orvieti.

Woda zaczęła sphywać do środka jaskini. Szarif puścił włosy Emili, ujął pistolet w obie dłonie i wymierzył w stronę platformy.

Zastrzeli ich obu.

Emili zaszła go od tyłu, zarzuciła mu ręce na głowę i zacisnęła krępującą je taśmę na jego gardle. Nie mogąc strzelić za siebie, Saladyn rzucił się do tyłu i oboje wpadli do wody. Emili wciąż trzymała ręce na szyi Szarifa, wpychając go pod wodę. Jednakże ogolona głowa była śliska i Arab zdołał uwolnić ją z uścisku Emili.

Emili nie mogła machać rękami. Z trudem utrzymywała usta nad powierzchnią.

Szarif stanął nad nią, wymierzył w jej głowę i zerwał taśmę z ust.

– Ostatnie słowo?

– Wiesz, Szarif, okazałeś się prawdziwym zdrajcą – powiedziała Emili, wyciągając szyję.

Arab przyłożył lufę do jej głowy i nacisnął spust. Młoteczek spadł na zapłon z głuchym odgłosem charakterystycznym dla zamoczonego w wodzie pistoletu.

Saladyn wydawał się tym rozbawiony.

– Odważnym faktycznie szczęście sprzyja.

W tej chwili nagłe uderzenie rzuciło Szarifa do wzbierającej wody. Jonathan, który zbiegł pędem po schodach, runął na niego z boku. Znaleźli się w zielonoszarym wodnym wirze tuż obok skalnej ściany zbiornika. Jonathan zobaczył, że ciało Szarifa unosi się twarzą do dołu, jakby było martwe. Woda zaczerwieniła się i Jonathan odwrócił Szarifa na plecy. W miejscu, w którym głowa Araba wpadła do wody, z podłoża sterczał duży ostry kamień. Przez krótką chwilę ulga mieszała się w nim z poczuciem winy. Kiedy jednak uniósł głowę i zobaczył Emili ze skrępowanymi rękami, ten widok przypomniawszy mu, do czego był zdolny Saladyn. Jakby pod wpływem jakiejś wewnętrznej siły wyciągnął głowę Szarifa nad powierzchnię i ponownie pozwolił jej uderzyć o skałę. W wodzie pojawiła się druga czerwona chmura.

– To za Gianpaola.

Jonathan wyprostował się i ruszył w kierunku Emili.

Emili klęczała w wodzie, która już sięgała jej do kolan. Czerwony prostokąt wokół jej ust znaczył miejsce, w którym przyklejona była taśma. Zamrugowała szybko powiekami i spojrzała na twarz Jonathana, jak gdyby dokonywała oględzin znaleziska archeologicznego.

– To ja – oznajmił Jonathan, starając się uśmiechnąć do niej krzepiąco. Chciał rozerwać folię, która unieruchamiała nogi Emili, lecz mu się to nie udało. – Masz darmową przejazdzkę – dodał, biorąc ją na ręce.

– Co z Orvietim?

Jonathan spojrział w drugą stronę; Orvieti wciąż stał dwadzieścia metrów nad poziomem zbiornika. Kamienna ściana wydawała się wysoka jak wieżowiec. Ogromne kamienie falowały. Niektóre były wyrzucane na zewnątrz, a z otworów tryskały prawdziwe rzeki wody.

– Twierdzi, że to próba! Mówił coś o Morzu Czerwonym! – Jonathan pokręcił głową. – Musimy się stąd wydostać. Nie ma czasu.

– Morze Czerwone? – Emili rozejrzała się po zalewanej wodą grocie. Samotna postać Orvietiego wciąż tkwiła na platformie. Przypomniała sobie wczorajszą rozmowę z archiwistą. Trzeba wierzyć w rozstąpienie się Morza Czerwonego. – Musimy się tam dostać! – zawołała, przekrzykując ryk wody.

– Co takiego?

– To najbezpieczniejsze miejsce w grocie! Uwierz mi! Orvieti ma rację!

Woda sięgała już Jonathanowi do ud. Wniósł Emili po jedynym pomoście, który się ostał, tym samym, po którym przed kilkoma minutami wspinał się razem z Orvietim. Gładkie kamienie zrobiły się śliskie od wody, która wytryskiwała z odległej o sześć metrów ściany. Jonathan z trudem utrzymywał równowagę.

Gdy zbliżyli się do ściany, pióropusze wody pojawiły się po obu stronach pomostu. Jonathan schylił się, obniżając środek ciężkości ciała. Wreszcie dotarli do platformy. Orvieti nadal stał i wpatrywał się w kamienny mur.

– Schody nie były próbą! – powtórzył. W jego oczach płonął ogień. Trzeba uwierzyć w rozstąpienie się Morza Czerwonego. – Podejdźcie bliżej do ściany!

– Bliżej?! – ryknął Jonathan. – Za chwilę cała rzeka...

Nagle ściana przed nimi się zatrzęsała. Już nie wypadały z niej pojedyncze kamienie; zdawało się, że cała ściana pęka. Przed nią stało troje ludzi. Równie dobrze można się ratować przed upadającym wieżowcem, stojąc u jego stóp.

Ważące setki ton bloki piaskowca wyrwały się ze ściany po obu stronach platformy. Dwie góry wodne, wysokie na piętnaście metrów, wlały się do zbiornika. Przez pękniętą tamę do wnętrza jaskini wpadły promienie słońca, oświetlając ryby i ogromne kłody, które przyniosła ze sobą woda. Jednakże platforma, na której stało troje ludzi, pozostała sucha. Zbudowano ją naprzeciwko jedyne go fragmentu ściany, który nie ucierpiał nawet w najmniejszym stopniu.

Mur w otworze zatrzęsł się gwałtownie, kamienie zaczęły spadać. Jednak za nimi nie ukazała się rzeka, tylko ciemny korytarz przypominający tunel w olbrzymiej fali.

– Morze Czerwone! – zawołała zdumiona Emili. Woda wciąż szalała po obu stronach platformy. – Korytarz prowadzi do Tybru! – Jonathan zaświecił w głąb przejścia. Pomogli Orvietiemu przekroczyć cegły i weszli do środka. Wysokie sklepienie tunelu pozwalało się wyprostować, a ściany były wymurowane z bardzo starej cegły z wapna i piasku.

Materiały z Międzynarodowego Centrum Konserwacji Zabytków w Rzymie zostały dostarczone do gabinetu Profety. Brandisi rozłożył je na małym stoliku konferencyjnym.

– Boże drogi... – wyszeptał nagle.

Profeta spojrział i zobaczył, że twarz porucznika zrobiła się biała. Profeta wskazał zdjęcie zespołu doktor Travii. Grupa stała w przyległej do Wzgórza Świątynnego dolinie Kidron i grzebała w ogromnych hałdach gruzu. Fotografia była nieupozowana i przedstawiała nieznaną z nazwiska członków zespołu przy zbieraniu odłamków ceramiki. Brandisi pochylił się nad zdjęciem.

– Ten bez brody.

– Co z nim?

– Właśnie jego widziałem w archiwach Wielkiej Synagogi – oznajmił Brandisi aż się zachwiał. Dotarło do niego, z jak wielką operacją ma do czynienia.

– Wielkie nieba, Alessandro. – Brandisi nie poruszył głową. Do tej pory nie był nawet pewien, czy komendant zna jego imię.

– Słucham, *comandante*?

– Zdaje się, że właśnie zidentyfikowaliśmy Saladyna.

\* \* \*

Porucznik Copia otworzyła drzwi gabinetu Profety i zobaczyła, że komendant i Brandisi zastygli nad jakimś zdjęciem w pozie absolutnego szczęścia. Wszystkie cztery aparaty telefoniczne na biurku Profety dzwoniły chóralnie i błyskały światłkami, lecz wydawało się, że ani jeden, ani drugi policjant tego nie zauważają.

– *Comandante* – odezwała się porucznik Copia. – Zdaje się, że w Koloseum doszło do czegoś w rodzaju powodzi...

Profeta powoli oderwał wzrok od zdjęcia.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – Komendant wyjrzał przez okno. – Deszcz przestał padać.

– Arena zapełnia się wodą. Tylko tyle nam powiedziano. Cała podziemna część ruin została zalana. W samym środku ceremonii otwarcia oenzetowskiej konferencji pod areną zaczęła się gromadzić woda.

– Musiałoby jej być tysiące litrów – zauważył Brandisi.

Porucznik Copia skinęła głową.

– Nabrzeże Tybru obok Piazza Bocea della Verità puściło, jak się zdaje. Inżynierowie miejscy mówią, że pękła główna rura wodociągowa, lecz nasi ludzie nie wykluczają świadomego działania.

– Niech wszystkie grupy ruszają na most Palatino – polecił Profeta. Wstał z krzesła i chwycił płaszcz. – I natychmiast wyślijcie do Interpolu zdjęcie Szarifa Lebaga.

Profeta odwrócił się do Copii.

– Są jakieś informacje z laboratorium w sprawie Villa Torlonia?

Porucznik Copia podała szefowi zalakowaną szarą kopertę.

– Tutaj są wstępne wydruki z grobowców. Zgodnie z pańską prośbą wyniki badań papierosów są opracowywane poza naszym laboratorium, więc potrwa to jeszcze godzinę.

– Papierosów? – zdziwił się Rufio.



- Znaleźliśmy ręcznie skręcane papierosy obok grobowca, w którym przeprowadzono nielegalne wykopaliska – odparł Profeta.
- Z przyjemnością pomogę przy tym raporcie, *comandante* – zaproponował Rufio.
- Nie wątpię w to, poruczniku – rzekł dowódca. Wyraz jego twarzy sprawił, że Rufio poczuł się nieswojo. – Ale to nie będzie konieczne.

## 95.

– Gdzie my jesteśmy? – spytał Jonathan. Jego głos odbił się echem od ścian ciasnego korytarza.

– To musi być Cloaca Maxima, ściek z epoki republikańskiej, prawdopodobnie zbudowany w trzecim wieku przed naszą erą – odparła Emili. – Przypuszczalnie nie pamiętano o nim już wówczas, gdy budowano Koloseum.

– Dzięki temu niewolnicy jerozolimscy mogli się nim dostać do niedostępnej części miasta – dodał Orvieti.

Wszyscy troje brodzili w ciemnej wodzie, która sięgała im już do pasa. Powietrze w tunelu było znacznie zimniejsze. Słychać było jedynie szum wody, terkotanie zbiornika z tlenem Orvietiego i szcęknięcie jego zębów.

– Jak on sobie radzi? – spytał Jonathan szeptem.

– Musimy się pospieszyć – odparła Emili.

– Nie możemy – orzekł Jonathan. – Poziom wody rośnie wraz z wieczornym przypływem. – Jonathan spojrzął na łukowate sklepienie. – Wkrótce nie będziemy w stanie oddychać.

– Wchodzimy coraz głębiej do Tybru – oznajmiła Emili. – Gdzieś przy tym korytarzu musi się znajdować ujście. – Woda sączyła się do tunelu przez kamienie, jej poziom stale się podnosił. Drobne kamienie uderzały głucho o zewnętrzną ścianę tunelu.

– Musimy być pod Tybrem – zauważyła Emili, wskazując krople wody, kondensujące się na ścianach. – Nurt naciska na sklepienie, woda wsącza się do środka. – Dotknęła kamieni. Mimo rozpaczliwego położenia nie mogła powstrzymać zachwyty. – Ten tunel ma dwa tysiące lat i wciąż trzyma.

– Tam! – krzyknął Jonathan, płynąc do białej plamy światła pod obrośniętą pakłami\* stalową kratką. Zdołał wysunąć przez żelazne pręty jedynie rękę, lecz poczuł powietrze na zewnątrz i rzeczną wodę rozpryskującą się o kamienie.

\* Rodzaj morskich skorupiaków; dorosłe osobniki spędzają całe życie przyrośnięte do jednego miejsca (skały, muszli, żółwi morskich itd.).

Jonathan rozerwał krępujące Emili foliowe taśmy, pocierając nimi o metalowe pręty.

Emili chwyciła się kratki i spróbowała wyrzeć na zewnątrz.

– Który to brzeg? – spytał Jonathan. – Rzym czy Trastevere?

– Żaden – odparła Emili. – Spójrz.

Jonathan przysunął się bliżej kratki i zobaczył spód zapadniętego starożytnego mostu, którego kształt rysował się na tle ciemnego nieba.

– Ponte Rotto – oznajmiła Emili. Były to malownicze porzucone ruiny pośrodku Tybru. Spoczywały na połąci zarośniętego rzeczno-mułu o powierzchni dziewięćdziesięciu dwóch metrów kwadratowych. Starożytny most nazywano Ponte Rotto, Pęknięty Most.

- Przyływ łatwo zalewa podstawę Ponte Rotto. Musimy się spieszyć.
- Jest tu jakiś zamek? – zapytała Emili.

Jonathan podciągnął się i spojrzał między obrośnięte chwastami pręty.

- Nie, ale widzę zapadkę. Mam ją prawie w zasięgu ręki.

Podciągnął się jeszcze raz, jego dłoń ślizgała się na wilgotnych porostach. Znalazł kawałek drewna i wsunął go między pręty, by wyważyć zapadkę.

- Ciężka, ale prawie ją mam. – Jonathan naciskał pątykiem zapadkę od dołu, aż ustąpiła. – Już.

- Orvieti niech idzie pierwszy – rzekł Jonathan do Emili. – Wychodzimy, *signore!*

Jednak Orvieti nie ruszył się z miejsca pod przeciwną ścianą tunelu. Świecił latarką w ciemność; jej blask padał na otwory korytarzy odchodzących od tego, w którym się znajdowali.

- Nie mogę odejść – oznajmił.

Czas był najwyższy. Woda wzbierała, ruiny mostu lada chwila znikną.

- Idź, Emili – powiedział Jonathan, gestem wskazując otwór kratki. – Ja nad nim popracuję.

- Jon, nie mogę...

- Idź. Woda przybiera z każdą sekundą. Musisz wejść na wierzchołek ruiny i ściągnąć pomoc.

Jonathan splótł ręce na wysokości powierzchni wody, a Emili wspięła się po nich przez kratkę.

- *Signore*, droga jest wolna. Chodźmy! – zachęcił Jonathan.

– Taka okazja się dla mnie nie powtórzy – odparł Orvieti. – Może dla nikogo. Wiem, którym korytarzem pójść. – Archiwista zaświecił w skrajny korytarz po lewej stronie. – Ten zawraca w kierunku brzegu. Mówiłeś, że z ostatniej wzmianki historycznej o Łuku Tytusa wynika, iż znajdował się on w miejscu, w którym żyli potomkowie jeńców jerozolimskich.

– Napisał to w ósmym wieku anonimowy mnich! – Woda szumiała coraz głośniejsze. – Może pan tu wrócić! – Jonathan wiedział, że nawet jeśli dotrze do mostu Rotto, trudno będzie dać sygnał komuś znajdującemu się na wysokim jak wieża moście Palatino. Za parę minut mała wysepka stanie się niebezpiecznym schronieniem.

– To moja jedyna szansa. Kuria przeprowadzi śledztwo i odmówi tu wstępu nawet władzom miejskim. Papiescy inżynierowie będą miesiącami badać, dlaczego runęło nabrzeże rzeki w podziemiach miasta.

- Korytarz jest prawie zalany – powiedziała Emili. – Nie uda się...

- Nie przeżyje pan, *signore* – dodał Jonathan.

– To jedyny sposób, bym przeżył – odparł Orvieti. Wyciągnął z kieszeni marynarki podarty i przemoczony dziewiętnastowieczny rysunek. – Oto wszystko, co mam. Idźcie już.

Orvieti odwrócił się i ruszył w głąb ciemnego tunelu.

## 96.

Mose Orvieti brodził we wzbierającej wodzie. Jego stopy często traciły kontakt z podłożem. Zielony zbiornik tlenowy bujał się u jego boku, latarka to zanurzała się, to wynurzała z wody. Orvieti nie wiedział, jak daleko zaniósł go prąd, lecz gdy poziom wody opadł, archiwista zauważył, że sklepienie także się obniżyło. Nie mógł dalej iść w pozycji wyprostowanej.

Sklepienie było zbudowane z różnych materiałów i całkowicie suche. Orvieti nie znajdował się już pod Tybrem. Wędrując tunelem, odpychał się od ścian, by nie stracić równowagi.

Szum wody się wzmógł; Orvieti pomyślał, że zbliża się do wylotu tunelu. Świadczył o tym także smród, który nagle wypełnił kanał. Był niemal tak samo dotkliwy jak odór śmierci, który archiwista poznał aż za dobrze przed ponad półwieczem. Przez chwilę miał przemożne wrażenie, że tunel przecina świeże groby.

W snopie światła latarki zobaczył, że woda spływa w ciemność po stromym zboczu. Obok nurtu znajdował się szereg skalnych występów, na których można było postawić nogę.

Orvieti wcisnął się do środka, z trudem wciągając do ust cuchnące powietrze. Tyber przepływał zatopionymi uliczkami Rzymu, na których gniły fekalia i glony. Zaczął schodzić po skale, trzymając w ręku latarkę. Zbiornik z tlenem kołysał się na jego szyi. Zdumiony swoją sprawnością, ostrożnie stawiał krok po kroku, posuwając się w dół. Jednak jego nogi trzęsły się pod ciężarem ciała. Zbocze zrobiło się bardziej strome. Archiwista odwrócił się twarzą do ściany, szukając stopami następnej szczeliny. Piekły go łydki i zginał plecy, utrzymując równowagę i jednocześnie ześlizgując się po porostach.

Wysunął nogę, szukając następnego punktu podparcia, i trafił w próżnię. Zaświeciwszy latarką, zobaczył, że zbocze kończy się urwiskiem. Sześć metrów niżej widać było szary osad.

Ale dlaczego podłoże się rusza?

Zdawało się, że jest żywe i wije się rytmicznie.

Orvieti spojrzał uważnie. Ciemną wodę wypełniały skórzaste szare wstęgi, wyginające się na kształt przypominający garby mitycznej bestii wodnej.

– Węgorze – rzekł głośno. Były ich tysiące. Orvieti wiedział, że są najbardziej wytrzymałymi mieszkańcami Tybru, że żywią się naturalnymi minerałami i glonami. Pamiętał z dzieciństwa, że ostatni rzymscy rybacy utrzymywali się dzięki węgorzom, gdyż zanieczyszczenie wody nasiliło się tak bardzo, iż mogły w niej przeżyć tylko węgorze. Wiedział, że pienia się pod Rzymem, lecz nigdy nie wyobrażał sobie groty pełnej tych ogromnych i wiekowych stworzeń. Węgorze pierwotnie żyjące w Tybrze nie stanowiły zagrożenia; miały tylko bardzo wyczulony zmysł węchu. Pożerały każde gotowane mięso; w czasach dzieciństwa Orvieti widział, jak poławiacze węgorzy wędzili przynętę przed wypłynięciem na rzekę.

Lewa noga Orvietiego ześliznęła się ze skały. Chwycił się rękami występu, ale zbiornik z tlenem spadł i wylądował w szarym mule. Cały ciężar ciała archiwisty spoczywał na rękach, nogi przywarły do skalnej ściany. Ręce nie wytrzymały i Orvieti poleciał w dół, spadając na grubą poduchę, która poruszała się pod nim i nad nim ze wszystkich stron, a nawet pod koszulą. Orvieti kołysał się na dywanie węgorzy niczym na falującym morzu. Podniósł się z trudem, wyciągając z koszuli dwa małe węgorze. Z wielkim wysiłkiem kierował się ku zbiornikowi tlenu. Przy każdym ruchu nogami ocierał się o dziesiątki ryb. W blasku latarki białe podbrzusza węgorzy poruszały się niczym olbrzymie żywe macki. Upadająca skała przygniotła ich setki. Leżały teraz jedne na drugich i przesuwały się po Orvietim. Archiwista cudem dojrzał metaliczny połysk pojemnika. Chwycił ustnik, przekręcił kilka razy i zaczerpnął kilka długich haustów czystego zimnego powietrza.

Parł dalej. Wiedział, że nikt inny nie zdołałby tego dokonać. Małe węgorze wsuwały mu się pod nogawki i na uda. On jednak się nie zatrzymywał. Przeżył gorsze rzeczy. Poświecił latarką

we wszystkie strony. Powietrze podziemnej ulicy Rzymu było tak rozgrzane, że paliło skórę.

Archiwista rozpoznał ogromne marmurowe kolumny pnące się w ciemności. Portico di Ottavia. Przypomnił sobie opis pochodu, który wyszedł spod pióra Józefa. *Wespazjan i Tytus zdążyli pasażami Ottaviana*. Podstawę Portico di Ottavia stanowiła najniżej położona warstwa archeologiczna żydowskiego getta. Jako dziecko Orvieti bawił się wśród kolumn Octavii, wystających z brukowanej ulicy osiemnaście metrów nad poziomem, na którym obecnie się znajdował. Wówczas mógł sobie tylko wyobrazić potężne filary sięgające do środka ziemi. Teraz patrzył na masywne doryckie podstawy, śliskie od żółtych żabich odchodów. Skakał z jednej bazy kolumny na drugą, niczym z kamienia na kamień, żeby nie brodzić wśród węgorzy. Mógł tylko mieć nadzieję, że jego wątłe nogi nie zawiodą przy kolejnym skoku. Kraniec długiej ciemnej jaskini nikł w oddali. Twardniejące przez setki lat glony i muł utworzyły ogromne stalagmity.

Zatrzymał się na moment i zaczerpnął powietrza, które go otaczało, lecz natychmiast zaniósł się kaszlem. Upuścił latarkę, a ta odpłynęła na grzbietach wijących się węgorzy. Jej blask to pojawiał się, to znów znikał. Żeby ją odzyskać, należało wsunąć rękę między ryby.

Mose Orvieti przypomniał sobie o wieczornym przypływie. Nie miał wiele czasu. Przy wysokim płycie Tyber regularnie zalewał najniższą część cesarskiego Rzymu, woda sięgała aż do ulic renesansowego żydowskiego getta.

Dotarł do wyżej położonego miejsca, które jeszcze nie było zalane. Wyciągnął kilka drobniejszych węgorzy spod koszuli, a następnie sięgnął za pas, by usunąć dużą rybę, która doczołgała się niemal do jego brzucha. Spadła na ziemię, wijąc się bezradnie. Orvieti pomógł jej dostać się do wody.

Przesuwał się pomiędzy starożytnymi budynkami z cegły. Blask latarki padał na wąskie uliczki i płyty o różowych oczach, wymykające się klasyfikacji. Skręcił za rogiem. Na końcu ślepego zaułka stał łuk. Wydawało się, jakby został osadzony w skale. Pochłaniała go ziemia, sypiąca się gdzieś z tyłu.

– Mój Boże, to Łuk Tytusa – rzekł Orvieti, podchodząc bliżej.

Zbliżał się powoli, niemal z namaszczeniem. Monument tkwiący do połowy w kamiennym nabrzeżu przypominał starożytny jaskiniowy grobowiec wydrążony w zboczu wzgórza. Długie ceglane ściany starożytnych magazynów, rozmieszczonych niegdyś wzdłuż brzegu Tybru, ciągnęły się po obu stronach zapomnianego łuku. Orvieti wiedział, że monument został porzucony zaledwie dziesięć lat po zbudowaniu. Właśnie dlatego niewolnicy jerozolimscy mogli skorzystać z okazji.

Orvieti zbliżył się do łuku, jak to tylko było możliwe, i stanął w wodzie między pilastrami.

Trawertyn na wewnętrznych ścianach filarów został wypolerowany piaskiem w starożytności. Twórcy graffiti nie próbowali ukryć, skąd pochodzą. Żydowskie niewolnicy wryli w kamieniu jońskich pilastrów wizerunki świętych przedmiotów: rogów barana, liści palmowych oraz małych siedmioramiennych symboli. Orvieti stanął przed łukiem i skierowawszy latarkę do góry, ujrzał nad centralnym architrawem najważniejszą inskrypcję. Bez trudu odczytał wers hebrajskiego tekstu. Przetłumaczył go na głos, jak gdyby to mogło mu pomóc uwierzyć:

– „Jest drzewo życia dla tych, którzy wyciągają po nie ręce”.

Prąd przyspieszył; Orvieti chwycił się narożnika łuku, by utrzymać się na nogach. Przebierał nogami dobry metr nad podłożem, zaciskając palce na złobieniach kolumny.

Musi być jakieś wejście, myślał. Drzwi.

Pokancerowaną zaciśniętą pięścią rąbnął w powierzchnię kolumny, nasłuchując odgłosu.

– Proszę – wyszeptał, szukając wzrokiem złączeń. – Otwórz bramę. – Jednak woda nieubłaganie się podnosiła. Łzy, które spływały do ust zaciśniętych na ustniku, miały słony smak. – Tyle mi już odebrałeś. Błagam.

To były pierwsze słowa modlitwy, jakie wypowiedział od sześćdziesięciu lat. Modlił się, przywarłszy całym ciałem do drewnianych drzwi w getcie. Rozkrzyżował ręce w progu, a gestapowcy walili w nie kolbami. Dzieci kuliły się w kącie, a żona Orvietiego gładziła uspokajająco ich włosy. Orvieti trzymał mocnymi dłońmi klamkę na wypadek, gdyby gospodarz domu dał napastnikom klucze. Nagle pocisk rozdarł drewno i prawą dłoń archiwisty. Palce spadły na podłogę. To był ostatni widok, jaki Orvieti zapamiętał. Jego palce na podłodze u jego stóp.

Woda podnosiła się, latarka i zbiornik z tlenem kołysały się na powierzchni. Dłonie archiwisty przesuwają się po krzywiznach kolumn. Wyczuł pod palcami zagłębienie na wewnętrznej ścianie łuku.

– Jest drzewo życia dla tych, którzy wyciągają po nie ręce – powtórzył niczym mantrę.

Woda wyniosła Orvietiego pod wygięte sklepienie łuku, prąd przycisnął go do płaskorzeźbionego listowia na powierzchni architrawy.

– Drzewo życia – powtórzył i zamilkł.

Nagle wszystko wydało się absurdalną, dziecinną bajką. Jeńcy jerozolimscy byli pokonani, niczym się od ciebie nie różnili. Poddawszy się losowi, Orvieti opuścił ręce. Jego głowa zanurzyła się pod wodę.

Wtedy zrozumiał: dla tych, którzy wyciągają po nie ręce. Wyskoczył z wody, jego dłonie jęły przesuwac się gorączkowo po reliefach.

Namacał rzeźbiony marmurowy konar, uchwycił się go i odepchnął nogami od wygięcia łuku, sięgając po resztki energii ukryte w zwiotczonych mięśniach. Odepchnął się mocniej. Drzał, wysilając zmęczone ciało, które zniosło tak wiele. Właśnie wtedy, tuż przed chwilą, w której miał wydać tchnienie ostatecznej rezygnacji, usłyszał ten dźwięk.

Nagły zgrzyt kamienia ocierającego się o kamień. Fragment kasetonowego sklepienia łuku zaczął się przesuwać. Duży kamienny blok spadł do wody obok Orvietiego i znikł, a w powierzchni łuku ział czarny otwór.

Orvieti znieruchomiał na chwilę, przytłoczony szczęściem i wyczerpaniem. Woda sięgała już prawie do otworu. Archiwista wspiał się do suchej attyki.

Padł na kamienną posadzkę czarnej jak smoła attyki, wciągając głębokie hausty powietrza ze zbiornika. Attyka miała co najmniej sześć metrów wysokości, jej boczne ściany pozostawały niewidoczne. Zacerpnąwszy tchu, Orvieti poświecił latarką. Zakurzona posadzka była zupełnie sucha. Woda nie dostała się przez otwór, przez który się wczołgał, mimo że jej poziom wciąż się podnosił.

Orvieti uświadomił sobie geniusz twórcy tego wnętrza. Budowniczo wie z Jerozolimy potajemnie wydrążyli attykę łuku zgodnie ze starożytną zasadą architektoniczną, mówiącą, że woda nie wyprze powietrza z zamkniętego zbiornika. Attyka została wydrążona w jednym kamieniu tak, by pozostała sucha przez tysiące lat.

Zbiornik Orvietiego czknał, sygnalizując, że w środku pozostała resztk a tlenu. Archiwista

wstał i zaczął przemierzać kamienne wnętrze. Wzdłuż ścian stało dwadzieścia ozdobnych filarów, a w sklepieniu tkwiło dziesięć poczerńiałych miedzianych taśm. Orvieti wiedział, że służyły do wieszania haftowanych kotar. W jednej chwili rozpoznał układ pomieszczenia.

Dziedziniec Świątyni Jerozolimskiej.

Podszedł do wewnętrznej zachodniej ściany łuku, minął kolumny i zobaczył wykute prostokątne wejście. Po drzwiach został stos drewnianej papki. Nad wejściem widniały dwa wersy tekstu, jeden po łacinie, a drugi po grecku.

„Żaden cudzoziemiec niech tędy nie przejdzie”.

Orvieti cofnął się, zdziwiony. Inskrypcja z zewnętrznego dziedzińca Świątyni, opisana przez Józefa Flawiusza.

Nagle attykę zalał blask ostrego światła, ukazując jego ogromną wysokość. Zza pleców Orvietiego dobiegł czyjś głos.

Archiwista się odwrócił. Stał za nim mężczyzna ubrany w kombinezon do nurkowania, zbiornik tlenowy i maskę.

Nieznamy patrzył szeroko otwartymi oczyma na wewnętrzne ściany łuku. W dłoni trzymał ogromną latarkę.

– Bingo – powiedział Chandler Manning.

## 97.

Jonathan wyciągnął się przez otwór kratki i zamknął ją, a potem ruszył w stronę mostu Rotto. Woda zalała już większą część trawiastej wysepki; Jonathan chwycił marmurowy narożnik starożytnego mostu, aby nie zsunąć się do rzeki. Wysepka była niewiele większa od jedyne go filara mostu, który pozostał na środku Tybru.

– Emili! – krzyknął na cały głos.

Mocny prąd, który dawno podmył pozostałe filary, napierał na brzeg rzeki. Jonathan wdrapał się na popękaną konstrukcję z trawertynu, opierając stopy na kępkach chwastów i korzeniach.

Zbliżając się do wierzchołka mostu, usłyszał charczący kaszel. Wdrapawszy się do końca, zobaczył klęczącą Emili, która wypluwała wodę. Złapała się korzeni oplatających kamień, jak gdyby bała się, że kaszląc, wpadnie do wody. Jonathan dźwignął się i pobiegł do niej, zginając się pod naporem ostrego wiatru.

– Wszystko w porządku? – zapytał, klęcząc obok Emili i odgarniając włosy z jej twarzy.

Emili skinęła głową i powoli zamknęła oczy.

Zaledwie dwanaście metrów spienionej wody dzieliło most Rotto od dwupasmowej autostrady na nowoczesnym moście Palatino. Samochody z głośnym szumem przemykały w jedną i w drugą stronę.

Na moście wiał bardzo silny wiatr; Jonathan nie słyszał nawet swojego krzyku.

– Halo! – zawołał, próbując zwrócić na siebie uwagę jakiegoś pieszego. Spojrzał w dół na wzbierającą wodę i jego oczom ukazało się coś, co zmroziło go bardziej od zimna.

Ktoś otworzył kratkę ściekową tunelu.

Jonathan odwrócił się i zobaczył Szarifa. Ten złapał Emili za rękę i trzymał ją nad krawędzią filara mostu. Zakrwawioną twarz zwrócił w stronę Jonathana.

– Trzeba zaplanować, jak dostać się na dwór cesarza, a później jak z niego umknąć, tak jak

Józef – powiedział Saladyn.

## 98.

Porucznik Rufio dowodził policjantami, którzy mieli pomagać w ewakuacji dygnitarzy uczestniczących w ceremonii otwarcia oenzetowskiej konferencji w Koloseum. Woda sięgnęła poziomu turystycznego i rozlała się na *sampietrino* Piazza del Colosseo. Kilkanaście ciężarówek oczyszczalni ścieków stało przy Via del Colosseo. Wysiadający z nich pracownicy wchodzili do włączów i szukali źródła wycieku. Jednak Rufio myślał o czymś innym: wśród tłumu ludzi wychodzących z Koloseum poszukiwał wzrokiem swojego łącznika.

Za kogo uważa się dyrektorka, że od pół godziny nie odpowiada na moje telefony?

Rufio nie zamierzał pozwolić, by jakaś arystokratka zapomniała o jego ostatniej wypłacie od Saladyna. Co gorsza, przed chwilą odebrał telefon z komendy z poleceniem natychmiastowego odmeldowania się. Na takie wezwanie należało odpowiedzieć niezwłocznie, podając miejsce swojego pobytu. Rufio wiedział, że wezwania tego rodzaju zdarzały się nieczęsto i zawsze źle wróżyły. Czyżby ten amerykański prawnik nawiązał kontakt z komendą? Rufio przeżył już wewnętrzne śledztwa i wiedział, że współpraca od samego początku ma kluczowe znaczenie. Już miał dzwonić z komórki na komendę, gdy obudziła się jego krótkofalówka. To było jak spełnienie modlitw.

– Trzy niezidentyfikowane osoby na moście Rotto – oznajmił młody oficer głosem pełnym zdenerwowania. – Dwaj mężczyźni i kobieta w pobliżu wyrwy w brzegu. Kobieta może być ranna.

To oni, pomyślał Rufio. Zatrzasnął komórkę i ruszył biegiem wzdłuż rzeki w stronę mostu Palatino. Dotarłszy do mostu, uniósł wysoko odznakę i krzyknął na zgromadzonych na skraju jezdni ludzi, żeby się usunęli. Trzech młodych policjantów zabezpieczyło most; Rufio był ze wszystkich najstarszy stopniem. Jeden z funkcjonariuszy chętnie oddał Rufiowi megafon, uradowany, że może zrzucić z siebie odpowiedzialność za pilnowanie gapiów. Ten jednak odszedł od zgromadzonych i zatrzymał się na środku mostu Palatino, zaledwie piętnaście metrów od mostu Rotto. Widział wyraźnie amerykańskiego adwokata, który maszerował po ruinach otoczonych ze wszystkich stron szalejącą wodą. Rufio zamierzał wygłosić ostrzeżenie przez megafon, gdyż tego wymagała procedura przed oddaniem strzału. Kilka sekund później mógł otworzyć ogień. Powiedziałby, że pomylił gałąź z bronią. Warto było narazić się na naganę, by pozbyć się większego kłopotu.

Oparł łokieć na poręczy mostu, szykując się do strzału. Uspokoił oddech, lecz mężczyzna stanowił niewygodny cel, gdyż chodził to w jedną, to w drugą stronę. Aby oddać celny strzał z pistoletu, Rufio musiał poczekać, aż tamten się zatrzyma. Będzie miał tylko jedną szansę.

## 99.

– Ściągnąłeś mnie do Rzymu nie tylko z powodu menory, prawda?! – krzyknął Jonathan do Saladyna. Podszedł bliżej, krocząc po dzikich paprociach, które porastały most. – Zwabiłeś nas po to, by zniszczyć ostatnie resztki człowieka, którym kiedyś byłeś! Chcesz wyzbyć się swojej przeszłości!

– Sądysz, że znasz moją przeszłość? – odpowiedział pytaniem Szarif. Mówił niepokojąco rzeczowym tonem. – Jako jedyny uczony zasugerowałeś, że Józef Flawiusz był nie tylko lojalnym kronikarzem Tytusa, lecz również tajnym agentem. Czyż to nie piękne, że ten sam schemat pasował do doktoranta, który siedział obok ciebie? Wychowanego do spełnienia misji, która nie mieściła się w twoich najbardziej szalonych snach?

– Jesteś obłąkany – oznajmił Jonathan.

– Czyżby? – Szarif dotknął palcami krwawiącego czoła i widząc krew, wytarł je o koszulę. – Mój dziadek wierzył, że menora płonie po dwóch tysiącach lat. Ja w swoich poszukiwaniach nie miałem aż tak wielkich nadziei. Nie spodziewam się po menorze mistycznych objawień. Jej zniszczenie da mi władzę.

– Znajdą cię, Szarifie.

– Nikt ci nie uwierzy, Jon. Będziesz rzucał oskarżenia pod adresem Szarifa Lebaga, zabitego urzędnika ONZ? Myślisz, że przypadkowo wybrałem ją, by zidentyfikowała fragmenty *Forma Urbis*? Nie podchodź bliżej! Najpierw musisz mi powiedzieć, którym korytarzem poszedł stary.

– Nie widziałem – odparł Jonathan.

– Którym korytarzem poszedł?! – ryknął Szarif, mocniej wypychając Emili za krawędź mostu. Trzymał ją za koszulę jedną ręką. Jonathan widział, że ręka drży. Nie był pewien, czy Szarif zdoła ją utrzymać.

– Powiedziałem ci, że nie wiem!

– Jak chcesz – rzekł Szarif i puścił zakładniczkę.

– Nie! – krzyknął Jonathan, widząc spadającą Emili. Podbiegł do brzegu starożytnego mostu, lecz Szarif chwycił kawałek deski, zamachnął się i trafił go w brzuch. Jonathan poczuł rozdzierający ból, stracił równowagę i runął w dzikie paprocie.

– Jonathan! – zawołała Emili. Trzymała się korzeni sterczących z ziemi obok filara mostu. Szarif znów się zamachnął, lecz tym razem Jonathan zrobił unik i uderzył go kolanem w kość biodrową. Arab przewrócił się na plecy, a jego głowa znalazła się za krawędzią filara. Jonathan chwycił go za gardło, lecz w tym momencie oślepił go blask reflektorów. Szarif wyrzucił głowę do przodu i trafił Jonathana w nos, omal nie pozbawiając go przytomności. Ten puścił koszulę Szarifa i poczuł dziwną gorącą wilgoć na górnej wardze. Jak przez mgłę zobaczył, że Saladyn klęczy nad nim, trzymając w dłoni kamień wielkości piłki.

– Pod tym prawniczym garniturem nie zostało wystarczająco wiele siły starożytnych – oznajmił z uśmiechem Szarif.

Jonathan powoli zgiął kolano i sięgnął ręką po scyzoryk z plastikową rączką, który wciąż był przywiązany do jego uda. Kiedy Szarif uniósł kamień, Jonathan z całej siły wbił nóż w jego dłoń, przecinając ścięgna między kciukiem i palcem wskazującym. Połyskujące różowe ostrze wyszło po drugiej stronie ręki. Ból był tak intensywny i nagły, że Szarif znieruchomiał i zachłysnął się powietrzem. Jego lewa ręka opadła, jakby pozbawiona życia, a kamień poleciał na ziemię tuż obok głowy Jonathana, który szarpnął nożem do góry, rozrywając mięsień i tnąc po kości. Szarif zawył z bólu, a Jonathan przyciągnął go do siebie za włosy.

– Może jednak zostało – szepnął mu do ucha.

Wyrwawszy ostrze z ręki Szarifa, przyłożył je do jego szyi. Poderwał go tak, że Szarif klęczał, trzęsąc się z bólu. Jonathan czuł zapach wody z Tybru w jego włosach i woń tureckich papierosów.



Nagle od strony mostu Palatino dobiegł głos z megafonu.

- *Riponga l'arma!* – krzyknął ktoś po włosku. Opuść broń. To była policja.
- On tu jest! – zawołał Jonathan, wskazując Szarifa.
- *Giù a terra!* – rozkazał policjant, unosząc broń. Na ziemię!
- *È qui!* On tu jest!
- Ty, nie on! – krzyknął głos.

Jonathan zmrużył oczy i rozpoznał policjanta z megafonem. Był to porucznik Rufio.

Policjant odłożył megafon i ujął w obie ręce pistolet. Jonathan puścił Szarifa i uklęknął obok niego na ziemi. Podniósł ręce. Widział, jak Rufio unosi pistolet i mruży oko, mierząc do niego.

Huk wystrzału odbił się echem o kamienne nabrzeża Tybru. Rufio mógł bez trudu go trafić, lecz Jonathan nie został ranny. Zobaczył, że Rufio łapie się za rękę. Z drugiej strony mostu Palatino biegł do niego *comandante* Profeta. Kiedy komendant znalazł się bliżej, a dwaj policjanci przygwoździli Rufia do chodnika, Jonathan uświadomił sobie, że Profeta postrzelił swojego podwładnego w ramię.

Komendant wziął megafon zostawiony przez Rufia.

- Szarifie Lebag, jesteś aresztowany! Nie ruszaj się!

Jonathan usłyszał silnik motorówki. Spojrzawszy w dół, zobaczył policyjną łódź zmagającą się z prądem i usiłującą przybić do ruiny mostu. Policjanci przekrzykiwali się po włosku. Szarif siedział półprzytomny obok Jonathana, przyciskając zakrwawioną rękę do koszuli. Kciuk był prawie odcięty i zwisał na samej skórze.

– Twoje dni w roli Saladyna się skończyły, Szarifie – rzekł Jonathan, klękając obok niego. – To już przeszłość.

– Co mówiliśmy w akademii? – wycharczał Szarif, uśmiechając się szyderczo. Jonathan zauważył, że przesuwa się w stronę krawędzi mostu. – Przeszłość jest nieprzewidywalna.

Jak pchnięty porywem wiatru Szarif stoczył się z kamiennego filara. Jego ciało obróciło się wokół osi, a potem wpadło z pluskiem do rwącej spienionej wody dziesięć metrów niżej.

## 100.

- Kim jesteś? – spytał Orvieti.

Chandler zrobił krok w stronę środka komnaty, oświetlając ściany latarką.

– Dziesięć metrów długości, jak sądzę – ocenił z uśmiechem Chandler. – Dokładna replika sanktuarium Świątyni.

- Jeśli chcesz ją zniszczyć...

– Stopienia ponad setki kilogramów czystego złota nie nazwałbym zniszczeniem – powiedział Chandler. Skierował latarkę na drzwi w przeciwległej części attyki.

– Młodzieńcze, ten przedmiot ma większą moc, niż sobie wyobrażasz – oznajmił Orvieti, wciągając powietrze ze zbiornika. – Jest chroniony.

– Chroniony? Owszem, jest chroniony jak wszyscy diabli. Ma pan pojęcie, ile musiałem przepłynąć, żeby dotrzeć do tego cholernego łuku? Sam fakt, że pan żyje, staruszkule, mógłby nawrócić mnie na wiarę. – Chandler zaczerpnął powietrza z butli tlenowej. – Tu jest prawie sam metan, który unosi się z rzeczno-muł. – Oświetlił po kolei wszystkie kolumny przy wejściu. – Dwie po każdej stronie, tak jak w opisie Józefa.

– To niebezpieczne wchodzić tutaj – ostrzegł Orvieti.

– Jakżeby inaczej – mruknął Chandler, dobywając z torebki Ziploc stary rękopis Józefa Flawiusza. – I właśnie dlatego zaopatrzyłem się w arsenał kapłańskich sztuczek. Od dawna mnie intrygowało, dlaczego Józef tak szczegółowo opisuje wspinaczkę kapłanów do sanktuarium. Któż by pomyślał, że udzielał w ten sposób instrukcji?

Orvieti nie poruszył się, a Chandler ominął go i podszedł do otwartych drzwi.

Umieścił w środku latarkę i światło wydobyło z mroku długą prostokątną komorę. Gaz nagromadzony w pomieszczeniu sprawiał, że Orvietiego swędziała skóra. Komora była pozbawiona posadzki. Wąski pomost prowadził do sześciometrowej platformy, spoczywającej na masywnym filarze. Ze wszystkich stron otaczało ją powietrze. Na centralnym podwyższeniu znajdował się kamienny ołtarz, do którego można było wejść po pięciu stopniach od frontu i po rampie znajdującej się po obu stronach. Z ciemności poniżej dobiegał chlust wody. Chandler skierował snop światła w dół i ujrzał ogromne kłębowisko węgorzy. W platformie znajdowało się kilkanaście kwadratowych otworów; Orvieti w jednej chwili odgadł ich przeznaczenie.

– Wentylacja – rzekł cicho. W pierwszym wieku w Rzymie nagromadzenie ścieków było tak wielkie, że wyziewy metanu stały się niebezpieczne. Plany starożytnych ulic zawierały rysunki skomplikowanych kanałów wentylacyjnych, odprowadzających gaz z domów.

Chandler stał na pomoście i patrzył przed siebie. Odwróciwszy się, spojrzął na Orvietiego, który czekał w drzwiach.

Wskazał lśniący złoty puklerz spoczywający na ołtarzu pośrodku platformy.

– A co tam leży na środku? – Orvieti milczał, więc Chandler sam sobie odpowiedział. – Pektorał najwyższego kapłana, nieprawdaż? – Jego głos drżał z podniecenia. – Ozdobiony klejnotami dwunastu plemion Izraela.

– Inskrypcja mówi, że nie wolno ci wejść, bo inaczej...

– Bo inaczej co? Zjawią się cherubiny z ognistymi mieczami i zetrą mnie na proch?

Chandler uśmiechnął się i ruszył dalej, lekko przygarbiony pod ciężarem butli tlenowej. Od pektorału dzieliło go niewiele więcej niż metr. Popatrzył na schodki, a potem na otwartą księgę Józefa.

– Kapłani wchodziłi po rampie – mruknął Chandler.

Wspiął się po rampie do ołtarza i oświetlił prostokątny złoty pektorał z czterema rzędami klejnotów, po trzy w każdym.

Blask latarki rozproszył się w kamieniach na setki świetlnych punkcików. – Pektorał najwyższego kapłana. Musiał go wkładać, żeby zapalać tutaj płomień memory – szeptał z podziwem. – Każdy z tych kamieni musi mieć dwadzieścia karatów.

Chciwym wzrokiem pożerał dwanaście klejnotów. Był tam rubin o głębokiej barwie, purpurowy ametyst, błękitny szafir oraz zielony szmaragd. W drugim rzędzie, dokładnie w tym miejscu, które jest wymienione w Księdze Wyjścia, znajdowało się to, czego szukał wzrokiem Chandler: *yahalom*, duży, grubo cięty diament. Przykucnął i chciał unieść pektorał, ten jednak był przytwierdzony do kamienia.

– Nie dotykaj go! – zawołał Orvieti. W Księdze Wyjścia ten święty przedmiot nazwany został pektorałem do zasięgnięcia wyroczni\*.

\* Wj 28, 15.

– Musieli go wynieść razem z menorą – oznajmił ze zdumieniem Chandler. Nachylił się nad kamieniami. – Chyba się trochę poluzowały. – Chandler usiłował wyciągnąć diament.

– Błagam cię – powiedział Orvieti.

– Prawie go mam – odparł Chandler. Szarpnął mocniej i stęknął, odchylając się. Nagle kamień wysunął się z gniazda.

Ze skały wytrysnął szary pióropusz.

Czysty metan, pomyślał Orvieti.

Jednak Chandler nie zwracał na nic uwagi. Uniósł maskę, by spojrzeć na kamień. Ustnik zawisł bezwładnie na rurce. Chandler wsunął diament do kombinezonu i z radością odwrócił się do Orvietiego.

– No i gdzie te aniołki, które miały mnie zgładzić?

Raptem w powietrzu rozniosła się woń spalenizny i pod stopami Chandlera strzelił do góry niewielki płomień. Chandler odskoczył, lecz płomień jeszcze bardziej się doń zbliżył, jak gdyby był przyczepiony do jego ciała. Po chwili Orvieti uzmysłowił sobie, że płomień wydobywa się z ustnika butli tlenowej Chandlera, który zetknął się z ujściem metanu znajdującym się u stóp Chandlera. Ten chwycił go mocno i potrząsnął, na próżno próbując ugasić ogień. Metan dostał się jednak do plastikowej rurki, która ze strasznym świstem nadeła się jak balon. Chandler rozpaczliwie usiłował zerwać butlę z pleców, a tymczasem rurka wybuchła niewielkim płomieniem. Chandler z krzykiem chwycił się za szyję. Z otworu rurki tryskał na nią ogień.

Wrzaski Chandlera wypełniły komnatę. Mężczyzna próbował zrzucić z siebie płonący zbiornik, jednocześnie gasząc ogień liżący od tyłu jego nogi. Skóra na jego szyi popękała, a on podrygiwał

niczym marionetka. Kręcił się w kółko, zbliżając się do krawędzi platformy. Nagle butla eksplodowała, a odłamki ze spodu zbiornika wbiły się w łydki Chandlera. Ten wrzasnął przeraźliwie. Orvieti zobaczył krew tryskającą z jego nóg. Intruz stoczył się w ciemność, wzbijając fontannę wody.

Nagle w wodzie się zakotłowało. Orvieti wzdrygnął się, przypomniawszy sobie, że poławiacze węgorzy przypalali mięso, którego używali jako przynęty. Z ciemności wzbily się okrzyki młodzieńca, a potem słychać już było tylko rzucanie się węgorzy w wodzie.

Orvieti zamknął oczy i oparł się o ścianę. Pamiętał biblijne ostrzeżenie o straszliwej śmierci czekającej tych, którzy wedrą się do sanktuarium.

Pochłonie ich ogień.

Orvieti wyprostował się i wyszedł z komory do attyki, uciekając przed swędem spalonego ciała. Złote kolumny musiano tu umieścić omyłkowo, myślał archiwista, gdyż komora znajdowała się w zachodnim pilastrze, a nie we wschodnim, położonym bliżej Jerozolimy. Ruszył niepewnym krokiem ku wschodniej ścianie attyki. Była zbudowana z szarego kamienia. U jej stóp obok otworu w posadzce znajdowała się inskrypcja. Ta jednak była napisana w starożytnym aramejskim.

– „Tylko obmyci kapłani tędy przechodzą”.

Archiwista zajrzał do otworu i zobaczył czarne lustro wody. Zaświeciwszy na nią, spostrzegł, że różni się od szalejących wokół łuku odmetów. Była czysta i kryształowo błękitna. Zobaczył stopnie prowadzące w dół. Tylko obmyci kapłani tędy przechodzą.

Kapłani, pomyślał Orvieti, przypomniawszy sobie, kim jest. Ojciec opowiadał o

prześladowaniach, które spotykały jego rodzinę ze strony papieży z powodu jej przodków z linii kapłańskiej. „Mose, nie mów nikomu w szkole, że jesteś *kohen*”, powtarzała jego matka, grożąc mu drżącym ze strachu palcem. Nabrawszy odwagi, Orvieti wstąpił do zimnej wody i zaczął schodzić dopóty, dopóki woda prawie go nie ogarnęła.

Sanktuarium, do którego można się dostać tylko przez wodę. Konstrukcja łuku idealnie pasowała do biblijnych zaleceń. *I myli w niej ręce i nogi\**. Archiwista wstrzymał oddech i zanurzył się w wodzie. W tej chwili uświadomił sobie, że nie zdoła odnaleźć miejsca, w którym wszedł. Stał bez ruchu, ale nie bez życia. Przyszło mu na myśl, że od sześćdziesięciu lat nie czuł się tak bardzo żywy. Unosił się w ciemności z poczuciem silniejszym niż oczekiwanie śmierci. Ta wedle wszelkich racjonalnych kalkulacji zbliżała się z każdą sekundą, a on czekał na... nadzieję. Przez większą część życia czuł się opuszczony, lecz teraz było inaczej. Znajdował się piętnaście metrów pod powierzchnią getta, w którym spędził ostatnie sześćdziesiąt lat. Ten łuk czekał na niego. Nie przez sześćdziesiąt lat, lecz przez niemal dwa tysiące. Archiwista unosił się w ciemnej toni. Otoczył go ciepły spokój nieważkości. Nie była to nieważkość człowieka na progu śmierci, lecz nienarodzonego dziecka na progu życia.

Zobaczył słaby blask bijący od czegoś, co wydawało się zanurzone w wodzie. Podpłynąwszy bliżej, uświadomił sobie, że blask pada sponad wody. Prąd łagodnie wypchnął Orvietiego do góry i skierował do otworu podobnego do tego, w którym przed chwilą się zanurzył. Nie wypłynął jednak w ciemności, która panowała w attyce, lecz w jasnym blasku. Oślepiony wydzwignął się drżącymi rękoma do małej komnaty zalanej słabym światłem, które łagodniało, w miarę jak jego oczy się do niego dostosowywały.

\* Wj 40, 31

To, co ujrzał w komnacie, przekraczało jego wszelkie wyobrażenia.

Kamienne ściany zostały pomalowane w czasach rzymskiego podboju Jerozolimy. Pokrywała je cieniutka warstewka brązowego kurzu, lecz barwy fresków były bogate. Trzy ściany zajmowała jedna scena: panoramiczny widok przepięknego miasta pod błękitnym niebem. Otaczały je mury, a biegnąca obok dolina usiana była drzewkami oliwnymi.

Jeruzalem, pomyślał Orvieti. Momentalnie uświadomił sobie, że namalowany z miłością przez żydowskich niewolników obraz przedstawia miasto przed splądrowaniem go przez Rzymian w siedemdziesiątym roku. Przed ścianą znajdował się niski kamienny ołtarz przykryty wytartą haftowaną tkaniną, której motyw był już niewidoczny. Oryginalny materiał sprzed dwóch tysięcy lat. Komnata pozostała sucha przez tysiące lat.

Orvieti poszukał wzrokiem źródła światła. W suficie komnaty znajdował się otwór, z którego padał blask. Tylko skąd? Powierzchnia ziemi znajdowała się co najmniej dwanaście metrów wyżej.

Komnata zbudowana z taką precyzją techniczną i pieczołowitością musiała być ostatnim dziełem mistrzów architektonicznych, którzy wzniesli Świątynię Jerozolimską. Tutaj umieścili menorę. Ale gdzie?

Promień światła biegł od sklepienia do środka niepomalowanej ściany. Zbliżając się do niej, Orvieti czuł zawroty głowy. Stracił wiele sił i brakowało mu tlenu. Wydawało się, że ściana oddycha. Przypomniał sobie zdanie, które usłyszał przed kilkoma godzinami.

– Ukaż mi promyk światła, a ja zbuduję z niego świątynię – powiedział na głos archiwista.

Przyjrzał się dokładnie miejscu, na które padał promień. Przystawił dłoń do muru. Płaskim

dnem zbiornika tlenowego stuknął w ścianę. Tynk skruszył się przy dotknięciu. Drżącymi rękoma Orvieti odrywał kawałki tynku, spod którego wyzierał lśniący złoty metal. Promyk światła odbijał się od niego tak mocno, że wyglądał jak wielki płomień. Z każdym odrzuconym kawałkiem ściany robił się większy.

Odlamki tynku spadały do stóp archiwisty. Za rozbitym tynkiem spoczywało ukośne złote ramię, długie na metr dwadzieścia i zakrzywione. Miało wymiary dokładnie takie, jak podaje Biblia, i pokrywały je głęboko rzeźbione motywy kwiatów.

– *Z tej samej bryły wykujesz świecznik wraz z jego podstawą i jego trzonem* – mówił Orvieti, cytując Księgę Wyjścia. – *Jego kielichy, pąki i kwiaty będą z jednej bryły\**.

\* Wj 25, 31.

Gorączkowo kruszył ścianę, aż ukazała się niemal cała gałąź ogromnej menory. Połyskiwała spokojnym blaskiem niczym kora na pniu złotego drzewa. Świetlista żółta powierzchnia odbijała promień. Menora była tak majestatyczna i wspaniała, jak sobie wyobrażał. Nagle archiwista uzmysłowił sobie, że pozostałe gałęzie świecznika sięgają poza mur. Usunął jeszcze trochę tynku i wczółgał się przez otwór. Tracił oddech, lecz powieki, choć ciężkie, trzepotały jak powieki dziecka.

Dwuipółmetrowa menora ze szczerego złota, a na jej zachodnim ramieniu płonie w ciemności błady czerwony płomyk.

Orvieti przetarł oczy i przez chwilę nie ruszał się z miejsca, jakby chciał przedłużyć ten cud.

Płomień menory nie wygasł.

Zbliżywszy się, zobaczył, że maleńki płomień na zachodnim ramieniu świecznika goreje o kilka centymetrów od małego otworu w ścianie, przez który wpada do środka naturalny metan z sąsiadującego z komnatą zbiornika pełnego mułu i ścieków. Płomyk wisiał nad ostatnim złotym kubeczkem menory, tym, który znajdował się najbliżej ściany. Naturalne, niewyczerpane źródło siódmego płomienia.

Orvieti wdrapał się po trzech kamiennych stopniach do gałęzi menory i zbliżył ręce do płomienia. Nie zobaczył jednak pomarszczonych palców starego archiwisty, lecz dłonie młodego mężczyzny.

Starożytną misę z kutej miedzi, stojącą na ostatnim stopniu, wypełniał jakiś płyn. Orvieti wiedział, że to oliwa. Resztką sił dolał jej do złotego kubeczka. Oliwa w mgnieniu oka złapała ogień. Orvieti przechodził od jednej gałęzi do drugiej i zapalał kolejne płomienie. Światła było coraz więcej i padało na niego, a on wyglądał w nim tak jak dawniej, gdy był młody.

Wiedział, że halucynacje powstają w ostatniej fazie niedoboru tlenu. Wszystko jednak wydawało się prawdziwe: ciemne falujące włosy, takie jak przed półwieczem, szerokie ramiona.

Jasność pochłonęła go i nagle Orvieti nie stał już w podziemnej komnacie, lecz na środku Forum Romanum. Słyszał śmiech dzieci. Minęły sześćdziesiąt trzy lata, lecz on momentalnie rozpoznał ten odgłos. Jego dzieci. Trzej synowie przebiegli obok, ich niesforne brązowe czupryny fruwały nad połatanymi ogrodnikami. Pojawiła się córka ubrana w sukieneczkę z drobnym purpurowym wzorem. Dzieci kręciły się między nogami Orvietiego, śmiejąc się i dokazując. Orvieti już zapomniał, że zanim z rozkazu Mussoliniego rozpoczęto wykopaliska, ruiny Forum porośnięte były kwiatami. Archiwista zabierał tam dzieci na pikniki. Zobaczył tam także swoją żonę, młodą i piękną. Promienie słońca padały na jej krągłe ramiona i długie włosy. Wsunęła dłoń w jego rękę, ta jednak była stara i pomarszczona. Ona była młoda, a on znów stary.

Orvieti wyglądał staro i tak się czuł. Szło mu się ciężko, lecz jego żona maszerowała długimi krokami i z wdziękiem. Tak bardzo chciał z nimi być, ale nie nadążał. Dzieci biegły na przedzie, wołały go. Złap mnie, papo. Złap mnie. Żona także się oddaliła, jej pełne wyrazu brązowe oczy patrzyły na niego tak, jakby nie widziała go od wieków.

Stali przed nim w cieniu rzucanym przez wielki marmurowy łuk na skraju ruin. Łuk Tytusa. Synowie i córka grali w berka pod łukiem. Żona Orvietiego zamachała ręką, przywołując go, a dzieci żartobliwie powtórzyły gest matki.

Archiwista stał u stóp łuku tak jak w 1948 roku, gdy członkowie gminy żydowskiej zebrali się w ruinach na Forum, by wyruszyć w drogę przeciwną do tej, którą przebyli jeńcy wojenni, przedstawieni na marmurowym reliefie. Jednak wówczas Orvieti nie mógł się na to zdobyć. Wrócił samotnie do getta.

Teraz znów stał pod Łukiem Tytusa, tak jak sześćdziesiąt lat temu. Dzieci czekały po drugiej stronie. Wystarczyło do nich podejść. Jego żona opuściła rękę. To był pierwszy dźwięk, jaki usłyszał.

– Mose. – Jej słodki głos zabrzmiał tuż obok, mimo że jej usta się nie poruszyły. – Już czas – rzekła z uśmiechem.

Orvieti zrobił krok i ujął jej rękę, a dzieci wzięły go za drugą. Marmurowy relief ożył, postacie się poruszyły. Nie byli to już jednak niewolnicy jerozolimscy, niosący menorę na wygnanie i uginający się pod razami rzymskim batów. Płaskorzeźby przedstawiały Jerozolimę taką, jaka była przed oblężeniem. Starożytne mury strzelały w górę nienaruszone, lśniąc w blasku słońca.

Żona wyszeptwała Orvietiemu do ucha coś, czego nie usłyszał. Gdy wyszedł po drugiej stronie łuku, spojrzął na ich dłonie. Skóra na jego ręce była gładka i jędrna. Czuł w nogach siłę, której już nie pamiętał. Miał wszystkie palce u dłoni. Schylił się sprężysto. Dzieci podbiegły do niego, a on zaszlochał tak mocno, że aż zatrząsnęły mu się ramiona.

– Już nigdy was nie opuszczę – powiedział, a córka uściśniła go tak, jak dorosły ściska dziecko.

– Nigdy nas nie opuściłeś – odrzekła.

## 101.

Karetki pogotowia i radiowozy stały przed Wielką Synagogą, blokując Lungotevere Cenci. Starsze panie wychylały się z okien, nie mając pojęcia, co wydarzyło się piętnaście metrów od brzegu rzeki.

Emili miała podarty żakiet, a jej twarz była wciąż zaczerwieniona od taśmy. *Carabinieri* okryli jej ramiona kocem. Jonathan przyłożył sobie gazę do skroni. Wreszcie przestała płynąć mu krew z rany tuż pod włosami.

– To był on od samego początku – oznajmiła Emili.

– Dajże spokój – odparł Jonathan. – Nie mogłaś tego wiedzieć.

Podszedł do nich komendant Profeta.

– Wciąż nie znaleźliśmy Lebaga. Rozesłaliśmy nakaz aresztowania dla zabójców profesora Cianariego, funkcjonariusza Fiegiego i Jacqueline Olivier, a także nakazy związane z przepisami o handlu antykami odnośnie do naszej

wczorajszej akcji. Ale nie znaczy to, że go znajdziemy. W centrum Rzymu działają komórki, które zapewnią mu schronienie.

– Co z Mose Orvietim? – spytała Emili.

– Przykro mi, *dottoressa* – odparł pośpiesznie komendant. – Nurkowie będą kontynuować poszukiwania jeszcze przez pół godziny, a później muszą przerwać na noc. Zdaniem ekspertów wszystkie podziemne ulice są już zalane.

– Może uda się przynajmniej odnaleźć jego...

– Podziemna powódź o tej porze roku jest bardzo gwałtowna. Ciało mogło osiąść wszędzie, a podziemne korytarze mają długość wielu kilometrów. – Profeta wiedział, że rzymska mafia pozbywa się zwłok, wrzucając je do Tybru, a szczupaki, okonie i karpie w ciągu kilku godzin doprowadzają je do takiego stanu, że ciała są nierozpoznawalne. Zachował to jednak dla siebie.

Komendant nie lubił zabierać się do papierkowej roboty w takiej sytuacji, lecz ponieważ Lebag zaginął, należało dokładnie przesłuchać Emili. Pomoże to wszcząć śledztwo w sprawie działalności Waqf w Rzymie.

– Doktor Travia, władze palestyńskie najprawdopodobniej będą utrzymywały, że poczynania Szarifa Lebaga nie były im znane. Będą dążyły do wyciszenia naszego śledztwa.

– Na szczeblu dyplomatycznym? – spytał odruchowo Jonathan, który prawie zapomniał, że nadal jest prawnikiem.

– Będziemy potrzebowali państwa zeznań, by wykorzystać je w sprawie.

Emili skinęła głową.

– Proszę się jednak nie spieszyć – rzekł Profeta, z szacunkiem kiwając głową. Podeszedł do radiowozu i odwrócił się. – Na *piazza* naprzeciwko komendy podają wyjątkowo dobrą amerykańską kawę. Może spotkamy się tam i na początek porozmawiamy mniej oficjalnie?

– Dobrze, zgoda – odparł Jonathan.

Emili spojrzała na Jonathana, gdy zostali sami.

– Myślisz, że Mose znalazł menorę?

Jonathan wzruszył ramionami.

– Zobaczyłem go ostatni raz tuż po tobie. Zniknął w ciemności, kierując się w stronę... – Jonathan przerwał w pół zdania, jakby nagle coś przyszło mu na myśl. Spoglądał w stronę Wielkiej Synagogi. Blask księżycy otoczył jej asyryjską kopułę białą poświatą.

– Co się stało? – spytała Emili. – Wszystko w porządku?

– Emili – powiedział szybko Jonathan. – Musimy się dostać do sanktuarium Wielkiej Synagogi.

– Do synagogi?

– Zdaje mi się, że wiem, gdzie jest pierwszy łuk.

– Nie mówisz tego poważnie.

– Chodźmy. – Jonathan ujął rękę Emili. Ominęli radiowozy i weszli do wnętrza świątyni.

Jonathan popatrzył na ceremonialny łuk, przykryty zamszową tkaniną długą na sześć metrów.

– Czy Orvieti wyjawiał, w którym miejscu papież Jan Paweł Drugi odmówił tu po cichu modlitwę?

– Tam – odparła Emili, wskazując łuk.

Jonathan i Emili przeszli główną nawą, a następnie po zamszowych stopniach bimy, prowadzących do łuku. Tylko blask księżycy, wpadający ukośnie przez wysokie witrażowe okna,

oświetlał setki ławek. Policjant i nieprzychylnie nastawiony ochroniarz stali w wejściu do zaplecza.

– Zauważyłaś tu coś dziwnego?

Emili rozejrzała się po słabo oświetlonym wnętrzu.

– Poza tym, że kazałeś ochroniarzowi nie zapalać świateł? Nie.

– Spójrz – powiedział Jonathan.

Emili odchyliła głowę. W cieniu nad nimi wisiał ogromny pozłacany kandelabr w stylu asyryjsko-babilońskim. Zwisał na łańcuchu długości sześciu metrów, umocowanym do frontonu łuku.

– To wieczne światło. Chandler mówił, że mają je wszystkie synagogi.

– Owszem, ale zwykle są one zapalone – zauważył Jonathan. Emili spojrzała w miejsce, które wskazał ręką. – To nie jest.

– Powiadasz, że rzymska gmina żydowska nie ma wiecznego światła?

– Ma, i to jak najbardziej. Ale znajduje się ono gdzie indziej.

– Nie nadążam.

– Emili, pamiętasz, jak blisko papież Jan Paweł Drugi był związany z miejscowym rabinem. Przybywając do synagogi, miał dla niego wiadomość. Orvieti powiedział takie zdanie: „Ukaż mi promyk światła, a ja zbuduję z niego świątynię”.

Emili spojrzała na swoje stopy, jak gdyby szykowała się na przyjęcie niemożliwego.

– Papież nie przybył do synagogi, żeby coś zwrócić – ciągnął Jonathan. – Stał w tym miejscu, by przypomnieć rabinowi o rzeczy, której gmina żydowska strzegła przez dwa tysiące lat. Ta rzecz kryje się pod tą synagogą, a oni nawet o tym nie wiedzieli.

Emili nie odrywała wzroku od posadzki. Przykucnęła, wskazując maleńki, wmontowany w posadzkę kawałek bursztynu. Był to miniaturowy wizerunek menory o biblijnych proporcjach.

– Ten bursztyn ma kształt menory – oznajmiła. – Z pewnością rozprasza światło wpadające do pomieszczenia, które się pod nim znajduje...

Zamilkła, uświadomiwszy sobie, dlaczego Jonathan poprosił ochroniarza, żeby nie zapalał świateł.

W szkiełku igrała słabiutka iskierka złotego światła. Zdawało się, że blask dochodzi z dołu, spod synagogi.

– Pochód triumfalny zakończył się tutaj, przy Porticus Octaviae – wyjaśnił Jonathan. – Tutaj także stał pierwszy Łuk Tytusa, a menora z tabernakulum spokojnie w nim leżała.

Dokładnie pod gettem.

Emili się uśmiechnęła.

*Quae amissa salva.* To, co zagubione, jest bezpieczne.

## 102.

Nazajutrz rano Tatton stanął w sali konferencyjnej siedziby kancelarii przy Piazza Navona. Odłożył gazetę.

– Zostałeś sławnym człowiekiem, Marcus. Nasza firma ma teraz wizerunek bastionu dobrej woli.

Mildren siedział obok Tattona, przygotowując się do spotkania. Spojrzał na Jonathana, gotując



się z zazdrości.

– Ujawniłeś, że dyrektorka agencji ONZ współdziałała z rabusiami w Jerozolimie. Ministerstwo Kultury wycofało oskarżenie, aby zerwać związek z miejscową siedzibą centrum. Fragmenty *Forma Urbis* już są w drodze powrotnej do Genewy. Złota gwiazda, Marcus. Twoja przyszłość w kancelarii jaśniej niż rzymskie słońce.

Jonathan spojrzął za okno. Zbliżało się południe, samolot do Nowego Jorku odlatywał za cztery godziny. Próbował dodzwonić się do Emili w biurze centrum, lecz jak się spodziewał, nie było jej tam. Ekipy telewizyjne przez całą noc czatowały przed jej mieszkaniem, by pożywić się sensacyjną informacją o zaskakujących kulisach śmierci dyrektorki oenzetowskiej agencji.

– Proszę wybaczyć – rzekł Jonathan, spoglądając na prawników.

Wyszedł z gmachu i ruszył w stronę Piazza Venezia; wspiął się po schodach na Kapitol, a następnie dotarł do Forum. Dzień był ciepły, lecz niebo wciąż zasnuwały chmury. Wśród ruin na Forum prawie nikogo nie było. Młoda kobieta z jasnym kokiem, ubrana w płaszcz z wielbłądziej wełny, stała przed Łukiem Tytusa i patrzyła na fronton.

Jonathan podszedł i stanął obok niej.

– Pomyślałem, że tu przyjdiesz.

Emili drgnęła. Jej oczy rozjaśniły się na jego widok.

– Cześć.

Zamilkli na chwilę, a potem Emili odwróciła się do Jonathana.

– Wiesz, że widziałam cię raz po tym, jak odszedłeś z akademii? To było w Nowym Jorku, w Metropolitan Museum.

Jonathan zaśmiał się niepewnie.

– Ja także cię widziałem. To było trzy miesiące po tym, jak mnie wyrzucili. Wszystkie propozycje pracy wykładowcy zostały wycofane.

– Oprowadzałeś wycieczki po skrzydle z zabytkami starożytności.

– A wieczorami pracowałem w Sotheby's – dodał Jonathan. – Byłem zbyt zażenowany, żeby cię zagadnąć. Miałem nadzieję, że mnie nie zauważysz...

– Obserwowałam cię, jak chodzisz z tą wycieczką. Minęło dziesięć minut, zanim mnie zobaczyłeś. Rozprawiałeś o tym, co kochasz całym sobą, mimo że miałeś wszelkie powody, by zrezygnować. Nigdy bardziej nie pragnęłam z tobą być.

– A zatem? – spytał Jonathan, patrząc jej w oczy.

– Obawiam się, że miałeś rację wtedy w sądzie. Życie to nie romantyczna legenda. Szarif miał rację co do jednego. Historia jest tak krucha, zapisana w ogniu. Kiedy ogień gaśnie... Utraciliśmy to, cośmy mieli.

– Ale znajdowanie wspólnie różnych rzeczy nie najgorzej nam wychodzi.

– Pamiętasz, jak tłumaczyłam ci, że my, konserwatorzy, często nie podejmujemy nowych wykopalisk? Cieszymy się z możliwości znalezienia zabytków archeologicznych tak jak każdy, ale rozumiemy także, ile kosztuje utrzymanie ruin, gdy już zostaną odkopane. Często w ciągu tygodni niszczejemy bardziej niż przez tysiące lat. – Emili ucałowała Jonathana w policzek. – Nie mąćmy przeszłości.

Jonathan uświadomił sobie, że jej uczucie do niego przesłonił niewidzialny osad minionych siedmiu lat. Tak jak ruiny pod polem karczochów na południu Włoch, emocje były już prawie nierozpoznawalne z powierzchni.

– Pamiętaj, że w ziemi przynajmniej ruiny są bezpieczne – powiedziała, odsuwając się.

### 103.

Po trzech dniach obfitych opadów szczątki ciała Chandlera Manninga osiadły na brzegu Tybru pięć kilometrów w dół biegu rzeki. Policja nakazała natychmiast przywieźć jego zwłoki do kostnicy miejskiej, gdzie miano przeprowadzić sekcję. Dowody miały zostać wykorzystane w śledztwie w sprawie przestępczej działalności Waqf w Rzymie.

Mężczyzna podający się za patologa przesunął dłońmi po ciele Chandlera. Zimna woda w rzece sprawiła, że pogryzione przez ryby zwłoki zachowały się w lepszym stanie, niż gdyby zginął w cieplejszej porze roku. Mimo to nienaruszone fragmenty ciała miały siny odcień i wydzielaly woń rozkładu. Pod paznokciami rozmnożyły się bakterie, a agresywne szczupaki i okonie zostawiły z uszu strzępy, zanim zwłoki wypłynęły do rzeki. Po wstępnym badaniu nie zdołano ustalić przyczyny silnych poparzeń na tylnych częściach ciała denata.

Fałszywy patolog nie zamierzał jednak badać zwłok. Otrzymał przeszkolenie w zakresie tajnych operacji, tworzenia protez, peruk i fałszywych dokumentów. Jego zadanie polegało na zdobyciu dokumentu. Nie powiedziano mu o historycznej wadze zadania, a on nie zadawał pytań.

Pod kostnicę podjechał policyjny radiowóz. Profeta wysiadł, podszedł do drzwi i okazał dokumenty kobiecie w dyżurce. Z powodu trwającego dochodzenia *carabinieri* zarządzili, by nikt nie badał zwłok przed ich przybyciem.

– Chcemy obejrzeć zwłoki – oznajmił komendant, pokazując policyjny druczek. – Chandler Manning.

– Chwileczkę. Patolog właśnie kończy oględziny.

– Nikt nie powinien ich oglądać – odrzekł Profeta.

Dyżurna zaczęła okazywać zdenerwowanie.

– Ten mężczyzna powiedział, że chodzi o względy zdrowotne. Tyber jest zanieczyszczony.

– Ruszajmy! – Komendant odwrócił się na pięcie. – Zablokować wszystkie drzwi!

Mężczyzna udający patologa wsunął rękę pod resztkę kombinezonu Chandlera Manninga i wydobyl stamtąd mokry jeszcze, złożony we czworo dokument. Pergamin przypominał w dotyku skórzany miasek.

Był to dziewiętnastowieczny rysunek znaleziony w Łuku Tytusa.

Fałszywy patolog usłyszał trzaśnięcie drzwi i spojrzal na szklane ściany. Trzech młodych policjantów pędziło w stronę sali. Intruz wsunął ciało do żelaznego pojemnika i pobiegł w stronę drugich drzwi, prowadzących do rampy, którą wnoszono i wynoszono ciała zmarłych. Mężczyzna miał pod fartuchem pistolet automatyczny bren. Ten kalibru dziesięć milimetrów i został wyszkolony do walki w środowisku miejskim. Setki ćwiczeń prowadzonych w opuszczonych budynkach na pustyni Negew miały go przygotować do akcji w każdym otoczeniu, od szpitala poczynając, a na szkole kończąc. On jednak nie sięgnął po broń; otrzymał rozkaz, by nie zostawiać śladów mogących doprowadzić do tego, kto go posłał. Dziesięciomilimetrowy bren nie był dostępny na czarnym rynku. Broń natychmiast zdradziłaby, od której służby wywiadowczej pochodzi.

– Jest w budynku – oznajmił Profeta. – Ma na sobie fartuch laboratoryjny. Powtarzam, jest przebrany za lekarza.

Drzwi rampy były otwarte. Korytarzem szedł kierowca karawanu z czarną czapką na głowie; miał odebrać ładunek. Intruz obezwładnił kierowcę, wciągnął go do pomieszczenia gospodarczego i uderzył jego głową w metalową szafkę wystarczająco mocno, by go ogłuszyć. Minutę później mężczyzna wyszedł na korytarz. Zamiast fartucha miał na sobie ubranie kierowcy karawanu. Minął spokojnie policjantów biegnących korytarzem, zszedł po rampie i odjechał czarnym karawanem.

W centrum Rzymu zaparkował karawan na uliczce obok Piazza Venezia i skręcił w bezimienną alejkę. Pokonawszy ulicę, wszedł do kafejki i położył wilgotną mapę Valadiera pod uchwytem na serwetki na stoliku w ogródku. Po kilku sekundach z naprzeciwka nadeszła kobieta w kapeluszu z szerokim rondem. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Usiadła i zamówiła espresso. Następnie sięgnęła po serwetkę, niepostrzeżenie wyjmując rysunek spod uchwyty. Wsunęła pergamin do foliowej koperty ochronnej, którą miała w kieszeni żakietu.

Kobietą była Eilat Segev.

## 104.

### *Dwa miesiące później*

Turyści słuchali jak zaczarowani. W skrzydle zabytków starożytnych Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku Jonathan Marcus opowiadał o posągu przedstawiającym Herkulesa w stajniach króla Augiasza. Krawat Jonathana był luźno związany, a on machał długimi rękami, udając, że tnie miękki marmur w Carrarze, a następnie go rzeźbi. Turyści ze schroniska dla seniorów czuli się otuleni jego ożywionym, rozwibrowanym głosem. Ze zdumienia otwierali usta, ich dotknięte kataraktą oczy płonęły.

Jonathan zatrzymał się pośrodku sali i stanął na taborecie. Na swojej pomiętej jasnyniebieskiej koszuli nakreślił kształt greckiego puklerza.

– Straszny pancerz, najbardziej przydatny do...? – Jonathan odwrócił się do turystów. – Czy ktoś wie?

– Osłony tyłów? – rzucił starszy pan w wypuszczonej koszuli z madrasu. Na nalepce, którą miał na kieszonce, widniał napis PHOENIX, WYCIECZKI DLA SENIORÓW. Poniżej znajdowało się napisane kursywą nazwisko Feldheim.

– Doskonale, panie Feldheim! – odparł z szerokim uśmiechem Jonathan. – Jest pan Odyseuszem w pancernej zbroi, krzepkim jak dziesięciu wojowników. Pańska Penelopa czeka!

Łucznicy już szykują lewitę!

Turyści parsknęli śmiechem. Otaczali tłumnie Jonathana, jakby był ulicznym kuglarzem. Jonathan wskazywał rozmaite eksponaty, tłumacząc łacińskie i greckie napisy na sarkofagach i stelach pogrzebowych.

– Czemu bogowie się nie uśmiechają? – spytało jakieś dziecko. Jonathan przykucnął obok i spojrzał na białych marmurowych bogów. Liczna grupa, która zaczęła się już kierować do sąsiedniego skrzydła afrykańskiego, ucichła.

– Dobrze pytanie – pochwalił z uśmiechem Jonathan. – Czemu bogowie się nie uśmiechają? – powtórzył głośno. – W sztuce rzymskiej bogowie nie uśmiechają się, ponieważ nie są śmiertelni.

– Czy Rzymianie nie chcieli być bogami? – zapytał ktoś.

– O nie. Bez śmiertelności nie byłoby odwagi ani heroizmu. Może to zabrzmieć dziwnie, lecz właśnie z tego powodu posągi rzymskich bogów się nie uśmiechają, a śmiertelników, owszem. – Jonathan zrobił pauzę, rozkładając ręce. – Śmiertelność oznacza rozpacz utraty, lecz daje także wspaniałą szansę na to, by...

– Zostać odnalezionym – dopowiedział kobiecie głos z głębi galerii.

Wszyscy zamilkli. Jonathan zmrużył oczy i spojrzał na sylwetkę majaczącą w jasnym świetle foyer.

Na środku łukowato sklepionego korytarza, ubrana w płaszcz z wielbłądziej wełny i czerwony szal, stała Emili Travia. Jej oczy błyszczały, a ona sprawiała wrażenie niewyspanej po locie, lecz właśnie te oznaki przemęczenia sprawiały, że wyglądała tak pięknie jak nigdy przedtem.

Jonathan zeskoczył ze stołka i precyzyjnie się do niej przez tłum.

Gdy znalazł się obok niej, obstąpili ich turyści.

– W Met pozwala się przewodnikom wchodzić na stołki? – zapytała Emili. – Myślałam, że to może grozić odszkodowaniami.

Jonathan się uśmiechnął.

– Dobrze jest decydować o tym, co wolno, a czego nie wolno. – Wskazał swoją plakietkę, a Emili głośno przeczytała:

– Jonathan Marcus, radca generalny, Metropolitan Museum of Art.

Po chwili Jonathan szepnął jej do ucha:

– Mówiłaś, że niektóre rzeczy lepiej pozostawić w ziemi. Wspominałaś także o braku środków na utrzymanie znalezisk.

Emili w żartobliwie władczym geście wyprostowała plecy.

– Jako dyrektor Międzynarodowego Centrum Konserwacji Zabytków w Rzymie sama decyduję o alokacji środków na wykopaliska.

Jonathan zbliżył twarz do jej ucha.

– A zatem uwierzyłaś, że czas jednak konserwuje?

– Czasami rzeczy, które odkopujemy, są piękniejsze niż wtedy, gdy były nowe.

– Nawet jeśli są popękane i poobijane?

– Jonathanie Marcus, pęknięcia i siniaki składają się na najbardziej uwodzicielską moc artefaktów – odparła z uśmiechem Emili. – Upór przetrwania.

– Ma pani na myśli jakiś konkretny artefakt? – spytał Jonathan, gładząc włosy spływające na ramię Emili.

– Owszem, myślę o jednym – powiedziała, nachylając się do Jonathana.

Jonathan się zawahał. Nagle nieco odsunął głowę.

– A co z kruchością naszej przeszłości? W Rzymie powiedziałaś, że historia jest zapisana w ogniu. Że kiedy ogień... – Jonathan nie dokończył.

– Nadal tak uważam. – Jonathan spojrzał na nią niepewnie, lecz ciepły uśmiech Emili go rozbroił. – Żeby go utrzymać, będziemy potrzebowali płomyka.

Jonathan przycisnął wargi do jej ust. Światło padło na nich przez szklany dach działu starożytności. Objęli się i zastygli w takiej samej pozycji, jaką przedstawiała starożytna rzeźba, stojąca za nimi. Dwie postaci przyciskały się do siebie, ich mięśnie były napięte, wargi się stykały. Kobieta wyglądała tak, jakby osuwała się w objęcia mężczyzny. Rozległy się burzliwe oklaski.

Generał Eilat Segev wysiadła na Piazza San Pietro z limuzyny, która nie miała rejestracji dyplomatycznej. Jej wizyta nie była wyszczególniona w żadnym watykańskim terminarzu. Tajne spotkanie przypomniało jej czasy sprzed piętnastu lat, gdy Watykan zapoczątkował kontakty dyplomatyczne z Izraelem. Gwardzista szwajcarski wprowadził panią generał do wielkiego holu, w którym czekał na nią kardynał Ungero Scipiono, podsekretarz do spraw międzynarodowych.

– Pani generał, to dla mnie zaszczyt, że wreszcie mogę panią poznać. – Zgodnie ze zwyczajem podsekretarz nie wstał z fotela. – Dziękuję za działania, które podjęła pani w celu ochrony chrześcijańskich zabytków w Ziemi Świętej. – Scipiono mówił, spoglądając na podłogę. Eilat Segev czuła, że jest mu niezręcznie rozmawiać sam na sam z kobietą. Jednak kwestia była tak drażliwa, że nie mógł wysłać podwładnego.

Eilat Segev skinęła uprzejmie głową.

– Dziękuję, Wasza Eminencjo.

Kardynał zaprosił gestem Segev, by usiadła.

– Wysłałam do biura Waszej Eminencji wiele listów w sprawie dewastacji pod Wzgórzem. Pozostały bez odpowiedzi.

Podsekretarz milczał przez chwilę.

– Jak pani wie – podjął – żadna instytucja nie dąży do narzucenia swojej jurysdykcji drugiej. Obawiam się, że przed udzieleniem odpowiedzi będziemy musieli przeprowadzić własne dochodzenie w sprawie rzekomej dewastacji pod Wzgórzem.

– Może wobec tego Wasza Eminencja zechce nam bardziej pomóc tu, w Rzymie. Rozumiemy, że wszystkie podziemia pod żydowskim gettem podlegają jurysdykcji Watykanu na mocy konkordatu zawartego w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim. Naszym archeologom wielokrotnie odmawiano zgody na przeprowadzenie badań archeologicznych pod Porticus Octaviae i Wielką Synagogą.

– Pani generał. – Podsekretarz wstał. – Jak pani wiadomo, wszystkie podziemne zabytki religijne w Rzymie podlegają wyłącznie Watykanowi. Nie jestem upoważniony, by o tym rozmawiać. Czy coś jeszcze?

– To nie są zabytki chrześcijańskie, Wasza Eminencjo.

– Są to zabytki religijne.

– Nie udzielicie naszym badaczom zgody na wejście pod naszą synagogę w getcie?

– Takie badania byłyby nader niebezpieczne. Jak pani wiadomo, podziemne korytarze, jeśli w ogóle istnieją, są dostępne dla badań tylko przy niskim przypiływie, i to przez krótki czas. – Kardynał Scipiono pociągnął za pasek swojej togi i skierował się do drzwi. – Wątpię, czy pod gettem znajduje się cokolwiek wartościowego.

Segev wstała.

– W takim razie dlaczego wasze biuro ochrony zainstalowało nowoczesny sprzęt obserwacyjny na każdej ulicy getta, łącznie z wykrywaczami ruchu w kotłowni Wielkiej Synagogi? Czy nie po to, by zapobiec wejściu niepowołanych ludzi do podziemnych tuneli?

Podsekretarz odwrócił się z uprzejmym uśmiechem.

– Wasz naród jest pełen determinacji, pani generał. Odkopaliście swoją tożsamość narodową po dwóch tysiącach lat. – Kardynał przestał się uśmiechać, w jego oczach ukazał się cień. –

Niektóre rzeczy mają pozostać pod ziemią.

– My jedynie prosimy o pomoc Watykanu, Wasza Ekscelencjo.

– Pani generał, każdy kraj, nie wyłączając Watykanu, rozumie, co należy robić w celu ochrony własnej historii. – Kardynał odwrócił

się i zniknął za drzwiami. Znalazłszy się w swoim gabinecie, powiedział do asystenta:

– Śledzić ją.

Gwardzista szwajcarski w cywilnym ubraniu wyszkolony w sztuce obserwacji, zwany obserwatorem, podążył za Eilat Segev. Pani generał przemierzyła plac i skierowała się Via della Conciliazione w stronę Tybru. Za rogiem skręciła w wąską alejkę. Pół minuty później obserwator wpadł na rogu na rosłego mężczyznę z naręczem książek, które rozsypały się po kocich łbach.

– Och, przepraszam! – powiedział tęgi duchowny. – Mógłby mi pan pomóc? – Obserwator spojrzął za Segev, ale było już za późno. Kobieta znikła. Po kilku minutach duchowny, którym był kardynał Francesco Inocenti, uśmiechnął się i odszedł z książkami na ręku.

Podsekretarz Scipiono wpadł w gniew na wieść, że obserwator stracił z oczu Eilat Segev. Niegroźne zderzenie na rogu, książki rozsypane na bruku. Sztuczka kontrwywiadowcza starsza od Matuzalema.

– To przypadek – pocieszał go asystent.

– Żaden przypadek! – ryknął podsekretarz. – Mamy do czynienia z Izraelczykami!

Szybkim krokiem przemierzył hol apartamentów papieskich i dotarł do pomieszczenia ochrony. Siedziało tam przed ekranami trzech gwardzistów szwajcarskich.

– Złapaliście ją na kamerach? – Z tego miejsca podsekretarz mógł mieć na widoku każdy kamień w Watykanie. Młody ochroniarz skinął głową i powiększył sektor, przecnicę i wycinek chodnika, po którym szła alejką generał Segev.

Pani generał wyjęła z kieszeni rysunek zabrany po śmierci Chandlerowi Manningowi. Co do jednej rzeczy zgadzamy się z podsekretarzem, myślała. Czasem w celu ochrony swojej historii kraj musi działać samodzielnie. Właśnie z tego powodu oddział Eilat Segev od dwóch miesięcy planował tę operację.

– Schodzę po schodach na most Vittorio Emanuele – oznajmiła po hebrajsku Segev do klapy żakietu.

– Za minutę i dwadzieścia sekund pani trasa przetnie się z Arką, pani generał – odpowiedział głos.

Podsekretarz obserwował to na ekranie.

– Dlaczego ona mówi do klapy? Powiększ.

Na ekranie ukazał się powiększony obraz Eilat Segev. Izraelka skręciła i różnym krokiem szła ulicą. Raptem ekran zrobił się czarny.

– Co się dzieje?! – wrzasnęła podsekretarz. Odwrócił się do swojego asystenta. – To też jest przypadek? – Młody ochroniarz gorączkowo wciskał klawisze, usiłując zlokalizować źródło zakłóceń. Obraz wrócił równie nagle, jak zniknął.

– To na pewno jakiś papier na wietrze, Wasza Eminencjo. Albo torebka foliowa – mówił ochroniarz, kierując wzrok na ekran. Segev już na nim nie było. Ochroniarz pokręcił głową. – Wasza Eminencjo, straciliśmy ją.

Wysoko ponad alejkami, na których kamera uległa tajemniczej awarii, jedna z siostr Syjonu z jerozolimskiego klasztoru przemknęła po dachu i weszła do kwater dla zakonnicek, które

zajmowały się prowadzeniem papieskiego gospodarstwa. Na chwilę zakryła chustą obiektyw kamery, a potem znów zarzuciła ją na ramiona. Z dumą obserwowała panią generał. Pomagała jej dokonać tego, co Kościół powinien był uczynić już dawno temu.

Segev zbliżyła się do nabrzeża. Stara łódź rybacka, *gozzo*, zwolniła. Agent wyrzucił cumę na brzeg, a pani generał wsiadła do łódki.

– Przy najbliższej okazji proszę podziękować kardynałowi Inocentemu i siostrze za pomoc. Gdyby wszyscy duchowni darzyli nas taką przyjaźnią.

Z pokładu łódki Eilat Segev widziała po prawej stronie synagogę. Podsekretarz miał rację: przytyw tylko przez kilka godzin pozwalał na badanie podziemi getta. Dlatego przygotowania do tej operacji zajęły dwa miesiące. Segev zamierzała dokonać wydobycia przy wysokim przytywie, a nie przy niskim. Nurkowie wyposażeni w podwodne platformy śrubowe mieli przetransportować obiekt przez zalane wodą rury Cloaca Maxima prosto do rzeki.

Segev zbliżyła się do kabiny łodzi.

– Jakie postępy robi Shayetet? – Byli to izraelscy morscy komandosi, elitarna jednostka.

– Zakończyli wiercenie. Nurkowie są gotowi do wydobycia artefaktu przez podstawę łuku.

Segev weszła do kabiny łodzi, zamienionej w supernowoczesne centrum łączności. Na płaskich monitorach można było obserwować trzech nurków wierzących w skałę pod ogromnym łukiem. Spod wiertel leciały snopy podwodnych iskier.

– Logistyka przebiega zgodnie z planem – oznajmił po hebrajsku młody technik.

Drugi mężczyzna zbiegł po metalowych stopniach do kabiny.

– Pani generał, właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że Watykan zmobilizował Gwardię Szwajcarską. Przechesują brzeg rzeki. Za parę minut namierzają naszą łódź. Musimy się ewakuować.

– Nigdzie się nie ruszamy – odparła Segev. Na ekranie widać było, jak nurkowie usuwają spod łuku dolną część marmuru.

– Tutaj jest sucho, pani generał – oznajmił nurek. Blask jego latarki przecinał ciemność.

Nurkowie opuszczali ogromny lśniący świecznik z łuku na napędzane śrubami platformy. Komandosi starannie przećwiczyli ten manewr w zbiornikach w bazie wojskowej. Do prawego ramienia świecznika przymocowano specjalną kulę z półprzezroczystego plastiku, zachowującą wodoszczelność do stu metrów głębokości. Jej zadaniem było wytwarzanie przez trzy minuty palnego gazu. Nurkowie zasklepili szpary wokół kuli wodoszczelnym silikonem. Wewnątrz kuli wciąż jaśniał płomień.

– Ogień został przeniesiony bez zakłóceń, pani generał.

Segev wiedziała, że na jej oczach tworzy się historia. Dotknęła ręką ekranu. Tego ognika strzeżono przez dwa tysiące lat. W granatowoczarnej wodzie widziała cienie siedmiu gałęzi świecznika. Menora była opuszczana na specjalny podwodny wehikuł opracowany właśnie do tego celu. Miał odpowiednią szerokość, by mógł płynąć w rurach prowadzących do Tybru.

– Czy jest tam Orvieti?

– Leży tu jego ciało, pani generał. Był w komorze, spoczywał tuż obok menory – odparł nurek. – Nie możemy umieścić zwłok Orvietiego na platformie. Ciężar byłby zbyt duży.

W głębi serca Eilat Segev była żołnierzem, a szacunek izraelskiej armii dla szczątków poległych nie miał sobie równych.

– W takim razie go przenieście – poleciała. – Ale nie zostawiajcie.

– Pani general, musimy zostawić ciało – odrzekł mężczyzna, który był razem z Segev w centrum łączności. – Mamy trzy minuty na wydobycie artefaktu, zanim metan się spali. Płomień może nie przetrwać.

– A zatem się pospieszcie – rzuciła Segev do mikrofonu. – Mose Orvieti pochodził w prostej linii od jeńców jerozolimskich. Jego przodkowie mieszkali w Rzymie od czasu splądrowania Jerozolimy przez Rzymian dwa tysiące lat temu. Nie możemy go tam zostawić.

Kabinę wypełnił głośny odgłos zmiany biegów. Część kadłuba została przebudowana tak, by nurkowie mogli niepostrzeżenie dostać się do środka prosto z wód Tybru. Wszyscy uczestnicy operacji otoczyli otwarty właz, by na własne oczy ujrzeć historię. Nurkowie i agenci wywiadu zgromadzeni w łodzi zamilkli. Światła wokół włazu odbiły się od ogromnego przedmiotu, który rozświetlił wodę miedzianym blaskiem niczym wschodzące słońce. Segev wiedziała, że oprócz niej i czterech ludzi na pokładzie nikt nigdy nie dowie się o tej operacji.

We włazie ukazała się szczupła sylwetka Mose Orvietiego, niesiona przez dwóch nurków, a tuż obok ogromny lśniący przedmiot.

– Spędziliście na wygnaniu dwa tysiące lat – wyszeptała Eilat Segev.

Popatrzyła na ciało Orvietiego, a potem skierowała wzrok w miejsce, w którym woda pojaśniała od blasku wewnątrz półprzezroczystej kuli. Menora wynurzała się z głębin Tybru. Świecznik ukazał się w całej okazałości, ogromne złote ramiona przebiły powierzchnię wody.

– Czas, byście wrócili do domu.

## Podziękowania

W czasach starożytnych redaktor walk gladiatorów nierzadko decydował o życiu lub śmierci przeciwników. Jestem wdzięczny mojemu redaktorowi, Jake'owi Morrisseyowi z Riverhead, że okazał większą wielkoduszność niż jego starożytni odpowiednicy i pomógł mi tchnąć w ten projekt nowe życie.

Pozwolę sobie także złożyć podziękowania mojemu ojcu, doktorowi Sheldonowi Levinowi, i mojej matce, Lindzie Levin. Ich zamiłowanie do tej książki widać na każdej jej stronie.

Chcę również wyrazić ogromną wdzięczność Suzanne Gluck i Erin Malone z William Morris Agency za to, że od początku byli zwolennikami tej powieści. Składam też podziękowania Tracey Fisher i Rafaelli De Angelis, a także Sarah Ceglarski, Elizie Chamblin oraz Liz Tingue z William Morris. Dziękuję zdolnej grupie z Riverhead – Sarah Bowlin, Davidowi Koralowi, Jane Herman, Muriel Jorgensen, Nicole LaRoche, Lisie Amoroso i designerowi Robertowi de Vicq de Cumplich – udoskonającym ten pomysł w każdej jego odsłonie.

Jest mi niesłychanie przykro, że nie mogę podziękować Angelowi Pavoncellemu, na którym wzorowana jest postać Mose Orvietiego, na szczęście tylko częściowo. Angelo zmarł w czasie powstawania tej powieści, a mnie pozostała mądrość, którą dzielił się ze mną podczas przechadzek po getcie i pod jego powierzchnią.

Pragnę podziękować Pani Dyrektor Carmeli Viricillo Franklin za ciepło i gościnność, którą mi okazała podczas mojego pobytu w Akademii Amerykańskiej w Rzymie, asystentowi bibliotecznemu Denise Graviowi, Davidowi Petrainowi, laureatowi Nagrody Rzymu za badania starożytności, oraz wszystkim innym naukowcom i członkom personelu, którzy przyjęli mnie tam



jak swego.

Dziękuję izraelskiej archeolog Eilat Mazar, profesor Elisie Debenetti za to, że mogłem skorzystać z jej zdjęć dziewiętnastowiecznych szkiców Giuseppe Valadiera, oraz nieustraszonej znawczynie Złotego Domu Simonie O'Higgins. Dziękuję podwładnym generała Giovanniego Nistiego z Comando della Tutela del Patrimonio Culturale oraz członkowi Waqf, który odważnie, pomimo lęku przed konsekwencjami, oprowadził mnie po Wzgórzu Świątynnym.

Pragnę podziękować Matthew Pearlowi, Ezzze Siarkowi, Joshui i Andrei Leibowitzom, Alessandrowi Di Gioacchino, elementowi Robertsowi, Scottowi Weingerowi, Marli i Bobowi Starkom, Sassonowi Marcusowi, Brettowi Spodakowi, Oshritowi Raffeldowi, Caryl Englander za inspirację i wsparcie. Dokonanie niemożliwego zajmuje im odrobinę więcej czasu. Dziękuję także, czy tego chce, czy nie, *mayn shver*.

A najbardziej ze wszystkich dziękuję mojej ukochanej żonie, Laurze Levin, za jej przenikliwe redaktorskie oko i, co jeszcze ważniejsze, za wiarę we mnie. Biblijne przysłowie mówi, że dom spoczywa na mądrości żony. To samo można powiedzieć o tej powieści.